

Goldsmith Olivia

Spóźniona moda

Część pierwsza

Kulisy mody

Ten, kto w modzie widzi jedynie modę jest tylko głupcem.

- HONORE DE BALZAC

Rozdział 1

Zwycięzcy i zwyciężeni

Karen Kahn i jej mąż Jeffrey wchodzili spóźnieni wśród błysków fleszy do hotelu „Waldorf Astoria” przy Park Avenue. Karen czuła, że osiągnęła wszystko czego pragnęła. Tego wieczoru, jak co roku, odbywała się uroczystość wręczenia nagrody za osiągnięcia w dziedzinie mody amerykańskiej, organizowana pod patronatem Fundacji Hollie i Anny Oakley. Karen miała otrzymać tę trzydziestą ósmą.

Kiedy przeszli przez hall ku ozdobionej brązem windzie w stylu art deco i na chwilę przed wejściem w tłum znaleźli się sami, popatrzyła na Jeffreya, nie mogąc powstrzymać się od uśmiechu. Za kilka minut otoczą ją najznakomitsi projektanci, dziennikarze mody oraz wytworne i bogate damy ze sfer, w których tę modę się nosi. Jednak, mimo całej swej ciężkiej pracy i marzeń, że taka chwila kiedyś nastąpi, Karen z trudem mogła uwierzyć, że to właśnie ona jest bohaterką wieczoru.

- Pracowałam niemal dwadzieścia lat na swoje pięć minut - zażartowała, a Jeffrey uśmiechnął się do niej. W przeciwieństwie do żony, która wiedziała, że wygląda zaledwie przeciętnie, on był przystojny. Karen zdawała sobie sprawę, że smoking może poprawić wygląd nawet brzydkiego mężczyzny, ciągle jednak zaskakiwała ją metamorfoza przystojnego Jeffreya, wyglądającego w wieczorowym stroju zarazem seksownie i dystyngowanie. Zabójcza kombinacja. Połysk czarnych atlasowych klap podkreślał kolor gęstych szpakowatych włosów. Spinki z szafirami, które mąż miał przy koszuli, Karen ofiarowała mu poprzedniego wieczoru; wiedziała, że będą doskonale pasować do jasnoniebieskich oczu Jeffreya.

- Nie mogłaś wybrać lepszej chwili - powiedział. - To ważne, by nagrodę swego życia odebrać przed pierwszą operacją plastyczną.

- Nie wiedziałam - roześmiała się. - Szczęśliwie samo się ułożyło. Chociaż, gdybym najpierw miała operację plasyczną, mogłabym uchodzić za genialną dziewczynę.

- Zawsze będziesz moją genialną dziewczyną - Jeffrey uściskał jej ramię. - Nie zapominaj, od kiedy się znamy. A teraz przekonasz się, jak to jest naprawdę trafić w dziesiątkę.

Winda zatrzymała się na właściwym piętrze. Zanim stalowo-brązowe drzwi się otworzyły, Jeffrey pochylił głowę i pocałował Karen w policzek, usiłując nie rozmazać jej przy tym makijażu. Jakie to szczęście być z mężczyzną który potrafi zrozumieć, że pocałunek jest mile widziany, ale nie rozmazana szminka! Karen pomyślała, że naprawdę udało jej się w życiu i że jest bardzo szczęśliwa. Wszystkie sprawy, z wyjątkiem stanu zdrowia, układały się jak najlepiej. Ale może doktor Goldman ma dla niej nowiny, które... Nie, musi przestać! Nie ma sensu myśleć teraz o tym, co Jeffrey nazywał „Jej obsesją”. Obiecała sobie i mężowi, że dzisiejszego wieczoru będzie tylko się cieszyć. Drzwi windy rozsunęły się i Karen ujrzała Nan Kempner i panią Gordon Getty, modne damy i filiantropki z towarzystwa, w strojach od Yvesa Saint Laurenta.

- Mogły chociaż założyć którąś z moich sukni - syknęła z uśmiechem przyklejonym do twarzy.

- Skarbie, nigdy nie szyłaś tanich bogatych toalet, jak Saint Laurent - przypomniał jej mąż. Pocieszona, wyszła z windy i ucałowała powietrze obok policzków obu kobiet. Jedna z nich miała na sobie białą atlasową suknię, przybraną złotym warkoczem i paskiem zakończonym chwościkami, przypominającymi zdaniem Karen, frędzelki przy zasłonach. Wygląda na to, że Scarlett O'Hara znowu zainteresowała się portierami. Druga dama ubrana była w czarną koronkę na chyba srebrnym spodzie, choć w przypadku pani Getty - zakpiła w duchu projektantka, musiał być platynowy. Obie panie traktowały swoje stroje z powagą. Nan Kempner wyznała kiedyś w wywiadzie, że jako młoda dziewczyna „płakała jak bóbr” u Saint Laurenta na widok białego, wykończonego norkami kostiumu; zbyt drogiego na jej kieszonkowe. Legenda głosiła, że sam Yves zszedł na dół, by poznać dziewczynę, która tak strasznie rozpaczała.

W foyer, jak zwykle, kłębił się już tłum panów ubranych w pierwszorzędą czarną wełnę i pań we wszystkich możliwych kolorach i typach kreacji. To zabawne, ale mężczyźni zawsze dążą do ujednolicenia; tylko księżę Windsoru miał odwagę włożyć strój wieczorowy w kolorze granatu. Jednakże, choć panowie nie przodowali w modzie, z pewnością sprawowali nad nią władzę. Karen zdawała sobie sprawę, że mimo iż ona sama i kilka innych kobiet odniosły sukces jako projektantki, królowali w tym biznesie mężczyźni. Większość z nich była tego wieczoru na sali.

Paparazzi robili więcej hałasu niż zwykle. Wyglądało na to, że moda stała się nową rozrywką i choć Karen myślała o tym nie po raz pierwszy, ciągle ją to zaskakiwało. Niemal każde wydarzenie w świecie mody przyciągało najdziwniejszą mieszankę towarzyską - ludzi z Hollywood, gwiazdy rocka. Karen panowała nad sobą na tyle, że nie

obejrzała się, gdy wepchnięto ją na Sly Stallone'a, który przyszedł ze Swą najnowszą modelką. Paulina „Wspaniała” stała z mężem, Ri-kiem Ocaskiem, zaś Clint Eastwood towarzyszył Frances Fisher, wyglądającej świetnie jak na kobietę, która właśnie urodziła dziecko. Znajdowała się tu także

4

ekipa telewizyjna od Elle Halle, najwyraźniej pochłonięta próbą sfilmowania Christie Brinkley. Nie widać było przy niej Billy Joela, ale za to David Bowie przybył z Iman, słynną modelką. I to się dzieje, pomyślała Karen, już w foyer. Z sali balowej, w kierunku której zmiierzali, dochodziła straszna wrzawa. W ciągu paru chwil Karen przywitała się z Haroldem Kodą z Instytutu Sztuki Kostiumowej w Metropolitan Muzeum, z Enid Haupt, jedną z najbogatszych filiantropek wśród nowojorskich senierek, Georginą Von Etdorf, projektantką i łysym Beppe Modenese, który pracował nad wizerunkiem włoskiego przemysłu odzieżowego w Stanach Zjednoczonych. Minęli Giannię Versace, stojącego przy swej siostrze i muzie, niewiarygodnej blondynce Donatelli. I ciągle jeszcze nie dotarli do sali balowej. Karen pomyślała, że impreza niewątpliwie okaże się sukcesem, i była szczęśliwa nie tylko ze względu na siebie, ale i cały świat mody.

- Zdaje się, że są tu wszyscy - uśmiechnęła się. - Przynajmniej nie wydano na moją cześć przyjęcia, na które nikt nie przyszedł.

Nim jednak zdążyła poddać się uczuciu triumfu, ktoś jej przeszkodził.

- Ojej, czy to nie jest Kubła Kahn - rozległ się za nimi głos.

Karen skrzywiła się, odwróciła i stanęła oko w oko z Tony de Freisem, projektantem z Siódmej Alei, którego gwiazda już przygasła.

- Karen Kahn - poprawił go Jeffrey.

- Tak, tak. Co za radość, że została nagrodzona - rzucił szyderczo. Rozejrzał się i umilkł, zaciskając usta. - I dla mnie urządzili raz coś takiego; niech ci to nie uderza do głowy. Wprowadzają cię na szczyt, by móc potem ściągnąć w dół - wzruszył ramionami i odwrócił się. - Do zobaczenia na stokach.

Karen westchnęła, starając się zachować uśmiech. W każdej profesji istniała zawodowa zazdrość, wydawało się jednak, że w świecie mody jest jej znacznie więcej. Nie była pewna, gdzie leży przyczyna. Jej matka Bella, opisując raz stosunki panujące w pokoju nauczycielskim szkoły podstawowej, powiedziała: „Te walki są tym bardziej paskudne, że toczą się o tak niskie stawki”. Może walki między ludźmi mody przebiegały tak ostro, bo stawki były bardzo wysokie. W latach osiemdziesiątych moda stała się przemysłem ogólnoswiatowym; wchodziły w grę łupy większe niż kiedykolwiek i wyglądało na to, że naostrono już noże.

- A to dopiero dobry omen - szepnęła. - Czuję się jak śpiąca królewna, na której ucztę przybyła zła wróżka.
- Do diabła ze złą wróżką - rzucił Jeffrey. - Nikt już nie zwraca uwagi na Tony'ego.
- No właśnie. O to mu chodziło.

Karen uświadomiła sobie nagle, że zdobyta popularność uczyni ją także bardziej bezbronną. Inni projektanci będą z nią rywalizować. Tylko nieliczni podążali swoją własną drogą. Bill Blass, prawdopodobnie bogatszy niż którykolwiek z amerykańskich kreatorów (poza Ralphem Laurenem), był zawsze przyjacielski, otwarty i nigdy z nią nie konkurował. Jako jeden z pierwszych, uznanych *mogo-łów* świata mody okazał Karen sympatię. Jeśli nie miał wielkiego talentu, a jego

ubrania nie zawsze wносиły coś nowego, byłby ostatnią osobą, którą informacja o tym by obraziła. Geoffrey Beene, prawdziwy indywidualista, także robił wszystko po swojemu. Jego stroje powstawały w natchnieniu i były przykładem prawdziwego arcyzmu. Może właśnie dlatego, że Beene naruszał stereotypy, zawsze wznosił się ponad walczącymi trendami. W szkole Karen nauczyła się wiele po prostu patrząc na jego projekty.

Uśmiechnęła się i postanowiła wymazać z pamięci incydent z Tonym de Freisem. Musiała teraz stawić czoło reszcie zebranych. Weszli z Jeffreyem do sali balowej gdzie otoczył ich ze wszystkich stron tłum konkurentów i innych ludzi z branży. Rzeczywiście dobrane towarzystwo, zapewniała się w duchu Karen. Wtedy zobaczyła Norris Cleveland.

Karen starała się poświęcać jak najwięcej czasu i energii na zajęcia w pracowni, z dala od plotek i wzajemnego podgryzania. Próbowwała też nie porównywać ani siebie, ani swej pracy z nikim innym. Jeżeli jednak istniała w branży kobieta, której nie lubiła, to była nią zbliżająca się właśnie do niej postać. Norris Cleveland, zdaniem Karen, była czymś gorszym niż złą projektantką. Psuła reputację innym kreatorom. Leniwa, autorka wtórnych modeli, z których najgorsze były albo nudne, albo nie nadające się do noszenia, a mimo wszystko... To „mimo wszystko” polegało na tym, że Norris miała talent zdobywania przyjaciół w odpowiednich miejscach, organizowania przyjęć i prezentowania najnowszych projektów we właściwych gazetach, magazynach i programach telewizyjnych. Oczywiście, nazywanie tych modeli „jej ubraniami” było aktem miłosierdzia. Norris podkradała trochę tu, trochę tam, a ostatnio wydawała się naśladować styl Karen. Co gorsza, nie umiała nawet dobrze go skopiować! Karen postanowiła jednak, że nie pozwoli, aby ktokolwiek lub cokolwiek zepsuło jej wieczór. Uśmiechnęła się do Norris, a przynajmniej odsłoniła zęby.

Cleveland tak samo źle radziła sobie z interesami jak z projektowaniem, jednak parę lat temu poślubiła „pieniądze” z Wall Street i jej firmę uratował nowy przypływ gotówki. Jeśli prawdziwe były plotki, iż męża Norris zmęczyło już wypisywanie czeków i nazywanie go „panem Cleveland”, nie zdołało to przyćmić uśmiechu jego żony dziś wieczorem. Ruszyła ku Karen z otwartymi ramionami, eksponując w ten sposób przeraźliwie chudą figurę w „pokrowcu” z żółtego dżer-seju. Cmoknęła powietrze obok uszu rywalki, a Karen usłyszała trzask migawek w aparatach fotograficznych. Tak się jakoś działo, że paparazzi zawsze podążali za Norris. Karen zastanawiała się, czy to prawdziwi fotoreporterzy, czy też po prostu osoby dobrze opłacone przez projektantkę z wyższych sfer.

- Moje gratulacje, kochanie - wyrecytowała na jednym oddechu, monotonnym głosem panienki z ekskluzywnej szkoły, typowym dla dam z towarzystwa. Coś w rodzaju Jackie Kennedy Onassis z rozdema płuc. Norris zawsze była

dla Karen miła, ale gdzieś w głębi wyczuwało się w niej kobiecą zazdrość i niechęć. Ostatecznie Karen w jej oczach była tylko parweniuszką. - Tak się cieszę,

Aha, akurat.

Norris odwróciła się do Jeffreya i położyła mu rękę na ramieniu.

7

- Musisz być bardzo dumny - powiedziała, a zdanie to, z niejasnych przyczyn, zabrzmiało obraźliwie. Znowu błysnęły flesze i Karen była ciekawa czy, jeśli zdjęcie ukaże się w „Town and Country”, zostanie z niego wycięta. Jeffrey w odpowiedzi tylko się zaśmiał.

- Norris! Co za suknia! - rzucił.

- Cóż, nie tylko wy świętujecie dziś wieczorem - uśmiech nie zniknął z jej twarzy. - Nie słyszeliście? Będę lansować moje perfumy.

Boże, ileż pieniędzy musiał wyrzucić jej mąż, zastanawiała się Karen. Nie da się wylansować perfum za mniej niż dziesięć, piętnaście milionów. Dobra oprawa reklamowa kosztuje trzy razy tyle, a tylko bardzo dobry wyrób wytrzyma próbę czasu.

Karen nie cierpiała tej branży. Perfumy były kurą znoszącą złote jajka, odkąd połączyła je z modą Coco Chanel, choć dobrze wiadano, że jej samej przyniosły nie tylko pieniądze, ale i ból. Będzie to jednak interes w sam raz dla Norris. Bez cienia poczucia winy sprzeda paczuszki ze swym nazwiskiem zdesperowanym ludziom szukającym na próżno romantycznej przygody.

- Życzę szczęścia - mruknęła, zadowolona, że Jeffrey pociągnął ją do przodu. - Nienawidzę jej - rzuciła mu kątem ust.

- Ona o tym wie - odpowiedział.

Gładko przesuwali się przez tłum. Wszystko było tak cudowne, że wręcz niewiarygodne. Każdy ją pozdrowiał. Niewątpliwie, była Kopciuszką na balu. I jeśli nawet spędziła większą część życia na kolanach w pracowni, ten wieczór był nagrodą, dowodem uznania za całą pracę.

- Przed nami Duże Pieniądze - szepnął Jeffrey, trącąc ją w bok. - Filar społeczeństwa.

Bobby Pillar, człowiek, który sam jeden stworzył nową sieć telewizyjną, a obecnie lansował własny kanał z zakupami, szedł właśnie w ich kierunku. Karen spotkała go wcześniej raz czy dwa, teraz jednak cały promieniał, idąc ku niej z wyciągniętą ręką.

- Dziewczyna wieczoru - zawołał, i zamiast uścisnąć dłoń, objął mocno Karen. Zdziwiła się, ale ostatecznie Bobby był z Hollywood. Tam powstawały nowe mody i w latach dziewięćdziesiątych zrezygnowano z całowania powietrza na rzecz gwałtownego uścisku. Bobby obejrzał ją z dumą, jakby była jego wynalazkiem.

- "Więc? Kiedy przygotujesz kolekcję dla mnie? - zapytał.

Z uśmiechem wzruszyła ramionami. Bob był ciepły, i swojski - z odrobiną złośliwości i przez to ... bardzo brooklyński.

- Nie dzisiaj - odpowiedziała.

- Powinniśmy pogadać - roześmiał się. - Zobaczysz, jakie sumy wchodzą w grę.

Jeffrey rzucił swoje dzień dobry, potem ktoś inny zaczął witać się z Pillarem i Karen z mężem mogli powędrować dalej. Gdy odeszli na wystarczającą odległość, Jeffrey obejrzał się za Bobbym.

- Masz pojęcie? - rzucił wściekły. - Facet sprzedaje sztuczną biżuterię i spodnie z poliestru. Bez względu na to, jak rozpaczliwie pragnie podnieść swą

markę, nie będzie ściągał twojego nazwiska w dół. Zobacz, co stało się z Cher, a ona przecież zrobiła tylko reklamówkę informacyjną.

- Ale to miło, jak cię proszą - wzruszyła ramionami. Być w centrum uwagi to z pewnością nic obraźliwego. Jeffrey jest uroczy, ale jest też snobem. Oczywiście mógł sobie na to pozwolić. Pochodził z rodziny bogatych niemieckich Żydów, posiadających masę pieniędzy ulokowanych w nieruchomościach na Manhattanie. Uczęszczał do prywatnych szkół i należał do bardziej olśniewającego świata niż Karen. Zawsze zabiegano o niego, podczas gdy ona była po prostu dziewczyną z Brooklynu.

Karen nie interesowała osobistości z towarzystwa. Tak naprawdę, spośród ludzi zgromadzonych dzisiaj na sali, fascynowali ją i ciekawili inni projektanci. To z nimi chciałaby porozmawiać. Jednak ci, których považała, zawsze ją onieśmielali. I choć tego wieczoru to oni ją docenili, trudno powiedzieć, żeby w świecie mody panowało koleżeństwo. Karen podziwiała suknie Valentina, czy bogate projekty Karla Lagerfelda, ale nie mogła sobie wyobrazić wspólnych spotkań. Tamci znali co najmniej cztery języki, bywali w wytwornych restauracjach najelegantszych miast, mieli własne pałace i dla rozrywki chodzili do opery. Karen nie wyobrażała sobie, że mogliby pragnąć jej towarzystwa, by wypić wspólnie dietetyczną colę i zjeść ryżowe ciastko.

Naprzeciwko drzwi stało trzech „spacerowiczów”: John Richardson, Ashton Hawkins i Charles Ryskamp. W swej dziedzinie, prezentacji modeli męskich ubrań, odnieśli sukces. Jako kulturalni i atrakcyjni kawalerowie towarzyszyli w galowych imprezach damom z towarzystwa, wdowom lub tym, których mężowie byli zbyt zajęci czy zmęczeni. Takie panie, bez względu na wiek, domagały się przyjęć, eskorty i sukni. Karen czasem to dziwiło, lecz przecież właśnie dzięki nim sprzedawała toalety wieczorowe.

Razem z Jeffreyem powoli przeciskali się przez tłum do swego stolika, przy którym stała już Defina Pompey, wysoka i majestatyczna, niczym hebanowa kolumna. Pracowały z Karen razem już ponad dziesięć lat. Piętnaście lat temu Defina była najmodniejszą modelką sezonu i, nawet teraz, gdy stała w pobliżu Lindy Evangelisty, Karen widziała dlaczego. Jej przyjaciółka wciąż wyglądała wspaniale, piękniej niż Beverly Johnson czy Naomi Campbell w swych najlepszych dniach. Dziś, gdy wręcz nie wypadało urządzać pokazu bez kilku czarnych modelek, zaczęto zapominać, że to właśnie ona przetała szlaki wszystkim kolorowym dziewczynom. Defina pochłonięta była rozmową z przeraźliwie chudą kobietą w czerni i eleganckim mężczyzną, wyglądającym na Włocha. Miała zdolności językowe i mówiła nienagannie po hiszpańsku, włosku i francusku, choć wciąż umiała porozumieć się z chłopakami z Harlemu.

Spojrzała na przyjaciółkę poprzez stół i posłała jej uśmiech. Miała na sobie białą suknię z jedwabnego dżerseju, którą Karen dla niej zaprojektowała. Do tego zakiet, mogący zdziałać cuda w przypadku każdej kobiety pragnącej ukryć zbyt obfita talię. Defina od czasu gdy porzuciła zawód modelki, rozwinęła się w szerokim tego słowa znaczeniu.

12

- Pozwól, że przedstawię ci kogoś, kto bardzo chciałby cię poznać - powiedziała przymilnie odprawivszy Włocha krótkim „ciao” i łaskawym uśmiechem. Przysunęła się do Karen, zostawiając czarne widmo na pastwę napierającego z tyłu tłumu.

- Jest tak zielona, że myśli iż Calvin i Anne Klein są spokrewnieni. Może powinniśmy powiedzieć jej, że to małżeństwo, a Kevin jest ich synem? - rzuciła teatralnym szeptem. Widmo przysunęło się bliżej, wyciągając chuderlawe ramię zakończone kościstą dłonią. - Karen, poznaj Jennę Nuborg. Jest niezależną dziennikarką piszącą o modzie i chciałaby przeprowadzić z tobą wywiad. Powiedziałam jej, że o niczym innym nie marzysz.

Defina wypowiedziała ostatnie słowo z trochę zbyt dużym naciskiem, zrozumiałym tylko dla Karen. Wiedziała, jak bardzo jej przyjaciółka nie znosi, gdy nagabują ją rozmaici początkujący reporterzy. Boże, jacyż oni potrafili być głupi i irytujący. Na domiar złego cechowała ich przesadna wrażliwość i łatwo się obrażali. Karen nie miała jednak złudzeń - to dzięki prasie związanej z modą znalazła się tu dziś wieczorem. Po latach wysiłków, potrafiła jakoś przetrwać w bezlitosnym świecie wykwintnego krawiectwa. Ale dopiero, kiedy na skutek nalegań Jeffreya zatrudniono Mercedes Bernard odpowiedzialną za kontakty z mediami, Karen naprawdę wysunęła się z tłumu, a jej nazwisko zdobyło krajowy, niemal międzynarodowy rozgłos.

- Czy zgodzi się pani odpowiedzieć na kilka pytań? - zapytała Nuborg. Głos miała równie cienki jak ramiona. Na wywiad nie było czasu, ale zanim Karen zdołała wymyślić jakiś elegancki sposób na pozbycie się reporterki, tamta przeszła do rzeczy. - Która część ciała kobiety jest, pani zdaniem, najbardziej seksowna?

Defina, wyższa od dziennikarki o jakieś trzydzieści centymetrów, posłała przyjaciółce ponad jej głową głupawy uśmiech.

- Umysł? - odparła Karen, jakby pytanie było zagadką. Dziewczyna nie roześmiała się. Była zbyt przejęta swą rolą!

- Jakie jest pani największe, niespełnione marzenie? - ciągnęła nieubłaganie.

Karen spoważniała. Mimowolnie osłoniła ręką brzuch, jakby chcąc ochronić swe jałowe wnętrze. Przyszło jej na myśl jutrzejsze spotkanie z doktorem Goldmanem. Zamrugnęła oczami, mówiąc sobie, że musi wziąć się w garść. Zanim jednak zdołała odpowiedzieć lub znaleźć jakąś wymówkę, obok niej pojawiła się wysoka, biała postać Mercedes Bernard.

- Jenna. Mam przyjemność z Jenna, prawda? - odpowiadała za kontakty z mediami i była geniuszem w dziedzinie zapamiętywania nazwisk. Teraz zaczęła odczepiać od Karen, przyssanajak pijawka reporterkę. Wokół nich, w rozjarzonej sali balowej, narastał gwar rozpoczynającego się przyjęcia. - Może później będzie na to lepsza pora - ciągnęła Mercedes z chłodnym, choć uprzejmym uśmiechem. Roztaczała wokół siebie atmosferę spokojnej godności. Choć życie zawodowe upływało jej na zabieganiu o rozgłos swej chlebodawczyni i wyłapywaniu najpozytywniejszych recenzji od bandy egotycznych redaktorów i dziennikarzy mody,

zdołała jakoś zachować równowagę. Branżowe powiedzonko na jej temat brzmiało - „Mercedes się ugina, ale nigdy nie garbi”.

- Co jest lepsze, elegancja bez sex appealu czy sex appeal bez elegancji? - Nuborg jeszcze raz zwróciła się do Karen. Projektantka otworzyła usta, ale biała, smukła dłoń Mercedes ujęła dziennikarkę za kościste, obleczone w czern ramię i stanowczo odciągnęła na bok. Karen odetchnęła z ulgą. Wiedziała, że choć pewnego dnia będzie musiała usiąść i udawać zainteresowanie tymi banalnymi pytaniami, przynajmniej nie potrzebuje tego robić teraz. Później może zabije Definę, starając się nie zniszczyć przy tym jej białej sukni.

- Skąd oni biorą te pytania? - zapytała przyjaciółka tonem niewiniątka, marszcząc brew. Spojrzała na Karen i spoważniała. - Przepraszam - powiedziała. - Wyglupiałam się tylko. Nie miałam pojęcia, że ona...

- W porządku. Nic się nie stało. Defina otworzyła szeroko oczy.

- Ładny uśmiech dla wszechmocnej Wintour - rzuciła, a Karen błysnęła zębami w kierunku Anny W. - gwiazdy dziennikarstwa poświęconego modzie. Ta kobieta była twarda, przebiegła, trudna i olśniewająca.

Przy sąsiednim stoliku Karen zauważyła Doris i Donalda Fisherów. Fisher zapoczątkował sieć sklepów Gap i, nie licząc Petera Haasa - Seniora z rodziny Levi Strauss, prawdopodobnie sprzedał najwięcej džinsu na świecie.

Małżeństwu towarzyszył Bill Wolper z NormCo, korporacji, która na rynku mody odnosiła największe sukcesy.

Każdy wiedział, że w modzie bogactwo przynosi sprzedaż masowa. Na Siódmej Alei nigdy nie gościły wielkie pieniądze. Jeffrey ciągle powtarzał Karen - „Henry Ford wzbogacił się produkując fordys, a nie lincolny”. Dopiero w ciągu ostatnich kilkunastu lat najwybitniejszym amerykańskim kreatorom z Siódmej Alei udało się zbudować gigantyczne imperia. A zrobili to schodząc w dół, do zwykłych ludzi. Lincolny obniżyły jakość i zmieniły się w fordys -tańsze kolekcje - dla domów towarowych. Ludzie tacy jak Ralph Lauren, Calvin Klein i paru innych stworzyli największe z dotychczasowych domy mody. A teraz taka możliwość pojawiła się przed Karen. Na razie była tym przerażona.

Przy stoliku otaczały ją jednak same przyjazne twarze. Oprócz Jeffreya i De-finy, mogła uśmiechnąć się do Mercedes, która przyprowadziła przyjaciela, najwyraźniej geja. W jej pokoleniu, kobieta musiała mieć męską eskortę na wszelkie towarzyskie imprezy. Wszyscy wiedzieli, że Bernard jest lesbijką (choć nigdy nie poruszano tego tematu). Tylko Defina miała odwagę określić ją przydomkiem „Mercedes diesel”.

Obok Mercedes siedział, wraz ze swoim męskim przyjacielem, Casey Robinson, wiceprezes działu sprzedaży. Karen jeszcze raz westchnęła, czując przypływ wdzięczności za to, że poznała i poślubiła Jeffreya w początkach swojej

kariery. Tak wiele kobiet w branży cierpiało z powodu braku w świecie mody mężczyzn o skłonnościach heteroseksualnych.

Uśmiechnęła się do Caseya, Mercedes, Definy i pozostałych. Wszyscy lu-dzie zgromadzeni dziś przy stoliku, pomogli jej się tu znaleźć. Gdy dowiedziała się o przyznaniu Nagrody Oakley a, postanowiła, że właśnie oni będą jej towarzyszyć

13

i dzielić z nią triumf. Nie zaprosiła rodziny. Nie przyczynili się aż tak do jej sukcesu, a z jakiegoś powodu, ich obecność zawsze wprowadzała komplikacje. Ten jeden raz, Karen postanowiła mieć wieczór dla siebie i dopiero po fakcie podzielić się wydarzeniem z matką i siostrą. Czowała się trochę winna, ale wątpliwości rozproszył jej przyjaciel Carl - „Masz wybór: zaprosić je i zepsuć sobie wieczór, albo nie zapraszać, świetnie się bawić i mieć poczucie winy. Radzę wybrać poczucie winy! Jest jak mięsień. Naucz się je ćwiczyć i używać”.

Jakby wyczarowany tą myślą, Carl właśnie nadchodził. Karen zobaczyła swego wysokiego, grubego, łysiejącego przyjaciela, przeciskającego się w jej kierunku. Bez Carla przy stoliku kogoś by brakowało. Od czasów szkoły średniej w Rockville Centre na Long Island, był jej największym, mobilizującym entuzjastą. Właściwie jedynym. Z pewnością ani matka, ani młodsza siostra, nie wspierały marzeń Karen o szyciu pięknych, niezwykłych, wygodnych ubrań. Bella była na to zbyt praktyczna i zbyt krytycznie odnosiła się do takich planów, a biedna Lisa, młodsza od Karen, sama potrzebowała wsparcia i nie miała nic do zaoferowania. Tylko Carl, ze swym szalonym optymizmem, poczuciem humoru i maszyną do szycia po matce, popierał pomysły Karen. Był jej pierwszym sojusznikiem i wykonawcą jej pomysłów. A teraz jego duża postać pokonała resztę parkietu sali balowej i otoczyła Karen silnym uściskiem.

- *Brava, brava, brava* - zahuczał, wyciskając pocałunki na obydwu jej policzkach.

- *Grazie* - odparła Karen, wyczerpując tym jednym słowem całe znane sobie włoskie słownictwo. Naukę francuskiego, którą ze względu na sprawy zawodowe wymusił Jeffrey, wspominała jako torturę. Jeśli chodzi o języki, nie była Defirią. Wciąż mówiła po angielsku z ciężkim akcentem z okolic No-strand Avenue (gdzie mieszkali, zanim ojciec mógł pozwolić sobie na Rockville Centre).

- A zatem, w jaki sposób osiągnęła pani ten ogromny sukces? - zapytał Carl, naśladując głos sprawozdawcy i używając wziętego ze stołu noża do masła w charakterze mikrofonu.

- Po prostu nie podnosiłam oczu znad roboty - odparła z przesadną skromnością i słodyczą.

- Ach, więc to dlatego pani oczy tak wyglądają? Zróbnmy im zdjęcie - wyciągnął maleńki aparat fotograficzny i podał Jeffreyowi. - Hej, Defina! Chodź no tutaj! Chcę mieć zdjęcie z gwiazdami wieczoru.

Defina z uśmiechem posłusznie podeszła, ale Karen zauważyła jak Jeffreyowi ściagnęła się twarz. Dlaczego Carl nie zaprosił także jej męża? Czasem postępował strasznie niedyplomatycznie. Karen była świadoma faktu, że choć Jeffrey traktowano czasem jak kogoś na przyczepkę, to naprawdę on umożliwił jej odniesienie sukcesu. Należy oddać mu sprawiedliwość, posłusznie uniósł aparat i przymrużył oko.

- Trzej Muszkietierowie i kryzys połowy życia - powiedział, pstrykając zdjęcie.

- Czy to nie książka Dumasa? - zażartował Carl.

- Chyba tak - odparła Defina. - Ale nigdy nie mogę zapamiętać, czy chodzi o Dumasa ojca czy Dumasa syna... A może Dumasa-Ducha Świętego.

- Hej, ludzie, wszystko wam się pomieszało - przerwała Karen. - Nawet ja wiem, że to „Duszek” Kacperek z bajki animowanej dla dzieci.

- Czy choć przez jeden wieczór moglibyście zachowywać się jak znakomitości, a nie jak turyści? - zapytał Jeffrey, kręcąc głową nad ich głupotą.

- Skoro mówią o znakomitościach, to widziałem w hallu Johna Kennedyego Juniora - szepnął Carl. - O mało nie zemdlałem. Przysięgam wam, ten facet stanowi żywe zagrożenie dla środowiska gejów. Można dostać ataku serca - zaczął dyszeć z podniecenia, prawdziwego czy udanego, trudno stwierdzić. - Och, być Daryl Hannah choć przez jedną noc! - wykrzyknął.

- Zachowuj się - ostrzegła go Karen, wznosząc oczy do nieba. Carl miał obsesję na punkcie Kennedych, a może tylko udawał, że ją ma. Był prawdopodobnie jedyną osobą w kraju znającą nazwiska wszystkich krewnych obecnego pokolenia tej rodziny. Stanowiło to rodzaj uprawianej przez niego gry salonowej, coś w rodzaju wyliczanki imion żon Henryka VIII lub siedmiu krasnoludków, tyle tylko że trwało znacznie dłużej.

O tej porze większość ludzi w sali balowej zajęła już swoje miejsca, Carl więc dołączył do zgromadzonej przy stoliku grupy Karen Kahn. Uniósł kieliszek, a kiedy jeden z kelnerów nalał mu szampana, odchrząknął i spoważniał.

- A teraz wnieśmy toast za tegoroczną zdobyczynę pożądaną przez wszystkich Nagrody Oakleya - wygłosił. Karen była wzruszona. Nagle, jak na komendę, wszyscy przy stole, nawet stateczna Mercedes, wzięli po kawałku tostu i cisnęli poprzez stół w laureatkę. Po czym dusząc się ze śmiechu opadli na krzesła. Wszyscy poza Jeffreyem.

- Jezus, Maria - powiedział, najwyraźniej nie zrozumiałszy żartu. - Rzucanie jedzeniem w „Waldorf Astoria”? - pokręcił głową, gdy tymczasem Karen nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Łzy napłynęły jej do oczu i musiała użyć serwetki, by upewnić się czy nie rozmazała tuszu.

Nagle z podium ustawionego w kącie sceny rozległ się głos Leili Worth, mistrzyni ceremonii.

- Czy mogę prosić państwa o uwagę - zagruchała przez wzmacniacz, który musiał być nastawiony na maksymalną moc, by dało się coś usłyszeć przez ryki i rzenie zebranych. Ludzie mody są hałaśliwi. W końcu jednak się uspokoili.

Dalszą część wieczoru Karen pamiętała jak przez mgłę. Niejadalne dania, bełkot kilku mówców opowiadających o Nagrodzie Oakleya, przemyśle odzieżowym i dobroczynności. Między przemówieniami gwar rozmów wzrastał się

i stawał wręcz ogłuszający. W tle słyhać było łątwą do przewidzenia muzykę -jakąs kapełę w stylu Lestera Lanina. Potem światła przygasły i na podium znów pojawiła się Leila Worth.

- Zebraliśmy się dzisiaj, by uhonorować wybitną postać w świecie amerykańskiej mody.

Karen poczuła gęsią skórę na ramionach i dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Czy to o nią chodzi? Spojrzała na swą nietkniętą porcję potrawy z kurczaka z dzikim

16

ryżem. Ona jest wybitną postacią? Nie wiedziała czy czuje się przejęta, zażenowana czy zmartwiona. Może wszystko na raz. Czyjej idolka, Coco Chanel, czuła się dwuznacznie gdy ją fetowano? Zapewne nie, ale ona przecież naprawdę była wybitna. Karen wydawało się, że jest jednocześnie Miss Ameryki i oszustką. Próbowwała ponownie skoncentrować się na słowach Leili. Ostatecznie, nie codziennie dostaje się nagrodę swojego życia.

- W ciągu ostatnich dwudziestu lat moda amerykańska stała się modą światową- mówiła Leila. Karen ciekawa była, jak na takie podsumowanie zareagowali obecni na sali francuscy i włoscy projektanci! Może te słowa nie były w pełni prawdziwe, ale na pewno prawdziwsze niż kiedykolwiek. Ameryka rzeczywiście stworzyła system pozwalający zanieść wizję projektanta do praktycznie każdego zakątka świata. Zajęło to trzydzieści lat i właśnie przyznawanie Nagrody Oakleya było jednym ze sposobów skupienia uwagi klientów i pism poświęconych modzie na amerykańskich projektantach. Można więc wybaczyć Leili tę celową przesadę.

- Nikt nie reprezentuje amerykańskiej mody godniej i nikt nie zna lepiej naszych kobiet niż projektantka, na której cześć zebraliśmy się tego wieczoru. Przez ostatnie dziesięć lat wychodzą spod jej ręki piękne, luksusowe i wygodne stroje. Nikt nie ma większego wyczucia formy, głębszego rozumienia subtelnych odcieni kolorów; nikt tak pracowicie i twórczo nie poszukuje właściwego, jedyne go w swoim rodzaju, i niezwykle go materiału jak Karen Kahn. A oto kilka przykładów.

Reflektor oświetlający Leilę zgasł, a z obydwu stron sceny ruszyła parada wysokich, olśniewających kobiet. Bezcielesny głos Leili mówił dalej, opisując niektóre projekty, ich znaczenie czy oryginalność. Teraz, w półmroku, Karen wiedziała już, po co ma oczy. Napawała się spektaklem - kolekcją prac, która powstała w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Kiwała głową na widok sukni-tuby z poszerzonymi ramionami i żakietem z dzianiny, luźnej marynarki z obcisłymi krótkim spodniami, a nawet skrojonej ze skosu sukni wieczorowej z jedwabnej dzianiny, choć tego typu stroje nigdy nie były jej najmocniejszą stroną. Stroje na modelkach przesuwwały się, odbijały światło i zdawały się być zarówno ozdobą jak i organiczną częścią pięknych ciał, które spowijały. Na tym polegała sztuczka, zagadka ubioru,

którą Karen zawsze próbowała rozwikłać - jak ukrywać i odsłaniać, a jednocześnie uczynić strój naturalnym przedłużeniem kobiecego ciała.

W przypadku większości tych ubrań odniosłam sukces, pomyślała, i przynajmniej ten jeden raz, przez upajającą chwilę, mogła siedzieć i być zadowolona ze swojej pracy. Nie jest żadnym cudownym dzieckiem, do diabła, jest już w średnim wieku. Tak więc, jeśli czuła, że pomijano ją latami, to teraz, w końcu doceniona, mogła uznać się po prostu za odrobinę spóźnioną. Karen wyczuwała, że publiczność odbiera jej zamysł, a kiedy ostatni model - wełniany, ciemnokaka-owy komplet, cardigan, legginsy i prosta, szyfonowa tunika - zszedł ze sceny, Leila wywołała jej nazwisko. Karen lekko podniosła się z krzesła i poprzez lśniący, pusty parkiet ruszyła ku podium.

Oklaski wydawały się ogłuszające, ale tak samo głośno dudniło jej w uszach własne serce. Miała nadzieję, że włosy wyglądają dobrze. Wiedziała, że atlasowe

2 - Spóźniona moda

17

spodnie i kaszmirowy żakiet z atłasową lamówką w świetle rozbłysną. Reflektory oślepiały, ale na to była przygotowana i usiłowała bez krzywienia twarzy patrzeć w rozciągającą się poza nimi ciemność. Uścisk Leili, burza oklasków - banalna scena znana z każdej ceremonii wręczania nagród. Karen spojrzała na salę pełną ludzi, z których każdy był kimś znanym w świecie mody.

- Dziękuję, przyjaciele - zaczęła.

Jeffrey i Karen zbierali się właśnie do wyjścia, gdy do stolika zbliżył się Willie Artech. Był projektantem trochę młodszym od Karen, i podobnie jak ona żonglował w rodzącym się na Siódmej Alei biznesie. Jakieś pięć lat temu był bardzo modny, ale brak kapitałów i nieprzestrzeganie terminów dostaw - śmiertelny grzech w handlu odzieżą - starły blask z jego nazwiska. Podobne spustoszenie przyniósł AIDS. Stał teraz sam, w o wiele za luźnym smokingu na wyniszczonym ciele.

- Moje gratulacje, Karen - powiedział. Niepewnym ruchem uniósł kieliszek. - Pozdrawia cię idący na śmierć.

Wszyscy przy stole, pochłonięci na ogół zbieraniem swoich rzeczy, znieruchomieli.

- Miałem nadzieję, że dostanę dziś nagrodę, ale homoseksualizm wychodzi już z mody - wzruszył ramionami. - *Res ipsa loquitur*, fakty mówią same za siebie - Willie wyszczerzył zęby w uśmiechu. Jego głowa przypominała czaszkę.

- Bardzo odpowiednie, nie uważasz? Martwy człowiek mówi martwym językiem - umilkł i pochylił głowę. - To była ciężka noc. Liczyłem na wygraną. Nie mam dzieci. Chciałbym zostawić za sobą coś, co sprawi, że nie zostanę zapomniany - wyszeptał.

- Przykro mi, Willie - wymamrotała Karen.

Carl wstał z krzesła. Jego kochanek umarł zaledwie dwa lata temu.

- Chodźmy, Karen - powiedział.

Jeffrey, który wyszedł po płaszcze, wrócił i pomógł nałożyć Karen jej okrycie. Grupa rozeszła się, pozostawiając chwiejącego się na nogach Williego samego. Defina wzięła Karen pod ramię.

- Nie bierz tego do siebie - szepnęła. - Wiesz jacy są ci gejoscy projektanci. Zawsze to jest robótka drogiej mamusi.

A dzisiaj przez jego problemy z matką tobie się dostało.

Mimo prób pocieszenia, spotkanie z Williem było niemiłym zakończeniem cudownego wieczoru i Karen natychmiast poczuła się winna. Dziwnym trafem dobrze wiedziała, jak czuł się Willie Artech, to widmo przy ich stoliku.

- Jezu - odezwał się Carl, gdy opuszczali salę. - Jak można tak się troszczyć o nagrodę w obliczu wieczności.

Ale **Karen**, zaciskając w palcach plakietkę Oakleya i po raz kolejny kładąc **obronnym ruchem** rękę na brzuchu, potrafiła to zrozumieć.

Rozdział 2

Bezpłodna

Dzień po otrzymaniu Nagrody Oakleya Karen siedziała w poczekalni doktora Goldmana i usiłowała poradzić sobie z jego werdyktem. Nieuleczalnie bezpłodna.

Na swój sposób wiedziała to przez cały czas. Od samego początku, w trakcie wszystkich testów,-badań i przyjmowania lekarstw, mimo wątpliwości Jeffreya i jego lekarzy, wiedziała, że to w niej tkwi przyczyna i że stanu tego zmienić nie można.

Dziwne, ale w chwili gdy doktor przekazał oficjalne wyniki, przez głowę Karen przemknęła myśl, by odnaleźć prawdziwą matkę. A może wcale nie dziwne? Może to typowa reakcja bezpłodnych kobiet, które kiedyś były adoptowane? Ile nas jest? - zastanawiała się. Czy tworzymy na tyle znaczącą grupę, by demografowie wyodrębnili nas w osobną kategorię dzieci z wyżu urodzonych w latach pięćdziesiątych? Czy występowałyśmy już w telewizyjnych talk-showach? Czy istnieje dla nas jakiś program dwunastu kroków, albo grupa wspierająca? Czują, że przydałaby się jej teraz jakaś pomocna dłoń. To kara za to, że jeszcze wczoraj wieczorem była taka szczęśliwa. Nagroda Oakleya, wytworny tłum, poczucie szczęścia oddalały się i robiły wrażenie czegoś, co wydarzyło się w dalekiej przeszłości albo w innym życiu. Niebezpiecznie tak się cieszyć; miała teraz na to dowód. Po prawie trzydziestu miesiącach prób, zaplanowanych i przepisanych jak na receptę stosunkach, bolesnych, upokarzających testach, spotkaniach ze specjalistami, zasięgnięciem innych opinii, już od dawna było jasne, że istnieje jakaś poważna przyczyna niepowodzeń. Nie ma co się dziwić - powiedziała sobie w duchu. To nie było nieoczekiwane. Teraz otrzymała ostateczny werdykt; jest nieuleczalnie bezpłodna. Koniec z szukaniem specjalistów, nieustannym mierzeniem temperatury, wizytami u lekarzy w środku dnia, bo właśnie wtedy miała owulację. Koniec także z bólem, wydatkami, kłopotami. Koniec zatem z nadzieją.

Była jak ogłupiała.

Czy właśnie poczucie beznadziejności sprawiło, że wpadł jej do głowy pomysł odnalezienia prawdziwej matki? Może z tęsknoty za poczuciem pełni, której już nie zaspokoi dziecko? Wcześniej nie myślała wiele o swej biologicznej matce, a teraz potrzeba odszukania jej uderzyła z siłą przyprawiającą niemal o mdłości.

Pomyślała o Williem Artechu. Spośród wszystkich wydarzeń czy osób ostatniego wieczoru, tylko jego wizerunek nie stracił na wyrazistości. Jeffery często oskarżał ją o koncentrowanie się na pesymistycznych obrazach. Cóż, nic nie mogła na to poradzić. Przed oczami stał jej Willie Artech - umierający, pragnący dzieci, które by o nim nie zapomniały.

Ona jednak nie chciała mieć dziecka po to, by o niej pamiętano, a przynajmniej nie tylko dlatego. Chodziło raczej o więź z życiem, o przemienienie się z Jeffreyem z pary w rodzinę. Cóż, bez względu na powód, dziecka nie będzie. Może dlatego, w ramach wyrównania, zapragnęła matki. Prawdziwej matki.

Siedziała w elegancko urządzonej klinice płodności przy Park Avenue, obok czterech kobiet, które, może z wyjątkiem jednej, miały w oczach ten sam strach

i ból. Śmieszne, że nazywają to miejsce kliniką płodności, skoro przychodzą tu tylko bezpłodne kobiety, pomyślała gorzko. Bezpłodne i bogate, dodała w myślach. Ile już kosztował doktor Goldman? Jakies sześć czy siedem tysięcy? A cała sprawa tak właśnie się zakończyła, skrzywiła się. Dadzą ci krzesło obite miękką skórą, na którym możesz posiedzieć, usiłując nie stracić zimnej krwi i nie zwrócić zjedzonego wcześniej lunchu na podłogę wysłaną axminster-skim dywanem.

Czuła, że jest kimś innym niż kobieta, która zaledwie piętnaście godzin temu święciła triumf na scenie hotelu „Waldorf”. Wspomnienie chwały nie osłabi bólu.

Wiedziała, że nie może powiedzieć o tym matce. Ani o tym, że o dziecku nie ma już mowy, ani że ma zamiar odszukać swoją rodzicielkę. Jak zwykle, uczucia Belli liczyły się przede wszystkim; jak w starym dowcipie o matce i córce. Matka znajduje na podłodze martwą córkę samobójczynię i krzyczy: Jak ona mogła mi to zrobić? O tak, Bella przyjąłaby zwierzenia Karen z politowaniem. Chciała usłyszeć tylko o Nagrodzie Oakleya. Lubiła sukcesy, a nie porażki.

Co gorsza, to właśnie ona od wielu lat namawiała córkę i zięcia na dzieci. Tak wielu, że Karen nie chciała o tym pamiętać. Być teraz zmuszoną przyznać, że Bella miała rację... Powinniśmy wcześniej starać się o dziecko, pomyślała. Ale ja byłam pochłonięta moją karierą; walka o pozycję w świecie mody to nie wakacje. A potem, kiedy

wreszcie udało mi się wsunąć nogę w drzwi, czy mogłam nie pójść za ciosem? Moje projekty zdobyły powodzenie, a praca, sukcesy i podróże wypełniły cały czas. Uważałam, że na dzieci zawsze można poczekać.

Teraz już nic nie będzie. Karen poczuła ukłucie bólu w dolnej części brzucha. Wyrzuty sumienia? Urojona owulacja? Przypomniała sobie słowa doktora: „Całkiem możliwe, że nigdy nie byłaby pani w stanie urodzić dziecka, choć niewątpliwie lata pogorszyły sprawę”. Może moje poczucie winy z powodu odwlekania zajścia w ciążę jest nieuzasadnione, powiedziała sobie.

21

Rzecz jasna, matka nie uwierzy nigdy w wadę organizmu. Nie omieszka oznajmić, że wszystkiemu winna jest Karen a ona, Bella, ją ostrzegała. Bella nie zawsze miała rację, miała jednak wystarczająco często i tyle o tym mówiła, że jej sądy wydawały się bezdyskusyjne. Była matką rozsądną, ale nie podtrzymującą na duchu. Karen poczuła, że łzy napływają jej do oczu, a przecież nigdy nie płakała. By się uspokoić, wzięła głęboki oddech i zamrugowała powiekami. Miała dosyć doświadczenia by wiedzieć, że niewielu ludzi utrzymuje choćby poprawne stosunki z rodzicami; w tej chwili jednak tęskniła za piersią na której mogłaby się wypłakać bez zahamowań i poczucia winy. Nic dziwnego, że mężczyźni szukają pocieszenia u kobiet - piersi są pod tym względem ogromnie kuszące. Jednak Karen nigdy nie szła do matki; może nieprzypadkowo - Bella była taka płaska. Zatem nie ma pociechy, pomyślała bo jeśli mężczyźni idą po nią do kobiet, dokąd mają udać się kobiety?

Może do przyjaciółek. Karen miała na pocieszenie siostrę Lisę, Definę i Carla, który, choć był anatomicznie mężczyzną, potrafił wejść w rolę kobiety niemal pod każdym innym względem. Defina jednak ciągle świętowała ostatni wieczór, Carl, choć zawsze gotowy wysłuchać zwierzeń, był aż w Brooklynie, a Lisa znajdowała się w tej chwili na Long Island, czekając wraz z Bellą na przybycie siostry. Karen westchnęła. Wciąż jeszcze ją mdliło. Nie znajdzie pociechy aż do wieczora, kiedy spotka się w domu z Jeffreyem. A może nawet i wtedy. W innych sytuacjach zawsze ją wspierał, lecz w tę zbyt osobiście się zaangażował, by można było na niego liczyć.' Wspólna walka o poczęcie dziecka doprowadziła cierpliwość męża do krytycznego punktu i sytuacja w małżeństwie była bardziej napięta, niż Karen miałyby ochotę przyznać.

- Pani Kahn? - rozległ się pytający głos pielęgniarki i Karen powiedziała sobie, że musi zachować się tak, jakby nic się nie stało. Czy aby zdoła wstać z tego przekłętego fotela nie wymiotując na rozłożone na stoliku pisma ilustrowane? Siedząca obok kobieta, jedyna która nie wyglądała na przerażoną i najwyraźniej była w zaawansowanej ciąży, odwróciła ku niej blond głowę, unosząc w górę niemal niewidoczne brwi. Czytała właśnie towarzyski dodatek New York Timesa, a w nim długą relację z wręczenia Nagrody Oakleya. Karen niemal widziała, jak wszystko układa

się w jej mózgu w jedną całość. Wspaniale, pomyślała. Tak, jestem Karen Kahn. Ta Karen Kahn. Jutro pewnie przeczyta o swojej wizycie u lekarza w rubryce plotek towarzyskich Lizzie Srrriith. Już to sobie wyobrażała: *Którą z czołowych projektantek mody z Siódmej Alei widziano w najszykowniejszej nowojorskiej klinice dla bezpłodnych kobiet?*

Popatrzyła na siedzącą obok kobietę w ciąży. Powinno istnieć prawo zakazujące klinikom eksponowania swych sukcesów przed bezpłodnymi, pomyślała. I zabraniające gapienia się na sławnych, czy choćby trochę sławnych ludzi, w chwilach szczególnie dla nich bolesnych. Westchnęła. Taka jest ciemna strona strona popularności, Karen. Musisz z tym żyć.

Wstawaj, powiedziała do siebie. Nie zwymiotuj, nie potknij się i nie daj tej rozplodowej albinosce okazji do zapytania czy możesz jej załatwić ubrania dla kobiet w ciąży po cenach hurtowych. Kolana Karen jakoś się pod nią nie ugięły

i przemierzyła pokój trzema długimi krokami. Miała długie nogi, była duża, wysoka i - mimo ciągłego podejmowania diet - daleka od chudości. To dlatego wiedziała, jak projektować ubrania wyszczuplające uda i skrywające talię. Kaszmirowy swetr i pasujący do niego szal skrywały ją teraz niczym zbroja.

- Tak? - zwróciła się pytająco do pielęgniarce, która wysłała w jej kierunku oficjalny, promienny uśmiech, jakby fakt, że jest to najgorszy dzień w życiu Karen nie miał żadnego znaczenia. Po najwspanialszej nocy nastął najgorszy dzień; huśtawka uczuć w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Należy się siedemset czterdzieści trzy dolary - powiedziała uprzejmie i bez zażenowania.

Karen rozpięła torbę od De Vecchiego i wyjęła książeczkę czekową. Na próżno grzebała w poszukiwaniu pióra Mont Blanc. Pielęgniarka, wciąż promiennie uśmiechnięta, podsunęła długopis. Karen spostrzegła, że trzęsą jej się ręce. Próbowwała napisać w rubryce siódemkę, ale przypominała ona bardziej rozjechanego na szosie węża niż cyfrę. To beznadziejne. Wyrwała czek, przedarła na pół, rzuciła tani długopis na biurko, a oprawioną w świńską skórę książeczkę z powrotem do torby.

- Proszę przysłać mi rachunek - powiedziała. Gniew dodał jej energii by przejść do windy i zjechać do hallu. Jak oni mogą kazać sobie płacić za takie wiadomości? Zadrżały jej wargi, ale postanowiła, że się nie rozpłacze. Nigdy nie płacze. Wyszła z budynku na Park Avenue. Markiza nad drzwiami łopotiała na wietrze. Mżawka, niczym dym z mokrego drzewa, zaczynała nadawać wszystkiemu barwę szarobrą-zową, typową dla Nowego Jorku w brzydkie, deszczowe popołudnia.

- Świetnie - pomyślała. - Teraz w żaden sposób nie złapię taksówki na Penn Station. Trzeba było, tak jak radził mi Jeffrey, wynająć limuzynę.

Karen nie znosiła jednak gdy kierowca na nią czekał. Nie dlatego, że była skąpa; po prostu ją to żenowało. Na samą myśl o autobusie, czy, co gorsza, metrze, poczuła zawrót głowy i omal nie upadła na mokry beton. W Nowym Jorku nie da się mieszkać - pomyślała. - A każde inne miejsce jest jeszcze gorsze. Powinnam była wziąć limuzynę. Nie tylko do kliniki i na stację, ale aż na Long Island. Co się, u diabła, ze mną dzieje? Nie mam nad sobą litości. Karen - rzeczniczka praw ludu; to wpływ ojca. Zalało ją uczucie żalu nad sobą, a wraz z nim odpłynęły wszelkie zapasy siły.

- Proszę tu - zawołała. - Proszę!

I modlitwa została wysłuchana. Pod markizę zajechała taksówka, z której wysiadło dwóch mężczyzn. Karen przepelniona uczuciem wdzięczności, wślizgnęła się do pustego samochodu i odetchnęła głęboko.

- Na Penn Station - rzuciła kierowcy, ubranemu w narodowy strój z jakiegoś kraju Trzeciego Świata, którego Karen nie potrafiłaby wskazać na mapie. Skinął głową, żywiła więc nadzieję, że ma pojęcie o kierunku.

Oparła się o okropnie niewygodne siedzenie. Co za ironia, że modliła się właśnie o taksówkę. Takie już moje szczęście, pomyślała. Większość modlitw w moim życiu nie została wysłuchana, a oto czego życzyłam sobie, kiedy Dobra Wróżka akurat miała dobry humor. Szkoda, że nie poprosiłam o dziecko.

24

Rzuciła okiem na zegarek - stary, złoty męski rolex. Taksówka wlokła się zatłoczonymi ulicami; w żaden sposób nie zdążą na 4:07. Spóźni się.

Ale czy to coś nowego? Zazwyczaj spóźniała się. Jeffrey twierdził, że za dużo bierze sobie na głowę, lecz Bella nawet po tylu latach wpadała w szał. „Nie ma powodu tak się guzdrać” - pouczała. Czasami jej głos brzmiał jak u nauczycielki drugiej klasy szkoły podstawowej, którą zresztą była, kiedy poznała swego przyszłego męża. Gdy adoptowali Karen, na zawsze skończyła z nauczaniem, przynajmniej zawodowo. Instruowała jednak córkę jak się ubierać, jak prawidłowo podwijać rogi prześcieradła - Te z gumką na brzegu są dla leniwych kobiet -mówiła. Uczyła ją jak czyścić skórzane obuwie, depilować nogi, nakryć do stołu, napisać liścik z podziękowaniem, właściwie przyszyć guzik i miliona innych drobnych, ale niezapomnianych rzeczy. Na swój sposób Bella była urodzoną nauczycielką.

Może stąd wzięły się jej problemy jako matki, zastanawiała się Karen. Miała tylko nas dwie, przez to nauka była zbyt intensywna. Gdyby miała co roku pod opieką klasę trzydziściorga innych dzieci, na pewno naciskałaby mniej na Karen i jej młodszą siostrę. Ale czy Lisa w ogóle pojawiłaby się na świecie, gdyby Bella pracowała?

Przerwała rozmyślania. Tu cię mam, winisz własną pracę za bezpłodność. Przypomniała sobie jeszcze raz, co powiedział doktor. To prawdopodobnie wada wrodzona. Jak on to ujął? „Wiek pogorszył sprawę”. Święta racja. Karen nie mogła jednak wybić sobie z głowy, że gdyby spróbowali wcześniej, włożyli więcej wysiłku w stworzenie rodziny, mogłoby im się udać. Cieszyła się opinią osoby, która nigdy nie przyjmuje do wiadomości odmowy, porażki, konieczności rezygnacji. „Jeżeli nie zgadzasz się na «nie», możesz otrzymać «tak»”, mówiła zwykle swoim pracownikom. Trzeba mimo wszystko walczyć. Tym razem jednak musiała przyjąć to „nie”.

Oczywiście, mogli z Jeffreyem spróbować jeszcze sztucznego zapłodnienia. Karen wiedziała jednak, że mąż będzie mu przeciwny, tak jak ona. Tyle jest na świecie nie chcianych dzieci, ludzi głodnych i bezdomnych, trudno więc usprawiedliwić wydanie tysięcy dolarów tylko po to, by uwiecznić własne geny. Jakoś jej to nie odpowiadało.

Zresztą, i tak nie było gwarancji.

Gdybym tylko spróbowała wcześniej...

To szaleństwo - usiłowała przemówić sobie do rozsądku. Te obłądne myśli, to rezultat poczucia winy, którą odczuwają często kobiety gdy nie uda im się czegoś zrobić perfekcyjnie. Popatrz na Connie Chung. Czy spędza to popołudnie nienawidząc siebie? Przestań, bo od tego zwariujesz.

Taksówka z szarpnięciem stanęła za autobusem, na którym widniała irytująca reklama, a z rury wydechowej buchał czarny dym. Ciągle jeszcze znajdowała się trzy przecznice od Penn Station, a na tym odcinku Trzydziestej Trzeciej Ulicy panowało, w deszczowy piątek, prawdziwe piekło.

- Do diabła z tym wszystkim - mruknęła do siebie Karen i pochyliła się, zbliżając twarz do okienka w kuloodpornej przegrodzie z plexiglasu, oddzielającej pasażera od kierowcy. - Ile kosztuje kurs na Long Island? - zapytała.

23

- Lotnisko Kennedy'ego? - w głosie, o jakby pakistańskim zaśpiewie, zadźwięczała nadzieja.

- Nie, Rockville Centre. To też na Long Island, tylko trochę dalej - skłamała zdesperowana. Zastanawiała się, czy wystarczy jej pieniędzy. Jedną z korzyści sukcesu było to, że od lat nie odwiedziła banku. Choć sekretarka trzymała dla niej gotówkę, Karen ciągle jej brakowało. Nabrała więc zwyczaju wsuwania zwiniętych studolarowych banknotów do bocznych kieszeni wszystkich torebek. Pieniądze na czarną godzinę. Sprawdziła i zgodnie z przewidywaniami, znalazła studolarówkę. Wyjęła ją, rozprostowała i pokazała kierowcy, wsuwając do miseczki na opłaty za przejazd. Przyjrzał się jej łakomie i wyłączył licznik.

- Jak pojedziemy? - zapytał. Właściwie nie miał pakistańskiego akcentu. Nosił dziwaczne, ale interesujące bolero. Gdyby tak uszyć je z jedwabiu... W każdym razie to nie Pakistańczyk. Może Afgańczyk? Powinien jeździć na wielbłądzie, a nie w buicku.

- Przez tunel, a potem autostradą L.I.E. To niedaleko - skłamała po raz drugi. Cóż, prawdopodobnie dojazd do Rockville Center zajmie mniej czasu niż przedostanie się przez Manhattan. A ona, jeśli jej się poszczęści i nadrobią chociaż kilka minut, może zdąży na obiad do Belli.

Ku uldze Karen kierowca się zgodził. Poinstruowała go, by skręcił na wschód zamiast na zachód i oparła się o cienkie poduszki z dermy, splatając dłonie na brzuchu. Wszystko będzie dobrze, powiedziała w duchu. Jeffrey zrozumie. Nie będzie zbyt rozczarowany i zaczniemy rozmawiać o adopcji. Może jesteśmy trochę za starzy jak na kryteria agencji „Spence-Chapin”, ale Sid prawdopodobnie będzie mógł zorganizować prywatną adopcję, albo zna prawników, którzy to załatwią. Pieniądze nie są problemem, więc dostaną swoje dziecko. Wszystko będzie dobrze, powtórzyła. Nie przyjmuję do wiadomości odpowiedzi odmownej.

Przy wjeździe do tunelu panował zupełny chaos - Karen wyobrażała sobie, że tak mogła wyglądać ostateczna ewakuacja z Sajgonu. Taksówkarz skręcił i zajął dogodną pozycję za olbrzymią, osiemnastokołową ciężarówką. Spaliny były nie do zniesienia. Karen obserwowała, jak masa metalu próbuje się wepchnąć w wąskie gardło tunelu. Z bólem pomyślała, że bardzo przypomina to badania, które ostatnio przechodziła. Badania, które nic nie pomogły. Westchnęła. Taksówka wsuwała się powoli w ciemny otwór; krzykliwa muzyka płynąca z radia ucichła. Karen z ulgą przymknęła oczy oślepienie światłami tunelu i czekała, aż podwójny sznur pojazdów wydostanie się z Nowego Jorku.

W końcu taksówka dotarła do wylotu i ruszyła w kierunku L.I.E. Mżawka zmieniła się w powódź i po dwudziestu minutach Karen wiedziała, że autostrady VanWyck Expressway i B.Q.E. będą zakorkowane. Infrastruktura miasta się rozsypywała.

- Proszę się pośpieszyć - ponaglała szofera, na przekór deszczowi i godzinie szczytu. - Szybciej - powtórzyła głośno. Chciała uwierzyć, że wszystko będzie dobrze, jeśli tylko znajdzie się u matki.

Rozdział 3 Z innej gliny

Karen Kahn została adoptowana przez Bellę i Arnolda Lipskich, kiedy miała już prawie trzy i pół roku. Późny wiek jak na adopcję. Z wczesnego dzieciństwa nie pamiętała wiele, a zupełnie nic z czasów poprzedzających zamieszkanie przy Ocean Avenue nr 42-33 w Brooklynie. Nie była pewna czy to normalne, ale doszła do wniosku, że u każdego dziecka wstrząs związany ze zmianą domu powoduje zapomnienie najwcześniejszych wydarzeń z ich życia. Jak przez gęstą mgłę pamiętała, że odebrano ją innej rodzinie, a jej prawdziwe wspomnienia zaczęły się razem z Bellą. Oto wiezie ją w wózku w kierunku Prospect Parku. Karen, prawie czterolatka, musiała już być na to za duża, ale może Bella chciała udawać, że ma małe dziecko.

Wózek pamiętała bardzo wyraźnie; biało-niebieskie paski i głupiutkie frędzelki na budce. Zarejestrowała też dzwonki lodziarza i jego pojazd z przymocowaną z tyłu wymyślną chatką na której nie brakło nawet dachówek. Czuje do dziś smak pierwszego lodu podanego przez matkę i przyjemność wywołaną nie tylko smakiem, ale i kontrastem między jaskrawopomarańczową polewą a miękkim, białym środkiem.

Z tamtych mniej więcej czasów pochodzi wspomnienie z Ogrodu Botanicznego. Bzy właśnie zakwitły, a ona uganiała się między ogromnymi krzewami, upojona zapachem i cudownym kolorem fioletowych kiści na tle jedwabiście zielonego listowia. Ze śmiechem biegała od krzaka do krzaka, aż w końcu rozejrzała się wokół i spostrzegła, że nigdzie nie widać Belli. Karen wydało się wtedy, że krzaki przybrały złowrogie kształty, zwieszając się nad nią groźnie i wybuchnęła płaczem. Kiedy Bella znalazła córkę, skrzyczała ją nie tylko za odbieganie, ale i za łzy.

Bella Lipsky nie była uosobieniem macierzyństwa. Chuda, drobnokoścista, zawsze nienagannie uczesana i umalowana, zakładała starannie dobrane do siebie stroje. Zbyt ostre rysy nie pozwalały nazwać jej ładną, ale, jak to wtedy mówiono, wszystko miała na swoim miejscu. Karen zawsze była dumna z wyglądu Belli. Szczególnie pamiętała jej kapelusze, już wtedy, w latach pięćdziesiątych staromodne.

Matka nie mogła znieść rozstania z nimi, a Karen uważała je w tamtych czasach za szczyt elegancji. Ale kapelusze te, jak wszystkie stroje Belli, były „do oglądania, a nie dotykania”. Od najmłodszych lat Karen wiedziała, że nie wolno jej pobrudzić ubrań matki ani swoich, że musi mieć porządek w pokoju. Bella była fanatyczką porządku, a brooklyńskie mieszkanie było równie sterylne jak układ rozrodczy jego właścicielki.

Ona i Arnold adoptowali Karen zaledwie rok po ślubie. To, że ma więcej lat niż trwa małżeństwo rodziców wydawało się jej zawsze dziwaczne i żenujące, ale oni nigdy o tym nie rozmawiali, więc ona też milczała. Bella zażartowała kiedyś, że córka pojawiła się w rodzinie spóźniona. Karen wiedziała, że nie należy zadawać pytań. Nauczono ją nie poruszać żadnych niemiłych czy przygnębiających tematów. A pytania o adopcję nie były mile widziane. Dorastanie polegało głównie na zachowywaniu spokoju, porządku i ciszy. Arnold sam był bardzo spokojny i oboje z Karen wiedzieli, że jeżeli ktoś w domu zabierze głos, to tylko Bella.

Bella nie zaniebdywała swej córki. Po prostu pewne sfery życia ją interesowały, a na inne nie zwracała uwagi. Wiele rzeczy robiły wspólnie. Czytała Karen (była przecież, w końcu, nauczycielką). Razem spacerowały i kupowały ubrania. Dziewczynka była zawsze doskonale ubrana, przynajmniej do czasu gdy zaczęła wyrabiać swój własny, zupełnie odmienny od matki gust. Nim skończyła jedenaście czy dwanaście lat, jeździły razem co tydzień do centrum Brooklynu przerzucać rzeczy u Abrahama & Straussa. Jeszcze bardziej podniecające były sobotnie wyprawy na Manhattan. Po odwiedzeniu sklepów S. Kleina, Altmana, Orbacha czy Lorda & Taylora, zatrzymywały się na lunch u Schrafta przy Piątej Alei, gdzie Bella zamawiała zawsze dla córki świąteczną „Shirley Tempie” i whiskey z sokiem cytrynowym dla siebie. Podczas tych wypadów były zgraną parą i Karen nauczyła się nie tylko cierpliwie czekać, aż Bella przymierzy tysiące strojów, ale i na żądanie matki krytycznie je oceniać. Czasem zastanawiała się, czy to nie właśnie wtedy zaczęła się interesować ubraniami. Czy miała wrodzony talent do projektowania modnych strojów, czy też rozwinęła go Bella? W tamtych czasach matka z powagą wysłuchiwała jej opinii.

O ile Bella miała obsesję na punkcie zakupów, Karen z czasem bardziej zaabsorbowała sama moda. Zbierała tuzinami papierowe lalki i projektowała dla nich stroje, ale papier nie był tworzywem prawdziwym i namacalnym. Ona kochała dotyk tkanin, niezliczone kombinacje koloru i faktury! Do dziś wierzyła, że moda rozpoczyna się od materiału, i że z niego wyprowadza się konkretne modele. W odróżnieniu od Belli nie pragnęła ubrań na własność, po prostu lubiła na nie patrzeć i mieć je w pobliżu. Dorastała jakby z głową wetkniętą pod wieszak z ubraniami; w strojach wybranych lub odrzuconych przez Bellę od najmłodszych lat interesowało ją tylko udrapowanie tkaniny, krój, kolor lamówki.

W mieszkaniu przy Ocean Avenue Karen pragnęła mieć dostęp do obszernej, zamkniętej przed nią garderoby matki. Bella rozmieściła w niej ubrania według koloru, rodzaju i przeznaczenia. Nie wszystkie bluzki wisiały razem, te uszyte do kostiumów sąsiadowały z odpowiadającymi im żakietami. Natomiast wszystkie spódnice, z jakiegoś znanego tylko Belli powodu, oddzielono od reszty,

26

umieszczając na osobnym wieszaku. Ten porządek wydawał się Karen tak sztywny i niejasny jak układ dziesiętny Deweya w brooklyńskiej bibliotece publicznej. Wśród dodatków, butów, apaszek, pasków, pończoch panował nienaganny porządek. Gdyby Karen coś ruszyła, matka wiedziałaby o tym w jednej chwili. Bella nigdy nie nosiła spodni - twierdziła, że jest na to za niska - miała za to masę jedwabnych sukienek, którymi Karen pragnęła się bawić. Nie mówiąc już o kapeluszach. Garderoba była krainą czarów. Jednak choć matka i córka razem jeździły na zakupy, nigdy nie bawiły się w przebieranki. Belli nie interesowały takie zabawy.

Taksówka zbliżała się do zjazdu na Rockville Centre. Kierowca cicho mamrotał coś pod nosem. Karen modliła się by, rozgniewany długością jazdy, nie wyrzucił jej tutaj, na skraju autostrady. Deszcz przeszedł w ulewę. Karen poczuła się tak krucha jak dziewczyna z tramwaju „zwanego pożądaniem” u Tennessee Williamsa; tak jak ona zależała w tej chwili od uprzejmości obcych ludzi.

Przez resztę drogi wskazywała taksówkarzowi kierunek, aż w końcu auto zatrzymało się przed ceglany domem okolonym starannie przystrzyżonym żywopłotem. Podała kierowcy banknot i pokazała, jak może wyjechać. Potem z ulgą wysiadła z taksówki i ruszyła w stronę domu. Poprzez mrok połyskiwały światła wiszącego w salonie żyrandola. Matka i siostra czekały tam na nią.

Karen westchnęła. Nawet jeśli Bella nie okazywała uczuć i była nadmiernie uporządkowana, miały przynajmniej ze sobą coś wspólnego. Zainteresowanie ubraniami stanowiło więź, choćby tylko tymczasową. I nawet jeśli nie była to bezwarunkowa, dwudziestoczerokaratowa, macierzyńska miłość, to coś łączyło je przez wiele lat.

Wszystko', oczywiście się, zmieniło z chwilą urodzenia Lisy.

Lisa wcale nie była podobna do swej siostry. Cóż, nic dziwnego, przypominała sobie w duchu Karen, mnie przecież adoptowano. Ciągle jednak, zwłaszcza po długim niewidzeniu, zdumiewał ją jej wygląd. Siostra, jak zawsze drobniutka i szczupła, stała teraz w salonie matki. Była jedną z tych drobnokościstych, szczupłych, wypiełgnowanych Żydówek i gdyby w słowniku występowało hasło „żydowsko-amerykańska księżniczka” mogłaby stanowić jego ilustrację. Tak naprawdę bardzo przypominała matkę, która w wieku sześćdziesięciu czterech lat miała wciąż smukłą, dziewczęcą figurę i pełne nerwowej energii, młodzieńcze ruchy.

Lisa przebiegła poprzez przesadnie umeblowany, pełen luster salon, a jej twarz rozjaśnił uśmiech.

- Patrzcie, kto przyszedł - zawołała.

Była ładna i Karen zastanawiała się czasem, czy wszystkie jej projekty w tak dużym stopniu poprawiające wygląd kobiet wysokich, a w tak niewielkim drobnych, nie były podświadomą gniewną odpowiedzią na wygląd Lisy.

Kochała siostrę, lecz jej życie toczyło się tak gładko. O sześć lat młodsza, była niespodzianką dla rodziców, którzy na długo przedtem zaakceptowali niemożność posiadania własnego potomstwa i poszli na kompromis, adoptując Karen. Pojawienie się Lisy niewiarygodnie odmłodziło matkę, było dowodem jej kobiecości wtedy, gdy inne

30

kobiety zaczynały właśnie przygotowywać się do przekwitania. Bella w ciąży rozkwitła, a potem otrzymała doskonale dziecko do ubierania, zabawy i popisywania się przed innymi. Gdy Karen weszła w fazę niezdarności i uporu, uwagę Belli odwrócił dar od losu - dziecko nie sprawiające kłopotów.

Lisa akceptowała falbanki i wstążki, które Karen zaczynała już odrzucać. Nosiła je zresztą do tej pory. Kierowała się radami matki i na pozór szła przez życie bezproblemowo - w szkole czwórki, rok studiów na Uniwersytecie Hofstra, a w charakterze „kariery zawodowej” - prowadzenie własnego butik. Poślubiła swojego Leonarda, gdy tylko ukończył medycynę i, jak Bella, wcześniej zrezygnowała z pracy by zająć się córkami. Najwyraźniej to ona była matczyną ulubienicą.

Przynajmniej w oczach Karen. Wiedziała, iż Lisa ocenia, że to starszą siostrę zawsze faworyzowano. Jej poświęcano więcej uwagi, uważano za inteligentną, utalentowaną odnoszącą sukcesy. Matka ma zmysł polityczny, pomyślała Karen i musiała się uśmiechnąć. Potrafiła sprawić, że obydwie córki uważały tę drugą za uprzywilejowaną. A może nie jest to winą Belli? Może chodzi bardziej o rozgrywki między siostrami? Starsza kontra młodsza. Adoptowana przeciw prawdziwej. Może siostry nigdy nie potrafią dać sobie rady z takimi sprawami, rozmyślała, uśmiechając się do Lisy. Wiedziała, że mimo wszystko bardzo ją kocha. Od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyła maleńkie niemowlę, kochała je i opiekowała się siostrą.

- Jak minął dzień? - zapytała Bella.

Karen pomyślała o nieudanej przymiarce Elise Elliot, jej najważniejszej nowej klientki, kłótni z Jeffreyem i koszarnej wizycie w klinice. Zdołała jednak się uśmiechnąć.

- Świetnie - odpowiedziała. Długie doświadczenie nauczyło ją, że to jedyna odpowiedź, którą Bella jest w stanie zaakceptować. - A jak twój?

- Świetnie - odparła z ożywieniem. - Pojechaliśmy aż do Neiman-Marcu-sa. Lisa kupiła mi cudowne ubranko. Po prostu się uparła.

- Było przecenione - Lisa wzruszyła ramionami, jakby dając do zrozumienia, że to nic wielkiego.

Wariatki jak zawsze. Karen nie mogła pojąć ich niepohamowanej potrzeby zakupów. Wzruszyła ramionami. Zanim wyrobiła sobie markę, wkładała wiele wysiłku by wprowadzać matkę i siostrę do większości salonów wystawowych przy Siódmej Alei, mimo kłopotów i niechęci jakie to często powodowało. Niczym niesławne siostry Gabor znane były z tego, że oddawały z rzeczy przymierzonych więcej niż kupiły. W końcu Karen zrozumiała, że dla nich, tak jak dla wielu kobiet, zakupy stanowią wypracowany sposób wspólnego spędzania czasu. To jak z mężczyznami i sportem. Ojciec może nie mieć zielonego pojęcia o osobistym życiu syna, zawsze jednak są w stanie porozmawiać o

baseballu. Lisę i Bellę łączyły zakupy. Tak się stało, że Karen i matka nie mogły już, jako dorosłe kobiety, odbywać wspólnych wypraw do sklepów. W miarę jak pochłaniało ją projektowanie, coraz bardziej, zdaniem Belli, koncentrowała się na szczegółach. I była „zbyt nudna”. - „Przydałyby ci się jakieś kolory” - mawiała. W jej ustach oznaczało to czerwień, turkus i błękit. Nawet teraz, kiedy kobiety płaciły tysiące dolarów za

32

unikatowe wizje Karen, jej subtelnie modulowany zmysł koloru, do Belli nigdy nie dotarło nic poza tym, że smak córki jest niezrozumiały.

- Gdzie tato? - zdołała się uśmiechnąć do matki.

- Och, znasz swojego ojca. Siedzi do późna nad jakąś obrzydliwą sprawą.

Po prawie czterdziestu latach małżeństwa Bella nie mogła darować Arnoldowi, że ma zwykłą praktykę, a nie jest, jak często wytykała „prawdziwym prawnikiem”. Nigdy nie pracował w firmie przy Piątej Alei i nie zarabiał tam kokosów. Miał swą własną kancelarię i, co gorsza, wiele robił *pro bono*.

„Prawnik po Harvardzie! Mógł zbić miliony!” - mówiła zawsze z żalem.

- No to co? Jemy? - zwróciła się co córek.

Przez łukowate drzwi przeszła do jadalni, gdzie mahoniowy stół nakryto dla trzech osób śliczną porcelaną Royal Doulton i lśniącymi kryształami. Przy każdym nakryciu stał maleńki bukietek fiołków. Bella umiała ładnie przybrać stół, nie była jednak dobrą kucharką. Przygotowanie jedzenia wymagało zachodu, wiązało się z bałaganem. Na długo przed innymi Bella odkryła mrożonki i podawała coś, co Karen kojarzyło się z „posiłkami w szpitalu”. Małe porcje, na co nikt nie narzekał, bo jedzenie było bez smaku. No i nie zostawały żadne resztki. Arnold zdawał się tym nie przejmować. Niewiele dostrzegał poza swoją pracą i często jadał poza domem. Jediną ofiarą kulinarnych tortur Belli była więc córka.

Mieszkając jako dziecko w Brooklynie, Karen nabrała zwyczaju magazynowania czekolady i batoników kupowanych w pobliskim sklepie ze słodyczami. W ten sposób, mimo pustej lodówki, zawsze miała coś do zjedzenia. Bazowała na cukrze. Kiedy w latach sześćdziesiątych przenieśli się do Rockville, trudniej było coś zdobyć. W odległości spacerowej od nowego podmiejskiego domu nie było sklepów, a dzieciom nie pozwalano w ciągu dnia wychodzić ze szkoły. Karen przeszła na ostrą, bezcukrową dietę i - ku radości matki - schudła kilka kilogramów, dopóki nie poznała kolegi, grubego Carla, który zaczął ją zaopatrywać w żywność. Ojciec Carla był właścicielem masarni połączonej ze sklepem spożywczym i syn mógł brać z półek co tylko chciał. A prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie.

Karen nadal była, jak to nazywała jej matka, „dużą dziewczynką”. Wzrostem metr siedemdziesiąt górowała nad Bellą i Lisą. Choć znacznie schudła, nigdy nie była szczupłą i pogodziła się z tym, że nigdy nie będzie. Teraz jednak, przy dwóch drobnych, ciemnowłosych, niskich kobietach wydawała się sobie nieproporcjonalnie wielka. Lepiej poczuła się, gdy wszystkie usiadły.

Wiele wieczorów siadały tak razem do stołu. „Trzy dziewczyny” - nazywała je Bella. To śmieszne, pomyślała Karen, jak często matka używała trzeciej osoby. „Trzy dziewczyny jadą na zakupy”, mówiła, gdy udawały się do Alexandra czy Loehmana. Lawirując na autostradzie komentowała „Lepiej niech uważa gdzie jedzie” albo „Niech patrzy na drogę”. Niewątpliwie, z takim samym dystansem jak do swoich córek, podchodziła do samej siebie. Karen westchnęła. Chciała zobaczyć się z ojcem. Niewiele ze sobą rozmawiali i mówili tylko o pracy, jednak obecność i spokój Arnolda były czymś konkretnym i pokrzepiającym, a nie zaspokajającym przez Bellę. Dzisiaj, po okropnych nowinach w klinice, jeździe

taksówką w deszczu i zimnie, puste miejsce przy stole przypominało jej, że Arnold na ogół nie bierze udziału w życiu córki. Był to obraz boleśnie znajomy. Nie chodziło o to, iż tato jej nie kocha. Po prostu nigdy nie było go w pobliżu. Nic dziwnego zatem, że zawsze była wdzięczna, gdy jacyś mężczyźni zwracali na nią uwagę.

Ale nie tylko tu leżała przyczyna. Trudno winić za wszystko Arnolda. Lisie też nie poświęcał zbyt wiele czasu, a przecież potrafiła grać trudną do zdobycia. Może dlatego, że była ładna. Nawet teraz, gdy na jej delikatnej skórze wokół oczu i ust pojawiły się drobniutkie zmarszczki, młodsza siostra była tak atrakcyjna, że oglądali się za nią mężczyźni. Ostatecznie jednak, to jej starsza córka, mająca oprócz twarzy matki, wysoką, chudą figurę Arnolda, zapowiadała się na prawdziwą rodzinną piękność.

Lisa popatrzyła na Karen i uśmiechnęła się, jakby czytała w jej myślach.

- Nie wyobrażasz sobie, jak Stephanie jest podniecona perspektywą pracy u ciebie.

Stephie, która w liceum nie radziła sobie najlepiej, miała uczyć się według programu łączącego naukę z pracą i dostała pół etatu u Karen.

- Czy to bezpieczne, aby codziennie sama jeździła do miasta? - zapytała Bella. Rodzina Lisy trzymała się Long Island i mieszkała w Inwood.

- Ależ, mamó, ona ma prawie siedemnaście lat. W przyszłym roku skończy szkołę. Wszystkie dzieciaki z jej klasy gdzieś pracują, ale utknęły w Burger Kingu albo w J.C. Penny. Myślę, że jest w stanie bezpiecznie przebyć cztery przecznice od Penn Station do salonu Karen.

- Nie opowiadaj głupstw. W każdej chwili może ją złapać jakiś *szwarcer*.

- Nie *szwarcer*, mamó. Czarny. Nie możesz już nazywać tak Murzynów.

- Niby dlaczego? - zapytała Bella. - Znaczy dokładnie to samo.

Karen potrząsnęła głową. Jakim cudem Arnold wytrzymał z Bellą przez tyle lat? Wiedziała, że tłumaczenie nie ma sensu. Równie dobrze mogłaby przemawiać do swoich jajników. Niczego to nie zmieni. Poza tym, technicznie rzecz biorąc, Bella miała rację. „Szwarczer” w jidisz oznacza „czarny”, tylko zabarwienie słowa jest inne i niewłaściwe.

Bella była ekspertem w tego rodzaju dyskusjach. Jako dziecko, Karen dostawała szału, próbując zmusić matkę by przyznała się do obłudy czy niesprawiedliwości w sądach. Bella nie umiała lub nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Mówiła, na przykład, że wyprowadzili się z Brooklynu ze względu na mieszkających tam „element”.

Byłaby zgorszona lub pełna niesmaku, gdyby ktoś użył określenia „czarnuch”, ale czy słowo, którym się posługiwała nie było takim samym epitetem? Nigdy też nie precyzowała dokładnie czym był ów „element”. Kiedy Karen uczyła

się w liceum chemii i doszła na lekcji do tablicy pierwiastków elementarnych, zapytała matkę żartobliwie przed którym z nich uciekli. Bella nie widziała w tym nic śmiesznego. Poczucie humoru nie było jej mocną stroną. Karen popatrzyła na nią i nagle ogarnęła ją ciekawość, czy jej prawdziwa matka też jest taka... „bellowata”. Nie w tym rzecz, iż nie kochała czy nie doceniała Belli. Była jej wdzięczna. Ostatecznie wzięła ją, dbała o nią, wykształciła 35

i nauczyła tylu różnych rzeczy. Mimo uprzedzeń i bezcielesnej „trzeciej osoby” była troskliwą, zainteresowaną życiem dzieci matką. Czasem nawet zbyt wścib-sicą. Karen czuła się winna, gdy w jakiś sposób krytykowała Bellę. Ale czy nie na tym polegają problemy adoptowanego dziecka - nie możemy odrzucić matki, bo sami zostaliśmy już przez jedną odrzuceni.

Bella zebrała talerzyki po sałatce, nie mogąc się powstrzymać od wytarcia małej plamki z sosu przy nakryciu Karen. W geście kryła się milcząca nagana. Potem poszła do kuchni po następne danie podzielone na równie niewielkie porcje.

Lisa popatrzyła przez stół na siostrę i wzruszyła ramionami. Rozumiały, że Bella się nie zmieni.

- Wszystko w porządku? - zapytała, zniżając głos. Karen pokręciła głową.

- Co takiego? - twarz siostry ściągnęła troska. - Doktor?

- Nie teraz - Karen wskazała podbródkiem Bellę w kuchni. - Porozmawiajmy o czymś innym.

Lisa przytaknęła, a jej głos odzyskał normalną wysokość.

- To co mówiłam o pracy Stephanie było zupełnie serio. Nie bujam, ona potrzebuje właśnie czegoś takiego. A pieniądze też się przydadzą.

Karen wprawiało w zakłopotanie to, że Lisa stale cierpiała na brak gotówki. Interesy Leonarda szły świetnie, a jednak jego żona wciąż wydawała się mieć kłopoty z rachunkiem u Bendela, kartą kredytową do Bloomingdale'a czy innymi opłatami. Mimo to, nie przestawała wydawać pieniędzy. Karen wiedziała, że siostra już od dawna szmugluje i chowa gdzieś po kątach w domu każde kupione ubranie. Twierdziła, że skoro nie ma własnych pieniędzy, musi błagać o nie Leonarda. Karen wzdrygała się na myśl o takim życiu, jednak Lisa najwyraźniej wolała mieć za mało pieniędzy i za dużo czasu niż poszukać sobie jakiegoś zajęcia. Odkąd zamknęła butik, będący bardziej hobby niż interesem, nie pracowała. Sama myśl o tym zdawała się napełniać ją przerażeniem.

Belle powróciła, niosąc na talerzach wysuszonego kurczaka. Obok bladych wygotowanych płatów mięsa leżało trochę rozpadających się brokułów. Bella uważała, że niczego nie powinno się gotować *al dente*, z wyjątkiem może

galaretki, która przypominała u niej okropną gumę. Do tej pory Karen nie wiedziała, na czym polega sekret tworzenia się na powierzchni deseru tak grubej skorupy.

- Nie mogę się doczekać wspólnej pracy ze Stephanie - powiedziała głośno. W rzeczywistości miała pewne opory przed zatrudnieniem siostrzenicy w charakterze praktykanki. No, a Jeffrey był wściekły. „Dziewczęta w salonie wystarczająco ze sobą rywalizują i sobie zazdroszczą - powiedział. - Tego nam tylko potrzeba”.

Najprawdopodobniej miał rację, ale też nigdy nie lubił Lisy i Leonarda. Uważał ich za prowincjonalnych materialistów z rozpieszczonymi dziećmi. „Poza tym, z pewnością nie poprawi to samopoczucia Tiffany”, dodał po chwili, mając na myśli drugą córkę Lisy. Karen musiała przyznać mu rację.

- Co tam u Tiff? - zapytała. Tiffany była młodszą pociechą siostry, tą grubą. Zbudowana podobnie do Karen dziewczynka, w wieku trzynastu lat była

niemal tak wysoka jak jej siostra Stephanie i pewnie dwa razy grubsza. Trudno zaprzeczyć, że mimo inteligencji i dobrych wyników w szkole, miała problemy. Bella uważała oczywiście, że nadwaga Tiff wynika po prostu z uporu i braku silnej woli.

- W porządku — odparła Lisa, lecz w jej głosie dało się wyczuć napięcie.

- Jest gruba i tyle - powiedziała Bella, wbijając widelec w wyschnięty kawałek kurczaka. - Gruba i stuknięta.

Przez chwilę Karen zawirowało w głowie, zupełnie jakby miała zemdleć. Słyszała już przedtem te słowa, takie same albo podobne. *Deja vu*, pomyślała. A może to się naprawdę już kiedyś wydarzyło? Nagle dotarło do niej. Tak wiele wieczorów siadywała tu jako nastolatka, a Bella nazywała ją grubą i stukniętą, dokładnie tym samym odpychającym tonem.

Kiedy Lisa dopiero uczyła się chodzić, a Karen wchodziła w trudny wiek dojrzewania, po raz pierwszy przestała zgadzać się z matką. Większość dzieci spiera się z rodzicami o sposób ubierania, ale te kłótnie przypominały Iliadę. Arnold, jak było do przewidzenia, odmówił brania w nich udziału. Z zawodu prawnik i negocjator, nie miał ochoty rozstrząsać sporów w domu. Oznaczało to, że Bella weźmie sprawy w swoje ręce. Staczała z Karen bitwy o wygląd i samokontrolę. Na przemian groziła, kusiła, ośmieszała, a wszystko by zmusić córkę do „ubierania się odpowiednio” i przejścia na dietę. A także do zrezygnowania z pomysłu pójścia do szkoły Pratta i wybrania jednego z college'ow „Siedmiu Sióstr”. Jednakże, wraz ze szczenięcym sadełkiem i pozycją jedyne dziecko w rodzinie, nastolatka straciła chęć sprawiania przyjemności innym. Była jak skała. Kiedy zaczęła ubierać się w sklepach z używaną odzieżą, Bella na dobre wykopała topór wojenny. Karen kręciła głową, wspominając tamte chwile. Tyle złości o coś, co w rezultacie okazało się zwykłą przejściową fazą.

Uratowała ją pani Watson. Ann Watson, jedna z niewielu pozostałych w miasteczku przedstawicielek klasy WASP - białych anglosaskich protestantów, mieszkała w jedynym starym domu przy tej ulicy. Budynek w stylu georgiańskim z białymi kolumnami był równie zaniedbany jak jego właścicielka, stara kobieta o ptasiej urodzie, większość czasu popijająca alkohol. Ziemia, na której stał dom Lipskich wchodziła kiedyś w skład posiadłości Watsonów. Teraz trawnik pani Watson był zarośnięty chwastami i mniejszy niż na innych parcelach, sprzedawanych jedna po drugiej. Ale to ona nauczyła Karen grać w brydża, mówiła jej czym jest wielkie krawiectwo i dlaczego zniszczone aubussony na jej podłodze są lepsze niż nieskazitelnie czysta wykładzina u Belli. Dawała Karen znoszone żakiety Chanel (spódnice były za małe), a ona nosiła je do koszul i dzinsów. Pani Watson podobało się to. „Masz talent”, mówiła, zezując ku niej znad kieliszka daiquiri. „Masz własny styl”. Ann Watson stała się jej ucieczką.

Ona też ofiarowała Karen najważniejszy dar - wizję przyszłości. Opowiedziała jej o Coco Chanel i Karen, niezbyt zapalona czytelniczka, poszła do biblioteki i przestudiowała wszystko co mogła znaleźć na temat wielkiej projektantki. Gabrielle Chanel stała się jej idolką, utożsamiała się z nią. Papierowe lalki, oglądanie strojów i materiałów, wszystko to połączyło się i nabrało sensu. Pani Watson

32

niby kompas wskazywała Karen właściwy kierunek. Dziewczyna ujrzała, że jest praca którą mogłaby wykonywać, że może zostać kimś kim być pragnęła.

Oczywiście, Bella nigdy nie zaaprobowwała pani Watson. Mówiła o niej: „Stara gojka”, a na dźwięk jej nazwiska na twarzy matki pojawiał się taki sam wyraz wstrętu, jak teraz z powodu Tiffany.

- Gruba i stuknięta - powtórzyła. Córki zignorowały to.

- No, więc, kiedy jedziesz do Paryża? - zapytała Lisa. Ona także chciała zmienić przedmiot rozmowy.

- Nie przed końcem miesiąca. Może wcale, jeśli nic się nie zmieni. Nie wychodzi mi jakoś kolekcja w tym sezonie - odpowiedziała nieco spłoszona. Oczywiście, właśnie ten rok wybraliśmy na nasz pierwszy pokaz w Paryżu. W ojczyźnie Coco Chanel i Wortha, a ja im chcę zaprezentować j *akicśfarszlugginer*-sukienki tuszujące niedostatki figury.

Karen pomyślała o wieczorze, gdy odbierała Nagrodę Oakleya - niecałe dwadzieścia cztery godziny temu - jak o erze mezozoicznej. Westchnęła. Gdzie się podział jej entuzjazm? Jej pewność siebie? Czy ulotniły się w klinice doktora Goldmana? - Projektant jest tyle wart ile jego ostatnia kolekcja - powiedziała.

- Powtarzasz to w każdym sezonie - rzuciła ze zniecierpliwieniem Lisa.

- Może nie j esteś j jeszcze gotowa - zaopiniowała Bella.

Karen pokręciła głową, zastanawiając się, dlaczego zarówno ślepa wiara siostry w jej możliwości jak i brak takowej u matki, tak samo jąobrazają. Mam nierozsądne oczekiwania, powiedziała sobie w duchu. Dzisiejszy zaś dzień z pewnością nie należał do udanych. Widać było jednak, że nawet po tylu latach, Lisa wciąż uważa, iż Karen bez wysiłku może osiągnąć wszystko, zaś Bella ma ją za małe dziecko zagubione wśród krzaków bzu. Westchnęła. Nie tylko ty pochodzisz ze źle funkcjonującej rodziny, napomniała siebie w duchu.

Znów pomyślała przez chwilę o swej prawdziwej matce. Ciekawe, czy tamta kobieta zrzędzi także nad córką, tą której nie oddała jakimś obcym ludziom. Karen pamiętała, a może tylko jej się zdawało, jak tuliła się do szyi prawdziwej matki, wdychając zapach jej pudru. Przypominała sobie też zabawkę - zieloną żabkę. Może, ale tylko

może, pamiętała żółte i białe pręty łóžeczka i własną rączkę wysuniętą przez nie ku dużej, ciepłej ręce matki. Czy to naprawdę się zdarzyło? Co ona teraz robi? Z przymusem podniosła oczy, by przyłączyć się do rozmowy.

- Szkoda, że nie mogę pojechać do Paryża - mówiła Lisa. - Nie byliśmy tam od czasu miodowego miesiąca. Leonard jednak uważa, że w związku z wydatkami na Tiffany, *bat micwah*, nie ma mowy abyśmy w tym roku pojechali na wakacje.

Karen przyszło do głowy, że może ona powinna wobec tego wystąpić z zaproszeniem, zanim jednak miała szansę to przemyśleć, odezwała się Bella.

- I tak wydajesz na to za dużo pieniędzy. Po co ci autobusy?

- Autobusy? - zapytała Karen.

- Aby przewieźć ludzi z synagogi na przyjęcie - wyjaśniła Lisa. Bella mlasnęła językiem i ponownie sprowadziła rozmowę na Tiffany.

3 - Spóźniona moda

33

- Co ma zamiar włożyć na uroczystość? - zapytała. - Mam nadzieję, że nie zieloną taftową sukienkę.

- Mamo, ona ją lubi.

- Wygląda w niej okropnie, a zdjęcia zostają na całe życie. Będzie miała pretensję, że o tym nie powiedziałaś. Dzieci będą ją pytać, jakim cudem matka pozwoliła jej włożyć coś takiego.

- To model Ralpho Laurena.

- Tak, i zaprojektowano ją dla jakiejś małej siksy na Boże Narodzenie. Kto nosi szkocką kratę, szczególnie z zielono-czerwonej tafty? Nie mam racji? - zwróciła się do Karen.

- Nie widziałam tej sukienki - odparła, słysząc w swym głosie dawne nutki neutralnego stanowiska ojca. Podobnie jak Szwajcaria i Arnold, Karen nie miała ochoty być wciągnięta w wojnę światową.

- Chodźcie zobaczyć, co ja mam zamiar nałożyć - oświadczyła Bella i obie córki natychmiast wstały. Każdy porzucił ten stół bez żalu. Karen ruszyła powoli za towarzyszkami, które przez hall i sypialnię pomaszerowały do najświętszego sanktuarium - garderoby Belli. Pomieszczenie to rozrosło się znacznie od czasów brooklyńskich i obecnie zajmowało cały pokój gościnny, przylegający do sypialni rodziców. Były w nim robione na zamówienie półki i szuflady. Każda para butów miała swoje miejsce i leżała w czystym plastikowym worku, osadzona nie-nagannie na prawidłach. W szerokich i płytkich szufladach Bella trzymała apaszki, zaś węższe i głębsze przeznaczone były na swetry. Cała jedna ściana dzieliła się na małe segmenty, a w każdym znajdowała się torebka i pasujące do niej rękawiczki. Na szczytowej półce były nawet przytwierdzone na stałe stojaki na kapelusze, a na nich kilka, ledwie widocznych spod foli, nakryć głowy, które pozostały Belli.

Ta garderoba była kiedyś sypialnią Karen. W dawnym pokoju Lisy znajdowały się płaszcze i żakiety. Bella nie zaopatrzyła się jeszcze w ruchomy wieszak, używany w pralniach chemicznych, ale Karen wiedziała, że zastanawia się nad tym. Najdziwniejsze było to, iż matka ciągle jeszcze знаła każdą rzecz w garderobie, pamiętała także kiedy, gdzie i z jakiej okazji miała ją ostami raz na sobie. Nic dziwnego, że tak dawno zrezygnowała z uczenia w szkole. Garderoba to jednak pełny etat.

Karen przypomniała sobie, że pod koniec życia Coco Chanel przeniosła się do „Hotelu Ritz”, zaś wszystkie stroje, oprócz paru sztuk, trzymała po drugiej stronie ulicy, w mieszkaniu przy Rue Cambon 31. Ale Coco poświęciła swe życie stworzeniu tych strojów - nie miała córek, męża, rodziny. W przypadku Belli ubrania wypełniły pustkę, która powstała gdy Karen i Lisa się wyprowadziły. Czasami Karen nie była pewna, czy matka nie przeznaczy w końcu całego domu na swoją garderobę i nie kupi na mieszkanie starej posesji Watsonów.

- Halo, halo - dobiegło z hallu wołanie Arnolda, a w ślad za nim pojawił się on sam. Przybrany ojciec Karen był wysoki, mierzył ponad metr osiemdziesiąt, ale tak się garbił, że trudno było powiedzieć ile naprawdę ma wzrostu. Nosił garnitury, które, jeśli kiedyś wyglądały schludnie, to na pewno nie w ostatnich dziesięciu latach. Nawet Bella, ze swym chorobliwym zamiłowaniem do porządku,

41

nie mogła zmusić Arnolda by o sobie zadbał. Wszedł teraz, ze swoją zniszczoną aktówką pod jedną pachą i dwoma pomiętymi gazetami pod drugą.

- Mogłem się domyślić, że tu będziecie - powiedział z uśmiechem. Wyglądał na zmęczonego. Kiedy pochylił się by pocałować Karen, dostrzegła, że ma ciemne cienie pod oczami.

Był dobrym człowiekiem. Gdy Karen chodziła jeszcze do szkoły podstawowej, jeździła czasem, w czasie weekendów, z Arnoldem do jego biura. Wyjaśniał jej wtedy prawa robotników, mówił o potędze związków zawodowych. Ciągłe pamiętała wiersz, przyklejony tam na drzwiach. Napisała go Margaret Widdemer w 1915 roku. Karen nie pamiętała całości, ale dwa wersy wciąż dźwięczały jej w głowie: *Oddzieliłam mą siostrzyczkę odżycia i światła (Za różę, za wstążkę, za wieniec na czole)*. Dawno temu Karen dostrzegła ironię w fakcie, że Arnold poświęcił życie by chronić robotników przemysłu odzieżowego, a Bella robiła zakupy, przyczyniając się do ich wyzysku.

- Już wróciłeś? - zapytała niepotrzebnie matka. - Jest kurczak - dodała jakby po namyśle.

- Jadłem. Cześć kochanie - zwrócił się do Lisy, która wystawiła głowę z garderoby, by cmoknąć go w policzek.

Karen zauważyła, że nie pocałował Belli, a i ona nie zrobiła w jego kierunku żadnego ruchu. Pochłonał ją całkowicie świat garderoby.

- Mam robotę - powiedział Arnold, odwracając się ku drzwiom.

- A to nowina - mruknęła Bella.

Przez chwilę Karen zastanawiała się czy to one - trzy kobiety naraz - wprawiały ojca w zakłopotanie i przyczyniły się do tego, że się oddalił. Był miły. Patrzyła na jego pochylone plecy, kiedy odchodził korytarzem.

- A teraz ona coś wam pokaże - odezwała się Bella. Obie córki wiedziały, że ma na myśli samą siebie. Lisa patrzyła z uwagą, ale Karen z westchnieniem przeszła do sypialni i usiadła na sofie. Obok, na półce pod stolikiem, leżał jak zwykle oprawny w skórę album ze zdjęciami z dawnych brooklyńskich czasów. Bella nie była z nich dumna i rzadko go otwierała. Karen jakby po raz pierwszy zdała sobie z tego sprawę. . .

- No więc, co o tym myślisz? - zapytała matka, prezentując w wyciągniętej ręce suknię wyglądającą na projekt Davida Hayesa i żakiet do kompletu. Bardzo w stylu królowej Elżbiety. Wybór Belli był łatwy do przewidzenia. - Popatrzcie tylko - powiedziała, pokazując im podszewkę żakietu - negatyw czarnego deseni na turkusowym tle sukienki. Karen ze znużeniem pokiwała głową, ale Lisa zaszczębiotała zachęcająco.

- Wygląda wspaniale.

Głowa Belli zniknęła w garderobie. Kiedy zostały same, Lisa spojrzała na siostrę.

- Zadzwoń do mnie wieczorem i powiedz co się stało. Karen w milczeniu przytaknęła.

- A jak sądzicie, co znalazła do kompletu? - zapytała matka. Karen patrzyła, jak obie z Lisą znów wchodziły do garderoby. Gdy zniknęły, ruchem szybkim

jak wąż, wyciągnęła brązowy album i rozłożyła na kolanach. Otworzyła na pierwszej stronie, gdzie cztery stare fotografie pokazywały Bellę i Arnolda w dniu ślubu. Oglądała je dokładnie już wcześniej, więc zajęła się żółtą kopertą przyklejoną po wewnętrznej stronie okładki. Były w niej zdjęcia, których Bella nigdy nie umieściła w albumie, ale też nie była w stanie wyrzucić. Usłyszała jak matka i siostra wznoszą nad czymś okrzyki. Za chwilę będą oczekiwały, że do nich dołączy.

Wsunęła rękę do koperty i wyciągnęła garść biało-czarnych fotografii. Szybko rozłożyła je na kolanach. Szukała dwóch. Pierwszą znalazła natychmiast - ona jako dwuletnie, a może młodsze dziecko. Bella musiała to dostać od jej prawdziwej matki. Karen leżała na plecach w łóżeczku, a obok miała gumową żabkę. Tę, którą pamiętała. Choć zdjęcie było biało-czarne wiedziała, że zabawka jest zielona, w kolorze liści bzu, brzusek ma kremowy, a język jaskrawoczerwony. Pamiętała to.

Dłużej trwało znalezienie drugiej fotografii. Była na niej prawdopodobnie trochę starsza. Stała przed drzwiami domu, ubrana w zimowy kombinezon. Mimo braku kolorów wiedziała, że był błękitny. Ile mogła mieć wtedy lat? Na tle wyraźnie widocznego ceglanego muru, dosięgała wysokości zaledwie sześciu cegieł. Zwykle, drewniane, pomalowane na czarno drzwi nosiły numer 2881. Karen chwyciła dwa zdjęcia, a pozostałe wepchnęła do koperty. Ledwie zdążyła wsunąć album na miejsce, kiedy weszły Bella z Lisą. Matka wymachiwała zamszową turkusową torebką, jakby to był Święty Graal.

- Zobacz, co znalazła! - wyśpiewała, mając na myśli siebie i torebkę. Karen dotknęła bezpiecznie ukrytych w kieszeni fotografii.

- Zobacz co znalazła! - powtórzyła Bella, a jej córka pokiwała głową, zastanawiając się nad własnym znaleziskiem.

Rozdział 4

Zgrzyty

Wynajęty lincoln zatrzymał się pod domem Karen przy West End Avenue. Zamówiła go telefonicznie z domu matki i samochód czekał na nią przed stacją L.I.R.R. Wskoczyła, nim kierowca zdążył przejść naokoło i otworzyć jej drzwi. Zabawne. Jeffrey upierał się przy jeździe limuzyną i nigdy sam nie otwierał drzwi, podczas gdy Karen z równą siłą obstawała przy firmach wysyłających klientowi co najwyżej czarnego sedana i nigdy nie pozwalała, by kierowca pomógł jej wysiąść. Wpływ Arnolda? Może na tym polega różnica między dorastaniem w rodzinie bogatej od pokoleń i wśród ludzi z klasy średniej. Bogaci z domu nie mają nic przeciwko temu, aby inni na nich pracowali.

Karen wiedziała, że jej największym problemem jest to, co kosztowny konsultant od spraw biznesu określił jako „nieumiejętność zlecania zadań”. Nic jednak nie mogła na to poradzić. Pracowała lepiej lub szybciej wtedy, gdy nikt jej nie pomagał. Miała przynajmniej pewność, że wszystko zostanie zrobione. Dlaczego więc, u diabła, powinna tkwić uwieczona w jakimś przeklętym lincolnie, czekając aż Joey, Tim czy Mohammad dobiegnie do drzwi?

Weszła pod zieloną markizę osłaniającą wejście do budynku, w którym mieszkali z Jeffreyem i, jak zwykle, znalazła się przy drzwiach zanim portier George zdążył je otworzyć. Może więc nie tyle brak umiejętności zlecania zadań był źródłem jej kłopotów, ile niekompetencja innych ludzi.

- Dobry wieczór, pani Kahn! - zawołał wesoło George, odrywając się od gazety, którą jak wiedziała, przechowywał potajemnie w szufladzie, mimo że czytanie na służbie było surowo wzbronione.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat podniósł się status dzielnicy West Side, jednak wciąż wielu bezdomnych i mętów włóczyło się po ulicach. W Nowym Jorku od portiera wymagano czujności. Powinna donieść na niego za to ukradkowe czytanie, ale oczywiście tego nie zrobi.

- Witaj, George - odezwała się i nacisnęła guzik windy, nim portier dobiegł do niej po biało-czarnych płytkach marmurowej posadzki. Wsunęła rękę

do kieszeni prochowca, gdzie spoczywały dwie stare fotografie. Uspokajały ją niczym magiczny amulet. Drzwi windy otworzyły się i Karen weszła do wyłożonego mahoniem wnętrza, a George nacisnął obciągniętym białą rękawiczką palcem guzik siódmego piętra.

- Dziękuję, George - westchnęła, a drzwi się zasunęły.

Karen mieszkała w tym domu od dnia ślubu z Jeffreyem. Stanowił duży postęp w porównaniu z budynkiem bez windy przy Amsterdam Avenue, gdzie poprzednio wynajmowała mieszkanie. Pierwsza rata była prezentem ślubnym od teściów, którzy nie akceptowali Karen, mieszkania, okolicy, a przede wszystkim lokalizacji w West Side. „Co wam się nie podoba w Piątej czy Parkowej Alei -pytała matka Jeffreya, Sylwia. - Widzieliśmy urocze trzysypialniowe mieszkanie za rozsądną cenę. A teraz, kiedy będziecie rodziną, przyda wam się więcej miejsca". Karen uparła się jednak przy tym mieszkaniu, a Jeffrey ją poparł. On zawsze lubił odgrywać buntownika.

Przypominało raczej strych czy pracownię niż normalne mieszkanie, ale jego właścicielka kochała zarówno związane z tym niewygody, jak i imponującą przestrzeń. Na co im jadalnia połączona z kuchnią? Karen nigdy nie gotowała. Miała w mieszkaniu setki, może tysiące książek, lecz ani jednej książki kucharskiej. Skompletowała za to skoroszyt z menu na wynos każdej nowojorskiej restauracji, która dostarczała jedzenie do domu. Potrawy poukładane były według krajów - tajskie, chińskie, meksykańskie itd. Małeńka kuchnia najzupełniej wystarczała, a jedynym potrzebnym urządzeniem do zorganizowania pysznego dania był telefon.

Zachwyty mieszkaniem, który poczuła od pierwszej chwili, trwał do tej pory. Podobnie jak jej uczucia wobec Jeffreya. Można ją oskarżyć o pośpieszne sądy, ale trudno odmówić stałości. Teraz, kiedy mogli sobie pozwolić na coś znacznie droższego, Karen staczała z mężem prawdziwe walki, nalegając by tu pozostali. To było jej schronienie.

Wyszła z windy do małego, prywatnego foyer, które dzielili tylko ze starą panią Katz z mieszkania po stronie północnej. Otworzyła kluczem drzwi z numerem 7S. Przed nią rozciągała się prawie stumetrowa płaszczyzna parkietu, zakończona rzędem siedmiu okien, tak wysokich, że mogłyby uchodzić za drzwi. Zresztą dwa środkowe naprawdę nimi były i prowadziły na małeńki balkonik z widokiem na czubki rosnących siedem pięter niżej miłorząbów. Po zewnętrznej stronie drzwi znajdowały się żaluzje. Karen pomalowała je na czarno i zielono, co w brudnym Nowym Jorku było zarówno szykowne jak i praktyczne. Skrzynki z wiszącym białym geranium i bluszczem przydawały mieszkaniu parkowej atmosfery. W pogodne dni, promienie słoneczne przenikały przez gałęzie roślin do pokoju, tworząc na podłodze piękne wzory.

To pomieszczenie, odznaczające się także wysokim sufitem, służyło jako salon i biblioteka. Wzdłuż północnej ściany, od góry do dołu, biegły oszklone półki zapchane książkami. Na białych płaszczyznach wisiały dwa obrazy - wczesna praca Jeffreya i dzieło namalowane przez ich przyjaciela Perry'ego Silver-manna. Karen uwielbiała je za cudowną głębię koloru. Innych mebli było naprawdę niewiele. Sofa, wykonana dla Karen przez jej kolegę Angela, w czasach gdy

46

obydwoje byli jeszcze młodymi, przebijającymi się projektantami i gdy nikt nie martwił się takimi sprawami jak AIDS czy bezpłodność, stała pod oknem. Była obita skromnym białym płótnem, ale falista linia jej oparcia przywodziła na myśl kobiece kształty.

Wzdłuż ściany po prawej stronie stał długi, ponadtrzymetrowy stół z refektarza, kupiony przez Karen i Jeffreya we Francji. Jego stary, czereśniowy, podzielony na trzy części blat przez dwa wieki polerowały francuskie zakonnice, które znały działanie wosku i wytrwałej pracy. Stół miał piękne linie, był prosty, a jednocześnie elegancki, taki jaki potrafią zrobić tylko Francuzi. Otaczało go dwanaście białych wyściełanych krzeseł. Białe płóno w nowojorskiej jadalni to zgroza, a po każdym proszonym obiedzie, Karen oglądała krzesła z wodą sodową i płynem do czyszczenia w rękę. Nagrodą za trudy było wrażenie, jakie sprawiał kontrast białej materii i staroświeckiego blatu.

W salonie znajdował się poza tym jeszcze tylko jeden mebel - niezwykle ozdobna konsola o kształcie półksiężyca, ustawiona przy przeciwległej ścianie. Karen przez kilka dni kłóciła się z Jeffreyem, zanim w końcu pozwolił ją kupić na aukcji. Twierdził, że jest „w guście gejów” i przeładowana. Nie mówił tylko tego, co naprawdę myślał czyli, że jest „zbyt żydowska”. Jeffrey i jego rodzice cierpieli na coś, co Karen określała jako „syndrom Ralpa Laurena”, nieznośną tęsknotę za tym, by nie odróżniać się od gojów. Był to, jej zdaniem, kompleks aż nazbyt częsty wśród bogatych nowojorskich Żydów.

Właśnie wtedy, po raz pierwszy jako młode małżeństwo, poważnie się poróżnili i Jeffrey uratował sytuację występując z propozycją Wielkiej Umowy. Od tej pory, ilekroć musieli w ważnej sprawie pójść na kompromis, nazywali to Wielką Umową. Był to rodzaj gry na serio, jaką prowadzili w małżeństwie. Zona mogła dostać to, jeśli mąż otrzymywał tamto. Jeffrey porzucił malowanie aby zarządzać biznesem Karen, za to ona musiała dać mu wolną rękę w sprawach finansowych. Karen zgodziła się na budowę domu w Westport, pod warunkiem, że Jeffrey pozwoli by zatrzymali mieszkanie. Półksiężycowa konsola była przmiotem pierwszego kompromisu jaki zawarli. W zamian za to Karen pozwoliła zawiesić na ścianie obraz przyjaciela męża, Perry'ego Silvermanna, chociaż jej się nie podobał.

Na aukcję poszła sama, ale kiedy zwariowany, ozdobny sprzęt znalazł się w mieszkaniu, a ona ustawiła na nim ogromny wazon białych lilii i ostróżek, Jeffrey przyznał, że właśnie tej szczypty *outré* - zgrzytu czy wariactwa - pokój potrzebował. A Karen uśmiechała się za każdym razem, gdy spoglądała na wyszczerzone przyjaźnie pyski rzeźbionych delfinów, stanowiących podstawę błazeńskiego mebla. .

Po pewnym czasie odkryła, że uśmiecha się także spoglądając na dzieło Per-ry'ego. W końcu je pokochała. Tak naprawdę podobało jej się teraz bardziej niż obraz Jeffreya, który z biegiem czasu się opatrzył. Miała z tego powodu wyrzuty sumienia.

Z salonu wychodziły dwa korytarze. Jeden wiódł do małej kuchni bez okien, będącej powodem zmartwień teściowej Karen. Drugi prowadził do trzech sypialni i małej służbówki. Karen używała jej jako domowej pracowni i za zamkniętymi

drzwiami kłębił się bałagan tkanin, szkieł i ozdób. Za to w sypialniach i pokoju gościnnym, używanym jako bawialnia, panował nienaganny porządek. Jeffrey był nadzwyczaj schludny. Czasem Karen zdawało się, że poślubiła własną matkę. Ale wszyscy mamy chyba taki problem.

- Jeffrey? - zawołała, a on odpowiedział jej z głębi mieszkania. Zdjęła prochowiec, brązową kaszmirową marynarkę oraz szal i rzuciła je na jedno z krzeseł w jadalni. Potem padła na miękkie poduszki sofy, skopując z nóg zamśzowe pantofle na koturnach, by móc położyć stopy na oparciu.

- Wcześniej wróciłaś - Jeffrey stanął w drzwiach. - Właśnie przyszedłem z pracy - urwał i popatrzył na nią. - Obiad się nie udał? Dzwoniła Lisa i chciała z tobą pomówić. Nie rozmawiałyście przy obiedzie? - przeszedł przez pokój i podniósł płaszcz. Bez słowa powiesił go w ukrytej za półkami szafie. Karen przyjęła naganę. Nigdy nie poślubiaj mężczyzny bardziej porządnickiego niż ty sama, doradziłaby córce, gdyby ją kiedykolwiek miała. Zamyśliła się.

- Już dłużej nie mogę - powiedziała. - Bella doprowadza mnie do szaleństwa.

- Tak jak wszystkich. Zrozumiałe samo przez się. Przytaknęła.

- Jak tam w pracy? - zapytała. Jeffrey nagrywał rano swoją część rozmowy do telewizyjnego programu Elle Halle, w którym oboje udzielali wywiadu. Resztę dnia spędził poza biurem, na spotkaniu z ludźmi z NormCo. O tej ostatniej sprawie Karen nie miała ochoty myśleć.

- Świetnie. Wszystko do przodu.

- Mówiłeś o mnie coś miłego tym z telewizji?

- No, cóż,, Powiedziałem, że jesteś kiepska w łóżku, za to świetna z ciebie kucharka.

- Same kłamstwa! - zawołała i zamachnęła się na męża. Zastanawiała się, co naprawdę powiedział przed kamerami, ale wiedziała, że nic z niego nie wyciągnie. Lubił się przekomarzać.

- Jak tam przymiarka Elise Elliot?

- Kiepsko - Ale nie tak fatalnie jak wiadomość od doktora, pomyślała. - Elise nie była zadowolona. Kolekcja jest w rozsypance. A Tangela zachowywała się niemożliwie.

- Nie rozumiem, dlaczego jej nie zwolnisz.

- Bo, po pierwsze, jest córką Definy. Poza tym, gdy chce, bywa świetna. I nie jest gorsza od każdej innej modelki z pracowni. W końcu harowałyśmy przez sześć godzin.

- Ty harowałaś. Ona po prostu tam stała.

Karen uważała, że lepiej mieć męża, który nie znosi trudnych i zmiennych w nastrojach modelek, niż takiego, co z nimi sypia. Jednak wysłuchiwanie skarg było męczące, a ona ledwie żyła. Poza tym mieli przed sobą resztę

wieczoru, jedyną do przyszłego tygodnia okazję, aby naprawdę porozmawiać. Prezentacja dla NormCo, końcowe przygotowania do ślubu Elise Elliot, a wieczorami dobroczynne wenty. Doprawdy, ostatnio bardzo udzielają się towarzysko.

- Co Ernesta przygotowała ci na obiad?

49

- A co mi zawsze daje? Kurczaka, parowane warzywa i sałatkę. I jakąś pieprzoną dietetyczną galaretkę z kawałkami truskawek cienkimi jak żyłeczka. Całkowita liczba kalorii: sześćdziesiąt trzy i pół.

- Chcesz coś zamówić?

- Nie. Za dużo kłopotu. Zjem to i pomarudzę- uśmiechnął się. - Ty też chcesz? Wiem jakie są te obiady u Belli. Jego uśmiech był naprawdę zniewalający. Bez względu na to, jak nieznośnie się zachowywał, zawsze potrafił ją nim rozbroić.

Poślubienie własnego bożyszczka to dla kobiety wielkie zwycięstwo, zawsze jednak potem jest ona w niekorzystnej sytuacji. Karen podziwiała Jeffreya od chwili gdy go zobaczyła. Miał wszystko to, czego jej brakowało. Pochodził z bogatej rodziny, miał klasę, był bardzo przystojny. Ukończył, ni mniej ni więcej, tylko wydział sztuk pięknych w Yale. Poznali się, kiedy biedował w Brooklynie, studiując i ucząc projektowania w szkole Pratta. Rzucił okiem na Karen - małą projektantkę in spe i od razu przejrzał ją na wylot. Została podbita jego niezwykłą urodą, inteligencją... Zauroczenie trwało. Zawsze czuła, że był zwierzyną, a ona myśliwym.

- Przygotowałem dane o finansach dla NormCo - poinformował Jeffrey. -Parę sztuczek i wyglądamy całkiem nieźle. Oczywiście, wyceniłem naszą wartość o jakieś dwieście procent drożej, niż to ma miejsce w rzeczywistości, ale nad tym niech się pomęczą ich księgowi. Nie są w stanie oskarżyć nas o nieuczciwość. Mogą jedynie uznać, że wykazujemy nieuzasadniony optymizm - wstał i ruszył w kierunku kuchni.

- Ile masz zamiar od nich zażądać?

- Cała sztuka nie polega na stawianiu żądań, lecz na skłonieniu ich, by pierwsi złożyli ofertę. Mam nadzieję, że zaproponują naprawdę duże pieniądze. Chciałbym, aby żyło nam się wygodnie.

Karen uśmiechnęła się. Przypomniał jej się dowcip o starym Żydzie, którego potrafił samochód. Ludzie biegną na pomoc, nakrywają go kocem, dzwonią po ambulans. „Czy panu wygodnie?”- pyta ktoś. „Cóż, jakoś zarabiam na życie”-odpowiada ofiara. Przekonała się, że zamożni Żydzi mieli własny sposób określania wartości dochodów. Dla niej, ona i Jeffrey już byli bogaci. On potrzebował jeszcze przynajmniej kilku milionów by poczuć się „wygodnie”.

Razem szybko nakryli do stołu. Nawet kiedy jedli sami, Jeffrey upierał się przy prawdziwej porcelanie i adamaszkowych serwetkach. Zawsze też używali sreber mimo utyskiwań Ernesty, która stale musiała je polerować. Karen, gdyby była sama, zjadłaby z patelni, stojąc przy zlewie, albo leżąc w łóżku, ale Jeffrey zawsze jadł przy stole. Westchnęła głęboko. Myśl o poruszeniu drażliwego tematu przy posiłku była nieznośna, ale kiedy o tym porozmawia?

- Widziałam się z doktorem Goldmanem - powiedziała, przygryzając wargę. Uśmiech zniknął z twarzy Jeffrey'a.

- I co teraz? - zapytał, a w jego głosie była taka gorycz, że Karen drgnęła. - Lewatywy z grzanego wina? Irygacje z coca-coli? Och, Karen.

Próbowała się uśmiechnąć.

- Cóż, mam dobrą wiadomość - nie musimy już niczego robić, i złą, - dlatego, że nic mi nie pomoże. Między brwiami Jeffreya pojawiła się mała pionowa zmarszczka, jedyna widoczna oznaka starzenia się na opalonej, przystojnej twarzy. Przeczesał dłonią gęste włosy koloru soli z pieprzem. Jego piękne, błękitne oczy zachmurzyły się.

- Tak mi przykro - powiedział. Sięgnął przez lśniący blat i ujął Karen za rękę. - Tak mi przykro - powtórzył. Potem utkwiał wzrok w talerzu i przez parę chwil oboje siedzieli w milczeniu.

Dawno temu, kiedy zapragnęli mieć dziecko, zawarli Wielką Umowę - jeżeli Karen nie będzie mogła zajść w ciążę, albo jeśli nasienie Jeffreya okaże się za słabe, nie będą próbowali zapłodnienia in vitro ani zastępczej matki. Oboje zgodzili się, że to bolesne i upokarzające, a przede wszystkim niemoralne, tracić tyle pieniędzy i wysiłku na uzyskanie produktu własnych genów, podczas gdy na świecie jest pełno nie chcianych dzieci. Patrząc na pochyloną głowę Jeffreya i wiedząc, że to przez nią nie będą mieli dziecka, Karen zastanawiała się czy żałuje on zawartej umowy.

- Wciąż masz apetyt? - zapytała w końcu.

- Tylko na ciebie - odpowiedział. Ujął ją za rękę i od stołu, po lśniącej podłodze, powiodł korytarzem do sypialni. Światło było przygaszone, a łóżko zasłane ulubioną pościelą Karen. Jeffrey podprowadził żonę do niego i otoczył ramionami. Zaczął całować jej szyję.

- Wszystko będzie dobrze, maleńka - szeptał stłumionym głosem. - Popatrz na to od lepszej strony. Koniec z termometrami, kalendarzami, zmarnowanymi próbkami spermy - pocałował Karen u nasady szyi, aż poczuła dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Miał takie szerokie ramiona i tak dobrze było czuć je wokół siebie. Był wysoki i Karen kochała go także za to, że przy nim wydawała się maleńka. Oparła się o męża. - Wiesz, że cię kocham - szepnął.

- Udowodnij to - powiedziała Karen i oboje upadli na łóżko spragnieni siebie nawzajem.

Potem, gdy leżała w ramionach Jeffreya, wśród pomiętych pięknych prześcieradeł, przyglądała się jego profilowi. Był tak doskonały, że gdyby odlać go w złocie, mógłby ująć za podobiznę któregoś z cesarzy na rzymskiej monecie. Karen przesunęła dłonią po piersi męża, potem wzdłuż wąskiej linii miękkich włosów, biegnącej w dół brzucha. Była taka cudowna. On był taki cudowny.

- Myślałam, żeby poszukać mojej matki - wyszeptała.

- Nie masz dość po dzisiejszym wieczorze? - odwrócił się ku niej, gotowy już do snu.

- Mojej prawdziwej matki.

Przez parę minut się nie odzywał i Karen myślała, że może zasnął.

- Po co?-zapytał wreszcie. Usłyszała, jak westchnął.

- Nie wiem. Po prostu czuję, że tego pragnę. Odwrócił się, kładąc na plecach, tak by mógł ją widzieć.

52

- Po co wkładać kij w mrowisko? - zapytał. - Mamy chyba wystarczająco dużo kłopotów - wyciągnął ku niej lewe ramię, aby mogła się przytulić. Jego ciepło działało uspokajająco.

- Jeffrey, naprawdę nie masz do mnie żalu? Mówię o dziecku.

- Karen ja chyba już dawno straciłem nadzieję – objął ją mocniej.

-Spotkało nas tyle szczęścia. Dlaczego mielibyśmy mieć wszystko? To kuszenie bogów

- Nie bądź przesądny - powiedziała, choć myślała tak samo. - Tak czy inaczej możemy mieć wszystko. Zadzwoń jutro do Sida i powiem mu, żeby zajął się załatwianiem adopcji. Rozmawiałam z Joyce, która twierdzi, że mają świetne kontakty w Teksasie.

Jeffrey przekrecił się, wracając na swoją połowę łóżka. Wsparł głowę na łokciu.

- O czym ty mówisz? - zapytał.

- O prywatnej adopcji. Więcej kosztuje, ale jest dużo prostsza niż załatwianie przez stan. Możemy być już za starzy. A wygląda na to, że w Teksasie jest masa dzieci do wzięcia.

- Wiesz, co jest z tobą nie w porządku? To nie problem z jajnikami tylko z głową. Popadasz w obsesję. To u was rodzinne.

Co?

~ Twoja matka zachowuje się obsesyjnie, twoja siostra, i twoje siostrzenice. A ty masz chyba bzika na punkcie dziecka.

Karen uznała, że nie czas na przypomnienie, iż rodzinnej obsesji nie odziedziczyła genetycznie.

- Co w tym nienormalnego? Czy ty nie chcesz mieć dzieci?

- Karen nie chcę dziecka jakiejś obcej osoby, a szczególnie kogoś z Teksasu. Jestem Żydem z Nowego Jorku. Co zrobię z małym kowbojem?

- Pokochasz go.

Jeffrey odsunął się od niej i usiadł na łóżku.

- Zaczekaj - powiedział apatycznie. - Nigdy nie uważałem, że dziecko jest nam niezbędne. To ty wychodziłaś ze skóry. Ja wykonałem tylko swoje zadanie. Teraz okazuje się, że nic z tego nie będzie. W porządku. Przyjmuję to. Ale nie mam ochoty wychowywać cudzego dziecka.

Karen poczuła, że żołądek jej się kurczy, a plecy i uda wilgotnieją od potu. Usiadła i popatrzyła na męża. Napotkała jego wzrok.

- Daj spokój, Karen! Nie patrz tak na mnie. Nie życzę sobie. Nie możesz oczekiwać, że zgodzę się na coś takiego. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. To nie była alternatywa. Adopcja nie jest alternatywą. Nigdy nie wiesz, na co trafisz w takim interesie.

- Nie wiedziałam, że jesteś tak przeciwny adopcji.

- Nigdy nie zapytałaś. Chciałaś mieć własne dziecko i o nim rozmawialiśmy. Nie szalałem na myśl o tym, ale sądzę, że mężczyźni tak zazwyczaj reagują. To naturalne, ale adopcja nie jest czymś naturalnym. I zobacz, co z niej wynika. Spojrz co przydarzyło się Woody Allenowi. A Burt Reynolds i Loni Anderson? Kiedy znane osoby adoptują dziecko, zawsze są z tego kłopoty. No i te tragedie,

gdy biologiczna matka próbuje je odzyskać. Nie wspominając o genetycznej ruletce. Czy Syn Sama nie był adoptowany? Albo ten wielokrotny zabójca z Long Island? Mówiłem już, nigdy nie wiesz na kogo trafisz.

- Ależ Jeffrey, ja jestem adoptowana.

- Tak, ale nie przeze mnie. Wiedziałem, że jesteś adoptowana, ale wiedziałem też kim jesteś i co z ciebie wyrosło. To zupełnie inna sprawa niż niańczenie potomstwa jakiejś puszczającej się analfabetki ze slamsów. Kto wie co z takich dzieci wyrośnie?

- Nie mogę uwierzyć, że powiedziałaś to wszystko.

Czy dlatego odniósł się tak chłodno do pomysłu odszukania jej prawdziwej matki? Karen wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia męża. Czy Jeffrey uważa, że ona jest córką jakiejś puszczającej się analfabetki? Może jest nią naprawdę? Nie miała odwagi spytać.

- Proszę cię, Jeffrey - powiedziała tylko.

- Nie mogę uwierzyć, że mnie o to prosisz - stracił jej rękę. Wstał i przeszedł przez pokój. Odblask z okna padł na jego ramiona, oświetlając z boku wysokie, szczupłe ciało.

- Gdzie idziesz? - zapytała.

- Strzełę sobie prysznic - powiedział

W uszach Karen zabrzmiało to tak, jakby chciał ją uderzyć.

Rozdział 5

Męki twórcze

Karen nie zadzwoniła do Lisy wieczorem, a następnego dnia rano wyszła z domu zbyt wcześnie, aby to zrobić. W biurze była o wpół do siódmej. To nic nowego. Od czasu, gdy zatrudniła pierwszego pracownika - panią Cruz z Corony w Queens - przychodziła bardzo wcześnie do firmy i choć minęło tyle lat, pani Cruz wciąż z nią pracowała, obecnie, jako jedna z dwóch głównych krawcowych, nadzorując pracownię zatrudniającą ponad dwieście osób. Pani Cruz jechała metrem na Siódmą Aleję długo i z przesiadkami. A jednak niemal każdego ranka, nie wyłączając dziesiątego, Karen spotykała ją na dole, przed legendarnym budynkiem numer 550, gdzie mieściło się obecnie JXKInc. Razem jechały windą na dziewiąte piętro. Obie miały klucze do drzwi wejściowych. Wznosząc się w górę, mijały pracownię i biura Ralpha Laurena, Oscara de la Renty, Donny Karan i Billa Blassa. W budynku mieściły się też przedstawicielstwa zagranicznej mody: Karla Lagerfelda i Hanae Mori. Dom pod numerem 550 to świątynia

amerykańskiego *haute couture*. Karen wciąż jeszcze była przejęta, widząc na tabliczce w windzie, obok tamtych, własne nazwisko.

Wiedziała jednak, że kroczy śliską ścieżką. W styczniu 1985 roku, na długo zanim się tu przeniosła, zamknięto dom mody Halstona. Pozostawione urządzenia i meble sprzedano następnemu najemcy, nowej figurze w świecie mody, Donnie Karan.

Nikt już nie myślał o Halstonie. Nie tylko umarł - został zapomniany. Był pierwszym amerykańskim projektantem, który sprzedał swe nazwisko i to go zgubiło - biedny Roy Halston Froleich nigdy już legalnie nie mógł go użyć, podczas gdy korporacja udzielała innym licencji. Zapłacono mu dobrze, ale okradziono z pracy i tożsamości. Karen pomyślała o nieszczęsnym chorym Williem Artechu. Jaki los czeka jego nazwisko i pracę? Zadrzała i odwróciła się ku stojącej obok ciemnowłosej kobiecie.

- Dzień dobry, pani Cruz - powiedziała, uśmiechając się do swej niskiej, przysadzistej towarzyszki, której ciemne, lśniące włosy zaczynały przybierać u nasady

kolor stalowoszary. Patrząc na nią, uświadomiła sobie, że przez lata wspólnej pracy ta kobieta została matką i babcią a ona, Karen, była ciągle bezdzietna. -Jak tam najmłodszy wnuczek? - zapytała.

- Gruby jak prosiaczek. A co słyhać u pani, Karen? Chce pani trochę świeżego *pan de manteca* - wskazała głową na brązową papierową torbę, którą trzymała w ręku.

- Pani mnie zabija, pani Cruz. Sama skończę gruba jak prosiaczek. Przysięgałam sobie, że dziś rano zacznę dietę.

- Jest pani wystarczająco chuda - kobieta wzruszyła ramionami. - Kawy? Karen nie mogła się oprzeć ani kubańskiej kawie, którą pani Cruz przynosiła

w dużym, lśniącym metalowym termosie, ani świeżemu maślanemu ciastu.

- Tak, dziękuję. I poproszę cienki kawałek *pan de manteca*.

Kubanka uśmiechnęła się zadowolona. Gdy wjechały na dziewiąte piętro okazało się, że drzwi są otwarte.

Dziwne. Czyżby w pracowni grasował złodziej, a może jakiś rywal Karen przeglądał projekty? Słyszała o setkach sztuczek stosowanych przez gazety lub konkurencję, by wywęszyć i wyszpiegować nowości w modzie. Jeden z magazynów regularnie wysyłał ładne dziewczyny, by zgłaszały się jako modelki do wszystkich projektantów, nie wyłączając JKIInc. Nie dalej jak w zeszłym miesiącu Defina przyłapała jedną z nich na szkicowaniu modelu.

Pewnego razu szpieg przebrał się za posłańca z kwiaciarni. Ubrany w fartuch miał dostarczyć ogromny bukiet do rąk własnych Karen, która właśnie pracowała nad ostatecznym przeglądem kolekcji. Wysłała go rywalka, choć nigdy nie udało się udowodnić, że była nią Norris Cleveland. Teraz, gdy rozeszły się plotki o przygotowaniach do ślubu Elise Elliot, ktoś mógł węszyć w pracowni. A może to pracowita drużyna z NormCo przybyła, by samodzielnie rzucić okiem na księgi rachunkowe. Albo, co gorsza, ekipa telewizyjna z programu Elle Halle złożyła nie zapowiedzianą poranną wizytę? Karen zastanawiała się przez chwilę, czy zdąży uróżować policzki zanim wpadnie w zastawioną przez nich pułapkę. Uznała, że nic z tego i skrzywiła się na widok swego zamazanego odbicia w stalowych ścianach windy. Obie kobiety wzruszyły do siebie ramionami i wyszły na podest. Jedyne wejście prowadziło tędy, przez salon wystawowy.

Palilo się światło, a przy stojaku stała Defina Pompey i grzechocząc wieszakami, przeglądała ubrania. Defina nigdy nie zjawiała się przed dziesiątą, a czasem nawet jeszcze później. Stanowiło to kość niezgody między nią i Karen, kiedy jednak kilka razy Defina przyszła wcześniej, jej przyjaciółka sama przekonała się, że nie będzie z niej pożytku. Defina była typem sowy i chętnie pracowała do późna. Niebezpieczna bywała tylko z rana.

- Ay, *caramba* - wymamrotała pani Cruz i szybko przeszła po beżowym dywanie do drzwi pracowni. Bała się Definy, która często wprawiała ją w zakłopotanie. Przede wszystkim, mówiła po hiszpańsku z akcentem typowym dla

wyższych sfer Madrytu, tak więc pani Cruz ledwie mogła ją zrozumieć. Czy to w porządku, by czarna Amerykanka z Harlemu umiała tak mówić? Poza tym cała pracownia wiedziała, że Defina zna wiedzę tajemną, Santerię. Kubanka unikała jej jak ognia.

57

Karen uśmiechnęła się ostrożnie do przyjaciółki, a ona rzuciła jej gniewne spojrzenie.

- Masz kłopoty - warknęła.

- Nic nowego - skwitowała Karen i omijając Definę, przeszła do narożnego gabinetu. Tamta ruszyła za nią. - Co słychać? Co się stało, że tak wcześnie przyszedłeś?

- Rozmyślałam we śnie o paryskiej kolekcji i to mnie obudziło.

- A więc naprawdę jestem w tarapatach. Ciebie nie obudziłby atak atomowy.

- Właściwie to nie tylko kolekcja - przyznała Defina. - Tangela wróciła

0 szóstej nad ranem i narobiła takiego hałasu, że nie mogłam już potem zasnąć.

Tangela była jeszcze piękniejsza niż Defina w młodości i sprawiała im obydwu masę kłopotów. Karen wciągnęła powietrze do płuc. Jeśli dziewczyna całą noc spędziła poza domem, popołudnie w przymierzalni zapowiadało się nieciekawie.

Do pokoju wpadła pani Cruz z dwoma parującym kubkami kubańskiej kawy. Bez słowa postawiła je na biurku i pośpiesznie wyszła. Karen opadła na pokryty miękką skórą obrotowy fotel i westchnęła jeszcze raz.

Przyjęła Definę do pracy ponad dwanaście lat temu, zaledwie kilka miesięcy po pani Cruz. Była wysoka, czarna, piękna i głodna. Od tego czasu niewiele się zmieniła, przybyło jej jedynie piętnaście czy dwadzieścia kilogramów. Naomi Sims pojawiła się na okładce „Fashions of the Times” w 1967 roku, musiało jednak minąć jeszcze sporo czasu, nim kolorowe kobiety zaakceptowano na wybiegach. Karen zatrudniła w tej roli Definę z czystej desperacji, na progu bankructwa. Była pierwszym projektantem z Siódmej Alei wykorzystującym czarną modelkę. Jej stroje i Defina okazały się sensacją. Od tamtej pory przyjaciółki pracowały razem, dzieląc koleje losu: małżeństwo Karen, rozmaite romanse Definy, narodziny jej córki Tangeli, której Karen była chrzestną matką i wiele innych zdarzeń. Defina zarządzała salonem wystawowym i modelkami, odpowiadała za sprzedaż, a czasem nawet przyjmowała zamówienia. Były sobie z Karen więcej niż bliskie, stanowiły dla siebie coś w rodzaju żywej kroniki. Pamiętały drobne, codzienne wydarzenia z ponaddziesięcioletniej wspólnej pracy, często po dziesięć, dwanaście czy piętnaście godzin na dobę.

- Słuchaj, kiedy miałaś osiemnaście lat, sama często nie wracałaś na noc do domu - przypomniała Karen. - Tak już bywa, gdy się jest młodym.

- Owszem, ale nie pozwalałam, żeby facet rznął mnie na kuchennym stole i budził moją mamusię - Defina potrząsnęła głową. - Ściągnął jej majtki i goły, czarny tyłek miała rozgnieciony na białym marmurowym stole, jak ciasto na blasze. Kiedy weszłam, właśnie wyciągał fiuta ze spodni i wspinał się na blat - pokręciła głową.

- I co zrobiłaś?

- Wyrzuciłam sukinsyna na ulicę! Do diabła, to mój dom, moja kuchnia i mój stół. Nie mam ochoty zmiatać z niego włosów łonowych.

Defina była wysoka, miała prawie metr osiemdziesiąt, i Karen wiedziała, że jest w stanie wyrzucić mężczyznę ze swego eleganckiego domu przy Sto

Trzydziestej Ósmej Wschodniej Ulicy. Robiła już to przedtem wiele razy. Teraz odwróciła się i z założonymi rękami patrzyła przez okno.

- Wiesz, co w tym najsmutniejsze? Był taki moment, gdy zastanowiłam się, czy nie jestem troszeczkę zazdrosna. Wiem oczywiście, że ten facet to kompletne zero, ale przez chwilę nie ufałam samej sobie. Już prawie pół roku nikogo nie miałam i pewnie minie jeszcze więcej czasu, zanim to nastąpi.

- Hej, pamiętaj, że to nie twoja wina - Karen poklepała ją po ramieniu. - Tak jest w Nowym Jorku w latach dziewięćdziesiątych. Żadna z moich samotnych koleżanek nie jest w stanie znaleźć przyzwoitego mężczyzny. Gdyby nie Jeffrey, chyba bym się zabiła.

- No tak, a spróbuj być samotną, prawie czterdziestoletnią na dodatek czarną kobietą. Dla mnie nie ma nikogo. Każdy czarny facet z głową, pracą i działającym instrumentem jest przykuty do ściany przez babę, która go złapała. Nie muszę ci mówić, jak to ciężko - Defina westchnęła. Porzuciła uliczny slang. Karen wydawało się czasem, że używa go do obrony. - Jestem samotna, ale nie chcę się ustatkować. I nie chcę być z białym mężczyzną. Nie znaczy to wcale, żebym miała ostatnio wiele propozycji - pokręciła głową. - Ale jaki przykład daję Tangeli? Zdecydowałam, że wychowam ją w Harlemie. Chciałam, żeby była czarna i dumna z tego. Ale pragnęłam też, żeby zdobyła wykształcenie, by znała wszystkie trzy Metropolitan - operę, muzeum i drużynę baseballową. Może byłam zbyt wymagająca. Wiedziałam, że namiesza jej to w głowie, uczyni wyjątkową, ale w jej pokoleniu są przecież inni wykształceni, kulturalni czarni mężczyźni. Synowie lekarzy, prawników. Będą z nich porządni ludzie. Dlatego ważne, by Tangela poznała teraz kogoś przyzwoitego, a nie jakiegoś handlującego narkotykami śmiecia, jak ta żalosna namiastka.

Karen jeszcze raz poklepała Definę po ramieniu i wróciła na swoje krzesło. Wysoka Murzynka popatrzyła w jej stronę i rozjaśniła się.

- Wiem co zrobię - powiedziała wracając do slangu. - Rzucę na niego urok Pójdę do Madame Renault i rzucimy na niego urok.

Karen nigdy nie była pewna, czy w takich sytuacjach Defina mówi poważnie. Wiedziała, że często odwiedza Madame Renault, ale nie potrafiła powiedzieć czy kobieta ta jest chiromantką, praktykuje voodoo czy może coś jeszcze gorszego. Nie miała ochoty pytać.

- Co powiedziałaś Tangeli?

- Nieważne co powiedziałam. Ważne co usłyszała. Czyli nic. Kompletnie nic. Była nieprzytomna. Nie mogłam jej unieść i zostawiłam ją tam, z gołym tyłkiem na zimnym marmurze. Jak dojdzie do siebie, będzie ją strasznie bolał

krzyż -Defina pokręciła głową. - Czy ta dziewczyna w ogóle nie ma wstydu? - zapytała. Jej różowa dolna warga zadrżała.

Karen wstała z krzesła i przeszła przez pokój. Otoczyła przyjaciółkę ramionami, co nie było takie proste, i tuliła tak długo, aż tamta odwzajemniła uścisk.

- Och, Dee, wszystko będzie dobrze. To tylko trudny okres. Tangela jest dobrą dziewczyną.

48

- Strasznie trudno ją wychowywać - Defina otarła oczy. - Nigdy nie myślałam, że będzie taka ładna. Dla czarnej kobiety to przekleństwo. Ściąga na nas kłopoty. Za dużo ma urody, żeby to się mogło dobrze skończyć.

- To samo twoja babcia mówiła o tobie - roześmiała się Karen. - Powiedziałaś dokładnie tak jak ona.

Gdy matka Definy umarła od przedawkowania narkotyków, wychowywała ją babka ze strony ojca.

- Cóż - Defina rozjaśniła się. - To prawda. I okazało się, że wcale nie jestem taka zła.

- Jesteś prawdziwe nic dobrego - śmiała się Karen. - Widziałam, jak na wręczaniu nagrody flirtowałaś z tamtym fotografem. Czy był przynajmniej pełnoletni?

- *C'est pour moi de savoir et pour vous a decouvrir.*

- *Ja to wiem, a ty zgaduj;* to brzmi wytwornie po francusku, ale i tak jest stwierdzeniem na poziomie klasy czwartej - Karen zrobiła do niej minę. - Dziecko z ciebie i nie umiesz się ubrać. Może byś zdjęła ten turban i paciorki?

Defina nosiła większość jej modeli i wyglądała w nich świetnie. Ulubione kolory Karen, beżowy, kremowy, jasnobrązowy doskonale kontrastowały z ciemną skórą przyjaciółki. Defina była czarna niczym najciemniejszy mahoń z lekkim tylko oddzieniem czerwieni. Od góry do dołu spowijały ją warstwy jedwabiu, kaszmiru, szyfonu, bawełny i lnu. Jednak, ku niezadowoleniu Karen, z uporem obwieszała się taką ilością biżuterii, łańcuszków, paciorków i amuletów, że wystarczyłyby do otwarcia sklepiku. Nie wspominając już o szalach, brzęczących bransoletkach czy batikowym turbanie.

- Boże, tyle nawieszałaś sobie na szyi, że brakuje tylko kuchennego zlewu - Karen pokręciła głową. - Jesteś kobietą, a nie oknem wystawowym. Co to w ogóle ma być? Dlaczego nie zawieszisz sobie jeszcze pessarium na łańcuszku?

- To jest pomysł - zastanowiła się Defina. - Ale nie używam już za często pessarium, a poza tym zrobienie dziury w krążku nie wyszłoby chyba na dobre mojej macicy. - A skoro o niej mowa, to jak poszło ci wczoraj z tym królem lekarzy?

Karen odwróciła lekko głowę w stronę okna wychodzącego na południe.

- W porządku - powiedziała, wiedząc, że na tym się nie skończy.

- Tak. A ja jestem pierwszą kuzynką księżnej Kentu. Co z tobą dziewczyno? Ciągłe masz sekrety przed poczciwą Definą?

- Nie. No, cóż... Słuchaj, nie chcę o tym mówić.

- Skarbie, przecież ciągle ci powtarzam - Chcesz mieć dzieci, to chodź ze mną do mojej zielarki i...

- Możesz przestać? Ty skończyłaś studia na uniwersytecie Columbia, a ja nie dam się wciągnąć w Santerię. Nie będzie się w moim imieniu przelewać krwi żadnych kurczaków. Wiem, że sama nie wierzysz w to voodoo.

- To nie jest żadne voodoo ani Santeria. Nie zawracałabym sobie głowy czymś tak wsiowym i bez klasy. Madame Renault posiada moc.

Matka Definy pochodziła z Południowej Karoliny, ale ojciec był Haitańczykiem. Wychowana w Harlemie przez jego matkę, starą Madame Pompey, Defina

4 - Spóźniona moda

49

interesowała się magią. Od dwóch lat błagała Karen, aby w sprawie bezpłodności poradziła się Madame Renault. Posunęła się nawet do tego, że przyniosła aksamitny, zaszyty woreczek, z którym jej przyjaciółka miała spać. Jeden Bóg i Madame Renault wiedzieli co było w środku. Defina ostrzegła Karen by go nie otwierała, ale ona wcale nie miała na to ochoty. Była do tego stopnia zdesperowana, że przez kilka nocy rzeczywiście trzymała woreczek pod poduszką, aż Ernesta znalazła go i wyrzuciła. Zresztą i tak nic nie pomógł.

- Cóż, wiem kiedy sprawa jest zamknięta. Zmieńmy temat: naprawdę martwię się tym paryskim pokazem.

- Świetnie. Jakbym sama nie dostawała już od tego bzika. Może jeszcze bardziej mnie podłამiesz? Chcesz, żebym wyskoczyła przez okno?

- O ile cię znam, to lecąc w dół wrzeszczałabyś, żebym kroić aksamit -zaśmiała się Defina.

Karen także musiała się roześmiać. To był najstarszy dowcip w handlu ciuchami. Pod koniec złego sezonu, krawiec nie wie co robić dalej. W rozpaczy rzuca się z okna, ale lecąc, widzi co na niższym piętrze przygotowuje konkurencja i krzyczy do partnera: „Sam! Krój a-ksa-mit!” Karen wiedziała, że tak samo głęboko się tym wszystkim przejmuje. Jednak czuła presję większą niż zwykle. Może to Nagroda Oakleya podgrzała atmosferę. Mimo tylu kłopotów Karen postanowiła, że właśnie w tym sezonie odbędzie się jej pierwszy pokaz w Paryżu i teraz była zeszytywniała ze strachu. A to nie pomagało w pracy nad kolekcją. Podobnie jak komentarze Definy.

- Ciuchy muszą być naprawdę świetne. Trzeba wypaść wspaniale. Żadna dekonstrukcja czy efektowne łachmaniarstwo nie załatwi sprawy - powiedziała.

Defina wydeła usta i pokazała język. Na tle jej gładkiej, czarnej twarzy wydawał się bardzo różowy.

- *Grunge* - rzuciła niechętnie. - Lambada mody. Słuchaj - spoważniała. -Zawsze różniłaś się od innych projektantów.

- Bo, po pierwsze, to sami mężczyźni i homoseksualiści.

- Kochanie - Defina wzruszyła ramionami. - „Projektant mody płci męskiej, orientacji homoseksualnej” brzmi jak określenie „rasa biała kaukaska”. Zbyt rozwlekłe. Tak czy inaczej, pokażą różne niesamowite rzeczy. Twoja kolekcja nie stanowi konkurencji. Nie dlatego, że modele są złe. One po prostu nie są dobre.

- Wspaniale. To dla mnie wielka pociecha. W końcu zaspokoiliam swoje ambicje - osiągnęłam przeciętność. W samą porę na paryskie pokazy *pret-a-por-ter*. Co mam robić? Kopiować samą siebie? Wiesz co powiedziała Chanel?

Kiedy nie potrafię już niczego stworzyć, będę skończona.

- Hej, Karen, nie bierz tego do siebie. W tym biznesie tak już jest. Myślę, że dopóki nie będziesz kopiować z Koranu, wszystko pójdzie dobrze. Coś takiego omal nie złamało kariery Claudii Schiffer i Kaisera - Defina uniosła w górę łukowate brwi. -1 pamiętaj, że sarkazm to broń obosieczna. Po prostu staram się pomóc.

- Nie najlepiej ci to idzie dziś rano. Zrób mi przysługę i nie przychodź więcej tak wcześnie do pracy. Szczerze mówiąc jeśli zobaczę cię jeszcze kiedyś przed dziesiątą, jesteś zwolniona!

Defina znów pokazała przyjaciółce różowy język, odwróciła się i wyszła z biura. Teraz będzie jej unikać, ale i tak powiedziała to co chciała.

I miała rację. Karen nie powinna brać wszystkiego do siebie. Moda to zabawne zajęcie - twórcze, ale tak osadzone w rzeczywistości, że ograniczenia stają się możliwościami. A wszystko zaczyna się od ciała. Karen spojrzała na swoje własne i westchnęła. Należała do pokolenia wyżu demograficznego, które teraz się starzało i potrzebowało maskujących ubrań.

Młode, piękne ciała nie muszą ukrywać pod strojem obwisłych kształtów, okrągłych ramion czy za grubej talii.

Wyglądają świetnie w sukience z dzianiny za trzydzieści osiem dolarów. To starsze kobiety potrzebują forteli.

Jednak, jak na ironię, ubrania prezentowały młode modelki. A niewiele dziewczyn mogło pozwolić sobie na kupowanie strojów od Karen Kahn. Znała swoje klientki - kobiety w tym samym wieku, albo starsze - które choćby nie wiem jak szczupłe, czuły że muszą ukryć brzuchy, albo uda, albo jedno i drugie. Utyły niczym Defina, lub ich szyje, łokcie i przedramiona nie były już takie jak dawniej.

Rola Karen, to pomóc im wyglądać znakomicie. Wymyśliła kod określający ten cel. Nazywał się „trzy K i dwa Z” - kobiecość, komfort i klasa, zmysłowość i zalotność. By uzyskać taki efekt trzeba się skoncentrować. Z pewnością nie osiągnęła go w najnowszej kolekcji. Ułożyła przed sobą, na dużym stole, trzy szkicowniki. Z jakichś nieznanych powodów większość kobiet projektantów pracowała upinając tkaninę na modelce, zaś mężczyźni na ogół rysowali. Karen robiła jedno i drugie. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie czyni jej to osobą biseksualną. Żart wywołał uśmiech na twarzy, który jednak prędko zniknął na widok pustych kartek. Zawsze najtrudniejszy był początek. Kiedy już rysowała, pracowała szybko, używając trzech szkicowników naraz. Gdyby nagle wpadł jej do głowy jakiś pomysł mogła utrwalić go, zanim zapomni, na sąsiedniej kartce. Otworzyła szufladę i wyjęła ołówek nr 6, który zapewniał potrzebną swobodę. Nagle ktoś wszedł do pokoju. Niezadowolona, uniosła głowę.

- Słucham, pani Cruz - to niepodobne do niej znów pojawić się w gabinecie. Czyżby coś się stało?

- Chce pani więcej kawy? - zapytała przybyła.

- Nie, dziękuję - z miną winowajczyni popatrzyła na swój kubek. Tak pochłonęła ją rozmowa z Definą, że zapomniała wypić kawę. Teraz była już zimna. - Nic nie szkodzi.

Pani Cruz bez słowa wzięła kubek, wylała jego zawartość do słoika i napełniła świeżą, parującą *cafe Cubano*. Karen sięgnęła po nią i, po raz pierwszy tego ranka, uśmiechnęła się. To tak miło, kiedy ktoś się o nas zatroszczy.

- Karen, chciałam porozmawiać z panią, kiedy spotkałyśmy się w windzie, ale potem natknęłyśmy się na Definę i nie powiedziałam tego, co miałam do przekazania. Dziewczyny w pracowni gadają. Powiedziałam im, żeby się uspokoiły,

ale to nie pomaga. Plotkują o sprzedaży firmy. O zwolnieniach. Cierpi na tym robota. Co mam im powiedzieć? A może pani to zrobi?

Karen popatrzyła na nią znad kubka z kawą. Rozmowy z NormCo utrzymywano w ścisłej tajemnicy, nikt nie miał o nich wiedzieć. Jednak plotki zawsze jakoś się rozchodzą. Cóż, Karen nie mogła mieć pretensji do pracowniczek. W przemyśle odzieżowym zawsze wykorzystywano robotników, a to że ona próbowała działać inaczej, to nie powód by nie lękali się o miejsca pracy.

Wychowana przez Arnolda, choć była właścicielką firmy, uważała się za jednego z pracowników. Odziedziczyła po ojcu pragnienie uczciwości; to, co Bella nazywała zawsze jego socjalizmem. Arnold niespecjalnie dogadywał się z dziećmi, ale na swój sposób był zawsze bardzo dobry dla Karen. W małym gabinecie wyjaśniał jej różne skomplikowane zagadnienia np. dlaczego robotnicy na farmach strajkują i dlaczego Lipsy, w związku z tym, nie powinni jeść winogron z Kalifornii, a dziewczynka uważnie słuchała. Nawet dzisiaj, prędzej poderznęłaby sobie gardło niż przekroczyła linię pikiet strajkowej. Rozumiała więc obawy własnych pracowników.

Dzisiaj jednak był to kolejny problem, któremu musiała stawić czoło. I zapragnęła, by choć ten jeden raz mogła ocenić sytuację z korzyścią dla siebie. Uwierzyć, że skoro zawsze zatrudniała ludzi ze związków, płaciła im dobrze i sprawiedliwie - będzie to robić nadal. Skoro zawsze potrafiła na czas przygotować kolekcję, i tym razem się to uda. Skoro zawsze dawała Jeffreyowi szczęście, da mu je znowu, nawet jeśli pojawi się dziecko. Westchnęła i odstawiła pusty kubek. Tak jak Bill Blass zatrudniała robotników na Ósmej i Dziewiątej Alei, a nie w Hongkongu. Jej ludzie zawsze należeli do związków.

- Pani Cruz, gwarantuję, że żadne stanowiska nie są zagrożone. Daję moje słowo. Czy może to pani wszystkim powtórzyć?

Kubanka uśmiechnęła się i pokiwała głową. Miała miły uśmiech, a jej drobne, nierówne zęby przypominały perełki.

- Już im mówiłam, ale powtórzę to jeszcze raz. Mocniej - chciała ponownie napełnić kubek Karen, ale ona pomachała ręką.

- Koniec. Dość *szpilki* na dzisiaj - pani Cruz obracała się w branży odzieżowej wystarczająco długo, by znać określenie niepokoju w jidysz. Skinęła głową i wyszła.

Choć drzwi były otwarte, rozległo się pukanie, a gdy Karen podniosła wzrok, ujrzała pięść szykującą się do kolejnego stuknięcia.

- Tak? - kto to, u diabła, może być? O tej porze nie umawiała żadnych wizyt. Nawet jej sekretarka, Janet, jeszcze nie przyszła.

- Dzień dobry!

O Boże! Po akcencie poznała, że to Basil Reed, angielski konsultant, którego NormCo przysłało wcześniej na rozmowy. Zachowywał się protekcyjnie i był irytujący ponad ludzką miarę, zdołała jednak jakoś odpowiedzieć mu na większość pytań, a potem usunąć się w cień. Zakończył już swą misję zbierania informacji i dostarczył sprawozdanie. Co, do licha, w takim razie robi tutaj teraz?

52

- Wiem, w jakich godzinach pracujesz i podejrzewałem, że cię zastanę. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe tego walenia, ale do zakończenia roboty brakuje jeszcze odpowiedzi na parę pytań. Wczoraj wróciłem z Londynu i nie przestawiłem się jeszcze na miejscowy czas. Pomyślałem, że ta pora będzie odpowiadała nam obojgu.

Karen zamrugła oczami. Czy on przed chwilą mówił coś o waleniu? Miał taki arystokratyczny akcent, że ledwo można było go zrozumieć. Coś w Basilu sprawiało, że miała ochotę być tak wulgarna i brooklyńska, jak to tylko możliwe.

Basil przekopał się przez wszystkie prywatne sprawy. Nalegał by go dokładnie poinformować, kto ma udziały w KInc. Karen wprawiało to w zakłopotanie, czuła się jakoś bezbronna. Prawdę mówiąc, to ona była właścicielką pięćdziesięciu procent. Reszta podzielona została pomiędzy Jeffreya, który miał prawie trzydzieści procent, i innych członków rodziny. Kiedy ojciec Jeffreya dostarczył kapitał na założenie firmy, zażądał trzydziestu procent dla siebie, a dziesięciu dla żony i córek. Po jego śmierci udziały przeszły na Jeffreya. Ale to Arnold nalegał, aby pięćdziesiąt procent należało do Karen. Prowadził całą sprawę i przygotował papiery. Zamiast zapłaty, on, Bella, Lisa i Leonard podzielili między siebie pozostałe dziesięć procent. Karen była niezadowolona, że Basil Reed dowiedział się o tym wszystkim.

- Wejdz i siadaj - powiedziała. Była to ostatnia rzecz, jakiej sobie życzyła, wiedziała jednak, że Jeffreyowi zależy na miłej atmosferze.

- Tylko jedno pytanie. O czym będziesz mówić podczas prezentacji dla NormCo?

O Boże! Wszyscy zawracają jej głowę tym spotkaniem! Czy Reed oczekuje, że omówi z nim teraz płynność pieniądza, wartość towaru, sprzedaż i koszty marketingu?

- Pomyślałam, że pokażę modele - powiedziała.

- Motyle? - zapytał.

- Tak, nowe modele.

- Czy to jakieś logo firmy nad którym się zastanawiasz? Czy nikt go już nie używał? Obawiam się, że nic nie wiem o motylach.

- Widziałeś je. Nie pamiętasz? - Chryste, ci faceci od pieniędzy! Strasznie ją złościłi. Mieli w głowie tylko liczby, całkowicie negując rzeczywisty produkt, z którego te liczby się wzięły. - Modele - powtórzyła.

- Obawiam się, że nie pamiętam. Czy to będą prawdziwe owady, czy chodzi ci o fotografie albo jakieś wzory graficzne?

- Owady? - zmieszała się Karen. Czy on coś pił?

- Motyle.

Wtedy do niej dotarło.

- Nie motyle. Modele. Stroje, które pokażemy w tym sezonie.

Facet był idiotą, ale Karen musiała przyznać, że z winy brooklyńskiego akcentu rzeczywiście wymawiała to słowo bardzo podobnie do nazwy wspomnianych przez Reeda owadów.

- Och, naturalnie, jaki jestem niemądry.

Jego głos nie brzmiał jednak przepaszajaco i Basil nie wydawał się sądzić, że to on okazał się „niemądhy”. Jeffrey na pewno ma rację. Moja wymowa jest straszna, pomyślała Karen i niemal się zarumieniła na wspomnienie swego przemówienia przy odbieraniu Nagrody Oakleya. Czy też brzmiało okropnie? Mąż prosił ją dwa razy, by wzięła lekcje dykcji, ale ona odmówiła. „Jestem jaka jestem”, powiedziała, ukrywając, że zranił jej uczucia. Może powinna jeszcze raz to przemyśleć.

- A więc znakomicie - Basil Reed podniósł się z krzesła. - Bill na pewno będzie zastrzelony. - Karen pomyślała, że skoro mowa o strzelaniu, chętnie zobaczyłaby kulę trafiającą Basila w środek czoła. - W takim razie już wychodzę i do zobaczenia w poniedziałek.

- Do poniedziałku - rzuciła, patrząc z ulgą jak ten idiota opuszcza wreszcie gabinet. Ale zanim zdążyła zabrać się do pracy, zadzwonił telefon. Nie zwróciła na to uwagi, ale odezwała się prywatna linia. Może to Jeffery chce się pogodzić? Podniosła słuchawkę.

- Karen, coś ty na siebie założyła na uroczystość w „Waldorfie”?

O, Boże, to Bella. Karen żałowała, że nie może szybko odłożyć słuchawki i udać, że ta rozmowa w ogóle nie miała miejsca. No tak. Teraz już na to za późno. O czym, na litość boską, jej matka w ogóle mówi? Nie była przecież przy wręczaniu nagrody.

- Nie widziałas w „Newsday”? Okropne zdjęcie. Jesteś wielka jak dom. Ale coś ty na siebie założyła? Było strasznie pogniecione.

Karen nie przeglądała gazet, wiedziała jednak, że Mercedes spędza wiele czasu na umieszczaniu w nich zdjęć z imprez, w których jej pracodawcy wzięli udział. I to ona oczywiście przepchnęła relację z wręczania Nagrody Oakleya. Karen zaczęła się przyzwyczajać do oglądania samej siebie w pismach. Nie przywykła jednak do porannych poniedziałkowych ataków Belli.

- To był atlas, mamó. Atlas się gniece.

- Włożyłaś go do zdjęć, Karen? Do zdjęć? I czemu pochylałaś głowę? Wyglądasz, jakbyś miała trzy podbródki. Nie potrafiła wyjaśnić Belli jak to jest, kiedy paparazzi strzelają migawkami obiektywów. Przecież nawet królową angielską przyłapano kiedyś z palcem w nosie. Jak ma wytłumaczyć matce, że nie wybierała kąta pod jakim ją sfotografowano; że to zaszczyt jeśli zdjęcie - jakiegokolwiek zdjęcie - trafi do gazet. Ostatecznie po to zatrudniła Mercedes Bernard, by poświęcała cały swój czas na uwodzenie mediów, i ma osiągać właśnie takie rezultaty. Ale Bella, rzecz jasna, nie zadzwoniła tylko po to by biadolić na temat stroju. Miała zamiar blokować linię tak długo, aż uzyska odpowiedź na nie postawione pytanie: dlaczego j ej tam nie było?

- Mamo, oddzwonię do ciebie później - obiecała.
- Jeffrey wyszedł bardzo dobrze - powiedziała Bella, a Karen omal nie wybuchnęła głośnym śmiechem. Te same stare metody: „Lisa dzwoni do mnie codziennie. A ty?”. Pokręciła głową.
- Porozmawiamy później - powiedziała i odłożyła słuchawkę. Telefon zadzwonił znowu.

54

- Karen - usłyszała nieznośnie nosowy jęk. To Lenny, księgowy. - Słuchaj, wybacz, że zawracam ci głowę - zaczął jak zwykle przepraszająco - ale minc spóźni się z zapłaceniem zaliczki na podatek dochodowy pracowników. Po ostatnim wypadku kazałaś mi obiecać, że ci powiem, jeśli znowu się to zdarzy. No to teraz już wiesz. Nie mów Jeffreyowi, że ode mnie.
- Ile jesteśmy winni?
- Niedużo. Około dwudziestu czterech tysięcy.
- No to dlaczego nie zapłacimy?
- Jeffrey mówi, że musi uregulować rachunki z pośrednikiem.
- Do diabła, Lenny. Ludziom należy się, żebyśmy najpierw zapłacili ich podatki. A poza tym, teraz będziemy płacić karę - zdała sobie sprawę, że mówi podniesionym głosem. Cóż, nie ma sensu winić księgowego. Zrobił co mu kazali, ale tym razem przynajmniej zadzwonił i ostrzegł, ją - Dziękuję, Lenny - westchnęła. - Zajmę się tym. Nareszcie sama. Karen zamknęła oczy, starając doprowadzić się do ładu. Popatrzyła na zawieszony w ramach nad drzwiami słowa Chanel. „Moda to architektura: wszystko zależy od właściwych proporcji”. Zwykle spędzała tu rano dwie spokojne godziny pracując nad szkicami. Bez nich co będzie robić po południu z modelkami? Wzięła do ręki ołówek. Co się z nią dzieje? Czemu jest taka zablokowana. Znow pomyślała o biednym Halstonie. Kiedy sprzedał firmę, jego kolekcja w pierwszym sezonie odniosła sukces, ale potem wszystko zeszło na psy. Czy dlatego tak się niepokoi? Cóż, nie powinna na to pozwolić. Szybko, sprawnie rzuciła na papier kilka kresek. Rękaw, ramię, a potem płynna linia bluzy. Albo nie, zrobi z tego sukienkę. Przeniosła się na następną kartkę i jeszcze raz narysowała rękaw, trochę go zwązając, potem ramię i długą linię dołu. Złe. Przesunęła krzesło odrobinę w lewo i tym razem zaczęła od prostego, okrągłego dekoltu. Potem ramiona i rozkloszowany dół. Odłożyła ołówek i popatrzyła na swoje trzy szkicowniki. Jezu Chryste. Właśnie stworzyła swą pierwszą kolekcję strojów dla kobiet w ciąży! Przyjrzała się trzem rozpoczętym szkicom, wypukłości brzucha rysującej się pod linią piersi. Przygryzła wargi. Może Jeffrey ma rację? Może to obsesja? Mogłaby przysiąc, że nie myślała, przynajmniej nie świadomie, o wizycie u doktora Goldmana. Ale najwyraźniej lewa półkula mózgowa dokładnie wiedziała, co dzieje się w prawej. Cóż, ona,

Karen, nie będzie potrzebować takich ubrań. Wzięła ołówek numer sześć i zamazała wszystkie trzy kartki. Do diabła! Grafit się złamał, a sam ołówek pod naciskiem ręki wygiął się i pękł na pół.

Karen wstała i wyrzuciła go do kosza. Potem podeszła do torebki i wyjęła z niej dwa zdjęcia, ukryte w wewnętrznej kieszonce. Popatrzyła na małą, poważną dziewczynkę i z powrotem je schowała. Może Jeffrey ma słuszość. Może poszukiwania matki tego dziecka to kij włożony w mrowisko.

Cóż, nic już tego ranka nie zrobi. Tym razem to nie kwestia samodyscypliny. Długoletnie doświadczenie nauczyło ją, jak ćwiczyć możliwości twórcze i zmuszać się do siedzenia nad stołem tak długo, aż coś powstanie. Pomogło jej także wyczuwać, kiedy nic takiego nie nastąpi. Teraz był właśnie ten moment. Wiara

w siebie została podkopana. Spójrzmy prawdzie w oczy, powiedziała sobie w duchu. Musisz stworzyć coś naprawdę dobrego, a nie jesteś w stanie.

- Ciociu Karen?

Podniosła głowę, tym razem zadowolona z przeszkody. W drzwiach pojawiła się twarz siostrzenicy, starszej córki Lisy.

- Stephanie! Hura! Dotarłaś do miasta żywa i cała! Gotowa do pracy? -uśmiechnęła się do dziewczyny, choć ogarnęło ją uczucie paniki. O Boże! Jak mogła zapomnieć? Dziś był pierwszy dzień praktyk Stephanie, ale ani Jeffrey, ani Casey nie zdołali nic wymyślić dla niej do roboty. Karen mogłaby kazać jej po prostu pomagać Janet, ale robienie fotokopii to straszna nuda. Miała zamiar postanowić coś w tej sprawie, ale, przez te wszystkie zmartwienia, wywietrzało jej to z głowy.

Spojrzała na swoją siostrzenicę. Cóż to za urocza dziewczyna. Ma cudowny świeży koloryt, którego nie da się później podrobić ani makijażem, ani światłem. Daje go tylko młodość i zdrowie. Ma też idealną figurę, rozmiar ósmy. Karen zastanowiła się przez chwilę. Czy rzeczywiście Stephanie jest idealnym rozmiarem ósmym? Może mogłaby zostać modelką w pracowni. Tangela bywa czasem taka męcząca. Na Siódmej Alei pracowały dwa całkowicie odmienne rodzaje modelek: w pracowni i na wybiegach. Modelki z pracowni nie musiały być młode i piękne (choć to nie przeszkadzało), lecz wymagano od nich ciał o idealnych proporcjach. Używane były jako manekiny i z oryginału, ubrania skrojonego według ich wymiarów, tworzono, przez dodawanie lub odejmowanie centymetrów, inne rozmiary. Dopasowanie jest bardzo ważne, więc dobra modelka, o właściwych proporcjach, miała szansę na stałą pracę i zarabiała masę pieniędzy. Źle dobrana mogła zniszczyć model. W początkach kariery, Ralph Lauren projektował z myślą o swej żonie Ricky. Jako modelkę przy szyciu wszystkich koszul wykorzystywał drobną jak ona dziewczynę, Buffy Birrittellę. Gdy rozmiar tych koszul powiększono, nie pasowały, niestety, na żadną kobietę, która nie była zbudowana tak jak Buffy. A tymczasem Susan Jordan, osobę dobrze po czterdziestce, wciąż zatrudniało trzech kreatorów spod numeru 550, a jej opinie o tym, w czym czuje się dobrze, a w czym nie, decydowały o powodzeniu projektu.

Nigdy jednak nie widywano Susan na pokazach. Po prostu ani teraz, ani przedtem nie wyglądała odpowiednio. Biedna Tangela miała idealne proporcje, ale brakowało jej prezencji. Mogła dobrze zarabiać jako modelka w pracowni, chciała jednak czegoś więcej.

Modelki chodzące po wybiegach (które czasami wykorzystywano także w pracowni) nie musiały mieć tak doskonałych wymiarów. Wymagano od nich urody, młodości i prezencji, dzięki którym zwrócą na siebie uwagę.

Karen nauczyła się, jak ważną rzeczą jest posiadanie na pokazach właściwych dziewcząt. Dobra modelka potrafi sprawić cud - złe projekty wyglądają dobrze, a stare rzeczy jak nowe. Właśnie dlatego modne modelki dostawały tyle pieniędzy, ile żądały.

Obrzuciła siostrzenicę taksującym spojrzeniem. Może nada się do pracowni? Poleci pani Cruz, by ją zmierzyła. Stephanie brakowało pewności siebie i stylu, ale mogła okazać się pomocna w przymierzalni. Chyba nie tylko

poczucie

56
winy, dobre serce i rodzinne zobowiązania skłoniły Karen do jej zatrudnienia. Stephanie może się przydać. Ale co, na miłość boską, teraz z nią począć? Czy pierwszego dnia nie powinna, jako przystało na dobrą ciotkę, wziąć dziewczyny na śniadanie, albo przynajmniej oprowadzić po firmie? Tylko że, po prostu, nie miała na to **czasu**. Spojrzała na zegarek. Straciła już ponad godzinę z ważnego czasu przeznaczonego na projektowanie. Zastanowiła się przez chwilę. Może Janet już przyszła? Zadzwoiła po sekretarkę i ucieszyła się kiedy z głośnika dobiegł jej niski, nosowy głos.

Czy możesz tu przyjść? - zapytała, uśmiechając się do Stephanie.

Janet pojawiła się za plecami dziewczyny.

- Znaie się już, prawda? Janet, wpisz do planu pół godziny dla mnie i Stephanie trochę później dziś rano. Czy mogłabyś ją teraz oprowadzić? Potem zabierz ją do pani Cruz, żeby wzięła miarę. Stephanie, może mogłabyś nam pomoc przy przymiarkach - dodała niedbałym tonem. - Zgoda?

Dziewczyna skinęła głową, a jej oczy rozszerzyły się z przejęcia.

- Po prostu spędzisz rano w salonie, a po południu popatrzysz jak pracuję z Tangelą- uśmiechnęła się Karen. - To ci wiele wyjaśni. Dobrze?

Stephanie znów przytaknęła i Janet wyprowadziła ją z gabinetu.

Karen popatrzyła na zamazane strony leżących przed nią szkicownikow. Wydarła je wyrzuciła i na chwilę zamknęła oczy. Wzięła ołówek i jeszcze raz popatrzyła na puste kartki. Czekwała. Ciągle nic nie przychodziło.

Z biegiem lat nauczyła się rozmaitych sztuczek, by pobudzić natchnienie.

Przeglądała książki o modzie albo albumy malarstwa (często czerpała pomysły z renesansowych strojów).

Wędrowała na piechotę, czasem kilkadziesiąt przecznic, i patrzyła jakie ubrania ludzie noszą, jak je noszą.

Brzydkie rzeczy były czasami bardziej inspirujące od udanych, a Karen interesowały popełniane błędy. Niekiedy wybierała się do sali gimnastycznej, bo gdy zaczynała się ruszać, uaktywniała jakąś część mózgu i obrazy

formowały się same. Otwierała własną szafę. Nie po to by sprawdzić, co w niej jest, ale czego brakuje. Oczywiście, **zapelnianie** pustej przestrzeni nie jest łatwe. Trzeba wyobrazić sobie coś, czego nam potrzeba, a nie rzecz posiadaną. Był to klucz do powstania ważnej części garderoby. Długa dzinsowa spódnica, którą wymyśliła pięć lat temu i która przeszła już do klasyki, wzięła się właśnie z wpatrywania w głębi szafy. Z tego samego źródła pochodziła sukienka z kamizelką o dziesięciu kieszeniach. Oraz sygnowane przez Karen ubrania z dresu. A jeżeli te wszystkie próby podbudzenia natchnienia zawiodły, wybierała się **na** zakupy z Defina. Dużo oglądały, wiele rozmawiały **ze** sprzedawcami i obserwowały innych kupujących.

Może właśnie to powinna dzisiaj zrobić, aby ruszyć z miejsca. Po kłótni z Jeffreyem godzinami nie mogła zasnąć i czuła się teraz tak zmęczona, jakby już był koniec dnia. Nie mogła jednak go po prostu przevegetować. Musiała przygotować się do spotkania z NormCo. Nie opuszczał **jej** stres z powodu pokazu nowej kolekcji w Paryżu i zbliżał się *trunkshow* - prezentacja połączona ze sprzedażą - w Chicago. W tym tygodniu miała spotkać się **na** obiedzie z dziennikarzem z „Women’s Wear”, a najgorsze, że czekał ją duży wywiad dla telewizji. Dla Elle Halle.

Karen zdobyła się już na występ u Barbary Walter, ale tym razem chodziło o godzinny program! Miał on, zdaniem Mercedes, stanowić uzupełnienie Nagrody Oakleya. Aj waj!

Janet, dziewczyna młoda i odczuwająca respekt przed Karen, kręciła się pod drzwiami gabinetu. W końcu zastukała i wsunęła głowę do środka.

- Chciałam tylko przypomnieć pani, że pani Paradise i Elise Elliot znów dzisiaj przychodzą.

Do diabła! Elise Elliot, wielka gwiazda z epoki Audrey Hepburn, wróciła właśnie triumfalnie na ekrany w świetnie przyjętym filmie w reżyserii Larry'ego Cochran. Teraz mieli się pobrać. Fakt, że Cochran był prawie trzydzieści lat młodszy od swej oblubienicy wywołał sporo szumu w Hollywood i Nowym Jorku, miastach które widziały już niejedno. Larry żartował, że po latach wspólnego mieszkania i pracy, ma zamiar uczynić z Elise porządną kobietę. A ona - obiekt plotek czytanych przez dwa pokolenia - zdawała sobie sprawę, że ślub stanie wydarzeniem dla każdego fotografa i kamerzysty, jaki zdoła się tam wkłęcić.

Przybyła do Karen po pomoc, ale nie było to takie proste. Elise Elliot wiedziała wszystko o strojach i była przyzwyczajona do stawiania na swoim. Mimo bogactwa, wciąż liczyła się z każdym groszem. Jednocześnie, tak jak wszystkie wielkie piękności, bolejąc nad gaśnącą urodą i wiotczącą twarzą, po raz ostatni próbowała uzyskać efekt doskonałości. Podczas przymiarek doprowadzała Karen do szału.

- O Jezu!

Za każdym razem, gdy Karen używała tego wykrzyknika Janet, miła katoliczka z Bronxu, kuliła się w sobie.

Parafialne wychowanie dało jej jednak w spadku również to, że jako jedyna dziewczyna przed trzydziestką pisała ortograficznie. Zakonnice nauczyły ją nie tylko poczucia winy. Wszczepiły także Janet zdolność radzenia sobie z wciąż zmieniającym się planem dnia Karen. Tak, siostry dobrze wyedukowały swą wychowankę. Przygotowały ją na to, że sytuacja może zmienić się na gorsze.

- Czy chce pani przesunąć spotkanie? - zapytała Janet. - Powiedziałam, że ten termin może ulec zmianie, a one odparły, że są elastyczne.

Kłamały. Elise Elliot była elastyczna jak bryła cementu. Bryła wyrafinowana, czarująca, smukła i piękna, ale jednak bryła.

- Nie - oświadczyła Karen. Mimo wszystko, nie można przekładać spotkania z legendą. Elise Elliot była gwiazdą filmową od prawie trzydziestu lat. Projekt sukni ślubnej pojawi się w mediach, trafi do magazynu „People”. Cała sprawa stała jednak Karen już kością w gardle i nigdy by się na to wszystko nie zdecydowała, gdyby pisarka, Annie

Paradise jej nie poprosiła. To Annie poleciła jej Ernestę i Karen z wdzięczności wyświadczyłaby jej niemal każdą przysługę.

- Wie pani, że po południu przychodzi ekipa telewizyjna?

Tego już za wiele! Boże, kiedy jej praca stanie się wreszcie łatwiejsza?

- Nie, nie wiedziałam. Myślałam, że mają już wszystko poza wywiadem z Elle Halle. Sądziłam, że wczorajsze nagrania Jeffreya kończą sprawę.

58

- Powiedzieli, że potrzeba im trochę tła. Wie pani, salon, pracownia, może jeszcze jedna przymiarka. f _ r

- Cholera! - również ekipie z telewizji Karen me mogła odmowie, bkaąd to wrażenie, że im bardziej jest znana, tym bardziej traci nad wszystkim kontrolę? - Powiedz Mercedes, aby się nimi zajęła. Zawsze wprowadzają bałagan. A mnie nie ma.

- Jasne, w porządku - Janet wycofała się z gabinetu.

Karen stwierdziła, że musi wyjść. Zgarnie to wszystko z biurka i jeśli Defina jest w lepszym nastroju, przejdą się razem do domu towarowego Saksa, albo może zadzwoniąpo samochód i pojedą aż do Paramus. Karen wolała robić zakupy w podmiejskich centrach niż w mniej odpowiadających rzeczywistości nowojorskich sklepach. Jakoś dostarczały jej więcej pomysłów. Na razie jednak koniec z rysowaniem. Zebrała szkicowniki i wrzuciła do szerokiej, pustej szuflady, gdzie było ich miejsce. Wtedy właśnie do gabinetu wszedł Jeffrey.

- Cześć, kochanie-pozdrowił ją wesoło.

Karen ze zdziwienia aż zamrugła oczami. Mężczyźni są naprawdę niesamowici Czy on naprawdę nic nie rozumie? Po ostatniej nocnej rozmowie wciąż była przygnębiona. Zraniona i rozczarowana. No i zła na niego o niezapłacenie podatku. Mówiła mu, żeby tego więcej nie robił. Jeffrey nakłonił ją do powiększenia firmy, ale zapewniał, że mająwystarczające zaplecze kapitałowe. Cała sprawa doprowadzała ją do szału, ale jeśli zaczną o tym rozmawiać, pokłócą się, a ona nie doszła jeszcze do siebie po ostatniej nocy.

Dlaczego on zachowuje się, jakby nic się nie stało? Czy me rozumie, co znaczyła dla niej ostatnia rozmowa? Czy sam nie czuje się zraniony? A może po prostu nadrabia bezczelnością? Czasami, gdy jej podpadł, zachowywał się w ten sposób Dzięki tej taktyce Karen czuła się niepewna i bezbronna. Czy powinna udawać, że nic się nie stało?

Zacząć awanturę? A może traktować go chłodno, ryzykując, że oskarży ją o przewrażliwienie i czepialstwo? Nie wiedząc co począć, Karen zdecydowała poruszyć kwestię podatku. Była łatwiejsza mz sprawa

- Jeffrey, co z tymi podatkami? Znowu mamy jakieś kłopoty?

- Nie - mruknięcie oczami stanowiło jedyny sygnał zaskoczenia.
- Czy został zapłacony?
- JeszCze nie.
- Dlaczego? Czy to nie pora? .
- Karen czemu nie pozwolisz mi prowadzić firmy? Wiedziałaś, że jeśli spróbujemy przygotować tańszą kolekcję, to bez kilku dobrych sezonów me będziemy w stanie spłacić pożyczek. Cóż, zamówienia są, ale me mamy płynności gotówki i pośrednicy sprawiają trochę kłopotów. Próbujępo prostu spłacać te wszystkie materiały, które kupujesz bez opamiętania i dawać producentom tyle, by me przestali ich przysyłać. Wiedzieliśmy, że suma pożyczki wzrośnie, zanim zaczną spadać, ale nie zdawaliśmy sobie sprawy, że wzrośnie aż tak bardzo, a termin płatności za nasze wyroby wyniesie pięćdziesiąt dni. Jeśli więc muszę pożyczyć od Piotra by spłacić Pawła, robię to tylko tymczasowo. Musimy dbać, by

pośrednicy byli zadowoleni i nie mieli co do nas wątpliwości. Urząd Skarbowy nigdy nie jest zadowolony, więc co za różnica?

- Taka różnica, że nie są to nasze pieniądze. Pracownicy już je zarobili. Powiedziałeś, że więcej tego nie zrobisz.

- Cóż, zrobiłem. Nie patrz na mnie, jakbym był jakimś kryminalistą. Robię to dla ciebie. Traktuj to jak tymczasową pożyczkę od ukochanych pracowników, wynegocjowaną przez ukochanego męża - pocałował ją w policzek. -

Chciałbym przejrzeć z tobą dane finansowe przed spotkaniem z NormCo - powiedział miłym głosem. - Wtedy lepiej wszystko zrozumiesz. Gdybyś nie urządziła tego głupiego śniadania, zrobilibyśmy to w weekend.

Karen zaprosiła swoją i jego rodzinę do domu w Westport. Musiała to zrobić. Nie dostali zaproszeń na wręczenie nagrody i już od miesiący ich nie odwiedzali. Wobec zbliżającej się uroczystości *bat micwah* swojej siostrzenicy, Karen czuła się zobowiązana zorganizować wcześniej rodzinne spotkanie.

- Wiem, że nie lubisz przeglądać danych - Jeffrey spojrzał na plik papierów.

- Nie ma sprawy - odparła, myśląc z bólem serca, że chyba nigdy nie zabierze się do pracy.

- Mam czas dzisiaj po południu - powiedział. - To ważne, byś zrozumiała wszystkie dane, na wypadek gdyby cię spytali. Jeśli wyjdiesz na kogoś, kto próbuje mydlić oczy, podważysz naszą wiarygodność.

To on nie był wiarygodny. Biznes, jakby nic się nie stało. Jakby zeszłej nocy nie było, albo nic nie znaczyła.

- Jeffrey, nie jestem idiotką i nikomu nie mydlę oczu - warknęła.

- Och, wiesz co mam na myśli - pomachał ręką. - Nie chcę, żeby myśleli, że nie masz pojęcia o interesach i jesteś tylko jakąś głupią projektantką.

Popatrzyła na niego nieruchomym wzrokiem.

- Dlaczego miałiby tak pomyśleć? - zapytała. - Czy ty tak uważasz?

- Ależ skąd. Ja to wiem. Karen nie spodobał się ten żart.

- Mam sporo pracy - powiedziała chłodno i zadzwoniła na Janet. - Przyślij mi Definę - powiedziała. - Jestem gotowa. Jeffrey wiedział, że go odprawiono. Nie lubił tego.

- Czekaj na mnie w południe - powiedział. - Mamy dużo do przejrzania - odwrócił się i usiłował trzasnąć drzwiami, ale Karen już wiele lat temu, przezornie założyła w nich automatyczny zamek z kompresorem. Nikt nie będzie w jej gabinecie trzaskał na nią drzwiami. Zobaczyła jeszcze jak Jeffrey dumnym krokiem minął w hallu Definę.

Zignorował ją.

- Jakiś ty radosny - zawołała za nim, wbiegając do gabinetu. - Gdy tak na was dziś patrzę cieszę się, że nie jestem mężatką - powiedziała wesoło. - Co się stało?

- Mężczyźni. Nie da się z nimi wytrzymać...
- Ale nie da się wytrzymać bez nich - dokończyła Defina. - Co jeszcze?
- Kiedy wszystko idzie źle... - zaczęła Karen.

78

- Idziemy po zakupy! - wykrzyknęła przyjaciółka, znów kończąc zdanie. Z uśmiechem czekała, aż Karen umaluje usta i weźmie torebkę.
- Jedną rzecz wiem na pewno - powiedziała. Karen - Nie mam zamiaru tu wracać, by zobaczyć się z nim o dwunatej
- przystanęła na chwilę przy biurku Janet. - Odwołaj modelki, sprawdź czy możesz przesunąć przymiarke Panny Elliot na jutro i powiedz mojemu mężowi, że o próbie prezentacji dla NormCo może zapomnieć. Nie wrócę przez trzecią - długim krokiem ruszyła przez hall z Definą u boku.
- Kochanie - powiedziała z aprobatą przyjaciółka. - Stanowisz senny koszmar każdego męża - żona z własną złotą kartą kredytową.
- Dzwoni pani siostra! - zawołała nowa recepcjonistka, gdy były już przy windzie. - Odbierze pani telefon? Do licha! Karen uświadomiła sobie, że ciągle jeszcze nie skontaktowała się z Lisą. Kolejna rzecz, jaką powinna zrobić.
- Proszę powiedzieć, że zadzwonię do niej z samochodu - burknęła i wraz z Definą weszły do stalowej komory windy.

Rozdział 6

Zmysł zakupów

Lisa zamknęła drzwi frontowe i odetchnęła z ulgą. Koszmar po ranka nareszcie się skończył. Nie było gorzej niż zwykle, ale już sama codzienność przedstawiała się wystarczająco okropnie. Udało jej się zignorować nieprzyzwoicie krótką spódnicę Stephanie i wręcz niedopuszczalnie gruby tyłek Tiffany, powstrzymując jednocześnie obie córki od wyklócania się bardziej niż koniecznie musiały, w obecności ojca. Zdołała wyprawić z domu Leonarda, a nawet wyciągnąć od niego parę stówek po pozorem zmiany oleju w mercedesie. Do diabła z mercedesem, wyda te pieniądze na własne potrzeby. Co prawda dwieście dolarów to niewiele, ale Lisie zawsze brakowało gotówki. Przynajmniej nie będzie chodzić z pustą torebką.

Odwróciła się i przeszła przez hall czterospialniowego domu w stylu kolonialnym. Przystanąła w drzwiach pokoju śniadaniowego i przyjrzała się resztkom posiłku. Stephanie, jak zwykle, nic nie zjadła, zaś Tiffany wylizała nie tylko swój talerz, ale także siostry i ojca. Lisa widziała tę scenę odbitą w oszklonych drzwiach. Nie powiedziała ani słowa. Nie miała siły na kolejną awanturę. Pokręciła głową. Dziewczyna nie ma jeszcze trzynastu lat, a już nosi czternasty rozmiar. Na *bat micwah* będzie wyglądać beznadziejnie.

Lisa skrzywiła się, wyobrażając sobie satysfakcję żmij z Centrum Żydowskiego w Inwood. I nie ma na to żadnej rady. Choć oboje z Leonardem będą upokorzeni, wiedziała z doświadczenia, że nakłanianie Tiffany, prośbą czy groźbą, do przejścia na dietę jest stratą czasu. I tak przez dwa lata z rzędu wysyłali ją na obozy dla odchudzających się, gdzie za każdym razem utyla. Czy żuła korę z drzew i tym się upasła? Lisa do tej pory nie dowiedziała się, jak córka zdołała to zrobić. Podobnie zresztą kierownik ostatniego obozu, który „zasugerował”, by posłano Tiff do psychologa, zamiast na kolejny wyjazd w tym roku.

Lisa odeszła od stołu. Camille, jej pomoc domowa, przyjdzie o dziewiątej i uprzątnie ten bałagan. Widok ściętych żółtek wysychających na talerzach przyprawiał o mdłości i wytrącał z równowagi. No i co z tego, że nie potrafi zapanować

62

nad nieletnią córką. Chcecie to mnie sądzić, pomyślała. Potrafiła za to panować nad własnym wyglądem i wiedziała, że na *bat micwah* nikt jej nie dorówna. To okazja by zabłysnąć. Sama przyznawała, że jednym z jej życiowych problemów jest fakt posiadania cudownych ubrań i niedostatek miejsc, w których mogłaby je pokazywać. Uroczystość to szansa, która pozwoli jej zaprezentować się od najlepszej strony.

Dzisiaj musi znaleźć buty. Choć obiecała sobie, że ostatnia para od Waltera Steigersa to absolutny koniec tego rodzaju wydatków, udało jej się trafić, podczas zakupów z Bellą w domu towarowym Neimana-Marcusa, na przeceniony garnitur Donny Karan. Tańszy o pięćdziesiąt procent. Prawdziwy znak od Boga, że był Lisie przeznaczony. Cudowny kolor, w sam raz dla niej - gruby jedwab w odcieniu czerwonego wina, z kontrastującymi złotymi guzikami. Przy ciemnych włosach pięknie rozświetlał twarz. Lisa miała szminkę w dokładnie takim samym kolorze. Jedyne problem stanowiły buty.

Obcasy wiśniowej pary zamszowych pantofli od Manolo Blahnika były trochę za wysokie do garnituru. Nie znosiła frywolnego zestawienia spodni i butów na obcasach, a poza tym, kolor zamszu nie miał delikatnego różowawego odcienia jedwabiu. Na upartego można by je założyć, ale Lisa nie cierpiała stylu „a-co-mi-tam-prawie-pasują”. Już lepsze były czarne pantofle. Kiedy jednak przymierzyła do garnituru trzy pary - buty z wężowej skóry, jedwabiu i lakierki - okazało się, że żadne z nich nie są takie jak trzeba. Zaplanowała więc na dzisiaj szukanie czegoś odpowiedniego.

Ubrała się starannie. Uważała, że to ważne by ładnie wyglądać podczas robienia zakupów. Inaczej kończą się kupowaniem byle czego z rozpaczliwej chęci poprawy wyglądu i wtedy właśnie człowiek popełnia omyłki. Z biegiem czasu Lisa nauczyła się ubierać zależnie od celu wyprawy do sklepu. Nakładała pończochy i pantofle na obcasach gdy szukała sukienki, nie nosiła skomplikowanych pasków i zapiec, jeśli czekało ją wiele przymiarek i tak malowała się, by okropne światło przymierzami nie odbierało jej chęci do życia. Rada, jakiej mogłaby udzielić każdej Amerykance brzmiała: „Kiedy idziesz na zakupy, nie żałuj podkładu”.

Po prysznicu i podkręceniu włosów, zrobiła staranny makijaż i udała się do garderoby. Nie była tak obszerna jak jej matki, bo po prostu brakowało miejsca. Panował w niej chaos w takim samym stopniu, jak u Belli porządek. Ale Lisa w ogóle hołdowała odmiennym zwyczajom, jeśli chodzi o modę. W przeciwieństwie do Belli, nie ubierała się latami w tym samym stylu. Nie trzymała rzeczy przez dziesięć sezonów. Nie skracała spódnic, by po pewnym czasie znów je podłu-zać. Stale dodawała lub wyrzucała coś ze swojej garderoby. Jej styl w każdej chwili mógł ulec gwałtownej zmianie. I tak się działo.

Dziwne, ale ilekroć czuła, że ma wszystko czego potrzebuje i jest zadowolona z zawartości swej szafy, otwierała „Vogue” czy „Elle” i znajdowała w nich zupełnie nowe propozycje. Czasem odkładała pismo na bok, ale i tak nowości nie pozwalały o sobie zapomnieć. Prędzej czy później zaczynała nerwowo przeglądać ubrania: zsuwające się z wieszaków jedwabne swetry, spodnie z mankietami i bez, zamszowe marynarki, tweedowe kurtki, obcisłe spódnice, suknie z dzianiny - orgię

kolorów, tkanin i fasonów. Wydawały się jednak stare, nudne i niemodne. Cały ich styl przepadł, ulotnił się w nocy, niby kosztowne perfumy z nie zakorkowanej butelki. Wszystkie te cudowne jedwabie, wełny i płótna robiły wrażenie przestarzałych - kolory zbyt mocne, pastele zbyt wyblakłe, krój za bardzo dopasowany albo za luźny. Nowe zdjęcia w czasopismach wywierały na Lisę magiczny wpływ. Musiała mieć te rzeczy. Żadne inne jej nie pociągały. Walczyła z tym uczuciem, czasem tydzień, czasem jeszcze dłużej, aż codzienne ubieranie stawało się torturą. Czuła się stara jak te przerażające kobiety, które czasami widywała, ubrane i uczesane według mody z jakiejś odległej epoki, może z czasów, kiedy były kochane. Boże, jak bardzo Lisa nie znosiła ich niemodnego, żalostnego wyglądu! W końcu udawała się do centrum handlowego, gdzie wybierała jedną czy dwie rzeczy nowego fasonu, obiecując sobie, że niczego poza tym nie kupi.

Kiedy po powrocie do domu wieszła nowe nabytki w przepelnionej garderobie, widziała, jak beznadziejne są jej stare ubrania. Po prostu nie mogła ich znieść. To było okropne. Zaczynała więc kupować od początku i wydawało się, że ten proces nigdy się nie skończy. Czasem zastanawiała się, czy nie cierpi na zwielokrotnienie jaźni; czy jakaś inna Lisa nie kupuje nowych rzeczy?

Leonard stracił cierpliwość już wiele lat temu. Powiedział, że moda to tylko nabieranie kobiet, żeby kupowały ubrania. Jak większość mężczyzn, nic z tego nie rozumiał. Szczerze mówiąc, nie miał również takich dochodów jak kiedyś, ale kto je miał w latach dziewięćdziesiątych? Jednak nawet jeśli ubyło mu paru pacjentów a dłużnicy ociągali się z zapłatą, i tak w głębi duszy był sknerą. Lisa sądziła, że może także powoduje nim zazdrość. Od czasu gdy się pobrali wyłysiał i przytył, a ona wciąż nosiła rozmiar szósty. Nie była pewna, czy Leonard życzy sobie, aby zbyt ładnie wyglądała. A z całą pewnością nie życzył sobie płacić za to więcej niż dolara.

Gdyby wiedziała, że będzie się tak zachowywał, nigdy by za niego nie wyszła. Pocieszała się jednak myślą że jak na brunetkę i tak zrobiła wszystko co mogła. Błąd polegał na tym, że nie sprzedała się lepiej dziesięć lat temu, tak jak niektóre znajome, i wciąż tkwiła w Inwood z dermatologiem, zamiast mieszkać przy Park Avenue z chirurgiem.

Wyrwało jej się ciężkie westchnienie.

Mogłaby żyć na przyzwoitym poziomie, gdyby tylko miała więcej forsy. Ale skąd ją wziąć? Nie była taka jak siostra. Karen potrafiła zarabiać pieniądze, a Lisa je wydawać. Oczywiście, miała trochę udziałów w KKInc, lecz Leonard ciągle jej powtarzał, że nie może ich sprzedać, ponieważ firma jest prywatną własnością. Lisa nie rozumiała, na czym polega różnica, ale najwyraźniej taka istniała. Uważała więc swe udziały za bezwartościowe papiery i gdy rozpaczliwie brakowało jej pieniędzy, robiła czystkę w garderobie. Targała stos rzeczy do sklepu z używaną odzieżą. Pewnego miesiąca otrzymała tym sposobem czek na siedemset pięćdziesiąt dziewięć dolarów. Oczywiście ubrania,

które sprzedawała, kosztowały ją dziesięć razy tyle, ale i tak by ich już nie nosiła. Za te pieniądze kupiła sobie świetną torbę z aligatora, chociaż niezupełnie taką jak chciała. I tym razem musiała iść na kompromis.

83

Miała wrażenie, jakby wszystko w jej życiu od chwili małżeństwa, było jednym wielkim ustępstwem. W szkole średniej Lisa była najładniejszą dziewczyną. Pragnęła wynieść się z nijakiego Rockville Centre do któregoś z Pięciu Miast. Jej upór sprawił, że wynajęli mieszkanie w Inwood, a kiedy stać ich było na kupno domu, Leonard uparł się, by pozostali w tym samym mieście. Chciał dalej umacniać swą lekarską praktykę. Jednak Inwood było najmniej ekskluzywne (a tym samym dla Lisy najmniej atrakcyjne) z Pięciu Miast. Równie dobrze mogłaby mieszkać na Syberii. Nienawidziła chwili, gdy rozmawiając z jakąś kobietą czy kupując coś w Sak-sie, musiała podać swój adres i usłyszeć tę trwającą ułamek sekundy ciszę. „Ach, w Inwood”, padało po chwili. Lisa nie ubierała się ani nie wyglądała jak osoba z Inwood. Wyglądała jak żona chirurga z Lawrence. Czuła się zdegradowana. Spośród następujących po sobie w kolejności znaczenia Lawrence, Woodmere, Cedar-hurst, Hewlett i Inwood, przedmiotem pożądania Lisy było ekskluzywne Lawrence i pragnęła go z namiętnością zarezerwowaną jedynie dla sukni od Calvina Kleina.

Teraz, z westchnieniem, porzuciła tęczową zawartość garderoby i podeszła do telefonu stojącego przy łóżku, które wciąż dzieliła z Leonardem. Nie zносиła siadania na rozrzuconej, nieświeżej pościeli. Stała przy nocnym stoliku i podniosła słuchawkę. Niepokoiła się o Karen. Zeszłego wieczoru wyglądała okropnie. Ziemista cera, zapuchnięta twarz. Obiecała zatelefonować, więc dlaczego tego nie zrobiła? Lisa jeszcze raz do niej zadzwoni.

Wykręciła numer biura. Nigdy nie pamiętała numerów wewnętrznych, nawet prywatnej linii Leonarda. Poprosiła Karen, a recepcjonistka rozpoznała jej głos.

- Czy to siostra? - spytała. Lisa potwierdziła zadowolona. - Cóż, właśnie wychodzi, ale zatrzymam ją dla pani.

Nie zawracała sobie głowy dziękowaniem. Wiedziała, że mała próbuje po prostu zdobyć sobie u nich obu parę punktów. Postukując pantoflem czekała, aż Karen podejdzie do telefonu. Kochała swoją siostrę, choć ona, zupełnie mimowolnie, sprawiała czasem, że Lisa czuła się, jakby jej w ogóle nie było. Na przykład nie zadzwoniła wczoraj wieczorem. A kiedy Lisa opowiadała jej przy obiedzie o szczegółach *bat micwah*, patrzyła nieobecny wzrokiem. Czekala teraz na siostrę z nieprzyjemnym uczuciem, że staje się dla niej jakby przezroczysta. Przez głowę przemknęła jej myśl o Martym McFly'u z „Powrotu do przyszłości” i o tym jak zaczął znikać. Grał na gitarze, a jego ręka rozplywała się w powietrzu. Lisa popatrzyła na własną rękę, trzymającą słuchawkę. Wszystko w porządku. Jest tutaj, istnieje, a za chwilę porozmawia z Karen.

- Powiedziała, że zadzwoni do pani z samochodu - usłyszała jedynie głos sekretarki.

Przygryzła język, choć nie na tyle, by naprawdę zaboląo.

- W porządku - powiedziała i odłożyła słuchawkę. Nic się nie stało, mówiła sobie. Karen jest zajęta; prowadzi dużą firmę. Poczula jednak, że energia wypływa z niej, jak brudna woda z wanny.

Czasem wydawało jej się, że życie innych ludzi jest znacznie prawdziwsze niż jej własne. Bez entuzjazmu wróciła do swego żmudnego zajęcia - ubierania. Kim będzie dzisiaj?

5 - Spóźniona moda

65

- Czy wszystko gotowe na *trunk show!* - zapytała Karen Definę, kiedy już znalazły się w limuzynie.

- Zabawne, że o to pytasz. Mam przy sobie listę - Defina wyciągnęła wydruk ze swej ogromnej torby firmy Bottega Veneta. Jak większość kobiet w Nowym Jorku, obie przyjaciółki nosiły ze sobą coś, co Karen nazywała torbą włóczykija. Były to albo wielkie workowate sakwy, albo płócienne lub skórzane torby na zakupy, noszone razem z mniejszą torebką. Karen myślała, że któregoś dnia chciałaby zaprojektować idealną torbę włóczykija, z wystarczającą ilością miejsca na cały śmietnik, jaki kobiety ze sobą ciągną a jednocześnie nie kłócać się ze strojem.

- Gdzie jedziemy? - zapytał kierowca.

- Dobre pytanie - Defina odwróciła się do przyjaciółki. - Gdzie jedziemy? - powtórzyła jak echo.

W przeszłość, miała ochotę odpowiedzieć Karen. W lata siedemdziesiąte, kiedy kobiety robiły jeszcze zakupy w magazynach określanych w świecie mody jako Cztery B: Bonwit, Bendel, Bergdorf i Bloomingdale. Do czasów, kiedy moje jajniki były zdrowe, praca mnie pasjonowała i miałam wybór w kwestii posiadania dziecka. Ale Bonwit został zamknięty, Bloomingdale sprzedany, a Bendel przeniesiony. Wszystko się pozmieniało. Nie ma sensu oglądać się za siebie.

- Pojedźmy do nowego Barneya - zawołała Karen. - Prosimy na róg Madison i Sześćdziesiątej Pierwszej Ulicy. W latach siedemdziesiątych Barney nazywał się jeszcze „Barney's Boys Town” i był wielkim sklepem specjalizującym się w męskich i chłopięcych garniturach. Stanowił własność rodziny Pressmanów. Wciąż do nich należał, choć Barney dawno przeszedł na emeryturę, a jego syn Fred przekazał pałeczkę swoim dzieciom, Gene'mu i Bobowi. Nie dalej jak w zeszłym roku zdobyli się na ogromny krok, przenosząc magazyn z okolic Chelsea na Madison Avenue. Znajdowali się teraz na północnym krańcu archipelagu domów towarowych, w delcie rzeki butików zalewającej aleję. Barney's był modnym miejscem zakupów.

- Popatrzymy na kobiety u Barneya, a potem przejdziemy się Madison Avenue.

- Czy możemy zjeść lunch w „Bice”?- zapytała Defina. Restauracja-o nazwie wymawianej Bi-czej - była teraz modna wśród ludzi z branży, ale mimo świetnego jedzenia Karen nie znosiła panującego w niej hałasu.

- Boże, przecież dopiero dziesięć po dziesiątej. Jak możesz już myśleć o lunchu?

- Lubię planować zawczasu - odparła Defina. - To mój zawód. A więc? Co z „Bice”?

- No, dobrze - zgodziła się Karen.

Limuzyna skręciła w lewo, w Trzydziątą Czwartą Ulicę i skierowała się na wschód, ku Madison Avenue. Karen usiadła głębiej w fotelu; schowana za ciemnymi okularami i przydymionymi szybami samochodu wyglądała na

zewnątrz. Tłum, jak zwykle, prezentował głównie dwa typy postaw nowojorskiej ulicy wobec mody. Jedne kobiety uważały, że wśród zbiorowości ludzkiej jakimś cudem

66

stają się niewidzialne, więc mogą nosić podarte dresy, wałki we włosach i wczorajszy makijaż. Karen zastanawiała się, co zrobią jeśli wpadną na kogoś znajomego. Na przeciwnym krańcu skali mieściły się osoby, ubierające się na ulicę, jakby to był ich prywatny teatr. Ale nie było ich wiele. Na Trzydziestej Czwartej Ulicy robiła zakupy nowojorska klasa średnia, lub to co z niej pozostało. Dni chwały, kiedy Gimbel miał sekrety przed Macy'm, a Orbach wysyłał ukrytych rysowników na paryskie pokazy, by przed innymi zdobyć kopie modnych modeli, dawno przeminęły. Sklep Gimbela zamknięto, Orbacha już nie istniał, zniknęła nawet stara, dostojna firma B. Altman. Tylko dom towarowy Macy'ego nadawał jeszcze okolicy dawny charakter. Karen patrzyła jak potok ludzi wjaskrawokolorowych, źle dopasowanych płaszczach i kurtkach przepychał się do środka przez obrotowe drzwi od strony Herald Square. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

- Proszę się zatrzymać - powiedziała.

- Cholera. Wiedziałam. Nici z „Bice”.

- Czy może pan tu stanąć i poczekać na nas? - Karen zapytała kierowcę, nie zwracając uwagi na zrzęczenie Defmy.

- Droga pani, sam Jezus nie mógłby zaparkować na Trzydziestej Czwartej. A jeśli zrobię kółko, to może mi to zająć czterdzieści pięć minut.

- W porządku - powiedziała. - W takim razie dziękujemy. Złapiemy stąd taksówkę - otworzyła drzwi, zanim kierowca zdążył wysiąść.

- Najkrótszajazda limuzyną historii - utyskiwała Defina. -Karen, Ma-cy's jest dwie przecznice od biura.

- Nie wiedziałam, że pójdziemy do Macy'ego - odparła przyjaciółka.

- Aha. -Szkoda, że to robimy - Defina rozejrzała się wokół i pokręciła głową.

Karen musiała przyznać, że siedzący wzdłuż ogrodzenia bezdomni oraz rozrzucone przez wiatr po ulicy gazety i śmiecie, nie nadawały okolicy miłego wyglądu.

- Skarbie, jesteś pewna, że nie pomyliłaś Madison Avenue z Madison Square Garden? Pierwsza nazwa oznacza piękną ulicę z mnóstwem rzeczy, które chciałabyś mieć, a druga miejsce gdzie wrzaskliwi kibice hokejowi z Long Island rozwalają sobie głowy. Tam mamy bliżej.

Nie zwracając uwagi na Definę, Karen ruszyła w kierunku północnego wejścia do Macy'ego.

- Chcę zobaczyć, jak żyje druga połowa ludzkości - powiedziała głośno.

- No cóż, kochanie, jeśli weźmiesz mnie na lunch do Bice, zabiorę cię do Harlemu.

Karen zmierzyła ją tylko wzrokiem i obie wepchnęły się w drzwi domu towarowego.

Macy's to bazar, suk, agora. Od czasu gdy powstały targowiska, ludzkość ciągle starała się dopracować czegoś tak złożonego i różnorodnego jak ten magazyn przy Trzydziestej Czwartej Ulicy.

- Tutaj robią zakupy prawdziwi ludzie - powiedziała Karen do Definy, idąc w kierunku ruchomych schodów.

87

Na parterze, gdzie metraż był najdroższy, a tłok najgęstszy, sprzedawano dodatki, oferty specjalne i drobiazgi o wygórowanych cenach: kosmetyki, biżuterię itp. Karen zapuściła się między dwie długie lady, na których wystawiono niezbyt drogie torebki. Zdumiewający wybór, ale całość niezwykle ciekawa. Zatrzymała się na chwilę i wzięła do ręki czarną skórzaną torbę. Kopertówkę o ładnym kształcie ktoś zniszczył przyczepiając frędzle u dołu. Karen trąciła je palcem i odwróciła się ku przyjaciółce.

- Dlaczego? - zapytała.

Defina wzruszyła ramionami. Przeszły ku ruchomym schodom. W drodze na drugie piętro, Karen patrzyła na panoramę sklepu. Był ogromny. Sprzedażą

1 zakupami musiały się tu zajmować setki ludzi. Wśród tych ostatnich przewarzały kobiety w nieustannej pogoni za urodą.

Wzrok Karen przesunął się na sąsiednie schody. W dół płynął nieprzerwany strumień ludzi zwróconych twarzami w stronę wjeżdżających na górę. Jak zwykle, zadziwił ją sposób w jaki kobiety - skutecznie lub nie - kształtowały swój wygląd. Oto młoda businesswoman w jaskrawozielonym kostiumie i nastolatka w ciekawej kombinacji dzinsu ze szkocką kratą. Karen nauczyła się wiele chodząc tylko po centrach handlowych i mając uszy i oczy otwarte. Teraz, dziesięć po dziesiątej rano, klientki przemierzające magazyn miały zrozpaczone oczy porannych alkoholiczek. Starsza kobieta w kremowej dzianinie od Adolfo sięgała do wieszaka z przecenionymi rzeczami.

Siedmiocentymetrowe szpony pomalowała wściekle pomarańczowym lakierem, którego odcień pasował do jej szminki. Karen trąciła Dermę łokciem.

- Wiesz, co masz ze mną zrobić, jeśli do tego dojdę? - przypomniała jej.

- Przebrać?

- Nie. Strzelić w głowę.

- Skarbie, jeśli doprowadzisz się do takiego stanu, będziesz zbyt żałosna, by cię zastrzelić.

1 wtedy właśnie Karen ją zobaczyła. Kobieta stała sama, przed nią i za nią na schodach nie było nikogo. Choć w podeszłym wieku i przygarbiona, wciąż jeszcze mogła uchodzić za wysoką. W jednej ręce trzymała zniszczoną torbę, nie wyglądającą na najnowszy zakup. Karen, jadąc w górę, skoncentrowała się na twarzy zjeżdżającej kobiety. Przypominała jej własną, a raczej to, co się z nią stanie za dwadzieścia lat. Ta sama kwadratowa głowa, duży nos, szerokie usta. Przygryzła wargę i poczuła, jak jej palce wpijają się w ramię Definy.

- Spójrz na nią - syknęła, ale nim przyjaciółka odwróciła głowę, kobieta już je minęła. Karen, wyciągając szyję, zobaczyła tylko niebieski sweter i siwe włosy. - Wyglądała jak moja matka - zawołała.

- Oszalałaś? Twoja matka jest dwa razy mniejsza od tej staruchy. I prędzej by umarła niż dała się przyłapać w takich szmatach - powiedziała Defina.

Karen uświadomiła sobie, że to co mówi nie ma sensu. Przynajmniej dla Definy. Czyja dostaje bzika, zastanowiła się. Spędziłam poranek szkicując stroje dla ciężarnych, a teraz wyobrażam sobie, że widzę moją prawdziwą matkę na ruchomych schodach u Macy'ego. Muszę wziąć się w garść.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Defina.

89

- Pewnie. Lepiej nie można.

Na drugim piętrze Karen zrobiła szybką rundę wzdłuż rzędu nocnych koszul. Wszystkie były spaskudzone byle jaką koronką haftem lub wstążką imitacji ałasu. Westchnęła. Po tygodniu, po pierwszym praniu, zdefasonują się i będą wyglądały jak szmaty. Wiedziała, że ubrania niskiej jakości pokrywane są tanimi ozdobami. Falbanki, koronka z poliestru, kwiaty ze sztucznego jedwabiu odwracały uwagę od tandetnego materiału i kiepskiego projektu. Dlaczego jednak nie było tu choćby jednej prostej nocnej koszuli z egipskiej bawełny? No dobrze, nie musi być zaraz egipska. Wystarczy zwyczajna. Albo choćby batyst, o ileż lepszy od tego syntetycznego śmiecia. Z dawnych lekcji historii mody w szkole, Karen pamiętała, że batyst pierwotnie wyrabiany był z lnu we francuskim mieście Cambri. Westchnęła, patrząc na nędzne koszule. Dlaczego Amerykanki dają się tak oszukiwać? Francuzka prędzej by umarła niż włożyła takie świństwo. Potrząsnęła głową.

- Boże, oszczędź mi jeszcze jednego przemówienia na temat

„dlaczego-nie-uszyją-ich-prosto-aby-i-biedni-ludzie-mieli-coś-dobrej-jakości”?-Defina nie zrozumiała tego, co Karen mówiła o matce, ale dziewięć razy na dziesięć wiedziała o czym myśli jej przyjaciółka.

Karen rzuciła ostatnie spojrzenie na tanie koszule. Kokardy i falbanki, które będą wyglądały okropnie po pierwszym praniu, dawały to, co w branży odzieżowej nazywano „wyglądem na wieszaku”. Czy biedacy naprawdę myślą, że dzięki wstrętnym przeladowanym projektom otrzymują coś więcej? Nawet papierowe ręczniki psuto drukowanymi wzorkami w jednoróżce lub pielgrzymów. Tak jak inni wierzą w Biblię lub nitkowanie zębów, Karen w głębi duszy wierzyła, że forma powinna być pochodną funkcji. Jeżeli jednak była to jej religia, najwyraźniej wyznawała ją w osamotnieniu.

- Chodźmy obejrzyć butiki projektantów, a potem tańsze ubrania na co dzień - zaproponowała, a Defina wzruszyła ramionami.

- Ty jesteś tu szefem. Nie pojmuję tylko, dlaczego chcesz oglądać grube baby przymierzające spodnie z wiskozy.

- Gorycz nie zdoła młodości - przypomniała jej Karen.

- Kto tu jest młody? - zapytała Defina.

Sprawdziły, co dzieje się w butikach KInc. Piętro projektantów wydawało się większe i bardziej zatłoczone niż zwykle. Ile czasu potrzeba, żeby to wszystko obejrzeć? Wiele godzin. Karen na samą myśl o tym już czuła się zmęczona. Magazyn Macy'sego zapewniał przestrzeń, ale tylko dlatego, że ją miał. W domach towarowych zawsze toczyły się boje o miejsce na prezentację strojów. Jeśli klienci nie widzą towarów, jakim cudem mają je kupić? Z lepszych projektantów o przestrzeń walczyli Ralph Lauren, Donna Karan i Armani. W przypadku tańszych kolekcji sytuacja zmieniała się z dnia na dzień, ale w dziale codziennej, niedrogiej odzieży bez wysiłku wygrywała Liz Claiborne.

- Zajrzyjmy do Norris Cleveland - zaproponowała Karen.

Nic tam specjalnie nie rzucało się w oczy poza kopią modelu spódnicy z kontrafałdą, zaprojektowanego przez Karen trzy sezony temu. Tylko że, w odróżnieniu od Norris, nie skroiła materiału ze skosu i jej spódnica nie odstawała na brzuchu.

- Żeby w czymś takim dobrze wyglądać, trzeba nosić rozmiar czwarty i chodzić na wdechu - prychnęła Defina, kręcąc głową. Wzięła do ręki metkę i uniosła brwi: -1 ona chce za coś takiego osiemset dolarów!
- Coś zaczyna być nie tak, jeśli zakupy zmieniają się w przeżycie wymagające prywatnego trenera, dbającego o naszą wytrzymałość; psychoterapeuty troszczącego się o samoocenę i doradcy finansowego, który wyliczy czy możemy sobie pozwolić na zainwestowanie ośmiuset dolarów w spódnice.

Kiedy dotarły do tańszych ubrań codziennych, Defina jak zwykle się ożywiła. Najpierw przeszły między wieszakami, by obejrzeć wiszące na nich rzeczy. Nic z niczym, jakby powiedziała Bella. Za dużo talentów projektanckich się tu nie znajdzie. Ludzie nie znający się na przemyśle odzieżowym uważali projektantów za dyktatorów, ale Karen wiedziała, że jest raczej obowiązkową właścicielką firmy, która nie może tracić z oczu opinii publicznej. Lubiła wiedzieć, jakie trendy przenikają z *haute couture* do produkcji masowej i co się sprzedaje. Przez parę chwil oglądały towar. Liz Claiborne dostała więcej miejsca od innych, ale całość była bez polotu. Inni też nie zaprezentowali się najlepiej. Karen zaproponowała, by przed oglądaniem kupujących, sprawdziły wyroby NormCo. Wiedziała, że to oni produkują przeznaczoną na masowy rynek kolekcję Bette Mayer. Sprzedawczyni skierowała je na czwarte piętro.

Na ogromną przestrzeń przypadało tam niewielu sprzedawców. Przyjaciółki szukały ubrań Bette Mayer przez ponad dziesięć minut, ale w końcu, mimo że dwa razy błędnie je skierowano, jakoś je znalazły. Bette była projektantką nieco pozbawioną wyobraźni, ale wyrobiła sobie markę, wprowadzając, jako pierwsza, ścierany jedwab na masowy rynek. Jej modele były nudne i łatwe do przewidzenia: te same stare komplety z zakietami, różniącymi się jedynie szerokością klap czy wywatowaniem ramion. Karen od lat nie zawracała sobie głowy oglądaniem takich rzeczy, a teraz robiła to tylko po to, by zobaczyć co produkuje NormCo. Stojąc plecami do siebie przed dwoma stojakami, zaczęły z Definą przedzierać się przez stroje.

- Błę! - zawołała Dee, unosząc marynarkę. - Popatrz tylko na ten przód.

Marynarka była przykładem niechlujstwa. Z rękawów najwyraźniej wyłaziła podszewka, a materiał na piersi już się marszczył. Paco Rabanne powiedział kiedyś: „Architektura i moda spełniają te same funkcje. Jestem architektem kobiet”. Cóż, żadna z nich tak naprawdę nie znalazłaby schronienia w domu mody zbudowanym przez Bette! Karen sięgnęła po metkę. Dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów! Nawet poniżej stu ta marynarka nie była warta kupienia. Zdefasonuje się po pierwszym pobycie w pralni chemicznej.

- Popatrz na to - uniosła bluzkę z okrągłym wycięciem. Jej jasna zieleń pasowała odcieniem do ciemniejszego zakietu. W produkt włożono wiele pracy - rozcięte rękawy, po dwie zakładki na ramionach, obszyte materiałem

guziki zapinane na pętelki. Zrobiony był jednak z jakiejś mieszanki poliestru, obrzydliwej w dotyku. Co się stało ze jedwabiem Bette? W tym czymś będzie gorąco w upały i zimno w chłody. - Błę, obleśna.

- Paskuda - zgodziła się Defina, dotykając materiału.

70

- Straszycło.

- Obleś, Paskud i Straszycło. Czy to nie trzy z siedmiu krasnoludków?

Karen nie zwróciła uwagi na pytanie. Wspomniała Chanel, która podsumowała kiedyś: „Jeśli pewne rzeczy stają się dla ciebie nie do zniesienia wiesz, że odniosłaś sukces w modzie”. Te ubrania właśnie tak na nią działały. Czy NormCo będzie usiłowało „upowszechniać” podobnie jej projekty? Zamiast szukać odpowiedzi, wzięła do ręki metkę. Dwadzieścia dziewięć dolarów. Boże, jakim cudem mogą to wyprodukować za taką cenę?

- Gdzie ją uszyto? - zapytała Defina, wskazując podbródkiem marynarkę. A gdy jej przyjaciółka szukała metki, sama znalazła producenta bluzki. - „Made in USA”? - przeczytała ze zdziwieniem. Arnold będzie dumny, jeśli dojdzie do układu z NormCo. Był gorącym zwolennikiem zatrudniania Amerykanów. Tylko, czy ona sama będzie dumna z kojarzenia jej z Wolperem, szefem NormCo? Musi nalegać na paragraf w umowie zabezpieczający przez tandetę. Czy prawnik Robert nie pichci już czegoś takiego?

- To obrzydlistwo też jest krajowe - powiedziała Defina. - Myślałam, że po takich cenach wszystko produkowane jest za granicą.

- Cóż, praca tam nic nie kosztuje. Tato mówi, że po prostu przykuwają ludzi do maszyn do szycia i co jakiś czas rzucają im ochłap surowego mięsa. Ale on jest oczywiście znanym socjalistą.

Przeglądając wieszaki odkryły, że choć większość ubrań Bette Mayer jest niepraktyczna, bylejąka i tandetna, wszystkie zostały wyprodukowane w Stanach Zjednoczonych.

- Jak mogą szyć je tak tanio? - zapytała Karen.

- Nie mam pojęcia.

Karen od początku mocowała się z realiami przemysłu związanego z modą. Dochody w tej branży nie zależą od kosztownych, szytych na zamówienie strojów dla bogaczy. Trudno uwierzyć, że suknia wieczorowa *zpeau de soie* za dwanaście tysięcy dolarów przynosi straty, ale zazwyczaj taka jest prawda. Do ubrań bogatych kobiet kupujących stroje szyte na zamówienie projektanci na ogół muszą dokładać. Karen mogła zrobić pieniądze tylko idąc w ślady innych kreatorów, czyli sprzedając tańsze wyroby masowemu odbiorcy. Oto jedna z paskudnych ironii życia; profity

wyciskano z klasy średniej i to ona, tak naprawdę, podpirała wykwintne krawiectwo. Jak przystało na córkę Arnolda, Karen zawsze to uwierało. Ale kochała swój zawód.

Popatrzyła na tandetne ubrania.

- Kto projektował to świństwo? - zapytała retorycznie.

- Cóż, jak widać nie ty, skarbie. Ciekawa jestem, czy Bette chociaż to oglądała. Nawet ją stać na coś lepszego. Karen wzruszyła ramionami. Coraz mniej projektantów wiedziało, jak skroić materiał, a w szykownej modzie wszystko zależy od doskonałego kroju i tkaniny. Cała sztuka polegała na tym by ją ujarzmić, ale nie zabić. Te ubrania nie były nawet martwe, nigdy nie żyły. Boże, to okropne umieścić swe nazwisko na czymś tak obrzydliwym.

93

- Co jeszcze sprzedaje NormCo? - zapytała.

- Czy nie kolekcje „Happeningu”?

- Chyba tak. Chodź, sprawdzimy.

„Happening” był młodą firmą prezentującą kolekcje dzinsów i ubrań codziennych. Przez dwa lata znikwały ze sklepów, a ostatniego sezonu firmę wykupiło NormCo. Przyjaciółki wędrowały po szóstym piętrze. Karen zaczynała odczuwać głód, choć na lunch było jeszcze o wiele za wcześnie. Może by tak jakaś przekąska? To przypomniało jej o Westport.

- Hej, Dee... - chcesz przyjechać w niedzielę na śniadanie do Westport? Przywiozłabyś Tangelę.

- Zastanawiałam się, kiedy znajdziesz czas, by zaprosić mnie na oglądanie domu Jeffrey’a, ale jedzenie? -

zastanawiała się przez chwilę. - Karen, kocham cię, ale w kuchni jesteś do niczego.

- Nie wyśmiewaj się z kalectwa - przyjaciółka zmarszczyła brwi. - Powiedzmy, że jestem kulinarnie upośledzona.

Ale nie martw się. Przywiozę wszystko z miasta.

- W takim razie sprawa załatwiona - Defma posłała jej szeroki uśmiech. Odnalezienie stoiska „Happening” zajęło im jeszcze dziesięć minut, a następne dziesięć pochłonęła lustracja wieszaków. Sprawy nie wyglądały najlepiej.

- No tak - powiedziała Defma. - Braki w projektach „nadrabiają” fatalnym materiałem. Co się z nimi dzieje?

- NormCo? - zapytała Karen. Wiedziała, że podstawową zasadą masowej sprzedaży jest próba wyprodukowania tego co inni, w tych samych widełkach cenowych, tylko trochę szybciej, lepiej i taniej. „Happening” postępował tak przedtem, jednak ta kolekcja nie przypominała wcześniejszych sukcesów.

- Czy to się sprzedaje? - zastanawiała się na głos Karen.

- Chodź, spytamy sprzedawczyni.

- Jeśli zdołamy jakąś znaleźć.

Podczas tej części wypraw, Karen, jako znana osoba, zawsze trzymała się z boku. Defina wyruszyła na poszukiwanie informacji o sprzedaży, a ona znalazła sobie zajęcie w pobliżu przymierzalni. Wyszła z niej kobieta z czteroletnią córeczką.

- Podoba ci się ten kolor, Maggie? - zwróciła się do dziewczynki, podnosząc tani, bawełniany sweterek.

- Nie! - odparła mała, a Karen zaskoczyło jej zdecydowanie.

- To chyba nie twój kolor - powiedziała do dziecka i uśmiechnęła się do jego matki, ubranej w dzinsy z Gapa i nieokreślony golf. Tamta odpowiedziała jej uśmiechem.

- Och, Maggie jest bardzo stanowcza jeśli chodzi o stroje - wyjaśniła, spoglądając czule na córeczkę. Wzięła dziecko za rękę i razem odeszły. Karen patrzyła na pulchny ułeczek na łokciu dziewczynki i na jej włosy kołyszące się gładko, jakby wycięto jej z jednego kawałka tkaniny. Ze swego kąta widziała tylko fragment policzka małej, gładki i apetyczny jak śliwka.

Nigdy nie płakała. Mrugając, próbowała więc powstrzymać łzy, kiedy wróciła Defina z raportem.

95

- W ubiegłym sezonie ich rzeczy wymiotło ze sklepu, w tym jednak zapuściły korzenie - poinformowała przyjaciółkę.

- Wspaniale, nie ma co. Niech NormCo zrujnuje i naszą kolekcję.

- Mówisz, jakbyś nie miała wyboru. Zrób tak jak Nancy Reagan - „Po prostu powiedz nie”.

- To nie takie łatwe - odpowiedziała. Uniosła głowę, chcąc zobaczyć, jaki kolejny nabytek rozważają mama z córeczką

Spędziły w sklepach dalszych kilka godzin i zakończyły przedpołudnie późnym lunchem w „Mad 61” modnej restauracji w podziemiach domu towarowego Barneya. Karen była przybita, a Defina, jak zwykle, wyczuła jej nastrój.

- Najlepsze buty - zażądała.

Grały w to od lat i zabawa nie wymagała zapowiedzi.

- Roger Vivier.

Defina uniosła głowę, zastanowiła się przez chwilę i przytaknęła. Czasem sprawa nie była prosta i spierały się przez parę dni.

- Najlepsza kwiaciarnia - odbiła piłeczkę Karen.

- Renny - odparła Defina, wzruszając ramionami, jakby sprawa była oczywista. - Najlepsze podróbki?

- Torby? Suknie? O co ci właściwie chodzi?

- Suknie wieczorowe.

- Victor Costa. Daj coś trudniejszego.

- Torby.

- Jose Suarez.

-To nie podróbka - pokręciła głową Defina. -Nie mają metek, ale sprzedają dokładnie te same torby, od tego samego producenta. Z wyjątkiem tych dla Hermesa.

-1 co z tego. Oryginały bez metek się nie liczą.

Karen musiała się uśmiechnąć. Bzdurki Definy poprawiły jej nastrój. Nie zadzwoniła nawet do Jeffrey'a, by odwołać spotkanie i zapomniała, po raz kolejny, zatelefonować do Lisy.

Rozdział 7

Elle Halle

Od tygodni życie Karen, i tak już wystarczająco zwariowane, zakłócała ekipa z telewizyjnego programu Elle Halle. Richard, reżyser, powiedział jej, żeby nie zwracała na nich uwagi i zachowywała się tak jak zwykle. Oczywiście nie było to możliwe. Przede wszystkim, gdy się kręcili po firmie, musiała **cały** czas martwić się o swój wygląd. Co z jej publicznym wizerunkiem, jeśli brzydko wyjdzie w telewizji? Wiedziała, że w bezpośrednim kontakcie ma dość energii i klasy by dobrze wypaść, ale kamera nie należała do jej przyjaciół. Nie można jej było oszukać talentem i energią. Po prostu rejestrowała stan faktyczny. Karen zdawała sobie sprawę, że nie jest już młoda, a nigdy nie była bardzo ładna i wystarczająco chuda. Kamera, po prostu, sprowadzała ją do minimum. To nie przesada. Janet miała całą półkę skoroszytów z wycinkami i zdjęciami. Karen nie wyglądała naprawdę dobrze na żadnym z nich. Jednak Jeffrey i Mercedes nalegali, by KInc skorzystała z okazji zaprezentowania się w jednym z eleganckich, godzinnych „Przedstawię” Elle Halle. A teraz, do skompletowania programu „Elle Halle przedstawia Karen Kahn” brakowało jedynie wywiadu samej gospodyni.

Karen napelniało to przerażeniem. Zdjęcia miały odbyć się dziś po południu i czuła się tak, jakby szła do dentysty na podwójne leczenie kanałowe. Gdyby dano jej wybór, wołałaby już chyba to ostatnie. Nie miała złudzeń - mimo swego uśmiechu i miękkiego głosu, Elle Halle lubiła dokonywać ekstrakcji i nigdy nie używała środków znieczulających. Jej mocną stroną była umiejętność docierania do nadgniłych zakątków psychiki swego rozmówcy i wywlekania ich na wierzch, aż ofiara dawała za wygraną obnażając chore korzenie. Łagodnie wymuszone wyznania i łzy dodawały wywiadowi pikanterii. Publiczności, kochającej i lojalnie włączającej odbiorniki, Elle Halle wydawała się współczująca i ciepła. Karen jednak zastanawiała osobowość prezenterki, która swój życiowy sukces zabiła na odsłanianiu bólu innych ludzi przed kamerami krajowej telewizji.

Spotkały się już dwukrotnie. Za każdym razem Elle, wysoka, jasnowłosa i imponująca wydawała się miła. Ale to samo mówili o Belli wszyscy, którzy jej nie znali.

74

- Dajesz spokój - powiedziała Mercedes, kiedy Karen szykowałą się, by wyjść do studia. - Nie taki diabeł straszny.
- Czy nie to samo powiedziano Marii Antoninie, zanim spadło ostrze gilotyny?

- Radziłaś się lekarza w sprawie tego kompleksu męczennika? - zapytała sucho Mercedes. Spojrzała na zegarek. - No, chodźmy. Nie chcesz chyba przyjść spóźniona i ich zdenerwować.

- Gdzie Jeffrey? - zapytała Karen, zdejmując płaszcz z wieszaka.

- Jest z Caseyem i tymi facetami od finansów - specjalistka od kontaktów z mediami uniosła brwi. Musiała mieć na myśli ludzi z NormCo. - Nie przyjdzie - dodała, po krótkiej pauzie. _ .

- O czym ty mówisz? - Karen poczuła, że blednie, a krew spływa jej do serca, które zaczęło niepokojąco walić. - Musi przyjść - powiedziała. - Sama me dam sobie rady.

- Nie jesteś sama - przypomniała jej Mercedes. - Ja idę z tobą.

Karen nie starała się nawet być uprzejma. Pokręciła głową. By stawić czoło sytuacji potrzebowała kogoś, z kim lubiła przebywać.

- Defina - powiedziała. - Potrzebna nam Defina.

Boże, za dużo tego wszystkiego jak na nią samą. Bez czyjegoś wsparcia nie sprosta zadaniu sprzedania siebie, bycia sobą i mówienia nie o strojach, ale o własnym życiu do dwudziestu milionów ludzi. Dlaczego oni w ogóle interesują się prywatnym życiem projektantki? Czy jej ubrania nie mówią więcej?

Janet podniosła głowę znad biurka, wyczuwając wiszący w powietrzu kryzys.

- Definy jeszcze nie ma - poinformowała szefową.

Karen zaczęły drżeć ręce. Pójdzie do biura Jeffreya. Przerwie spotkanie. Cokolwiek by to było, jej sprawa jest ważniejsza. Nie może tam iść, wziąć udziału w programie tej rangi, dać się zbadać Elle Halle pod mikroskopem, nie wiedząc, że mąż jest i trzyma za nią kciuki.

To on od początku wierzył, że będzie nie tylko znana, ale i bogata. Kiedy uczyła się wzornictwa, Jeffrey podyplomowo studiował malarstwo. Była taka zielona i niedoświadczona. W szkole średniej nigdy nie umawiała się na randki, a na studniówkę poszła z Carlem. Dojrzewała bardzo wolno. Nawet menstruację dostała, gdy miała już czternaście lat! Nic dziwnego więc, że Jeffrey wywarł na niej oszałamiające wrażenie. Do tego stopnia, że laziła za mm i biegła na posyłki, niby coś w rodzaju ludzkiego złocistego retrievera wysługującego się eleganckiemu chartowi afgańskiemu. Jeffrey lubił ją, brał do łóżka, ale wiedziała, że to znajomość bez zobowiązań. Sypiał z wieloma dziewczętami ze szkoły. Z tymi ładnymi i z Karen. Dawał jasno do zrozumienia, że go bawi; że są przyjaciółmi, ale nic poza tym. Chociaż podziwiała go, była na tyle mądrą by nigdy tego me mówić i nigdy nie oczekiwać czegoś więcej.

Kiedy skończyła szkołę, kontakty podtrzymywali tylko dzięki wysiłkom Karen. Nigdy do niej nie dzwonił, ale wydawał się zadowolony, kiedy ona to robiła. Po zakończeniu nauki miała szczęście dostać pracę u Liz Rubin, legendarnej,

pierwszej projektantki codziennych ubrań, posiadającej własną firmę przy Siódmej Alei. Karen zaczynała jako jedna z kilku pomocnic, ale już po pół roku awansowała na osobistą asystentkę Liz. Pracowały razem zgodnie z rytmem czasu drobnej, starszej pani: zdarzało się, że dzwoniła do Karen pół godziny przed północą i harowały do świtu. Karen podejrzewała, iż tak jak jej idolka Coco Chanel, Liz dzwoni nie dlatego, że ma natchnienie, lecz czuje się samotna. Jeśli nawet tak było, jej pracodawczyni nigdy tego wyraźnie nie okazała. Karen nauczyła się od apodyktycznej, panującej nad sobą, i pełnej dystansu projektantki - przez szesnaście miesięcy wspólnej pracy - więcej niż przez lata szkolnej nauki. Wkrótce praca i Liz zdominowały jej życie, ale mimo ciągłych zajęć nie czuła się nieszczęśliwa. Choć projektantka nigdy nie mówiła, że żywi dla niej jakieś uczucia, dziewczyna i tak była ich świadoma.

Rzecz jasna, podczas tych pracowitych miesięcy, straciła z oczu Jeffreya. Prawdę mówiąc, urwał jej się kontakt ze wszystkimi znajomymi poza Carlem. Istniała tylko praca. Karen święcie wierzyła, że Liz wybrała ją między innymi dlatego, iż bez względu na rodzaj żądania nigdy nie mówiła „nie”. Zawsze była chętna i gotowa do roboty, której w nagrodę dawano jej coraz więcej.

Nie przeszkadzało jej, że nie czerpie z tego żadnych zaszczytów. Karen nigdy nie przyszło do głowy, że na metce mogłoby widnieć jej własne nazwisko. Ostatecznie miała dopiero dwadzieścia dwa lata. Chciała po prostu szyć ubrania po swojemu. To jednak stało się przyczyną spięć. Po pierwszych kilku miesiącach pracy z Liz, Karen nie mogła się powstrzymać od wygłaszania swych opinii. Kiedy już pracodawczyni przestała w niej budzić zabobonny lęk, mówiła co czuje, a jej zdanie brzmiało czasem niebezpiecznie. „To nudne, Liz”, stwierdzała, proponując lub rysując coś innego. Spierały się. Karen zawsze uważała, że Liz lubi ją właśnie dlatego, iż ma własne zdanie. Myliła się. Wciąż pamiętała ich ostatnią kłótnię, dotyczącą umieszczenia guzików na marynarce. Rubin, która nie lubiła chować prawdy pod korcem, zmieniła projekt Karen i nakrzyzczała, gdy ta domagała się ponownego przyszycia guzików asymetrycznie.

- Tania sztuczka - wołała. - To marynarka o klasycznym kroju. U Liz Rubin szyjemy klasykę.

- A ja szyję po swojemu - Karen rzuciła jej wściekle spojrzenie. -1 guziki na mojej marynarce mają biec ukośnie. Śmieszne, ile kłopotu może sprawić kilka guzików. Zmieniły Karen życie; Liz ją zwolniła.

Dziewczyna nie mogła w to uwierzyć. Wiedziała przecież, że miała rację, sprawa była prosta i widoczna dla każdego, a już szczególnie dla Liz. Nie myślała o dyplomacji i uraziła ambicję projektantki. Wiedziała, że wiadomość o jej odejściu ucieszy inne, pominięte asystentki. Czuła nie tylko zranioną dumę; Liz Rubin, mimo swego

chłodu, znaczyła dla niej coś więcej niż tylko pracę i pensję. Była wzorem - dziewczyna po raz pierwszy spotkała kogoś takiego. Liz pokazała jej, kim może się stać i dlatego sposób w jaki ją wyrzuciła był tak bolesny. Przez dwa dni Karen płakała samotnie w swym mieszkaniu. Nie miała z kim porozmawiać ani nic do roboty (były jakieś granice obarczania kłopotami Carla).

76

Uświadomiła sobie, że poza pracą nie ma własnego życia. Zadzwoiła do domu, ale Bella w niczym nie potrafiła pomóc, a Lisa była ciągle jeszcze uczennicą uwielbiającą starszą siostrę. I tak, z rozpaczy, zatelefonowała do Jeffreya, który mieszkał z Perrym Silvermannem na zaniedbanym strychu w rejonie dolnego Broadwayu...

Ofiarowaną mu przez rodziców garsonierę na Sutton Place uznał za zbyt mieszczańską. Perry i Jeffrey zaprosili ją do siebie, zabrali na kolację, upili i pocieszali. Była pewna, że na boku podśmiewali się też z jej naiwnej rozpaczy. „To tylko praca”, mówił Jeffrey, a Karen, choć wypity bourbon utrudniał jej wysławianie sięjak nigdy dotąd, usiłowała wyjaśnić, że to coś więcej.

- Dlaczego mnie zwolniła? - wołała wciąż od nowa. - Dlaczego? Jeffrey wysłuchał jej, a potem zaczął się śmiać.

Śmiał się! W jakiś sposób jednak ją to uspokajało.

- Jest zazdrosna, bo racja była po twojej stronie - powiedział. - Ona szyje „klasykę”. Ty rzeczy oryginalne. I miałaś odwagę jej to powiedzieć.

- Ja to zrobiłam? - zapytała ze zdumieniem dziewczyna.

- Oczywiście - odparł Jeffrey, jakby wszyscy o tym wiedzieli, nie wyłączając Karen. - I o to czuje urazę - dodał. - Wykorzystała cię, ale jest obrażona.

Otoczył dziewczynę ramieniem, a ona jeszcze trochę na nim popłakała. Potem wziął ją do łóżka.

Po tej nocy, Karen nigdy więcej się nie rozplakała. Przez ponad miesiąc w ciągu dnia szukała pracy, a noce na ogół spędzała z Jeffreyem. Dziwną koleją rzeczy utrata Liz wprowadziła go na nowo w jej życie. Opowiadała mu każdego wieczoru o podejmowanych w ciągu dnia przedsięwzięciach i rozmowach w sprawie pracy. Była przejęta, gdy w końcu otrzymała nie jedną, lecz dwie oferty. Pytała, którą powinna przyjąć i przeżyła szok, gdy zachęcał aby odrzuciła obydwie.

- Daj spokój - powiedział. - Nie chcesz chyba być jakimś bezimiennym, firmowym projektantem. Zobacz, czego już dokonałaś. Jesienna kolekcja Liz Rubin to głównie twoje projekty. Nie musisz przed nikim dowodzić swej wartości, potrzeba ci tylko okazji by zabłysnąć. I kogoś, kto w ciebie uwierzy.

Właśnie wtedy otrzymała od firmy Blithe Spirits propozycję przygotowania własnej kolekcji codziennych ubrań. Rzeczy o umiarkowanej cenie, lecz jakości wyższej niż przeciętna. Nie była to Siódma Aleja, ale mogła umieścić na nich własne nazwisko. Karen Lipsky dla Blithe Spirits. Jeffrey dobrze jej podpowiedział. Posłuchała go i dostała swoją szansę. Dla dziewczyny, która zaledwie dwa lata temu skończyła szkołę, była to niewiarygodna okazja. Jeffrey udzielił jej kolejnej dobrej rady, zanim zdążyła skorzystać z oferty

- Odrzuć to - powiedział. - Powiedz im, że dostałaś propozycję za dwa razy takie pieniądze.

- Ależ nie dostałam - zawołała.

- No i co z tego? - tylko się roześmiał.

- Mam kłamać? - zapytała. Ani Bella, ani Arnold tego jej nie nauczyli. Jeffrey pokiwał głową. - A co będzie jeśli to wykryją lub powiedzą żebym przyjęła tamtą propozycję?

- Nie zrobią tego - roześmiał się i zmierzwił jej włosy, jakby była szczeniakiem. - Spróbujesz jutro. Zobaczysz, że miałem rację.

I tak się stało. Była wtedy tak zeszywniała ze strachu jak teraz, przed programem Elle Halle. Bluffowała ze spoconymi rękami. I w końcu dostała pracę z pensją cztery razy większą niż u Liz. Po raz pierwszy miała więcej pieniędzy, niż była w stanie wydać. Nie dlatego, żeby było ich aż tak dużo, po prostu, w ogóle nie miała wolnego czasu. Samodzielne przygotowanie kolekcji wymagało niewiarygodnie napiętego planu dnia.

Niedługo przed pokazem zadzwoniła do Jeffreya. Z powodu jej szaleńczej pracy widywali się dużo rzadziej.

- Czy mogę przyjść? - zapytała tak jak zwykle. - Boję się, że to wszystko to j jedna wielka pomyłka. Może zostałabym na noc?

W słuchawce po drugiej stronie zapadła złowroga cisza. Czy coś się stało? Sprawy uległy zmianie, a ona była zbyt zajęta, by to wcześniej zauważyć.

- Karen - powiedział Jeffrey łagodnie. - Wiesz jak bardzo cię lubię. Ale powinnaś o tym wiedzieć. Żenię się, jestem zaręczony.

Załamana, udała się oczywiście do Carla.

- Powinam była mu powiedzieć, że go kocham - płakała. - Powinam była dzwonić.

- Nic podobnego. Rzuciłby cię jeszcze prędzej. Atak przynajmniej zachowałaś godność.

- Nie chcę godności. Chcę Jeffreya! - łkała jak dziecko. I wtedy Carl wytłumaczył jej, jak to jest z mężczyznami, tak jak przedtem Jeffrey wprowadził w tajniki pracy.

- On cię lubi, Karen. To naturalne. Jesteś zabawna, inteligentna, miło z tobą spędzać czas. Masz seks appeal, widzę to chociaż jestem gejem. Ale Jeffreye tego świata zawsze wybiorą zamiast tego piękno, klasę i wpływy. On pochodzi z bogatej rodziny. Ona z jeszcze bogatszej. Jesteś lepsza, ale June Jarrick to siostrzenica senatora. niesprawiedliwe, lecz tak właśnie się dzieje.

Karen przeczytała w „Timesie” obwieszczenie o zaręczynach. Nawet dzisiaj, gdy stała gotowa do wyjścia, by odjechać limuzyną do studia Elle, pamiętała ból, który czuła w tamtej chwili i pustkę, jaka potem nastąpiła.

Nowa kolekcja odniosła wielki sukces i wyfrunęła ze sklepów. Po raz pierwszy Karen mogła o sobie przeczytać w pismach poświęconych modzie. Czuła się jednak fatalnie. Tym razem praca nie wystarczała. A w porównaniu z ciepłym ciałem Jeffreya, inni mężczyźni wydawali się nieprawdziwi. Kupiła kalendarz i obsesyjnie przekreślała każdy kolejny pusty dzień dzielący ją od czarnej daty wesela. I wtedy właśnie, ni stąd ni zowąd, zadzwoniła do niej Liz Rubin.

- Chciałabym cię zobaczyć, Karen - powiedziała. - Czy mogłabyś teraz do mnie przyjechać?

Karen, jak zwykle, się zgodziła. Wstrząsnął nią wygląd projektantki. Już wcześniej chuda, teraz przypominała szkielet. Karen zrobiła wielkie oczy, ale nic nie powiedziała. Podobnie jak Liz. Wyjaśnienia były zbyteczne.

104

- Widziałam twoją kolekcję dla Blithe Spirits. Bardzo dobra - stwierdziła. Była to pierwsza i ostatnia pochwała, jaką Karen kiedykolwiek od niej usłyszała. - Wróć. Pracuj u mnie. Potrzebuję kogoś, kto przejmie firmę. Lekarze dają mi sześć miesięcy życia. Chcę byś przygotowała wiosenną kolekcję.

Inne dziewczęta może by odmówiły, ale Karen wróciła, a Liz zmarła tego samego roku w dniu Święta Matki. W wieku dwudziestu pięciu lat Karen została jej następczynią. Prasa, zawsze dająca się nabrać na sentymentalne historyjki, oszalała na punkcie wiosennej kolekcji Liz Rubin i przemiany Karen z żebraczki w królową. Ogłoszono ją „Księżniczką Mody”. Carrie Donovan napisała o niej artykuł dla magazynu „Timesa”, pojawiła się też na okładce „W”. I chociaż nie jej nazwisko widniało na metkach, Karen nie miała nic przeciwko temu. Był to hołd złożony pamięci Liz.

Poza tym praca ocaliła ją przed rozmyślaniami o Jeffreyu. Wdała się, na przekór sobie, w kilka przelotnych romansów, ale zawsze wiedziała ile miesięcy, tygodni i dni dzieli ją od głośnego wśród śmietanki towarzyskiej ślubu. Przechowywała wycinki zawiadamiające o zaręczynach. Często wpatrywała się w zdjęcie June Jarrick. Doskonałej June, w prostej płóciennej sukni, z podwójnym sznurem prawdziwych pereł. Od czasu do czasu, nie mogąc się powstrzymać, szła na drinka z Perrym, niby dla zabawy, a naprawdę, by wysondować co słychać. Carl ostrzegał, by dała sobie z tym spokój, ale ona, mimo bólu dłużyła w otwartej ranie. Kiedy do ślubu zostało tylko sześć tygodni, Jeffrey przysłał jej liścik, prosząc o spotkanie.

Wiedziała, że powinna odmówić, lecz tego nie zrobiła i poszli na drinka. Alkohol skończył się obiadem, obiad jeszcze większą ilością alkoholu, a wszystko, co było do przewidzenia, łóżkiem. W łóżku zawsze było im razem dobrze.

Karen nie zadawała żadnych pytań. Tej pierwszej nocy kochali się godzinami. Jeffrey czepiał się jej jak tonący, a ona uznała tę rozpacz za coś w rodzaju zapłaty za własny ból. Następnego ranka, nie budząc go ani nie zostawiając żadnej wiadomości, wyszła wcześniej do pracy. Po godzinie zadzwonił do niej do biura. Był to pierwszy raz, kiedy sam się na to zdobył.

Karen nie dopuszczała do siebie myśli, że Jeffrey zdradza swą narzeczoną, a wcześniej zdradzał ją, będąc jednocześnie z tamtą kobietą. W ogóle nie była w stanie myśleć. Czuła tylko, że nie potrafi żyć bez uspokajającej

bliskości jego ciała i nie pytając wiedziała, że on odczuwa to samo. Każdego wieczoru, czasem dopiero o północy, przychodził do jej mieszkania, a ona nigdy nie dopytywała się skąd wraca. Zawsze otwierała drzwi. Nie wspomniała nawet o tym Carlowi, wiedząc, że będzie jej ciosał kołki na głowie. Kiedy do ślubu z June pozostało już tylko dwadzieścia jeden dni, Jeffrey poprosił Karen by za niego wyszła.

- Będziesz bogata i sławna - powiedział. - A Karen Kahn brzmi lepiej niż Karen Lipsky.

Była to mało romantyczna i cokolwiek spóźniona propozycja, ale Karen pocieszała się myślą, że lepiej późno niż wcale. Wszelkie poczucie winy rozplynęło się we wszechogarniającym zadowoleniu. Powiedziała sobie, że nie ma

nic

wspólnego z kłopotliwą sytuacją Jeffreya, czy z cierpieniami jakie sprawi June. Ostatecznie znalazła go i kochała dużo dłużej niż tamta.

Karen nigdy nie zapytała co powiedział narzeczonej lub swojej rodzinie, ale wiele miesięcy później, kiedy wreszcie przedstawił ją Kahnom, czuła, że mają do niej pretensję. Radość zdobycia, posiadania nareszcie Jeffreya była jednak tak ogromna, że nie miało to większego znaczenia. Zawsze był i będzie jej wymarzonym księciem, jej pierwszą miłością. Kiedy powiedział, że pomoże jej w karierze, była przejęta; kiedy sporządził plan biznesowy dla firmy - wzruszona. Na trzydzieste urodziny zaprojektował jej w prezencie logo *HK*. Gdy zebrał pieniądze na otworzenie firmy, nie posiadała się z zachwytu, a kiedy następnie oświadczył, że rezygnuje z własnej kariery by zarządzać jej interesami, poczuła, że nikt wcześniej nie otaczał jej taką opieką i nie kochał jak on. Opuściła więc firmę Liz Rubin i otworzyli Klnc w, idealnym - jak dziś oceniała - momencie: yuppies byli u szczytu powodzenia, a ich dochody do wydania nieograniczone. Pod koniec lat osiemdziesiątych Karen umocniła swą pozycję i nazwisko. Teraz, gdy pieniędzy było mniej, a nabywcy bardziej wymagający, roztropne kobiety wciąż wybierały jej modele, bo chociaż drogie, miały dobrą jakość. A wszystko dzięki Jeffreyowi.

Nigdy nie traktowała jego obecności ani żadnego ze swych wypracowanych zwycięstw jak czegoś oczywistego. Stanowiło to jej siłę i słabość. Zawsze żyła w lęku, że utraci - firmę, pieniądze, mężczyznę. A teraz, w chwili gdy powinna wziąć się w garść, czuła się bardziej niepewnie niż zwykle.

Mercedes wpatrywała się w Karen. Oblizwała wąskie wargi.

- Poślemy samochód po Jeffreya. Powiedz mu, żeby przyjechał jak tylko skończy - powiedziała do Janet, a potem zwróciła się do Karen - Makijaż i założenie mikrofonu potrważą z godzinę. Do tego czasu on na pewno przyjedzie. Karen pokiwała głową i ruszyła przez hall i salon do windy. Waliło jej serce. Żałowała, że nie może ukryć się w pracowni u pani Cruz. „Boże, czy to nie powinna być przyjemność?” - zapytała siebie w myślach.

Nagle przypomniała sobie o fotografiach - zdjęciach samej siebie zabranych od Belli. Weźmie je do studia. Jako talizman. Będzie się czuła bezpieczniej mając je przy sobie. Pobiegła z powrotem do gabinetu, chwyciła zdjęcia i wsunęła je dokieszeni płaszczu.

Studio mieściło się przy Zachodniej Pięćdziesiątej Ulicy. Powstawało tu wiele programów telewizyjnych. Karen popędzono długim, zielonym korytarzem na spotkanie z producentem odcinka, Paulem Swiftem. On, ze swojej strony, przedstawił ją asystentce, a ta przez labirynt pokoi poprowadziła do wizażystki. Karen zrobiła już makijaż, ale wysoka, ruda dziewczyna obrzuciła ją krytycznym spojrzeniem.

- Myślę, że powinniśmy to zrobić jeszcze raz - zaproponowała beznamiętnym głosem. - W świetle reflektorów wygląda się bezbarwnie. Użyję ciemniejszego podkładu, stonuję podbródek i szyję, ukryję worki pod oczami i zwiężę nos.

- Będzie bolało? - zapytała Karen. Dziewczyna się nie roześmiała.

80

Wsunęła Karen za kołnierz papierowy ręcznik i osłoniła ją plastikowym fartuchem. Przez chwilę w milczeniu zmywała z jej twarzy makijaż. Karen wykorzystwała ten czas, by jeszcze bardziej się zdenerwować. O co Elle ją zapyta? Czy będzie chciała wiedzieć dlaczego ona i Jeffrey nie mają dzieci? Czy wykryła rozmowy prowadzone z NormCo i zdradzi tę tajemnicę w telewizji, przed całym krajem? Chryste, a może dowiedzieli się o doktorze Goldmanie? O tym, że jestem adoptowana... Czy rozmawiali z Bellą lub Lisą? Na razie nie, a przynajmniej Karen nic o tym nie wiedziała. Może Elle zdecyduje się na zagranie w stylu „Oto twoje prawdziwe życie”? Serce Karen biło coraz szybciej i odkryła, że ma problemy z oddychaniem. Co będzie, jeśli Elle Halle dowiedziała się o adopcji? Jeśli ktoś z ich ekipy wywiadowczej odnalazł jej prawdziwą matkę, żyjącą w nędzy gdzieś na północnym zachodzie? Sławna projektantka i jej matka w łachmanach. Czy nie takie chwytły sprawiły, że Elle odniosła sukces? Nie mogła zaczerpnąć powietrza. Zaczęła dyszeć.

- Chce pani torbę? - odezwała się ruda wizażystka.

- Co proszę?

- Kłopoty z oddychaniem. Wielu ludziom przed występem to się zdarza. Może torbę? Przy nadmuchiwanie zrównoważy się poziom dwutlenku węgla. A może xanax? Amy Fisher, tuż przed wyjściem, miała atak paniki. Co za pociecha. Karen nie mogła zdecydować czy ta kobieta jest idiotką, czy sadystką.

- Nic mi nie jest - powiedziała, choć wcale nie była tego taka pewna. Ruda skończyła nakładać podkład. Twarz Karen była pomarańczowa. Przy okrągłych policzkach i miękkim podbródku wyglądała zupełnie jak dynia. Wizażystka namalowała brązowe kreski wzdłuż nozdrzy i pod brodą, a potem rozarta je gąbką. Karen zamknęła oczy. Postanowiła, że zabije Mercedes, po czym wyrzuci ją z pracy.

W końcu ściągnięto z niej plastikowy fartuszek i mogła przejrzeć się w dużym lustrze. W rzeczywistości nie wyglądała tak źle. Trochę jak film w techniko-lorze, ona sama tylko wzmocniona.

- Gotowe - powiedziała ruda.

- Dziękuję - już miała zamiar pochwalić jej pracę, kiedy znów pojawił się producent odcinka. Chciał, by Karen przyszła do tak zwanego zielonego pokoju. Gdy szli przez hall, zbliżyła się do nich znajoma, przysadzista postać. Był to Bobby Pillar.
- Witaj, Karen. Świetnie wyglądasz - powiedział.
- Wiesz, dlaczego - uśmiechnęła się. - Masz przecież własną telewizję, chociaż akurat nie w tym miejscu. Co tu robisz?
- To i owo. Między innymi przyglądam się tobie. Mam przeczucie, że na ekranie wypadniesz bardzo prawdziwie.
- To będzie prawdziwa katastrofa - Karen widziała wszystko raczej czarno. - Boję się, że się zsiusiam.
- Jeśli nawet co z tego? Wytną fragment - śmiał się Bobby. - Nie zjadłabyś kiedyś ze mną lunchu? - zapytał.

6 - Spóźniona moda

- Jasne - odpowiedziała, ale poczuła ulgę, kiedy opiekun chrząknął i nie bawiąc się w delikatność pchnął ją lekko w kierunku zielonego pokoju. Nadszedł akustyk niosąc małe mikrofon z cienkim czarnym kabelkiem.

- Czy może pani wsunąć to pod sweter? - zapytał. Skinęła głową i wyciągnęła mikrofon przez golf. - A teraz, czy można przypiąć gdzieś ten koniec?

Dolna część kabla połączona była z czarnym pudełkiem wielkości walkmana. Karen zastanawiała się, czy nie zepsuje to linii swetra. Dźwiękowiec tymczasem manipulował przy urządzeniu.

- Widzi pani - mówił. - Kołnierz swetra stanowi pewien problem. Myślę, że będzie się ocierał o mikrofon. Czy nie mogłaby pani włożyć czegoś innego? Zawołam garderobianą.

Karen popatrzyła na niego jak na wariata. Całymi tygodniami rozmyślała w co się ubrać i wybrała tę tunikę z legginsami, jako strój wygodny i twarzowy. A teraz, w ostatniej chwili, on chce żeby włożyła coś innego? Coś, czego sama nie zaprojektowała?

- Proszę zawołać Mercedes - rzuciła do faceta.

Usiadła na sofie, najważniejszym meblu w zielonym pokoju. Z jakichś powodów zielone pokoje, zagrody dla zwierząt występujących w talk-showach, nigdy nie bywają zielone. Ten na przykład był beżowy, ze smugami na ścianach. Karen pomyślała, że są to pewnie ślady łez poprzednich gości, którzy wystąpili tutaj i zrujnowali sobie życie. Weszła Mercedes, która zdążyła się dowiedzieć o kłopotcie.

- Defina już tu jedzie - odezwała się głosem typu „nie-waż-się-wpadać-w-panikę”. - Wiecie różne ubrania, żebyś mogła sobie wybrać co tylko chcesz.

Trwało to dwadzieścia minut, ale w końcu, za wjeżdżającym do pokoju wieszakiem pełnym strojów, ukazała się twarz przyjaciółki i Karen, po raz pierwszy od chyba całych godzin, odetchnęła.

- Znow coś podpaliłaś? - zapytała Defina. - Nic się nie bój. - Zerwała z wieszaka marynarkę w kolorze jasnobrązowym - Co powiesz na to? Możesz zostać w legginsach, bo producent mówi, że kamera obejmie cię od talii w górę. Albo, jeśli chcesz wyglądać naprawdę nieoficjalnie, załóż ten sweter z wycięciem w łódkę.

- Co będzie lepsze? - Karen zapytała Mercedes.

- Jeśli włożysz marynarkę, nie będzie widać mikrofonu, ale bardziej podoba mi się zwyczajny sweter.

- Mnie też - zgodziła się Defina.

Karen przytaknęła. Ściągnęła golf i sięgnęła po sweter. Defina pokręciła głową.

-Potrzebujesz jeszcze jednej porcji podkładu, bledziochu - powiedziała, wskazując kończący się w połowie szyi makijaż.

Tym razem to wizażystka do niej przysłała, a razem z nią producent i reżyser. Najwyraźniej byli spóźnieni w stosunku do planu.

- Elle czeka - jęknął Paul Swift, a ruda zaczęła szybciej wklepywać podkład. Wreszcie Karen była gotowa. Defina i Mercedes ostrożnie obsunęły sweter

82

na jej umalowanych ramionach. Założyły mikrofon, który tym razem dał się przypiąć bez problemów. Karen było zupełnie wygodnie, wyczuła jednak niewielkie wybrzuszenie poniżej szwu na łokciu. Sięgnęła i zamknęła je w dłoni. Do swetra małą, złotą agrafką przypięte było coś w rodzaju torebki.

- Zostaw to - powiedziała Defina. - Przysłała ją Madame Renault. Pomoże ci.

A Karen poczuła, że tym razem potrzebuje wszelkiej możliwej pomocy. Do diabła, mruknęła do siebie. Czy magia Madame Renault to gorszy przesąd niż jej własne, magiczne fotografie?

- Jak zatem, pani zdaniem, ubrania powinny służyć kobiecie? - zapytała Elle.

- Powinny podkreślać urodę i być wygodne. Powinny też chronić - odparła Karen. Przyzwyczaiła się już do świateł i zdołała, jak jej się wydawało, sprawiać wrażenie osoby zajmującej i szczerzej. Elle Halle przysunęła się bliżej i jakby przyczaiła na brzegu eleganckiego białego fotela.

- Jak pani sądzi, kto w świecie mody zasługuje na sukces?

- Cóż, myślę, że osiągają go ci, którzy potrafią najlepiej pogodzić rzeczywisty wygląd kobiety z jej marzeniami - Karen zastanawiała się, czy jej słowa nie zabrzmiały pretensjonalnie. Sama w nie wierzyła.

- Co sądzi pani więc o ubraniach Christiana Lacroix lub innych projektantów strojów przesadnych?

Lacroix był pierwszym od dwudziestu lat francuskim kreatorem, który otworzył w Nowym Jorku swój sklep. Przez kilka sezonów przyciągał tłumy, a potem dobra passa się skończyła. Krążyły plotki, że jego sponsorzy stracili miliony. Właśnie tego rodzaju pułapek Karen się obawiała. Wiedziała, że Elle ma nadzieję, iż skrytykuje innych projektantów. Jeżeli połknie przynętę, wielu ludzi będzie miało do niej żal.. Jeśli tego nie zrobi, wyjdzie na pocziwinę i może, w dodatku, popełni najcięższy telewizyjny grzech - znudzi publiczność.

Popatrzyła na Elle. Wyglądała nienagannie. Jej ubranie pochodziło od Ungaro, a rozmaite odcienie blond pasm tworzyły na głowie gładki hełm. Każdy włoszek leżał na swoim miejscu, ale jak zauważyła Karen, zajmowały się

nimi, podczas najmniejszej przerwy w nagrywaniu, dwie osoby. Trudno też było nie zwrócić uwagi, że jej włosami, odkąd usiadła, nie zajmował się nikt. Zastanawiała się czy nie są przylizane, a głowa nie spociała się od światła.

- Myślę, że różnorodność to wspaniała rzecz - powiedziała. - Uważam, że mężczyźni i kobiety powinni mieć możliwość wyboru, ale jeśli chodzi o mnie, nie mam ochoty nosić kostiumu, bez względu na to jaki jest piękny.

To powinno zakończyć sprawę Lacroix i reszty.

- A więc nazywa pani Lacroix twórcą kostiumów? - rzuciła z ożywieniem Elle, która nie pozwoliła Karen z wdziękiem się wywinąć.

Nie, pomyślała Karen, ciebie nazywam żmiją. Ale nie zmieniła przyjaznego wyrazu twarzy. Nawet się roześmiała.

111

- Chwileczką - powiedziała. - To pani słowa, a nie moje.

Skąd jej to przyszło do głowy? Obróciła wszystko na swoją korzyść. Poczuli na łokciu dotknięcie małej saszetki. Dziękuję, Madame Renault.

- W waszej branży często zdarzają się kradzieże, prawda? Na przykład wielu ludzi twierdzi, że gdy patrzymy na tegoroczne projekty Norris Cleveland, oglądamy zeszłoroczną Karen Kahn. Co pani o tym sądzi?

- Wie pani co jeszcze mówią ludzie? Nic nowego pod słońcem - Karen zaśmiała się z pewnym przymusem. -

Wszyscy czerpiemy natchnienie z tego co nas otacza. Jeżeli zainspirowałam cokolwiek, pochlebia mi, gdy rzecz jest dobrze zrobiona, a przygnębia kiedy tak nie jest. Norrel był wybitnym projektantem, a jak twierdził, w całej swojej karierze jedynie reinterpretował Chanel.

Elle porzuciła ten rodzaj pytań. Natychmiast jednak na jej twarzy pojawił się wyraz troski, znany publiczności jako zapowiedź naprawdę zabójczego tematu. Karen zebrała siły.

- Kobiety lubią panią, gdyż uosabia pani sukces w interesach, tak świetnie radząc sobie w świecie mężczyzn. Jak pani sądzi, co czuje mąż grając drugie skrzypce? - zapytała Elle. - Czy to nie jest przyczyną problemów w małżeństwie? Dla żadnego mężczyzny nie jest łatwe pozostawać w cieniu żony, a pani mąż, jeśli wolno mi to stwierdzić, jest osobą bardzo dynamiczną.

Jezu Chryste! Co Jeffrey powiedział w trakcie własnego wywiadu?

- Jeffrey nie jest w moim cieniu - zaczęła. - Podejmuje wszelkie decyzje dotyczące firmy. Zawsze popychał mnie do przodu.

- A więc zgodzi się pani, że pozostaje raczej z tyłu, niż odgrywa rolę wiodącą. To pani jest osobą twórczą.

- Nie. Nic podobnego nie powiedziałam - Karen zrozpaczona, odwróciła wzrok od kamer i od Elle. - Nasz związek nie opiera się na współzawodnictwie. Uzupełniamy się nawzajem. Ja tworzę ubrania, Jeffrey naszą firmę. Oboje jesteśmy twórczy.

- Ale to pani dostała Nagrodę Oakleya - rzuciła słodkim głosem Elle.

- Tak i Jeffrey był z tego bardzo dumny.

- Bardzo nowocześnie - stwierdziła Elle. - Czy mąż nie ma nic przeciwko temu, że to pani kontroluje interesy firmy?

Bo to pani przecież jest właścicielką większości udziałów?

O cholera. A tego skąd się dowiedziała? Z całą pewnością nie od Jeffreya. Firma jest własnością prywatną, więc jakim cudem wywiadowcy Elle zdołali to wykopać? Jeśli Karen zaprzeczy - skłamię, jeśli potwierdzi - upokorzy męża. Czuli jak upływają kolejne sekundy. Musiała coś powiedzieć.

- Nie mam większości udziałów - rzekła w końcu. - Oboje cieszymy się, że firma tak się rozwinęła - dodała. - Nie sądzi pani, że mamy powody?

Elle nie odpowiedziała.

- Czy sprzedałaby pani firmę? - zapytała. Karen wzięła głęboki oddech.

- Nie wyobrażam sobie tego - powiedziała. - Ale, jak przypuszczam, wszystko jest możliwe.

113

Poczuła nad górną wargą kropelki potu. Żałowała, że nie mogą przerwać na chwilę. Poprosiłaby o szklankę wody i zapytała Definę, jak jej idzie. Zastanawiała się, czy poza kręgiem świateł albo w zielonym pokoju kryje się Jeffrey. Czy jeczy w duchu, słysząc jej odpowiedzi? Chciała przerwać wywiad, by zebrać siły. Nie było to konieczne, gdyż w **tej** samej chwili Elle wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni Karen.

- Bardzo dziękuję za przyście do nas dzisiaj – powiedziała i, nim Karen otworzyła usta by odpowiedzieć „Nie ma za co”, potrzęsnęła swą idealnie uczesana głowa, patrząc na stojącego za reflektorami reżysera. - Czy potrzebujemy

Jakichs dodatkowych ujęć? - rzuciła w ciemność, a Karen siedziała i czekała na odpowiedź.

To był koniec wywiadu. Przypuszczała, że odczuje przyływ ulgi. Wybrnęła, poradziła sobie całkiem nieźle i nie przeżyła konfrontacji z czymś skandalicznym lub wstydlwym. Elle nie wprowadziła przed kamery jej prawdziwej matki. Dziwne zatem, że czuła się rozczarowana.

Rozdział 8

Uroki życia wiejskiego

Karen nie lubiła wsi. Kiedy miała siedem lat rodzice doszli do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli dziecko wyjedzie na lato z Brooklynu. Wynajęli bungalow we Freehold, w stanie New Jersey. Bella była w ostatnich tygodniach ciąży z Lisą i nie mogła znieść miejskich upałów. Gorące lato w New Jersey najwidoczniej nie stanowiło zmiany na lepsze, bo całe dnie spędzała, leżąc bez życia na pokrytym plastikową plecionką aluminiowym leżaku. Kilka pierwszych upalnych dni Karen wałęsała się więc sama po wiejskich drózkach. Na poboczu którejś z nich odkryła poziomki i zjadła całą masę, nie zwracając uwagi, że rośnie wśród nich trujący bluszcz. Kto słyszał o trującym bluszczu w Brooklynie? Skończyło się ciężką chorobą - na rękach, twarzy i w jamie ustnej pojawiła się wysypka. Była to tortura. Przez dwa tygodnie Karen leżała w łóżku, a Bella smarowała ją roztworem galmanu i krzyczała, gdy córka usiłowała się podrapać. Straszyla, mówiąc o bliznach. Jednakże blizny pozostały jedynie w psychice - od tej pory wieś była w oczach Karen miejscem bardzo niebezpiecznym. Miejskie niebezpieczeństwa dawały się zauważyć i w dużej mierze unikać. Można było przejść na drugą stronę ulicy, by uchronić się przed kłopotliwym spotkaniem z bandą wyrostków, omijać koty i nie wsiadać do taksówek prowadzonych przez Azjatów. Jednak na wsi zagrożenie czaiło się nawet w najniewinniej wyglądających kwiatkach. Lasy były pełne mężczyzn z broniąpalną wściekłych zwierząt, dziur grozących złamaniem kostki i wielu innych niebezpieczeństw. Ludzie mogli w nich zaginać i nie odnaleźć się już więcej.

Między innymi z tego powodu Karen nie była zachwycona, gdy Jeffrey zaproponował zbudowanie domu poza miastem. Oczywiście, Westport w Connecticut trudno nazwać wsią. Miejscowość stanowi raczej, zaopatrzone w trawniki, przedłużenie nowojorskiej Upper East Side. Karen jednak do niczego jej nie potrzebowała. Kłopoty godzenia harmonogramu pracy z prowadzeniem domu w Nowym Jorku sprawiały, że odpowiedzialność za jeszcze jedną siedzibę nie była szczytem jej marzeń. Ponieważ Jeffrey nalegał, zgodziła się zawrzeć z nim Wielką

86

Umowę-wybudujadomw Westport pod warunkiem, że zatrzymają nowojorskie mieszkanie, zamiast przenieść się pod lepszy adres.

Musiała przyznać, że dom okazał się naprawdę piękny. To zasługa Jerrreya. Dla Valentino dekorację wewnątrz robił Peter Marino, dla Versace - Włoch Mon-giardino, dla Yvesa Saint Laurenta - Jacques Grange, a dla Oscara de la Renty az trzech dekoratorów - Fourcade, Despont i najbardziej zasłużona amerykańska artystka, Sister Parrish.

Jeffrey nie wypadł gorzej. Utrzymany w starym stylu, gołębioszary dom, był jedną z tych nowoczesnych, krytych gontem budowli, która posiadając wszelkie uroki dawności, ma jednocześnie współczesne udogodnienia Prawdziwie arcydzieło autorstwa Jeffreya. Budynek stał z dala od drogi i ocieniały go dwa ogromne klony. Z tyłu płynęła rzeka, której prawie dwieście metrów należało do posiadłości.

Karen musiała przyznać, że obszerne białe pokoje umeblowane dużymi sprzętami w pokrowcach z białego płótna, naprawdę robiły wrażenie, ale me upajała się tym domem tak jak Jeffrey. To on zaproponował, by ekipa telewizyjna Elle Halle przyjechała i nakręciła ich, jak spacerują pośród drzew. Odbyło się to parę tygodni temu i Karen zniszczyła buty brnąc błotnistym brzegiem rzeki. Gdyby Bóg życzył sobie, by ludzie na wsi spacerowali, stworzyłyby tam chodniki. Choc, prawdę mówiąc, cóż innego jest tam do roboty? Nie ma kin, sklepów, taksówek, a chcąc gdzieś się dostać, trzeba jechać całymi milami. Przesiadanie na kamiennym tarasie i łapanie komarów nie wydawało się jakoś Karen ideałem niebiańskiego szczęścia. Na co komu pięć sypialni i cztery łazienki? Szczególnie teraz, gdy wiadomo już, że nigdy nie zapełnią się dziećmi.

Ernesta odmówiła wycieczek do Westport, tak więc podczas weekendów Karen musiała polegać na pomocy miejscowej gospodyni. Jednak pani Frampton przysparzała niemal więcej kłopotów niż korzyści. Trzeba było tak dokładnie jej wszystko wyjaśniać, że Karen wolała po prostu zrobić większość rzeczy sama. Tego słonecznego niedzielnego poranka usiłowała nakłonić gospodynię do pomocy przy zorganizowaniu śniadania. . . .

Późne śniadanie było jedynym posiłkiem, jaki Karen miała odwagę podać przyjmując sama gości. Nigdy nie zapraszała na obiad, o ile me pomagała jej Ernesta lub zamówiona firma cateringowa. Śniadanie było jednak stosunkowo łatwe - kilka obwarzanków, owoce i sery ze „Stew Leonard”, małe wędzone rybki przywiezione z miasta - i sprawa załatwiona. Nawet Jeffrey, pedantyczny jeśli chodzi o tego rodzaju szczegóły, zachwycał się jej śniadaniem.

Dziś jakoś nie wychodziło, jak zresztą wszystko podczas tego weekendu. Jeffrey uparł się, by jeszcze raz przestudiowała dane budżetowe z prawnikiem Robertem, pracowicie przygotowującym bilans na spotkanie z NormCo. Dopiero w sobotę wieczorem, gdy mieli się wybrać na kolację do przyjaciół w Weston, poczuła się znowu człowiekiem. Włożyła nową, wypróbowywaną wlasme, brązową jedwabną tunikę i legginsy w ciemniejszym odcieniu. Sty średniowieczny. Zawsze świadomie wybierała stroje wyjściowe. Ludzie oczekiwali, że będzie

dobrze ubrana i czuła się w obowiązku ich nie zawieść, choćby woląa spędzić życie w dresie. Nie bez trudu wymyśliła więc stroje na weekend, piękne ale równie wygodne jak dresy. I naprawdę wyglądała w nich świetnie. Jeffrey zaś, w szarej marynarce od Armaniego idealnie dobranej kolorem do jego włosów, robił, jak zwykle, oszałamiające wrażenie. Podczas obiadu opowiedział parę zabawnych historyjek tak, że Karen mogła przypomnieć sobie za co go uwielbia. Po powrocie do domu, rozgrzewające działanie butelki bordeaux, pomogło im zacząć się kochać, choć także uniemożliwiło Jeffreyowi finalizację.

Rankiem blask ubiegłej nocy przygasł i Karen musiała stawić czoła rzeczywistości czyli groźbie, że lada moment w domu pojawi się kilkunastu gości. Obwarzanki przywiozła z „H&H”, a Ernesta przygotowała i opakowała dwie tace rozmaitych kremowych serków od Barneya Greengrassa, „Króla Jesiotrów”. Wszystko to kosztowało majątek i czasem Karen czuła się winna na myśl o pieniądzach, które zarabia i wydaje. Radziła sobie z tym dając szczodre dotacje na cele dobroczynne i tłumacząc sobie, że jej wydatki poprawiają ekonomiczną sytuację kraju. Jeffrey nazywał ją „sumieniem ze złotą kartą kredytową”.

Brzegi pokrojonego na cienkie plasterki łososia pociemniały już i wyglądały na wyschnięte, a Karen zastanawiała się czy ryba po dwudzieścia dziewięć dolarów za funt może okazać się twarda. Wyglądała jak różowa skóra. No, tak.

- Czy przekroiła pani już obwarzanki, pani Frampton?

- Nie, proszę pani - odparła tamta nie wykonując żadnego ruchu.

- Czy może pani, w takim razie, zrobić to teraz? - zapytała Karen. Nigdy nie wiedziała, czy gospodyni stosuje bierny opór czy po prostu jest głupia. Nie potrafiła powiedzieć, co byłoby gorsze. Oczywiście, mogła też być niegrzeczna. Ostatecznie Karen przyjeżdżała tu na weekendy z Nowego Jorku i miała masę pieniędzy, a pani Frampton spędziła w miasteczku całe swoje życie i nie posiadała ani grosza. Jej syn był miejscowym policjantem. Z żoną dwojgiem dzieci mieszkał u rodziców, bo nie mógł pozwolić sobie na kupno domu w Westport. Dzięki plotkom od niego i przyjaciółek, które też sprzątały cudze domy, pani Frampton wiedziała o wszystkim co działo się w miasteczku. I prawdopodobniej opowiadała każdemu, kto chciałby posłuchać, czego dowiedziała się o swej pracodawczyni. To był jeszcze jeden powód, dla którego Karen nie znosiła wsi. Jako mieszkanka Nowego Jorku spoglądała z pogardą na turystów i dojeżdżający do pracy tłum z przedmieść. Nie wiedzieli, gdzie kupić najlepsze obwarzanki albo gdzie odnowić puchową kołdrę. Nie umieliby zagrać z Defmą w „najlepsze”. Byli intruzami. Tutaj ona stawiała się intruzem, a ludzie w rodzaju pani Frampton, Georgia Hazena, który strzygł trawniki czy Billa Mackleya ze sklepu żelaznego sprawiali, że czuła się niczym cudzoziemiec w obcym kraju. Przypuszczała, że są antysemitami i nie

wierzyła w dobre intencje tubylców. Ale Jeffrey ich uwielbiał. Mówił, że jest paranoiczką, a oni „solą ziemi”. Całymi godzinami gadał o głupstwach z mieszkańcami miasteczka.

Karen obejrzała uważnie salon, upewniając się, że wszystko jest na swoim miejscu. Był to ogromny pokój z belkowanym, niby w stodole sufitem. Umeblowanie, poza dwoma kompletami wypoczynkowymi, stanowił jedynie duży, pokryty

88

szkłem stół jadalny otoczony dwunastoma białymi krzesłami w stylu Windsor. Obok, na ścianie wisiał tryptyk, o delikanych, prawie niewidocznych kolorach, namalowany przez dawnego współlokatora Jeffrey, Perry'ego SiWermanna. Pozostałym źródłem barw były leżące na podłodze dwa cudowne kermanskie dywany o niezwykle subtelnym odcieniach. Były zrobione z mieszanki jedwabiu i wełny więc gdy chodziło się po nich, kolory zmieniały się wraz z układem włosów Karen kochała w tym domu tylko obraz SiWermanna i te dywany. Tryptyk był ślubnym prezentem, ale one kosztowały ponad trzydzieści tysięcy dolarów za sztukę i to po cenie hurtowej, uzyskanej dzięki przyjacielowi Carla, dekoratorowi wnętrz. Zdaniem Karen były jednak warte każdego włożonego w me centa. Tworzyły atmosferę pokoju.

Pani Frampton skończyła krojenie obwarzanków i stała bezmyślnie przy kuchennym blacie.

- Czy może pani poukładać je na półmisku? - spytała Karen. - Myślę, że ten owalny, błękitny będzie najlepszy. Gospodyni kiwnęła głową i przykucnąwszy przed kuchennymi szatkami zaczęła go szukać. Kuchnia stanowiła coś w rodzaju spełnionego marzenia mieszkańców eleganckiego przedmieścia. Było w niej mnóstwo oszklonych szafek z białego drewna w których wszystko poukładano niezwykle starannie. Potrójny porcelanowy zlewozmywak zaopatrzone zostały nie tylko w dwa krany i urządzenie do spłukiwania, ale także w osobny kran z gorącą wodą oraz podajnik płynu do zmywania Reszty dopełniała zmywarka, której front nie różnił się od szafek i lodówka firmy Subzero, tak wielka, że mogłaby pomieścić pół wołu - również pokryta drewnem zgodnie ze stylizacją całości na wiejski dom. W ciągu kilku miesięcy jakie tu spędzili, Karen nie miała jeszcze okazji używać piekarnika. Podgrzewała jedynie na halogenowej kuchence wodę na herbatę. To przypomniało jej o następnym zadaniu. ".....

- Czy przygotowała pani ekspres do kawy? - zwróciła się do pani Frampton.

- Nie, proszę pani.

- Więc może zrobiłaby to pani teraz? Proszę nalać wody do pełna. Będzie potrzeba co najmniej dwanaście filiżanek. A gdy zobaczy pani, że już niewiele zostało, proszę przygotować następny dzbanek. Teraz trzeba zemleć świeżej kawy. Jeffrey lubi mieszankę orzechową.

Zostawiwszy gospodynię w kuchni przy wyjąłym elektrycznym młynku, zaniósła i ustawiła na bufecie półmisek z wysychającym łososiem. Okazało się, że tymczasem z kwiaciarni dostarczono zupełnie niemożliwe kompozycje lila i tu-beroz Musieli to przynieść, kiedy była pod prysznicem. Karen wzniosła oczy do nieba Coś takiego może się przytrafić tylko na przedmieściu. W pokoju pachniało już jak w salonie domu pogrzebowego. Kto będzie w stanie jeść przy takim zapachu! O Boże! Położyła rękę na czole i potarła skronie.

Chciała przecież tylko wydać miłe przyjęcie, spędzić ranek i wczesne popołudnie nie raniąc niczyich uczuć, bez kłótni i w przyjemnej atmosferze. Czuła się zobowiązana urządzić śniadanie, ale czy nie tak jest ze wszystkimi przyjęciami? Bella już parę razy przypominała, że od miesięcy nie zapraszała ani ich, ani rodziny

Jeffreya, miała więc zamiar za jednym zamachem zadośćuczynić obowiązkom życia towarzyskiego. Karen doszła do wniosku, że poczucie winy jest cechą dziedziczną i ma się je po matce. Zbliżała się, co prawda, uroczystość *bat micwah* jej siostrzenicy, ale miała to być okazja spotkania rodziny i przyjaciół, których z Jeffreyem zbyt często nie widywali. Karen choć była zajęta, kochała przecież obie swoje siostrzenice, a szczególnie zależało jej na tym, by Tiff poczuła się w czasie swej uroczystości wyjątkowo.

Chciała, by na śniadaniu wszyscy dobrze się bawili. Stephanie po raz pierwszy spotykała Tangelę na gruncie prywatnym i Karen miała nadzieję, że dziewczyny się zaprzyjaźnią. Skoro nie urodzi ani nie zaadoptuje dziecka i obecna rodzina musi jej wystarczyć, spodziewała się, że może choć dziś Bella dogada się z Sylwią, matką Jeffreya, a ona sama nie będzie się czuła nieswojo w towarzystwie jego dwóch sióstr.

No, cóż. Może lepiej nie zakładać się o głowę.

Wazon z roztrzaskanymi intensywny zapach kwiatami wyniosła przez tylne drzwi do ogrodu. Trawa tam sięgała jej prawie do łudek, walka o murawę zakończyła się jego zwycięstwem. Jeffrey uważał, że nie strzyżony wygląda bardziej naturalnie i mniej prowincjonalnie, ale Karen wiedziała, iż sąsiedzi tego nie pochwalają. Rozejrzała się wokół. Wzdłuż kamiennego tarasu rósł biały bez. Jeśli trochę ogołoci ogród, będzie mogła zastąpić agresywne kwiaty w bukietcie czymś łagodniejszym. Poszła do ogrodowej szopy, znalazła sekator i szybko obcięła około dwudziestu gałązek. Wyciągnęła z wazonów lilie warte siedemdziesiąt dolarów, a zamiast nich włożyła zielone gałązki i białe kiście. Wyglądały nieciekawie i drugorzędnie. Wtedy zauważyła na krzaku rosnącym obok forsycji kilka zeschniętych gałęzi. Obcięła je i dodała do bukietu. Martwe gałęzie kontrastowały z perłowymi kiściami bzu, równoważąc kompozycję. Wniosła wazon do jadalni, w samą porę, by usłyszeć dzwonek do drzwi. Jeffrey nastawił płytę z Mozartem. Zawsze podczas weekendów lubił słuchać muzyki poważnej, choć Karen wolałaby *Spin Doctors* czy nawet stare kasety *Stonesów*. Najwyraźniej nie usłyszał dzwonka, więc pospieszyła do wejścia. Stała tam Defrna z Tangelą. Jej przyjaciółka trzymała w rękach okryty folią półmisek.

- Dobrze, że to ty - powiedziała z ulgą Karen. - Pomoc się przyda, ale na uwagi krytyczne nie jestem jeszcze gotowa.

- Skarbie, to ja się cieszę, że to ty. Mogę przysiąc, że gdybym przez omyłkę zastukała do kogoś innego, zaarrestowaliby nas, albo przynajmniej odesłali do kuchennych drzwi. Czy czarnym wolno przebywać w tym mieście?

- Jeśli ich na to stać - rzucił sucho Jeffrey, schodząc do hallu. Karen zauważyła, że jest już rozdrażniony. Nienawidził zabawiania rodziny. Wspaniale się składa, biorąc pod uwagę, że zaraz tu będą.

- Rozbierzcie się - odebrała półmisek, a jej przyjaciółka zrzuciła z siebie długie futro z norek. Karen nie lubiła go dotykać. Nigdy nie nosiła futer, wiedziała jednak, że okrycie to stanowi dumę Dermy. Było już co prawda trochę za późno na futra, ale kogóż to obchodzi? Tangela także miała na sobie długie do ziemi,

90

białe norki - należące dawniej do matki - i Karen musiała przyznać, że na niej wyglądały dobrze.

- Nie wiem co masz zamiar podać, ale pomyślałam, że ciasto kukurydziane pasuje do wszystkiego!

- Nigdy nie jadłam go z rolmopsami, ale może to być następne oszałamiające odkrycie kulinarne.

- Mówiłam jej, żeby tego nie przynosić, ale nie słuchała - poskarżyła się Tan-

gela - Zawsze musi wszystko zrobić po swojemu - odwróciła się ku Jeffreyowi, który pomagał jej zdjąć płaszcz i obdarzyła go nie tylko szerokim uśmiechem, ale także zalotnym spojrzeniem spod uniesionych brwi. - Dziękuję - szepnęła.

Jeffrey też uniósł brwi, popatrzył na Karen znacząco i oddalił się, by powiesić futra. Defina poszła za przyjaciółką do kuchni.

- Co mam robić? - zapytała.

- Znaleźć sobie krzesło - odparła Karen. - Mam właśnie zamiar wsadzić croissanty i *pain au chocolat* do piekarnika.

- Ułożyła na blasze kilkanaście półksiężyców z ciasta, po czym wsunęła je do pieca. Czy jej się zdaje, czy też pani Frampton przyglądała się Definie z dezaprobatą?

Rozległo się stukanie mosiężnej kołatki i Jeffrey wprowadził Perry'ego Silvermanna. Ciągłe było to jego najlepszy przyjaciel, jeden z niewielu, których Karen naprawdę lubiła. W odróżnieniu od Jeffrey'a Perry nadal malował, i jeśli nawet ostatnio jego kariera nie przedstawiała się wspaniale, to obrazy cieszyły się wystarczającym powodzeniem, by mógł posiadać poddasze w Soho, to samo, które kiedyś dzielił z Jeffreyem, zarabiać wyłącznie malowaniem i mieć co parę lat wystawę.

Karen zaprosiła go z wielu powodów, a jednym z nich było poczucie winy. Lottie dziewięcioletnia córka Perry'ego zapadła na szczególnie złośliwą odmianę białaczki i mimo znakomitego leczenia w Sloan Kettering, w krótkim czasie zmarła. Od tego czasu w trwającym jedenaście lat małżeństwie Perry'ego i June zaczęło się psuć. Perry był w strasznym stanie i właśnie ostatnio odwołał wystawę swych obrazów. Wydawało się, że poza pokerem z Jeffreyem, nigdzie nie bywa ani nic nie robi. Karen czuła się zobowiązana by go zaprosić, choć zaskoczyło ją, gdy wyraził zgodę.

Pocałował ją w obydwie policzki i nie było to nowojorskie całowanie powietrza lecz prawdziwe całusy, a ona go uściskała.

- Mm jak miło - powiedział. Potem pozdrowił Definę z Tangelą i rozejrzył się wokół. Pokręcił głową. - Connecticut

- powiedział ponuro. - Miejsce, gdzie wdzięku żądają w majestacie prawa.

- Razem z segregacją rasową - dorzuciła Defina.

Karen wzniosła oczy do nieba. Wspaniale. Jeśli chodzi o negatywne nastawienie, tych dwoje może sobie podać ręce.

I jednocześnie rozzłościć Jeffreya. Świetny początek.

- Chodźcie, pokażę wam dom - zaproponowała. Przez kuchenne uchylne drzwi przeszli do salonu.

- Boże! - wykrzyknęła Defina. - Wielki jak kościół!

121

- Mamo - jęknęła strofując Tangela. Popatrzyła na Jeffreya, który wcieliwszy się w rolę barmana, podawał jej puchar z sokiem pomarańczowym. - Uważam, że jest tu prześlicznie - wdzięczyła się głupawo. Jeffrey nie zwracał na nią uwagi.

- Czego się napijesz, Defina? - rzucił. Rozległ się dzwonek i Karen poszła otworzyć. Przed drzwiami stała teściowa i dwie szwagierki. Od śmierci męża Sylwia większość czasu spędzała ze swymi dwoma zameźnymi córkami. Sooky czy li Susan była żoną Roberta, prawnika prowadzącego sprawy JHKInc, zaś Buff, Barbara, rozwiodła się ze swoim Robertem, bankierem. Obydwie siostry reprezentowały typ bogatych, żydowskich dziewcząt, przy których Karen w szkole średniej czuła się niepewnie. Inteligentne, wygadane, złośliwe i nigdy nie przekraczające w swej garderobie rozmiaru szóstego.

Sylwia miała nową fryzurę. Włosy znacznie jaśniejsze niż poprzednio przypominały odcieniem soli z pieprzem włosy Jeffreya. Wyglądała skromnie i szykownie. Miała na sobie komplet z dzianiny od Soni Rykiel. Należała do wyznaw-czyń zakonu Soni i od lat kupowała jej wyroby. Karen wiedziała, że w przypadku bogatych kobiet taka działalność to nie zwykłe nabywanie ubrań, lecz określanie kim się jest i jaką pozycję zajmuje w towarzystwie, gdzie takie ubrania się nosi. Nie była pewna czy fakt, że teściowa nigdy nie wkładała jej modeli, powinna uznać za obrazę, czy za dowód obojętności Sylwii na tego rodzaju sprawy. Podejrzewała, że nie są jej one wcale takie obojętne.

- Proszę, wejdźcie - powiedziała z najładniejszym uśmiechem na jaki mogła się zdobyć, a trzy kobiety i prawnik Robert wkroczyli do środka

Specjalnością Roberta były nabycia, ale jego biuro reprezentowało June podczas rozvodu z Perrym. June pochodziła z bogatej rodziny i firma Roberta dopilnowała, by otrzymała z powrotem swoje pieniądze, choć Perry niespecjalnie się nimi interesował. Przeżył śmierć Lottie jeszcze ciężiej niż żona. W tej chwili robił wrażenie jakby nic go nie obchodziło. Karen obawiała się, że może odczuwać urazę do prawnika, ale on popatrzył tylko na wchodzącą grupę i ukłonił się. Znał ich od czasów szkolnych, gdy mieszkał razem z Jeffreyem.

Bella przybyła spóźniona, z przeprosinami od ojca Karen i długą opowieścią o tym, jak omal z nią nie przyszedł, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie, zrezygnował i postanowił przyjechać trochę później. Już wysłuchanie początku tej historii bardzo Karen zmęczyło. Zanim matka skończyła, pojawili się Lisa i Leonard z dziewczętami. Goście byli w komplecie.

Pierwsze pół godziny upłynęło Karen na głośnym chwaleniu strojów, podawaniu drinków i szukaniu pani Frampton. Choć na pozór goście zajęli się jedzeniem i sobą nawzajem, wyłoniły się trzy obozy - Kahnowie, Bella z potomstwem oraz wyrzutki - Perry, Defina i Tangela. Karen próbowała je połączyć, ale nie było to łatwe. Fakt, że

Carl nie mógł przyjść nie robił wielkiej różnicy, gdyż jego obecność i tak nic by nie pomogła. Dopiero po pewnym czasie znalazła chwilę, żeby złapać oddech. Stała w kuchennych drzwiach, przyglądając się zebranym w salonie ludziom. Zabawnie pomyśleć, że znajdują się tu wszyscy udziałowcy Klinc. Na swój sposób są współnikami w interesach. Wyglądali miło, zamożnie i robili wrażenie, że dobrze się bawią.

123

W tej samej chwili Karen ogarnęło jednak poczucie głębokiej samotności. Obecni tu ludzie wydali jej się nierzeczywiści, niby aktorzy. Co mieli z nią wspólnego? Najbardziej uderzyła ją różnica pomiędzy Bellą a matką Jeffreya. Wjakis sposób Sylwia wydawała się być starsza, a zarazem młodsza od jej matki. Wyglądała naturalnie, zwyczajnie i dużo bardziej elegancko, przez co z daleka robiła wrażenie kobiety czterdziestoletniej. Jednak kolor włosów i delikatnie umalowana twarz zdradzały wiek wprost i bez żadnych sztuczek. O Belli ludzie mówili, że wygląda ładnie, jak na swoje lata", o Sylwii tylko: „wygląda ładnie".

Bella była sztuczna. W układanych spódnicach i dopasowanych żakietach przypominała Karen jakąś żydowską Nancy Reagan - całą w złotych guzikach, z przesadnie ufryzowanymi włosami. Stroje od Adolfo z Rockville Centre. Biedna Bella. Za bardzo się starała. Karen zalała falą współczucia. Kiedyś przebojowa rosyjska dziennikarka, przeprowadzająca z nią wywiad, powiedziała, że me lubi ludzi zbyt dobrze ubranych, gdyż podejrzewa, iż o niczym innym me są w stanie myśleć. Taka właśnie była Bella. Jednak, mimo całej troski jaką otaczała swą cielesną powłokę, lęk że nie będzie całkowicie pasować do świata Sylwii, w którym tak rozpaczliwie pragnęła się znaleźć - miał solidne podstawy. Nie potrafiła przeniknąć do sfery bogatych, wykształconych, oblatanych Żydówek.

Sylwia natomiast, zdawała się być całkowicie zajęta Jeffreyem. Jak ona go kochała! Każdy pretekst był dobry by dotknąć syna, poklepać, pogłaskać po policzku czy zmierzwić mu włosy. A Jeffrey przyjmował to uwielbienie jako coś należnego. Dla swej matki nie był żydowskim księciem, ale żydowskim bóstwem. Karen rozumiała to. Sama doznawała w stosunku do męża podobnych uczuć. Przypomniał się jej dowcip o tym, skąd wiadomo, że Jezus był Żydem. „Mieszkał w domu do trzydziestego trzeciego roku życia, pracował w interesie swego ojca, a matka uważała, że jest Bogiem". Karen uśmiechnęła się. Jeffrey zawsze był blisko związany ze swoją matką.

Ojciec chciał, by pracował w rodzinnym przedsiębiorstwie handlu nieruchomościami, ale dzięki pomocy Sylwii syn przeciwstawił mu się, poszedł na Akademię Sztuk Pięknych i został malarzem. Karen wiedziała, jakim poświęceniem była z jego strony rezygnacja z malarstwa, by zarządzać jej firmą i ciągle jeszcze czuła z tego powodu wdzięczność i poczucie winy. Dobrze że teraz, po ponad dziesięciu latach, Jeffrey zaczął znowu malować. To jasne,

że chciał się wyzwolić, a układ z NormCo dawał mu tę szansę. Karen przypominała sobie samej, że mąż na to zasłużył. Powinna starać się bardziej go wspierać.

- Chodźcie i zobaczcie, jeśli chcecie - mówił właśnie Jeffrey, otwierając drzwi do pracowni. Zaprojektował ją sobie, gdy budowali dom i tam malował. Choć do tej pory trzymał to w sekrecie, teraz najwyraźniej chciał pokazać swe prace matce i każdemu, kto miałby ochotę im towarzyszyć.

W tej samej chwili pojawił się Arnold. Karen przywitała się z ojcem, podała mu kawę i usadziła na sofie, zaś Sylwia, Sooky, prawnik Robert, Buff, Bella, Lisa, Tangela i Stephanie powędrowali za Jeffreyem. Gruba Tiff stała przy bocznym stoliku pożerając kolejny obwarzanek. Boże, jak ona okropnie wygląda. Karen ogarnęło współczucie - sama jako nastolatka była grubawa, a nie musiała rywalizować

z olśniewającą starszą siostrą Przeszła przez pokój do siostrzenicy, starając się, by wypadło to naturalnie.

- A ty Tiff, nie chcesz zobaczyć obrazów wuja Jeffreya?

- Nie - odparła spokojnie dziewczyna, biorąc następny obwarzanek. Czy to już trzeci czy czwarty?

- Ja też nie chcę oglądać dzieł wuja Jeffreya - odezwał się Perry, nie pytany. - Zapewne chciałby abym mu powiedział, co o nich myślę.

Szczerze mówiąc, sama Karen także nie była zachwycona pracami męża. No, ale co ona wie na temat sztuki? Akty wydawały jej się za bardzo ostentacyjne, zbyt oczywiste-raczej prowokujące. Jakby bardziej z *Penthouse'a* niż z *Art News*. Czy Perry chciał powiedzieć, że jemu także się nie podobają? Szanowała opinie przyjaciela męża i nauczyła się podziwiać jego subtelne płótna. Popatrzyła na Silvermanna. Czy on pił? Czy tyle, żeby się upić? W południe? Nie, żeby miała o to do niego pretensję. Jeśli ona cierpiała nie mogąc zająć w ciążę, to co musiał czuć Perry? Lottie była uroczą dziewczynką. Karen wyobraziła sobie, że traci dziecko w podobny sposób i pomyślała, że może lepiej być bezpłodną.

Peny uchodził za przystojnego. Miał podłużne, wąskie oczy, długi nos i duże usta. Karen, sama się sobie dziwiąc, pomyślała, że gdyby nie niski wzrost i łysina, byłby naprawdę niezłym kaskiem. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz zwróciła uwagę na wygląd Perry'ego. Czy to tylko dlatego, że po raz pierwszy pojawił się na przyjęciu bez June?

- Jeffrey mówił mi o „Elle Halle Show”. Jak było?

- Jak w kąpieli z barracudą.

- Kiedy pokażą to w telewizji?

- Mówili, że za dwa tygodnie, ale nigdy nie ma pewności.

- No i co, jest laską czy nie?

- Laską? - roześmiała się Karen na wspomnienie zimnych oczu Elle. - Pytasz, czy Elle Halle to laska? Inne słowo przychodzi mi na myśl, a jeśli masz w związku z nią jakieś fantazje, wybij to sobie z głowy. Ta kobieta zjada wiceprezesów telewizji na drugie śniadanie. Jeżeli chcesz się umawiać, pomyśl lepiej o pająku czarnej wdowie, przynajmniej będziesz czuł się bezpieczniej.

- Próbowałem umówić się z kilkoma, ale wszystkie mi powiedziały, że akurat tego wieczoru piorą sieci. Szkoda. To łatwa śmierć - na jego twarzy ukazał się zabawny, odwrócony do góry nogami uśmiech. Ale tak naprawdę Perry był poważny.

- Bardzo ci ciężko? - zapytała.

- Nie tego słowa bym użył - odparł. - Wyraz „udręczenie” chyba z większym przybliżeniem określa stan faktyczny.

- Masz pretensję do June? To znaczy, za to żeście się rozstali.
- Mój Boże, nie. Sama wiesz, jak trudne jest życie z twórczą osobą - zmiany nastroju, nadwrażliwość, zagłębianie się w siebie.
- No tak. Jeffrey potrafi być męczący.

Przez chwilę twarz Perry'ego nic nie wyrażała, po czym odmalowało się na

126

niej pytanie „czyś ty zgłupiała?” Wybuchnął śmiechem. Już miała go spytać, na czym polega dowcip, kiedy otwarły się kuchenne drzwi.

- Coś tu chyba jest nie w porządku - przerwała im Defina.

Karen powąchała i dotarł do niej gorzki zapach spalonego pieczywa.

- Cholera! - przebiegła przez salon i zniknęła w kuchni. Była pusta, me licząc spowijającego ją dymu. Gdzie, u diabła, podziwia się pani Frampton? Karen wyciągnęła z piekarnika przypalone croissanty.

„Ilość” Defina, zobacz, czy nie ma jeszcze kilku paczek w zamrażalniku, dobrze? I włącz wentylator. Może uda mi się tu wywietrzyć, zanim wrócę z pracowni.

- Za dużo byś chciała. . Jakby dla potwierdzenia tych słów w kuchni pojawiła się Bella

„Nie włączyłaś stopera?” - zapytała. - To chyba nic trudnego włączyć stoper.

- Nie wiem, jak działa to przekłete urządzenie - wyjaśniła Karen.

- Ona zawsze wie, jak u niej w kuchni co działa - oświadczyła jej matka, wprawiając w zakłopotanie Definę. Karen jednak pojęła, iż Bella używając trzeciej osoby daje do zrozumienia, że to ona sama wie lepiej. Westchnęła.

Drzwi kuchni otworzyły się znowu i Sylwia wetknęła głowę do środka.

„Wszystko w porządku?” - zapytała z niewinną troską. Skąd u Karen brało się to przekonanie, że teściowa cieszy się z jej kłopotów?

- Jasne - odezwała się Defina. - Ryba zaraz będzie gotowa. Czy życzy sobie pani kapustę ugotowaną czy na surowo?

- Hm. Poproszę ugotowaną - mruknęła Sylwia wycofując się do pokoju. Za nią podążyła Bella.

- Gotowana kapusta? - zapytała Karen i wybuchnęła śmiechem. - Daj spokój. Przecież nawet jej nie lubisz.

- A do diabła z tym. Ona o tym nie wie. Nie domyśliła się i pozbyliśmy się ich obu, prawda? - Defina otworzyła zamrażalnik. - Hej, mam złą wiadomość nie ma już więcej croissantów. Są za to trzy pudełka mrożonych bułeczek. Wyrzuć blachę i połóż w piekarniku kawałek folii - przyjaciółki wzięły się do pracy i wkrótce bułeczki były w piecu. Karen skrzywiła się. Ciągle jeszcze nie opowiedziała Definie o wynikach doktora Goldmana. Coż, w końcu ma

na to całe **życie**.

-Co sądzisz o Perrym?-spytała zamiast tego.

- Wydaje się sympatyczny - Defina wrzuciła do kosza puste pudełka po buleczkach.

Na tyle, żeby się z nim umówić? Był mężem June, ex-narzeczonej Jeffrey'a. Są rozwiedzeni i chłopak jest do wzięcia.

Defina oderwała się od pracy i oparła ręce na biodrach.

- Po pierwsze, facet jest w szoku. Po drugie jest biały, a ja już to przerabiałam i efekty nie były najlepsze. Potem czuję się zbyt samotna. I żadna z tego korzyść **dla** mojej córki, która do **tej** pory nie wie, czy jest czarna czy biała. Poente wreszcie sięga mi do talii co, przyznaję, **pod** względem seksualnym okazuje się czasem **przydatne**, **ale** równie dobrze można znaleźć sobie kogoś wysokiego

95

i nauczyć go klękać. Poza tym, nawet gdybym była, a nie jestem, zainteresowana tym małym białasem, to szaleje za nim twoja szwagierka. A teraz podaj mi kratkę z piekarnika.

Podczas tyrady Defmy w kuchni niepostrzeżenie pojawił się Arnold. Kiedy Karen uniosła głowę, stał oparty o ścianę.

- Chcesz więcej kawy? - zapytała. Pokręcił głową.

- Czy mogłabyś mi dać, jeśli masz, trochę peptobismolu?

- Dobrze się czujesz? - ojciec nie wyglądał najlepiej. Czy ona nie potruła ich wszystkich tą rybą?

- Nic takiego - zapewnił. - Zwykle kłopoty. Podała mu dwie różowe tabletki i wyszedł z kuchni.

Przyjaciółki właśnie skończyły reorganizację śniadania, kiedy powróciła pani Frampton. Gdzie ona się podziewała?

- Proszę je upiec. Będą gotowe za dziesięć minut. Potem przynieść na tacy do salonu - rzuciła krótko Karen, nie wspominając nic na temat spalonych crois-santów. Pani Frampton popatrzyła na nią niewzruszona. Defina otworzyła drzwi, wzięła przyjaciółkę pod rękę i poprowadziła z powrotem do gości, którzy ciągle jeszcze rozmawiali o obrazach Jeffreya.

- Są cudowne - mówiła Lisa. - Leonardzie, prawda, że obrazy były wspaniałe? - zwróciła się do męża, który przytaknął posępnie. - Czy nie mam racji?

- Tak, kochanie. Lisa westchnęła.

Sylwia, jak zwykle, stała obok syna obejmując go ramieniem.

- Widziałaś jego obrazy? - zwróciła się do Karen. - Czy nie są cudowne? Takie... takie... działające na wyobraźnię.

O aktach malowanych przez Jeffreya można było powiedzieć wszystko, tylko nie to. Nazywał je szkicami i, jak powiedział Karen, malował jedynie dla wprawy. Nie były to jednak próbne, powierzchowne szkice, ale prace przedstawiające modelkę w sposób oczywisty i bez ukrytej głębi. Działające na wyobraźnię! Karen uśmiechnęła się do teściowej. Najprzychylniejszym krytykiem mężczyzny jest jego matka. Dlaczego w przypadku kobiet jest inaczej? Jeffrey promieniał, ale Karen nie mogła nie zauważyć nachmurzonej miny Perry'ego. Cóż, skoro przestał malować, niełatwo mu słuchać, jak ludzie rozplývają się nad pracą kogoś innego.

- Są wstrząsające - powiedziała Buff. - Nie uważasz, Perry?

Defina miała rację, pomyślała ze zdziwieniem Karen. Buff leci na niego.

- Wstrząsające? - zapytał Perry. - Chodzi ci o to, że linie tak się trzęsą? Buff właśnie miała mu odpowiedzieć, kiedy odezwała się Tangela.

- Kto był modelką? - zrzuciła prowokacyjnie.

Karen omal nie wybuchnęła śmiechem. Wyglądało na to, że wszystkie kobiety w pokoju na kogoś lecą. Ale Defina zmarszczyła brwi.

- A jak sądzisz, kogo mąż twojej szefowej wybrałby na modelkę? - syknęła. Ujęła córkę za ramię i odprowadziła w kąt pokoju. Jeffrey zbył to wzruszeniem ramion.

96

Karen uśmiechnęła się do niego, a w tej samej chwili podeszła matka z prawnikiem Robertem.

- Opowiedz o Elise Elliot - poprosiła Bella. - Czy jest miła?

- To kobieta, która potrafiła ładnie się zestarzeć - powiedziała z aprobatą Sylwia której udało się w końcu uśmiechnąć do synowej. - Prawdziwa dama.

Karen pomyślała o piekle, w jakie Elise zamieniła jej pracownię, spojrzała na Jeffreya i także się uśmiechnęła.

- O tak, to urocza osoba - przytaknęła.

- Czy miała operację plastyczną? - zapytała Buff. - Widziałas jakieś blizny? Karen pokręciła głową. Nawet gdyby widziała, nie opowiadała by o tym.

- No to kiedy ślub? - zainteresował się prawnik Robert.

- Jesteście zaproszeni? - chciała wiedzieć Bella.

- Oczywiście, że jesteśmy - odparł Jeffrey z urazą w głosie. Nie jest przecież jedynie dostawcą bogatych i sławnych.

- Bello, wygląda na to, że twoja córka zrobi karierę - oświadczył prawnik.

- Już ją zrobiła-poprawiła go Bella.

- Bzdura, mówię o prawdziwej karierze. Zakup firmy przez NormCo wygląda zupełnie realnie.

Kilka innych korporacji kręciło się już wcześniej wokół **KJnc**, ale pierwszy raz zainteresowała się nimi firma z takimi pieniędzmi jak NormCo. Karen prosiła Roberta, by trzymał to w tajemnicy. Bella i Lisa miały udziały w KJnc i me chciała by robiły sobie płonne nadzieje. Ale Robert zawsze był szują.

- A na co komu wielka firma - zapytał Arnold, który właśnie do nich przyczłapał. - Dziewczyna świetnie sobie sama radzi.

- Och, daj spokój. Wypuszczenie tańszej kolekcji dużo kosztowało. Niełatwo pospłacać długi. Potrzebują tej umowy.

- Też tak uważasz? - Arnold zwrócił się do Karen. - Wolper cuchnie. Ten człowiek dwa razy zniszczył związki zawodowe. Nie bierz sobie za współnika takiego faceta.

O Boże zaraz się pokłóca, pomyślała Karen. Arnold jest kochany, ale musi się pozbyć tych uprzedzeń wobec każdej korporacji w Ameryce. Ostatecznie jego córka stworzyła jedną z nich.

- To tylko wstępne spotkanie - powiedziała ojcu, czując się winna z powodu tego kłamstwa. .
- A więc jutro mamy wielki dzień - oświadczył prawnik Robert, nakładając sobie więcej na talerz. - Jesteś gotowa, Karen?
- Myślę że jakoś sobie poradzę, Bob. - Lubiła tak go nazywać. Bob to głupie imię a on był taki nadęty, że miło, od czasu do czasu, spuścić mu trochę powietrza. Dlaczego rozmawiał z nią, jakby była niespełna rozumu? Czy tak się zachowywała? A może to wpływ Jeffrey'a, który wmówił mu, że Karen jest osobą niekompetentną? Ciągle czuła żal do męża o to, że podjął decyzję o rezygnacji z usług Sida, prawnika i przyjaciela jej ojca, decydując się na przejście do eleganckiej firmy prawniczej Roberta. Ale Jeffrey nalegał, a to on w końcu zarządzał ich interesami.

7 - Spóźniona moda

130

Już na początku podzielili się rolami: ona była twórczą projektantką, a on facetem odpowiedzialnym za „męskie sprawy”. Karen zgodziła się, gdyż Jeffrey cieszył się dzięki temu większym szacunkiem w firmie. Ona także skorzystała - nie musiała zawracać sobie głowy nudnymi podatkami, płynnością gotówki, rozmowami ze związkami zawodowymi i całą resztą. Jednak w chwilach takich jak teraz, drażniła jajej rola. Ostatecznie, nie chodziło przecież o zatrudnienie osoby do kontaktów z mediami, czy o sprzedaż resztek tkanin. Rozmawiali o sprzedaży jej firmy. W takich chwilach myśl o utracie kontroli była prawdziwą udęką.

Zamiast jednak na nowo zacząć o tym dyskusję, Karen odwróciła się i podeszła do Tiff siedzącej samotnie na sofie. Na stoliku przed nią piętrzyły się na talerzyku trzy bułeczki, które udało się odgrzać pani Frampton. Gdy Karen usiadła obok, siostrzenica chwyciła leżącą na wierzchu, wgrzając się w nią łakomie. Mimo, że najwyraźniej japarzyła, Tiff żuła uporczywie miękkie, parujące ciasto, chłodząc się wciąganiem przez zęby powietrzem.

- Bardzo jesteś podniecona *bat micwah*? - zapytała Karen.

- Nie - chrząknęła dziewczynka.

- Nauczyłaś się już Haftory? – Hafora jest częścią Tory, którą Tiff miała po hebrajsku odczytać przed zebraniem w świątyni. - Ja bym nie potrafiła. Wiesz, nigdy nawet nie chodziłam do hebrajskiej szkoły.

- Miała ciocia szczęście.

- W co się ubierzesz?

- A jakie to ma znaczenie, skoro wygląda jak prosię? - w pokoju rozległo się głośnie pytanie Belli. Tiff rzuciła jej mordercze spojrzenie i sięgnęła po następną bułeczkę.

- Odłóż to - nakazała babka.

- Spróbuj mnie zmusić - odparła Tiff z pełnymi ustami.

- Zobaczcie, jak się do niej zwraca jej własna wnuczka! Nie mów z pełną buzią - wykrzyknęła Bella.

- Mnie to nie przeszkadza - oświadczyła dziewczynka i ugryzła bułeczkę. W pokoju zapadła cisza. Rozmowy zamarły. Do siedzących na sofie podeszła Lisa. Karen obejrzała jej strój. Chcąc zrobić przyjemność siostrze ubrała się w sweter i legginsy, zestaw zaprojektowany przez Karen w zeszłym roku. Jednak Lisa ozdobiła go paskiem od Chanel, nabitym chyba setką ćwieków z logo Karla Lagerfelda. Karen zdawała sobie sprawę, że znalezienie własnego stylu nie jest rzeczą łatwą. Wystarczy popatrzeć na Iwanę Trump. Wiedziała, że Ivana zapłaciła kiedyś trzydzieści siedem tysięcy dolarów za wyszywany perełkami żakiet od Christiana Lacroix. Oczywiście, było to przed rozwodem. Lisa nie wydawała na stroje aż tyle, ale wydawała wystarczająco dużo. Mimo to nie znalazła własnego stylu, a jeśli nawet, to nie pasował on do niej. Mogła chociaż zrezygnować z botków z wężowej skóry. Karen

kochała swoją siostrę, wiedziała jednak że brak jej dwóch rzeczy - oka i stanowczości. Rzuciła Lisie spojrzenie mówiące: „Zrób coś z Bel-lą”. Tamta jednak nigdy tego nie umiała.

- Błagam cię, mamó - poprosiła słabym głosem.

132

- Proszę mnie tu nie błagać. Dziewczyna zupełnie nie panuje nad sobą. Popatrz na nią; robi z siebie widowisko! Żre jak koń, a jej siostra je jak ptaszek. Tańczyły dwa Michały, jeden duży, drugi mały - ręce Belli przesunęły się nerwowo wzdłuż zakietu i spódnicy, jakby strzepując nie istniejące okruchy. Podszedł Arnold i cichym głosem zaczął mówić coś do żony. - Nie zaczynaj - rzuciła mu gniewnie, ale kiedy ujął ją pod rękę, pozwoliła się wprowadzić na taras.

Stephanie przyszła i usiadła na sofie obok ciotki. Tak jak jej matka wolała łagodzić sytuacje.

- Kiedy będziesz w telewizji? - zapytała. - Uwielbiam Elle Halle.

- Tak, to prawdziwa laska - zgodziła się Karen, posyłając Perry'emu szeroki uśmiech. - Myślę, że pokażą mój program za dwa tygodnie.

- To szalenie emocjonujące - powiedziała Lisa. - Wszyscy razem będziemy oglądać. Chcesz się przyłączyć? - zapytała siostrę.

Z jakiegoś powodu, na samą myśl o tym, Karen odczuwała zdenerwowanie. Uśmiechnęła się więc tylko niezobowiązująco.

- Może - odpowiedziała. Kochała siostrę, ale jakoś coraz trudniej było jej spędzać z nią czas. Lisa nie miała pracy, a ona dzieci i pewnie obie trochę sobie zazdrościły. Wydawało jej się, że życie siostry toczyło się zupełnie innym torem, w jakimś innym, nawet nie porównywalnym wszechświecie. Czuła się z tego powodu winna, a jednocześnie samotna.

Zabawne. Miała gdzieś Elle Halle i Elise Elliot, a tu wszyscy byli pod wrażeniem tego programu. Obchodziła ją Nagroda Oakleya, a nikt nawet o mej me wspomniał. Karen westchnęła.

- Strasznie jestem podniecona, że będę u ciebie pracować - powiedziała Stephanie. .

- Ja też, Stephie - Karen poklepała ją po nodze. Popatrzyła na Tiff. Dziewczynka żuła powoli trzecią bułeczkę, a po jej policzku spływała łza. Ogarnęło ją współczucie i poklepała także drugą siostrzenicę po grubym udzie. - Wiesz, co ci kupiłam na *bat micwah*? - zapytała.

- Urządzenie do eutanazji? - odpowiedziała pytaniem.

Karen roześmiała się ze zdziwieniem. Dzieciak potrafi być zabawny. Może jeszcze wszystko dobrze się ułoży. Tiff jest inteligentna i ma poczucie humoru. Wyjdzie z tego trudnego okresu. Ostatecznie jej ciotce się to udało. - Nie, mam dla ciebie perły - uśmiechnęła się do dziewczynki. - Wiesz, co zawsze mówi twoja babcia?

- Że jestem gruba jak prosię. Karen skrzywiła się.

- Mówi, że każda kobieta powinna mieć potrójny sznur pereł. I wiesz co zrobię? Jeden sznur dam ci teraz, drugi na szesnaste urodziny, a trzeci gdy skończysz dwadzieścia jeden lat.

- Naprawdę?

Karen zobaczyła, jak po raz pierwszy tego dnia twarz Tiff rozjaśnia się uśmiechem. Dziwne, ale przez chwilę podobna była trochę do swojej ciotki. Karen pochyliła się i pocałowała dziewczynkę w miękki, pyzaty policzek.

99

- Chcesz dostać jejuż teraz?-zapytała. - Wtedy będziesz mogła włożyć je na uroczystość.

- Tak - wyszeptała mała, więc Karen wzięła ją za rękę i poszły do sypialni.

- Czyja też mogę iść z wami? - zapytała Stephanie.

- Nie - odmówiła łagodnie Karen. - Zobaczysz je za chwilę.

Kiedy wróciły do gości, Stephanie i Tangela stłoczyły się wokół Tiff. Karen uświadomiła sobie, że po raz pierwszy tego dnia zobaczyła razem dwie starsze dziewczyny. Czyżby się nie lubiły?

- Och, jakie piękne! - wykrzyknęła Tangela, dotykając naszyjnika.

- Dlaczego nigdy mi nie dałaś pereł? - zapytała Stephanie. Czy wszystkie siostry skazane są na to, by sobie zazdrościć?

- Nigdy nie miałaś *bat micwah*, a na szesnaste urodziny dostałaś kolczyki z brylantami. Myślę, że nie jesteś pokrzywdzona - Karen uśmiechnęła się sztywno i wstała. Podeszła do stołu. Czuła się kompletnie wyczerpana.

Najchętniej poszłaby do sypialni i zamknęła drzwi na klucz, odcinając się od tych wszystkich trudnych, męczących, kłopotliwych ludzi. Na chwilę przyszła jej do głowy szalona myśl: co by się stało, gdyby nagle do salonu weszła jej prawdziwa matka i dołączyła do gości? Jak by się zachowała ta obca osoba? I tak nie byłoby gorzej niż teraz.

Wszyscy ją rozczarowali. Popatrzyła na stół i uświadomiła sobie, że umiera z głodu. No tak, jedzenie to jej zwykła reakcja na rozczarowanie. Wzięła obwarzanek i spiętrzyła na nim kremowy serek ze szypiorkiem.

- Nie chcę zrzędzić tak, jak twoja matka, ale uda naprawdę tego nie potrzebują- odezwała się Defina.

- Kocioł przygania garnkowi? - zapytała Karen, odgryzając spory kęs.

- Ten kocioł nie będzie pod koniec miesiąca prezentował swej kolekcji w Paryżu - Defina poklepała się po brzuchu. Jedną ręką uniosła do ust ostatnią bułeczkę, a drugą podniosła pusty talerz. - Posprzątajmy ten bajzel - zaproponowała.

Karen poszła za nią do kuchni i tam wzniosła oczy ku niebu.

- Powtarzam sobie, że wszystkie rodziny źle funkcjonują... - zaczęła.

- Kochanie, niektóre bardziej niż inne. Nic dziwnego, że biali są tacy niemili dla czarnych. Nie powinniśmy brać tego do serca. Dla siebie nawzajem też są okropni. Przypuszczam, że taka jest ich natura - podawała Karen brudne filiżanki. - Twoja teściowa ciągle myliła mnie ze służącą. Czy powinnam była jej powiedzieć, że z takim tyłkiem nie nosi się modeli Rykiel?

- Myślę, że nie - roześmiała się Karen, ustawiając filiżanki w zlewie. Skoro mowa o służącej, gdzie, u diabła, podziła się pani Frampton? Będzie zmuszona wywalić ją z pracy. - Chyba już nie wrócę do gości - powiedziała i jej usta zadrżały. - Naprawdę chciałam, żeby to przyjęcie się udało.

- Tak, a ja chciałam, żeby Tangela została architektem. Tajemnica szczęścia, to nie spodziewać się zbyt wiele i mieć grubą skórę. Wiem, że jeżeli bardziej się postarasz, będzie cię stać na jedno i na drugie.

- Wiesz, co jest najsmutniejsze? Nie mogę znieść, że matka Jeffreya tak się nad nim trzęsie. Czy to nie paskudne? Ale ona po prostu doprowadza mnie do szału.

135

- Dziewczyno, to po prostu naturalne. Pamiętaj, czego nauczyła się w małżeństwie księżniczka Diana. Jeśli musisz mieszkać z teściową, nie wystarczy wam nawet czterysta pokoi.

- To chyba ten syndrom teściowej. .

- Wiesz, co powiedziałby Carl, gdyby tu był? „Mowią, że Jackie nie układało się z Rose”?- Defina naśladowała jego konfidencjonalny szept.

- Gdybym tylko wiedziała, kogo najbardziej nie lubię - roześmiała się Karen. - Prawnika Roberta, Sylwii, szwagierkę czy mojej własnej matki.

_ Stawiam na matkę - doradziła Defina. - Co tam, Tak zawsze robi moja córka - westchnęła. Dwie kobiety, mimo smutku uśmiechnęły się do siebie, a Defina zapytała z doskonałym akcentem jidysz - Ty chcesz, żebym ich potruła?

-Karen musiała się roześmiać, zaś Dee powróciła do slangu z ulic Harlemu. - Przepis Madame Renault. Jeszcze nie jest za późno. Ciągłe jedzą

Karen nigdy nie wiedziała co ma myśleć, kiedy Defina zaczynała mówić o jasnowidzkiej.

Brzmi kuszaco, ale nie dzisiaj – odparła. Miejmy nadzieję, że śledź sam załatwi sprawę.

W drzwiach pojawiła się głowa Lisy.

- A, tutaj jesteście. Słuchaj, Karen, martwię się o ciebie. Możemy porozmawiać?

Nie w tej chwili -rzuciła. Boże, ciągle jeszcze nie było okazji, żeby usiąść i spokojnie pogadać z Lisą. Kiedy właściwie ostatnio do niej dzwoniła? Karen ogarnęły wyrzuty sumienia. Nie powiedziała siostrze nawet o Goldmanie.

- Przepraszę was teraz-Defina była dyskretna.

- Świetnie- uśmiechnęła się Lisa. - Hej, masz szminkę na zębach - poinformowała wychodzącą.

Karen wiedziała co teraz nastąpi, ale jej siostrze omal oczy nie wyszły z orbit, kiedy Defina sięgnęła, wyjęła górny mostek i wytarła go serwetką. Potem włożyła go z powrotem na miejsce.
- Dzięki - rzuciła. Uśmiechnęła się szeroko i ruszyła z powrotem na pole bitwy.

Rozdział 9

Biznesmen i projektantka

W zwariowanym świecie mody, jeśli coś zdarzy się raz - jest to szaleństwo, jeśli dwa razy - to już trend. Trzy wydarzenia kreują klasykę, która, następnego dnia, okazuje się starociem. Karen wiedziała, że jest teraz na fali. NormCo także było tego świadome. Ale kto wie? Może w przyszłym roku, czy nawet już w przyszłym sezonie wypadnie z obiegu, tak jak Tony de Freise. Przeczytała w „WWD”, że Tony właśnie ogłosił bankructwo. To samo może przydarzyć się i jej, a czy na coś takiego można się przygotować?

Do spotkania z NormCo przygotowała się jak umiała najlepiej, poza jedną kwestią - w co się ubrać?

Karen, tak jak jej matka, miała obsesję na punkcie garderoby, tyle że przejawiającą się w zupełnie inny sposób. Tak naprawdę posiadała trzy szafy - jedną w mieszkaniu, drugą w biurze i dodatkową w domu w Westport. W każdej z nich przechowywała niewielką ilość podobnych do siebie ubrań. Jej idolka, Coco Chanel, trzymała w swym apartamencie w paryskim Ritzu tylko kilka kostiumów i parę spodni. Karen utożsamiała się z taką postawą. W odróżnieniu od Belli czy Lisy zmniejszała, a nie powiększała zawartość swojej garderoby.

Była zaprzysięgłą zwolenniczką wygodnego ubieru. Jej zawodowy slogan stanowiło hasło: „dobrze się nosi”.

Wiedziała, że większość kobiet ma za dużo odzieży, nie potrafi jej łączyć ze sobą i poruszać się w świecie mody.

Wiele z nich wybiera sobie niewłaściwy styl. Od trzydziestu lat Karen, w myślach, przebierała nieznajomych z ulicy.

W czasach gdy dojeżdżała nowojorskim metrem do pracy, obserwowała z niedowierzaniem, jak kobiety się ubierają.

Czy ta blondynka, wkładając łośosiową bluzkę z falbankami do czerwonej spódnicy, naprawdę powiedziała sobie: „

Tak! Właśnie tak chcę pokazać się światu!” Nawet pośród bogatych klientek rzadko widywała kobiety mające własny styl.

Opracowała kilka teorii na temat, dlaczego kobiecie tak trudno ubierać się wygodnie i stylowo. Amerykanki nie znają tej sztuki między innymi dlatego, że mają za dużo ubrań. Karen pamiętała Francuzkę, która kiedyś odwiedziła matkę.

102

Ta zwykowna, elegancka żona paryskiego adwokata spojrzała z przerażeniem na garderobę Belli i zapytała: „Jak pani jest w stanie dobrze się ubrać? Ma pani za dużo rzeczy do wyboru!” Znakomity projektant obuwia - Manolo Blahnik - powiedział kiedyś: Dobry gust „to jest kwestia selekcji. Amerykanki nigdy tego nie rozumieją. Myślą, że więcej znaczy lepiej”.

Karen zaobserwowała, że Francuzki, nawet te średniozamożne, noszą drogie ubrania, ale mających znacznie mniej niż Amerykanki i dużo staranniej je kompletują. Oczywiście, to twarda rzeczywistość nauczyła je nie popełniać błędów; w Paryżu nie można zwrócić zakupionego towaru.

Ambicją Karen było zmieszać szykowny francuski styl z amerykańską niezobowiązującą wygodą. W dużej mierze jej się to udało. Za cel postawiła sobie stworzenie strojów; które musiały dobrze wyglądać; pragnęła by Amerykanki otrzymały to co w obydwu kulturach jest najlepsze - francuski zorganizowany szyk i amerykańską swobodę w dobieraniu elementów. Powinny mieć wybór, ale nie gubić się w pięćdziesięciu stylach jak jej siostra Lisa. Chciała także zapobiec temu aby zatrzymały się w czasie jak Bella, czy kupowały wyroby jednego projektanta, jak Sylwia. Niemal wszystkie stroje zaprojektowane przez Karen utrzymane były w neutralnych kolorach - beżach, kości słoniowej, szarości, brązach - barwach naturalnych zwykłych, a jednocześnie eleganckich. Pasujących do siebie. Karen znow przyszła na myśl Chanel, która powiedziała, że nie ufa kolorom nie występującym w naturze, kolorom „złego smaku”. Uciekła w beż dlatego, że był naturalny, nie farbowany i w czerwień-kolor krwi. Mówiła: „Mamy tego w środku tak dużo, że należy choć trochę pokazać na zewnątrz”. Karen przejęła wiele poglądów swojej idolki, choć nie stosowała już czerwieni. Od czasów Nancy Reagan miała jej dosyć, a swoją drogą, zastanawiała się, czy Chanel nie wybrała tego koloru po prostu dlatego, że było jej w nim do twarzy.

To argument na korzyść teorii głoszącej, iż projektantki nie dorównują kreatorom mody płci męskiej, gdyż zawsze w końcu wymyślają stroje dla siebie. Karen wiedziała, że w jej przypadku jest to częściowo prawda. Jednak, czy mężczyźni nie projektowali, dla manekinów, nieludzkich idealnych ubrań, nie nadających się zbyt wyraźnie dla przeciętnej kobiety.?

Oczywiście, nie chodzi tylko o kolory. Stroje, choć ich kroj się zmienia, muszą być wygodne, układać się i pasować do poprzednich kolekcji

Problem polegał na tym, że Karen szła je po najwyższych cenach, na które przeciętna Amerykanka nie mogła sobie pozwolić. Nawet tańsza kolekcja była bardzo kosztowna. Karen pokręciła głową, zastanawiając się jak mylące są określenia używane w przemyśle odzieżowym. „Odzież sportowa” (Bridge sportswear - nie miała nic wspólnego ze sportem - były to marynarki, bluzki, spódnice i spodnie nakładane przez yuppies do pracy. Zaś tańsza odzież sportowa (moderate sportswear) to termin na określenie wyrobów tańszych przeznaczonych na masowy rynek. Szefowie nosili „bridge”, a ich sekretarki „moderate”. Karen pragnęła, by pracujące kobiety miały możliwość lepszego wyboru.

Teraz umowa z NormCo pozwoli jej wystartować z jeszcze tańszą kolekcją, która stanie się konkurencją dla Liz Claiborne i tych nędznych ciuchów Bette

139

Mayer. Ostatecznie, w tego typu towarach NormCo się specjalizowała. Karen знаła sekrety kroju, więc jej modele, wykonane z mniej luksusowych, lecz miłych w dotyku materiałów, mogły zostać przystosowane do potrzeb szerszego rynku. Taki był cel zawarcia układu z NormCo. A jednak oddając licencje, oddawało się też w dużej mierze kontrolę nad interesami. Karen próbowała wyobrazić sobie, jak będzie się czuła, gdy zaaprobuje kolekcję, a potem zobaczy swoje nazwisko na czymś, czego nigdy nie zaprojektowała. Chyba dostanie ataku serca. Billa Blassa poproszono raz, by sygnował swym nazwiskiem trumnę! Karen, na myśl o tym, zawsze ogarniało rozbawienie pomieszane z przerażeniem.

Inne niebezpieczeństwo kryło się w przedobrzeniu. Cardin i Halston sprzedali licencje na tak wiele towarów, że ich nazwiska straciły blask. Świat mody był pełen przewrotności i tylko niewielu projektantom udało się, tak jak Chanel, utrzymać swój styl. No, ale żaden produkt tego domu mody nie był nigdy wykonywany na licencji. Słynna projektantka przez całe życie wszystkim zarządzała sama, a po jej śmierci robili to Wertheimerowie. Załedwie kilku kreatorów mogło pozwolić sobie na taki luksus. Wciąż musieli balansować na linii pomiędzy elitarnością, a masową sprzedażą.

Z drugiej strony, Karen zdawała sobie sprawę, że bez utraty niezależności nie zdoła zrobić dużo więcej niż teraz. Bez znacznej ilości pieniędzy z zewnątrz nie mogła szybko rozwijać firmy. Jeśli spróbowałaby zrobić to wolniej, za własne pieniądze, i poniosłaby porażkę, podjęłaby głupie ryzyko, na które ich nie stać. Jeffrey zwykł mawiać: „najlepsze są CP” - Cudze Pieniądze. W tym wypadku ich właścicielem był Bill Wolper z NormCo.

Karen jeszcze raz przejrzała zawartość swojej szafy. Po raz pierwszy żałowała, że nie ma nic czarnego. Czy w jedwabnej dzianinie nie będzie wyglądać zbyt nieoficjalnie? Najbezpieczniej czuła się chyba w jednym ze swoich kaszmirowych zestawów - sukienką z pasującą do niej marynarką lub szalem - taki strój kojarzył się jednak raczej z weekendem. I był chyba za ciepły. Poza tym, jako twórcza jednostka, nie zamierzała ubierać się w sztywny kostiumik ani dla Wolpera, ani dla nikogo innego. Uważała, że kobieta wygląda dobrze w kostiumie tylko wtedy, gdy wydaje się pod spodem naga. A zresztą i tak nie miała kostiumu. Powodem do jej sławy miało być to, że wyzwoliła z niego pracującą kobietę sukcesu.

Podobno Bill Wolper także wyzwolił wiele kobiet z kostiumów. Spał z każdą, a przynajmniej takie pogłoski krążyły po Siódmej Alei. Karen nigdy go nie spotkała, ale widziała zdjęcia i nie zrobił na niej wrażenia. Jediną atrakcją, jaką mu przypisywała był rozmiar jego książeczki czekowej.

Jeździłajakiś czas windą z człowiekiem z personelu Oscara de la Renty, który zasypywał ją plotkami o Wolperze. Może robił to po to, aby ją zniechęcić. Może usłyszał coś o planowanym układzie. Świat mody nie był wolny od

zawiści, a Karen wiedziała, że ma teraz swoje pięć minut. Nie dlatego, że wymyśliła właśnie coś nowego, lecz głównie dzięki wysokim notowaniom w prasie.

Prasa była dla jej interesów niemal równie ważna jak projekty. Nie lubiła o tym mówić, ale po latach wysiłków, by zyskać rozgłos, pozwoliła Jeffreyowi

104

zatrudnić Mercedes Bernard. Wiedziała, że mieli z mężem dużo szczęścia, gdy udało im się namówić ją, by zrezygnowała z pracy w magazynie ilustrowanym. Trafili na właściwy moment - Mercedes była zmęczona wieloletnim zajęciem dającym wysoką pozycję i niskie zarobki. Przed przejściem na emeryturę potrzebowała zastrzyku gotówki, a Jeffrey obiecał jej udziały w firmie. Szesnaście miesięcy po przybyciu Bernard, w „Vanity Fair” ukazał się duży artykuł na temat Karen. „New Woman” i „New York” pisały o niej ze zdjęciem na okładce, a żurnale często poświęcały artykuły wstępne. Charlie Rose i Barbara Walters przeprowadzili z nią wywiady i kilka razy pojawiła się w CNN.

Jeżeli nawet Karen czuła urazę, że dziennikarze w większym stopniu koncentrują się na niej samej i jej życiu niż na projektach, to wiedziała, że musi się po prostu z tym pogodzić. Ameryka to centrum kultu osobistości i rozpoznawanie nazwiska liczy się ponad wszystko. Kiedyś projektanci mody byli, tak jak fryzjerzy, niemal przedmiotem kpiny. Teraz stali się kimś w rodzaju gwiazd filmowych, i wszyscy koło nich tańczyli. Karen przestrzegała więc reguł gry, wiedząc że rozgłos w prasie to jeden z czynników sprawiających, że będzie dla NormCo godna pożądania. Zadzwoił telefon. Nie miała czasu go odbierać, musiała jednak wysłuchać wiadomości przekazywanej na „sekretną”. „Karen? Mówi Lisa. Dzwoniłam do ciebie do biura, ale nikt nie odpowiadał. Przykro mi z powodu śniadania. Wiem -nie wyszło najlepiej. Mam nadzieję, że nie jesteś wściekła. Musimy pogadać”. Potem na moment zapadła cisza, ale Karen słyszała, że jej siostra nie odłożyła słuchawki. „Stęskniłam się za tobą” - powiedziała Lisa, a po chwili rozległ się sygnał i brzęknięcie wyłączającej się maszyny. Karen znów poczuła, że ogarniają ją wyrzuty sumienia. Powinna skontaktować się z Lisą. Jak długo będzie z tym zwlekać? Przychodziło jej to jednak z coraz większym trudem. W miarę jak życie Karen nabierało barw, życie Lisy szarzało. Jak ma rozmawiać z siostrą, by nie wyglądało, że się przechwala?

Sięgnęła i zdjęła z wieszaka szary kardigan bez guzików, zrobiony z jedwabnej dzianiny oraz sukienkę, stanowiącą do niego komplet. Włożyła nową parę rajstop od Fogala. Były kosztowną fanaberią za dwadzieścia sześć dolarów i zaciągały się przy byle kichnięciu, ale ich gładkości i subtelności koloru nie dorównywały żadne inne. Karen nie

zawracała sobie głowy, zazwyczaj, zakładaniem bawełnianych rękawiczek, które Fogal sprzedawał do pomocy w bezpiecznym nakładaniu swoich wyrobów. Dziś jednak to zrobiła i naciągnęła rajstopy z jednym tylko, nieistotnym, zaciąganiem na udzie. Ich górna część obciskała ciało aż do kolan. Oto sztuczka, do jakiej kobiety w średnim wieku muszą się uciekać, by sukienka dobrze leżała!

Karen często zastanawiała się, dlaczego wszystkie dorosłe Amerykanki nienawidzą swoich ud. Rozmyślanie o tym było, prawdę mówiąc, jej życiowym zajęciem i jednym z kluczy do sukcesu. Praktycznie, każdy fragment stroju projektowała ze świadomością, jak bardzo wszystkie kobiety nie cierpią swoich ud i brzuchów.

Uniosła ramiona i wślizgnęła się w jedwabną dzianinę, omotując sobie rękawy kardigana wokół talii. Można go było nosić także w charakterze swetra, ale

ani ona, ani jej współpracownicy nigdy tego nie robiły. Wszystkie, podobnie jak większość klientek, używały go do maskowania talii, ud i bioder. Choć osiemset sześćdziesiąt dolarów to cena jak na pasek wygórowana, swetry dobrze spełniały swoją rolę. Wyglądały wspaniale. Były zwykłe, wygodne, a także bardzo miłe w dotyku. Ubrania powinny być przyjemne. Karen nigdy nie zaprojektowałaby bluzki czy sukienki z drapiącego lurexu. Wsunęła na nogi czółenka z koźlej skórki, których odcień pasował do rajstop. Podeszła do lustra.

Wyglądała świetnie. Więcej niż świetnie - właściwie. Strój był prosty, a prostota nie jest łatwa do uzyskania. Karen zdawała sobie sprawę, w jak dużym stopniu właściwy strój może nie tylko ubrać, lecz i chronić daną osobę. Czymże są te wszystkie przekłete garnitury, które mężczyźni zakładają na konferencje? To zbroje dwudziestego wieku. Popatrzyła na swoje odbicie. Ten kolor jej służy - ożywia zgaszony brąz włosów. Wzięła do ręki kopertówkę w odcieniu identycznym jak sukienka i wsunęła do niej notatki. Potem, jakby po namyśle, dołożyła swoje dwa zdjęcia z dzieciństwa. Stały się dla niej czymś w rodzaju karty kredytowej - nie ruszała się bez " nich z domu. Jeszcze raz obejrzała się w lustrze. Torebka wyglądała dobrze, jedwabisty połysk sukienki dawał wrażenie energii, a sweter kamuflował wszelką słabość, jaką Karen mogłaby odczuwać. Na myśl o tym przystanąła i niemal wydarło jej się westchnienie. Śmieszne, że słabość - ta, jakby to powiedzieć, uszkodzona część jej osoby - naprawdę kryła się gdzieś pod opasującymi rękawami swetra. A przecież, gdy patrzyła na siebie w lustrze, nie wyglądała na kobietę bezpłodną. Była kimś seksownym, osiągającym sukcesy, zabezpieczonym, ubranym w sposób jednocześnie wyrafinowany i wygodny, bez śladu pretensjonalności czy zaniedbania. Karen nie była już młoda, ale nie była jeszcze w średnim wieku. A przynajmniej tak się nie czuła. Nie chciała jednak ubierać się młodzieżowo, nie cierpiała takiego stylu dla desperatów. Jej modele odzwierciedlały tę filozofię i wiedziała, że klientki to wyczuwają. Ostatecznie, rzadko nimi były młode dziewczyny.

A teraz kolejny wielki problem - dodatki! Karen podeszła do komody. Odrzuciła pomysł włożenia szala, jako zbyt przesadny. Projektowała je, ale rzadko nosiła, a przynajmniej niejako szale. Omotywała się nimi zamiast pasków, wiązała we włosach, lub na uszach toreb. Jednak, przydałoby się przy szyi coś, co ożywi strój i podkreśli twarz. Może naszyjnik?

Sięgnęła do stojącej na komodzie skrzyneczki z szufladkami, w której trzymała całą biżuterię. Prawdziwej było niedużo - nie przepadała za nią. Wśród wyrobów ze złota i drogich kamieni podziwiała tylko projekty Angeli Cummings; była jednak zbyt praktyczna, by wydać dziesięć tysięcy dolarów na inkrustowaną, złotą bransoletkę, zawadzającą przy szkicowaniu. Na ogół nosiła sztuczną biżuterię własnego projektu. Teraz wyjęła naszyjnik składający się z sześciu sznurków złotych paciorków o nieregularnym kształcie. Coś w stylu Kleopatry Roku Dwu-

tysięcznego. Zapięła go na szyi. No właśnie. Złoto podkreśliło połysk jedwabnej dzianiny, a ciężar spoczywających na piersi paciorków sprawiał Karen przyjemność. Strój to naprawdę rodzaj zbroi. Była teraz przygotowana do walki.

Jeffrey czekał na dole w limuzynie, aż skończy się ubierać. Prezentacja odbywała się w głównej siedzibie NormCo, u zbiegu Park Avenue i Pięćdziesiątej Ulicy Tam w hallu, mieli oczekiwać na nich Defina, prawnik Robert i kilka innych ważnych osób z personelu. Gdy tylko Karen wsiadła do samochodu, Jeffrey wręczył jej skoroszyt.

- Nie przejrzałaś jeszcze raz danych? - zapytał.

- Nie - odpowiedziała, a on miał na tyle rozumu, by nie nalegać.

Karen się denerwowała. To nie *trunk show*, kiedy wie jakich pytań się spodziewać i zna sprzedawaną kolekcję. Zapowiadało się raczej na coś w rodzaju klasówek z algebry, do których nigdy nie była należycie przygotowana. Miała to samo mdlące uczucie, jak wtedy, w szkole, gdy na pytanie „Ile wynosi wartość x ?” dawała błędną odpowiedź.

- Pamiętaj, nie podawaj żadnych liczb, jeśli spytają cię na ile szacujemy $XKInc$ - powiedział Jeffrey, zupełnie jakby czytał w jej myślach.

Pokiwała głową cała spięta. O Boże! A więc spełniły się jej przeczucia -cokolwiek powie na temat wartości x , odpowiedź będzie błędna.

Ale co to właściwie jest x ? Czym jest to, co dziś sprzedają, o ile w ogóle uda im się coś sprzedać? Jej nazwisko? Jej wolność? Jej ludzie? Karen uważała się za dobrego handlowca, lecz mimo zdolności w tym zakresie, czuła, że tym razem nie bierze udziału w grze. I była zakłopotana. To męska transakcja; chodziło w niej o udziały, dodatkowe zabezpieczenia, marże. Popatrzyła na Jeffrey'a. On rozumiał te wszystkie wydruki. Czy wie jednak, jak ona się teraz czuje? Czy będzie dziś próbował sprzedać ją NormCo? Jak określa się mężczyźni, którzy sprzedają własne kobiety? Karen znów pomyślała o Coco Chanel. Przyjaciółka Coco, Madame de Che-vigne, dała jej jedno ostrzeżenie: „Moje dziecko, każdy mężczyzna to alfons”. Coco nigdy tego nie zapomniała.

Westchnęła głęboko. Chyba zaczynam wariować, pomyślała. To nerwy. Reaguję tak przed każdym ważnym spotkaniem. Prawie paranoja. To samo działo się, gdy prosiliśmy ojca Jeffrey'a o pieniądze na rozwój firmy. I przed rozmową z pośrednikami w sprawie pożyczki na tańszą kolekcję.

Potrzebowali wtedy zbyt dużo pieniędzy, by zwrócić się do rodziny. Nie stali przy tym na nogach wystarczająco mocno, by otrzymać je z banku. Ludzie z branży odzieżowej idą w takiej sytuacji do pośrednika, a on udziela czasem pożyczki bez dodatkowych gwarancji. Nazywa się „nie zabezpieczona” i kosztuje wierzycieli sporo nerwów. Choć

Karen nie czuła się wtedy pewnie, udało jej się zrobić dobre wrażenie i po przedstawieniu posiadanych zamówień otrzymała pieniądze, które, jak na razie, pozwoliły firmie się z nich wywiązywać.

Obecnie rzecz się miała inaczej. Karen próbowała dociec, na czym polega różnica. Doszła do wniosku, że sama nie wie czy rzeczywiście zależy jej na osiągnięciu niełatwego celu, do którego dążyli. Wszystko stawało się za trudne, za duże i zbyt skomplikowane. Pokręciła głową. Jakoś zawsze wyobrażała sobie, że w miarę wspinania się po stopniach kariery, będzie jej coraz łatwiej. Nie cierpiała pracować dla innego projektanta, więc założyła firmę. Ale bycie własną szefową

145

niosło ze sobą cały bagaż innego rodzaju trudności, finansowych i emocjonalnych. No i to napięcie; bycie szefem wydawało się niemal gorsze od bycia podwładnym. Łączyło się z samotnością. Tylko dzięki Jeffreyowi Karen nie traciła równowagi.

Teraz położył jej dłoń na udzie. Nawet przez dwie warstwy dzianiny mogła wyczuć, że jest chłodna, a nawet zimna. Czy on też się bał?

- Jesteś świetna - powiedział. - Rzucisz ich na kolana.

Od dotknięcia jego ręki, mimo chłodu, poczuła drobny, elektryczny wstrząs. Kiedy ostatni raz się kochali? Tej nocy, gdy wróciła od doktora Goldmana, gdy Jeffrey nie zgodził się na adopcję.

Limuzyna zatrzymała się na Park Avenue, przed gmachem NormCo. Stała tam brązowa statua ubranego w garnitur mężczyzny, z wyciągniętym ramieniem. Pod nią widniał napis „Taxi!”, co miało, jak przypuszczała Karen, w ten dziwny sposób przypominać o typowym zachowaniu „białych kołnierzyków” w godzinach szczytu. Na jej widok zawsze przechodziły ją ciarki. Poczuli się lepiej, gdy zza ramienia faceta z brązu wyłoniła się czarna twarz Defmy.

- Jedyny człowiek w Nowym Jorku, który jakoś się trzyma - zaśmiała się Dee, klepiąc uniesioną rękę.

Karen roześmiała się także i wysiadła ostrożnie z samochodu, starając się nie zaciągnąć rajstop o drzwi. Ruszyła do wejścia po szerokich, granitowych stopniach, a Jeffrey podążył za nią. Szła dziarskim, pewnym krokiem.

- Mnie nie oszukasz - szepnęła Defma. - Wiem, że czujesz się beznadziejnie. Ale oni się nie domyślą. Świetnie wyglądasz.

- Dzięki, więdźmo.

- Czasem bardzo się cieszę, że nie jestem biała - Defina uśmiechnęła się szeroko. - Przynajmniej nie blednę ze strachu.

- Może mocniej się uróżować? - Karen posłała jej taki sam uśmiech.

- Owszem, albo przedstawić perspektywę wyższych dochodów-HKInc. Karen poszperała w torebce ze skóry jaszczurki i wyciągnęła małe pudełeczko.

- Różowanie będzie prostsze - powiedziała z westchnieniem.

Do przyjaciółek podeszli prawnik Robert, Casey Robinson, Mercedes Bernard i parę osób z biura Roberta. Prawniki byli nie tylko bledy, ale mieli twarze pokrytą kropelkami potu.

Karen z zimną krwią podała mu chusteczkę.

- Nie pokazuj, że się pocisz - zacytowała Donnę Karan. I ruszyła pierwsza przez marmurowy hall do rzędu wind opatrzonych firmowym znakiem NormCo. Zapowiedziała swe przybycie w recepcji, a gdy nadjechała winda,

odwróciła się do współpracowników. Uśmiechnęła się z pewnym wysiłkiem, lecz szeroko i przypomniała im zdanie, które przed każdym filmem miała powtarzać matka Shirley Temple: Z ogniem, Shirley, z ogniem! Potem wszyscy w milczeniu wsiedli do kabiny.

Biuro Billa Wolpera mieściło się, rzecz jasna, na głównym piętrze. Gdy wysiadali, Jeffrey wziął Karen pod rękę.

Gości NormCo powitała ogromna, wytłumiona

108

i bardzo banalna recepcja. Karen, chcąc nie chcąc, porównała ją z własnym, pełnym zamętu biurem. Jakby czytając w jej myślach, Defina zmierzyła spojrzeniem szary pluszowy dywan, czarne wyściełane krzesła i granitowy kontuar. - Kto umarł? - rzuciła półgłosem do przyjaciółki.

Pogrzebowy charakter pomieszczenia podkreślały lilie ustawione w ponadmetrowej wysokości wazonie. Cóż, pomyślała Karen, przynajmniej forma odpowiada funkcji. To miejsce to mauzoleum pełne sztywniaków.

- Bardzo tu dorośle - zauważył Casey Robinson, wiceprezes do spraw sprzedaży. -1, że tak powiem, bardzo męsko.

- Przestań, Casey - rzucił Jeffrey. - Pamiętaj, że dzisiaj masz być osobą heteroseksualną.

W biurze panował porządek graniczący ze sterylnością, a z okien rozciągał się spektakularny widok na południową część dolnej Park Alema, z widocznym w jej perspektywie szczytem budynku Chrystlera i środkowym Manhattanem, w lśniącym zakolu rzeki. Czterdzieści pięter niżej i dwadzieścia przecznic na południe znajdowały się prymitywne warsztaty pełne głodnych imigrantów, pracujących (zapewne dla najemników NormCo) - za głodowe stawki. Tutaj jednak było cicho i dostatnio.

Jeffrey, trzymając Karen za łokieć, powiódł jąku recepcji i oznajmił ich przybycie zadbanej kobiecie w średnim wieku, która przyjrzała się im uważnie. Pozostali przybysze zbili się w gromadkę wokół Karen, na wzór zwierząt prerii chroniących swe młode przed atakiem wilków. Z wyjątkiem tego, że nie jestem już młoda, pomyślała z ironią. Przypominają może raczej kapłanów, przygotowujących jagnię na ofiarę, choć w tym wieku ujdę prędzej za barana przebranego za jagniątko. Tknięta tą myślą spojrzała na swój strój, by upewnić się, że nie jest dla niej za młodzieżowy. Ale wszystko było w porządku.

Z mało widocznych drzwi wyszedł Herb Becker i podszedł do przybyłych z ręką wyciągniętą w pokojowym geście (lub pokazując, że nie ma w niej brom). Becker był facetem odpowiedzialnym w NormCo za finanse, prawdziwym sztyw-niakiem, który spędził już sporo czasu z Jeffreyem i Lennym, księgowym XKInc. Karen spotkała go tylko raz. Ujął ją za rękę i potrzęsnał, jakby była jednorękim bandytą, z którego zaraz posypie się gotówka.

- Witamy w NormCo. Bill czeka na was - wszyscy oni wymawiali to imię w taki sposób, że brzmiało bardziej oficjalnie niż „Pan Wolper” czy nawet „Jego Wysokość”. Basil Reed, Anglik, postępował tak samo. Karen zastanawiała się, jak oni to robią.

- Nie mogę się doczekać spotkania z Billem - powiedziała, może trochę zbyt słodko. Poczula, jak dłoń Jeffreya zaciska się na jej łokciu. Uśmiechnęła się do męża - Idziemy? - zapytała. Wszyscy jednocześnie ruszyli z miejsca i przez jedną straszną chwilę Karen myślała, że się powywracają próbując sforsować nie rzucające się w oczy drzwi. Ale oni weszli rzędem, a idący tuż za nią Jeffrey wciąż trzymał ją za łokieć. Zaczynało ją złościć. Jeżeli on jest pepowiną łączącą ją z tajemnicami finansów, to kim ma być ona? Dzieckiem? Płodem? Wiedziała tylko tyle, że nie jest niczyją własnością. Nawet Jeffreya. Czy trzyma ją za rękę,

by dodać jej otuchy, kontrolować, a może pokazać, że to on tu jest panem? Bez względu na powód, nadszedł czas by się wyzwolić i, gdy weszli do sali konferencyjnej, Karen łagodnie lecz stanowczo usunęła ramię.

Sala ta, jak wszystko w NormCo, z wyjątkiem dochodów, była skromna. Wmontowane w sufit reflektory sprawiały, że stół zdawał się wisieć w owalnym kręgu rzucanego przez nie światła. Na lśniącej szafce z laki stały srebrne przybory do kawy otoczone białymi porcelanowymi filiżankami. Obok, ułożone w zgrabny stosik, leżały maleńkie ciasteczka, takie które same rozpływają się w ustach i nie pozostawiają okruchów. Karen była pewna, że w całym tym pokoju nie ma nawet jednego okruszka, jeśli nie liczyć samego Billa Wolpera.

Stał przy końcu stołu, a Karen zdziwiło, że niski człowiek może wywierać takie silne wrażenie. Mocno zbudowany, ale nie gruby, z dużą trochę kwadratową głową był osobą zdumiewająco atrakcyjną. Mimo, że zbliżał się do sześćdziesiątki, miał włosy czarne i lśniące, a cerę bez zarzutu, o świetliście różanym odcieniu. Najprawdopodobniej jest ofiarą wysokiego ciśnienia, powiedziała sobie Karen, choć musiała przyznać, że wygląda z tym dobrze. Wyciągnął do niej dużą kwadratową dłoń, ale, nie ruszył się z miejsca u szczytu stołu. Cóż, będzie musiała góra pójść do Mahometa. Równym krokiem przeszła ku niemu za rzędem krzeseł i wyciągnęła własną rękę. Ujął ją, a Karen zdziwiła się po raz kolejny, tym razem ciepłem jego dłoni. Nie wiadomo dlaczego wyobrażała sobie, że będzie on jakimś zimnokrwistym stworzeniem, jak wąż czy jaszczurka.

- Bill - powiedziała, starając się by zabrzmiało to jak imię, a nie tytuł.

- Karen Kahn - odparł tonem, jakby pasował ją na rycerza. - Zdobywczyni Nagrody Oakleya - dodał. Dziwne, że wspomniał przedmiot jej największej dumy. Popatrzyli na siebie i przez chwilę ich oczy się spotkały. Tęczówki Billa miały kolor głębokiego brązu, a rzęsy były niemal tak gęste i ciemne jak jego włosy. Od nosa do kącików ust biegły dwie, przypominające nawias, bruzdy. A kiedy się uśmiechnął, w policzkach robiły mu się dołeczki.

Co się ze mną dzieje, zastanawiała się Karen. Ja chyba naprawdę uważam, że Bill Wolper jest atrakcyjny i to miało jakieś znaczenie. Jakby chodziło o randkę w ciemno, a nie małżeństwo z rozsądku. Co to wszystko ma znaczyć?

Rzadko patrzyła na mężczyzn w ten sposób. Mimo ostatnich problemów była z Jeffreyem najzupełniej szczęśliwa.

Ale, czy nie zachowywała się tak samo na śniadaniu wobec Perry'ego Silvermanna? Boże, chyba zaczyna wariować!

Musi skoncentrować się na danych dotyczących finansów, które wraz ze współpracownikami będzie zaraz prezentować i ocenić ofertę jaką przedstawi im Wolper i jego ludzie. Cofnęła rękę. Czy pozwoliła mu trzymać ją zbyt długo? Jeffrey wyciągnął prawicę i energicznie uściśnął dłoń Billa. Przedstawiono współpracowników KKInc: Caseya, Definę, prawnika Roberta i Mercedes Bernard, a z drugiej strony: Basila, Herba Beckera i paru innych anonimowych facetów w garniturach. Ustawili się po przeciwległych stronach stołu, Karen po prawej ręce Wolpera.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie dostaną szachownic, tak, by pionki miały na czym zacząć grę. Karen, bądź poważna, zganiła się w myślach, i wszyscy usiedli.

110

Weszła kolejna elegancka kobieta w średnim wieku, która zapytała Definę, jaką pije kawę.

- Oczywiście czarną - odparła Dee, uśmiechając się do niej niewinnie. Jak zwykle, była jedyną Murzynką na spotkaniu. Umiała jednak przyjąć to z wdziękiem. Kiedy przybyła chciała odebrać zamówienie od Mercedes, ta wstała z miejsca.

- Nie musi pani przynosić mi kawy; sama to zrobię - rzuciła szorstko. Reakcja niezadowolonej feministki na pozór nie wywołała żadnego odzewu wśród zebranych mężczyzn, lecz Karen poczuła, jak Jeffrey poruszył się niespokojnie. Bill Wolper zaś przyglądał się wszystkiemu beznamiętnie.

- Czy możemy zatem zacząć? - zapytał Jeffrey, wyciągając z aktówki skoroszyt.

Rozdano wszystkim teczki z informacjami - lśniące, szaroczarne NormCo i beżowe, z grubej tektury, ^Klnc. Była też plakietka witająca ozdobnymi literami ^Klnc w kwaterze głównej Korporacji NormCo. Karen przesunęła palcem po literach, zastanawiając się, ile to kosztowało. Bill Wolper odchrząknął.

- Zacznę od tego, jak wielką przyjemnością jest dla mnie obecność na dzisiejszym spotkaniu. Wiem, że wielu spośród was dołożyło pracy, by do niego doszło i, cokolwiek się stanie, chcę byście wiedzieli, jak bardzo doceniam ich trud - powiedział, patrząc na Karen. - Mam przecucie, że to spotkanie było nam pisane - dodał. - To kismet, przeznaczenie.

- *Baszert* - odpowiedziała. Słowo to znaczyło w jidysz „skazany na zagładę”, lecz mogła się założyć, że Bill Wolper o tym nie wie. Sama nie pamiętała nawet, że je zna, choć Bella i Arnold musieli używać go od czasu do czasu. Boże, skąd się w niej biorą te wszystkie sprzeczności? Nie zgadzała się na bycie Żydówką wobec Belli, która to ceniła, a teraz rzucała ten fakt w twarz Wolperowi, choć najprawdopodobniej tego nie znosił. Posłyszała za sobą sapnięcie Jeffreya. Pewnie nie posiada się ze złości.

Spotkanie rozpoczął Herb Becker, prezentując zarys działalności korporacji NormCo i podlegających jej firm.

Karen, patrzącej na pajęczce wykresy, wyrwało się westchnienie. Nie widziała nic równie skomplikowanego od czasu wydruku wyników ostatniego USG. Miała nadzieję, że NormCo jest bardziej skuteczne w działaniu niż jej system rozrodczy. Nagle, nie stąd ni zowąd, pomyślała o matce z córeczką które spotkała u Macy'ego - o uroczym dołączku na łokciu dziecka i atlasowej gładkości pyzatego policzka. Zastanawiała się, jakby to było, gdyby sama miała taką małą dziewczynkę. Rozmyślając nad tym straciła część nudnych objaśnień Herba na temat działu NormCo,

zajmującego się handlem detalicznym. Rzuciła okiem na Billa Wolpera i zorientowała się, że patrzy na nią. Czy widzi w niej jedynie jakiegoś najemnika do zdobycia, czy spojrzenie to ma charakter bardziej osobisty? Poczowała, że się rumieni.

- Karen, czas na twoją prezentację - powiedział Jeffrey.

Wstała i podeszła do ekranu, który odsłonił się, gdy jedna ze ścian gładko wsunęła się w podłogę. Wszystko tu, poza Karen, było gładkie. Wzięła oddech dla uspokojenia nerwów i zaczęła.

151

- Drodzy państwo, rzecz w tym, że JHK Inc nie jest firmą taką jak inne. Wiem, że każdy mówi tak o swojej pracy, w tym przypadku jednak jest to prawda. W ciągu ostatnich pięciu lat nasze obroty co roku wzrastały od dwustu do trzystu procent. Co roku. Nie wierzę, że to tylko szczęście, albo jedynie dobry dział handlowy - zwróciła głowę w kierunku Casey'a. - I nie znaczy to, iż nasz jest zły. My po prostu wiemy, czego pragną i potrzebują kobiety. Rozumiemy współczesną Amerykankę, ponieważ sami nią jesteśmy.

- Cóż, są nią niektórzy z nas - wtrącił z uśmiechem Jeffrey.

- A niektórzy chcieliby być - mruknął Casey do Definy. Jeffrey rzucił mu wymowne spojrzenie, a Karen uśmiechnęła się do wszystkich.

- Widzicie, najważniejszy jest projekt. Moda to nie kończące się, fascynujące projektowanie w służbie ciała, decydowanie, co należy odsłonić, a co ukryć. Niektórzy uważają, że duszą mody jest seks. To część prawdy. Sądzę, że kobiety idące za modą robią to nie tylko po to, by sprawić przyjemność mężczyznom, ale i dla własnej przyjemności. Jest to jeden ze sposobów wyrażenia siebie. Mówi się też, że ubrania są koniecznością, a moda luksusem. Kobiety nabywają nasze modele, by wyrazić swą osobowość, ale i dla luksusu posiadania, który pomaga im odnaleźć swoje miejsce w społeczeństwie. Ludzie nie kupują naszych ubrań dlatego, że dobrze je reklamujemy, sprzedajemy lub dlatego że jesteśmy znani, choć wszystko to jest prawdą. Robią to, ponieważ raz nałożywszy je, nie mogą im się oprzeć. Projektujemy je dobrze i albo wierzycie w to i umowa nasza z tego powodu dojdzie do skutku, albo rozmowy te nie mają sensu. Jeżeli chcecie kupić jedynie znaną markę, powinniście poszukać kogoś innego. Jesteśmy z niej dumni, lecz dlatego, że firmuje nasze projekty - w tym miejscu popatrzyła na Billa. - Rozumieją państwo, o czym mówię? - zapytała.

Patrząc na nią, Wolper skinął głową z poważną miną. Ten facet nie spuszczał z niej oczu, odkąd znalazła się w pokoju. Czy to flirt, nabieranie czy poważne interesy? Czy w ogóle zrozumiał, o co jej chodzi?

- Pozwólcie, że to pokażę - powiedziała i skinęła głową. Na ekranie pojawiło się pierwsze przezrocze.

Od tej chwili wszystko poszło gładko. Pokazała im kolekcję i wyjaśniła, o co w niej chodzi. Potem usiadła, a paleczkę przejęła Defina, mówiąc na temat przyznawania licencji. Casey zajął się sprawami sprzedaży, zaś Jeffrey finansami. Ze strony Herba i Basila padło kilka trudnych pytań na temat niezwykłego wzrostu obrotów i zmniejszającej się dochodowości firmy, oraz zwracania pożyczki zaciągniętej na tańszą kolekcję, jednak Jeffrey wziął to na siebie i przyznał się do problemów ze spłacaniem procentów i kosztami kontroli.

- Dlatego właśnie - wyjaśnił gładko - tak bardzo jesteśmy zainteresowani podpisaniem umowy z NormCo.

A potem powiedział, że czuje, iż siła nabywcza korporacji Wolpera pozwoli zmniejszyć te koszty.

Po nim przyszła kolej na Herba. Przedstawił pomysły licencji przygotowane przez jego zespół, a także próbki produktów strojów JKInc z kolekcji dla masowego odbiorcy, ubranek dla dzieci, wyrobów ze skóry. Większość była paskudna,

153

ozdobiona w każdym możliwym miejscu inicjałami Karen. Czy nikt im nie mówił, że to już wyszło z mody? Karen zastanawiała się, kto te wszystkie rzeczy projektował i jak sprawić, by połamał ołówek i nigdy więcej już nie rysował. Herb, nie mając pojęcia co się w niej dzieje, uśmiechnął się z dumą.

- Szybko i gładko wpasujemy panią w te działy produkcji - obiecał, a Karen poczuła się jak fragment układanki. - Oczywiście, to tylko prototypy. Jesteśmy jednak w stanie wprowadzić panią na masowy rynek szybciej, niż ktokolwiek inny. Są na to różne sposoby. Możemy wykorzystać tu znajomość produkcji zagranicznej. Mamy kontakty na całym świecie.

Zanim Karen zdołała powiedzieć, co sądzi na temat wyzyskiwania robotników z Trzeciego Świata, Bill obrócił się ku niej i dotknął jej ramienia. Przez jedwabną tkaninę poczuła ciepło jego dłoni.

- Dlaczego właściwie interesujesz się NormCo, Karen? - zapytał.

Przy stole zapadła cisza, która, z chwili na chwilę, narastała coraz bardziej.

- Chciałabym móc zrobić więcej - odezwała się w końcu Karen. - Chciałabym docierać z moimi pomysłami do większej ilości kobiet. Może to prywatna ambicja, ale nie zależy mi jedynie na oglądaniu swego nazwiska w gazecie, czy odbieraniu nagród z rąk ludzi związanych z modą. Chodzi o coś znacznie poważniejszego. Uważam, że to co robię jest naprawdę dobre i, jeśli dostanę taką sposobność, więcej kobiet - nie tylko tych bogatych - będzie mogła się o tym przekonać. Chcę, by dzięki mnie ładnie wyglądały i lepiej się czuły - urwała na moment, by po chwili mówić dalej. - Niełatwo być dzisiaj kobietą; pracuje na trzy zmiany - ma posadę, rodzinę, a jednocześnie musi dbać o to, by wciąż wyglądać atrakcyjnie. Jeśli zaś nie dopełni któregoś z tych obowiązków, uważa, że odniosła porażkę.

Chciałabym ulżyć jej przynajmniej w tym trzecim. Z tego chcę być znana, i taki jest mój wkład dla dobra społeczeństwa - znów urwała. - Wiem, że nie jest to lekarstwo na raka, lecz nic więcej nie mogę zrobić. Zawsze wierzyliśmy w naszej firmie, że poradzimy sobie w tej trudnej branży, stosując dwie proste zasady: mało obiecywać, dużo dawać. Większość ludzi z przemysłu związanego z modą robi coś dokładnie przeciwnego, ale w naszym przypadku ta filozofia rozsądku jak na razie, zdawała egzamin.

Zbliżała się godzina pierwsza. Bill Wolper wstał.

- Spędziliśmy kilka bardzo interesujących godzin - powiedział. - Chciałbym podziękować wszystkim za wkład i wnikliwą ocenę.

Basil, Herb i reszta pracowników NormCo także podniosła się z krzeseł, a za nimi Jeffrey i ludzie z üKInc. Karen jednak nie ruszała się z miejsca jeszcze przez chwilę. A więc to wszystko? To ma być cała nagroda za wypruwanie sobie żył? Poczula się, jakby wszystkich zawiodła. Bill pochylił się ku niej i wziął ją za rękę.

- Niestety, umówiłem się na lunch - powiedział. - Ale mam nadzieję, że pozwolisz mi się zaprosić innym razem. Podniosła na niego oczy.

- Będzie nam bardzo miło - odpowiedział Jeffrey i Karen wstała od stołu. Wszyscy zdołali jakoś zjechać do hallu i wyjść z budynku nie odzywając się ani słowem i nie psując tego, co Casey nazywał ich „dorosłością”. Kiedy jednak znaleźli się już na Park Avenue, Jeffrey wydał okrzyk wojenny.

8 - Spóźniona moda

113

- Tak! - wrzeszczał. - Tak! Mamy ich!
- Naprawdę? - zapytała Karen.
- Oczywiście. Aż im ciekła ślina. Nie zauważyłaś? Mamy ich!
- A czy ich chcemy? - zapytał Casey. - Boże! Te popisy Herba i Basila, to za dużo jak na moje nerwy.
- Po prostu robili swoje - powiedział Jeffrey. - Mieliśmy ich w ręku.
- Cóż, w ich ręce nie chciałbym trafić - rzucił Casey. - Za to ty, Karen, byłaś świetna. - Tak, skarbie, byłaś cudowna
- zgodziła się Defina.

W takim razie źle oceniła sytuację i dobrze jej poszło.

- Wypadłaś znakomicie! - oświadczył Jeffrey.
- Ty też. I wy wszyscy - powiedziała z wysiłkiem.
- Dostaniemy od nich niesamowitą ofertę - prawnik Robert był dobrej myśli. - Sądzę, że więcej, niż się spodziewaliśmy.

Karen niemal widziała, jak oblicza przypadający na niego procent.

- Moim zdaniem dwadzieścia. Dwadzieścia milionów dolarów - snuł domysły Jeffrey.
- Co nie znaczy, że przyjmujemy ich ofertę - powiedziała Karen. Pomyślała o Billu Wolperze i znów ogarnęło ją zdziwienie. Sądziła, że się sprzedaje, a miała uczucie, jakby została uwiedziona. Popatrzyła na Definę. - Co o tym sądzisz? - spytała.
- Kochanie, nie znam się na pieniądzach, ale te ilości podwójnych K budzą mój niepokój. Może jestem przewrażliwiona, ale gdybym zobaczyła jeszcze jedno, uciekłabym z wrzaskiem z sali.
- JKInc. Gdzie rasa jest sprawą drażliwą, pleć można zmienić, a rzeczywistość to opcja - burknął Jeffrey, potrząsając głową. - Wiecie, jak nas nazywają w branży? KKInaczej. Przysięgam, jeśli do NormCo dotrze choć słówko o tym, co się u nas dzieje, możemy zapomnieć o umowie. Tej i każdej innej.
- Czy to znaczy, że mam się pozbyć atlasowych czółenek? - zapytał Casey.
- Ja myślę, że podobamy się im właśnie dlatego, że jesteśmy niekonwencjonalni - zauważyła Defina, unosząc brwi. - Daj spokój, przecież to moda.
- Uspokój się, Jeffrey! - Karen próbowała załagodzić sytuację. - Myślisz, że Wolper nie słyszał plotek o tym, że Halston woli chłopców? Albo, że myśli iż Willie Smith zmarł tak wcześnie na atak serca? Nie jesteśmy ludźmi z Midwest Corporate America, ani nawet z Wall Street. Jesteśmy ciucharze - to stuknięte pedały i mniejszości narodowe ubierają Amerykę. Na pewno nawet wielki biały Bill Wolper ma o tym jakieś pojęcie.

Jeffrey odwrócił się ku niej z pasją siny z wściekłości, z twarzą niemal koloru swoich włosów.

- Do diabła! - wrzasnął. - Do diabła! - a zaszokowana Karen zobaczyła łzy - prawdziwe łzy - wiszące na jego długich, ciemnych rzęsach. - To wy nie macie o niczym pojęcia. Miesiącami przygotowywaliśmy wszystko z Robertem. Czy wy wiecie, z jakim trudem spłacamy nasz dług? Przez ten interes przeskoczmy wszyscy... do klasy Bentley Turbo R. A. Wy natomiast, zamiast mi dziękować, kręcicie nosem na życiową okazję, jakby pieniądze leżały na chodniku.

Czy

156

wiecie, że gdyby nasi wierzyciele zażądali natychmiastowej spłaty długu, musielibyśmy ogłosić bankructwo? Jeśli Munchin, Genesco czy inny producent postanowią nie wysłać nam surowców, dopóki nie zapłacimy faktur, nie będziemy mieli w następnym sezonie żadnych towarów. W ogóle nie będzie następnego sezonu. Jabałansujęna linie nad przepaścią bez siatki. Boże! Jesteście bandą kretynów! Nie! Gorzej! Bandą dzieci! Pieprzoną bandą dzieciaków! -odwrócił się i szybkim krokiem ruszył Piętnastą Ulicą, w kierunku Lexington Avenue. Jego słuchacze stali przez chwilę w milczeniu. Potem, co było do przewidzenia, Robert pognał za Jeffreyem.

- Jeffrey, zaczekaj - krzyczał.

Reszta, jak sparaliżowana, stała dalej na rogu ulicy. W końcu Casey przerwał ciszę.

- Co to, u diabła, jest Bentley Turbo R. - zapytał. Nikt mu nie odpowiedział.

- Nie wiedziałam, że Jeffrey uważa dzieci za gorsze od kretynów - odezwała się wreszcie Defina.

Rozdział 10

Zwierzenia i tęsknoty

Karen wydawało się, że nigdy jeszcze nie była taka zmęczona. Obiecała jednak Carlowi, że przyjdzie. Bardzo dawno się nie widzieli, jeśli nie liczyć uroczystości wręczania nagrody, ale takie spotkanie trudno nazwać wspólnym spędzaniem czasu. Zawsze była zajęta. Po drodze do Brooklynu przysnęła w limuzynie i obudziła się dopiero, gdy stanęli przed „Curl up and Dye” Carla, na Montague Street. Salon fryzjerski znajdował się na parterze kamienicy, której Carl był właścicielem i w której mieszkał. Był to najmodniejszy zakład w dzielnicy Brooklyn Heights, co w hierarchii świata mody oznaczało jedynie, że znajduje się na skali o pół stopnia wyżej od najlepszego fryzjera w Pi-scataway, w stanie New Jersey. Szofer otworzył drzwi limuzyny i Karen wysiadła na popękany chodnik staroświeckiej uliczki. Brooklyn Heights przypominało jej Georgetown, to z kolei Cambridge, a Cambridge... cóż, te wszystkie „modne--lecz-jednak-odrobinę-prowincjonalne miejsca”.

- Będę tu parę godzin. Może chciałby pan, w tym czasie, wstąpić na obiad? Ja stawiam - zaproponowała kierowcy. „Capulet” na Montague była rodzajem wegetariańskiej restauracyjki dla yuppies. Często zachodziła tam z Carlem na drinka, ale jedzenie, w najlepszym razie, mieli przeciętne. Tak czy inaczej, kierowca pokręcił głową.

- Wszystko w porządku. Poczekam, pani Kahn - oświadczył, Karen odwróciła się więc i ruszyła w stronę oświetlonych okien „Curl up and Dye”. Zastanawiała się, jak to by było, mieć pracę polegającą na siedzeniu i czekaniu na klientów w zapadającym zmierzchu. Wiedziała, że nie potrafiłaby tego robić. Może jednak jest to zajęcie bardzo uspokajające, tłumaczyła sobie. Dlaczego uważa zawsze, że życie innych ludzi jest mało satysfakcjonujące, a ich styl, praca, maniery czy akcent wymagają poprawy? Dlaczego? Dlatego, że jestem stuknięta, odpowiedziała sobie w duchu i załomotała do zamkniętych drzwi salonu.

Na odgłos stukania, Carl przerwał zamiatanie i podszedł do drzwi. Ubrany był w czarne dżinsy, czarne martensy i biało-czarny podkoszulek.

116

- Jesteś wreszcie - wykrzyknął. - Hej, wyglądasz zupełnie jak zdobywczyni Nagrody Oakley a za Życiowy Sukces.

- Co za zbieg okoliczności - uśmiechnęła się z wysiłkiem. Odstawił szczotkę, kręcąc dużą głową.

- Życie... - powiedział. - Jednego wieczoru jestem w sali balowej Waldorfa, a następnego zmiotam cudze włosy z linoleum. Odwrotność Kopciuszka - westchnął. - Jeśli chcesz, by coś zostało zrobione dobrze, musisz to zrobić sam.

- Mnie to mówisz? - zapytała.

Carl przyjrzał jej się w niemiłym oświetleniu wiszącej nad nimi jarzeniówki.

- A skoro mowa o włosach - powiedział - to wyglądasz, jakby cię kot wypluł.

- Cóż, przynajmniej trafiłam we właściwe miejsce.

- Nie dla kotek, skarbie - uśmiechnął się głupawo. Zgasił światło i włączył alarm przeciwłamaniowy. - Znikamy stąd, Mary - rzucił, obejmując Karen ramieniem. Potem sięgnął po latarkę. Przesunął wyłącznik, ale się nie zapaliła.

Carl westchnął. - Latarka to moje nosidełko na zużyte baterie - powiedział. - No, ale przynajmniej jest ciężka.

Wczoraj na górnym podejściu siedział jakiś bezdomny; mało nie umarłem ze strachu. Był niegroźny, ale nigdy nic me wiadomo - podniósł latarkę i wyprowadził Karen bocznymi drzwiami do małego hallu, skąd wiodły schody na górę. Jęknął, windując swe grube ciało po kolejnych stopniach. - Och, Mary. Za dużo tego wszystkiego, jak na otyłego faceta po czterdziestce.

Weszli na podest i Carl wyciągnął klucze, by wpuścić ich do mieszkania. Jak zwykle w chwilach stresu, Karen umierała z głodu. Dobiegł ją zapach jakiejś gotującej się potrawy i poczuła wdzięczność dla przyjaciela. We wnęce okiennej stał mały, okrągły stolik z zapalonymi świecami i dwa wygodne krzesła.

Mieszkanie Carla, od obić w różę ze splowiałego perkalu do pokrywających podłogę sizalowych mat, stanowiło niemal dokładną kopię zagraconego angielskiego wiejskiego domu. Na ścianach obitych wyblakłymi tapetami w paski wisiały stare grafiki z krajobrazami i roślinami, oraz pokryte grubą warstwą werniksu obrazy, przedstawiające psy. W ciągu dwudziestu ośmiu lat znajomości z Karen Carl nie kupił sobie niczego nowego. Nie wynikało to ze sknerstwa, lecz było formą twórczości. Zawsze znajdował jakiś wazon, dający się przerobić na lampę, a ta z kolei wymagała abażuru, który musiał być wykończony specjalnym różowym jedwabiem, nie wspominając o frędzelkach odprutych od kapy na łóżko, kupionej z drugiej ręki w jakiejś nieznanej nikomu rupieciarni. Stworzył sobie urocze, pełne nieładu gniazdo i mieszkał w nim razem z Thomasem, dopóki dwa lata temu ten ostatni nie umarł. Teraz, rozglądając się wokół, Karen po raz pierwszy zauważyła, że mieszkanie wydaje się jakby przygasłe i wypłowiałe, lecz me w dawny, pełen czaru sposób.

- No, siadaj, siadaj - powiedział Carl, a Karen z ulgą zagłębiła się w przysunięty do stołu fotel. Z okna widać było drzewa rosnące przy Montague Street. Zapalono właśnie latarnie, rzucające w gęstniejącym mroku kręgi żółtego światła.

- Co słyhać? - zapytał Carl. - Nie zdobyłaś w tym tygodniu następnej życiowej nagrody?
 - Nie. Udzieliłam tylko wywiadu Elle Halle i spotkałam się z Billem Wolperem.
 - O, przepraszam bardzo. Czy jadłaś także obiad z królową?
 - Nie, mam to w planach dziś wieczorem.
 - Och, ta Mary. Jaka ona paskudna. Któregoś dnia pożałuję, że siedziałem obok ciebie na zajęciach z domowej ekonomii - Carl był jedynym chłopcem w szkole średniej w Rockville Centre, który odmówił chodzenia na prace ręczne.
 - Poznaliśmy się w Kółku Teatralnym - poprawiła go Karen, która nigdy nie chodziła na ekonomię. Kłócili się o to od niemal dwudziestu lat.
 - Czy szkolne Kółko Teatralne nie było czymś w rodzaju zajęć dla początkujących gejów? - zapytał Carl.
 - To co, w takim razie, ja w nim robiłam?
 - Och, znasz przecież moją teorię - jesteś homoseksualistą uwięzionym w ciele kobiety. Dlatego okazałaś się taką świetną projektantką.
- Mimo żartów Carl zdawał sobie sprawę, że głos jego przyjaciółki brzmi śmiertelnie smutno. Przyjrzał jej się bliżej.
- Tak bardzo źle? - zapytał. Miłą cechą Carla było to, że zawsze wyczuwał, w jakim Karen jest nastroju. To takie odprężające nie musisz niczego tłumaczyć ani udawać.
 - Nie najlepiej. Mamy problemy z płynnością gotówki, chyba dostaniemy ofertę sprzedaży firmy, Jeffrey zupełnie wypadł z formy, a moja matka jest stuknięta. A ja jestem taka zmęczona. Czuję, jakby wszystko działało się za szybko i zmierzało w złym kierunku, nawet jeśli tak nie jest. Jak byś to nazwał?
 - Strach przed sukcesem?
 - Raczej przed porażką. A w ogóle czuję się koszmarnie. Masz na to jakąś radę? - pociągnęła nosem.
- Carl nachylił się ku niej z troską.
- Przestań czytać powieści - doradził.
 - " Co? - zamrugwała i wytarła nos wierzchem dłoni.
 - Co teraz czytasz?
 - Hm. Nową książkę Anity Brookner.
 - Źle. Odłóż ją natychmiast. Spróbuj „Pieniądze i Sfery Ameryki" Lewisa Laphama. Bardzo dobra. Spodobałaby się Arnoldowi. Albo tę nową książkę Naomi Wolf.
 - Carl, o czym ty mówisz? Ja wpadam w samobójczą depresję, a ty mi robisz przegląd literacki?

- Słuchaj, skarbie. Nie chcę się licytować, ale więcej facetów łamało mi serce niż cię to kiedykolwiek czeka. Skorzystaj z mojej rady - nie czas teraz na czytanie „Szklanego klosza”.

Karen zaczęła się śmiać. Zawsze śmiali się razem z Carlem. Od czasów, gdy byli nastolatkami - zbyt wielkimi, grubymi, brzydkimi i inteligentnymi - by pasować do Rockville Centre; potrafili śmiać się z własnych problemów, jakie by one nie były.

118

Carl pokiwał głową.

- Może trochę jedzonka ukoi złamane serce - powiedział. Zniknął w kuchni, a po chwili wyszedł stamtąd z tacą w rękach. - Dobrze jedzonko. Zalał humo-lek się popławi - zaseplenił ją jak do dziecka i umieścił tacę na stojaku przy oknie, by pełniła rolę bocznego stolika - No więc, ile wam proponują? - rzucił.

- Kto? - zapytała Karen, ale wiedziała o czym mówi i nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Cały Carl - w mgnieniu oka przeskakuje od dzieciennego seplenienia do spraw Wall Street. - Jeszcze nie wiemy, ale Jeffrey liczy na ponad dwadzieścia milionów - niemal zachichotała, wymawiając tę nierealną niedorzeczną sumę.

Carl, który odwracał się w jej stronę, zamarł z półmiskiem w rękach.

- Ponad dwadzieścia milionów dolarów? I ty masz złamane serce? Kochanie, z tobą naprawdę jest coś nie w porządku - postawił naczynie na stole, przyniósł jeszcze kilka potraw i usiadł na krześle, na przeciw Karen. Sięgnął po łyżkę i nałożył swej przyjaciółce porcję na talerz. - Jedz - powiedział. - Musisz mieć siłę, żeby donieść te pieniądze do banku.

- Ale ja nie jestem pewna, czy chcę sprzedać firmę - zawiadomiła go Karen. - To znaczy, mamy teraz trochę kłopotów ze spłatą długu, ale to tylko płynność gotówki. I naprawdę nie mam pojęcia, co zrobić z pieniędzmi, poza zwiększeniem funduszu emerytalnego. Posiadam już dwa domy. To nie tak, że jestem głodna, nie mam gdzie mieszkać albo potrzebuję butów dla dziecka.

- Dla jakiego dziecka? - Carlowi rozbłyły oczy.

- Żadnego. Mówię ogólnie. Żadnego dziecka nie będzie. Pewna sprawa. To ostatnie, przepraszam za wyrażenie, uderzenie gorąca: nie mogę zająć w ciążę, nie mogę jej donosić, a Jeffrey nie chce słyszeć o adopcji - zaczerpnęła powietrza i opowiedziała Carlowi o doktorze Goldmianie - Tak czy inaczej, dziecko nie wchodzi w grę. Po co więc sprzedawać firmę?

- Wybacz, że to mówię, ale nie widzę specjalnego związku między tymi dwoma sprawami. Poza tym, że w obydwu nie zgadzasz się z Jeffreyem.

Karen westchnęła. Carl jak zwykle trafił w sedno.

- No właśnie. On chce sprzedać, ja nie. Ja chcę mieć dziecko, on wręcz przeciwnie. I jakbym miała mało problemów, Bella doprowadza mnie do szału, obydwie siostrzenice zachowują się fatalnie, a ja patrzę na niewłaściwych mężczyzn jako na partnerów seksualnych.

- W tym ostatnim akurat nie jesteś osamotniona - zapewnił ją Carl.

- Może to przepracowanie - zastanowiła się. - Boże, Carl, trudno w to uwierzyć, ale mam jeszcze więcej zajęć niż przedtem. Mój zespół projektancki pracuje nad tańszą kolekcją i doprowadza mnie do rozpacz. Oprócz tego przygotowuję paryski pokaz i właśnie skończyłam suknię ślubną dla Elise Elliot. Zdaje mi się, że im więcej pracuję, tym większe mam zaległości.

- Wszystko to wygląda mi na kłopoty na poziomie. Masz dużo stresów, ale eleganckie problemy. Z wyjątkiem sprawy dziecka i Jeffrey'a - tu urwał i twarz mu się rozjaśniła. - Spotkałaś Elise Elliot? - zapytał. - Jaka ona jest naprawdę?

161

- Jest bardzo bogatą, bardzo piękną klientką - Karen wzniosła oczy do nieba. - Skąd mam wiedzieć, jaka ona jest? Chcesz znać jej wymiary? Mogę ci podać.

- Masz takie olśniewające życie - powiedział Carl. - Karen Kahn: mierzenie gwiazd centymetrem. Idziesz na ślub? - Kiwnęła głową. - Myślisz, że będzie Jackie Onassis?

Karen westchnęła. Jeśli Carl zejdzie na temat Kennedych, ona zacznie krzyczeć.

- Myślę, że zaczyna mi odbijać - powiedziała. - Nie wiem nawet, po co wykonuję większość tych zajęć -jeszcze raz westchnęła głęboko. - Wiesz o czym myślę? - zapytała. Wzruszył ramionami. Opowiedziała o nie opuszczającej jej potrzebie odnalezienia prawdziwej matki. Mówiła, a Carljadł i ta sytuacja ją uspokajała. Tylko to nie zmieniło się od czasu, gdy skończyła szesnaście lat.

- A wiesz co jest najsmutniejsze? - zapytała w końcu. Pokręcił głową. - Naprawdę, i to coraz bardziej, smutno mi z powodu dziecka. Nie przypuszczam, by Nagroda Oakleya dotrzymała mi towarzystwa w domu starców. Bardzo pragnęłabym mieć córkę. Myślę o tych wszystkich rzeczach, jakich nigdy nie zrobię -o kupowaniu pierwszych bucików, czy pierwszej odświętnej sukienki. Ale najbardziej smuci mnie to, że nigdy nie włożę lizeski.

- Czego? - zapytał Carl z pełnymi ustami.

- Lizeski. Wiesz, takie coś z pikowanego atłasu, co w starych filmach kobiety mają na sobie w szpitalu po porodzie. Nie wiem nawet, czy ktoś je jeszcze szyje. I co, u diabła, zakłada się pod spód? Myślisz, że one wszystkie są nagie od pasa w dół? Nie wiem, dlaczego tak mi to przeszkadza, ale pewnie zawsze chciałam mieć coś takiego na sobie. To wydaje się być istotną częścią kobiecego doświadczenia.

- Aha, coś jak depilowanie nóg.

Karen uśmiechnęła się, ale jej uśmiech był bardzo blady.

- Ciężko zrezygnować z tej lizeski. Carl pokiwał głową.

- No i co o tym myślisz? - zapytała go, tak jak zawsze. Skończył przeżuwać i delikatnie otarł usta.

- Skarbie, myślę to co zwykle - jesteś przepracowana. Brak ci czasu by zastanowić się nad tym, co odczuwasz. Poza tym, sądzę, że przechodzisz w małżeństwie trudny okres, ale to się każdemu może zdarzyć. Kocham cię i będę wspierał we wszystkim co postanowisz. Jeśli zaś chodzi o te poszukiwania, co właściwie spodziewasz się znaleźć?

- Moją prawdziwą matkę - odpowiedziała.

- I co ci to da? Czy coś się zmieni? Nie zrozum mnie źle; uważam, że powinnaś to zrobić. Zresztą, szukanie własnych korzeni jest dzisiaj bardzo modne. Wygląda na to, że ludzie tego potrzebują choć mnie ta wiedza raczej przygnębia - Wychował się w mieszkaniu nad „Wieprzowiną u Pfaffa" - sklepem rzeź-nickim swojego ojca. Dzieci, co było do

przewidzenia, nazywały Carla świnką. W dalszym ciągu mieszkał nad sklepem i wyglądał dosyć świnkowato, ale nie widywał się już z rodziną i był obecnie ortodoksyjnym wegetarianinem. Coś się więc jednak zmieniło.

120

- A co będzie, jeśli się okaże, że twoja prawdziwa matka stoi za ladą w „Wieprzowinie u Pfaffa” - Carl popatrzył na Karen, unosząc brwi. - Albo jest menelem na zasiłku i mieszka w tanim hoteliku w Queens? A ci wszyscy krewni Kennedych? Czy byli szczęśliwsi przez to, że należeli do rodziny? Pomyśl o wszystkich tragediach. Kto właściwie wierzy w te brednie, że bliższa koszula ciału? I co takiego wspaniałego jest w koszuli? - zniżył głos i wziął Karen za rękę. - Nie wierzysz chyba, skarbie, że znajdziesz miłość za tęczowym mostem?

- Nie - pokręciła głową. - Po prostu tak sobie o tym myślałam, to wszystko - westchnęła. - Zresztą, kto to wie? - popatrzyła na różową pyzată twarz, na której malował się wyraz prawdziwej troski. Carl wznosił oczy do nieba.

- Zmieńmy temat na przyjemniejszy, jak tam życie seksualne? - zapytał.

- O czym ty mówisz? - prychnęła. - W ogóle się nie widzimy, a jeśli już, to jesteśmy wykończeni. Sama nie wiem. Może to przez te wszystkie specjalne praktyki, które musieliśmy stosować, kiedy starałam się zajść w ciążę. Wiesz, stanie na głowie i wyczekiwanie, aż plemnik trafi do jajeczka. Trudno powiedzieć, żeby to było spontaniczne i pociągające. Może przez to Jeffrey zupełnie stracił na mnie chęć?

- A może jest zły? Zawsze trzymałem Thomasa na dystans, kiedy byłem na niego wściekły. Znana strategia biernej agresji.

- O co Jeffrey miałby być zły?

- Zlituj się, Karen. Może być zły, bo nie gotujesz. Albo dlatego, że nie możesz dać mu syna; że ojciec go nie kochał, że to ty, a nie on jesteś szefem.

- Ale on jest szefem. Podejmuje wszystkie decyzje w sprawach finansowych. Zawsze tak było.

- Nie udawaj, to margines. Firma nazywa się Karen Kahn, a nie Jeffrey Kahn. Tyją uosabiasz.

- Kahn to także jego nazwisko. Daj spokój, Carl. On się już dawno do tego przyzwyczaił.

- Powiedziała Karen - Carl urwał na chwilę. - No, ale co ja wiem? Raz, przez cały weekend nie rozmawiałem z Thomasem, bo kupił sos do sałatek zamiast majonezu. Uważałem, że gdyby naprawdę mnie kochał to by pamiętał, że nie cierpię sosu - odwrócił głowę do okna. Latarnia oświetliła mu twarz, ale oczy pozostały w cieniu. - Wszystko bym oddał, żeby móc to odwrócić.

Karen pokiwała głową. Biedny Thomas. Biedny Carl. Jakby to było, gdyby znowu musiała żyć samotnie? Na myśl o tym aż się wzdrygnęła. Miała dla Carla tyle współczucia. Tak wiele jego życia i przeszłości odeszło razem z Thomasem.

Co ja bym zrobiła bez Jeffreya, pomyślała, i chociaż było ciepło znowu zadrżała. Tak naprawdę, nigdy nie istniał dla niej inny mężczyzna. Całe jej życie to szkoła i Jeffrey, a potem praca i Jeffrey. Dorastała razem z nim. Była niezależna, sama podróżowała, miała własnych przyjaciół i własne życie, ale świadomość, że zawsze wraca do Jeffreya była jej niezbędna. Nie mogła wyobrazić sobie powrotów do domu, w którym czeka na nią pustka. Biedny Carl. Karen poczuła wyrzuty

sumienia. Mimo wszystko, przecież on ma rację. Są z Jeffreyem zdrowi, ich małżeństwo trwa i w najgorszym razie dostaną wiele milionów dolarów. Carl jest tym, który stracił tak wiele, a ona mu się wyżała.

- Przepraszam - wymamrotała do przyjaciela, który wciąż siedział odwrócony.

- Och, nie ma sprawy - wzruszył ramionami, obracając się ku niej. - Czyli ostatnio nici? Cóż, seks jest przyjemny, ale nie dorównuje temu co naprawdę ważne - mrugnął do niej i Karen musiała się roześmiać. Potem spoważniał. - Wiesz, żadne z nas nie robi się coraz młodsze. Niechętnie o tym mówię, ale jesteśmy w średnim wieku. Od śmierci Thomasa dokładnie tak się czuję. Może nawet stary. Czuję, jakbym starzał się nie tyle z upływem lat, ale wraz z kolejnymi rozczarowaniami. Kiedy jest się młodym, można się z nimi uporać albo o nich nie myśleć. Lecz one narastają - te wszystkie straty, kłopoty, rozczarowania. I ich wspólny ciężar zaczyna miażdżyć nasze nadzieje. Nie umiem powiedzieć, na ilu byłem pogrzebach. Ciężko żyć bez nadziei, że jutro będzie lepiej i sądzę, iż wchodzisz w wiek średni, kiedy zaczynasz myśleć, że jutro będzie gorzej.

Karen skinęła głową.

- Czy tak właśnie jest z tobą? - zapytała,

- Osiągnąłem szczyt - odpowiedział jej zmęczonym uśmiechem.

- Może potrzebujesz wakacji?

- Pewnie. Ale kto będzie pilnował salonu teraz, gdy nie ma Thomasa? Wiecie dzieci, co to jest kradzież? Wrócę i okaże się, że przez dwa tygodnie nikt nie płacił gotówką tylko wszyscy kartami kredytowymi. A poza tym, to ty w tym towarzystwie potrzebujesz rady - uśmiechnął się do niej. - Słuchaj, skarbie. Wiem, że kochasz Jeffreya i jakoś przez to przebrniecie - westchnął. - Ja czeszę głowy w Brooklynie, a twoja należy do najprzystojniejszego faceta na Manhattanie. Jakim cudem tak spieprzyłem sobie życie?

- Tego właśnie byś chciał? Mieszkać na Manhattanie?

- Powinienem był to zrobić dawno temu, ale baliśmy się z Thomasem, a teraz jest już za późno.

- Może jeszcze nie. Nikt nie strzyże włosów tak jak ty. Masz talent.

- Może - Carl wzruszył ramionami. - Z pewnością jednak nie mam pieniędzy na otworzenie zakładu przy Madison Avenue. A nie mam ochoty chodzić z nożyczkami w torbie po mieszkaniach.

- Ile by kosztowało rozkręcenie interesu? Wiesz, jeśli podpiszemy tamtą umowę, bez trudu możemy udzielić ci pożyczki.

- Karen, czasem ciężko jest być twoim przyjacielem - uśmiechnął się do niej. - Zawsze byłaś taka utalentowana, kompetentna i dzielna. Wiedziałem o tym już w Rockville Centre. Było ci pisane, że się przebijesz. Ja nie mam takiej

siły ani talentu. Bałem się i wybrałem bezpieczniejszą drogę. Nie pożyczylbym pieniędzy na rozkręcanie biznesu na Manhattanie, więc skazałem się na tapirowanie głów starszym paniom. Jestem taki jak Jeffrey. Boję się porażki, uczepliłem się więc ogona twojej komety.

Karen zeszywniała.

166

- Jeffrey się nie boi. Zrezygnował z własnej kariery, aby mi pomóc. Bez niego nie poradziłabym sobie. I bez pieniędzy jego rodziców. Zdjęli mi z ramion wielki ciężar. Jeśli Jeffrey czuje do mnie urazę, to dlatego, że przestał być artystą.

- Uhm - mruknął Carl, odchylając się w krzesło.

- Jesteś niemożliwy. Zawsze stajesz po mojej stronie.

- I tak już będzie. Po to mamy przyjaciół - zanucił. - Możesz się ze mną zgodzić, ale, naprawdę Karen, popełniasz straszny błąd, myśląc że nie osiągnęłaś swej pozycji samodzielnie. Problem polega na tym, że nie potrafisz widzieć rzeczy w sposób biało-czarny, ale wszystko ma dla ciebie odcień szary Skarbie, nie jest dla mnie bardziej oczywiste niż ta sytuacja: to ty, z was dwojga, masz talent. Może z tą świadomością poczujesz się samotna, ale wiedz, że i tak dotarłabyś tam gdzie jesteś. Nikt ci niczego nie dał i zasłużyłaś na wszystkie swoje osiągnięcia. Nie sprzedawaj firmy, jeśli tego nie chcesz. Jest twoja. Ty ją stworzyłaś. A każdy kto ci mówi inaczej jest kłamcą albo próbuje tobą manipulować - Carl ciężko podniósł się z miejsca i pozbierał talerze. - Ale pomówmy o czymś ważniejszym - zaproponował. - Na przykład o deserze.

- Ja dziękuję - westchnęła.

Carl wyniósł tacę, a po chwili wrócił tanecznym krokiem, niosąc dzbanek z herbatą, dwie filiżanki i talerz truskawek w czekoladzie.

- Mówiłaś serio o tej zasadzie niejedzenia deserów? - zapytał kusząco. - Owoce się nie liczą - dodał z uśmiechem. - Ja się na tym znam.

Karen zaśmiała się, pokręciła głową i z rezygnacją sięgnęła po smakowity talerz.

Rozdział 11

Modna para

Nowojorska elita i ludzie z Siódmej Alei spotykają się na ślubach. Małżeństwo Elise Elliot i Larry Cochraha miało zostać zawarte w kościele episkopalnym pod wezwaniem św. Tomasza, mieszczącym się przy Piątej Alei. Był to jeden z dwóch czy trzech nowojorskich kościołów, popularnych wśród śmietanki towarzyskiej, i rywalizować mógł z nim tylko kościół św. Jakuba, przy bardziej szykownej Madison Avenue. Jednak, pod względem urody, kamienny fryz pokryty pseudośredniowiecznymi płaskorzeźbami wznoszący się na wysokość dziesięciu metrów ponad ołtarzem u św. Tomasza! nie miał sobie równych.

Karen zawsze czuła się w kościele odrobinę nieswojo, ale musiała przyznać, że goje wiedzieli, co to jest klasa. Zastanawiała się, czy jakiś inny projektant z Siódmej Alei, należący teraz do śmietanki towarzyskiej, także odczuwa skrępowanie wpatrując się w krucyfiks. Oczywiście, Calvin Klein miał w domu kolekcję krzyży, a Donna Karan zaprojektowała zestaw biżuterii z tym znakiem. Od czasów Madonny motywy religijne stały się dodatkiem do stroju. Karen nie była pewna, czy jeszcze kilkadziesiąt lat temu ktokolwiek z nich zostałby tu zaproszony. Na projektantów patrzono wtedy jak na dostawców. Teraz byli na fali. Śmieszne, swoją drogą jak wielu Żydów odniosło sukces projektując modę dla WASP-ów ze starych, bogatych rodzin. Na swój sposób przypominało to przemysł filmowy z Hollywood. W obydwu dziedzinach przede wszystkim Żydzi dyktowali warunki i trendy. Jednak ani w Hollywood, ani przy Siódmej Alei nie udało się to nikomu, kogo żydowskie pochodzenie zbyt rzucało się w oczy. Wydawało się nawet, że dla wielu z nich pociągającym ideałem jest WASP. Poślubiali jasnowłose *siksy* - młodzieńcze gojki o imionach typu Kelly czy Buff. Wiele osób ze świata mody zmieniło lub przekształciło swe nazwiska. Ralph Lauren był kiedyś Ralphem Lifshitzem. Arnold Scaasi używał palindromu swego prawdziwego nazwiska. Wielki Norrell naprawdę nazywał się Norman Levison, a Anne Klein zaczynała jako Hannah Golofsky. Co by to było, gdyby nie wyszła za Bena Kleina?

124

Oczywiście, Karen wiedziała, jak ważne w tym biznesie jest nazwisko. Sprzedaż ubrań, perfum i całych kolekcji opierała się na konkretnym nazwisku i skojarzeniach, jakie ono wywoływało. Zrezygnowała z własnego, gdyż „Karen Kahn” miało tę specyficzną aliterację. Czy suknie projektowane przez Karen Lipsky oglądano by w nawie głównej u św. Tomasza? Czy kobiety przychodziłyby na jej *trunk shows!* .

Zagrały organy i Karen znowu musiała przyznać, że niewiele może się równać z tutejszym chórem. Żadne tam „Hava Nagila”. Kościół św. Tomasza jest amerykańskim odpowiednikiem St. Martin in the Field, londyńskiego kościoła, w którym chór śpiewający hymny pochwalne odgrywa równie ważną rolę jak dzieło kamieniarzy. Karen uważała jednak, że dzisiaj śpiew nie zaćmi piękna wiernych zgromadzonych, by zobaczyć te niezwykle, lecz szalenie romantyczne zaślubiny.

Podczas pracy nad projektami kilkakrotnie przychodziła do kościoła. Ostatecznie, kostium powinien pasować do dekoracji. Zasugerowała jej to sama Elise Elliot, i miała rację.

Elise była jedną z ostatnich, wielkich gwiazd filmowych. Zaczynała w czasach, gdy wytwórnie nie tylko władały, ale reżyserowały życie aktorów. Z tamtych minionych dni pochodziło jej bogactwo i profesjonalizm, pozwalający wymyślić i dopilnować przeprowadzenia uroczystości tak, by osiągnąć niemal niemożliwe: maksymalny rozgłos bez utraty godności. Potrafiła przy tym zachować, choć w części, prywatność chwili. Mimo iż Elise była wręcz obsesyjnie wymagająca w kwestii strojów, Karen ją podziwiała. Miała wspaniałą prezencję i od ponad trzydziestu lat ubierali ją najlepsi kreatorzy. Niewiele kobiet naprawdę rozumie strój i wie, co jest dla nich dobre, a co nie. Elise wiedziała i jej żądania były uzasadnione.

Karen zdawała sobie także sprawę, że piękna, chłodna i świadoma czego chce aktorka, jest w głębi duszy osobą lękającą się śmieszności. Bała się śmiertelnie, że jej wiek wyjdzie na jaw, że będzie oglądana, oceniana i wysmiewana w prasie całego świata. Karen swoją pracą miała do tego nie dopuścić.

Stała przed trudnym zadaniem. O ile mogła się zorientować, Elise kochała Larry'ego tak samo namiętnie, jak ona Jeffreya. Zasługiwała więc na niezwykłą suknię. Poza tym, jako panna młoda, powinna wyglądać młodo i świeżo. Jak jednak mogła jednocześnie wyglądać świeżo i na swój wiek? Jakby nie dosyć tego, miała dwie drużny - drobną jak ptaszek Annie Paradise i korpulentną Brendę Cushman. W żaden sposób nie mogły wyglądać korzystnie w podobnych strojach, mimo to Elise nalegała na ich ujednolicenie i poprosiła Karen, by suknie łączyły w sobie kobiecość i wyrafinowanie.

Elise, nie tylko aktorka lecz i dziedziczka fortuny, płaciła za wszystko. O ile jednak pieniądze nie stanowiły problemu, był nim jej perfekcjonizm i stopień trudności zadania. Dziewięćdziesiąt procent sukni ślubnych dla osób z towarzystwa wykonywały Vera Wang i Carolina Herrera. Choć otrzymana propozycja była dla Karen zaszczytem, pochłaniała jej każdą chwilę. Jeffrey, który czekał w napięciu na ofertę z NormCo, bardzo się na to uskarżał. Karen zdawała sobie sprawę, że biorąc pod uwagę włożony czas, nic na zamówieniu nie zarobi, wiedziała jednak,

że projekty zobaczy cały świat. Jeśli będą dobre, za jednym zamachem udowodni, że potrafi ubrać pięknie każdą kobietę - postawną, królewską lecz starzejącą się Elise, niską chudą Annie i dużą pulchną Brendę. Mistrzowskie choć niezwykle trudne posunięcie. Gdy suknie się udadzą podniesie to też - na swój sposób -wartość ^Klnc w oczach NormCo.

Dwa tygodnie przed ślubem, gdy stroje już były gotowe, okazało się, że Elise, trzymająca zawsze tę samą świetną linię, straciła na wadze. Karen, która w takich sprawach ufała tylko sobie, i pani Cruz, bliska hysterii, spędziła z nią wieczór zwięzając suknię. Tymczasem Annie Paradise wyjechała na cykl wieczorów autorskich i opuściła dwie przymiarki, zaś gruba Brenda schudła kilka kilogramów tylko po to, by w ostatniej chwili odzyskać je z powrotem. Wystarczyło tego, by doprowadzić do szału Karen, Elise i wszystkie krawcowe z pracowni. Jakoś jednak przetrwały i teraz Karen, siedząc wraz z Jeffreyem w dziewiątym rzędzie ławek, czekała z innymi na wejście młodej pary, mając nadzieję, że towarzyszyć mu będzie westchnienie podziwu nad suknią panny młodej.

Patrzyła, jak do kościoła wchodzi ostatni goście. Byli wśród nich ludzie z nowojorskiej śmietanki towarzyskiej, projektanci od lat pracujący dla Elise, utytułowani Europejczycy, młode modelki oraz cała galeria hollywoodzkiej arystokracji. Isaac Mizrahi, świetny projektant, który nie zdobył jeszcze funduszy, by wyjść *pozahaute couture*, zjawił się z SandrąBernheart. Christy Turlington i Amber Valetta, dwie najmodniejsze modelki, przybyły niemal jednocześnie - tego rodzaju przyjaźnie wyglądały na najnowszy trend. Ralph i Ricky Lauren siedzieli wraz z synami, Davidem i Andrew, zaś Donna Karan z mężem, Stephanem Weissem, oboje ubrani na czarno. Calvin Klein nie przyszedł i reprezentowały go żona Kelly ze swą pasierbicą Marcie. Kelly miała na szyi swoje słynne perły, które Calvin kupił dla niej z klejnotów Księżnej Windsoru.

Karen rozejrzała się dookoła. Jean Paul Gaultier, w pasiastym garniturze przypominającym ubranie więzienne, siedział obok nienagannej Blaine Trump. Wśród reprezentantów superbogatyh sfer międzynarodowych widać było Gianniego Agnell'ego, jak zwykle ubranego w koszulę z odpiętymi guzikami, z zegarkiem na mankietach. Ann Bass, ex-żona Sida, Mercedes Bass, jego obecna żona oraz Mica Ertegun, która nigdy nie była jego żoną stawiały się w komplecie. Obok nich siedziała Norris Cleveland. Jej mąż nie przyszedł. Karen zastanawiała się, czy plotki o ich rozwodzie są prawdziwe i czy Norris, w swej torebce od Judith Leiber, nie ukrywa szkicownika. Tymczasem, żony nowojorskich bogaczy prezentowały stroje wszystkich możliwych projektantów, od stonowanych kostiumów Armaniego do pokrytych różami sukni Anny Sui.

Jak zwykle, najbardziej szalone pomysły miał Hollywood. Phoebe Van Gelder zwróciła uwagę, przychodząc w pociętej w rozmaitych miejscach skórze od Thierry Muglera. „Bardzo odpowiedni strój do kościoła, nie uważasz?”-

zapytał Jeffrey. Przybyli Dustin i Lisa Hoffmanowie. On w czymś konserwatywnym nieokreślonego pochodzenia, ona w rodzaju habitu, prawdopodobnie autorstwa Jill Sanders. Przepiękna kobieta, której Karen nie rozpoznała - nie starczało jej czasu na oglądanie telewizji - miała na sobie szokujący strój od Ozbeka: obcisłą,

170

brązową, przezroczystą koronkę z przypinanymi, jaskrawopomarańczowymi rękawami, a do tego rajstopy w kolorze bakłażana i wysokie skórzane botki.

- Kto to jest? - szepnęła do męża.

- Co to jest... - zaripostował. W sprawach mody Jeffrey był konserwatystą. - Jej projektant chyba nienawidzi kobiet. Nie tylko on był tego zdania. Wiele kobiet i część prasy uważało, że większość projektantów nienawidzi płci pięknej. Podejrzewano nawet, że pomiędzy zajmującymi się modą homoseksualistami zawiązał się rodzaj przewrotnego spisku, mającego ośmieszyć kobiety. Jeffrey nazywał ich „gejowską mafią”. Karen była odmiennego zdania. Homoseksualiści zdawali się lubić kobiety, chcieli jednak ubierać tylko te, których budowa nie odbiegała od gejowskiego kanonu urody- wysokie, szczupłe, o szerokich ramionach. Projektanci bywali często przesadni, teatralni, niemądrzy, zaś w swej twórczości starali się przede wszystkim zadowolić samych siebie. Można więc powiedzieć, że w efekcie ubierali kobiety tak, by wydawały się atrakcyjne homoseksualistom.

' Jeżeli już mówić o konspiracji, to zawiązywali ją raczej biali heteroseksualiści, naprawdę trzymający w garści związany z modą biznes. Mężczyźni z dużą ilością pieniędzy, tacy jak Bill Wolper, który inwestował ogromne sumy na podtrzymywanie w kobietach ciągłego niezadowolenia ze swego wyglądu, a jednocześnie bombardował je przykładami, jak wyglądać powinny. Prawdziwa tyrania ludzi ze świata mody kryła się w spisku, podtrzymującym wieczne niezadowolenie i poszukiwanie nowości.

Karen podniosła oczy w samą porę, by zobaczyć najpiękniejszą nowojorską parę, Cindy Crawford i Richarda Gere, którzy właśnie, trzymając się za ręce, zajmowali swoje miejsca. Choć wiedziała, rzecz jasna, jakie plotki o nich krążą, wydali jej się szczęśliwym małżeństwem. Czy aktorzy i modelki mogą w miejscach publicznych przez cały czas tylko grać? Michael i Diandra Douglas byli, jak zwykle, pięknie ubrani, lecz Al Pacino - w swym prążkowanym garniturze - przypominał raczej Al Capone. Karen zdziwiła się, że przybył samotnie.

- Pieniądze i talent to nie to samo co dobry smak - mruknął Jeffrey. Sam miał na sobie najspokojniejszy z ciemnych garniturów. Nie cierpiał ekscentryczności w męskiej modzie, a co dziwniejsze, Karen to się w nim podobało. Czyżby uważała że moda zbyt mało znaczy, by mogła obchodzić prawdziwego mężczyznę?

Spojrzała na profil Jeffreya. Tak bardzo kochała męża. Choć nie mogli mieć dziecka, nie zgadzali się w sprawie umowy z NormCo, a on nie rozumiał i nie podzielał jej pragnienia posiadania rodziny, wiedziała, że darzy go prawdziwym uczuciem. I że on ją kocha. Prawdopodobnie miał rację w sprawie adopcji, poszukiwania prawdziwej matki i we wszystkich innych. Zawsze wierzył w Karen, nawet wbrew niej samej. Zaufała mu, kiedy powiedział jej, że ma talent. Co by się stało gdyby nie dodawał jej odwagi? Wyciągnęła rękę i położyła ją na miękkim materiale ciemnego rękawa. Czowała, że pod nim i pod jedwabistą bawełną koszuli kryje się silne ramię. Pomyślała o Carlu, samotnym w swym mieszkaniu w Brooklyn Heights. Jeffrey jest wszystkim co posiada, ale to jej wystarczy. Wystarczy aż nadto.

Odetchnęła głęboko. Uroczystość właśnie miała się rozpocząć. Wszyscy zaraz osądzają jej dzieło. Karen złodowaciały ręce. Jeśli ona jest zdenerwowana, jak musi się czuć teraz Elise? Cóż, aktorka przywykła do publicznych wystąpień. Czy to możliwe jednak, by Karen przejmowała się tym wszystkim bardziej od panny młodej? Żołądek podszedł jej do gardła. Ona i Jeffrey nigdy nie mieli porządnego ślubu. Kiedy oświadczył jej się, zrywając zaręczyny z June, sądziła, że nie wypada frunąć do ołtarza w chmurze białego tiulu. Nawet jeśli czuła, iż zwyciężyła. Zresztą i tak tiul do niej nie pasował. Zamiast tego poszli do ratusza, gdzie udzielono im jednego z tych trzyminutowych ślubów cywilnych. Karen nigdy nie planowała wielkiego wesela, żałowała jednak, że nie był to moment bardziej uroczysty. Z drugiej strony, nie była pewna czy wytrzymałaby udział w przedstawieniu do tego stopnia wyreżyserowanym, co obecne. Ale, ostatecznie, Elise Elliott była aktorką i pochodziła z pokolenia debiutantek, które miały swoje wejście w świat. Na pewno przywykła do odgrywania roli głównej.

Karen miała nadzieję, że stworzyła dla niej odpowiedni kostium. Tej sukni Elise nigdy nie zapomni. Zresztą, która kobieta zapomniała, w co była ubrana na swoim ślubie? Czy pamiętały jednak wszystkie swoje suknie, jeśli tych ślubów było więcej? Czy Liz Taylor wie, co miała na sobie, gdy wychodziła za Mike'a Todda? Albo Johna Warnera? Albo po raz drugi za Burtona? Spokojnie, powiedziała do siebie stanowczo Karen. To tylko suknie, a nie operacja chirurgiczna. Poczowała jednak, że występuje na nią zimny pot. Ukradkiem wytarła wilgotne ręce w kremowy zakiet z bukli. Wyczuła zarysy fotografii zabranych na szczęście i podziałało to na nią uspokajająco.

Rozległy się dźwięki marsza weselnego. Triumfalne tony potężnych organów popłynęły w głąb nawy. Wszystkie głowy odwróciły się ku drzwiom kościoła. Główne przejście wyłożone było czerwonym dywanem i oświetlone reflektorami, ukrytymi wśród przypór pogrążonego w mroku, niebotycznego sklepienia. Uroczystość się rozpoczęła. Wyciągając szyję w kierunku ołtarza, Karen dojrzała wysoką postać i jasne włosy Larryego Cochran, który wynurzył się z jakichś bocznych drzwi i czekał na swą oblubienicę. Towarzyszył mu młody, dużo niższy mężczyzna, ubrany w gorzej skrojony frak. Ale ani Karen, ani pozostali goście nie tracili czasu na pana młodego. To kobiety znajdują się na ślubach w centrum uwagi. Przy dźwiękach muzyki, na czerwony dywan wstąpiła Brenda Cushion i ruszyła w kierunku ołtarza.

Karen, z westchnieniem ulgi, stwierdziła, że druhna wygląda nieźle. Ubrała ją w prostą suknię o ramionach tak skrojonych, by podtrzymywały ciężką jedwabną materię. Kolor - coś pomiędzy szarością i różem - wydawał się wymarzony dla ciemnowłosej Brendy. Suknia, krótsza niż można się było tego spodziewać, falowaniem obrąbka zwracała uwagę na świetne nogi właścicielki. Strój, zdaniem Karen w dużej mierze ukazywał swe walory w ruchu. Brenda, niosąc naręczne róż i frezji, pewnym krokiem stąpała po czerwonym dywanie.

Za nią pojawiła się Annie Paradise. Małeńka, drobnokoścista, budową przypominała Lisę. Karen ubrała ją w ten sam ciężki jedwab, jednak w odrobinę innym,

128

o ton bardziej szarym, odcieniu. Suknia, także z asymetrycznym, kwadratowym dekoltem, była obcisła; jej niemal orientalna prostota podkreślała smukłą figurę Annie. Przepych tkaniny i subtelność koloru dowodziły prawdy słów Chanel, że „Prostota to nie ubóstwo”. Karen była z siebie zadowolona.

Zagrzmiały organy, zapowiadając wejście panny młodej. Karen i wszyscy zebrani odwrócili głowy, ale nie dostrzegli nawet rąbka sukni. Dopiero po chwili Elise wynurzyła się z cienia rzucanego przez balkon chóru zawieszony ponad wejściem. Szmer zastąpiło głębokie westchnienie - hołd złożony niezwyklej piękności. Szła wsparta na ramieniu wuja, znacznie górując wzrostem nad drobnym, starszym mężczyzną. To zachwianie proporcji nie wyglądało jednak śmiesznie. Jego niski wzrost podkreślał postawę Elise. Wyglądała obok niego jak bogini. Tak jak jej druhny, miała na sobie suknię z ciężkiej, jedwabnej materii, o dwa tony jaśniejszą. Kwadratowy dekolt wypełniała cudowna koronka w tym samym różowobiałym odcieniu, sięgająca niby kwef do kości policzkowych aktorki. Zakrywała szyję, najłabszy punkt starzejącej się kobiety. Kontynuację pomysłu z koronką stanowił welon. Umocowany na niemal niewidocznym stroiku, obramowywał twarz Elise i w kunsztownych fałdach opadał z tyłu. Sama suknia miała surowy, prosty krój princeski, ale spod obfitych, bufiastych rękawów wylaniała się, okrywająca ręce koronka, w podobnym kolorze.

Elise wyglądała cudownie. Kolor sukni niemal dokładnie odpowiadał barwie jej bladej cery. Kryło się w tym ryzyko, lecz efekt był nad wyraz udany. Nawet z takiej odległości Karen widziała, że barwa sukni i welonu, zamiast zgasić i roztopić w jednobarwną plamę twarz Elise, uwypukliła tylko jej doskonałość. Aktorka nie wyglądała ani młodo, ani staro. Zdawała się być kimś pozbawionym wieku, a w tej chwili także piękniejszym od jakiegokolwiek, widzianej przez Karen kobiety. Oczy projektantki zasły łzami. Zamrugła gwałtownie. Nie chciała stracić nawet sekundy z tego widoku, arcydzieła, które sama stworzyła. Moda, sztuka posledniejszego rodzaju, oceniana zawsze przez pryzmat kobiety która ją nosi i jej otoczenia, niekiedy zwycięża czas i zyskuje wymiar prawdziwego arcyzmu. Karen zaakceptowała styl i wiek Elise, jej radości i lęki - razem więc przekroczyły granice realnego świata

Jeffrey ujął żonę za rękę.

- Coś takiego - wyszeptał. Odwrócił oczy od Elise i spojrzał na Karen. - Gratuluje - powiedział, a duma brzmiąca w jego głosie sprawiła, że radość Karen stała się kompletna.

Elise minęła projektantkę. Jej piękny profil zwrócony był wprost przed siebie, a na twarzy malowała się spokojna świadomość piękności i dystynkcji. Karen patrzyła, podziwiając ciągnący się za suknią, okryty welonem tren. Ponad ramieniem Elise popatrzyła na Larry'ego Cochran, który po raz pierwszy zobaczył nadchodzącą żonę. Na jego twarzy zastygł wyraz szoku, miłości i pewnego niedowierzania na widok oblubienicy, idącej ku niemu, niczym absolutne wcielenie wiecznej piękności. Tłum zebranych znieruchomiał na chwilę, jakby porażony doskonałością i spokojem Elise. Dopiero, gdy stanęła u ołtarza zakłęcie prysło i stłumione szepty wybuchły na nowo.

9 - Spóźniona moda

129

- To coś niewiarygodnego - powiedział Jeffrey. - Nie dbam, ile nas to kosztowało. Było warto. Da ci to większą sławę niż Nagroda Oakleya. Mercedes niech się lepiej zatroszczy o relacje do prasy.

Karen jednak nie myślała o interesach. Słyszała komentarze, szeptu pełne podziwu, niedowierzania, zazdrości, lecz w tej chwili nie miały one dla niej żadnego znaczenia. To nie był pokaz mody, a ona nie sprzedawała biletów.

Stworzyła coś wyjątkowego, coś cudownego i nie dbała, co sądzą o tym inni ludzie. Wiedziała, jak trudnego podjęła się zadania i była z siebie zadowolona. Cały sukces w wielkim świecie, przewidywany przez Jeffreya, stanowił tylko dodatek. Państwo młodzi składali swoje przysięgi, a ona usiadła wygodniej w ławce i czuła, że świat osiągnął stan doskonałej harmonii.

- Nie obchodzą mnie propozycje NormCo - powiedziała przechylając się do Jeffreya. - Nie chcę sprzedawać firmy.

- Karen, możesz nie mieć wyboru. Wiesz, że jeśli się nie rozwiniemy, będziemy musieli się zwinąć i ich propozycja może być najlepszym wyjściem z sytuacji.

- Nie teraz. Dostaniemy dużo większe zamówienia. Ja to wiem.

- I będziemy mieli jeszcze większe problemy z płynnością gotówki. Karen popatrzyła na męża; jej usta zacisnęły się stanowczo.

- Nie sprzedam firmy, Jeffrey - powiedziała.

Część druga

Nadzieje i porażki

Rozdział 12

Szanse i kompromisy

Lisa usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz tak naprawdę rozmawiały z Karen. Obok telefonu leżał nowy numer pisma „People”, ze zdjęciem Elise Elliot na okładce i artykułem na temat Karen w środku. Cóż, już to samo wystarczy, by u siostry urywał się telefon. Lisa powtarzała sobie, że nie powinna czuć do niej urazy. Tym razem zdecydowała, że zaczeka aż Karen do niej zadzwoni. Ale czekanie przedłużało się, a Lisa, nie mając nic innego do roboty, była coraz bardziej znudzona i obrażona. Zresztą nudziło jej się już od dawna.

Nie zawsze tak było. Kiedy miała swój butik, zachowywała się jak nałogowiec, który sprzedając narkotyki ukrywa własne uzależnienie. Sklep zaspokajał wszystkie jej potrzeby.

Miała każdego dnia dokąd pójść, by na trochę uwolnić się od dzieci. Mogła też czuć się ważna, choć był to tylko mały butik przy Central Avenue w Lawrence. Sklep dostarczał powodów do eleganckiego ubrania się, usprawiedliwiał wyprawy po zakupy na Manhattan, dawał poczucie własnej wartości, kiedy w salonach mody na Broadwayu rozpoznawano w niej osobę kupującą dla sklepu. Pozwalał też na upłynnienie własnych pomysłów - Lisa znana była z odwieszania noszonej przez siebie rzeczy z powrotem na sklepowy wieszak, wraz z nową metką. Butik dawał jej poczucie siły. Gdy męcząca klientka wahała się nad zakupem i wreszcie wychodziła, Lisa potrafiła przewidzieć czy wróci jeszcze do sklepu. Na złość zabierała wtedy i chowała wybrane przez nią ubranie, a potem mówiła ze słodkim uśmiechem, że zostało już sprzedane. Wreszcie sklep pozwalał Lisie udzielać się towarzysko; zawierała korzystne znajomości z klientkami. Niektóre takie kontakty przeradzały się nawet w coś w rodzaju przyjaźni, po części dzięki dawaniu kobietom, o których względy zabiegała, zniżek na wybrane przez nie stroje. Lisa nie zastanawiała się, czy w ten sposób **nie** kupuje sobie po prostu ich przyjaźni. Nie lubiła myśleć o rzeczach nieprzyjemnych.

Karen kierowała małą, ekskluzywną firmą odzieżową, a ona małym ekskluzywnym sklepem. Przez jakiś czas wszystko wydawało się układać jak najlepiej. Można było jednak przewidzieć, jakie będą rezultaty, nawet jeśli Lisa nie była ich

świadoma. Butik spełniał wszystkie pokładane w nim nadzieje, prócz jednej - nie przynosił żadnych dochodów. Początkowo nikt ich nie oczekiwał. Potem, podczas tłustych lat osiemdziesiątych sklep jakoś się wybronił. Jednak polityka obniżek dla wszystkich pań z towarzystwa w Pięciu Miastach zrobiła wkrótce swoje; nim jeszcze Czarny Poniedziałek na Wall Street położył w październiku kres beztroskiemu wydawaniu pieniędzy, sklep stracił rację bytu. W końcu Leonard zakończył całą sprawę. Kiedy sklep zamknięto, Lisa przekonała się, że jej „przyjaciółki” odsuwają się od niej, a życie zaczyna ograniczać do coraz węższego kręgu codziennych spraw. Weszła w nie nuda i zadomowiła się na dobre. W tym samym czasie życie i interesy jej siostry nabierały coraz większego znaczenia. Teraz jednak Lisa czuła, że znalazła w końcu sposób, by się odkuć. Uroczystość *bat micwah* jej córki znów postawi ją na honorowym miejscu. Jeżeli nie zdołała przeistoczyć się w kobietę interesu, odniesie sukces jako gospodyni eleganckiego przyjęcia, które zapadnie wszystkim w pamięć. Już ponad rok temu zaczęła przygotowywać listy gości. Przeglądała dane starych klientek, przeterminowane kalendarzyki, wycinki z „Newsday” i miejscowej gazety na temat uczestników imprez na cele dobroczynne. Przypominała sobie bardziej znaczących wiernych w synagodze i członków klubu, do którego wciąż należeli z Leonardem. Zajęła się pracą dobroczynną by pozostać w kręgach, do których miała ambicje należeć, nie była jednak w stanie ani wpłacać dużych dotacji, ani wprowadzić bogatych sponsorów. Skazywało ją to na adresowanie zaproszeń, odbieranie ulotek w drukarni, napełnienie kopert; z pewnością nie o taki rodzaj zajęć jej chodziło. Wystąpiła już zresztą z większości organizacji. Mój Boże, gdyby chciała być sekretarką, to przede wszystkim postarałaby się o płatną pracę.

Czuła, że nadchodząca impreza to ostatnia szansa, by zachować resztki pozorów bogatego życia towarzyskiego, o którym zawsze bezskutecznie marzyła. Nadal nie mogła zrozumieć, dlaczego właściwie tak się działo - przecież znała tak wiele kobiet i zawsze starała się być miłą. Jednak, nawet jeśli jągdzieś zaproszono, ona i Leonard zawsze pozostawali na obrzeżach a nie w centrum toczącej się rozmowy. I rzadko zapraszano ich ponownie.

Winą za to Lisa obarczała męża. Ostatecznie, co może być interesującego w rozmowie dermatologiem z przedmieścia? A Leonard, nawet jak na dermatologa, wypadł mizernie. I nie chodziło o to, że poruszał krępujące tematy jak trądzik pospolicity. On po prostu mówił o czymś nudnym, lub nie odzywał się wcale. Powinna była poślubić prawdziwego lekarza. Bywały chwile, kiedy miała ochotę kopnąć męża i błagać go, żeby albo się zamknął, albo powiedział w końcu coś ciekawego. On jednak najczęściej przerzucał na nią ciężar konwersacji, więc Lisa paplała w ogarniającym ją zdenerwowaniu i poczuciu wyobcowania. Nie mogła przecież konkurować z osobami snującymi opowieści o wyprawach do Monte Carlo czy doliny Asawan. Nie zrobiła też olśniewającej kariery zawodowej. Rozmawianie o strojach było w porządku, kiedy prowadziła butik. Teraz, gdy nie będąc już w branży,

wciąż rozpaczliwie o nich mówiła, bała się czasem, że staje się niestrawna. Oto doktorostwo Saperstein - para miejscowych nudziarzy.

134

Ale jak to możliwe? Stroje grają przecież taką ważną rolę w życiu każdej kobiety Są, w przeciwieństwie do ubrań mężczyzn, kamieniami milowymi znaczącymi bieg życia. Właścicielki nigdy ich nie zapominają. Każda dziewczyna pamięta dokładnie sukienkę ze studniówki i bez względu na to, czy wieczór był udany czy nie, choćby nie posiadała setek fotografii dokumentujących to wydarzenie umie powiedzieć co miała na sobie. Podobnie jak każda kobieta potrafi w najdrobniejszych szczegółach odmalować swą suknię ślubną. Mężczyźni, rzecz jasna nie są w stanie opisać swych, zazwyczaj wynajętych, smokingów i w ogóle nie mają takiej potrzeby. Czy można sobie jednak wyobrazić kobietę wynajmującą sukienkę na studniówkę, albo suknię ślubną? Lisa wiedziała, że katoliczki pamiętają nawet swe sukienki do Pierwszej Komunii. Tiff także zapamięta na całe życie w co była ubrana podczas *bat micwah*. Stroje są ważne. Z tego właśnie powodu Lisa tak bardzo szanowała swą siostrę, nawet jeśli me zawsze akceptowała jej projekty. Karen jej zdaniem, robiła coś bardzo ważnego. Projektowała ubrania i jakimś magicznym sposobem zarabiała na tym pieniądze. W obydwu tych dziedzinach ona sama odniosła porażkę. Nic dziwnego, że Karen me miała czasu by do niej zadzwonić. Lisa rozumiała, że życie siostry jest bardziej wypełnione zajęciami i lepsze niż jej własne. Pochłania ją udzielanie wywiadów i stawanie się jeszcze bardziej bogatą i sławną.

Obecnie centralnym punktem w życiu Lisy stały się pieniądze, ten temat przewijał się niczym osnowa przez tkaninę codziennego bytowania. Mówiąc ściślej nie tyle pieniądze, co ich brak. Na początku małżeństwa Leonard płacił po prostu rachunki i dawał żonie tyle gotówki, ile potrzebowała. Od czasu tej liberalnej polityki minęły jednak lata. Lisa westchnęła. Miała bolesną świadomość faktu, że nie doceniała dobrych czasów wtedy, gdy one trwały. Uważała po prostu, że zawsze znajdą się pieniądze na stroje, obiadki, manikiurzystkę, fryzjera i wszystko czego ona, czyjej córki będą kiedykolwiek potrzebowały. Poczula się zdezorientowana kiedy okazało się, że to co uważała za konieczne potrzeby, w rzeczywistości było luksusem, bez którego można się obejść. Choć me lubiła analizować swego postępowania, na swój sposób żałowała, że nie umiała cieszyć się tym wszystkim, co kiedyś miała i utraciła. • „„ T Teraz stałą śpiewką Leonarda stała się konieczność „zrobienia cię . lo medyczne sformułownie brzmiało w jego ustach jak polecenie chirurga, a Lisa czuła, że jest to rodzaj amputacji, bo bez codziennych zakupów, zjedzenia lunchu pracy" dobroczynnej i zabiegów kosmetycznych będzie miała za dużo wol-neg'o" czasu. Myślała, nie robiąc nic w tym kierunku, o znalezieniu zajęcia w domu towarowym Saksa; może w butiku jakiegoś znanego projektanta. Kieszonkowe jednak i zniżka na ubrania to za mało, by zrekompensować ciarki chodzące po plecach na myśl o

obsługiwaniu jakiejś znajomej. Lisa nigdy nie chciała pracować i nawet teraz pomyśl by chodzić do biura, dostać się pod twardą rękę jakiegoś trudnego szefa, który wymaga wykonywania nudnych, rutynowych zajęć, wydawał się koszmar. Na horyzoncie wisiała jednak jeszcze czarniejsza chmura. Już dwa razy Leonard sugerował żonie, by zajęła się prowadzeniem jego biura -nalegał na to w swych nie kończących się monologach na temat cięć w budżecie.

179

Mógłby wtedy zaoszczędzić pensję, którą płacił pani Beck. Jednak przebywanie cały dzień z Leonardem, ograniczenie się do grania banalnej roli żony, pomagającej w prowadzeniu praktyki swemu mężowi, lekarzowi z przedmieścia, to za dużo jak na jej wytrzymałość. Na samą myśl o tym Lisa dostawała ataku klaustrofobii, jakby chciano pogrzebać ją żywcem. Tupnęła więc nogą obutą w pantofle od Joan i Davida.

Na nieszczęście, Leonard nie pozostał jej dłużny. Nie może zmusić żony, by zajęła miejsce pani Beck, ale na *bar micwah* zabraknie ostentacyjnych luksusów, na jakie się nastawiała. Postawił ją przed wyborem - albo będzie z nim pracować i wtedy wydadzą więcej na przygotowanie uroczystości, albo nie zdecyduje się na to i wydadzą dużo mniej. Lisa zaangażowała więc całe swe twórcze możliwości, by uzyskać maksimum z tego co miała, zachowując pełną pustki wolność.

Czasem zastanawiała się, dlaczego wszystko w jej życiu potoczyło się nie tak, podczas gdy Karen odnosiła sukcesy. Znajdowała jednak usprawiedliwienie, że to siostra zawsze była tą zdolną. Jej osiągnięcia wcale Lisy nie zaskoczyły. Wydawało się tylko, że Karen wszystko zawsze łatwo przychodziło.

Tak naprawdę zdziwiło ją małżeństwo siostry. Ostatecznie to ona, Lisa, była ładniejsza, a Karen pewnie nie jest łatwa w codziennym życiu. Jakim cudem zdołała przyciągnąć do siebie tak przystojnego, czarującego i podniecającego męż-czyznejak Jeffrey, było prawdziwą zagadką. Przypominając sobie jednak ich rozstawanie się i schodzenie, to jak Jeffrey trzymał Karen na dystans aż do przełomu w jej karierze, Lisa nie mogła oprzeć się wrażeniu, że zainteresował się jej siostrą na serio dopiero, gdy wyrobiła sobie nazwisko.

Zastanawiała się bezmyślnie, czy kiedykolwiek ją zdradzał, ale nie wyglądało na to, chyba że był bardzo ostrożny. Karen powiedziałaby jej, gdyby coś podejrzewała, a nigdy tego nie zrobiła. Ostatecznie, nawet jeśli ostatnio nie rozmawiały zbyt wiele, ciągle były najlepszymi przyjaciółkami, czyż nie? Dlaczego jednak, zapytywała się w duchu, to jej siostra zawsze wszystko dostaje? Czy adoptowane dziecko nie powinno mieć większych problemów niż naturalne? Karen udało się jednak złapać cudownego męża i zrobić karierę, a Lisa brzydła i jej życie było coraz gorsze.

Ostatnimi czasy, każdego ranka biegła niecierpliwie do skrzynki pocztowej, by przeglądać nadesłane odpowiedzi. Miała listę osób uporządkowanych według haseł: „Wysoce pożądanym”, „Druga kategoria”, „Rodzina”, „Zobowiązania”. Często oczywiście pokrywały się ze sobą, np. Karen należała i do „Wysoce pożądanym” i do „Rodziny”. Lisa miała jednak nadzieję, że przy zachowaniu właściwych proporcji i odpowiedniej organizacji przyjęcia, dostanie jeszcze jedną szansę zabłyśnięcia wśród elity towarzyskiej Pięciu Miast. Żyła tą nadzieją.

Dziś jednak poczta przyniosła rozczarowanie. Przyszła odmowa od Marian Lasker i jej męża, przedsiębiorcy budowlanego, a wraz z nią potwierdzenie od Morty'ego, kuzyna Leonarda oraz od pacjenta, hydraulika z chroniczną egzemą, którego mąż uparł się wpisać na listę. Przyjdzie on i cała jego łuszcząca się rodzina. Do licha, to znaczy, że cztery miejsca wypadają z gry. Lisa z obrzydzeniem

181

rzuciła listy na stół i poszła się ubierać. Najpierw wstąpiła jednak do łazienki, by stanąć na „Panu Wadze”. Od lat nie pozwalala sobie przytyć więcej niż o półtora kilograma. Osiągała to dzięki dyscyplinie i stałej czujności. Stawanie na „Panu Wadze” było teraz jedyną chwilą w ciągu dnia, kiedy czuła, że wciąż panuje nad sobą, coś osiągnęła i ma powody do dumy. Nauczyła dziewczynki, tak jak mycia zębów, codziennego ważenia się i przez całe lata wszystkie trzy rozmawiały z „Panem Wagą”. Nawet teraz wchodząc do łazienki, Lisa odprawiała ten rytuał. - Czy „Pan Waga” będzie dla mnie miły? - zapytała dziecięcym głosem. - Byłam bardzo grzeczna, nie licząc sojowego sosu wczoraj wieczorem. I me zjadłam go dużo. .

Bawiła się w ten sposób ze Stephanie i Tiff, dopóki młodsza córka nie zirytowała się i nie odmówiła dalszej zabawy. Cóż, Tiff od pewnego czasu na ogół była wściekła i na spółkę z siostrą, zatruwały Lisie życie. Oczywiście zazdrościła Stephanie i matka była w stanie to zrozumieć. Stephanie to chodząca doskonałość. Z pewnością niełatwo mieć siostrę, z którą nie jest się w stanie rywalizować. Chwała Bogu, że Karen nie była równie piękna jak zdolna, pomyślała Lisa i natychmiast poczuła się winna. Teraz pewnie „Pan Waga” ukarze ją, za złe myśli, otyłością. Cóż, dostrzegała, na czym polega problem jej młodszej córki, ale nie mogła jednak zrozumieć, dlaczego Tiff choćby nie próbuje sobie z tym radzić. Karen w dużej mierze sama wypracowała swój wygląd. Tiff prezentowałaby się dużo lepiej gdyby tylko przeszła na dietę i pozwoliła matce sobie pomóc.

Lisa stanęła na wadze i aż jęknęła, gdy zobaczyła, że przybył jej prawie kilogram. Wiedziała, że w wieku trzydziestu siedmiu lat utrzymanie figury to sprawa krytyczna. Z przerażeniem patrzyła, co dzieje się z kobietami po przekroczeniu czterdziestki i postanowiła za wszelką cenę zachować płaski brzuch i szczupłą talię. To ten przeklęty sos sojowy! Utyła, bo od soli ma teraz za dużo wody w organizmie. Cóż, na lunch i na obiad zje owoce, a jutro na siłowni wykona dodatkowe ćwiczenia. Przejrzała się w lustrze zajmującym całą ścianę łazienki. Czy nie wystaje jej brzuch? Przygnębiona, poszła do garderoby by wyszukać coś, co nie przylega do ciała. Zadzwoił telefon. Pomyślała, że może to w końcu Karen i zadowolona poszła go odebrać. Kiedy jednak podniosła słuchawkę, przywitał ją obcy głos.

- Pani Saperstein?

- Tak?

- Dzwonię w sprawie czasopisma „Dom i ogród” - ciągnął bez chwili przerwy - Była pani naszą subskrybentką i zastanawiamy się... - Do diabła! To któryś z tych irytujących, przeszkadzających i niosących rozczarowanie telefonicznych sprzedawców. Jednym z chybotliwych oszczędnościowych posunięć Leonarda było wycofanie subskrypcji wszystkich magazynów żony. Teraz kupowała je po prostu za jego plecami w kioskach, płacąc wyższą cenę. Lisa me miała jednak zamiaru okazywać rozdrażnienia wobec sprzedawcy.

- Jak to miło, że pan dzwoni - powiedziała słodko. - Nie wyobraża pan sobie, jak bardzo jestem tym pismem zainteresowana. Nie wiem jak to się stało,

137

że zaniedbałam tę sprawę, ale byliśmy tacy zajęci - czuła, jak w jej rozmówcy wzrasta nadzieja.

- Chciałbym w takim razie...

- Zanim przejdziemy do rzeczy, czy nie zechciałby pan zaczekać minutkę? Bardzo mnie to ciekawi, ale mam coś pilnego do zrobienia - nie czekając na odpowiedź, odłożyła słuchawkę. Wróciła do garderoby i powoli zaczęła przerzucać ubrania. Co najlepiej ukryje brzuch? Zanuciła *Pretty woman*. Wrócił jej dobry nastrój i tylko przez chwilę zastanawiała się, jak długo ten idiota będzie na nią czekał. Cóż, ona go przeliczytuje. Zresztą nie spodziewa się żadnych ważnych telefonów.

Po kilku minutach zdecydowała się na jedwabne spodnie w kolorze cynamonu od Perry Ellisa i koszulę od Michaela Korsy, którą podarowała jej Karen. Przeszukała dno garderoby w poszukiwaniu kupionych na początku sezonu, u Charlesa Jordana, czarnych sandałów na platformie. Potem, w ramach przerwy, poszła do telefonu, by sprawdzić czy biedny frajer ciągle jeszcze tam tkwi. Nie było słyhać sygnału, nie panowała też głucha cisza, odłożyła więc delikatnie słuchawkę. Udała się do łazienki i odkręciła prysznic. Schowała włosy pod plastikowym kapturkiem, a po obcięciu paznokci jeszcze raz sprawdziła telefon. Tym razem słyhać było sygnał, więc Lisa odwiesiła słuchawkę i włączyła automatyczną sekretarkę by, jeśli ten dureń zdecyduje się ponownie zadzwonić, uniknąć z nim rozmowy. Dopiero kiedy skończyła brać prysznic, zakręciła wodę i wyszła z kabiny, usłyszała sygnał sekretarki i czyjś głos.

- Halo? Lisa, jesteś tam?

Brzmiał jak głos jej szwagra Jeffreya, dlaczego jednak miałby on do niej dzwonić? Nigdy tego nie robił. Mokra, ociekająca wodą, pognąła do telefonu i chwyciła za słuchawkę.

- To ty Jeffrey? - zapytała.

- Lisa. Jednak jesteś. Świetnie. Chciałem z tobą porozmawiać - urwał. Lisa czekała, ale milczenie przeciągało się.

- Słucham cię - powiedziała. - Co słyhać?

- Cóż, to i owo. Dzwonię trochę w interesach, a trochę z powodów rodzinnych. Muszę przyznać, że nieco się martwię o twoją siostrę.

- Naprawdę?

Do diabła, on rzeczywiście musi się niepokoić, skoro do mnie dzwoni, pomyślała Lisa. Nie dlatego żeby się nie lubili. Po prostu zawsze czuła, że Jeffrey i cała jego rodzina ją lekceważą. Choć Kahnowie pochodzili z Westchester, było to zachowanie typowe dla mieszkańców Lawrence.

- O co chodzi? - zapytała.

- To nie rozmowa na telefon. Pomyślałem... - znowu urwał, a Lisa czekała aż się odezwie. - Wiem, że to nie jest błaha prośba, ale czy nie znalazłabyś czasu, by zjeść ze mną lunch. Naprawdę chciałbym z tobą porozmawiać.

Lisa, mile zaskoczona, uśmiechnęła się, co można było wyczuć w jej głosie.

- Jasne - powiedziała. - Muszę tylko wykonać parę telefonów.

184

Ha! Tak jakby istniała długa lista osób pragnących zjeść z nią lunch.

- Świetnie - rzucił Jeffrey. - Spotkajmy się w „St. Regis” o pierwszej. Zdasz dojechać? Wiesz, gdzie to jest? Róg Piątej Alei i Pięćdziesiątej Piątej Ulicy.

- Pewnie - odparła z ożywieniem, myśląc, że będzie musiała zrezygnować ze spodni Perry Ellisa i wyszukać coś bardziej wytwornego i odpowiedniego do „St. Regis”. Szkoda, że nie znalazła jeszcze wiśniowych pantofli pasujących do garnituru od Donny Karan. Byłby idealny. - Jesteśmy umówieni - wyszeptała.

- Och, Lisa, zrób dla mnie coś jeszcze.

- Jasne.

- Nie mów nic Karen, dobrze? Dla jej własnego dobra.

- Jasne - powtórzyła gładko Lisa i delikatnie odłożyła słuchawkę. Czowała w środku przyjemne podniecenie.

Pomyślała, że w końcu znalazło się miejsce warte, by się do niego ubrać.

W czasie gdy jej matka przygotowywała się na spotkanie z wujem Jeffreyem, Tiff Saperstein, która urwała się z popołudniowych lekcji, znajdowała się w centrum handlowym Roosevelt Field. Nie należała do najlepszych, było jednak na tyle duże i odległe od domu, by dziewczynka mogła czuć się w nim bezpiecznie.

Wędrownica po centrum stanowiła jedną z niewielu chwil, kiedy opłacało się być dużą i grubą. Wiedziała, że choć za parę tygodni skończy trzynaście lat, przez wzrost i tuszę wydaje się znacznie starsza. Nie starsza i ładna czy wyrafinowana jak Stephanie, ale na tyle duża, by nikt nie zatrzymywał jej i nie pytał, dlaczego nie jest w szkole, albo co tu robi bez rodziców. Dzieciom nie wolno samych chodzić po sklepach. Tiff nie wyglądała jak zwykle dziecko.

Nie była słodka i rozkoszna ani chudziutka, nie nosiła szortów i krótkiej koszulki. Miała na sobie za dużą męską koszulę, biały t-shirt, workowate spodnie i sportowe buty. Wiedziała, że nikt nie zwróci na nią uwagi i choć, na ogół, irytowało ją to, musiała przyznać, że w miejscach takich jak centrum bywa to bardzo na rękę.

Miała przy sobie dwadzieścia siedem pozostałych z tygodniówki dolarów i dodatkowo banknot dziesięciodolarowy, który rano wyjęła ojcu z portfela. Tiff wiedziała, że jeśli nawet zauważy brak pieniędzy, będzie winił za to jej matkę. Nigdy nie myślał o swojej młodszej córce. Tak jak i inni.

Dziewczynka uniosła rękę ku szyi i przez flanelową koszulę dotknęła sznurka pereł, który dostała od ciotki. Cóż, trzeba przyznać, że ciotka Karen naprawdę o niej myśli, choć z drugiej strony dała pracę tej żmii, Stephanie. Tiff nie chodziło o to, że jej siostra pracuje. Steph była naprawdę głupia, a ten jej program łączenia pracy z nauką niewiele różnił się od zawodówki. Przeszkadzało jej jednak, że to ona będzie teraz codziennie spędzać czas z ciotką Karen. Opuściła dłoń i po wykładanej płytkami podłodze ruszyła do sklepu „Ciastka Pani Field”. Tam wydała pięć dolarów na łakocie z orzechami i białą czekoladą. Dopiero potem skierowała się do butików.

Tiff nie znosiła zwykłych sklepów z ubraniami na co dzień. - The Limited, Bennettona, Ann Taylor. Nie miały nic, na czym warto by zaczepić oko. Nie lubiła

także średniej klasy magazynów. Wiedziała, co się jej podoba i nie były to bynajmniej metki kolekcji domu towarowego Macy'ego. Z ciepłym ciastkiem w buzi i pozostałymi rozpluwającymi się w torebce, ruszyła więc do Saksa, do butików projektantów. Wiedziała co lubi i gdzie tego szukać, a gdy już się kradnie w sklepach, po co zadowalać się drugiej jakości.

Niemal w tym samym czasie, gdy Tiff zajęta była pożeraniem ciasteczek pani Field, Stephanie znajdowała się w niewielkim białym pokoju, gdzie pracownicy JKInc mogli zjeść lunch lub wypić kawę i wpatrywała się w Tangelę, siedzącą dwa stoliki dalej. Tangela rozmawiała właśnie ze swoją matką, a raczej to tamta do niej mówiła. Defina nie podnosiła głosu, ale Stephanie wszędzie rozpoznałaby ten ton rozgniewanej matki.

- Znowu przekłułaś sobie uszy? - zapytała. Tangela odparła coś, czego Stephanie nie dosłyszała, a potem poprosiła o pożyczkę.

- Na co ci pieniądze?

- Na torebkę od Hermesa - głos córki był znudzony.

- Tangela - zniecierpliwiła się Defina. - H w słowie Hermes jest nieme. Wymawia się Hermez.

- Dlaczego?

- Bo to po francusku.

- Nie jesteśmy Francuzkami.

- Taka wymowa jest nieelegancka.

- Ci biali - Tangela wzruszyła ramionami.

Karen, która właśnie weszła, usłyszała ostatnie słowa dziewczyny i roześmiała się.

- Tak naprawdę jest znacznie gorzej - powiedziała. - Opuszczanie „h” we francuskim brzmi wytwornie, ale w angielskim pretensjonalnie. Zastanów się nad tym.

Wyszła z filiżanką kawy, a choć Stephanie nie dosłyszała, jaka była odpowiedź Definy, zobaczyła że Tangela wzrusza ramionami. Jej matka podniosła głos.

- Myślisz pewnie, że stać cię na coś lepszego niż bycie modelką w pracowni? Skoro tak, to nie zapisuj się na spotkania. Jeśli już tu przychodzisz, chcę żebyś pracowała, tak jak inne dziewczęta - Tangela znów wzruszyła ramionami, a Defina pokręciła tylko głową i szybkim krokiem wyszła z pokoju.

Stephie myślała o sobie, że jest ładna i szczupła, było to jednak przed poznaniem Tangeli. Teraz wyrobiła sobie zupełnie nowe pojęcie na temat urody i szczupłości. Córka Definy miała skórę jasnobrązową niczym kawowe lody ze śmietanką, a jej nos kształt bardziej szlachetny niż nos Stephanie. Dziewczyna patrzyła ukradkiem, jak Tangela

czyta pismo o modzie, a jej piękne nozdrza drgają z pogardą czy też obrzydzeniem. Modelka tak naprawdę, nigdy nie rozmawiała z nią w pracy czy na śniadaniu u ciotki, nie robiła też wrażeń, że chciałyby się zaprzyjaźnić. Nie ignorowałyby jej tak, gdyby Stephanie była ładniejsza i szczuplejsza. Myśli pewnie, że jestem uczennicą, głupim dzieckiem, pomyślała. Idiotką, której ciotka oddaje przysługę, pozwalając bawić się w modelkę. Tangela nie zwracała uwagi, gdy Stephanie wchodziła do pokoju i najwyraźniej nie miała jej

187

nic do powiedzenia, kiedy razem pracowały. Jednak, mimo to młodsza dziewczyna była nią zafascynowana. Zebrawszy się więc na odwagę, wzięła swą kanapkę z pastą jajeczną oraz puszkę dietetycznej pepsi i przeszła do stolika, przy którym samotnie siedziała córka Definy.

- Chcesz pół kanapki? - zaproponowała z całą odwagą na jaką było ją stać. Nozdrza Tangeli znowu zadrżały, a ona sama spojrzała na Stephie jak na robaka.

- Czemu nie spytasz, czy chcę mieć zwiotczałe uda? - zapytała drwiąco.

- To phleb dietetyczny - wyjaśniła pośpiesznie dziewczyna. Ostatecznie uważała na wagę i była na diecie, odkąd skończyła dziewięć lat. - Majonez jest bez tłuszczu - dodała.

- To chyba jedyna pozbawiona tłuszczu rzecz jaką masz - odparła Tangela. Odczekała chwilę, aż jej słowa wywołają zamierzony efekt. - Posłuchaj . To, że jesteś siostrzenicą Karen nie oznacza, że muszę się z tobą kolegować. Nie jesteś modelką. Jesteś tylko bogatym dzieciakiem z przedmieścia, który się w nią bawi. Baw się sama; z tymi słowami wstała, zabrała swą wielką czarną torbę i wyszła z pokoju.

Stephanie przez chwilę siedziała osłupiała. Nikt jej tak nie upokorzył od czasu, gdy Jennifer Barton była dla niej niegrzeczna w trzeciej klasie szkoły podstawowej w Inwood. Mrugając powstrzymywała łzy i rozglądała się wokół, by sprawdzić czy nikt nie był świadkiem jej klęski. Inne kobiety, głównie krawcowe z wzorcowni, były jednak pochłonięte rozmową. Stephanie zwiesiła głowę. Kanapka z pastą jajeczną leżała przed nią niczym wyrok. Jej zapach nagle przyprawił ją o mdłości. Wstała, owinęła chleb w serwetkę, na której leżał i wyrzuciła wszystko do kosza. Zrezygnuje z lunchu. A może także z obiadu. Prawdę powiedziawszy, czuła, że nigdy już nie będzie mogła wziąć czegokolwiek do ust.

Lisa, tak jak jej córka, prawie nic nie zjadła na lunch. To takie podniecające - elegancki strój, towarzystwo bajecznie przystojnego mężczyzny, jedna z naj-wytworniejszych restauracji na Manhattanie.

Do ulubionych zajęć Lisy należało coś, co w myślach nazywała Grą. Atrakcyjna, a pod kierunkiem Belli zawsze starannie ubrana, z biegiem czasu coraz bardziej interesowała się, jak oceniają ją inni ludzie. Już w szkole średniej i

podczas jednego roku, który spędziła na uniwersytecie koncentrowała się na wywoływaniu wrażenia na młodych ludziach. Jednak w ciągu ostatnich piętnastu lat to pragnienie przygasło. Teraz, jak większość kobiet, Lisa ubierała się dla przedstawicielek tej samej płci.

Oczywiście, nie chodziło jej o jakieś tam kobiety. Nie dbała co na temat jej garderoby sądzi pomoc domowa. Szczerze mówiąc, nie obchodziła ją opinia kogokolwiek z Inwood. Grała o dużo wyższą stawkę. Ubierając się, chciała zrobić wrażenie na możliwie najszykowniejszych i najmodniej ubranych damach.

Problem polegał na tym, że w jej okolicach nie było takich zbyt wiele. Lisa spędzała więc wiele czasu na strojeniu się, dobieraniu dodatków i chodzeniu w miejsca, gdzie zbierało się modne towarzystwo z Long Island. Były to określone

domy towarowe i kilka restauracji, w których jadały panie na zakupach. Lisa odwiedzała też regularnie jedno z elegantszych centrów handlowych. Kłopot w tym, że spotykane tam, zajęte sprawunkami kobiety, rzadko zwracały uwagę na kogoś innego. Zaś te, które jadły lunch, mogły lustrować strój obcej osoby i czuły się lepsze, widząc, że sama siedzi przy stoliku. Ale Lisie głównie chodziło o zazdrość. Znała te taksujące spojrzenia, często rzucane spod oka lub ukryte za ogromnymi ciemnymi okularami, ponieważ, jeśli jest się naprawdę dobrze ubranym, inna elegancka kobieta nie może odmówić sobie choć zerknięcia. Gra Lisy polegała na wywoływaniu tych spojrzeń i łapaniu rzucających je kobiet na gorącym uczynku. Kiedy jej się to udawało, mogła obdarzyć przegraną szybkim, pełnym wyższości uśmiechem. W świecie Lisy, osobę jedzącą lunch charakteryzowało nie to, co je, ale to co ma na sobie. Stała się naprawdę doświadczonej graczem. Umiała ubrać się nie tylko według najświeższej mody, ale i uzupełnić ją czymś zupełnie nowym. Dobierała jakiś dodatek, niezwykle pasek, stary szal lub broszkę, której nie można było podrobić. Kiedyś, w herbaciarni na trzecim piętrze magazynu Bendela na Manhattanie, jakaś kobieta przez cały lunch wpatrywała się w jej torebkę. W końcu, nie mogąc się powstrzymać, podeszła do Lisy i zapytała gdzie ją kupiła.

- Zrobiono ją na zamówienie we Włoszech - skłamała bez mrugnięcia okiem. Nie zdobyła jednak punktu w Grze, gdyż odzywając się do niej i przekraczając niewidzialną granicę, kobieta okazała się niegodną przeciwniczką. Brakowało jej opanowania i klasy, a pobicie takiej rywalki nie dawało Lisie żadnej satysfakcji.

Prawdziwym polem Gry był Manhattan. Tam nie spotykało się łatwych pfiar. Ale dzisiaj Lisa wreszcie miała właściwe karty. W hallu „St. Regis” obejrzało się za nią dwóch biznesmenów. Dobry znak, ale tak naprawdę nie o to chodziło. Weszła do restauracji, a kierownik sali obrzucił ją pełnym aprobaty spojrzeniem, które dało jej niezbędny łut pewności siebie. Przeszła przez przepięknie urządzonej salę do narożnego stolika, od którego na powitanie podniósł się Jeffrey. Był idealnym dodatkiem, ostatnim dotknięciem, jakiego potrzebowała, by sprawić wrażenie kogoś wiodącego cudowne życie. Dwie kobiety jedzące razem lunch bardzo starały się na nią nie patrzeć. Nie udało im się to. Lisa czuła się jak drapieżnik po udanym polowaniu.

Przywitała się z Jeffreyem, zamówili coś do picia, a potem nie wiedziała co ma powiedzieć. Wiedziała jednak, że pragnie, by ta chwila trwała jak najdłużej. Ciekawe, co teraz robi Karen?

- Czy spotkałeś się już z Elle Halle? - zapytała lekko podnosząc głos w nadziei, że usłyszą ją tamte kobiety.

- Czyją spotkałem? Mam wrażenie, że się do nas wprowadziła! Musiałem z nią siedzieć godzinami - poskarżył się.

Lisa była zbyt podniecona, by jeść lub choćby uważać podczas rozmowy. Jeffrey wspomniał o Stephanie i jej praktyce, a potem przez długi czas opowiadał o interesach. Nigdy nie mogła zrozumieć, po co mężczyźni to robią. Leonard naj-nudniejszy był wtedy, gdy mówił o swojej pracy. Jeffreyowi jednak przytakiwała

190

z uśmiechem, usiłując odpowiadać z ożywieniem, tak by każdy mógł widzieć, że wspaniale się bawi. Kiedy więc jej towarzysz pochylił się i ujął ją za rękę, była zaskoczona, wręcz zaszokowana. Tak jak jej matka, miała problemy z kontaktem fizycznym. Przez chwilę zastanawiała się, czy on nie próbuje jej uwieść. Sama myśl o tym była potworna. Z ulgą zauważyła, że na twarzy Jeffrey a nie maluje się pożądanie, lecz troska. Wyglądało jednak na to, że czegoś od niej oczekuje. Ponownie skoncentrowała uwagę na rozmowie.

- Rozumiesz, dlaczego tak się niepokoję - mówił Jeffrey. - Po prostu nie wiem, jak długo jeszcze będę w stanie utrzymać się w grze.

Lisa zamrużyła oczami. Kiedy on zdążył przerzucić się z interesów na sport?

- A Karen nawet nie wie, jaka jest wyczerpana. Czasem czuję lęk, że zapracuje się na śmierć.

Lisa pokiwała głową, starając się przybrać minę pełną zrozumienia.

- Wiesz, jakiś czas temu powiedziała mi coś bardzo dziwnego. Oświadczyła, że chce odnaleźć swoją prawdziwą matkę. To nie jest normalne, prawda? Ni stąd, ni zowąd taki pomysł. Wszystko z tego stresu.

Jeffreyowi udało się wreszcie skupić uwagę Lisy.

- Co chce zrobić? - zapytała. Przez wszystkie lata wspólnego dzieciństwa, spędzanego razem czasu, żadna z sióstr nie wspominała nigdy, że Karen została adoptowana. Nikt w rodzinie tego nie robił. Jakoś nie wydawało się to miłe.

- Dokładnie to, co powiedziałem. Ale to jeszcze nie jest najgorsze. Zaczęła także mówić o adoptowaniu dziecka. Możesz to sobie wyobrazić?

- Więc rezygnujecie ze starania się o własne dziecko? - Lisa otworzyła szeroko oczy.

Jeffrey urwał, zakłopotany.

- Nie mówiła ci? - zapytał.

- O czym?

Jeszcze dłuższa chwila milczenia.

- Skończyła badania u doktora Goldmana. Wynik negatywny. To ostateczna diagnoza. Karen nie może mieć dzieci. Wykluczone. Myślę, że o to głównie w tym wszystkim chodzi. Słowo daję, Liso, ona nie postępuje racjonalnie.

Dlatego chciałem, żebyś z nią porozmawiała. Może ciebie posłucha.

Lisa była zbyt oszołomiona, by ucieszyć się z komplementu. Siostra nawet nie wspomniała jej o wynikach doktora Goldmana. Nie mogła w to uwierzyć. Może Karen rzeczywiście była ostatnio zajęta, ale zawsze przecież zwierzały się sobie. Zraniona i urażona, starała się nie okazać zdziwienia. Dlaczego Jeffrey uważa, że Karen jej posłucha, pomyślała z goryczą. Najwyraźniej nie uważała siostry za dość ważną, by przekazać jej tę wiadomość.

- Tak czy inaczej, wiem że twój udział w firmie nie jest zbyt pokaźny, ale gdyby udało nam się dostać ofertę na dwadzieścia pięć milionów, to po sprzedaży JHKInc i zapłaceniu podatków przypadłoby na ciebie około pół miliona dolarów.

Co takiego? - Jezu Chryste! Czy on powiedział, że dostałaby pół miliona dolarów?

143

O czym on mówi? Coś o jakiejś ofercie. O przekształceniu udziałów. Powinna była słuchać uważnie. Pół miliona dolarów? Mogłaby kupić dom w Lawrence. Może, z takimi pieniędzmi, mogłaby nawet przekonać Leonarda, by przenieśli się na Manhattan. Całe jej życie się zmieni! Czego oczekuje od niej Jeffrey? - Jak dostać te pieniądze? - zapytała.

- Karen zgodziła się sprzedać firmę NormCo, o ile złożą nam przyzwoitą ofertę. Nie powinienem ci o tym mówić, wszystko jest ściśle tajne i tak dalej, ale Karen na pewno sama już to zrobiła. - Lisa przytaknęła, choć siostra nie powiedziała jej ani słowa. - Chodzi mi tylko o to, że musisz znaleźć jakiś sposób, aby przemówić jej do rozsądku. Ta sprzedaż naprawdę leży w jej interesie. Jeśli nie dojdzie do skutku, możemy stracić firmę. Boję się też, że po tej gafie jaką Robert strzelił na śniadaniu, Arnold może starać się wpłynąć na decyzję twojej siostry.

- Arnold? - Lisa odrzuciła to przypuszczenie, ze wzruszeniem ramion typowym dla jej matki. - Czy powiesz o tym Belli? Wiesz, moim rodzicom też przydałyby się pieniądze.

- Jeszcze nie teraz - Jeffrey pokręcił głową. - Znasz Arnolda. Od razu wywlecze tysiąc powodów dla których NormCo nie jest firmą politycznie poprawną. Jeśli choć jeden raz kupili poliester wyprodukowanej przez robotników nie należących do związków, powie, że to faszyci i łamistrajki. A nie tego Karen teraz potrzebuje.

Lisa zatrzepotała powiekami. Zastanawiała się, czy tak właśnie wygląda wymiana tajnych informacji. Karen nie powiedziała jej ani o bezpłodności, ani o otrzymaniu oferty. Czy powinnajeszcze uważać się za kogoś wtajemniczonego w jej życie? Pół miliona dolarów! Lisa zadawała sobie pytanie: ile jej siostra zarobi na tym interesie.?

Cały układ wydał jej się bardzo niesprawiedliwy. Karen miała wszystko: męża nie tylko przystojnego ale i troszczącego się o nią, piękne mieszkanie i nowy dom. A teraz będzie także bogatsza o całe miliony dolarów. Lisa powtarzała sobie, że kocha siostrę, ale i tak wiedziała, że coś jest nie w porządku. Karen wszystko przychodziło tak łatwo, a nie potrafiła nawet docenić tego co ma.

Jeffrey wyciągnął ramię przez stolik i znów ujął ją za rękę. Tym razem Lisa była na to przygotowana.

- Pomożesz mi? - zapytał.

Skinęła głową i delikatnie odwzajemniła uścisk dłoni.

Rozdział 13

Przyjaciółki

Elle Halle Show" nadawany był wieczorem i kolidował Jeffreyowi z pokerem, w którego grał z Perrym, Jordanem i Samem. Te spotkania - odbywające się nieprzerwanie od studiów podyplomowych - były dla nich czymś w rodzaju religii. Kiedy jednak Jeffrey zapytał Karen, czy nie ma nic przeciwko temu, by nagrał program i później go z nią obejrzał, była wstrząśnięta.

- Nie ma sprawy. Będziesz tylko musiał się nauczyć programowania wideo - zażartowała, by ukryć zranione uczucia. Przypuszczała, że to niemądre, przejmować się sprawą towarzystwa podczas projekcji programu, założyła jednak, iż obejrzą go razem. Cóż, otrzymała wiele zaproszeń i doszła do wniosku, że najlepsze jest od Definy.

Wysłała więc z biura o wpół do siódmej i wynajętą limuzyną pojechała na Strivers's Row, ulicę w eleganckiej części Harlemu, oazę pełną zamożnych kamienic i drzew. Mieszkali tu czarni lekarze, maklerzy, pastorzy i przedsiębiorcy budowlani. Defina kupiła swój dom z pensji otrzymywanych jako początkująca modelka i od tego czasu zainwestowała mnóstwo pieniędzy, by uczynić go tym czym był. Wjeżdżając na tę ładną ulicę aż trudno było uwierzyć, że jest się właśnie w samym środku dzielnicy o tak złej sławie, jak Hartem. Nie zapomniał o tym jednak zdenerwowany kierowca.

Długo pani tam zostanie? - zapytał. - Może lepiej wróć do śródmieścia. Pani do mnie zadzwoni i będę z powrotem w parę minut - obiecał. Karen rozzłościła się. Pomyślała o wszystkich przypadkach, kiedy Defina miała problemy choćby ze znalezieniem taksówki, która zawiozłaby ją do domu. Czemu życie jest takie niesprawiedliwe i skomplikowane? Z drugiej strony rozumiała, że limuzyna jest dla kierowcy jedynym środkiem zarabiania na życie. Czy można winić go za to, że się niepokoi?

- Niech pan zaczeka - powiedziała. - Tu jest bezpiecznie. W tej okolicy Spike Lee filmował „Jungle Fever”.

10 - Spóźniona

Jej zapewnienie najwyraźniej nie uspokoiło szofera, nie miał jednak wyboru. Może zresztą czegoś się nauczy. Gdyby rodzina Huxtable'ów mieszkała na Manhattanie, byłaby to właśnie Striver's Row.

Defina otworzyła drzwi jeszcze zanim Karen zdołała wdrapać się po schodach. Ubrana była w szerokie spodnie ze skrojoną jak kimono górą, projekt przyjaciółki sprzed wielu lat.

- Trudno uwierzyć, że jeszcze to masz - wykrzyknęła Karen, oglądając ją ze wszystkich stron.

- Trudno uwierzyć, że ciągle się w to mieszczę - odpowiedziała Defina. - Musiałam tylko wciągnąć nową gumkę w tali. Jakoś wchodzę, ale nie miałabyś ochoty oglądać mojego tyłka nie osłoniętego przez zakiet.

- W ogóle nie mam na to ochoty - odpowiedziała Karen i weszła do hallu. Dom zaprojektowano jako typową kamienicę, tylko dużo sympatyczniej. Po

jednej stronie budynku znajdował się hall, z którego pięknie zakręcone, orzechowe schody wiodły na trzy wyższe piętra. Defina sama odnowiła je wraz z całą stolarką i teraz ciemne drewno lśniło, odcinając się od białoczarnej marmurowej podłogi. Rozsuwane drzwi były szeroko otwarte ukazując za sobą salon i połączoną z nim jadalnię.

Defina polakierowała ściany obu pokoi na czerwono, co, wraz z ciemną podłogą i błyszczącymi mosiężnymi żyrandolami, nadawało wnętrzu piętno nieco szalonej elegancji. Na ścianach wisiały drewniane rzeźbione maski.

Defina oprawiła też kawałki afrykańskich tkanin, będące, zdaniem Karen, czymś pośrednim między sztuką współczesną a wykopaliskami z egipskich grobowców. Umebłowanie odznaczało się prostotą- wygodne siedziska obite białym płótnem i nowoczesny duński stół, otoczony sześcioma krzesłami o wyplatanych siedzeniach; coś w stylu *Pożegnania z Afryką* widzianego z Park Avenue. W ramach przygotowań do wspólnego wieczoru Defina ustawiła już telewizor na centralnym miejscu, w niszy okiennej. Karen spojrzała na stół i zauważyła, że są na nim tylko dwa nakrycia.

- Tangela nie ogląda z nami? - zapytała.

- Tangela już tutaj nie mieszka - odparła jej przyjaciółka.

- Och, Dee! Kiedy to się stało?

- W zeszłym tygodniu. Powiedziałam jej, że nie prowadzę hotelu, a ona na to, że wie o tym, bo pralnia jest do bani.

Dałam jej w twarz. Wyprowadziła się, zanim zdążyłam ją wyrzucić. - Defina westchnęła. - Może to i lepiej. Ale nie mogę się pozbyć wrażenia, że ona wszystko zaprzepaści - urwała. Najwyraźniej nie miała ochoty o tym mówić. -

Karen, chciałam cię o coś zapytać. Czy Tangela nie wydawała ci się ostatnio jakaś inna?

- Inna niż pozostałe dziewczęta?

- Nie, inna niż zwykle. Ciągłe spotyka się z tym nic nie wartym łobuzem, a dałabym sobie rękę uciąć, że on bierze narkotyki.

- Co masz na myśli, Dee? Trawkę?

- Trawkę? Marihuanę? Takie rzeczy, skarbie, to ja palę. Mam na myśli kokę, albo nawet crack. Tangela nigdy jeszcze nie była taka chuda, a nie sądzę, by nawet ją stać było na to, bez pomocy jakichś chemikaliów.

195

Zanim Karen zdołała coś odpowiedzieć, Defina zaczęła ustawiać na stole przygotowane na kredensie potrawy. Karen usiadła. Kimże ona jest, aby udzielać rad? Ostatecznie los na zawsze odmówił jej odegrania roli matki.

- Trudno wychowywać dziecko - powiedziała.

- Trudno wychowywać czarne dziecko. A poza tym ona, tak naprawdę, me jest czarna Jej ojciec był biały, co nie znaczy, że biali uważają ją za swoją. A do czarnych też nie pasuje - Defina westchnęła. - Próbowałam dać jej tożsamość. Pewnie robiłam wszystko źle.

- Nie mów tak. Bardzo się starałaś.

- Starać się, to za mało. Liczy się sukces - Defina pokręciła głową i nałożyła Karen na talerz trochę ryżu. Podsunęła jej półmisek z kurczakiem. - Na pewno me powinnam pozwolić, by pracowała jako modelka. Stałyśmy się rywalkami. A pieniędzy jest za dużo i za łatwo przychodzą. To niedobrze, jak dziecko z Harlemu ma za dużo forsy. Kiedy rzuciła szkołę, wiedziałam już w jakie kłopoty się pakujemy

- Słuchaj Dee, to że Tangela chce mieć swoje mieszkanie, to chyba normalna część dorastania. . .

- Sama wreszcie dorośnij. Nic, co robi ta dziewczyna, me jest normalne. Dostaje kupę pieniędzy za to, że stoi i ładnie wygląda. Ale nie ma poczucia, że wygląda wystarczająco ładnie. Nie jest ani wystarczająco czarna, ani wystarczająco biała. Chciałaby pracować dla pism, chodzić po wybiegach. Ale dzis to za mało że dziewczyna jest piękna - musi być doskonała. Dzięki tej pracy me zyskała lecz straciła pewność siebie. No i ci wszyscy mężczyźni, którzy zwracają na nią uwagę. Oczywiście, niewłaściwi - Defina potrząsnęła głową. - Boję się po prostu, że popełni błąd, z którego się już nie podniesie. Chyba jednak me więcej nie mogę zrobić - ze zwieszoną głową, wzięła do ręki widelec i zaczęła jesc.

Karen przez kilka minut siedziała w milczeniu, usiłując przełknąć część swojej porcji Defina jest przybita. Wszystko to trwa już od jakiegoś czasu, a ona nawet nie zauważyła. Tak ją pochłonęły wywiady w telewizji, sprzedaż firmy i śluby śmietanki towarzyskiej. Kiedy one ostatnio ze sobą rozmawiały? Spędzały razem dużo czasu, ale nie wystarczało go na to, co naprawdę ważne. Zycie stało się dla nich pracą. Karen odłożyła widelec.

- Chociaż raz nie jestem głodna-powiedziała.
- Ja też - potwierdziła Defina. - Napijmy się czegoś i polemuchujmy trochę - chwyciła butelkę francuskiego merlota i podała Karen kieliszek. - Chcesz trochę krakresów albo kawałek chleba?
- Najlepszy chleb? - zapytała Karen.
- U Eli Zabara - odparła bez wahania Defina.
- Źle! U Orwashera.
- Wynocha stąd! .

Ale zanim zdążyły pokłócić się na dobre, Karen odwróciła uwagę przyjaciółki.

- Najlepszy zegarek?
- Gold Panther od Cartiera.
- Nie UltimateTimepiece od Harry Winstona. Nie ma logo-obydwie nie cierpiały noszenia czegoś upstrzonego cudzymi inicjałami. Defina wzruszyła ramionami.

- Punkt dla ciebie, choć dla logo Cartiera robię wyjątek. Najlepsze perły?
- Helen Woodhull - Karen patrzyła, jak jej przyjaciółka kiwa aprobująco głową. - Najlepszy trener?
- Radu - wraz z setkami innych znanych mieszkanek Nowego Jorku, Defina należała do czcicielek Radu Teodorescu. Karen pokręciła głową.
- Lydia Beach - oświadczyła.
- Daj spokój.

Zdecydowała nie wdawać się w spór. O osobistym trenerze się nie dyskutuje. W Nowym Jorku kobiety wierzyły w nich bardziej, niż w Pana Boga.

Poszły na kanapę. Każda z nich oparła się o przeciwległą poręcz, tak, że siedziały zwrócone do siebie twarzami, a ich stopy niemal się dotykały.

- Zabawne, Karen. Zawsze myślałam, że wszystko czego chcę to miły dom, pieniądze w banku i córka. Kiedy już zdobyłam dwa pierwsze, postarałam się o trzecie, a gdy miałam Tangelę, odkryłam że pragnę także mężczyzny. Słuchaj -są dzieci, dom, kariera i małżeństwo. Kobietom mówi się, że mogą mieć wszystko. A ja ci powiem, że jeśli jesteś dobra, naprawdę bardzo dobra, może uda ci się dostać dwie z tych czterech rzeczy. Biali mężczyźni nie mają takich problemów. Mogą mieć wszystko, jeśli znajdą właściwą żonę. Czarni faceci zazwyczaj nie dostają niczego, a że o tym wiedzą, to nawet nie próbują. A kobiety dają skusić się przynętą i ścigają nieosiągalny cel. Prawda, Karen, jest taka - zrobiłam karierę i mam ładny dom, ale nie znalazłam mężczyzny i poniosłam porażkę jako samotna mama. A co ty zamierzasz zrobić? Bo jeśli nadal będziesz starała się mieć wszystko, gwarantuję ci, że rozsypiesz się w kawałki. Wygląda na to, że najlepsza oferta jaką możemy otrzymać od życia to dwie rzeczy na cztery.

- Co powiesz na jedną z czterech? - zapytała Karén. - Chciałam pracować, wyjść za mąż i mieć dziecko. Lekarz powiedział mi, że o dziecku nie ma mowy, NormCo może wykupić moją firmę, a Jeffrey kazał mi wybierać między adopcją a naszym małżeństwem.

- Zatrzymaj męża, zrezygnuj z dziecka - oto moja rada - powiedziała Defi-na, napełniając kieliszek winem.

- Daj spokój Dee, to tylko zły trudny okres. Pamiętasz, jak uszyłyśmy dla ciebie i Tangeli spódniczki łyżwiarek? I jak ślizgałyście się w „Radio City”, a ja klaskałam?

- A potem poszłyśmy do Rumplemeyera na gorącą czekoladę i grzanki z cynamonem - wspominała z uśmiechem Defina.

- A pamiętasz jej urodziny, kiedy miała dziesięć, a może dziewięć lat i powiedziała, że nie chce już zabawek, tylko kolczyki? Kupiłyśmy te wszystkie pluszowe zwierzaki w FAO i wpięłyśmy im kolczyki w uszy. Pamiętasz, jaką

miała minę? A kiedy zaczęłaś dla mnie pracować, każdego dnia przyprowadzałaś ją do firmy - ciągnęła wspominki Karen. - Chciała mieć biurko takie jak ty. Więc kupiliśmy małe biurczko. A ona usiadła przy nim i starała się ciebie we wszystkim naśladować.

Oczy Definy wypełniły się łzami, ale tak jak Karen nie miała zwyczaju płakać.

198

- Tak, pamiętam. I zastanawiam się, w którym miejscu popełniłam błąd. Wiesz, kiedy w rodzinie nie ma męża i ojca, między matką i córką wzrasta napięcie. Tangela była ode mnie tak zależna, że naturalną koleją rzeczy w końcu zaczęła mnie nie lubić. Najpierw kochała wszystko co robiłam i mówiłam, teraz tego nienawidzi. Jest mi ciężko. I tak wiele po niej oczekiwałam. Chciałam, żeby była czarna, ale czuła się dobrze wśród białych. Miała być sprytna życiowo i mieć dobre stopnie. Byłam dla niej tak samo surowa, jak ona dla mnie - urwała. Usta jej zadrżały. - Ale to, co się teraz dzieje, po prostu łamie mi serce.

Karen nie wiedziała, jak jej pomóc.

- Spójrz inaczej - powiedziała w końcu. - Spotkacie się w pracy. Może to dobrze, jeśli trochę oddalicie się od siebie. Może tego właśnie potrzebujecie.

- Właśnie praca stanowi problem - Defma pokręciła głową. - Nie powinnam była jej pozwolić zostać modelką. Sprawy wyglądają teraz zupełnie inaczej. Gra jest bardziej bezwzględna. Nie pozwól, by twoja siostrzenica głębiej się w to zaangażowała. Nie ma tutaj miejsca na bycie naturalnym czy niedoskonałym. Kiedyś to była zabawa, ale teraz ten cały biznes jest chory. Za dużo napięcia.

- Ale Tangela dobrze sobie radzi. Ma sporo zgłoszeń i w agencji ją lubią.

- Zgadza się, tylko że nie jest, jak ja, pierwszą czarną modelką i nigdy nie wejdzie do pierwszej ligi. Myślę, że sama już o tym wie. A mimo to, nie jest w stanie zrezygnować z modelowania i wrócić do szkoły. Wiesz jak to jest - nie zamienisz podniecającej gry na mozolną harówkę. Czyli Tangela jest w kropce. Trzy lata temu, kiedy rzuciła szkołę, myślała że będzie gwiazdą pierwszej wielkości. Teraz wie, że nic z tego i to ją zabija. Widzi swoje ograniczenia, a nie ma nawet jeszcze dwudziestu jeden lat. To nie jest normalne. A fakt, że ja jej to mówię pogarsza sprawę. Karen podzielała ból przyjaciółki. Boże, jak to musi być ciężko tracić córkę przez narkotyki i niebezpiecznych mężczyzn. Czy to gorsze od tego, przez co przeszedł Perry, kiedy jego córeczka umierała na raka? Karen poczuła na ramionach gęsią skórę. Może lepiej w ogóle nie mieć dzieci, niż tak cierpieć? Tak uważał Jeffrey, ale ona, mimo wszystko, ciągle nie mogła się z tym pogodzić.

- Może powinnaś poczekać, Dee. Kiedy sprawy się unormują, jakoś dojdziecie do porozumienia.

- Jasne, jeśli do tej pory nie będzie w ciąży, zameżna z jakimś alfonsem, albo martwa... - Defina pokręciła głową. - Przepraszam, że jestem taka podłamana. Koniec rozmów na ten temat. Może masz rację. To tylko przejściowy okres. On minie - Dee sięgnęła po butelkę i napełniła obydwie kieliszki. - W takich wypadkach kobieta ma tylko dwa wyjścia - samobójstwo albo słodycze. Miałam wsadzić głowę do piecyka gazowego, ale wtedy opadłby suflet. Pozwól więc, że go tu przyniosę, razem z dwiema szufelkami w charakterze sztucców. Ostatecznie powinniśmy pić i świętować. Tylko te sprawy między matką a córką są takie strasznie trudne - sięgnęła po kolejną butelkę wina i wyciągnęła z niej korek.

- Mnie to mówisz? - zapytała Karen. A potem, jakby to ją odkorkowano, opowiedziała Definie wszystko o doktorze Goldmanie i o swojej tęsknocie za

prawdziwą matką. - A wiesz na czym polega największe wariactwo? - rzuciła na koniec - Udzielając wywiadu Elle Halle cały czas myślałam, że ona wyciągnie z jakichś zakamarków moją prawdziwą matkę. Drętwiałam ze strachu, ale kiedy nic takiego nie nastąpiło, nie czułam ulgi. Byłam rozczarowana. Czy to nie szaleństwo?

- Nie dla mnie - Defina pokręciła głową. - Wiesz, co mnie zawsze zastanawiało? Skąd czerpiesz otuchę? Nie od Belli. I wygląda na to, że Jeffrey też nie daje ci specjalnego oparcia. Ja, jeszcze w zeszłym roku, miałam babcię. Była jak skała. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo za nią tęsknię. Kobieta nie może żyć tylko pracą. Wiem to na pewno. Musimy mieć coś lub kogoś do kochania.

- Właśnie dlatego chcę adoptować dziecko.

- Do diabła! Przecież przez ostatnią godzinę tłumaczyłam ci, że to parszywa sprawa.

- Nie martw się. Jeffrey i tak nie chce się na to zgodzić.

Defina potrząsnęła głową, wstała, a po chwili wróciła, niosąc czekoladowy suflet.

- No i co masz zamiar teraz zrobić? Nie licząc, oczywiście, zjedzenia połowy mego wypieku.

Karen spojrzała na zegarek.

- Teraz mam zamiar dołączyć do grona dwudziestu milionów ludzi, którzy będą patrzeć jak robię z siebie idiotkę.

Włącz telewizor. Nie chcę się spóźnić.

Defina sprawdziła, która godzina i z okrzykiem zlazła z kanapy, by włączyć odbiornik. Słysząc już było muzykę programu „Elle Halle” i rozpoczęła się poprzedzająca każdy z nich zapowiedź. „Dziś zobaczymy kobietę, która wniosła już swój wkład do świata mody i biznesu. Ściele się jednak przed nią dużo większa kariera. Przed państwem królowa mody - Karen Kahn”. Muzyka zabrzmiała głośniejsz, a na ekranie pojawiły się migawki: Karen w biurze - rozmawia przez telefon, Karen na uroczystości wręczenia Nagrody Oakleya, Karen z ustami pełnymi szpilek, klęczy u stóp Tangel i przycina materiał, Karen spaceruje wraz z Jeffreyem nad rzeką w Westport. Potem zaczęły się reklamy.

Defina ponownie wydała okrzyk. - Królowa mody - Karen Kahn - przedrzeźniała Elle Halle. - Brzmi to, jakbyś była jakimś potworem z sadomasochi-stycznych orgii. Ale wyglądałaś naprawdę świetnie.

- W ujęciu z Tangelą wyszłam koszmarne. Boże, czy ja rzeczywiście jestem taka gruba?

- Och, zamknij się. Zjedz jeszcze trochę sufletu. Mam nadzieję, że wszystko mi się nagra.

Godzinny program minął bardzo szybko. Karen nie mogła uwierzyć, że ma taki ciężki akcent i że przy Elle Halle wydaje się taka wielka, patrzyła jednak w ekran jak zaszarowana. To dziwne oglądać samą siebie, a jeszcze dziwniejsze uświadomić sobie, że jednocześnie robi to tylu ludzi. Na szczęście, prezentowany materiał był naprawdę

dla niej pochlebny. Pokazywał ją przy pracy, podczas działalności dobroczynnej, spotkań z Caseyem, pracownikami działu projektów, z Definą i Mercedes. Ogólnie, był to pozytywny wizerunek ciężko

201

pracującej dziewczyny, która sama wywalczyła sobie miejsce wśród najlepszych. W krótkim fragmencie Jeffrey opowiadał o interesach, a w innym, **oboje** oprowadzali po domu w Westport. Nie zabrakło paru snobistycznych ujęć Karen wysiadającej lub wsiadającej do limuzyny, ale w programie nie dominował blichtr Kończyło się odebraniem Nagrody Oakleya. Całość wypadła naprawdę dobrze. Karen wkładając do ust łyżeczkę sufletu zastanawiała się, jak program **ten** wpłynie na ofertę NormCo. Uważała, że wyszła nieźle, a Defina była tego samego zdania. . .

- Cóż, w telewizji nie ma teraz nic ciekawego, chyba że chcesz kupić autentyczny **falszywy** brylant w prawdziwej złotopodobnej oprawie za niewiarygodnie niską cenę... - Defina nacisnęła guzik pilota i na ekranie pojawiły się telezakupy. Nie sprzedawano jednak fałszywej biżuterii. Prezentowano tandetną wiatrówkę z rodzajem pasującej do niej spódnicy.

- Kto, na Boga, może nosić coś takiego? - zapytała Karen.

- Nie wiem, ale najwyraźniej cała masa ludzi to kupuje. Suknie księżniczki Diany złapały drugi oddech.

- No tak, tylko komu one potrzebne - Karen wpatrywała się w ekran, na którym oferowano kolejny strój - paskudny damski kostium.

- Czy wiesz że w zeszłym roku Joan Rivers sprzedała biżuterii za sto dwadzieścia milionów dolarów? - zapytała Defina. - Oglądasz właśnie przyszłość. Ona nie kryje się w domach towarowych, tylko na tym ekranie.

- Dajesz spokój, Dee. Ludzie lubią dotykać towarów. Na tym polega przyjemność kupowania. A poza tym, te rzeczy i tak są bez klasy. Zniszczyłabym sobie nazwisko robiąc coś takiego. Spójrz, co się stało z Halstonem, kiedy **jego** ubrania zaczęto sprzedawać w J. C. Penney.

- To było kiedyś. Teraz są inne czasy. Kobiety me mają kiedy chodzą na zakupy, a nałóg im został. Telewizja daje natychmiastowe zaspokojenie.

- Nie ma mowy - Karen pokręciła głową. - Słuchaj, nie cierpię tak się zrywać, ale muszę już iść.

- Jeszcze jeden **kieliszek**.

Karen wczuła się w nastrój przyjaciółki i wyraziła zgodę. Wstrząsnęła nią świadomość tego, jak bardzo samotna jest Defina. Zawsze była taka silna. Wyszły razem do końca drugą butelkę merlota i dopiero wtedy Karen wstała. Dee odprowadziła ją do samochodu, który czekał w stanie nienaruszonym. Na chodniku uściskały się.

Defina odwróciła się i spojrzała na swój dom. Paliły się w nim światła, więc **z ulicy** widać było hall i zapraszające do środka czerwone pokoje. Spuściła oczy.

- Zabawne - powiedziała zbierając się do odejścia. - Prawie spłaciłam pożyczkę hipoteczną. Całe **lata** uważałam, że jedyne czego pragnę to **ten** dom. Tylko jak **się** okazało, niezupełnie miałam na myśli samotne mieszkanie w nim. Tęsknię za babcią. Tęsknię za Tangelą - za dziewczynką, którą była. I żałuję, że zrezygnowałam **dla** córki z tych wszystkich mężczyzn. Staralam się robić to, co była **dla** niej najlepsze i na co mi przyszło? - Defina była najwyraźniej trochę pijana. Spojrzała na Karen. - Program wypadł świetnie - powiedziała. - Ale nie

151

żyjemy w telewizji. Spróbuj znaleźć swoją mamę. Potrzebujemy tylu przyjaciół, ilu się tylko da.

Kiedy Karen wchodziła do ciemnego mieszkania, rozległ się dzwonek telefonu. Szukając kontaktu, podniosła słuchawkę najbliższego aparatu. Jeszcze nie zdążyła donieść jej do ucha, kiedy usłyszała głos Lisy.

- To było wspaniałe! Wyglądałaś świetnie! Widziałaś Stephanie? W tle, na tym ujęciu kiedy stoisz w hallu. Jest taka przejęta. Wszyscy jesteśmy i nagraliśmy program. Chcesz dostać kopię?

Lisa jest zawsze taka wielkoduszna, pomyślała Karen. Czekala, aż siostra się wygada, kiedy znów zadzwonił telefon.

- Możesz chwilę poczekać? - zapytała, zmieniając linię.

- Karen? - rozległ się w słuchawce głos matki. - Oglądałaś?

- Tak - odpowiedziała.

- I co o tym myślisz? - Karen wyczuła w pytaniu rezerwę.

- Myślę, że było w porządku, mamó. A co ty sądzisz?

- Cóż, skoro pytasz, to muszę powiedzieć, że nie wypadłaś najlepiej. Powinnaś była włożyć coś żywszego. I czasami, na przykład kiedy rozmawiałaś przez telefon, wydawałaś się, cóż, nachalna. Wiesz co mam na myśli?

Karen westchnęła.

- Mamó, Lisa jest na drugiej linii. Mogę oddzwonić później?

- Naturalnie. Ojciec kazał ci pogratulować - Karen czuła, że matka jest zirytowana, ale nie miała do niej cierpliwości.

Nacisnęła przełącznik i wróciła do Lisy.

- Mama jest na drugiej linii - skłamała. - Mogę zadzwonić potem?

- Pewnie, aleja naprawdę muszę z tobą porozmawiać.

Słyszała rozczarowanie w głosie siostry, ale naprawdę nie była w stanie prowadzić w tej chwili konwersacji.

- Jasne - powiedziała. - Dzięki za telefon. Pogadamy jutro. Wyczerpana, poszła do łóżka i prawie już spała, kiedy Jeffrey wrócił z pokera.

Wszedł do sypialni i nie mówiąc ani słowa usiadł na brzegu łóżka, by zdjąć buty. Z jego powolnych, ostrożnych ruchów wywnioskowała, że jest trochę pijany.

- Wygrałeś? - zapytała. Nie odpowiedział. - Przegrałeś?

- Nie graliśmy - powoli odwrócił się ku niej. - Perry włączył ten przeklęty telewizor. Oglądaliśmy program, a potem trochę wypilem.

Choć starała się to zbagatelizować, czuła rozczarowanie. Ostatecznie obiecał jej przecież, że obejrzą to razem. Czy nie taka była umowa? Wszystko ułożyło się nie tak, jak powinno. W głosie męża pobrzmiwał jakiś dziwny ton.

- Nie podobało ci się? - zapytała.

- Czy mi się podobało? Oglądałem ciebie przez czterdzieści dwie minuty i siebie przez trzy, nie licząc piętnastu minut reklam. Trochę niesprawiedliwy podział jak na dwoje partnerów, a może jesteś innego zdania?

Karen usiadła, strącając na ziemię poduszkę. Nie zwróciła na to uwagi. No i co teraz?

204

- Ale to był dobry program, Jeffrey.

- Zrobili go tak, że wyszedłem na głupca. To twoja wina.

- Jeffrey nie zabiegałam o wywiad ani go nie montowałam.

- Nie! Powiedziałaś tylko, że to ty jesteś twórczą jednostką, a ja jakimś drugorzędnym idiotą z długopisami.

- Jeffrey, o czym ty mówisz? - próbowała przypomnieć sobie dokładnie, co powiedziała i jaki użytek zrobiła z tego ekipa Elle Halle. Wypiły z Definą trochę wina, ale nie była przecież pijana. Program wydawał się udany i ani Jeffrey, ani Karen nie wypadli w nim źle.

Jeffrey wstał. Był taki wściekły, że jego oczy stały się szare jak stal. Zwężyły się, a Karen nieświadomie, podciągnęła wyżej koc, jakby to spojrzenie mogło zrobić iei jakąś krzywdę.

- Przez ciebie wyszedłem na głupca - powtórzył. - Nie zapominaj, że byłem artystą. Perry, Jordan i Sam patrzyli na to wszystko, a ja widziałem co sobie myślą- że pasożytuję na tobie. Nie mówiłaś o pieniądzach, które dostałem od ojca na rozkręcenie interesu. Nie mówiłaś, że firma to był przede wszystkim moj pomysł. Powiedziałaś jednak pięćdziesięciu milionom ludzi, że posiadasz większość udziałów. Dlaczego mnie po prostu nie wykastrowałaś?

- Jeffrey, jesteś niesprawiedliwy. Mówiłam o wszystkim, a oni wycięli to, co im nie pasowało.

- Jasne. Tak samo postąpiłaś ze mną. Pozbawiłaś mnie wiarygodności. Ciągłe nie dostaliśmy oferty z NormCo, a nawet jeśli jej nie przyjmiemy, będziemy musieli mieć dobrą wycenę, żeby zaciągnąć pożyczkę. Myślisz, że przez to łatwiej mi negocjować? - odwrócił się na pięcie i bosy ruszył do wyjścia.

- Gdzie idziesz? - zawołała.

- Wychodzę.

- Boso? - nic nie odpowiedział. Karen była taka wściekła, że miała nadzieję, iż rzeczywiście wyjdzie z domu bez butów. To takie niesprawiedliwe. I takie do niego niepodobne. Nigdy nie był rywalizującym z nią idiotą w stylu macha. Elle Halle obudziła w nim najniższe instynkty. A może po prostu dostrzegła i skoncentrowała się na tym, czego Karen nie chciała przyjąć do wiadomości?

Miała tego wszystkiego serdecznie dość, wiedziała jednak, że i tak już nie zaśnie. A jutro musi popchnąć do przodu nową kolekcję. Po prostu musi bo w przeciwnym razie, co pokażą w Paryżu? Sięgnęła do szuflady nocnego stolika i wyciągnęła plastikową buteleczkę. Dzisiejsza noc warta jest dwóch xanaxów. Do diabła z Jeffreyem, z matką i z nimi wszystkimi. Włożyła do ust dwie małe pigułki i popiła szklanką wody Evian. Wystarczy jak na jeden dzień. Merlot i środki nasenne zadziałały już w parę minut po zgaszeniu światła. Ostatnia myśl przed zaśnięciem związana była z Jeffreyem, bosym na chodniku West End Avenue. Karen miała nadzieję, że pada deszcz. Obudził ją Jeffrey, kiedy z hałasem wrócił do domu. Spojrzała na zegarek. Dziesięć po czwartej. Leżała w łóżku, starając się zasnąć. Na prozno. Powinna

spać. Potrzebuje snu. Ale tłumaczenie sobie nie pomagało. Leżała wyczerpana i przepełniona uczuciem beznadziejności, bezwładna niczym losoś, którego podała podczas tego głupiego rodzinnego śniadania.

Karen nie była intelektualistką i zdawała sobie z tego sprawę. Nie miało to nic wspólnego z głupotą; z biegiem lat zrozumiała jednak, że logiczne myślenie nie jest jej mocną stroną. Kierowała się głównie intuicją, rozumowała w sposób pośredni i twórczy. Odbierała rzeczywistość oczami - to, co widziała, często mówiło jej jak ma myśleć, a nawet czuć.

Zamknęła więc oczy nie po to by zasnąć, lecz by zobaczyć, co ją niepokoi. Oczywiście chodziło o Jeffreya, ale nie o jego głupi gniew. To minie. Było coś innego, bardziej nieokreślonego.

Zamknęła oczy, a pierwszą wizją która nieproszona pojawiła się pod powiekami, był obraz Sylwii na śniadaniu w Westport, wpatrującej się rozpromienionym wzrokiem w syna. Był wyraźny jak fotografia, a nawet jeszcze bardziej, bo Karen w wyobraźni mogła poruszać się wśród zebranych i oglądać scenę ze wszystkich stron. Widziała od tyłu strój Sylwii od Soni Rykiel, rękę położoną w pełnym miłości geście na plecach syna, srebrne włosy kontrastujące kolorem z jego włosami, a jednocześnie jakoś go uzupełniające. Karen patrzyła z profilu na arystokratyczny nos Sylwii, wygięty łukowato jak nos Jeffreya.

Czy to wydarzyło się właśnie wtedy, zastanawiała się. Co mnie niepokoi? Czy tęsknię za synem, którego nigdy nie miałam? Nie czuła jednak tego rodzaju pragnienia. Zawsze przecież chciała raczej mieć córkę. Z zamkniętymi oczami wpatrywała się w obraz. I wtedy uświadomiła sobie, że czuje zazdrość.

Nawet teraz, leżąc w łóżku, w ciemności, poczuła, że rumieni się ze wstydu. Zazdrość to takie niskie uczucie. Karen na szczęście, nie doznawała go zbyt często. Potrafiła je jednak rozpoznać i to właśnie czuła w tej chwili. O Boże, nie wiedziała, że jest taka zawistna! Taka małostkowa. Jest zazdrosna o swojego męża.

W końcu, około piątej, zapadła w niespokojny sen. Obudziła się po niecałej godzinie. Był bardzo wyraźny. Małeńka, w jakiejś łódeczce, a właściwie czymś w rodzaju koszyka, unosiła się na falach białego morza. Z początku było to przyjemne, ale potem poczuła głód, a kiedy usiadła by się rozejrzeć, nie zobaczyła nic poza falującym oceanem i ciemnością w górze. Mlecznobiała, świetlista woda wkrótce jednak z ciepłej zmieniła się w zimną. Karen ogarnął chłód. Zmarznięta i głodna, rozplakała się jak niemowlę, aż zalała ją fala, a słona woda zmieszała się ze spływającymi po policzkach łzami.

Gdy się obudziła, z prawdziwymi łzami na rzęsach, natychmiast pomyślała o dwóch sprawach. Pierwszą było to, że nigdy dotąd nie miała biało-czarnego snu. Drugą, że nie zazdrości Sylwii syna. Zazdrości Jeffreyowi matki.

Rozdział 14

Chciałabym znaleźć moją matkę

Następnego ranka, mimo kaca i mdłości po wypitym merlocie, Karen zdecydowała się podjąć energiczne działania. Kłótnia z Jeffreyem, rozczarowanie po projekcji programu Elle Halle, sen ostatniej nocy, wszystko złożyło się na to, że postanowiła odnaleźć swą prawdziwą matkę. Tylko jak to zrobić?

Jak znaleźć i zatrudnić kompetentnego prywatnego detektywa? O ortodontów, fryzjerów, ginekologów, może nawet chirurgów plastycznych, można dowiadywać się wśród znajomych. Ale o detektywa? Nie mogła porozmawiać z Jeffreyem - jasno dał jej do zrozumienia, jak się na to zapatruje. Karen myślała, że może powinna zadzwonić do June Silvermann i zapytać czy przed rozwodem nie kazała śledzić Perry'ego. A może zatelefonować do Billa Wolpera i dowiedzieć się, czy nie korzystał z tego rodzaju usług przy sprawdzaniu przeszłości pracowników i nabywanych firm. Ciekawe, czy gdyby starczyło jej odwagi na zadanie takiego pytania, miałyby to zły wpływ na ofertę NormCo? Nie mając innego wyjścia, zaczęła szukać sama i odkryła, że choć w książce telefonicznej Manhattanu wymienione są całe tuziny odpowiednich agencji, większość z nich swe główne biura ulokowała-w Brooklynie. Opuściła ogłoszenie „AAA Dochodzenia”, na chybił trafił wybrała kilka spośród wymienionych dalej i zadzwoniła pod podane numery. Cztery pierwsze telefony odebrała automatyczna sekretarka. No tak, zupełnie jakby mogła zostawić swe nazwisko, krótką wiadomość i domowy numer. Agencje robiły naprawdę nie najlepsze wrażenie. Wykręciła następny numer i słuchawkę podniósł jakiś facet o dobrodusznym głosie. Miał biuro na Jay Street w Brooklynie. Karen umówiła się więc na spotkanie z panem Centrillo, który zapewnił, że „zdoła ją wcisnąć” na dzisiaj. Limuzyna zatrzymała się przed wąskim wejściem, wpasowanym pomiędzy sklep z wyposażeniem i umundurowaniem dla policjantów, a trzeciorzędnego jubilera. Karen uśmiechnęła się do siedzącego za kierownicą czarnego szofera. Nazywał się Corman i woził ją już wcześniej.

- Będę tam piętnaście minut - powiedziała. - Najwyżej pół godziny. Jeśli zajmie mi to więcej czasu, proszę wejść na górę i zastukać do pokoju 201. Nie chcę się spóźnić na następne spotkanie.

Corman pokiwał głową, ale wyglądał na zafasowanego.

- Trudno będzie znaleźć parking, a ja wolę nie zostawiać wozu w takiej okolicy. Może wszystko będzie w porządku.

- Dziękuję, Corman - rzuciła z uczuciem prawdziwej wdzięczności.

Do biura pana Centrillo prowadziły stare, drewniane schody obite na brzegach metalową taśmą. Zapadały się pośrodku, jakby były bardzo zmęczone. Karen sama czuła znużenie, choć wiedziała że nie sił fizycznych jej brakuje. Zastanawiała się jakie i czyje niedole zdeptały te stopnie, a także, ile może ważyć zmartwienie. Czy obawa, że partner w interesach dopuścił się defraudacji równa się pięćdziesięciu funtom? A podejrzenie, że zdradza cię żona - czy waży jeszcze więcej? Jeśli szukasz męża, który porzucił cię i dzieci - czy dźwigasz dwie tony? A ile niedoli ona sama niesie po tych schodach do pana Centrillo o ciepłym głosie?

Na drugim piętrze były tylko dwa biura, a Karen zauważyła z ulgą że hall podobnie jak schody, jest bardzo czysty. Przekreśliła gałkę grubych, dębowych drzwi i weszła do poczekalni o rozmiarach niewielkiego przedpokoju. Na jej widok podniosła się z uśmiechem długowłosa, pryszczata dziewczyna.

- Czy pani Cohen? - zapytała.

Karen przytaknęła. Nie miała oczywiście ochoty podawać swego prawdziwego nazwiska. Co jednak będzie, jeśli ta mała przypadkowo oglądała „Elle Halle Show”? Karen nie była pewna, czy jakakolwiek projektantka jest kimś na tyle ważnym, by trafić na okładkę „National Enquirer”, nie miała jednak ochoty stać się królikiem doświadczalnym. *W POSZUKIWANIU MATKI, KTÓRA JĄ PORZUCIŁA. LAUREATKA NAGRODY OAKLEYA CIERPI, BYŁA NIE CHCIAŁYM DZIECKIEM PRYWATNE ŻYCIE KAREN KAHN.*

Wzdrygnęła się. Ogłoszenie pana Centrillo, jako jedyne, nie zapewniało „dyskrecji”. Właśnie dlatego do niego zadzwoniła. Sugerował, że to jest oczywiste. Miała też nadzieję, że może ludzie w Brooklynie o niej nie słyszeli. Tłum mieszkający za mostem nie palił się do wydawania trzech tysięcy dolarów na kaszmirowe swetry. No i nie pojawiała się przecież w telewizji co wieczór. Czy ktokolwiek na Jay Street czyta kolumnę towarzyską, albo prenumeruje „W”?

Popatrzyła na siedzącą za wąską ladą dziewczynę. Niebiesko-fioletowa bluzka z poliestru wisiała jak worek. Zaszewki skrojono za wysoko i w dodatku krzywo. Czy można było zapłacić za nią więcej niż 19 dolarów i 99 centów? Wyglądała jak jedna z bluzek uszytych przez NormCo dla Bette Mayer. Karen mogła wyobrazić sobie dotyk

taniego materiału w taki wilgotny dzień jak dzisiaj - nie było to miłe uczucie. Czy prosty bawełniany podkoszulek, za tę samą cenę, nie

156

wyglądałby dużo lepiej? I te kolory! Gryzły się ze sobą, a żaden nie dominował. Przy bladej cerze i włosach dziewczyny wyglądało to okropnie.

Karen westchnęła. Powinna skończyć te przebieranki w myślach, zanim od nich zwariuje. Może Jeffrey ma rację i wszystko zależy od panowania nad sobą? A może dobrze radził jej psychoanalityk na uczelni, że zmiana tematu pozwoli Karen oderwać się od rzeczy zbyt bolesnych? Defina zazwyczaj dodawała, że prawdziwe jest i jedno, i drugie. ,

- Proszę usiąść. Pan Centrillo zaraz się panią zajmie - dziewczyna mówiła z akcentem z okolic Nostrand Avenue. Mój Boże, pomyślała Karen, czyżby moj głos brzmiał podobnie? Czy, gdybym nie miała zdolności, też skończyłabym za jakimś biurkiem, ubrana w taką bluzkę? Poczła wielkie współczucie dla biednej dziewczyny. Skąd wziął się mój talent? - dumiała, patrząc z litością na recepcjonistkę. Zaraz jednak nakazała sobie spokój. To arogancja z jej strony uważać się za kogoś lepszego. Ostatecznie, sama tak spała sobie życie, że znajduje się tutaj w charakterze potencjalnej klientki, a nie pracownicy. Dziewczyna za ladą^ mimo brzydkiej cery i paskudnych ubrań, ma pewnie zdrowe jajniki. W sprawach naprawdę ważnych, jakie znaczenie może mieć fatalna bluzka?

Oszklone drzwi za recepcjonistką otworzyły się i wyszedł z nich szybkim krokiem niski siwy mężczyzna. Karen natychmiast zdecydowała, że jesh to jest pan Centrillo ona stąd znika. Ale tamten minął ladę i wyszedł z biura, nie patrząc nawet na siedzące kobiety. W drzwiach pojawił się za to tęgi łysiejący mężczyzna.

Pani Cohen? - zapytał i był to właśnie głos z telefonu, który ją tu przywabił. Pomyślała, że przypomina głos „dobrego tatusia”.

Kiwnęła głową wstała i weszła za nim do gabinetu. Dobry Boże, co ja mam mu powiedzieć? zastanawiała się. Proszę znaleźć moją mamusię? Nagle poczuła a się jak dziecko - zupełnie nie przygotowana do rozmowy. Biuro pana Centrillo było obszerne, czyste i słoneczne. Stały w nim stare dębowe meble, jakie ostatni raz widziała w szkole średniej. Usiadła na jednym z twardych drewnianych krzeseł przed biurkiem, a detektyw opadł na znajdujący się po drugiej stronie obrotowy fotel. Karen potrzebowała już tylko podkładki, aby zacząć notować wykład z historii.

- A więc? - czekał. Jego duże, szerokie dłonie leżały nieruchomo na szerokim blacie biurka. . . . ,

Trudno było jej zacząć mówić. Milczenie przeciągało się i cisza stawała się nie do zniesienia. Karen uświadomiła sobie, że nie przygotowała się do tego spotkania. Patrzyła na pyłki kurzu unoszące się w promieniach słońca wpadającego przez czyste okno.

- Chciałabym znaleźć moją matkę - wyszeptała wreszcie z trudem.

- Czy ona zniknęła? Uciekła? Nie jest już w pełni władz umysłowych.' -jego głos ciągle brzmiał uspokajająco.

- Nie. Nie wiem. To znaczy, nie jest tak, jak pan myśli - urwała. - Nie chodzi o moją matkę, tylko o prawdziwą matkę.

.....

- Och chodzi pani o matkę naturalną. Była pani dzieckiem adoptowanym? Sklasyfikował ją. Nadał nazwę.

Prawdopodobnie istnieje cała szuflada z aktami podobnych spraw, do których jej własna świetnie będzie pasowała.

210

- Tak.
- Jak długo już pani szuka? Zawsze. Wcale. Westchnęła.
- Nie szukałam. Nie wiedziałam jak. Właśnie dlatego przyszedłam do pana.
- Czy dane są tajne?
- Nie wiem.
- Adopcja prywatna czy przez stan?
- Nie wiem.
- Nazwisko matki naturalnej?
- Nie wiem.
- Czy to było tutaj, w Nowym Jorku?

Z trudem mogła uwierzyć, że odpowiada w sposób tak niekompetentny. Ona, Karen Kahn, która prezentowała co roku cztery kolekcje, udzielała wywiadów, umiała kształtować rzeczywistość i wiedziała o co w niej chodzi, która zaprezentowała się Billowi Wolperowi i zrobiła na draniu wrażenie, usiłuje teraz rozwiązać główny problem swego życia bez wcześniejszych przygotowań i planów. Co, u diabła, z nią się dzieje? Nie tylko nie jest w stanie urodzić dziecka, ale nawet udzielić jakiegokolwiek sensownej odpowiedzi. Wiedziała, że zrobiła z siebie idiotkę, wyszła na półgłówka spodziewającego się pomocy od jakiegoś dużego, silnego mężczyzny. O co on pytał? Gdzie miała miejsce adopcja? Już zamierzała odpowiedzieć, że nie wie również i tego, gdy nagle, ni stąd ni zowąd przypomniała sobie. Kiedyś ojciec wspominał coś o Chicago. Mówił, że nie znosi jeździć tam w interesach i że jedyną zaletą tego miasta jest fakt, że Karen stamtąd pochodzi.

- Myślę, że w Chicago - powiedziała.

Oddechnęła głęboko. Miała podstawowe informacje o prawach adoptowanych dzieci, ale pochodziły one z gazet i czasopism. Tak jak inni czytelnicy śledziła losy małej Jessiki. I tej nastolatki z Florydy, która jako niemowlę trafiła do niewłaściwej rodziny. Wiedziała, że niemal zawsze dzieci decydują się pozostać z przybranymi rodzicami, ale czy nie dzieje się tak dlatego, że innych rodziców nie znają?

Wśród ludzi adoptowanych w dzieciństwie istniała pewna grupa domagających się prawa do ujawnienia dokumentów adopcyjnych. Nie były to jednak poglądy powszechnie popierane. Nie dalej jak parę tygodni temu Karen przeczytała, w kąciku porad Ann Landers, list błagający, by adoptowane dzieci nie niszczyły życia naturalnych rodziców, usiłując ich odnaleźć. Ann zgodziła się z tym, pisząc: *Adoptowane dzieci mają prawo poznać historię zdrowia rodziców, poza tym jednak tajna adopcja powinna pozostać tajna. Kropka.* Sąd nie chce pomóc,

przybrani rodzice nie chcą pomóc, Ann Landers nie chce pomóc i wygląda na to, że pan Centritto także nie ma na to ochoty. Jakoś nie wydawało jej się to sprawiedliwe. Czy nie masz zwykłego, ludzkiego prawa, by wiedzieć kim są twoi rodzice?

Otworzyła torebkę i zaczęła szukać dwóch fotografii - swoich talizmanów. Nie było ich. Poczula, że krew odpływa jej z twarzy. Czy to możliwe, że zaginęły? Mogłaby przysiąc, że właśnie tuje schowała. Nosila je ze sobą wszędzie, ale ostatnio była taka zajęta i źle zorganizowana. Gdzie ostatni raz widziała zdjęcia? Pot wystąpił jej na czoło.

212

Nawiedzona nagłą myślą spojrzała na potężną postać swego rozmówcy.

- Mam chyba kilka zdjęć. I jestem prawie pewna, że pochodzę z Chicago. Centritto pokiwał głową.

- Będę musiał sprawdzić prawo stanu Illinois. Wszędzie jest inaczej. Sama pani widzi, że stoimy przed pewnymi trudnościami. Przyjmując, że było to Chicago że adopcję przeprowadzono przez stan i że dane nie są tajne, nie mając żadnych nazwisk ani dat niełatwo będzie coś odkopać. Jakie jest pani panięskie nazwisko?

- Lipsky - w końcu mogła udzielić jakiejś odpowiedzi. Podała dane Belli i Arnolda, ich daty urodzenia oraz stary, brooklyński adres. - Czy to się przyda? Czy te nazwiska nam pomogą?

Centritto pokręcił głową.

- Nawet jeśli ma się nazwiska i daty, znalezienie śladu jest często bardzo trudne. Mogę zadać pani jeszcze jedno pytanie?

Skinęła głową. Czula, że nie jest w stanie się odezwać. Jeszcze słowo i wybuchnie płaczem. Boże, kiedy ona ostatni raz płakała? Nie mogła sobie przypomnieć. Usta jej zadrżały.

- Wiem że to czasem dosyć niezręczne, ale czy me mogłaby pani uzyskać tych informacji od swej przybranej matki? Czy może pani z nią porozmawiać?

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki łyzy Karen wyschły, a uczucie drżenia ustąpiło.

- To niemożliwe - powiedziała. Pan Centritto pokiwał głową, jakby nie był tym specjalnie zaskoczony. Westchnął.

- Ma pani metrykę urodzenia?

- Tak - odparła z takim entuzjazmem w głosie, że aż poczuła się głupio.

- Mógłbym ją zobaczyć?

- Nie mam jej przy sobie - przyznała.

Jej rozmówca westchnął jeszcze raz.

- Pani Cohen, muszę panią o coś zapytać. Czy pani to naprawdę przemyślała? Może to nie zadanie dla detektywa i powinna pani porozmawiać z kimś innym, z rabim, psychologiem, rodzinnym terapeutą...

Karen poczuła, że krew napływa jej do twarzy. On chce, żeby poszła do psychoanalityka! Tak jakby nie odwiedzała już trzech! Jezu Chryste, ona chce dłużej rozmawiać o tym, co czuje! Chce po prostu znaleźć tę przeklętą matkę a jeśli przy tym jest źle zorganizowana czy nieprzygotowana, to co, do diabła. Raz w życiu poczuła się trochę bezbronna i postępowała nielogicznie. Oto skutki, gdy kobieta tak się zachowuje. Słyszy, żeby poszukała sobie psychoanalityka i sprawdziła, czy jest zdrowa psychicznie. Tym razem oczy Karen naprawdę wypełniły się łzami, ale obok bólu czuła także wściekłość.

- Niech pan posłucha, panie Centrillo. Wiem, że nie przygotowałam się odpowiednio do tego spotkania.

Przepraszam. Byłam bardzo zajęta. Jeśli da mi pan listę informacji, jakich potrzebuje, postaram się je zdobyć. Czy wtedy będzie pan mógł odnaleźć moją prawdziwą matkę?

- Proszę, pani Cohen, niech się pani nie denerwuje. Wiem, że to wszystko jest bardzo trudne. Kto wie? Czasem idę do sądu albo do biura meldunkowego

i od razu trafiam w dziesiątkę. A czasem szukam latami i kończę w ślepej uliczce. Większość kobiet, które oddały swoje dzieci nie jest z tego dumna. Zaczynają nowe życie, przeprowadzają się, umierają. Bez względu na swe dalsze losy niekoniecznie chcą, by je odnaleziono. Rozumiem, że pani naturalna matka nigdy pani nie szukała?

Karen zdumiona usiadła głębiej w twardym krześle. Nigdy jakoś nie pomyślała, że matka mogłaby jej poszukiwać.

- Czy to byłoby możliwe? - wyszeptała.

- Cóż, zależy. W niektórych przypadkach matka ma więcej informacji z okresu urodzenia dziecka i przez to zadanie jest łatwiejsze. Ale ona także może trafić na dane utajnione. W szesnastu stanach, jeśli dane są tajne, ani pani, ani naturalna matka nie będziecie mogły nic zrobić, aby nawiązać kontakt. Nawet jeśli obydwie tego chcecie.

Łzy wypełniły oczy Karen i zaczęły spływać po policzkach. To takie strasznie smutne. Myślała o tych wszystkich rozdzielonych matkach i córkach szukających się na próżno. Pan Centrillo po prostu otworzył szufladę biurka i podał jej paczkę chusteczek. Zupełnie jak psychoanalityk. Łzy nie przestawały płynąć. Płakała długo, zupełnie jakby oszczędzała je na właśnie taką sytuację. W końcu otarła policzki i złapała oddech.

- To takie smutne - powiedziała wycierając nos. - Takie smutne. Pan Centrillo sięgnął przez biurko po chusteczkę i też wydmuchał nos.

- To prawda - westchnął.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Oświetlało ich wpadające przez okno słońce. Wreszcie Karen odetchnęła głęboko i sięgnęła do torby po filofax oraz pióro Mont Blanc.

- No dobrze - powiedziała. - Niech pan powie, co jest potrzebne do pomocy w poszukiwaniach.

Kiedy już ustalili to i sprawę honorarium, poszukała koperty z gotówką dla pracownika pana Centrillo. Starannie wypisał jej rachunek. Potem wstał i odprowadził Karen do wyjścia. W drzwiach przystanął i spoglądając na czysty parkiet, ujął ją za łokieć.

- Proszę pani - powiedział łagodnie. - Chciałbym jeszcze zapytać o jedną rzecz. Czy pani wie, czego szuka? Przecież nawet jeśli odnajdziemy prawdziwą matkę, może jej pani nie odzyskać.

Podala mu rękę. Jak miała wyjaśnić to wszystko, co działo się teraz w jej życiu?

- Zróbmy co do nas należy - odparła tylko. Corman, jej kierowca, czekał w ciasnej recepcji.

- Właśnie minęło pół godziny - powiedział. - Czy miałem wejść do pokoju? Pokręciła głową pozwalając, by pomógł jej zejść ze schodów, a potem wsiąść do samochodu. Defina jak zwykle ma rację. Karen przyda się każda pomoc.

Rozdział 15

Oferta

Pełen zamętu poranek minął Karen na odbieraniu gratulacji przez telefon i od pracowników. Wszyscy mówili to samo - zazwyczaj nie oglądają telewizji, ale wczoraj, właśnie wychodząc, włączyli na moment program Elle Halle i... Karen z trudem powstrzymywała się od śmiechu. Niemal równie zabawne było obserwować jak Janet, inne sekretarki, pani Cruz, a nawet Casey patrzą na nią z nowym szacunkiem. Zupełnie, jakby telewizja posiadała moc nadawania blasku pokazywanym wcześniej osobom. Odporni na efekty tego kosmetycznego zabiegu wydawali się jedynie Jeffrey i Bella.

Karen postanowiła ignorować męża, dopóki jej nie przeprosi. Mimo, że kłótnia pozostawiła w niej niemiłe, mdlące uczucie, zastosowała system PJNN. Praca jakby nigdy nic. W towarzystwie przyglądającej się Stephanie zajęła się umilaniem nieciekawej spódnicy wokół szczupłej talii Tangeli. Karen kilka razy sprawdziła ukradkiem, czy dziewczyna nie wydaje się naćpana, była jednak nie bardziej ponura niż zwykle. Właśnie miała zamiar pozwolić jej na chwilę przerwy, kiedy zadzwonił telefon.

- Kto mówi? - rzuciła głośno, wiedząc, że Janet ma włączony intercom.

- Telefon do pani - powiedziała sekretarka z ciężkim akcentem z Bronxu.

Karen klęczała na podłodze ze szpilkami w ustach, walcząc z nareczami piekielnej tkaniny i nie miała wcale ochoty podchodzić do telefonu. Janet powinna o tym wiedzieć. W końcu za to jej płaci.

- Kto mówi?-zapytała gniewnie jeszcze raz.

- Telefon do pani - powtórzyła Janet, a Karen - westchnąwszy z irytacją, co dało się słyszeć przez intercom - ciężko podniosła się na nogi i podeszła do stołu.

Jest już chyba za stara, aby siedzieć wygodnie na podłodze. Boże, czuła się taka zmęczona! Chwyciła słuchawkę.

- Kto to jest, do diabła? . .

- Bill Wolper. Pomyślałam, że nie chciałaby pani, aby ktos się dowiedział i, hm, zdenerwował, słysząc to nazwisko.

11 - Spóźniona moda

- A... tak, dzięki. Przełącz go - zgodziła się Karen, zmieniając nastrój. Spróbowała wziąć się w garść i odzyskać energię. Czy obejrzał program w telewizji i nareszcie dzwoni z propozycją? Ale to bez sensu; zadzwoniłby przecież do Jeffreya. A może NormCo postanowiło się wycofać i Wolper telefonował tylko przez uprzejmość? Nagle ogarnęło ją poczucie pustki i odrzucenia. To, że ona ich nie potrzebuje, nie oznacza, że chce być odepchnięta. Czy będzie zadowolona, czy rozczarowana, jeśli się wycofają? W telefonie brzęknęło, a Karen wzięła głęboki oddech.

- Halo - powiedziała, wkładając w to słówko maksimum pozytywnej energii oraz entuzjazmu i przesyłając ten ładunek przez otwory w słuchawce - Bill! Jak to miło, że dzwonisz!

- Proszę chwilę zaczekać. Łączę z panem Wolperem - rzuciła krótko sekretarka. Do licha! Karen nie znosiła takich sytuacji. Próbowała wziąć się w garść.

- Karen? - tym razem był to Bill Wolper. - Zastanawiałem się właśnie, czy masz jakieś plany na lunch?

- Kiedy? - zapytała, myśląc o przeładowanym zajęciami tygodniu i o pokazie w Paryżu. A już była strasznie zmęczona.

- Dzisiaj. Teraz. Powiedzmy, że za dwadzieścia minut przyślę po ciebie samochód. Ten facet oszalał, no i miał niezły tupet. To tak, jakby zadzwonić do dziewczyny w piątek wieczorem, chcąc się umówić na sobotę. W Rockville Centré mówiono na to O.O. - Odruchowa Odmowa - ponieważ, nawet jeśli ktoś nie miał nic do roboty, nigdy by się do tego nie przyznał. Tylko bardzo zdesperowana dziewczyna wyraziłaby zgodę.

- Zgoda - nieoczekiwanie dla samej siebie powiedziała Karen. Zapytała się w myślach stanowczo, czy tak postąpiłaby Coco Chanel? Ale co tam, nie jest przecież Coco. Zbudowała swoje życie na mówieniu „tak” w chwilach, gdy inne kobiety powiedziałyby „nie”. I odwrotnie.

Przez ułamek sekundy zastanawiała się czy nie spróbować wkroczyć i Jeffreya, nie wiedziała jednak gdzie go szukać, a poza tym zdawała sobie sprawę, że nie o niego tu chodzi. Do diabła z Jeffreyem. Czy będzie wściekły, że go pominięto? A może zazdrosny lub zaborczy? Nagle przestało ją to obchodzić.

- Mój kierowca będzie na ciebie czekał o wpół do pierwszej. Czy może być „Lutece”? - w głosie Billa słychać było aprobatę.

- Jasne - odparła z zadowoleniem. To najlepsza nastrojowa restauracja w Nowym Jorku. Nie zadając już sobie żadnych dalszych pytań, odwróciła się do siostrzenicy

1 do chrestnej córki.

- Zabawa skończona. Wychodzę - sięgnęła poprzez stół do torby, wyciągnęła studolarowy banknot i podała Tangeli. Nie rozmawiała z nią dotąd o jej kłótni z Definą, ale starała się być tak miła, jak to tylko możliwe. - Niech się

wyborą na lunch - powiedziała, a Stephanie zachichotała, rozpoznając naśladownictwo głosu Belli. Karen uśmiechnęła się do milczącej z niezadowoloną miną starszej dziewczyny. - Zabierz ją w jakieś miłe miejsce - zaproponowała.

Tangela sięgnęła tylko po pieniądze.

217

- Chodźmy - mruknęła i Stephanie wyszła za nią z pracowni. Karen, gdy została sama, wyciągnęła lusterko by ocenić jak wygląda. Wiadomości z frontu okazały się nie najlepsze. Twarz, która i tak z natury przypominała ziemniak, była do przyjęcia tylko po wklepaniu dobrego kremu nawilżającego, nałożeniu przejrzystego podkładu i pudru brązującego Guerlaine'a. Oczy były przekrwione, a na domiar złego włosy wyglądały dziś fatalnie. Potrząsnęła głową, ale nic nie było w stanie pomóc przylizanym, przez niejakiego Jean-Pierre'a nieefektywnym kosmykiem. Musi pozbyć się tego faceta i wrócić do starego druha - Carla. Rozumiał jej włosy, a wizyta u niego warta była jazdy do Brooklynu. Może zrobienie Karen nowej fryzury wprowi go w lepszy nastrój? Trzeba o tym pomyśleć. Spojrzała w lusterko.

Karen nigdy nie uważała się za kobietę naprawdę atrakcyjną i z całą pewnością nie była uwodzicielska. Zasadnicza, zawsze zbyt zażenowana by flirtować. Może po prostu czuje się niepewnie, pomyślała, i stąd wzięła się moja fascynacja strojem. Ubranie może odwrócić uwagę od niedoskonałej twarzy i ciała. Ale dlaczego wydaje się sobie tak niegodna uwagi?

Pomyślała o Belli. Czy nie do matki należy wprowadzenie córki w świat uwodzicielskiego flirtu? Czy to nie ona powinna nauczyć ją, jak być kobietą? Bella z całą pewnością zwracała uwagę na to jak Karen wygląda, jak się ubiera i czy jest umalowana, jak należy". Karen pamiętała jednak, że tak jak Tiff, upokarzał ją krytycyzm matki. Czy to dlatego nigdy nie czuła się na miejscu w roli wampa ani nie odnosiła sukcesów jako uwodzicielka?

Wszyscy obwiniają o wszystko matki, a może to Arnold jest przyczyną jej kobiecej niepewności? Czy to nie obowiązek ojca, pomóc córce poczuć się atrakcyjną kobietą? W odróżnieniu od Belli, Arnold nigdy jej nie krytykował. Po prostu nie zwracał uwagi na Karen, a^rzynajmniej nie jako na kobietę. Świadomie, czy nie, nauczył ją, że jeśli chce być zauważona, musi na to zapracować. To pomogło Karen, przy jej własnej pracowitości, stać się tym kim była.

Wzruszyła ramionami. Czyjej prawdziwym rodzicom lepiej by się powiodło? Jeśli pan Centrillo ich odnajdzie, będzie mogła odpowiedzieć sobie na to pytanie. Czy byłaby inną kobietą, gdyby wychowała ją niezamężna

nastolatka -jej przypuszczalna matka - porzucona przez chłopaka? Karen tłumaczyła sobie, że pewnie wyszłaby na tym gorzej i starała się w to uwierzyć. Takie ciało i twarz jej dali i chce czy nie, musi się z tym pogodzić.

Tak czy inaczej trzeba teraz zrobić wszystko, aby wyglądać jak najlepiej. A jeśli na samą myśl o flircie czuje się chora ze zdenerwowania, powinna postarać się tego nie okazywać.

Piętnaście minut później wyszła z hallu budynku nr 550 przy Siódmej Alei i ruszyła do czekającego na nią mercedesa. Niosła mały plik listów i notatek, by złagodzić poczucie winy z powodu ucieczki. Jej cera i usta były bez zarzutu, ale efekt kończył się na linii włosów. Uczesała je, ale nic poza tym nie dało się z nimi zrobić. Są granice tego, co dziewczyna może zdziałać w ciągu piętnastu minut, jeśli znajduje się po niewłaściwej stronie czterdziestki. Za to jej strój - tunika z bawełnianej dzianiny w kolorze zboża i krótka spódniczka - w zestawieniu ze

163

sobą - wyglądały świetnie, zaś zakiet z pięknej, miękkiej bawełniano-lnianej tkaniny litościwie kamuflował brzuch. Samochód Wolpera, jak łatwo było przewidzieć, okazał się boski. Karen usiadła wygodnie w sprężystym, szarym skórzanym fotelu. Czysty luksus. Przyciemnione okna i płynący z magnetofonu koncert Mozarta całkowicie izolowały od niemiłych hałasów ulicy. Po raz pierwszy od tygodni Karen próbowała się zrelaksować. Samochód był sto razy lepszy od limuzyn, jakie wynajmowała. Skąd się tu wzięłam? - pomyślała. - Jestem tylko miłą żydowską dziewczyną z Brooklynu, a siedzę w jednym z najbardziej luksusowych aut na świecie, które wiezie mnie do najbardziej szykownej restauracji w mieście. Potrząsnęła głową starając się to sobie uporządkować. Do tej pory, mimo rozgłosu jakim cieszyła się w ciągu ostatnich dwóch lat, Nagrody Oakleya i częstego oglądania swych projektów w pismach kobiecych, nigdy nie uważała, że to jej się należy. Karen wydawało się, że choć wspinaczka na szczyt była długa, ciężka i bolesna, a teraz otaczają rozgłos, jest raczej młodą, obiecującą projektantką, a nie gwiazdą o ustalonej pozycji na firmamencie. Luksus niezwracania uwagi w restauracji na ceny, możliwość kupienia biżuterii jaką chciała, stała, pięciocyfrowa suma na koncie przy korzystaniu z bankomatu - tego wszystkiego nie spodziewała się.

A co będzie, jeśli już na tym koniec? - zapytała samą siebie. Dotarła na szczyt i teraz czeka ją tylko ześlizgiwanie się w dół. Pomyślała o Tonym Freise, spotkanym podczas wręczania Nagrody Oakleya. Co on takiego powiedział? „Do zobaczenia na stokach”. Byłoby okropne, osiągnąć szczyt i dowiedzieć się o tym dopiero wtedy, gdy będzie już po wszystkim.

Nagle przejął ją chłód i poprosiła kierowcę, by wyłączył klimatyzację. Nie powinnam jechać na lunch - uświadomiła sobie. Wstrząsnął nią dreszcz. - Powinnam pracować nad paryską kolekcją. Jeśli ją zawalę, zawalę wszystko. Westchnęła. W tej branży jesteś tyle warta, co twoja ostatnia kolekcja. A dziś rano niczego nie wymyśliła i wiedziała, że, jak na razie, nowe modele nie zapowiadają się specjalnie ekscytująco. Kiedy zaczęła pracować jako projektantka, obiecała sobie dwie rzeczy. Będzie ubierać kobiety w stroje piękne ale wygodne; nigdy dziwaczne, czy ośmieszające, niosące ze sobą jakieś ograniczenia. Zadbaj także o prostotę projektów, tak, by wszystkie ubrania pasowały do siebie.

To, niełatwe już wtedy zadanie, stawało się coraz trudniejsze. Elegancka prostota nie jest prosta. Umiejętności Karen kryły się głównie w wiedzy o tym, jak piękne, zmysłowe tkaniny układają się i drapują. Zawsze rozglądała się za jakimś nowym, wspaniałym materiałem, tak jak Chanel, która, kiedy w 1934 roku pojawił się lastex, pokazała uszyte z niego zdumiewające stroje.

Inny sekret, to struktura ubrań. Były niepowtarzalne, ponieważ ich prostota nie dotyczyła kroju i szwów. Kaszmirowy wirujący zakiet zdawał się nonszalancko opadać od ramion w dół; ile pracy jednak wiązało się z krojem klosza ze skosu i uszyciem ramion! Małe płócienne bluzki świetnie leżały dzięki niemal niewidocznym zaszewkom, gdyż Karen, po latach doświadczeń, wiedziała jak i w którym miejscu zeszyć materiał. Takie same zaszewki musiały być jednak inaczej skrojone i umieszczone wyżej w bluzkach z jedwabiu. No i jej spodnie! Kobiety

220

biły się o nie. Karen potrafiła skroić nogawkę, zeszyć w kroku, dopilnować, by spodnie nie wrzynały się, nie naciągały, jednocześnie zmniejszając brzuch i uda oraz wydłużając nogi. Proste, tak, ale niełatwe.

Po latach nauki, latach wypróbowywania, co się sprawdza a co nie, zdobywaniu sobie pozycji w dzungli jaką jest świat mody, po latach walki o prasę, o markę o sprzedaż, wreszcie jej się udało. I oto jedzie teraz limuzyną ona, osoba, która dzięki swej pracy odniosła sukces, lecz wciąż stara się sprostać wiecznej tęsknocie za czymś nowym. W modzie nie wystarczy być dobrym, stylowym, eksponującym urodę. Trzeba także pokazywać rzeczy nowe. Karen musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Jej klientki nie kupowały ubrań dlatego, że ich potrzebowały. Kupowały, bo podniecała je nowość.

I jeśli stroje Karen okażą się klasyką - wieczną i nie podlegającą zmianom, choć będą pasować, pochlebiać właścicielce i sprawdzać się - odniosą porażkę.

Z biegiem „nowość” budziła w Karen coraz większą niechęć. Była twórcza, lecz podejmując to wyzwanie, sezon po sezonie, zaczynała odbierać je niby jakąś kiepską sztuczkę. Nowość, w odróżnieniu od innych wymogów mody, jak funkcjonalność czy estetyka nie była wartością samą w sobie. Dlaczego więc kobiety i prasa jej się właśnie się domagały?

Ostatniego sezonu przygotowała dobrą kolekcję, która mezle się sprzedała i otrzymała na ogół pozytywne recenzje. Jednak Women's Wear w sprawozdaniu z pokazu nazwała ją „odrobinę wymęczoną” i oskarżyła Karen o wykorzystywanie poprzednich modeli. Jeffrey powiedział, że wystarczy jeden, góra dwa złe sezony, by wypadła z gry. Zawsze ulubienica prasy, z niechęcią przyjęła te ostrzeżenia. Wciąż jeszcze czuła urazę. Tak jak przedtem zbudowali jej pozycję, tak teraz ją podgryzają. Takie prawa rządzą w branży. Nagroda Oakleya uczyni z niej tylko bardziej widoczny cel ataków z za węgla. Jeśli sprzeda firmę NormCo, nie będzie się musiała tak bardzo tym przejmować, ale czy zechcą ją, gdy nie odniesie sukcesu w Paryżu? Na samą myśl o tym przeszły ją ciarki. Przez chwilę żałowała, że zdecydowała się pojechać na lunch. Zapragnęła z powrotem znaleźć się w pracowni. Jeśli nie skoncentruje się na kolekcji... Aby oderwać się od tych myśli i usprawiedliwić swą obecność w samochodzie,

zajęła się zabranym plikiem korespondencji. Zabawne, ale kiedy otworzyła firmę, początkowo przeglądała rano całą pocztę. Wydawało się to czymś naturalnym - ostatecznie na wszystkich listach było jej nazwisko. Teraz Janet otwierała, sortowała i roznosiła większość z nich, zanim Karen zdążyła je zobaczyć. Mimo to, korespondencji było za dużo, by na bieżąco się z nią uporać. Teraz na kolanach Karen, pośród różnych wewnętrznych firmowych informacji i zwykłej korespondencji, leżały dwie ważne koperty. Pierwsza wykonana była z grubego kartonu. Janet wcześniej ją rozcięła, tak że Karen pozostało tylko wysunąć liścik. Tłoczony papier pokrywało eleganckie pismo.

Najdroższa Karen,

Na pewno zadowolona jesteś z rozgłosu, jaki Twoim cudownym strojom nadała prasa, nie możesz jednak być, choć w części, tak szczęśliwa jak

165

ja. Wiem, że prosiłam o wiele. Nikt poza Tobą nie byłby w stanie mi tego dać. Jesteś zdumiewająco utalentowana i uzupełniasz to ciężką pracą. Myślę, że wiedziałas jak wiele ten ślub dla mnie znaczył. Dzięki Twojej pomocy byłam dla Larry'ego tak piękna, jak tego pragnęłam. Na zawsze pozostanę Twoją dłużniczką.

Z gorącym podziękowaniem

Elise Elliot

Karen aż zamrugła oczami. Rzadko jej dziękowano i rzadko robiły to osoby w rodzaju Elise Elliot - ubierane przez Givenchy, Mainbochera i Marca Bo-hana od Diora. Podczas miodowego miesiąca znalazła czas, by do niej napisać. Ta chłodna, wymagająca kobieta miała klasę patrycjuszki. Karen była poruszona. Mała kwadratowa tekturka przyniosła jej odpowiedź na stawiane sobie pytania. Jechała samochodem na lunch dzięki swym zdolnościom i ciężkiej pracy. List był niby znak zesłany wtedy, gdy najbardziej go potrzebowała. Poglaskała kartonik i wsunęła do torebki. Nie był tym samym co Nagroda Oakleya, ale budził podobne uczucia.

Druga koperta nie zawierała tak przyjemnych wiadomości. Norris Cleveland, trzeciorzędna projektantka, zapraszała ją na promocję swych nowych perfum. Oczywiście, nazywały się „Norris!” Nowa kolekcja pani Cleveland była ładną podobną do jednej ze starych kolekcji Karen. Z wyjątkiem paskudnych kolorów. Karen pokręciła głową. Jakoś stale drażniło ją, że podczas gdy ona z trudem zdobyła pozycję, Norris otrzymywała wszystko bez wysiłku. Dlaczego Cleveland nie musi sprzedawać się temu, kto da najwięcej? Cóż, może musi. Karen zmięła zaproszenie i wrzuciła je do torby. Choć na to przyjęcie przybędzie tłum cudownych ludzi, nie sądziła, by perfumy okazały się Chanel Numer 5, Opium czy Obsession. U Norris zawsze pod pompą kryła się pustka. Karen nie zdziwiłaby się nawet, gdyby puste okazały się butelki perfum! Sukces Norris udowadniał, że talent nie jest rzeczą niezbędną. Może więc sukces Karen to też tylko przypadek.

Wyjrzała przez okno. Ludzie idący bliżej krawężnika, w pstrokatym tłumie przechodniów, próbowali zajrzeć do wnętrza limuzyny, by zobaczyć kto podróżuje w taki wytworny sposób. Przed ich spojrzeniami chroniły Karen przydymione szyby. Mogła być jedną z nich; ubierać się w poliester. Dlaczego trafiła tutaj i tylko ich obserwuje? Czym sobie zasłużyła? Jak długo to potrwa?

Rzecz jasna wiedziała, że Jeffrey, mimo iż zeszłej nocy zachował się jak idiota, pomógł jej wszystko osiągnąć i miał rację niemal we wszystkich sprawach. Słusznie zauważył, że Ford wzbogacił się produkując fordys, a nie lincol-ny. Amerykańskie *haute couture* nie przynosiło naprawdę wysokich dochodów. Pewnie dlatego zajmowali się nim tylko Jimmy Galanos z Zachodniego Wybrzeża i może jeszcze Scaasi. Nawet stroje o klasę niżej, najelegantsza odzież gotowa, stanowiły niepewny interes. „Markowe” ubrania były drogie, ale ich wykonanie także wiele kosztowało.

Sprzedaż na małą skalę nie zapewniała dużych zysków. Jedną zła kolekcja i już po tobie. Projektanci tacy jak Ralph Lauren, Donna Karan, Anne Klein czy inni, którzy się wybili, zrobili majątek na

223

tańszych kolekcjach i licencjach. Żadne z nich nie produkowało jednak swych rzeczy dla masowego odbiorcy. Bidermann Industries wytwarzało dla Ralpa Laury kobiece stroje w liczbie ponad pięćdziesięciu tysięcy modeli rocznie! Nic dziwnego, że finansowanie tańszej kolekcji bez partnera i bez prawdziwego kapitału zjadało ^Klnc. Trudno znaleźć firmę, która by wyprodukowała kolekcję Karen, dostarczyła ją na czas, utrzymała jakość i zaczęła na pieniądze. Jeśli więc nie chce spaść na poziom lepszych ubrań codziennych, typu Liz Claiborne czy Jones New York, musi znaleźć sposób na dalsze finansowanie tańszej kolekcji albo podpisać umowę z NormCo i mieć szeroką ofertę, od strojów eleganckich po rzeczy o cenach umiarkowanych.

Kierowca, manewrując wzdłuż chodników wypełnionych tłumem przechodniów, dotarł przez ruchliwe śródmieście do bardziej reprezentacyjnego otoczenia Wschodniej Ulicy Pięćdziesiątej. Tam właśnie, wtulona w inne mieszkalne budynki, stała kamienica, mieszcząca w sobie najlepszą nowojorską francuską restaurację. W czasie powolnej żeglugi przez śródmieście Karen miała dosyć czasu na przyjrzenie się samochodowi i jego wyposażeniu. Są limuzyny i limuzyny, pomyślała, zwracając uwagę na doskonałość wykładanego drewnem wnętrza, al-pakowy pled z monogramem „WW”, kryształowe karafki w srebrnych trzyma-dłach przykręconych do dzielącej od szofera przegrody i srebrny wazon (także opatrzony monogramem i przykręcony do ściany) z drżącą gałązką orchidei. Co Bill ma jej do powiedzenia? Denerwowała się. Kłótnia z Jeffreyem wytrąciła ją z równowagi. Nie cierpiała, kiedy się nie zgadzali. Poczła zagrożenie. Zupełnie, jakby była dostarczaną przesyłką.

- Bill, zdaje się, lubi mieć markowe rzeczy i wkładać je w ścianę - powiedziała głośno do szofera i w tej samej chwili omal nie ugryzła się w język. Jednak widocznemu w lusterku kierowcy nawet nie drgnęły powieki.

- Za chwilę będziemy - oznajmił jedynie. - Pan Wolper czeka na panią. Stał przy krawężniku, wysiadł i otworzył drzwi, zanim Karen zdążyła się

zorientować, że udzielono jej grzecznej reprymendy. Kiedy jednak wyszła z samochodu, poświęciła chwilę na oględziny szarego, dobrze skrojonego uniformu szofera i jego czapki, by sprawdzić czy one także oznaczone są podwójnym „W”. Nie były, ale to nie rozproszyło jej wątpliwości.

Wyglądziła spódnicę jednocześnie usiłując ukradkiem wytrzeć wilgotne dłonie. Dlaczego tak się boję - zapytała sama siebie, schodząc po dwóch niskich stopniach do drzwi restauracji, gdzie powitał ją André i, przez maleńką szykowną salę jadalną wprowadził do znajdującego się z tyłu, mniej oficjalnego zimowego ogrodu. Karen

uśmiechnęła się do Sherry Lansing, dyrektora „Paramount Pictures”, wieloletniej klientki, jedzącej właśnie lunch z nie kupującą w 3KInc Demi Moor. Rozpoznała także jednego z braci Kaufmanów, bilionera zajmującego się handlem nieruchomościami i przyjaciela rodziny Kahnów. Najwyraźniej było to miejsce na służbowy lunch, choć ona bywała tu tylko na obiadach.

Bill Wolper czekał już na Karen przy narożnym stoliku. Na widok swego gościa wstał, choć - jak zauważyła - nie pomógł jej usiąść lecz pozwolił, by wyręczył go w tym André. Zwróciła też uwagę, że sam zajął miejsce w kącie, a

ona

musiała zadowolić się krzesłem ustawionym plecami do sali. Czy tak się postępuje? Zaczynała utwierdzać się w przekonaniu, że nie lubi Billa Wolpera. Wtedy uśmiechnął się do niej.

- Dziękuję, że zgodziłaś się przyjść, choć zaprosiłem cię w ostatniej chwili - jego głos brzmiał tak szczerze, iż Karen odebrała to jako przeprosiny. A on, unosząc krzaczaste brwi, zwrócił się do kelnera. - Znasz panią Karen Kahn?

- Była w tym tygodniu w programie Elle Halle - tu spojrzął na Karen. - Proponuję, byśmy złożyli swój los w sprawne ręce André.

Kelner rozpromienił się.

- Pozwolę sobie polecić *homard*. Mamy ich tylko kilka i podaję je przepołowione, na zimno, jako przystawkę.

Bill popatrzył na swą towarzyszkę.

- Masz ochotę na homara? - zapytał, jakby potrzebowała tłumaczenia. Karen nie mogła się zdecydować, czy jest to dowód opiekuńczości czy protekcjonalności.

- *Je voudrais le homard, mais pas maintenant, merci. Une salade verte seulement, et après la salade, le homard, s'il vous plait* - uśmiechnęła się do obydwu mężczyzn. - *Je n'ai pas faim d'habitude au déjeuner* - skłamała. - *Ja-mais*. -

Tak naprawdę umierała z głodu, ale lepiej się nie objadać. Zaryzykowała na razie sałatę.

- *Je comprends, Madame. Moi aussi* - zgodził się André. - *Etpour vous?* - zapytał zwracając się do Billa.

Wolper odchrząknął, jakby odrobinę zbity z tropu. Znakomicie. Karen powstrzymała się od szerokiego uśmiechu.

- Dla mnie to samo - powiedział. - Chardonnay? - spojrzął na Karen. Pomyślała o merlocie Definy i będącym jego następstwem kacu. Mój Boże,

miała już na dziś dosyć alkoholu i sama myśl o białym winie przyprawiała o mdłości.

- Wiem, że to nie jest przyjęte, ale nawet do homara wołałabym czerwone.

- Mamy doskonałe bordeaux, *Nous avons un Bordeaux superieur* - zaproponował kelner.

Ale Bill rzucił gładko - Dlaczego nie rozpocząć od **Chardonnay**? - a André, przypominając sobie, jaka jest jego rola, szybko skinął głową i odszedł.

Karen zamrugnęła oczami. Facet najwyraźniej za wszelką cenę musi być panem sytuacji. Przez moment zastanawiała się, czy nie powinna nalegać na bordeaux, ale postanowiła tego nie robić. Zaczeka i zobaczy jaka oferta - jeśli jakaś w ogóle - zostanie przedstawiona. Serce w niej trzepotało, ale starała się patrzeć spokojnie na swego rozmówcę, choć siedząc plecami do sali czuła się bardzo skrępowana. Zastanawiała się, jak często Bill przyprowadza tu kobiety i oddziela w ten sposób od reszty gości. I jak wielu stałych bywalców zwraca uwagę na to, z kim Wolper je lunch?

- Program Elle Halle był znakomity - powiedział Bill. - I miałaś świetną prasę po ślubie Elise Elliot - dodał z aprobatą. - Oglądanie realizacji własnych pomysłów musi być cudownym przeżyciem. Karen znów zamrużyła oczami. Miał rację i dobrze to ujął. To było cudowne.

226

- Podobała ci się jej suknia?

- Podobały mi się opinie w prasie. Dzisiaj projektant musi być łączony ze znakomitościami. Wielu zaprasza po prostu na pokaz jakąś gwiazdę filmową. Wiesz, zatrudniają modelkę po to, aby przyszedł jej chłopak. Wielka sprawa. Twoje posunięcie było genialne. Elise Elliot! Lubią ją starsze kobiety, ale jest modna, i młodsze ją podziwiają. Ma klasę, pieniądze i styl. Mogłaby być dla ciebie tym, kim Audrey Hepburn dla Givenchy'ego. Jak to zrobiłaś?

Karen zastanawiała się, czy nie udać, że aranżowano to miesiącami, ale nie była w stanie.

- Po prostu mnie poprosiła - wzruszyła ramionami. - Sprawa była ryzykowna, ale sukienki wyszły nieźle. .

- Wyszły nieźle! Trafiłaś na okładkę „People” - roześmiał się Wolper. - Kiedy ją zobaczyłem, zastanawiałem się, czy nie zrobiłaś tego, by podbić cenę.

Karen uśmiechnęła się do niego. Czy to żarty? Nie wiedziała, co powiedzieć więc się nie odzywała. Najwyraźniej odpowiadało to Wolperowi, który kontynuował - Zabawna sprawa to powiązanie mody z interesami. Musiałem nauczyć się rozumieć kobiety - uśmiechnął się szeroko. - To nie takie proste. Bardzo podobało mi się to, co mówiłaś u nas w biurze w zeszłym tygodniu, ale nie zgadzam się z tobą. Już to wszystko słyszałem - kobiety chcą wygodnych ubrań itd. Nie sądzę, że tego właśnie pragną. A przynajmniej nie wtedy, gdy idą na zakupy - urwał. - Wiesz, czego szukają? - nachylił się i zajrzał Karen głęboko w oczy. Jak zahipnotyzowana pokręciła głową. - Szukają przygody. Nadziei, Ucieczki

- Nie wiedziałam, że centrum handlowe, to takie podniecające miejsce - rzuciła, czując się nieswojo, ale Bill się nie roześmiał.

- Myślisz, że żartuję? - zapytał. - Nie mówię o twoich prywatnych klientkach. Elise Elliot ma inne możliwości.

Pomyśl jednak, jak żyje większość kobiet. Pomagają dzieciom się ubrać. Pakują im drugie śniadania, podwożą dwójkę do szkolnego autobusu, a jedno do przedszkola. Jadą do banku albo firmy ubezpieczeniowej, by spędzić cały dzień przy komputerze lub szafce z aktami. Usiłują nie myśleć, że się starzeją, że mąż je rozczarował, że tak wiele czasu minęło, odkąd ktoś spojrział na ich nogi albo zajrzał w oczy. Unikają gorzkiej prawdy, że może nikt już tego nie zrobi. Potem wstępują do sklepu, jadą po jedno dziecko, zawożą gdzieś drugie, stawiają obiad na stole, zanim wrzucą pranie do pralki. Jedzą z mężem w milczeniu, podczas gdy dzieci opowiadają, jak minął im dzień. Po obiedzie może

szybkie odkurzenie i godzina przed telewizorem, kiedy dzieci już śpią. Rutynowy seks czy raczej w ogóle brak seksu. Starają się nie martwić o rachunek z karty kredytowej, nie zwracać uwagi na męża, który chrapie i śpi drugą noc z rzędu w tej samej podkoszulce. Wiesz, po co kobieta idzie na zakupy? Wiesz czego szuka?

Wciąż jak zahipnotyzowana, Karen pokręciła głową.

- Nadziei. Nadziei, że para błękitnych pantofli z wężowej skórki zmieni jej życie. Że suknia z wiskozy naprawi coś, co źle się ułożyło, a przynajmniej sprawi, że przez kilka minut po włożeniu jej pierwszy raz poczuje się lepiej.

Nazwisko na

169

metce uczyni cud i kobieta kupując ubranie od Karen Kahn stanie się Karen Kann; będzie miała takie życie jak ona. Karen, skrepowana, parsknęła śmiechem. Dzięki wizytom w domu towarowym Macy'ego, czasowi spędzonemu w centrach handlowych wiedziała, że Bill przynajmniej częściowo może mieć rację. Jego teoria wprawiała ją jednak w zakłopotanie.

- Moje życie wcale nie jest takie wspaniałe - powiedziała.

- Owszem - dla czytelników „People”. Kobieta, o której mówię, będzie czuła się winna, ale wyda trzydzieści dziewięć dolarów na butelkę *eau de parfum* sygnowaną odpowiednim nazwiskiem i będzie spryskiwać się tą wodą, jakby miała moc czynienia cudów.

- A co się stanie, jeśli cud nie nastąpi? - zapytała Karen. - Jeśli jej życie się nie odmieni?

- To właśnie najpiękniejsze - roześmiał się Bill. - Kupi perfumy innej firmy. Lepsze to, niż pożegnać się z nadzieją. Karen poczuła lekki zawrót głowy. Zaraz jednak przypomniała sobie badania rynku prowadzone przez Caseya.

- Perfumy na ogół kupują mężczyźni w prezencie dla kobiet - powiedziała. - Dwie trzecie sprzedaje się na Boże Narodzenie.

- Mądra dziewczyna. Ale to w niczym nie zmienia mojego stanowiska. Mąż tej nieszczęsnej kobiety nie wie, kim ona jest i czego chce. Może się jednak domyślić, kim chciałaby być. Więc kupuje jej marzenie w butelce. Żadna różnica. Nadszedł kelner, niosąc chardonnay. Nalał odrobinę do kieliszka Billa, a ten podniósł go, skosztował i zatwierdził. Napełnił więc kieliszek Karen, lecz ona uparcie zwlekała z sięgnięciem po niego. Bierny opór. Do diabła z Wolperem, jego teoriami na temat kobiet i zmuszaniem do picia wina. Fascynował ją, lecz jednocześnie odpychał. Był inteligentny, potężny, może nawet miał rację, ale nie była w stanie go polubić.

Kiedy znów zostali sami, Bill podjął przerwany wątek.

- Jesteś stworzona do sprzedawania takich marzeń. Twoje nazwisko jest powszechnie znane, nabywca kojarzy je z klasą, twardością i zdrowym rozsądkiem, a jednocześnie wielkomięskim polorem i oblataniem. Pozycja w sam raz na lata dziewięćdziesiąte. Rozwijasz się jak szalona, ale dla małej firmy mającej problemy z płynnością gotówki wzrost może okazać się niebezpieczny. Wiesz, co mam na myśli: większa sprzedaż oznacza więcej towarów; więcej towarów - większy dług; większy dług - większy procent, a większy procent - mniejszy zysk. Albo nawet brak zysku. Widzisz Karen, każdy głupek może kierować małą firmą, ale przekształcenie jej w dużą wymaga prawdziwych zdolności i odwagi. Nie ma miejsca na pomyłki - Wolper pochylił się ku niej. - Myślę, że ty i ja należymy do tego samego gatunku ludzi. Mamy odwagę i talent. Pozwól mi więc powiedzieć, co sądzę. Wiem, że bardzo opóźniłem złożenie wam oferty, ale nie wynikało to z braku zainteresowania. Mam nadzieję, że tak tego nie odebrałaś.

Karen pokręciła głową i pomyślała - dobre sobie! Zupełnie jakby Jeffrey nie dostawał wrzodów żołądka i nie zamierzali pognać do banku z ofertą, jeśli taka

170

będzie, by spróbować otrzymać jeszcze jeden kredyt. Czy Bill miał na myśli Jef-freya, gdy mówił, że każdy głupek może kierować małą firmą?

- Długo i starannie studiowałem dane przedstawione przez twego męża i sprawozdanie, jakie sporządzili Herb z Basilem - Bill urwał.

O Boże, pomyślała Karen, odrzuci ją. Powinna była wziąć ze sobą Jeffreya. Czy Wolper ma zamiar dać jej odprawę tu i teraz? Cóż, przynajmniej raz się to skończy. Na swój sposób czuła ulgę, choć cieszyła się, że nie ma przy tym żadnych świadków. Próbowwała się uśmiechnąć, ale wyschły jej wargi, a górna przykleiła się do zębów. Mimo to postanowiła, że nie napije się chardonnay.

- A zatem? - zapytała.

- A zatem jestem przygotowany do złożenia oferty, chciałbym jednak abyś zrozumiała, że składam ją wyłącznie tobie. To ty jesteś duszą tej umowy. Norm-Co chciałoby cię kupić za pięćdziesiąt milionów dolarów.

Karen poczuła, że krew odpływa jej z twarzy, a żołądek zaciska się, jednocześnie podchodząc do gardła. Czy dobrze usłyszała? Pięćdziesiąt milionów! To ponad dwa razy więcej niż wstępne przypuszczenia Jeffreya. O Boże! Ile on jej zaproponował? Czy się nie przesłyszała? Co jest grane? - chwyciła kieliszek i wypiła trzy duże łyki chardonnay. .

- Rozumiem - tyle zdołała z siebie wydusić. Szkoda, że przez te wszystkie lata nie grała w karty z Jeffreyem, Perrym i całą paczką, by móc zaprezentować teraz twarz pokerzysty: Zamiast tego, pokiwała tylko głową.

- Chciałbym, abyś zrozumiała, że prześledziliśmy uważnie przedstawione przez was dane i miałem zastrzeżenia do naciąganej wyceny. Prawdę mówiąc, miałem zastrzeżenia prawie do wszystkiego. Twój ludzie przecenili co tylko mogli - poza wartością kapitałową aktywów niematerialnych czyli atrakcyjnością firmy Tej zaś nie docenili - odczekał chwilę, jakby chciał, by te nowiny dotarły do jego towarzyszk. - Karen, powiem bez ogródek - uważam, że skoro mamy zacząć wspólne życie, musimy być wobec siebie uczciwi. Chcę abyś zrozumiała, że nie płacę pięćdziesięciu milionów dolarów za strukturę waszej firmy, wasze kontakty z mediami, plany sprzedaży czy przeceniony spis surowców na stanie; w dużej mierze bez wartości. Płacę je za ciebie.

Co on, u diabła, ma na myśli, zastanawiała się Karen. Robi nieprzystojną propozycję? Czy to należy do umowy? Po prostu odebrało jej mowę. Ale me na darmo pracowała przez tyle lat z głupimi, lecz cieszącymi się powodzeniem

modelkami. Wiedziała jak dobrze wypaść, nie mówiąc ani słowa. Wypiła łyk chardonnay i stanowczo odstawiła kieliszek. Weź się w garść, nakazała sobie w duchu Nie czas teraz na popijawę. Co się właściwie tutaj dzieje? - Myślę, że obydwójce wiemy w jakich punktach wartość twojej firmy została zawyżona, chciałbym ci jednak wskazać to, czego nie doceniliście. Myślę, że nawet ty nie zdajesz sobie sprawy, jakie drzemią w tobie możliwości. Możliwości, Karen. To właśnie mnie interesuje. A także talent. Talent i wizja. Tak - możliwości, talent, wizja i dyscyplina; prawdziwa wyliczanka - roześmiał się. – Każdą z tych cech trudno znaleźć, a niemal nigdy nie występują razem. Ty masz wszystkie cztery, a ja umiem to dostrzec. I mogę przekazać ci klucze do królestwa.

230

Jestem strażnikiem bramy twego przyszłego imperium; widzę je oczami duszy i wiem, że ty potrafisz zobaczyć to także.

Cóż, brzmiało zrozumiale. Dzięki Bogu, Wolper mówił tylko o interesach. Za chwilę jednak wyciągnął rękę i położył, promieniując ciepłem, na jej dłoni, ciągle zimnej od dotyku chłodnego kieliszka z winem.

- Z tobą będę mógł naprawdę szybko pójść do przodu. Szukam cię już od pewnego czasu - powiedział.

Karen nie wiedziała, czy w jego słowach kryje się jakieś ukryte oczekiwanie. Musiała wreszcie coś powiedzieć, ale miała wrażenie, jakby w jej głowie podskakiwało sto tysięcy dzieciaków wyśpiewujących chórem - „Pięćdziesiąt milionów dolarów! Pięćdziesiąt milionów dolarów!” Przypominało to głosy lalek z *Małego Światka* w Disney World, dokąd kiedyś zabrała Tiff. Mimo tego hałasu zdołała nakryć rękę Billa swoją dłonią.

- To, że tak we mnie wierzysz, jest dla mnie wielkim komplementem - powiedziała. - Dziękuję. Jestem naprawdę wzruszona.

To było prawdą. Może przemowa Wolpera stanowiła zwykły bajer, ale na pewno wywierała planowany skutek. Nie proponował, po prostu, wykupienia jej firmy. Mówił o stworzeniu czegoś wspólnie. Odczuła taką wdzięczność, że aż zakręciło jej się w głowie. Ten potężny mężczyzna, zdaje się, naprawdę w nią wierzy.

Nadszedł kelner z sałatkami i Wolper uwolnił rękę, by podnieść widelec. Karen po raz pierwszy w życiu w ogóle nie miała ochoty najedzenie. Oferta pięćdziesięciu milionów dolarów przed każdym posiłkiem... może w tym kryje się sekret udanej diety. Proste, ale skuteczne. Spojrzała na stojący przed nią talerz z sałatką. Nie była w stanie wziąć jej do ust, przeżuć i połknąć. Równie dobrze mogłaby zarzucić nogi na stół i urodzić dziecko. Boże, jak jej się kręci w głowie. Czy to sprawka wina, czy pieniędzy?

Wiedziała, że nie chce sprzedawać firmy, ale otrzymanie takiej propozycji było zaskakująco przyjemne. Podobnie jak przekonanie się, że tak wysoko ją oceniano.

Nagle uświadomiła sobie, że Jeffrey w żadnym wypadku nie pozwoli jej odrzucić takiej oferty. Śpiew w głowie gwałtownie ustał. Była zdecydowana nie sprzedawać firmy, wiedząc, że oferta nie pociąga za sobą takiej konieczności. Teraz jednak będzie musiała posłuchać rady Jeffrey'a. On wszystko zainicjował. Wchodzą w grę większe pieniądze niż którekolwiek z nich mogło sobie wymarzyć, a mąż kierował całą sprawą.

Ale czy naprawdę znał się na rzeczy? Bill twierdził, że Jeffrey zawyżył wartość firmy o ponad sto procent. Czyżby przejrzał jego sztuczki i chciał w ten sposób powiedzieć Karen, że ma kiepskich współpracowników? Nie dostrzegli czy nie docenili tego, co jest naprawdę wartościowe, a Jeffrey i prawnik Robert nie najlepiej sprawdzili się w

interesach... Mąż ma na swoją obronę to, że nigdy dotąd nie sprzedawał firmy, ale czy Robert nie powinien przygotować ich oboje na taką sytuację?

Cóż, nic za darmo. Wiedziała o tym. Igrała z ogniem i spaliła się. Pięćdziesiąt milionów dolarów to oferta, której nie może odrzucić. Z czego jednak, tak

172

naprawdę, będzie musiała zrezygnować? Z jakiej części autonomii? Co się zmieni wraz ze sprzedażą?

- Jak wyobrażasz sobie naszą wspólną pracę? - zapytała.

- Jako bardzo bliską-odpowiedział.

Karen zastanawiała się, co naprawdę miał na myśli.

- Wiesz, nie jestem wcale taką straszną egocentryczką. Wierzysz mi?

- Tak. Na tym, między innymi, polega twoja siła. Jesteś za to bardzo ambitna - uśmiechnął się. - Rozumiem na czym polega różnica. Sporo o tobie wiem.

W tej samej chwili kelner przyniósł połówki homara z cudownym domowym majonezem, który w niczym nie przypominał zawartości słoików od Hellmanna. Karen nabrała na widelec kawałek mięsa, zanurzyła w majonezie i zjadła odrobinę. Nie czuła żadnego smaku.

- Podniecająca myśl - powiedziała. - Pozwól, że zadam ci jedno pytanie. Wiesz jakie mamy zyski. Musisz wiedzieć, że zadowolilibyśmy się dużo mniejszą sumą. Dlaczego zaproponowałeś pięćdziesiąt milionów?

- Nie jestem organizacją dobroczynną - Bill był równie bezpośredni. - Ale taki zakup przypomina małżeństwo. Do niczego mi się nie przydasz, jeśli będziesz nieszczęśliwa, załamana czy pełna pretensji, jeśli będziesz uważać się za oszukaną. Cynik powiedziałby, że kupuję po prostu twoje nazwisko, w takiej sytuacji jednak zaproponowałbym dużo mniej. Ja chcę ciebie, a to oznacza umowę na wyłączność przez dwanaście lat. Albo pracujesz dla mnie, albo wcale... -urwał. - Swoją drogą, nie wyobrażaj sobie, że zapłacimy centa więcej. Wykluczone. Herb będzie teraz prowadził negocjacje z twoim mężem i resztą kierownictwa. Będą chcieli dostać więcej. My odmówimy. Będziemy stawiać wygórowane wymagania, a potem z niektórych się wycofamy. Ale to tylko zasłona dymna: wyłączność praw nie podlega negocjacji. Chcę abyś o tym wiedziała. Przynętę stanowi gotówka i kapitały, a także twoja wiara, że podzielam twoją wizję. Będziesz musiała za to zaakceptować wyłączność umowy. Takie są warunki.

Karen nigdy nie miała uzdolnień matematycznych i dokonanie obliczeń chwilę jej zajęło. Dwanaście lat! Za parę miesięcy obchodzi czterdzieste trzecie urodziny. Oznacza to, że kiedy kontrakt wygaśnie, będzie miała pięćdziesiąt

pięć lat. Pięćdziesiąt pięć! Poczwała niemiły skurcz żołądka, a homar w nim podskoczył. Jeszcze raz pożałowała, że piła chardonnay.

Fala mdłości podeszła jej do gardła. No tak. Czy nie bała się, co czeka firmę, jeśli choć jedna kolekcja okaże się nieudana? Czy taka oferta nie oznacza ratunku i zabezpieczenia finansowego już na zawsze? Ale jak to będzie, kiedy inni ludzie podpiszą własną pracę nazwiskiem? I ta kontrola, nadzór nad wszystkim! Już teraz jest przepracowana, a co dopiero mówić o nowej sytuacji.

- Na pewno słyszałaś, Karen, o porażkach w tej branży - Bill popatrzył na nią uważnie. - Nie chciałbym, abyśmy wojowali ze sobą jak Chanel z Wertheimersami.

Karen musiała się uśmiechnąć. Czy Bill wie, że jest wielbicielką Chanel? Czy też ma jakiegoś Centrillo, który zbiera dla niego takie informacje? A może jedno i drugie? W 1924 roku Chanel popełniła największy błąd. Oddała prawa

do

perfum za jedynie dziesięć procent udziału w zyskach. Przez pięćdziesiąt lat, mimo ciągłych procesów i prawniczych forteli, dziewięćdziesiąt procent pozostało przy Wertheimerach, a kiedy Chanel umarła, dostali wszystko. Do tej pory stanowili jedną z najpotężniejszych korporacji w świecie mody.

- To znaczy, że proponujesz mi więcej niż dziesięć procent? - zapytała.

- Tak, ale proszę o wiele. Chciałbym, żebyś zastanowiła się i odpowiedziała mi uczciwie, czy chcesz przyjąć ofertę. Czy to stanowcza decyzja, czy jesteś pełna energii, gotowa dać z siebie więcej i pracować więcej niż dotąd. Nie mam ochoty wykupywać neurotyczki czy próżniaka. Taki jest mój warunek.

Uśmiech zniknął z twarzy Karen. Jak będzie mogła pracować jeszcze ciężiej? O Boże, przecież ona już jest przemęczona! Zabierając się za ten interes, myślała, że sprzedanie firmy może dać jej więcej wolnego czasu. Cienkie głosiki jednak wciąż śpiewały w głowie: „Pięćdziesiąt milionów dolarów!” Potrząsnęła głową.

- Muszę to sobie dokładnie przemyśleć - powiedziała.

- Spodziewałem się tego. Słuchaj, nie musimy już teraz informować reszty twoich ludzi. Nie ma sensu, żeby się podniecali, jeśli ty masz zamiar się wycofać. Dopóki nie dasz mi znać, ta sprawa zostanie tylko między nami. A jeśli powiesz „nie”, ja po prostu nie złożę oficjalnej oferty.

Karen uśmiechnęła się z wdzięcznością. To miło z jego strony. Miała wyjście z sytuacji, które może ocalić jej małżeństwo. Wolper to inteligentny, sprytny mężczyzna.

- Jeszcze jedno, Bill. Jeśli się na to zdecyduję, chcę byś zagwarantował, że nie zwolnisz żadnego z moich pracowników. Mam zamiar rozdzielić między nich część udziałów w firmie, ale nie chciałabym, żeby okazały się rodzajem odprawy.

- Hej, będziemy musieli zatrudniać ludzi, a nie ich zwalniać - powiedział Bill. - Nie jestem tylko pewien czy podoba mi się to rozdawanie akcji. Chciałbym, żeby większość udziałów pozostała przy tobie.

- Niektórzy z nich są ze mną od samego początku. Jeśli mam podpisać z tobą umowę, muszę tak postąpić - odparła. Bill zastanowił się chwilę nad jej słowami.

- Jak chcesz - wzruszył ramionami. - Ale wątpię, czy to docenią.

Karen popatrzyła na niego z wdzięcznością. Czy jej się zdaje, czy on naprawdę ją rozumie? Tak czy inaczej okazał się kimś zupełnie innym, niż się spodziewała. Jak teraz postąpić? Powiedzieć innym o ofercie, czy poczekać na własną decyzję? Bill dał jej wybór. Popatrzyła na ogorzałą, przystojną twarz po drugiej stronie stołu.

- Dziękuję - powiedziała i była przy tym zupełnie szczerą.

- Traktuj to jako prezent ode mnie - uśmiechnął się.

Bill, wysiadając na rogu Pięćdziesiątej Ulicy i Park Avenue, nalegał by Karen jechała dalej jego limuzyną. Ona jednak miała spotkanie z panem Centrillo w barze „Soup Burger” u zbiegu Lexington i Osiemdziesiątej Ulicy i w żadnym

235

wypadku nie miała ochoty, by kierowca opowiedział o tym swemu pracodawcy. Wyglądało na to, że i bez dodatkowej pomocy wie o niej wystarczająco dużo. Poprosiła więc szofera, by wysadził ją na Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy przy bibliotece, a kiedy już upewniła się, że odjechał, przeszła na Lex, do baru. Chór głosików śpiewał w takt jej kroków, swą piosenkę o pięćdziesięciu milionach dolarów. Karen nie wiedziała co właściwie czuje, ostatecznie nie miała w takich sprawach żadnego doświadczenia. Oczywiście, ona i Jeffrey dostaną tylko część pieniędzy. Gdy odejmie się honoraria dla prawników, bonusy, rozdzielone akcje, udziały będące już w posiadaniu jej i rodziny Jeffreya, zostanie znacznie mniej. No i trzeba będzie zapłacić podatki. Ale to i tak masa forsy. Więcej niż potrafi zużyć. Nie potrzebuje przecież drugiego domu ani większego samochodu. Nie przychodziło jej do głowy nic, poza dzieckiem, czego by naprawdę pragnęła. Chciała poradzić się kogoś, mogła jednak przewidzieć co rodzina i każdy z przyjaciół jej powie. Bella oświadczy, że byłaby wariatką nie przyjmując oferty, dając do zrozumienia, że ci którzy ją składają, oszaleli. Defina poradzi, aby posłuchała swej intuicji. Mercedes, podniecona, z fałszem w oczach, będzie udawała, że nie nalega na sprzedaż, jednocześnie obliczając w myśli swój udział. Casey zdenerwuje się jeszcze bardziej, a Carl powie, że warta jest czegoś lepszego. Ale to nie o nich się martwiła. Chodziło o Jeffreya.

Weszła do „Soup Burger” i uśmiechnęła się z ulgą na widok szerokiej twarzy pana Centrillo. Na głowie miał letni kapelusz, coś pośredniego między fedorą a panamą. Klepnął dłonią w stojące obok puste krzesło. Bar był maleńki - ruszt, lada, a wzdłuż ścian kilkanaście stołków. Karen z ulgą usiadła. Miała zawroty głowy, jakby dopiero co kręciła się na obrotowym siedzeniu stołka, krytego czerwoną imitacją skóry.

- Co nowego, pani Cohen?

Cóż, właśnie zaoferowano mi olbrzymią fortunę, pomyślała. Ale żeby ją dostać, muszę zrezygnować z wolności. I może jeszcze przespać się z szefem. Nie wydawało jej się, że powinna właśnie o tym opowiedzieć panu Centrillo. Wyglądał, jeszcze bardziej niż w małym biurze w Brooklynie, na człowieka stojącego mocno na ziemi. Próbowwała pozbiierać myśli.

- Hm, właściwie to trochę się martwię. Kłopoty w pracy. Ale ta sprawa jest dla mnie bardzo ważna. Czy ma pan jakieś nowiny? - tego jest po prostu za wiele. Co zrobi jeśli on teraz powie, że spotkał jej prawdziwą matkę?

I nagle uświadomiła sobie, że to jej właśnie, prawdziwej matce, pragnie o wszystkim opowiedzieć. Nie Belli, nie Carlowi, i na pewno nie Jeffreyowi. Chciała pochwalić się kobiecie, która ją porzuciła, że jest warta pięćdziesiąt milionów dolarów.

Ale Centrillo pokręcił tylko głową.

- Przykro mi. Jedyne nowiny to brak nowin. Bez większej ilości danych poszukiwania potrważą jakiś czas. Jeszcze nie zbadałem wszystkich możliwości, ale na razie do niczego nie dotarłem. Przykro mi - powtórzył.

No tak, czego mogła się spodziewać? Już jako dziecko miewała zachcianki

1 to jej zostało. Żadna mama nie czeka na nią po drugiej stronie tęczy. Jest tak

175

samo głupia, pełna nadziei i bezbronna jak ptaszek z książki „Czy jesteś moją mamusią?”, którą czytała kiedyś Stephie. Dlaczego nie wyjdzie po prostu na Lexington Avenue i nie zapyta latarni i gołębi, czy to one ją urodziły.

- Czy ma pani coś jeszcze do przekazania? - zapytał Centritto, a ona przypomniała sobie o zdjęciach. Bez słowa pokiwała głową i przekopała torbę w poszukiwaniu dwóch fotografii. Wcześniej myślała, że zginęły, ale znalazła je w końcu w kieszeni żakietu, który włożyła na ślub Elise Elliot.

- Proszę - powiedziała, podając je detektywowi. - Nie wiem, gdzie i kiedy je zrobiono, ale ja jestem na nich.

- Urocza. Naprawdę urocza - brzmiało to, jakby naprawdę tak myślał. Obejrzał zdjęcia z drugiej strony, ale nie było żadnego znaku pozwalającego je zidentyfikować. - Proszę posłuchać. Czy miała pani okazję porozmawiać o tym z ojcem? - Karen w milczeniu pokręciła głową. - Cóż, proszę wziąć to pod uwagę. Nawet kilka faktów może pomóc. Miejsce i data - to dobry punkt wyjścia, ale nazwisko będzie czymś jeszcze lepszym - Centritto popatrzył na nią życzliwie. - Wiem, że to niełatwe, ale to pani jedyna szansa.

Karen westchnęła. Nie bardzo mogła sobie wyobrazić poruszanie takiego tematu z Arnoldem. Jak to możliwe, że ona, taka odważna w innych sytuacjach, boi się zadać proste pytanie? Może to typowe dla każdego zaadoptowanego dziecka. Mają tak głęboko zakorzeniony brak poczucia bezpieczeństwa, że nie są w stanie wypytywać rodziców, którzy ich przyjęli. Ale pewnie będzie musiała to zrobić. Co on jej powie? Czy może poprosić, by o niczym nie wspominał Belli? Czy bardzo się zmartwi?

- Nie sądzę, pani Cohen, abym był w stanie zrobić cokolwiek więcej, dopóki nie otrzymam jakichś informacji.

- Porozmawiam z nim - obiecała.

Dała detektywowi numer telefonu w biurze, który odbierała tylko ona. Musi pamiętać, by nie przedstawiać się własnym nazwiskiem. Wyszli z restauracyjki. Centritto poszedł Lexington Avenue w stronę metra, a Karen stała i patrzyła za nim. Dławiło ją w piersiach. Chór głosików w głowie umilkł i zdała sobie sprawę, że jeszcze nigdy w życiu nie była taka zmęczona. O niczym nie mogła opowiedzieć Jeffreyowi, a w biurze czekała na nią nie dokończona, przeciętna paryska kolekcja. Pomyślała, że zaraz tu, na rogu ulicy, rozleci się na kawałki.

Gdyby Bill Wolper wiedział, jak naprawdę się czuła, nie dałby za nią złamanego grosza.

Rozdział 16

Kolekcja

Karen wróciła do domu wcześniej, a następnego dnia spała do późna, wzięła wolne przedpołudnie i poszła do Metropolitan Muzeum. Ominęła Zakład Kostimologii, za to przez godzinę w *Annenberg Galleries* napawała się kolorami Maneta, Fantin-Latoura i innych ulubionych malarzy.

Zabawne, ale nie zwracała większej uwagi na najślawniejszych twórców tego okresu. Monet był cudowny ale jakoś zbyt prosty, a Renoir właściwie ją przygnębiał - te wszystkie ciała, miękkie jak zepsuta brzoskwinia! Karen odwróciła wzrok, sycąc oczy tylko tym, co sprawiało jej przyjemność: martwą naturą przedstawiającą bratki w glinianym dzbanku i portretem kobiety w ciemnej sukni. W drodze do wyjścia natrafiła na dziwny niewielki obraz - utrzymane w odcieniach szarości i czerni studium łodzi. Wyglądało na dzieło Couberta. Karen wpatrywała się w nie. Przypominało coś, co oglądała na filmie czy może we śnie. Nie mogła jednak wydobyć tego z pamięci, choć wydawało się bardzo bliskie.

Wyszła z muzeum o jedenastej. Na dworze była mżawka. Przeszła przez Piątą Aleję, kierując się na wschód, w stronę Osiemdziesiątej Ulicy. Minęła Park Avenue i „Junior League”, klub, do którego wciąż należało wiele jej bogatych klientek. Spojrzała na chodnik i zauważyła na nim idealne odciski liści miłorzębu, które musiały opaść tu któreś poprzedniej jesieni, kiedy wylano beton. Zarysy trzech idealnych wachlarzyków zostały na szarym chodniku, podczas gdy same liście dawno przepadły. Te nowojorskie skamieliny miały w sobie więcej wdzięku i delikatności niż deluwialne skorupiaki, oglądane przez Karen w muzeum. Duchy liści były idealne i piękne. Karen zastanawiała się, czy któraś z kobiet należących do „League” kiedykolwiek je zauważyła.

A co ja pozostawię po sobie, pomyślała? Wielki majątek, który będą mogły wydawać moje siostrzenice i ich dzieci? Kilka szkiców umieszczonych może w archiwach szkoły Pratta? Wzmiankę w książkach na temat historii mody? Karen uświadomiła sobie, że nie pamięta, kiedy ostatni raz było jej dobrze. Czowała zmęczenie, wyjałowienie; może smutek. Była już na tyle doświadczona by rozumieć,

12 - Spóźniona moda

że przyjemności i prawdziwa radość pojawiają się zwykle w nieoczekiwanych chwilach. Ot, blask słońca na rzece Hudson, gdy Karen szła biegnącą wzdłuż nabrzeża Siedemdziesiątą Dziewiątą Ulicą; Jeffrey patrzący na nią lub niespodziewanie dostrzeżony w tłumie, albo śpiący na sofie.

Promienie zachodzącego słońca, gdy wpadają przez okna i biegną przez cały pokój, odbijając się w wypastowanej podłodze, są samą radością. Nie da się jej przyprzeć do muru, można jej tylko szukać. Karen doświadczała radości w chwilach spokoju, zwykle w samotności. Czowała wtedy, że przebiega ją dreszcz i że dla takich chwil żyje. Kiedy ostatni raz zdarzyło się coś podobnego?

Oferta NormCo czyniła ją bogatszą niż mogła to sobie wyobrazić, ale z pewnością nie przynosiła żadnego wzniosłego uczucia. Przeciwnie, przez dwadzieścia cztery godziny, które minęły od spotkania z Wolperem czowała więcej wewnętrznych sprzeczności i konfliktów, niż kiedykolwiek. Cieszyła się, że Jeffrey pracował do późna w nocy i wrócił, gdy ona leżała już w łóżku. Spał w gościnnym pokoju i wyszedł zanim wstała.

Nie powiedziała mu o lunchu z Wolperem. Chciała upewnić się najpierw, jakie są jej własne odczucia. Co te pieniądze jej dadzą? Nie chciała drugiego domu, a że nie znosiła prowadzić samochodu, też sobie go nie życzyła. Za pieniądze, szczególnie duże, można kupić wolność, ale ona swoją wolność sprzedawała. Dwanaście lat. Oferta NormCo w niczym nie ułatwi jej życia. Już je skomplikowała. Nawet jeśli Jeffrey zmięknie i pozwoli na adopcję, jak znajdzie czas dla dziecka, pracując jeszcze więcej niż zwykle?

Źle się czuła mając tajemnicę, wiedziała jednak, że jeśli w pewnej chwili zdecyduje się ją wyjawić, będzie musiała poradzić sobie z oczekiwaniami, obawami i nadziejami innych ludzi - Caseya, przeciwnego sprzedawcy, pani Cruz i większości pracowników obawiających się jej, Mercedes tak żadnej zysków ze swoich udziałów, że ledwo panującej nad sobą i Jeffreya, który w ogóle stracił opanowanie. Karen czuła presję ze wszystkich stron i oferta stanowiła w tej chwili, jakby jeszcze jedną przeszkodą w ukończeniu paryskiej kolekcji.

Tylko Defina, poczciwa, stara Defina pozostała niewzruszona i nie opowiadała się po żadnej ze stron w sprawie umowy. Kiedy więc Karen przyszła w końcu do pracy, po prostu musiała opowiedzieć jej o lunchu z Billem i jego propozycji. Przyjaciółka wysłuchiwała wszystkiego w milczeniu.

- Pięćdziesiąt milionów, co? Cóż, facet wie jaką przynętę założyć na haczyk - przyznała.

- Ale co ja mam robić? - zapytała Karen. - Nie wiem jak postąpić.

- Dowiesz się - powiedziała Defina. - Tylko nic nie rób do czasu, aż będziesz pewna czego właściwie chcesz.

To właśnie Karen spodziewała się od niej usłyszeć.

Cały dzień ciężko pracowała, chcąc nadrobić swą nieobecność. Zrobiło się późno, minęła dziesiąta wieczór. Defina ciągle jeszcze krzątała się po firmie, podśpiewując jakąś starą, kiepską piosenkę Michaela Jacksona. Karen o tej porze miała już ponad pięćdziesiąt nowych szkiców, przyklejonych przed nią w rzędach na ścianie.

178

- Czy możesz przestać śpiewać? - zawołała zirytowana. Ze wszystkich słyszanych przez nią osób Defina robiła to najgorzej.

- Chodzi ci o mój głos?

- To ta głupia piosenka - Karen wstała, przeciągnęła się i przetarła oczy. Boże, jaka ona jest zmęczona! Podeszła do okna i popatrzyła na wstęgę światła tworzoną przez reflektory samochodów i ciężarówek jadących Siódmą Aleją. Dzięki Bogu, że trzyszybowe okna nie przepuszczają hałasów z ulicy! Piosenka Jacksona jest już wystarczająco okropna. Karen potrzebowała czasem trochę ciszy.

Defina tym razem zdawała się nie dostrzegać jej nastroju; chciała porozmawiać. Karen nie bardzo mogła jej powiedzieć, by się zamknęła, ponieważ przedtem sama wygoniła tyradę na temat oferty Wolpera

- A więc sądzisz, że wykorzystanie Stephie jako modelki to dobry pomysł?

- A co? Masz z nią jakieś kłopoty?

- Nie. To miła dziewczyna - Dee pokręciła głową. - Ale po co ja się ciebie pytam. Ty widzisz tylko to, co chcesz widzieć. Przypuszczam, że nie zauważyłaś nawet, jak twoja siostrzenica schudła.

- Stephie?

- Cóż, na pewno nie Tiff.

Karen zastanowiła się nad tym. Twarz Stephanie wydawała się ostatnio bardziej wymizerowana, ale żeby dziewczyna straciła na wadze? Nie miała wiele do stracenia i wyglądało na to, że jest w dobrym nastroju, choć może trochę przytłoczona sytuacją.

- Myślę, że wszystko z nią w porządku - powiedziała, wracając do pracy.

- Kogo chcesz zabrać do Paryża?

Bez dalszych wyjaśnień Karen wiedziała o co chodzi przyjaciółce. Zawsze mówiły skrótami i czytały w swoich myślach. Tym razem miała jednak dużo poważniejsze problemy niż ustalanie, jakie modelki zaprezentują kolekcję. Była przerażona. Pytanie nie powinno brzmieć - kto zaprezentuje, ale co będą prezentować. A także, kto przyjdzie zobaczyć pokaz i co na ten temat powie.

- Nie wiem. Może Tangelę? - Karen znów popatrzyła na przyklejone do ściany szkice. Dwa z nich zerwała, zmięła i wyrzuciła do kosza.

- Chyba nie mówisz serio?

- Oczywiście, że tak. Może to jej poprawi samopoczucie.

- Cóż, nie rób tego ze względu na mnie. To zresztą pewnie i tak nic nie pomoże. Tak czy inaczej, Tangela nie jest gotowa na wyjazd do Europy.

Było coraz mniej czasu na zarezerwowanie dziewcząt. Te najlepsze i najdroższe miały zajęte terminy ze sporym wyprzedzeniem, ale budżet Karen i tak nie pozwalał na najmodniejsze modelki. Będzie musiała zatrudnić młodsze dziewczyny, takie, dla których samo przejście po paryskim wybiegu to przeżycie. Oczywiście, łączy się z tym pewne ryzyko. Mają treść, nie potrafią odpowiednio zaprezentować ubrań. Na szczęście Karen miała tajną broń - Definę. Potrafiła nauczyć chodzenia po wybiegu każdego, może z wyjątkiem Tangeli, która nie chciała przyjmować żadnych lekcji od swojej matki. Popatrzyła na przyjaciółkę.

241

- Dlaczego nie zebrać tej samej bandy, co zwykle? - zapytała Defina. Karen odwróciła się plecami do ściany i jeszcze raz przetarła oczy. Kolekcja

nie wychodziła. Znowu ogarnął ją strach. Ona po prostu nie umie tego zrobić.

- Może Melody Craig? - zapytała leniwie Dee.

- W porządku, ale to taki białas. Trzymajmy się modelek etnicznych. Co powiesz na Marię Lopez?

- Na miłość Boską nie zabieraj Marii! To Latynoska.

- Przestań Defina! Nie chcę słuchać żadnych rasistowskich obelg.

- Hej, to latynoska zdzira. Nie podoba mi się jej zachowanie, a nie rasa. I mogę przysiąc, że bierze narkotyki.

Wszystkie dziewczyny z Ameryki Południowej to robią.

- Tak, a wszyscy czarni mają poczucie rytmu. Może z wyjątkiem ciebie. Daj spokój, Dee! Dość tych stereotypów.

- Skarbie, niektóre stereotypy są prawdziwe. A ja mam wycucie rytmu, tylko nie umiem śpiewać - Defina znów zaczęła nucić piosenkę Michaela Jacksona.

Karen zastanowiła się przez chwilę. Cóż, skoro nie wychodzą jej ubrania, mogłaby przynajmniej znaleźć właściwe modelki. Pokaz dzięki nim wiele zyska.

- Zabieram Marię. I Tangelę. I Armie. I Lucinę. Chcę mieć prawdziwe Amerykanki, a poza tym one wszystkie umieją nosić moje rzeczy.

- Armie jest dla nas za droga, nie mówiąc o tym, że pewnie ma zajęte terminy. Nie patrz tak na mnie! Ty ją wy lansowałaś. A Lucinda nie potrafi chodzić po wybiegu. To tylko modelka z pracowni.

- To ją naucz.

- Nie tak łatwo. Sama o tym wiesz.

- Na miłość Boską, Defina, to tylko prezentowanie ubrań, a nie konstrukcja rakiet.

- Spróbuj sama przespacerować się wybiegiem przed tysiącem par krytycznych oczu. Zobaczysz, jakie to łatwe.

- Wiem, że trzeba mieć specjalne zdolności. Ale myślę, że Lucinda właśnie je ma. Ona mi się podoba. Właśnie dlatego ją zatrudniłam.

- Czy masz zamiar wzniecać jeszcze jakieś pożary? - zapytała Murzynka, kręcąc głową. Tanecznym krokiem wyszła z pokoju, znowu śpiewając denerwującą piosenkę Jacksona.

Już od dwunastu lat Defina nazywała Karen podpalaczką.

- Rozniecasz je i spodziewasz się, że my wszyscy - ja, Jeffrey, Casey, Mercedes i inni - będziemy twoją brygadą straży pożarnej - narzekła.

Karen musiała przyznać, że jej przyjaciółka ma rację, lecz zadowolona była z takiego podziału ról. Dobry, twórczy pomysł przypomina iskrę i tak jak ona wznieca pożar. Bez względu na to, czy chodziło o nowy, ale niezbędny rodzaj guzika, czy też szybką wypłatę od pośrednika, potrzebną na zakup nowego luksusowego materiału, w którym właśnie się zakochała, Karen czuła, że jej zadanie polega na wabieniu, przywoływaniu i chwytaniu pomysłów z powietrza czy skąd-kolwiek się brały. A zadaniem jej pracowników było wprowadzić je w czyn. Wymagało to pracy zespołowej i Karen udało się skompletować dobry, a nawet zna-

243

komity, oddział straży pożarnej. Szkoda, że tym razem ona sama zawiedzie. Pokaże przeciętną kolekcję, straci dobrą opinię, sprzedaż spadnie. Jak to mawiała Chanel: „Nie porzucaj kolekcji, chyba że ona porzuci ciebie”. Cóż, Karen właśnie czuła się porzucona. Westchnęła. Może trzeba sprzedać firmę NormCo zanim będzie za późno? Szkice na ścianie wyglądały zniechęcająco i jakby popychały do tego, by zrobić to teraz, jeszcze przed ukrzyżowaniem w Paryżu. Karen nie mogła się skoncentrować. Zamknęła oczy i wróciło do niej wspomnienie obrazu oglądanego w Metropolitan.

Z jakichś powodów przypomniawszy sobie też słowa Carla wypowiedziane przy obiedzie. Jak brzmiały dokładnie? Że ona jest tą utalentowaną? Cóż, to nieprawda, ale Carl powiedział coś jeszcze: że jej myśli nigdy nie są białe-czarne. Białe i czarne. O tym właśnie śpiewała Defina.

Karen wpatrywała się w szkice. Sylwetki są dobre. Materiały także. Kolekcja jest właściwie wyważona. Ale nie jest nowa.

Odłożyła ołówek. Defina nuciła teraz fragment z wideoclipu Michaela Jacksona. *Don't matter if your black or white* - rozlegały się jej trele. „Nieważne, czy jesteś czarny czy biały”. Znów pomyślała o Coubercie z muzeum. Wiedziała już, co jej przypominał. Czarno-biały sen. Tak żywy, tak płaszczyzny i głęboko odczuty, że gdy zamknęła oczy, niemal przeżywała go na nowo. Jak mogła o tym zapomnieć?

Cóż, nie czas teraz na sny. Musi się skoncentrować. Poczwała, że przebiegają dreszcz. Miała pomysł. Wizję. Tak. Tak! Odwróciła się ku wchodzącej właśnie do pokoju Definie.

- W porządku. Jest bomba. Zrobimy jednocześnie dwa pokazy.

- Co?

- Pokażemy w Paryżu dwie kolekcje - mówiła podniecona. - Dwie. W tym samym czasie.

- Karen, skarbie, coś ci się chyba pomyliło. Przy takiej konkurencji wystarczająco ciężko jest zmusić ludzi do przyścia na jeden pokaz.

- No właśnie. Dlatego pokażemy dwa jednocześnie. Niemożliwe, aby przyszli na oba. Wiemy o tym. I to daje nam przewagę. Jedna kolekcja będzie cała czarna - same czarne modele.

- Nigdy nie pokazujesz czerni.

- Ale teraz pokażę. Przygotuję czarne stroje na jeden pokaz, a na drugi białe. Te same modele. Ta sama kolejność, ale jedna kolekcja będzie czarną a druga białą.

Defina zamrugała oczami.

- Banda zakonnic? Pingwiny? - zapytała.

Karen zaczęła się śmiać. Udowodni Carlowi, że jej myśli mogą być biało-czarne. Ale to coś więcej niż prywatny żarcik. Dziennikarze piszący o modzie, przedstawiciele ważnych sklepów, główne klientki, wszyscy, jak jeden mąż, pośpieszą do Paryża na tydzień pokazów. Każdy projektant poci się, gdzie i kiedy pokazać swoją kolekcję, kto będzie wystawiał przed nim, a kto po nim.

A ona wszystko zmienia. Co się stanie, jeśli zorganizuje imprezę, a publiczność nie przyjdzie? Niedobrze. Tutaj w Stanach jest ważną osobą, ale kogo

chodzi w Paryżu? Kto przyjdzie ją oglądać? Cóż wtedy, jeśli zorganizuje dwie imprezy i na żadną nikt nie przyjdzie? Wspaniale!

Oczywiście, jej pokaz będzie sensacją; nikt tego dotąd nie robił. A ona nigdy nie stosowała czerni. To ukochany kolor nowojorskich dam świata mody; każda, od Tiny Brown do Grace Mirabelli, stale się w nią biera. Karen jednak buntowała się i częściowo dlatego nigdy nie projektowała czarnych ubrań. Klientki o nie błagały. Sprzedawcy się domagali. A ona mówiła nie. Zupełnie, jakby przez cały czas oszczędzała ją na tę chwilę. Poczula, że serce bije jej szybciej, a twarz oblewa rumieniec.

- Rozniecilaś ogień piekielny - powiedziała Defina, ale jej usta już rozszerzyły się w uśmiechu. - Trzeba zarezerwować nową salę na pokaz, potrzebujemy więcej modelek, więcej zaproszeń, nie mówiąc o przygotowaniu strojów...

- Na jeden pokaz zaproszenia będą drukowane czarno na białym, na drugi białe na czarnym - mówiła Karen. - Jedna kolekcja po prawej stronie wybiegu, druga po lewej. W tle *Ebony and Ivory* Michaela Jacksona. I ta piosenka, którą nuciłaś. Nic nikomu wcześniej nie powiemy. Niech się sami domyślają - śmiała się. - A na koniec pokażemy dwie ślubne suknie - pokazy paryskie tradycyjnie kończyła ślubna suknia. - białą z białą kolekcją i czarną z czarną.

- Podoba mi się to - powiedziała powoli Defina, patrząc na przyjaciółkę. - Ma dowcip. I będzie się dobrze sprzedawać. Sklepy uwielbiają czern. Szkoda tylko, że nie wpadłaś na to jakieś półtora miesiąca temu.

- Tak i szkoda, że nie zakończyli walk w Serbii. Nie zawsze możesz dostać to, czego chcesz, Dee - przeszła dwa kroki naśladując Micka Jaggera - *You can't always get what you want* - zaśpiewała.

- Nie zawsze możesz dostać to, czego chcesz - zawtórowała jej Defina - Ale jeśli się postarasz, może się okazać, że dostałeś to, czego potrzebowałeś - tańczyły razem po pokoju, śpiewając chórki z piosenki Stonesów.

- Wiedziałaś, że z ciebie mądra, biała dziewczynka - powiedziała Defina z aprobatą.

Właśnie wtedy, późnym wieczorem, w pełnym nieładzie gabinecie, Karen poczuła tak wielką radość, że przez chwilę prawie nie mogła oddychać. Wszystko, każdy szkic, każdą próbkę materiału, pobłysk na policzku Definy, okrągły ślad kubka po kawie na roboczym stole, dostrzegała tak wyraziście i z taką miłością, że aż brakło jej tchu. Zdawała sobie sprawę, że przeżycie to nie będzie trwało wiecznie i gorzko-słodki posmak tej wiedzy niemal łamał jej serce.

- W Paryżu padną - obiecała Defina.

- Na co komu NormCo? - zawołała Karen. Dee popatrzyła na nią znacząco.

- No właśnie, komu jest potrzebne? - zapytała poważnym tonem. Zanim jej przyjaciółka zdołała odpowiedzieć, zadzwonił telefon. Karen odwróciła się, podeszła do biurka i podniosła słuchawkę.

- Wyjrzyj przez okno - powiedział męski głos po drugiej stronie. W pierwszej, strasznej chwili zdawało jej się, że to może Centrillo, który stoi właśnie dziewięć piętér niżej, a do grubego przegubu ma przykutą kajdankami j ej prawdziwą matkę. Nie był to jednak ciepły, uspokajający głos detektywa. - Czy możesz się

182

ze mną zobaczyć? - zapytał mężczyzna i Karen zdała sobie sprawę, że rozmawia z PerrylnOO Silvermannem.

- Gdzie jesteś, Perry?

- Na ulicy. Na rogu. W budce telefonicznej po wschodniej stronie Trzydziestej Siódmej - Karen wyjrzała przez okno.

- Widzisz mnie? - zapytał Perry. - Macham do ciebie.

Widziała go, a raczej kogoś wymachującego rękami jak sygnalista. Czy on się upił? - Widzę cię, Perry.

- Pójdiesz ze mną do łóżka?

- To trochę przedwczesna propozycja.

- A, tak. Może najpierw się napijemy?

- Chyba już to zrobiłeś, prawda?

- Mądra dziewczynka.

Czy Defina nie powiedziała przed chwilą czegoś takiego? Karen obejrzała się na przyjaciółkę i wzruszyła ramionami. Dee wskazała na siebie, dając do zrozumienia, że wychodzi, i tym samym rozstrzygnęła sprawę. Karen kiwnęła głową. Też powinna już iść.

- Czego chcesz, Perry?

- Rozwesel mnie trochę.

- Co powiesz na to, żebym zawiozła cię do domu?

- Nie zmieniłem pościeli.

- Znów mówisz to trochę przedwcześnie, Perry - usłyszała jak włącza się taśma i automatyczny operator powiedział, że dzwoniącemu kończy się czas. Zupełnie, jakby słyssał o czym mówiła Karen. Perry jest już chyba u granic wytrzymałości. - Zaraz schodzę - zawołała, przekrzykując głos operatora i w nadziei, że Perry ją usłyszał, odłożyła słuchawkę. Narzuciła prochowiec. - Defina, zamkniesz za mną? - krzyknęła, wychodząc.

Kiedy znalazła się przy budce, Perry ciągle jeszcze w niej stał. Miał na sobie coś, co kiedyś było białawym sztormiakiem. Teraz po bieli niewiele pozostało. Pod spodem nosił poplamione farbą levisy i niebieską, dzinsową koszulę.

- Karen! - krzyknął na widok przybyłej, jakby spotkali się tu najzupełniej przypadkowo. Jak bardzo był pijany? Czy pamiętał, że przed chwilą do niej dzwonił, czy też zupełnie urwał mu się film?

Wyszedł z budki i ruszył w kierunku Karen. Nie potykał się, ale patrzył przed siebie szklistym, niewidzącym spojrzeniem. Podeszedł do niej i objął ramieniem, przyciskając usta do jej ucha. Był tego samego wzrostu co ona, znacznie niższy od Jeffrey'a. - Chodź, zrobimy dziecko - wyszeptał.

- Stary, rozmawiasz z niewłaściwą dziewczyną - rzuciła. Wyciągnęła rękę, dając znak taksówce nadjeżdżającej właśnie od strony skrzyżowania z Trzydziestą Siódmą Ulicą. - Wsiadaj do samochodu.

- Jasne - zgodził się wesoło. - Gdzie jedziemy?

- Róg Spring Street i Zachodniego Broadwayu - powiedziała kierowcy.

- Świetnie! Mieszkam w pobliżu!

- Naprawdę? - rzuciła sucho. - Cóż za zbieg okoliczności.

247

W taksówce Perry przestał panować nad swoją świadomością. Głowa mu opadła i zdawało się, że lada moment zaśnie. Karen musiała mu pomóc wysiąść z samochodu, a i tak zachwiał się na nogach i omal nie przewrócił. Gdy po potknięciu złapał równowagę, zastygł zupełnie, jak to robiła Karen z przyjaciółmi, gdy bawili się w „udawanie pomników” w Prospect Park. Przez chwilę myślała, że zaraz zwymiotuje, ale on tylko stał, jakby zamienił się w kamień. Dopiero gdy spojrzała uważniej, zauważyła jak drżą mu ramiona. Po chwili zorientowała się, że płacze. Podeszła bliżej, a on uniósł ku niej twarz i we łzach odbiło się światło z baru na rogu. Popatrzył na mrugający neon.

- Wiesz, że pracuję na pół etatu jako barman? Czy to nie żalosne? Na studiach chciałem zarobić parę groszy. Potem, gdy zajmowałem się tylko malowaniem, był to sposób by uciec przed samotnością i izolacją. Ale teraz to już tylko żalosne. Mam czterdzieści sześć lat - przez chwilę wpatrywał się w ciemność, a potem wzruszył ramionami. - Cóż, zawsze mogę napisać pamiętniki. Zatytułuję je „Życie za barem” - próbował się roześmiać, ale wydał z siebie tylko zduszony dźwięk.

- Nie mogę już malować. I nie chcę dalej żyć bez Lottie. Całe światło odeszło razem z nią.

Karen objęła go, a on mocno się do niej przytulił.

- Jest tak ciemno, tak strasznie ciemno - wyszeptał.

Nie potrafiła nic powiedzieć, dać żadnej pociechy, by ulżyć w tym okropnym bólu. Tuliła go tylko i tak stali w rynsztoku, przed barem przy Spring Street.

- Nie wiedziałem, że mogę kogoś tak kochać - płakał. - Po co mam żyć, kiedy nie ma mojego dziecka.

I właśnie tu, na jednej z ulic Soho dwie myśli przemknęły nagle Karen przez głowę. Czy Bella rozpaczalaby tak po jej śmierci? I, jak ona sama ma żyć, skoro nikt nie kocha jej tak mocno jak Perry swoją córeczkę.

Od tygodnia Karen i Jeffrey grali w grę „kto przyjdzie ostami do domu”. Kiedy więc Karen, kompletnie wyczerpana, wróciła do mieszkania, zdziwił ją widok męża rozciągniętego na sofie w salonie. Z hallu mogła dostrzec tylko jego nogi i stopy. Zdjęła buty, by mu nie przeszkadzać, jeśli śpi. Pamiętała też, żeby powiesić płaszcz.

Ale Jeffrey nie spał. Leżał ze stertą papierów na brzuchu, a na podłodze obok stała szklanka z jakimś przezroczystym płynem.

- Wcześniej wróciłeś - powiedziała Karen.

- A ty późno.

- Odwołali grę? - Jeffrey wybierał się na pokera, a przynajmniej taką wiadomość zostawił u Janet.

- Nie, ale Perry i Jordan nie przyszli, a inni byli tak bardzo w tyle, że gra nie miała sensu. Sam i ja zakończyliśmy ją wcześniej - pociągnął łyk z kieliszka. - Słuchaj, Karen, przepraszam, że po programie Elle Halle zachowywałem się jak idiota...

249

Chwała Bogu, że zamierza ją przeprosić! Tyle jej było trzeba, by przełamać lody.

- Ostatecznie, może rzeczywiście nie jestem takim dobrym wspólnikiem. Załamała mnie ta sprawa z NormCo. Ciągle jeszcze nie dostaliśmy oferty i pewnie to nigdy nie nastąpi. Myślę, że mogli się wycofać ze względu na wycenę. To moja wina. . .

Karen odwróciła wzrok. Poczula wyrzuty sumienia. Oto Jeffrey martwi się, że w ogóle nie dostaną oferty, a ona, wiedząc o znakomitej propozycji nic mu o tym nie mówi. Kto tu kogo powinien przepraszać? Podeszła do męża, ale on się odsunął. Wzięła go za rękę.

- Jeffrey, posłuchaj mnie, proszę. Nigdy nie myślałam o wielkich interesach. Chciałam tylko robić to co robię. Niczego nam nie brakuje. Nie jesteśmy biedni. Sprawy w firmie idą lepiej niż zwykle. Nie zamartwiaj się, spłacimy długi. A ja wymyśliłam właśnie wspaniałą paryską kolekcję. Mamy piękne mieszkania i gotówkę w banku. A skoro nie mamy dzieci, co nam po tych wszystkich pieniądzach?

- A więc o to ci chodzi? - zapytał, usuwając dłoń. - O dzieci? Do diabła, Karen, jak możesz zamećzać mnie nawet w takiej chwili? Czy ty w ogóle me masz poczucia proporcji? Tracimy życiową szansę. To jest ważne.

Pomyślała o Perrym, stojącym na deszczu.

- Proporcje? To nie ja nie wyczuwam proporcji, Jeffrey! W życiu naprawdę ważne jest dziecko.

- Nie bardziej niż sprzedaż firmy.

- Cóż, nigdy nie słyszałam, aby ktoś na łożu śmierci najbardziej żałował tego, że nie spędzał więcej czasu w pracy. Więc nie mów mi o braku proporcji! - zastanawiała się, czy nie poruszyć sprawy błędnej wyceny firmy, jakiej dokonał on sam. W gniewie, miała ochotę go zaszokować, zdecydowała się jednak me wykorzystywać okazji. W jednej chwili złość ją opuściła i zrobiło jej się szkoda ich obojga. Jeffrey nigdy nie mylił się tak bardzo i nie wydawał się taki bezbronny. - Poza tym, jak śmiesz twierdzić, że to nieodpowiednia chwila. Rozmawiamy o mojej przyszłości.

- Twoja przyszłość, twoje nazwisko. A co ze mną? Nazwisko jest także moje. Mogłabyś choć raz o tym pomyśleć - obrócił się, specjalnie lub przypadkowo wypuszczając z ręki kieliszek, który przeleciał przez cały pokój i rozbił się o

stół. Kawalki szkła przejechały po lśniącej powierzchni i spadły na drugim końcu na białe oparcie krzesła i białą ścianę. Hałas nie zaskoczył ani nie zatrzymał Jef-freya. Podeszedł do jednego z okien i otworzył je na oścież. Stał tam, odwrócony tyłem do Karen, a ona słyszała w ciszy, jak rozlane wino skapuje ze stołu. Nie poruszyła się.

Jednocześnie litowała się nad Jeffreyem i nienawidziła go.

Zobaczyła, jak bierze głęboki oddech. Choć to do niego niepodobne, najwyraźniej usiłował zapanować nad sobą.

- Chcę, byśmy podpisali tę umowę - powiedział, odwracając się do Karen.

- A ja chcę dziecka - odparła. - Ale nie zawsze możemy dostać to, czego chcemy. Po czym odwróciła się i wyszła z pokoju, zostawiając męża stojącego przy oknie.

185

Kiedy obudziła się następnego rana, Jeffrey stawał właśnie na pomiętej kołdrze tacę ze śniadaniem. Był na niej plaster arbuza, rogalik, trochę masła i dżemy, a także „Times”, „W”, „Women's Wear Daily” i wazonik z jedną, białą różą. Karen uniosła się i oparła o poduszki.

- Komu mam za to zrobić dobrze? - zapytała.

- Tylko mnie - odpowiedział, stawiając jej tacę na kolanach. Sam usiadł w nogach łóżka, kładąc Karen dłoń na kostce.

- Przepraszam za ostatni wieczór - powiedział. - Przepraszam za wszystko. Sięgnęła po kawę i unosząc filiżankę, z rezerwą pokiwała głową. Tak łatwo mu z nią nie pójdzie.

Niezwykła uroda Jeffreya sprawiała, że Karen nie umiała mu się oprzeć. Na pewno był zepsuty, zawsze troszczył się o niego różne kobiety, z matką na czele, ale w porównaniu z większością mężczyzn bardziej starał się zachowywać jak dorosły. Śniadanie to jego przeprosiny. Ale czy naprawdę myśli, że może kupić wszystko co chce za kawałek melona? Siedział tu teraz, ze starannie uczesanymi gęstymi włosami w kolorze soli z pieprzem, a jego biała płócienna koszula niemal świeciła w rozproszonym świetle poranka. Był świeżo ogolony. W lewym uchu została mu odrobina pianki. Nawet z tym wyglądał ładnie.

Karen uśmiechnęła się do męża. Nie mogła nic na to poradzić. Ostatecznie, starał się. Odkąd się pobrali, zawsze po wielkiej kłótni Jeffrey uspokajał się i próbował rozwiązać problem, a potem skłonny był pójść na kompromis, czyli zrobić więcej niż zdecydowana większość mężczyzn. Zawsze wracał i to, bardziej niż cokolwiek innego, przekonywało Karen, że ją kocha. Nigdy nie wpadła na myśl, że mógł jej potrzebować.

- Słuchaj, mam pomysł. Zawrzyjmy Wielką Umowę - zaproponował. Karen odstawiała filiżankę, z której popijała kawę. „Wielka Umowa” to coś ważnego. Popatrzyła na męża i spoważniała.

- Co masz na myśli?

- Sądzę, że znalazłem kompromisowe wyjście, dzięki któremu każde z nas dostanie to, czego naprawdę chce - oświadczył. - Co powiesz na to: kiedy Norm-Co złoży nam oficjalną propozycję, o ile to nastąpi, ty zgodzisz się sprzedać firmę, a ja pomogę ci adoptować dziecko.

- Dziecko? - zapytała. - Zaadoptujemy dziecko? - pokiwał głową. - Ale czy ty naprawdę tego chcesz?

Mocniej ścisnął jej kostkę.

- Słuchaj, Karen, robię co mogę. Nie chciałem adoptować dziecka, choć wiedziałem, że jesteś przez to nieszczęśliwa, ale nie potrafiłem udawać tego, czego nie czuję. Naprawdę zależy mi na sprzedaży, a ty naprawdę chcesz dziecka. Rozumiem twoje uczucia, nawet jeśli nie podzielam ich z tym samym entuzjazmem. I mam nadzieję, że ty też rozumiesz moje. Chcę, abyś była szczęśliwa i liczę, że ty pragniesz dla mnie tego samego. Co ty na to? Zawieramy Wielką Umowę?

252

Patrzyła na niego ze zdziwieniem. Czy on mówi poważnie? A jeśli tak, czy to jest w porządku? Serce podskoczyło jej w piersi. Czyżby Defina się myliła? Czyżby ona, Karen, mogła mieć wszystko?

- Nie wiem, Jeffrey. Nie wiem, czy powinniśmy targować się w takich sprawach. Chodzi mi o to, że nie powinieneś z niechętnym nastawieniem zostawać ojcem.

- Tak, a ty nie powinnaś być niechętna sprzedaży XKInc, ale jeśli ją sprzedasz, oboje będziemy mieli więcej czasu dla dziecka. Malowanie i dziecko. Nieźle, jak na człowieka lat dziewięćdziesiątych, którym, jak wiadomo, jestem. Jakoś nie widzę innego sposobu, by to osiągnąć.

- Mówisz poważnie? - zapytała. Popatrzyła na białą, pomietą pościel. Po raz pierwszy od wielu tygodni ulżyło jej na sercu, jakby zniknął przygniatający je ciężar. - Pełzałoby tutaj, po dywetynowych prześcieradłach.

- I pewnie na nie sikało. Jak powstrzymasz dziecko przed sikaniem na pościel? Karen roześmiała się.

- Nie wiem. Muszę zapytać Ernesty - uśmiech zniknął jej z twarzy. - A co będzie, jeśli nie dostaniemy dziecka?

- A jeśli nie dostaniemy propozycji? Zrobimy co możemy. Działamy w dobrej wierze.

Karen zamrugła oczami. Jeśli ma zawrzeć umowę z Jeffreyem, musi zaraz zadzwonić do Billa i powiedzieć mu, aby złożył ofertę. A kiedy mąż dowie się, jaką cenę naprawdę im proponują, będzie się rwał do podpisania kontraktu. Nic go już nie zatrzyma. Karen przygryzła wargę. Westchnęła. Może powinna uczciwie postawić sprawę i opowiedzieć mu teraz o lunchu z Billem. Lecz wyglądało na to, że jeśli to zrobi, nie tylko sama wyjdzie na kłamcę, ale i Jeffrey na głupca.

Nie, zaczeka. Skontaktuje się jutro z prawnikiem, aby uruchomić sprawę adopcji, a potem zawiadomi Wolpera.

Oboje dostaną to, czego pragną.

Jeffrey wstał i wziął Karen za rękę.

- Jeśli na tym właśnie ci zależy - powiedział - to ja chcę, abyś to miała. Wiem, że ostatnio zachowywałem się jak bydlę, ale naprawdę obchodzi mnie twoje szczęście - nachylił się i pocałował ją a ona, wzruszona, odpowiedziała mu tym samym. Przesunął ręce na jej ramiona, a potem niżej. Karen odsunęła usta.

- Zaczekaj - powiedziała, zestawiając tacę ze śniadaniem na podłogę.
- Dobry pomysł - zgodził się i wszedł do łóżka.

Rozdział 17

Zapach dolarów

Na przyjęcie do Norris Cleveland przybyli lekko spóźnieni. Nastrój Karen był dużo lepszy, odkąd zawarli Wielką Umowę. Z nową energią zabrała się do pracy, znów miała świetne samopoczucie, i przestało jej doskwierać poranne wstawanie. Jeffrey także wydawał się szczęśliwszy. *Witajcie, witajcie, wszyscy już tu są*, śpiewał gdy po trapie wchodzili na czteromasztowy skuner wynajęty na promocję perfum „Norris!” Ich autorka zmusiła gości, by zjawili się w porcie. W 1978 roku, gdy Karen zaczęła dopiero pracę u Liz, Yves Saint Laurent także wyprawił na łodzi przyjęcie promujące „Opium”. Ale była to prawdziwa chińska dżonka, a nie zwykły portowy rupieć. Może jednak Norris liczyła, że zebrani podświadomie zasugerują się samym miejscem.

Promocja „Opium” - pierwsze związane z modą przyjęcie, na którym Karen była - rozpoczęło triumfalną karierę tych perfum, Nadal się sprzedawały - co w niestałej branży pachnideł stanowi rzadkość, a Karen wydawało się, że od 1978 roku na imprezach z okazji nowych perfum pojawiają się te same osoby. Zdażyła już zauważyć Roberta Isabell, nowojorskiego *capo di tutti capi*- w zakresie organizacji przyjęć - wydającego polecenia swoim ludziom. W zeszłym roku Isabell zorganizował w piwnicy wysokościorowca, imprezę lansującą „Gio”, cudowne perfumy Armaniego. Tego wieczoru nie wystąpili, jak na przyjęciu na cześć „Opium”, chińscy akrobaci. Nie było też, jak u Armaniego, marokańskich namiotów i leżących na podłodze poduszek. Zamiast tego przestrzeń wypełniał tłum znanych osobistości i fotografów. Przyjęcia coraz częściej tak właśnie wyglądały i Karen wydawało się, że mają mniejsze znaczenie niż można by sądzić po rozgłosie jaki nadaje im prasa. Jakby usunięto z nich ogniwo pośrednie - przychodziło się, by zostać zobaczonym i sfotografowanym, nie starając się nawet miło spędzić czasu. Karen uśmiechnęła się do siebie. To całkiem w stylu Norris Cleveland.

Byli tu jednak wszyscy. Pojawiła się Cher, obecna na przyjęciach promujących „Opium” i „Gio”, a w między nimi lansująca własne perfumy. Był też jej stary przyjaciel David Geffen, nie tylko zainteresowany modą, lecz i angażujący

188

w nią pieniądze, choćby w postaci kaucji wpłaconej za swego kumpla Calvina Kleina, kiedy ten popadł w kłopoty finansowe i omal nie zbankrutował. Ale cóż znaczy pięćdziesiąt milionów dla Davida Geffena?

Obok prześlizgnęła się Amy Fine Collins, pisująca dla „Vanity Fair” i „Har-per's Bazaar”. Była nie tylko intelektualistką, ale i jedyną piszącą o modzie dziennikarką, która ubierała się stylowo, rezygnując z bezpiecznej

małej czarnej. Carrie Donovan, ostatnio publikująca w „Times'ie” i Suzy Mehle, wielka gwiazda „Herald Tribune” także przyszły na przyjęcie. Były to ważne osoby i Karen zastanawiała się, jak Norris je tu przyciągnęła.

Jeffrey poszedł przynieść jej drinka. Została sama, ale po chwili ktoś trącił ją w plecy. Odwróciła się i spojrzała w przyjazne, brązowe jak paciorki oczy Bob-biego Pillara.

- Zapytałbym, co taka dziewczyna - z klasą jak ty - robi w tym miejscu, gdyby nie stawiało to mnie samego w złym świetle - powiedział ze śmiechem i uściskał ją, jakby od przypadkowego spotkania w studiu Elle widywali się co wieczór. - Świetnie wypadłaś w telewizji - oświadczył. - A nie mówiłem? Jesteś bardzo naturalna i masz masę ciepła. Prawdziwy dar. Ludzie uwierzą w to, co im powiesz - Bobby najwyraźniej tryskał entuzjazmem. Promieniał. Nawet jego łysa głowa błyszczała.

- Dzięki, Bobby. Program wypadł chyba nie najgorzej.

- Rzeczywiście się wtedy zsiusiałaś? Przyglądałem się, ale nic nie zauważyłem. Karen musiała się rozeźmiać.

Zachowywał się skandalicznie, ale był w tym szczerzy. Naprawdę go lubiła.

- Będziesz sprzedawał w telewizji perfumy Norris? - zapytała.

- Te szcurze szczynty? Próbowała mnie złowić, ale nie połknąłem przynęty. Wąchałaś je? Daj spokój! Komisja Federalna do Spraw Mediów zakułaby mnie w kajdany szybciej, niż Kozacy przybywali na pogrom. Tak jakby władze potrzebowały pretekstu, by wsadzić małego Żydka do ciupy, co? - śmiał się, a Karen musiała mu zawtórować. Była w nim jakaś uczciwość, coś skandalicznie niegrzecznego, ale prawdziwego. Może rzeczywiście pieniądze kupują wolność, ale Bobby mówił w ten sposób jeszcze zanim się dorobił.

- A więc, *mammelo*, czy porozmawiasz z wujkiem Bobbym o przygotowaniu kolekcji dla telewizji?

- Chyba nie, Bobby. Właśnie zastanawiam się nad rynkiem masowym - urwała.

- No tak, słyszałem, że rozmawiałaś z tym ptaszkiem z NormCo. To sęp. Chyba miałaś nie najlepszy pomysł.

Uśmiech zniknął Karen z twarzy. Zanim jednak zdążyła coś odpowiedzieć, zapytać skąd o tym wie, wrócił Jeffrey.

Przywitał się z Bobbym i na tym ich rozmowa się urwała. Było jasne, że obydwaj się nie lubią. Karen wiedziała, że Jeffrey uważa, iż Pillar jest wulgarny. Ale na tym, rzecz jasna, polegał po części urok Bobbiego.

Uśmiechnął się tylko i zamaszycie pomachał jej ręką.

- Zadzwoń do mnie któregoś dnia - powiedział i jego niska przysadzista postać zniknęła w tłumie, za grupą wysokich, wysmukłych modelek.

Oczywiście, wszystkie byłe i aktualne modelki przybyły w komplecie. Lauren Hutton, jak zwykle, miała na sobie coś od Armaniego. Wśród młodych dziewczyn nie zabrakło Lindy Evangelisty, Carli Bruni, Marii Lopez, Kristen McMena-my, a nawet Kate Moss. Wszystkie paliły papierosy. Karen była ciekawa, czy Norris musiała zapłacić najbardziej znanym dziewczynom za przybycie. Zastanawiała się też, którą z nich, jeżeli jakaś w ogóle, uda się wynająć na paryski pokaz. Maria Lopez, mimo tego co mówiła o niej Defina, wciąż jej się podobała. Była tańsza od innych, a razem z Tangelą oraz paroma blondynkami i brunetkami na poziomie, mogły stanowić sympatyczny melanż. Przy dwóch pokazach budżet Karen był naprawdę napięty. Jeffrey biadolił, ale zgodził się na jej nalegania -ostatecznie niedługo będą tarzać się w złocie. Mimo to nie mogli pozwolić sobie na najlepsze modelki. Karen słyszała, że Versace wydał sto tysięcy dolarów, by cztery z nich zaprezentowały jego zeszłoroczną kolekcję. Sto tysięcy dolarów za kilka modelek! Połowa jej paryskiego budżetu! Skłonienie tych dziewcząt, by pokazały się na przyjęciu, było więc mistrzowskim posunięciem.

Najlepsze modelki miały zwyczaj trzymać się razem i przez to wydawały się jeszcze bardziej olśniewające, choć Karen, pracując z nimi, wiedziała, że od strony kulis ich zajęcie wcale nie jest wspaniałe. To problem mody, które naprawdę polega na handlu, od wewnątrz więc nie ma tu nic cudownego; produkcja i ciężka praca, jak w fabryce kielbas. Na zewnątrz musi jednak wszystko wyglądać doskonale. I jeśli sami projektanci nie byli idealni, Gianfranco Ferre miał nadwagę, Mary Mac-Fadden była dziwnie blada, Donna Karan przysadzista, a Karl Lagerfeld zaczynał łysieć, to poprawiali swój wizerunek zatrudniając modelki bez skazy.

Dziewczęta wdzięczyły się, przyzwyczajone do tego, że są w centrum uwagi, a w chwili gdy Karen miała zamiar skierować wzrok gdzie indziej, podeszła do nich wysoka, wysmukła postać. Była to Tangela Pompey i nawet z tej odległości, z połowy pokładu, Karen widziała jak błyszczą jej oczy, i jak wyzywająco jest ubrana. Miała na sobie oślepiająco fioletową minispódniczkę, a w charakterze bluzki krótki zakiet typu bolero. Spięty jedną dużą agrafką, ledwie osłaniał piersi. Piękna brązowa skóra i rozpacz w oczach - oto cała Tangela. Czy Karen się zdawało, czy też inne dziewczyny rozproszyły się na jej widok? Niewątpliwie, była śliczną dziewczyną, jednak nie tak jak jej matka, i prawdopodobnie nie na tyle by zdobyć dużo lepszą pozycję niż teraz. Karen wiedziała, że obdarzoną idealnymi proporcjami Tangelę czekała wieloletnia, lukratywna kariera modelki w pracowni, jednak ze słów Definy wynikało, iż dziewczyna ma znacznie większe ambicje. Nawet teraz, gdy pracowały razem, Karen nie czuła w niej entuzjazmu. Tangela obumierała bez publiczności.

Karen już miała zamiar odwrócić wzrok, kiedy dostrzegła przybyłe z Tangelą towarzystwo. Oprócz faceta o latynoskim wyglądzie - prawdopodobnie chłopaka, który nie podobał się Definie - przyszedł drugorzędny muzyk rockowy i jeszcze jedna dziewczyna. Karen spojrzała uważniej. Ależ to Stephanie!

Ostatnio modne były związki między modelkami a gwiazdoram rocka. Patti Hanson wyszła za Keitha Richardsa, a Rachel Hunter za Roda Stewarda (obydwie pary były zresztą obecne na przyjęciu). Stephanie najwyraźniej naśladowała

257

tę modę, bo po cóż inaczej wisiałaby na szyi niechlujnego blondyna, w którym Karen rozpoznała członka rockowej kapeli. Widok siostrzenicy nie tylko zdumiał ją, ale wręcz zaszokował. Jak się tu dostała? Była przecież za młoda. Czy zaprosiła ją Norris? Wkradła się na przyjęcie? A może wprowadziła ją Tangela? Karen patrzyła jak Stephanie, udając nadąsaną, odchodzi parę kroków od swego jasnowłosego Adonisa, po czym odwraca się i podbiega, by rzucić mu się na szyję. Ręka faceta ścisnęła pośladek dziewczyny, a ona tylko odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem.

Co robić? Zabawić się w ciocię i zadać klasyczne pytanie: „Czy twoja matka wie, że tu jesteś?” Z oburzeniem odesłać małą do domu? Nie zwracać uwagi i mieć nadzieję, że to normalne zachowanie nastolatków?

- Zobacz, kto przyszedł - powiedziała, odwracając się do Jeffreya. Poszedł za jej wzrokiem i na widok siostrzenicy otworzył szeroko oczy. - Czas, by opatrność wkroczyła do akcji - zadecydowała Karen i przepchnęła się przez tłum do Stephanie, którą niechlujny rockowiec całował właśnie po szyi.

- Cześć, Stepie - uśmiechnęła się do siostrzenicy. Usiłowała wyglądać naturalnie. Dziewczyna okręciła się wokół własnej osi. Na długiej, łabędziej szyi miała już malinkę. Ślicznie. Karen nie miała pojęcia, że to jest jeszcze praktykowane. - Dobrze się bawisz? - zapytała.

- O, tak. Cześć. Dzień dobry wujku - zanim Stephanie zdołała zadać jakieś pytanie, fotograf zaczął robić zdjęcia, a jego pomocnica zapytała o nazwisko dziewczyny. Muzyk, jak zauważyła Karen, robił co mógł, by też się załapać. Musiała przyznać, że jest niebrzydki. Gdyby jeszcze umył głowę i pozbył się tatuażu.

- Czy to przyjęcie nie jest wspaniałe? - zapytała piskliwie Stephanie, wśród błysków flesza.

- Świetne - zgodził się Jeffrey. - Od trzech dni nie było czegoś podobnego. - Jego sarkazm przeszedł nie zauważony.

- Jak wracasz do domu, Stepie? - zainteresowała się Karen. Dziewczyna zamrugnęła oczami.

- Miałam zamiar zostać tu trochę z Tangelą Karen przypomniały się opowieści Definy ojej córce na kuchennym stole. Nie ma mowy!

- Och, nie sędę, kochanie, że to dobry pomysł. Naprawdę. Dlaczego nie przenocujesz u nas?

Stephanie pojęła, że wyprowadzono ją w pole. Rzuciła tęskne spojrzenie na jasnowłosego księcia gitary. Karen pamiętała, że tak samo mała patrzyła kiedyś na Barbie z Malibu. Westchnęła.

- Masz jeszcze trochę czasu i możesz pożegnać się z kolegą - uśmiechnęła się. - Wychodzimy za jakieś piętnaście minut. - Chyba nie wstrzyknie sobie heroiny w ciągu kwadransa?

- Co, u diabła, Lisa sobie myśli? - rzucił głośno Jeffrey, gdy oboje się oddalali. Karen pomyślała to samo.

- Och, wiesz jakie są dzieci. Stephie pewnie ją okłamała. Sama oszukiwałam Bellę. Porozmawiam jutro z Lisą. Jesteśmy tu już ponad pół godziny, więc trzeba zacząć się żegnać.

191

Wiedziała, że w końcu będzie musiała podejść do Norris i jej pogratulować. Przy odrobinie szczęścia zrobią im z Jeffreyem zdjęcia do „W” i będą mogli iść do domu. Przeciskała się przez wytworny tłum z mężem u boku. Bez niego nie byłaby w stanie brać w tym wszystkim udziału. Tłok był niewiarygodny. Karen zastanawiała się, czy jest tu bezpiecznie. Czy skuner nie zatonie? Popatrzyła na Jeffreya. Przyparto ich właśnie do barierki przy burcie i bryza znad East River rozwiała mu włosy.

Wydawało jej się, że są teraz, mimo tłumy, tylko ze sobą.

- Jesteś dobrą ciotką - powiedział Jeffrey. - I będziesz dobrą matką. - Uśmiechnął się z aprobatą i popatrzył w stronę miasta, na przypominający naszyjnik z białych świateł brookliński most. Z jakiegoś powodu, w tej właśnie chwili, po raz pierwszy od długiego czasu Karen poczuła, że przepełniają miłość. Znowu kochała Jeffreya! Co za ulga! Światła odbijające się w wodzie pod nimi migotały na jego twarzy, a ciemność otulała ich miękko niczym krepde-szynowy szal. Karen poczuła nagle, że nigdy jeszcze nie była taka szczęśliwa, a mimo głupiego przyjęcia, epizodu z Tangelą i Stephanie, ma niewiarygodne szczęście; jakby jej własny statek, po długim i niebezpiecznym rejsie, przybył wreszcie bezpiecznie do portu. Przez chwilę była najzupełniej zadowolona. Na przeciwległym brzegu migotały światła Brooklynu, który wyglądał znacznie bardziej romantycznie niż wtedy, gdy Karen w nim mieszkała. Nie była w stanie winić Stephanie za to, że chciała uciec z Long Island. Ona sama, aby przybywać w tym towarzystwie, przepłynęła się nie przez rzekę, ale przez całe światy. Popatrzyła na męża.

- Zrobiłam już mały wywiad w sprawie adopcji - powiedziała. - Myślę, że znalazłam właściwego człowieka.

Wkrótce będziemy tatusiem i mamusią - dodała trochę nieśmiało.

- Tak, i będziemy wyciągać z przyjęć własne dziecko - uśmiechnął się do niej. Zapadła noc i choć mrugały przyczepione wokół masztów i belek latarenki, na pokładzie panował mrok. Obok przeszła w najciemniejszych słonecznych okularach, Anna Wintour Karen nie pamiętała, że gdy kiedykolwiek ją bez nich widziała. Miała je na nosie nawet w redakcji *Vogue*. Jakim cudem była w stanie przejść przez ciemny pokład? Może w ogóle nie widzi? Co za ironia, gdyby okazało się, że królowa dziennikarzy mody jest ślepa.

Musieli pożegnać się z Norris i zabrać Stephanie, ale tłum, jak morze, miał swój własny rytm. Obok przesunęła się Susan Reliance wraz z mężem. Duże pieniądze zarobione na nafcie. Rodzina Susan należała do elity nowojorskiej. Karen nie mogła zrozumieć, dlaczego podobni ludzie przychodzą na tego rodzaju imprezy. Ona musiała ze względów zawodowych, ale jaki powód mogła mieć dama z towarzystwa? Pat Buckley, kiedy złamała nogę, prawie przez rok kuśtykała po przyjęciach o kulach. Dlaczego? I po co zjawiała się Lauren Bacall? Na pewno nie mają nic

takiego na sumieniu, by Norris mogła ich szantażować. Może po prostu lubią stać w tłoku i wylewać sobie szampana na buty.

Łodzią zakołysało, a wokół rozległy się cienkie okrzyki. Lucie de Falaise i jakaś kobieta w źle dobranym stroju od Claude'a Montanya zachwiały się na

192

nogach. W tej samej chwili pojawiła się Norris, ubrana w jedną ze swych kreacji z jedwabnej organzyny, świetnie nadającej się na obrus. Było to jednak jej przyjęcie, więc Karen, która przestrzegała dobrych manier, zrobiła krok do przodu i już miała zamiar się przywitać, gdy zobaczyła stojącego za gospodynią mężczyznę - Billa Wolpera.

Jak zwykle na tego rodzaju imprezach, wokół Norris skupili się fotografowie, Bill więc został obfotografowany także z każdej możliwej strony. Karen pomyślała z nutką drwiny, że pewnie matka nie zadzwoni do niego jutro rano, by zapytać dlaczego wyszedł na zdjęciach taki pomarszczony. Stała jak wmurowana, aż w końcu Jeffrey dostrzegł w co się wpatruje.

- Proszę, proszę - powiedział. - Nic dziwnego, że nie dostaliśmy jeszcze propozycji. Może Bill ciągle szuka.

Ostatecznie, jeśli nie można mieć oryginalnej Karen Kahn, trzeba zadowolić się plagiatami Norris Cleveland.

Karen ogarnęły wyrzuty sumienia. To ona, a nie Norris, była powodem dla jakiego NormCo nie złożyło oferty.

Znajomość z Billem zdążyła już wprowadzić do jej szczerego przez tyle lat związku, kłamstwa i niedomówienia.

Jakoś, przy jej pomocy, Bill sprawił, że Jeffrey wyglądał trochę na głupca. Karen nie podobało się to. Co będzie, jeśli Jeffrey o wszystko spyta? Jeśli wyjdzie przed Wolperem na idiotę? Pragnęła go ochronić.

- Pójdziemy się przywitać? - zapytała. - Ale nie mieszajmy przyjemności z interesami.

- Nie ma strachu. To tylko interesy - odparł ze skargą w głosie.

Ruszyli w kierunku Norris. Karen zastanawiała się, czy gospodyni przyjęcia nie flirtuje czasem z Wolperem. Miał jeszcze głębsze kieszenie, niż mąż z Wall Street.

Co mnie to obchodzi, zapytała się w duchu ze złością. Ale obchodziło. Czy mogłaby przegrać z Norris? Dłoń Billa trzymająca rywalkę za łokieć nie przeszkadzała jej tak bardzo, jak myślała, że mógłby chwalić talent tamtej. Czy potrafi dostrzec różnicę między Norris Cleveland i Karen Kahn? Czy ma Norris w zapasie, na wypadek, gdyby Karen mu odmówiła? Zanim zdołała się nad tym zastanowić, obydwójce z Jeffreyem witali się z gospodynią.

- Cudowne przyjęcie - powiedziała Karen i uśmiechnęła z całą szczerością, na jaką ją było stać.

- Naprawdę wyjątkowe. Właśnie tego się spodziewałem - dodał Jeffrey. Karen omal nie wybuchnęła głośnym śmiechem. Przyjęcie Norris było równie mało oryginalnejakjej projekty, a perfumy stanowiły imitację „Gio”. Jeśli

jednako tym wiedziała, niewiele ją to obchodziło. Posłała gościom swój sławny, olśniewający uśmiech trupiej czaszki i odwróciła się do Wolpera.

- Znasz Karen Kahn? - zapytała.

Bill po raz pierwszy popatrzył wprost na Karen. Była pewna, że chce jej wzrokiem coś przekazać, nie mogła jednak zrozumieć co. Czy to wyzwanie? Ostrzeżenie? Sugestia, że , jeśli się nie zgodzisz, zrobi to kto inny?" Zanim zdecydowała, Wolper wyciągnął rękę do Jeffrey'a.

13 - Spóźniona

193

- Poznałem państwa Kahnów - powiedział.

- Czy to nie wspaniałe? - zapytała Norris. - Dostaliśmy już propozycję wielkiej promocji u Bloomingdale'a w Nowym Jorku. I u Bernhearta w Chicago.

Karen zastanawiała się, co ma oznaczać to „my”. Czyżby Bill i Norris byli partnerami -przynajmniej, jeśli chodzi o sprawy zawodowe? Wzruszyła ramionami.

- Wspaniale - rzuciła. - Jestem pod wrażeniem. Życzę ci, byś odniosła tak wielki sukces, na jaki zasługujesz.

Kiedy odeszli by zabrać Stephanie, czuła, że śledzą ją oczy Billa.

Rozdział 18

Dziecko na telefon

Choć Karen nie wiedziała, kogo poradzić się w sprawie wyboru prywatnego detektywa, nie miała takich kłopotów szukając prawnika zajmującego się adopcją. W rozmowach prowadzonych w poczekalni kliniki leczenia bezpłodności, gdzie spędziła tyle czasu, w opowieściach innych ludzi, udzielających jej rad, powtarzało się jedno nazwisko. Człowiekiem do którego należało się udać był Harvey Kramer. Tak więc, następnego ranka po przyjęciu u Norris, przywiozła Stephanie do pracy, a następnie zamknęła się w biurze i zadzwoniła do Kramera. Była wstrząśnięta, gdy okazało się, że spotkanie może odbyć się najwcześniej za prawie trzy miesiące. Kiedy jednak zatelefonowała do prawnika Roberta i poprosiła o użycie swoich wpływów, jego kancelaria umówiła ich na czwartek. Wyglądało na to, że nawet w przypadku adopcji liczy się nie to co wiesz, ale kogo znasz.

W biurze Kramera panował ruch i bałagan. Po mieszczącej się przy Park Avenue siedzibie Roberta, ten przerobiony na prawnicze biuro dom w Riverdale wyglądał byle jak i mało profesjonalnie.

- Riverdale? - zapytał Jeffrey. - Kto, u diabła, siedzi w Riverdale?

Odpowiedź brzmiała: Harvey Kramer. A także co najmniej tuzin małżeństw, pragnących dziecka tak samo gorąco jak Karen. Kramer był królem przeprowadzanych w dosyć szarej strefie, prywatnych adopcji. Mimo protekcji Roberta, Karen i Jeffrey musieli przez prawie pół godziny siedzieć i czekać na starej duńskiej sofie, w pełniącym rolę recepcji salonie. Jeffrey na przemian wściekał się i przeglądał numery „US News” i „ABA Journal” sprzed dwóch lat (zdaniem Karen nikt nie czytał ich nawet tuż po wydaniu). W końcu Harvey, ciemnowłosy grubas z cieniem popołudniowego zarostu o wpół do dziesiątej rano na twarzy, poprosił ich do gabinetu.

- Widziałem panią w „Elle Halle Show”. Bardzo udany program - oznajmił z aprobatą w głosie. - Czym mogę państwu służyć? - zapytał, jakby tego nie wiedział.

Ponieważ Jeffrey się nie odezwał, Karen z zakłopotaniem wymamrotała coś na temat chęci adopcji.

263

- Już po weryfikacji? Jesteście państwo gdzieś zarejestrowani? - Karen pokręciła głową. - U ilu prawników byliście?

- U nikogo - przyznała.

- Dziewice! - powiedział Kramer, wznosząc oczy do nieba. Nabrał powietrza. - No, dobra, w takim razie wyjaśnię państwu, jaka jest ich sytuacja. Macie dwa wyjścia - adopcja na drodze stanowej albo prywatna. Stan jednak ma tylko czarne niemowlęta po narkomanach i starsze dzieciaki po takich przejściach, że będą się moczyły w nocy do czterdziestego roku życia. Białych dzieci teraz nie ma, a lista chętnych jest taka długa, że czeka się dziesięć lat. O dzieciach żydowskich nie ma nawet mowy. W Nowym Jorku Żydówki, które wpadły, idą do lekarza.

- Pozostaje więc prywatna adopcja, co nie jest takie proste. Muszą państwo znaleźć w innym stanie kobietę, która niedługo urodzi dziecko i chce je oddać do przysposobienia. Wiemy, gdzie jest najwięcej dziewczyn w ciąży, a nie przeprowadza się aborcji. Najlepsze są stany Południowego i Środkowego Zachodu, tylko nie wszędzie można zamieszczać ogłoszenia. A właśnie przez ogłoszenia będziecie szukać dziecka. Łapią państwo, o co mi chodzi? - było to pytanie retoryczne.

- Oczywiście, trzeba bardzo uważać z przynętą - sprzedawanie dzieci jest nielegalne i w niektórych stanach można płacić tylko rachunki od lekarza. Musicie być bardzo ostrożni. Inne stany są łagodniejsze, wiecie co mam na myśli. Można opłacać szkołę, wynajmować mieszkanie, kupić ubrania. Sally, moja współpracowniczka, pomoże państwu. Wiemy, gdzie zamieszczać ogłoszenia i jak je formułować. Tymczasem musicie się postarać o oddzielną, zastrzeżoną linię telefoniczną i telefon komórkowy, aby o każdej porze dnia i nocy móc odbierać wiadomości. Te sprawy nie dzieją się w godzinach urzędowania i nikt nie zadzwoni później, jeśli numer będzie zajęty. Muszą państwo być na wszystko przygotowani. Będą dzieci ślubne i nieślubne. Waszym zadaniem jest sprawić, by kobiety was polubiły, nawiązać z nimi osobisty kontakt, wiecie o czym mówię? Ale ludzie w takiej sytuacji muszą bardzo uważać. Chcecie adoptować dziecko, a nie matkę; kiedy więc namierzycie dziewczynę, skierujcie ją do naszego biura, a Sally prześle jej wszystkie formularze. Jeżeli je wypełni i dostaniemy potwierdzenie od lekarza, przysięgną przedwstępny umowę adopcyjną. Rozumieją państwo dotąd, o czym mówię?

Tym razem było to pytanie, więc Karen skinęła głową i popatrzyła na Jeffrey'ego, który siedział nieruchomo jak posąg. Czy sparaliżował go niesmak, czy też zbierał siły, aby wziąć nogi za pas? Kramer jakby nie brał pod uwagę żadnej z tych ewentualności. Może wszyscy jego klienci siedzą tutaj w milczeniu, jak ogłuszeni.

- Przede wszystkim muszą państwo zrozumieć, że sprawa jest zakończona dopiero, gdy się Zakończy. Niektóre dziewczyny powiedzą wszystko, żeby dostać parę dolców i bilet na wyjazd z Enid w Oklahomie. Musicie być twardzi, dopóki nie zbada ich lekarz. A one nawet wtedy mogą się wypiąć i postanowić zatrzymać dziecko, Choć wy

opiekowaliście się nimi przez ostatnie trzy miesiące ciąży i zapłaciliście wszystkie rachunki. Każdy stan ma własne prawa - w Teksasie, jeśli

196

dziewczyna raz podpisze papiery - klamka zapadła. Jej prawa wygasają i dziecko jest wasze. Za to w Kalifornii ma rok na zmianę decyzji. Czysty absurd. Lepiej więc zapomnieć o Kalifornii - zamilkł na chwilę i pokręcił głową. - Mógłbym państwu opowiedzieć niezłe historie.

- Wszelkie sprawy prawne w Nowym Jorku i stanie, w którym znajdziecie dziecko, bierzemy na siebie. Teraz wpłacają państwo zaliczkę. Honorarium zależy od ilości pracy, jaką musimy wykonać w danym stanie i liczby prób nieudanych - zadzwonił telefon i Kramer, bez słowa przeprosin, odwrócił się, by go odebrać. - Tak? - zapytał. - Rzeczywiście, wielka niespodzianka. Jakbym im nie mówił, że ucieknie na południe. Dobra, przełącz go do mnie - przez chwilę słuchał w milczeniu. Karen bała się popatrzeć na Jeffreya. Potem, kiwając głową, prawnik znów zaczął mówić - No tak, na pewno pana żonie jest przykro, ale w żadnym wypadku nie powinni byli państwo wysyłać dziewczynie pieniędzy. Nie mieliśmy nawet pewności, czy jest w ciąży - urwał na chwilę. - Coś panu powiem, rozmowy telefoniczne przez miesiąc, to nie są jeszcze bliskie kontakty. Równie dobrze mogła tak naciągać kilkanaście innych małżeństw. - Karen zamknęła oczy. Poczowała w skroniach przeszywający ból. Kramer ciągnął rozmowę - No tak. W porządku. Następnym razem skierujcie ją do biura, zanim sprawa zajdzie tak daleko, bez względu na to co twierdzi pana żona.

Odłożył słuchawkę i, znów bez słowa przeprosin, wrócił do klientów.

- Sally, moja pracownica, zarejestruje państwa u nas w czasie domowej wizyty. Musicie też zapłacić zawodowemu kuratorowi społecznemu, by przyszedł was zweryfikować. Sally ma potrzebne formularze. Do tego czasu nic więcej nie możemy zrobić. Mają państwo jakieś pytania?

Karen zaprzeczyła. Gdyby była w stanie myśleć, określiłaby swe odczucia jako uraz po bombardowaniu. To ma być najlepszy specjalista od takich spraw? Jeszcze raz potrząsnęła głową. Ból w skroniach był nie do zniesienia. Kiedy Jeffrey wstał, jakoś zdołała również podnieść się z krzesła. Wtedy coś jej się przypomniało.

- Jeszcze jedno - powiedziała. - Czy naturalna matka może po adopcji odnaleźć dziecko? - Przez szaloną chwilę rozważała, czy nie powinna omówić z Kramerem własnych problemów. Może lepiej zna się na takich sprawach od Centril-lo? Potem jednak wróciła jej przytomność umysłu. Ostatecznie, Jeffrey nie wiedział nic o poszukiwaniach. Poza tym musi zadać Belli i Arnoldowi kilka trudnych pytań. Tymczasem jednak chciała ustalić chociaż jedno. - Czy naturalna matka może po adopcji odnaleźć dziecko? - powtórzyła.

- Nie, jeśli wszystko przeprowadzone jest prawidłowo - wyjaśnił Kramer. -Nigdy nie podaje się im nazwiska. Szczególnie w tego rodzaju przypadku. Dane są tajne. W przeciwnym razie, zanim się pani zorientuje, będą żądać zniżki na ubrania. Znane osoby muszą się przygotować na różne sztuczki. Gdyby znała pani całą historię adopcji dzieci przez Michelle Pfeiffer, włosy stanęłyby pani dęba na głowie. A słyszałem, że Tom Cruise i Nicole Kidman też mają poważne kłopoty! Ale oni, oczywiście nie korzystali z usług naszego biura - Karen z trudem powstrzymała pogardliwe prychnięcie. Rzucanie nazwiskami! Czy ten facet

266

to zwykły kłamca, czy też rzeczywiście zna się na rzeczy? - Dlatego właśnie potrzebny jest pani nowy numer telefonu - ciągnął Kramer. - No i w żadnym wypadku nie wolno podawać im adresu. Po co narażać się na szantaż? Niektóre z moich klientek miały romantyczne pomysły, by dzielić się dzieckiem. Wie pani, wizyty prawdziwej matki i takie tam rzeczy. Ale ona albo stara się wtedy odzyskać dziecko na drodze prawnej, albo w każde urodziny naciąga na pieniądze. Słowem, nie ma się nad czym zastanawiać!

Oto ironia życia - płaci się jednemu człowiekowi, by wydobył z ukrycia dane o adopcji, a drugiemu, by zataił okoliczności innej adopcji. Karen pomyślała, że chyba skończy przez to wszystko w szpitalu psychiatrycznym. Jak można robić dwie takie rzeczy naraz?

Kramer wstał się także, zwracając się do drobnej kobiety o ptasiej urodzie, która milcząc stanęła w drzwiach.

- Sally, pozwól, to państwo Karen i Jerry Kahn.

- Jeffrey - poprawił go tamten. Było to pierwsze słowo, jakie wypowiedział do prawnika. Karen drgnęła.

- Wszystko jedno - odparł Kramer. - Daj im formularz i umów wizytę domową- odwrócił się. - Aha, mają jeszcze zapłacić zaliczkę.

Karen bezwolnie wypisała czek. Opiewał na cztery tysiące dolarów.

Karen i Carl siedzieli na stole jadalnym wśród pomiętych kartek papieru.

- Co powiesz na to? - spytał Carl. -*Szczęśliwe, zdrowe, kochające się małżeństwo chce całować i tulić twojego dzidziusia. Odezwij się, pragniemy ci pomóc. Dzwon na nasz koszt. 212 DZIDZIUS.*

- Ckliwe. Można się porzygać-wykrzywiła się.

- To ma być ckliwe. One tak lubią. To miłośniczki tęczy i jednoroźców. Dziewczyny, które zbierają posążki upamiętniające najważniejsze chwile w życiu. Zaufaj mi, znam się na tym.

Karen westchnęła. Cała procedura stanowiła tak zwariowaną mieszankę metod z Madison Avenue, telekomunikacji i wiktoriańskiego sentymentalizmu, że nie była pewna, czy potrafi przez to przejść. Jeffrey umył ręce, ale może i lepiej. Mogła sobie wyobrazić, jakby zareagował na to ogłoszenie.

- A może coś takiego - zaproponowała. -*Mili, serdeczni, wykształceni stworzą twemu dziecku kochający dom. Nasze dziecko otrzyma wszelkie należne mu benefity.*

- Wykluczone. Zalatuje elitarnością. Co to są te benefity? A poza tym nie pisz „nasze dziecko”. Ono ciągle należy do niej.

- No tak, tu masz rację - przyznała. Rzuciła kartkę na podłogę, wstała i przeciągnęła się. - Może powinnam napisać tak, jak proponowała Sally? - powiedziała do Carla. Współpracownica Kramera była spokojna i pomocna. Przyjęła

czek, pokwitowała i zaopatrzyła Karen w listy kuratorów społecznych oraz gazet z innych stanów, zaznaczając, które z nich przyjmują ogłoszenia tylko od osób z zakończoną weryfikacją.

268

Carl siedział, machinalnie coś bazgrząc, a Karen zaczęła zbierać pomięte kartki. Może zdołałaby się skupić, gdyby nie huk roboty z paryskim pokazem. Jeśli odniesie porażkę, umowa z NormCo pewnie nigdy nie zostanie podpisana, nawet jeśli Karen wyrazi na to ochotę. Westchnęła. Jeffrey wciąż o niczym nie wiedział, a ona nie zadzwoniła jeszcze do Wolpera z prośbą by złożył ofertę. Musiała to zrobić, a jednak odwlekała sprawę. Dlaczego?

- Mam! - rozmyślania przerwał głos Carla. - *Spełnij nasze marzenie. Kochające małżeństwo rozpaczliwie szuka dziecka, z którym mogłoby dzielić ciepły dom i wszystko co najlepsze. Czy nam pomożesz?*

- Nieźle - przyznała Karen. - Ale może opuścimy to „rozpaczliwie”.

- Krytykować każdy potrafi - burknął Carl, jednak nareszcie mieli swoje ogłoszenie.

Karen i Carl przestudiowali listę dostarczoną przez Sally i wybrali wszystkie gazety wychodzące w miastach uniwersyteckich. Potem, razem z Definą, spędzili trzy dni, dzwoniąc do działów ogłoszeń w Missisipi, Tennessee, Georgii i Arkansas.

Po zamieszczeniu anonsów wartości tysiąca czterystu dwudziestu dolarów, pozostało tylko czekać przy telefonie komórkowym. Karen kupiła nową torbę ze specjalną kieszenią na słuchawkę i nie ruszała się bez niej z domu. Nikt, poza Janet, Definą i Carlem, nie znał numeru, a i oni mogli używać go tylko w wyjątkowych, nagłych wypadkach. Nie dzwonili, ale i nikt inny tego nie robił. Carl i Defina wypróbowali nowy nabytek dzwoniąc z automatów, gdyż przypuszczali, że dziewczyny z nich właśnie będą korzystać. Telefon działał. To ogłoszenia się nie sprawdziły. Karen skontaktowała się z Sally, która poradziła by spróbowali w Ohio. Zamieścili cztery ogłoszenia. Pięć dni później, za piętnaście druga w nocy zadzwonił telefon. Jego świergot obudził Karen, śpiącą u boku Jeffrey'a. Zanim odnalazła aparat w ciemnościach, minęły trzy sygnały. W końcu chwyciła słuchawkę i wyszła do łazienki, zamykając za sobą drzwi. Za pięć godzin miała wsiąść do samolotu i polecieć do Chicago na *trunkshow*, ale była szczęśliwa, że właśnie coś takiego zakłóciło jej sen.

- Halo - rzuciła w słuchawkę głosem zamglonym od snu.

- Halo, rozmowa na pani koszt zamówiona przez Carol. Akceptuje pani? -Karen potwierdziła, starając się wziąć w garść i nawiązać kontakt z dziewczyną.

- Witaj, Carol.

- Dźbry - wymamrotał zamazany głos z drugiej strony.

- Jestem Karen. Skąd dzwonicz?

- Ze sklepu na przeciwko. Już późno, no nie? Czy tam u ciebie jest późno?

- Tak, ale dobrze, że dzwonicz - Karen poczuła, że zaczyna się pocić. Czy to telefon z Ohio? Czy nowe ogłoszenie przyniosło rezultaty? Czy rozmawia z matką swego dziecka? Co, u diabła, ma teraz powiedzieć. Nigdy jeszcze tak jej nie zaschło w gardle. Na szczęście, nie musiała się odzywać. Zrobiła to Carol.

199

- Słuchaj, wpadłam, a mam już jedno dziecko. Interesuje cię to?

Karen wydawało się, że dziewczyna jest pijana. Co z uszkodzeniem płodu alkoholem? W którym ona jest miesiącu?

- Kiedy dziecko ma się urodzić? - zapytała, starając się, by jej głos brzmiał zwyczajnie.

- Za trzy miesiące. Za późno już, żeby coś z tym zrobić, no nie?

O czym ona mówi? Aborcja w szóstym miesiącu? O Boże, nie jestem na to wszystko przygotowana, pomyślała Karen, biorąc głęboki oddech.

- Masz długopis, Carol? - zapytała tak uprzejmie, jak tylko potrafiła.

- Nie, ale wzięłam ołówek.

- Świetnie. Świetnie. Ołówek wystarczy. Słuchaj, chcę, abyś zapisała sobie nazwisko. Harvey Kramer. Dam ci jego telefon. To nasz prawnik. Pomoże nam to wszystko zorganizować. Zaraz je przeliteruję. Już można? - zapytała.

Ale w słuchawce panowała głucha cisza.

Rozdział 19

Trunk show

Trunk show jest dla projektantów tym, czym dla pisarzy podpisywanie książek. Sporo kłopotu, szczypta zażenowania i jako jedyna korzyść - możliwość wzrostu sprzedaży. Ryzykuje się to samo co wydając przyjęcie - może się nikt nie zjawić.

Karen rozmyślała o tym wszystkim wsiadając do samolotu, którym miała polecieć do Chicago, do Bernhearta, najlepszego jeśli chodzi o modę, tamtejszego domu towarowego. Po telefonie od Carol nie spała już do rana, więc teraz była zmęczona i przygnębiona. Zajęła swoje miejsce - ID, przy oknie - i czekała aż usiądzie obok niej Defina. Latanie pierwszą klasą jest luksusem, ale Karen sądziła, że zasłużyła sobie na to i potrafi przyjemność docenić. Pracownicy Amerykańskich Linii Lotniczych dopiero od niedawna traktowali ją jak znakomitość. Przyczynił się do tego artykuł w „People”, a także występy w programach Barbary Walters i Elle Halle. Miło czekać w osobnej poczekalni, gdzie podają ci ziołową herbatę w porcelanowych filiżankach, a pracownik linii odprowadza potem do właściwego rękawa. Koniec z rzędami plastikowych krzesełek, bezmyślnym wpatrywaniem się w siedzącego na przeciwko sprzedawcę z IBM i przepychaniu do bramki w tłumie ludzi. Karen wprowadzano teraz do samolotu przed innymi pasażerami i witano imiennie w drzwiach. Dopiero gdy usadowiła się na swoim miejscu, a stewardesa odebrała od niej torbę i włożyła do schowka nad głową, reszta pasażerów zaczynała przepychać się w przejściu. Cóż,

pomyślała, sukces daje pewne przywileje. Nie była typem osoby uwielbiającej, jak jej usługują, ale latanie samolotami stanowiło tak ciężką próbę, że wszelka ulga zapewniana przez linie lotnicze była mile widziana. Szczególnie po ostatniej nocy. A Karen musiała przecież zebrać wszystkie siły przed czekającym ją kolejnym zadaniem.

Próbowała dodać sobie animuszu. Ostatecznie, to przecież tylko jedna rozmowa. Przynajmniej ogłoszenie wywarło wreszcie jakiś skutek. W końcu ktoś zadzwoni, a ona powinna teraz skoncentrować się na interesach.

271

Zawsze ciekawiło ją, co noszą kobiety w podróży. Trudno w takiej sytuacji wyglądać dobrze, czuć się wygodnie i przyjechać w nie wymiętym ubraniu. Niełatwo zaprojektować stroje podróżne. Sekret, jak zawsze, w dużej mierze polegał na tkaninie. Tylko cudowne - i zazwyczaj najdroższe - materiały spełniały swoją rolę. Najlepszy był dżersej, ale Beene z powodzeniem używał też mohairu.

Karen przyglądała się wsiadającym do samolotu kobietom. Starsze miały na sobie poliestrowe spodnie na gumce albo dresy. Praktyczne lecz obrzydliwe. Businesswomen nosiły kostiumy. Te z materiałów syntetycznych nie gniotły się, za to wyglądały tandetnie. W kosztownych, przez całą podróż, krój walczył z figurą właścicielki. Ze wszystkich pasażerów na pokładzie tylko jedna kobieta, w długiej dzianinowej spódnicy i prostej jedwabnej bluzce, wyglądała ładnie.

Karen nigdy nie wierzyła, że czołowi projektanci spiskują, by uczynić z kobiet niewolnice mody, kiedyś jednak - w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych - dostarczali określonych wzorców. Teraz moda się zdemokratyzowała, każdy mógł nosić co chciał i na ogół to robił. W jakiś sposób, pomyślała Karen, ubieranie stało się przez to trudniejsze. Granice nie istniały, a wybór był tak duży, że wprawiał w zakłopotanie. Takie przynajmniej wrażenie robiły kobiety w samolocie.

Defina, ładna jak zawsze, weszła popychając przed sobą Tangelę, Stephanie i jeszcze dwie modelki. Tangela klapnęła na fotel po drugiej stronie przejścia.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała Dee, podając jej bilet. - Masz siedzieć ze wszystkimi, z tyłu, za zasłoną.

Dziewczyna wysunęła dolną wargę i Karen nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wygląda z tym zupełnie jak Defina.

- Dlaczego nie mogę siedzieć tutaj? - zapytała.

- Gdy pracujesz pierwsza klasa, latasz pierwszą klasą - wyjaśniła jej matka.

Tangela chwyciła bilet i ze złością pomaszzerowała na tył. Dwie modelki zachichotały i ruszyły za nią. Na końcu szła Stephanie, tak podniecona, że nic nie było w stanie przyćmić jej entuzjazmu. Po raz pierwszy miała wystąpić publicznie jako modelka. Karen nie była przekonana, czy dziewczyna jest na to gotowa, a Defina oświadczyła, że z całą pewnością tak nie jest. Ciotka miała jednak wyrzuty sumienia, iż za mało zajmuje się siostrzenicą i w ten sposób próbowała jej to wynagrodzić.

- Mam nadzieję, że samolot nie spadnie na ziemię, lecąc z takim ładunkiem urazy na ogonie - powiedziała Defina, wskazując w kierunku klasy turystycznej.

W końcu wszyscy pasażerowie wsiedli i samolot mógł zająć miejsce w długiej kolejce, czekającej na odlot z lotniska LaGuardia o siódmej rano. Wtajemniczeni nazywali je Spóźnioną Gwardią. Początek *trunkshow* wyznaczony był na

jedenastą, a że lot trwał dwie godziny, czasu na pomyłki pozostało niewiele. Jednak dzięki godzinnej różnicy w czasie i obecności Caseya Robinsona w Chicago, Karen uznała, że wszystko będzie dobrze.

Trunk show to kłopotliwe przedsięwzięcie. Mieści w sobie kilka gatunków: spotkania znakomitości z prasą, pokaz mody oraz sprzedawanie jak największej ilości rzeczy. Domy towarowe wkładały dużo wysiłku i pieniędzy w nadawanie imprezie rozgłosu - zamieszczały reklamy, wygospodarowywały dodatkowe miej

202

sce, pracowników i czas, a także wysyłały imienne zaproszenia do tych klientów, którzy ich zdaniem, najbardziej to docenią i coś kupią. W zamian spodziewali się szalonej sprzedaży.

Karen umiała sprzedawać i lubiła to. Była także szczerą. Nigdy nie polecała kobietom ubrań, w których źle wyglądały. Mimo to, zastanawiała się czasem, czy przynajmniej w części nie postępuje niemoralnie. *Trunkshow* towarzyszyła czasem taka wrzawa, że czuła się bardziej jak handlarz narkotykami niż projektantka. Wiedziała, że kobiety mogą się uzależnić od mody i zakupów. Normalna, zdrowa potrzeba stawała się chorobliwą, przerażającą obsesją. A wiele amerykańskich kobiet, tak czy inaczej, ulega nałogom. Większość uzależniona jest od jedzenia, zaś z modą sprawa ma się podobnie. Osoby jedzące za dużo zawsze skarżyły się, że trudniej im poradzić sobie z tym problemem niż alkoholikom, bo w przeciwieństwie do picia, nie można po prostu przestać jeść. Trzeba to robić codziennie. To samo dotyczy ubrań. Kobiety każdego ranka muszą się ubierać, a jeśli zrobią to źle, przez cały dzień ponoszą konsekwencje. Wybrać niewłaściwy strój to podobnie, jak objeść się na śniadanie: efektem jest widoczna niechęć do samej siebie, która towarzyszy nam do wieczora.

Karen pamiętała, że Bill Wolper określił to co sprzedawała jako nadzieję, czy raczej jej złudzenie. Aż ją ciarki przeszły. Nie chciała sprzedawać nadziei, ani paskudnych perfum w eleganckiej buteleczce. Chciała sprzedawać kobietom piękne stroje, takie które sprawią im rzeczywistą przyjemność. Nie ulega wątpliwości, że, w ciągu ostatnich dziesięciu lat, zakupy stały się problemem. Oczywiście, częściowo było to wina konsumpcyjnej mentalności lat osiemdziesiątych -kupowanie jako sposób na życie. Karen uważała jednak, że zadecydowało o tym coś jeszcze. W ciągu ostatnich dziesięciu czy piętnastu lat, większość kobiet rozpoczęła pracę, a gdy opuściły dom i każdego dnia oglądali je ludzie, presja, by dobrze się ubierać stała się dużo większa.

Karen wyobrażała sobie, że kiedyś, w latach pięćdziesiątych, kobiety wykonywały domowe obowiązki w podomkach. Czy Bella nosiła coś takiego? Co się z nimi stało? W tamtych czasach, wyjście z domu było dla kobiety ważnym wydarzeniem -wkładały kapelusze, rękawiczki, pantofle na wysokich obcasach. Kłopot z tym związany

równoważyła możliwość odpoczynku od formalnego stroju w domu. Nie musiały co rano, przed wysłaniem dzieci do szkoły, ubierać się w pośpiechu.

Dzisiaj, większość kobiet nie miała czasu na odprężenie w domowym zaciszu. Weszły w świat interesów, lecz - w odróżnieniu od mężczyzn - oceniano je w dwojaki sposób. Oprócz dobrej pracy, brano pod uwagę ich atrakcyjność. Mężczyźni mogli włożyć inny garnitur czy płaszcz, jednak kobiety pragnęły czegoś więcej. Chciały wyglądać nie tylko odpowiednio, ale i ładnie, a efekt ten musiały osiągnąć każdego dnia. Nigdy jeszcze nie grały o tak wysoką stawkę i nigdy nie miały mniejszych szans na powodzenie.

W czasach powszechnego zatrudniania kobiet uzyskanie wymarzonego wyglądu było trudniejsze niż kiedykolwiek.

W ciągu ostatnich kilku lat pojawiły się jeszcze młodsze, chudsze i wyższe modelki. Wzrosła siła oddziaływania pism o modzie, lansowane wizerunki były coraz mniej osiągalne, a Karen, obserwując

pstrokaty tłum pasażerów, dostrzegając, że przeciętne Amerykanki wciąż ponoszą porażkę w walce o urodę. Przypomniała sobie słowa Billa Wolpera, beznamiętny opis życia zwykłej kobiety. Te, które spotka dzisiaj, mają więcej pieniędzy niż przedstawiana przez niego rozczarowana, schwytna w pułapkę istota. W oczach Karen jednak te bogate klientki znajdowały się w zbliżonej sytuacji. Namiętność z jaką wydawały pieniądze na pokazach była przerażająca.

W zeszłym sezonie *trunk shows* w Nowym Jorku i Los Angeles pobiły rekordy sprzedaży, co nie oznaczało jednak, że to samo powtórzy się w Chicago. Eleganckie miasto, z mnóstwem bogatych obywateli zamieszkujących okolice Lake Shore Drive i Miracle Mile, wciąż okrywała patyna konserwatyizmu, charakterystycznego dla stanów Środkowego Zachodu. Karen nie mogła liczyć, że jej projekty zawsze zostaną tu docenione. Dlatego właśnie podbicie Chicago było takie ważne. Poza presją zdobywania zysków i oczekiwaniami Bernhearta, Karen wiedziała, że jeśli firma ma się rozwinąć, musi wyjść poza obręb obydwu wybrzeży. Dzisiejszy pokaz stanowił między innymi test, jak będą sprzedawać się niektóre nowe modele z paryskiej kolekcji. Karen chciała sprawdzić, czy wzbudzą zainteresowanie i był to jedyny sposób, by się o tym przekonać.

W końcu samolot wystartował. Karen siedziała wpatrzona w nie istniejący punkt za oknem. Rozmyślenia o nocnym telefonie przerwała jej stewardesa, proponując koktajl mimoza. Kto, do diabła, wlewa o siódmej rano szampana do soku pomarańczowego? Pokręciła głową, a stewardesa podała śniadanie.

- Czym się tak zamartwiasz? - Defina rzuciła przyjaciółce gniewne spojrzenie. - Daj sobie spokój, dziewczyno. Jesteś kim jesteś, mamy to co mamy i ubrania wcale nie są takie złe. A teraz i tak nic już nie możesz zrobić, więc rzuć to w cholerę - popatrzyła na swój talerz. - To dopiero jedzonko! Zjedz omlet serowy, ale lepiej nie ruszaj tych paluszków, które oni nazywają tu kielbaskami. Nawet w pierwszej klasie przypominają kocie łajno.

- Dee, co za ohyda! - roześmiała się Karen, rezygnując z całego śniadania. Rano i tak nie jadła nic, poza suchym obwarzankiem. Jeden miała schowany w torbie nad głową razem z telefonem. Zastanawiała się czy ktoś mógłby zadzwonić podczas lotu. Może traci właśnie swoją szansę? Cóż, jeśli zacznie się jeszcze nad tym zastanawiać, to chyba oszaleje. Pokręciła głową jakby mogła z niej wytrząsnąć tę myśl.

Próbowała skoncentrować się na czekającym dniu. Kolekcja paryska zapowiadała się nie najgorzej. Jak zwykle wielki przebój stanowiły zakłady. Wyglądało na to, że kobiety nigdy nie mają ich za dużo, a te projektowane przez Karen mogły ukryć, dzięki swemu krojowi wiele grzechów. Spodnie zawsze dobrze się sprzedawały, zaś wypróbowywana przez nią nowa japońska mieszanka wełny -po nieludzkiej cenie sześćdziesięciu dolarów za jard w hurcie - jak na razie odniosła wielki sukces. Klientki Karen żądały tylko naturalnych materiałów, jednak ten japoński

cud miał fakturę wełny, lecz się nie gniótł. Wymarzony na podróż. Po raz pierwszy wykorzystwała go w ostatniej kolekcji i spodnie po prostu wymiotło z nowojorskich sklepów.

Bardziej niepokoiła się sukienkami. Stanowiły pewne ryzyko. Na ogół długie, sięgające prawie do pół łydki, uszyte były z jedwabiu lub z najcieńszego boucle.

204

Miały małe rękawki, bo kobieta powyżej osiemnastu lat powinna zapomnieć o sukni z odsłoniętymi ramionami. Karen wyznawała tu pogląd Coco. Ostatecznie, kto chciałby cały dzień gapić się na czyjeś pachy? Wszystkie sukienki zapinały się od góry do dołu i można było do nich dobrać żakiet. W takiej długości większość kobiet wyglądała świetnie i mogły w nich prosto z biura, pójść na proszony obiad. Ale największą zaletą sukienek była wygoda - żadnego wybierania bluzek czy chustek na szyję. Wkładasz, zapinasz i gotowe. Jesteś ubrana w trzydzieści sekund.

Problem polegał na tym, że kobiety na ogół nie mierzą sukienek i te, które Karen przywiozła, mogły po prostu wisieć cały czas na wieszakach. Wiedziała, że suknia jest czymś nowym w proponowanym przez nią stylu, ale była pewna, że klientki zrozumieją o co chodzi. Potrzebowała tylko okazji, by je o tym przekonać.

Dawał ją właśnie *trunk show* - osobisty kontakt z nabywcą. Karen zdawała sobie sprawę, że każdego projektanta ograniczają czasy, w jakich żyje i kobiety, którym sprzedaje swe ubrania. Lubiała obserwować, jak zwykle Amerykanki, nie modelki czy damy z towarzystwa, ale przeciętne kobiety przymierzają i wybierają jej projekty. Czowała, że musi dokładnie wiedzieć, kogo stać na jej żakiety za tysiąc dziewięćset czy codzienne suknie za dziewięćset osiemdziesiąt dolarów. W przeciwnym razie, jak, u diabła, będzie w stanie zaproponować swym klientkom właściwy strój? Czy pracują? Czy są młode czy stare? Niewiele kobiet, przed ukończeniem trzydziestu pięciu lat, mogło pozwolić sobie na wydanie tylu pieniędzy. Jaka cena jest dla nich maksymalna? Czy sądzą, że wart jest jej kostium do pracy, a może tylko suknia wieczorowa? I najważniejsze - czego tak naprawdę im brakuje? Czemu nie potrafiłyby się oprzeć? Zdobytą wiedzę będzie mogła wykorzystać w tańszej kolekcji. Nie zdarzył się jeszcze *trunk show*, który czegoś by jej nie nauczył, choć musiała przyznać, że lekcje były czasem bolesne.

Postawiła tym razem na suknie, stroje nowe i zarazem klasyczne, a także wygodne. Wkładało się sukienkę, pończochy, pantofle i już. Prostota i wygoda były dewizą Karen. Ale to *trunk show* stanowił próbę ogniową. Na lotnisku O'Hara, jak zwykle, panowało piekło i dopiero po dwudziestu minutach zdołały odnaleźć swoją limuzynę. Kierowca miał stać przed wyjściem, trzymając tablicę z nazwiskiem Definy. Zamiast tego, czekał na nie przy punkcie odbioru bagażu, choć niczego ze sobą nie przywiozły. W końcu usadowiły się w samochodzie i odbyły

długą jazdę autostradą im. Kennedy'ego, do której bardziej pasowałaby raczej nazwa parking Kennedy'ego. Wadą wylotu o siódmej rano z lotniska LaGuardia było to, że przybywało się do Chicago w godzinach szczytu. W końcu jednak stanęli w Michigan Avenue. Była dziewiąta trzydzieści, dziewczęta miały więc ponad godzinę na strojenie się, a Karen i Defina tyle samo czasu na pogawędkę z tutejszym kierownictwem, poprzedzającą spotkanie z klientkami.

Jednak, gdy tylko weszły powitał je wiceprezes Ben Crosby, który oświadczył, że dzwoniła do niego Mercedes Bernard.

277

- Umówiła wywiad z Mindy Trawler z „Chicago Herald”. Ma w tym tygodniu napisać główny artykuł do działu towarzysko-kulturalnego. Czeka na górze.

Crosby, mały, okrągły, starannie ubrany człowieczek, był najwyraźniej podniecony, ale też pracował tu od niedawna. Takie typy Defina obdarzała miazdzącym przezwiskiem *marchand de fromage* - handlarzy serów. Karen miała ochotę westchnąć, zdołała się jednak uśmiechnąć. O Boże! Potrzebuje przecież czasu, żeby się przygotować. Jej interesy zależały od kontaktów ze sklepami. Zawsze walczyła z innymi projektantami o miejsce w domach towarowych. Jedynie Ralph Lauren nie musiał się podlizywać. Sześćdziesiąt własnych sklepów, dwadzieścia cztery hurtownie z towarem przecenionym oraz nowojorska „Rhinelander Mansion” wchłaniały całą produkcję. Karen nie była w tak luksusowej sytuacji. Nic dziwnego, że inni projektanci zazdrościli Ralphiemu.

Jeśli kierownictwo domów towarowych nie wyeksponuje i nie wypromuje ubrań Karen, to bez względu na to jak są udane, nikt ich nie kupi. Robiła więc co mogła, by zadowolić Crosby'ego. Kontakty z mediami są oczywiście ważne, ale wywiad powinien odbyć się przez telefon kilka dni wcześniej i ukazać w gazecie dzisiaj, by przyciągnąć ludzi na pokaz.

Od reklamy, właściwego rodzaju reklamy, zależało w tej branży wszystko i Mercedes była niewątpliwie pomocna. Bez wielu pochwalnych artykułów w prasie nawet najlepsi projektanci kuleli. Karen pomyślała o Geoffreyu Beene'ie. Każdy w branży wiedział, że to największy artysta mody, jakiego stworzyła Ameryka, ale „Women's Wear Daily” nie pisało o jego pokazach od lat, odkąd John Fair-child zaczął wojnę z Beene'm.

Na przeciwległym krańcu znajdowała się Donna Karan, która miała prawdziwy dar rozmawiania z dziennikarzami. Było w niej tyle ciepła, że nawet płotce z drugorzędno pisma wydawało się, iż Donna naprawdę ją lubi. Kto wie, wzruszyła ramionami Karen, może tak jest rzeczywiście? Ona sama nic podobnego nie czuła, a udawanie ją męczyło. Miała co innego do roboty, lecz wiedziała że Mindy Trawler na nią nie zaczeka. No, cóż. Wycinek z tym wywiadem będzie pewnie kiedyś dobrze wyglądał w albumie, jeśli tylko znajdzie czas, by go tam wkleić. A może jakaś przyjaciółka przyśle go Belli z Chicago. Matka w młodości przecież tu mieszkała. Karen nagle ogarnęło mdlące uczucie; czy ona sama nie mieszkała gdzieś w tych okolicach? Jedna z kobiet, które przyjdą dzisiaj na pokaz, może być jej krewną.

Kiedy szła przez parter, nadpłynął ku niej jakiś dziwny zapach. Spojrzała w górę. O Boże! To te przeklęte perfumy Norris Cleveland. W domu towarowym odbywała się właśnie ich wielka promocja i stado hostess ubranych w charakterystyczną dla Norris żółć rozpylało wokół pachnącą ciecz. Ustawiono ogromną wystawę, oświetlona góry,

jakby butelki zawierały kadzidło i mirrę. Cóż, Karen przynajmniej nie upadła tak nisko, by sprzedawać butelkowane szczyny. Przeszkadzało jej jednak, że stanowi dziś główną atrakcję razem z Norris.

Ale nie miała czasu, by się tym zamartwiać.

- Ty popracujesz, a ja zbiorę laury - powiedziała, odwracając się do Defi-ny. - Możesz przygotować wszystko, w czasie, gdy będę udzielać wywiadu?

279

- Wolałabym przygotować dziesięć pokazów, niż rozmawiać z jedną z tych żmij z branży - pokręciła głową Defina. Dziennikarki piszące o modzie znane były z małostkowego i trudnego charakteru. Ale, gdy się nad tym zastanowić, czego można spodziewać się po osobach, które poświęciły życie opisywaniu wydłużania się lub skracania spódnic, czy nowego rodzaju bluzek? Karen często przekonywała się, że są to osoby pełne zawiści, które same chciały projektować, ale nie starczyło im odwagi czy talentu. Jak w starym przysłowiu - są tacy, którzy coś robią i tacy którzy potrafią tylko o tym pisać.

- Mam nadzieję, że przygotowałaś tej zmiłi coś na żer - dodała ponuro Defina. Dziennikarki mody cieszyły się złą sławą osób biorących, co im wpadnie w ręce, od darmowego posiłku po futro. Karen wzruszyła ramionami.

- Na pewno mamy coś, co się jej spodoba - powiedziała słodko.

- No tak. Miejmy nadzieję, że nie któraś z tych marynarek po dwa tysiące dolarów. Wiesz, Karen, nie jesteś w stanie zrobić wszystkiego. Za dużo bierzesz sobie na głowę. Pewnego dnia przebierzesz miarę i pęknie jak balon.

Będziemy zbierać twoje strzępki po całym domu towarowym - od działu tanich pończoch do salonu sukien ślubnych...

- No to co? Jestem ubezpieczona. Dostaniesz wysoką rentę.

- Cóż, nie potrafię wyrazić jaka to dla mnie pociecha - Defina wzniosła oczy do nieba, po czym zwróciła się do modelek - Idziemy. Mamy godzinę na przemienienie was w atrakcyjne kobiety. Modłę się, by wystarczyło czasu - oddaliła się wraz z dziewczętami, a Crosby zaprowadził Karen na górę, do biura sprzedaży.

Mindy Trawler miała na sobie stereotypową czarną sukienkę, jakie nosiły chyba wszystkie piszące o modzie dziennikarki. Praca w drugorzędnej gazecie średniego miasta sprzyjała pewnie zajmowaniu pozycji obronnej, co mogło utrudnić wywiad. Karen, tak naprawdę, nie lubiła żadnych reporterów z branży, poza Benem Bradleyem, ale on był po prostu świetnym dziennikarzem, który wypalił się, jeśli chodzi o modę i teraz pisał o polityce, albo czymś jeszcze brudniejszym. Rzuciła torbę i wyciągnęła rękę, by ucisnąć dłoń Mindy. Dopiero gdy tamta wstała, Karen zobaczyła jej wypukły brzuch. W którym może być miesiącu? Spojrzała na ręce dziewczyny, by sprawdzić czy nosi

obrączkę. No, właśnie! Tak, jakbym miała adoptować jej dziecko! Zmusiła się do uśmiechu Wiedziała, że to szaleństwo, ale przez bezsensowne rozglądanie się za obrączką, chciała umknąć zalewającej ją fali zawiści. Śmieszne. Zaledwie kilka minut temu Defina tłumaczyła jej, jak te kobiety są zawsze o nią zazdrosne. Teraz sytuacja się odwróciła. Karen wiedziała, że nie może okazać bólu, ale przez chwilę był on tak rzeczywisty i silny, iż niemal opadła na krzesło.

- Kiedy ma pani termin? - zapytała, starając się, by jej głos brzmiał miło i zwyczajnie.

- W przyszłym miesiącu, ale czuję się jakbym była w ciąży od dziesięciu lat. Karen ze współczuciem pokiwała głową, tak jakby miała o tym jakieś pojęcie.

- Niesamowite - powiedziała. - Trudno uwierzyć, że znalazła pani czas na przeprowadzenie ze mną wywiadu. Czy mogłabym w czymś pomóc? Na pewno

niełatwo długo ustać w tym stanie na nogach. Może chciałaby pani położyć się na czas rozmowy?

Mindy potrząsnęła głową jakby ta troską irytowała. Przeszła od razu do rzeczy.

- Pozwoli pani zadać sobie pierwsze pytanie: wielu projektantów uważa Chicago za miasto drugorzędne, jeśli chodzi o modę. Czy mieszkają tu jakieś pani ulubione klientki, czy też ubiera pani tylko Elizy Elliot tego świata?

O Boże! Tego tylko Karen było potrzeba! Zdołała się jednak uśmiechnąć.

- No, cóż, ktoś zadał kiedyś Chanel dokładnie to samo pytanie. Choć nią nie jestem, powiem pani co na nie odpowiedziała. „Lubię kobiety, które płacą rachunki. Weźcie sobie księżniczki, comtessy i następczynię tronu. Te osoby są tak przejęte swą wysoką pozycją, że nie zniżają się do wysłania czeku. Dajcie mi szykowną drugą żonę bogatego przemysłowca, który oszukuje trochę na kontraktach z rządem. Taka kobieta czuje się zbyt niepewnie, by przybierać wysokie tony; ona płaci swojej krawcowej”.

- Odpowiadają więc pani kobiety niepewne? No tak. Już wiadomo, co to będzie za wywiad.

- Nic podobnego. Lubię wszystkie moje klientki - Karen spojrzała na zegarek. - Czy ma pani jeszcze wiele pytań?

- Cóż, tak naprawdę, zależało mi nie tyle na wywiadzie, ile na towarzyszeniu pani podczas *trunk show*. Zgodzi się pani? - Mindy uśmiechnęła się pytająco. - Kulisy pokazu, specjalnie dla naszych czytelników.

Cholerny świat, pomyślała Karen. Tego tylko jej potrzeba. Pętająca się po zapleczu, wścibska reporterka, notująca każdą niegrzeczną uwagę i nieudaną sprzedaż. Poza tym, nie mogła sobie pozwolić na przedwczesne zaprezentowanie w prasie rzeczy z paryskiej kolekcji. Wyobraża już sobie reakcję Definy. W stanach Środkowego Zachodu *trunk show* jest dla fanatyczki mody sposobem na wybicie się z tłumu. Nie oznaczało to jednak, że Karen powinna sama informować o wszystkim prasę. Mimo to uśmiechnęła się. Dziewczyna nie robiła wrażenia na tyle doświadczonej, by wiedzieć, co naprawdę ogląda.

- Świetny pomysł. Będziemy zachwyceni - powiedziała, uznając, że wciskanie kitu właśnie oficjalnie się rozpoczęło. Pani Montand stała przed potrójnym lustrem, oceniając, jak wygląda w długiej jedwabnej sukni, którą przyniosła jej Defina.

- Nie. To świetna sukienka, ale nie dla mnie. Ja nie mam talii - powiedziała.

Projektantka obrzuciła ją krytycznym spojrzeniem. Pani Montand była dobrą klientką, jedną z tych, które niemal od początku kupowały jej rzeczy, ale miała konserwatywne poglądy i wiedziała czego chce.

- To prawda - szepnęła Karen do Definy. - Rzeczywiście nie ma talii.

- Ma pani za to piękne nogi - pokiwała głową Defina. - Zostańmy przy krótkich spódnicach i marynarkach.

- A może suknia z dzianiny? - zaproponowała Karen, licząc na małe badanie rynku.

- Z takim tyłkiem? - pani Montand uniosła brwi.

- Zdziwi się pani - Karen odwróciła się i zaprezentowała własne siedzenie. - Na mnie leży całkiem dobrze.

- Niech będzie. Przymierzę jedną z nich - zgodziła się klientka.

Karen całe życie przyglądała się kobietom mierzącym ubrania. Zabawne -aby dobrze w nich wyglądać, nie trzeba być szczupłym, ale niezbędne są ładne ramiona i długa talia. Problem pani Montand polegał nie tyle na braku wcięcia w tali, co na jej krótkości. Najlepiej wyglądała w ukrywających ten defekt tunikach.

Zdumiewające, co ubrania mogą zamaskować, a co odsłonić. Wysoka, szczupła na pozór kobieta, po zdjęciu tuniki okazywała się raczej tęga. Była, jak to mówią Francuzi *fausse maigre*, fałszywą chudziwą, gdyż przy pomocy właściwych strojów mogła swoje wady zatuszować. Inne kobiety wyglądały lepiej po zdjęciu ubrań. To były te, które potrzebowały rady w doborze właściwego modelu.

Karen przeszła z przymierzalni na teren salonu sprzedaży. Zabawne nazwy, zważywszy, że większość zakupów dokonywana była w przymierzalniach. Nie dlatego, by Karen natrętnie zachęcała. Wręcz przeciwnie, czasem przerażała ją jak namiętnie i w jakich ilościach te kobiety wydawały pieniądze. Często wydawało jej się, że pod wywołanym zakupem podnieceniem, kryły się ciemne otchłanie samotności. Wyczuwała rozpacz w klientkach kupujących po jednej sztuce z każdego modelu, albo proszących o określoną rzecz we wszystkich kolorach. Jak wyglądało ich życie? Czyjej ubrania rzeczywiście dawały im trochę pociechy czy też jak stroje Norris Cleveland były tylko jednorazowym opatrunkiem? Karen wiedziała, że niektóre z tych kobiet nie odpakowują nawet w domu przyniesionych zakupów. Upychają je w szafie tak, jak alkoholik chowa butelkę na czarną godzinę. Zasmucało ją głęboko. Nie lubiła jednak powątpiewać w ich motywacje, bo wtedy musiałyby zastanowić się nad własnymi. Gdy szła przez sklep, dobiegły ją odgłosy jakby korków wystrzelających z butelek, czy fleszy. Co to, u diabła, mogło być? Nie miała jednak czasu sprawdzać. Ponad dwadzieścia kobiet kręciło się już przy wieszakach z rzeczami .XKInc. Defina pilnowała modeli z paryskiej kolekcji.

- O Boże, ta marynarka jest cudowna! A szary, to najmodniejszy kolor w tym sezonie - zwróciła się do Karen duża, jasnowłosa matrona. W marynarce uszytej z szarego boucle wyglądałaby ohydnie.

- Jest ładna - zgodziła się Karen. - A czy widziała pani tę? - pokazała jedną z zaprojektowanych przez siebie granatowych dwurzędówek. - Granat nie jest wcale neutralny. Kobiety tak myślą, choć większość z nich nie wygląda w nim dobrze. Ale pani mogłaby go nosić - dodała szczerze.

- A jaki kolor jest w tym roku najmodniejszy?

- Ten, w którym pani najładniej - uśmiechnęła się Karen.
- No, cóż, tak naprawdę to nie wiem - przyznała tamta. - Dlatego na ogół ubieram się na czarno. Wy nie macie czarnych rzeczy, więc nie wiem co wybrać.
- Dla większości blondynek czerń jest bezlitosna - powiedziała Karen.

14 - Spóźniona moda

209

Zorientowała się, że kobieta ją rozpoznała. Do syndromu „Rozmawia ze mną Karen Kann” wciąż nie mogła się przyzwyczaić. Klientka wzięła od niej granatową marynarkę i uniosła ją by się przyjrzeć.

- Śliczne guziki - powiedziała. Karen użyła tym razem guzików krytych materiałem, co odnowiło wygląd marynarki. Uśmiechnęła się do dużej blondynki.

- Mogłaby pani także przymierzyć którąś z długich sukienek. Będzie w niej pani świetnie wyglądała - zdjęła z wieszaka i podała jej jedną w rozmiarze dwunastym. - Co pani o tym sądzi?

- Zwykle nie noszę sukienek, ale ta jest ładna - popatrzyła na rozmiar. - Ale mój to dziesiątka.

Do licha, jeśli to ma być dziesiątka, to Karen jest chińską cesarzową.

- Są trochę mniej sze niż numeracja - powiedziała dyplomatycznie. - Może zmierzy pani obie rzeczy.

Blondynka wzięła dwa wieszaki i z niezdecydowaną miną ruszyła w stronę przy mierzalni.

- Na pewno noszę dziesiątkę - zawołała do Karen, która uśmiechnęła się i pokiwała głową, choć miała ochotę zgrzytać zębami. Wszystkiemu winne było przekłete zaniżanie numeracji. Już dawno temu Albert Nipon odkrył, że wiele kobiet noszących rozmiar dziesiąty kupowałyby jego suknie, gdyby tylko pasował na nie rozmiar szósty. Zaczął więc szyć coraz większe rzeczy. Inni poszli za jego przykładem, choć większość projektantów nigdy by się do tego nie przyznała. Karen wciąż zdumiewał fakt, że niektóre kobiety za żadne skarby nie chciały kupić świetnie pasującego i wyglądającego na nich ubrania, jeśli na metce nie widniał rozmiar, który chciałyby nosić. I tak zaczęto powszechnie zaniżać numerację. Oczywiście, najlepsze domy mody podawały właściwe rozmiary, ale ich klientki należały do osób znających własne ciała, a także mających czas i pieniądze, by o nie dbać. W przypadku ubrań codziennych zaniżanie numeracji było, po prostu, jeszcze jedną sztuczką zwiększającą sprzedaż. Jeśli tyłek rozmiar dwanaście mógł wbić się w dzinsy w tym samym rozmiarze, ale opatrzone metką z cyfrą osiem, sprzedaż wzrastała. Tylko gdzie leży granica takiego postępowania? Jeffrey, Casey, nawet Defina namawiali Karen na to, lecz ona, do tej pory, jakoś im się opierała. Przede wszystkim pani Cruz dostałaby zawału. Teraz, z uśmiechem przylepionym do twarzy, porozumiała się wzrokiem z Definą.

- Daj tej blondynce sukienkę, rozmiar dwunasty - syknęła przez zaciśnięte zęby. - Będzie w niej świetnie wyglądała. Odetnij tylko metkę z numeracją.

Defina skinęła głową. Na wypadek takich sytuacji miała przy sobie mały, ostry jak brzytwa nożyk. Karen podniosła wzrok. Mindy Trawler właśnie im się przyglądała. Posłała jej szeroki uśmiech, starając się patrzeć na twarz, a nie na wypukły brzuch dziewczyny. W tej samej chwili dopadły ją dwie następne klientki, chcące koniecznie przymierzyć żakiety z boucle. Karen była tu już prawie trzy godziny i jak na razie wydawało się, że jest to najbardziej udany z

dotychczasowych pokazów. Mimo pani Montand i jej nie istniejącej talii, obsesji blondynki na punkcie numeracji, sukienki okazały się wielkim przebojem, a i niektóre z innych modeli paryskich sprzedawały się całkiem nieźle.

Karen, choć wyczerpana,

210

czuła się usatysfakcjonowana. Mały, okrągłutki pan Crosby, który niemal tańczył w przejściu między wieszakami, odwrócił się i szumnie zapowiedział podanie herbaty i szampana.

Z windy dla obsługi wytoczono trzy stoliki na kółkach. Serwetki z adamaszku były w charakterystycznym dla Karen kolorze zboża, a dokładnie ten sam odcień miały lilie w wazonie. Na stolikach znajdowały się srebrne przybory do herbaty, stały porcelanowe filiżanki i spodki ze złotym brzeżkiem, a na potrójnej srebrnej tacy leżały maleńkie bułeczki i cudowne kanapeczki z ogórkiem. Naprawdę się postarali, a Karen mile polectało, że szampan w srebrnym wiaderku to „Dom Perignon”, nie zaś jakieś krajowe święństwo. Może nie najlepszy rocznik, ale ujdzie. Kilkanaście klientek, Tangela, Defina i naturalnie Mindy Trawler pochyliły się nad stolikami. Karen jednak, bardziej niż czegoś do picia, potrzebowała chwili przerwy.

Poszła na zaplecze i przejrzała się w lustrze. Boże, co za koszmarny wygląd! Pod oczami miała ciemne sińce, prawie dokładnie w kolorze ciemnowiśniowej jedwabnej koszuli. Cóż, przynajmniej jedno do drugiego pasuje. Ten telefon o drugiej nad ranem nie był jej potrzebny. Odwróciła się i skierowała do oddzielonej przepierzeniem części zaplecza, służącej Tangeli i innym dziewczętom za przebieralnię. W drzwiach minęła ją Tangela, pogryzająca kanapkę, wciąż ubrana w jedną z brązowych sukienek. Wyglądała świetnie.

- Nie zabrudź jej - ostrzegła Karen. Dziewczyna popatrzyła na nią niechętnie, ale przytaknęła, po czym odwróciła się i wyszła.

Dopiero wtedy Karen zobaczyła Stephanie skuloną w kącie przy lustrze, odwróconą plecami do pokoju i wieszaka z ubraniami. Plecy miała obnażone, a ramiona dziewczyny, jak się Karen wydało, dygotały od płaczu. Szybko do niej podeszła. Jej siostrzenica naprawdę płakała, a po twarzy spływał jej rozmazaną strugą tusz do rzęs. Wyglądała jak młodziutki szop pracz. Karen usiadła obok i położyła jej rękę na ramieniu.

- Co się stało? - spytała.

- Nie potrafię tego zrobić.

- O czym ty mówisz? Świetnie ci idzie.

- Nie. Wiem, że nie. Nie umiem odpowiedzieć, kiedy klientki się do mnie zwracają i nikt nie kupuje rzeczy, które prezentuję.

- Skąd wiesz?

- Tangela mi powiedziała.

Karen pokręciła głową. Nawet ona nie wiedziała dokładnie, co sprzedaje -nie licząc paryskich modeli - i miała się o tym przekonać dopiero po zrobieniu bilansu na koniec dnia. Nowicjuskę po prostu zawiodły nerwy. No i ta żmijowa-tość Tangeli. Cóż, Stephanie ma prawo się niepokoić. Nigdy w życiu nie brała w czymś takim udziału.

Może zadanie było ponad jej siły? Karen poczuła się winna. Myślała, że to będzie przyjemność, rodzaj rekompensaty za zabranie dziewczyny z przyjęcia na łodzi. Nie przyszło jej do głowy, że przeżycie może wywołać uraz. Była zbyt zajęta adopcją umową z NormCo, własnym małżeństwem, by

286

poświęcić więcej czasu czy uwagi Stephanie i oto mała, choć zrobiła kawał porządnej roboty, uważa, że poniosła porażkę. Karen wzięła głęboki oddech, jak może myśleć o zostaniu matką, skoro nie ma nawet czasu, by być dobrą ciotką.

- Stephanie, świetnie sobie radzisz. W tych spodniach wyglądasz znakomicie, a gdy prezentowałaś dzianinową sukienkę z kontrafałdą trzy klientki ją przymierzyły. Nie masz powodu do zmartwień. Po prostu wszystko jest dla ciebie nowe. Jeszcze się nie przyzwyczaiłaś. Ale to przyjdzie z czasem.

- Mówisz tak tylko dlatego, że jesteś moją ciotką - wychlipała Stephanie, ale po kilku chwilach zaczęła się uspokajać. Otarła oczy i nos, rozmazując sobie tusz po twarzy i dłoniach, aż po nadgarstki. Całe szczęście, że miała na sobie tylko bieliznę. - Tylko tak mówisz - powtórzyła.

- Nic podobnego - powiedziała Karen. - Nie podjęłabym teraz ryzyka utraty zysków. To są interesy. Mogłam cię przecież zostawić dzisiaj w pracowni.

- Naprawdę dobrze mi idzie?

- Jesteś znakomita! I świetnie dajesz sobie radę. Tylko nie pobrudź kaszmiru tym świństwem, które masz na twarzy, bo cię zabiję - uściskała dziewczynę i sięgnęła po leżące za nią chusteczki higieniczne. Boże, jakież jej ramiona są chude! - Doprowadź się do porządku i zmykaj. Pozwolę ci nawet wypić kieliszek szampana - uśmiechnęła się do stojącej przed lustrem siostrzenicy i zobaczyła majaczące w tle odbicie Mindy Trawler. Do licha! Tego tylko potrzeba! Ciekawe, jak długo tu stoi? I co z tej rozmowy trafi do prasy?

- Przyszedł fotograf - oznajmiła chłodno Mindy. - Może się pani teraz z nim zobaczyć? - w jednej ręce trzymała kieliszek z szampanem, a w drugiej kanapkę. Czyżby piła? Karen pomyślała, że jest to pewnie woda sodowa. - Czy możemy zrobić kilka zdjęć? - zapytała dziennikarka. - Na przykład was obydwu?

- Chcesz być w gazecie? - Karen zwróciła się do Stephanie.

- Jasne.

Projektantka uśmiechnęła się do lustra.

- Jedną chwilę - kazała siostrzenicy się umyć, a sama wyjęła z torby korektor i nałożyła warstwę pod oczy. Potem sięgnęła po duży podróżny pędzel i przypudrowała całą twarz pudrem brązującym Guerlaina'a. Sprawiał wrażenie opalenizny, nie szkodząc skórze ani odrobiną UVA. Na usta pokryte bezbarwną po-madką położyła błyszczący. Dobrze wychodził na zdjęciach. Karen nigdy nie była piękną i nie patrzyła w lustro z próżności. Uznawszy, że wygląda jako tako, wstała z krzesła. Cudowne spodnie z japońskiego materiału, które miała na sobie, warte były

każdego wydanego na nie grosza - ani jednej fałdki. Karen nie cierpiała tego, że większość spodni natychmiast gniecie się w kroku. Nikt nie rozumie tkanin tak jak Japończycy.

Znów usłyszała odgłosy wystrzałów. Czyżby zastrzelili kogoś tam, na dole? Trochę zbyt gwałtowna reakcja na czyjeś nowe ubranie. Popatrzyła na swe odbicie. Może być.

Odrobina brązowego pudru roztarta się na ramieniu, ale można było temu zaradzić bez większych kłopotów.

Ściągnęła marynarkę, rzuciła na ladę i wzięła sobie nową z wieszaka. Po raz ostatni szybko przejrzała się w lustrze.

Jej stroje

212

naprawdę spełniają swoje zadanie. Wyszła z przymierzalni na teren sklepu, w samą porę, by zobaczyć jak Mindy Trawler nalewa sobie kolejny kieliszek „Dom Perignon”. Ta głupia mała dziwka naprawdę piła! Karen nie pamiętała czy uszkodzenie płodu alkoholem grozi w pierwszym czy ostatnim trymestrze ciąży. Nie zastanawiając się, podeszła do dziewczyny.

- Chyba nie tego pani sobie naprawdę życzy - powiedziała. - Mamy świeży sok pomarańczowy i, zdaje się, ziołową herbatę.

- Dziękuję. Szampan najzupełniej mi wystarczy.

- Ale to chyba nie jest najlepszy pomysł. Jeśli pani chce, mogę poprosić o przysłanie jakiegoś innego świeżego soku.

- Dziękuję. Nie ma takiej potrzeby - odpowiedziała Mindy, a ton głosu ostrzegł Karen, by dała spokój. Ale ona miała inne plany.

- Nie chodzi mi o panią tylko o dziecko.

Kilka kobiet zgromadzonych wokół stołu odwróciło się, śledząc konfrontację.

- Dziękuję bardzo, ale sama potrafię zatroszczyć się o własne dziecko - głos Mindy brzmiał lodowato.

Pan Crosby wysunął się naprzód i odchrząknął. Wiedział, że sprawy zaszły już za daleko.

- Fotograf sądzi, że powinna pani ustawić się tutaj, pod swoim logo. Bardzo dobre miejsce na zrobienie zdjęcia - powiedział, ujmując Karen pod ramię. Stephanie dołączyła do ciotki, a Defina, unosząc w górę brwi, poszła za nimi.

- Dobra prasa będzie nas teraz kosztowała więcej, niż marynarka za dwa tysiące dolarów - ostrzegła przyjaciółkę.

- Do diabła z nią - powiedziała Karen, mając nadzieję, że jej głos brzmi wystarczająco donośnie. - Niczego nie dostanie. Nie zasługuje na to, żeby mieć dziecko.

- Nie ty chyba będziesz o tym decydować - stwierdziła Defina. - A poza tym, czego oczekiwać po potomstwie żmii? Dzieci będą pełne jadu. I co z tego - poklepała Karen po ramieniu. - Uśmiechnij się ładnie do chłopaków z obiektywem, a ja wezwę straż pożarną, pójdę do Trawler i spróbuję ugasić te płomyczki.

Przez męczące dwadzieścia minut Karen udawała, że podpina brzeg sukni prezentowanej przez Stephanie, podczas gdy fotograf z asystentem bez końca majstrowali przy reflektorach. Miała ochotę powiedzieć im, że nie chodzi tu o artystyczne zdjęcie w stylu Avedona, ale o zwykłe, czarno-białe świństwo do gazety. Właśnie podnosiła się z kolan, kiedy spojrzawszy przed siebie, zobaczyła wysiadającego z windy Billa Wolpera. Ledwie wierzyła własnym oczom. Co on, u diabła, tutaj robi? Wolper ruszył w stronę salonu, a jego oczy badawczo omiotły zebrany tłum. Wreszcie zauważył Karen i uśmiechnął się do niej. Powitalnym gestem uniosła dłoń. Zabawne, ale w tej samej chwili poczuła przyspieszone bicie serca. A może to jakieś problemy żołądkowe? Ostatecznie, nie jadła przecież lunchu. Podeszła do gościa.

- Byłem w sąsiedztwie, więc pomyślałem, że wpadnę - powiedział z szerokim uśmiechem. Nie miał wspaniałych zębów, ale Karen podobało się, że nie

poprawiał ich koronkami, a także, że przy uśmiechu robił mu się dołeczek w kąciку ust. Jeden ładny dołeczek. - Jak pokaz? - zapytał.

- Szło dobrze, dopóki nie zadarłam z dziennikarką mającą nas pisać. Prawdopodobnie zmiesza mnie z błotem.

- Ta prasa - Bill zbył to wzruszeniem ramion. - Jeden z mych współpracowników przyszedł do mnie po radę. Nie mógł się zdecydować, czy zostać akcjonariuszem burdelu w Nevadzie czy gazety. Powiedziałem mu, że nie widzę żadnej różnicy.

Karen wybuchnęła śmiechem, a w policzku Billa pojawił się dołeczek.

- No, tak - oświadczył. - Jednak nie zmarnowałem zupełnie tego dnia. Przynajmniej cię rozweseliłem.

Przez chwilę stali obok siebie. Mimo zmęczenia, Karen czuła, że to dzisiaj najprzyjemniejsza chwila.

- A więc - zapytał Bill - kiedy kończycie? Nawet ty nie możesz bez przerwy pracować. Pójdziemy na obiad?

Karen spojrzała na zegarek. Za kwadrans piąta. Czekala ich przynajmniej godzina pakowania, a potem droga na lotnisko O'Hara, skąd odlatywali. Mogłaby jednak urwać się zaraz po złożeniu rzeczy, pójść na obiad i wrócić do Nowego Jorku późniejszym samolotem. - Ostatni wylot z O'Hara mam o dziewiątej - powiedziała.

- Upieczmy dwie pieczenie na jednym ogniu. Mój 727 czeka na śródmiejskim lotnisku. Będiesz szybciej w domu, a jedzenie jest nie najgorsze. Co ty na to?

Karen zamrugła oczami.

- Tak, oczywiście, że się zgadzam - odparła i odwróciła się, by poinformować innych o zmianie planów.

Dowiedziawszy się, jak Karen ma zamiar wracać do domu, Defina znów uniosła brwi.

- Kiedy ostatni raz się kochałaś? - zapytała ni z tego, ni z owego. Prawdę mówiąc Karen nie mogła sobie przypomnieć. Byli tacy zajęci. Tyle się wydarzyło.

- Nie twój interes - odpowiedziała. - Dlaczego pytasz? Defina wskazała głową Wolpera.

- Nie wiem o co ci chodzi, ale wiem jakie on ma plany - powiedziała. - A jeśli myślicie o tym samym, zrobisz to na wysokości trzydziestu tysięcy stóp.

- Daj spokój, Dee. Po prostu przelecę się prywatnym odrzutowcem. O co tyle hałasu?

- O to, że tego rodzaju facet, zajmuje się twoim ciałem, by zapanować nad umysłem. Mówię serio, Karen. Uważaj na siebie - rzuciła ostrzegawczo Defina, a gdy Karen obiecała, że będzie ostrożna, uśmiechnęła się szeroko. - Słyszałaś te odgłosy strzałów? - zapytała.

- Tak. A co, na dole też podawali szampana?

- Tylko w marzeniach Norris Cleveland. To butelki z jej perfumami. Wybuchły.

- Co takiego?

214

- To co słyszysz. Jakiś błąd przy pakowaniu. Pod wpływem gorących reflektorów perfumy zwiększyły objętość. Resztę możesz sobie wyobrazić. Potłuczone szkło i wszędzie smród. Ludzi zatykało. Potem pewnie wytoczającej proces; będzie musiała zwrócić pieniądze.

- O Boże! Co za klęska! - Karen wybuchnęła śmiechem

- Nie mogło przytrafić się miłszej dziewczynie - dodała Defina, szczerząc złośliwie zęby. Jej przyjaciółka przytaknęła.

- A więc Bóg istnieje - oświadczyła.

Karen siedziała przy stole w samolocie NormCo 727. Sprzątnięto już naczynia. Wzięła do ręki drewniane mieszadło pokryte kryształkami cukru i zanurzyła w swoim cappuccino. Obiad był więcej niż dobry, a Bill interesujący, pełen uwagi, zachowywał się nienagannie. Przez krótką chwilę, Karen zastanawiała się, czy aby nie jest tym oczarowana. Ta myśl nią wstrząsnęła. Przecież to nie w jej stylu, o ile zna się choć trochę. Doszli z Jeffreyem do porozumienia i wszystko znowu jest dobrze. O czym więc ona właściwie myśli?

- Słyszałaś o tej awanturze na parterze? - zapytał Bill.

- Nie - odparła niewinnym tonem.

- Zdaje się, że perfumy twojej przyjaciółki Norris butelkowano, kiedy płyn był zimny.

- Czy to przeszkadza?

- Nie miałaś fizyki w szkole średniej? Cząsteczki rozszerzają się pod wpływem ciepła. A w tych przeklętych butelkach nie było na to miejsca.

- A więc ten huk, który słyszałam, to nie był szampan.

- Nie, to huk plajtującej firmy - roześmiał się Bill. - Norris nie zdoła się z tego wykręcić.

Karen pomyślała o cynicznych uwagach, jakie robił podczas ich wspólnego lunchu. Ucieszyła się, że przynajmniej jedno perfumy poniosły klęskę i nie będą oferowane kobietom w charakterze fałszywej nadziei. Bill wydawał się zadowolony z porażki Norris, ale czy nie handlowałby z radością byle czym, jeśli zwiększyłoby to dochody NormCo?

Powinna raczej zastanowić się nad własną postawą moralną. Kim jest, by sądzić innych? Czy nie sprzedawała przez cały dzień bardzo drogich ubrań bardzo bogatym kobietom? Jaki w tym powód do chwały? Nie miała nawet okazji, by sprawdzić, co się dzieje z kolekcją o bardziej umiarkowanych cenach.

Steward podał tacę z cienkimi jak papier miętówkami i ciasteczkami, a potem dyskretnie się wycofał. W milczeniu wypili kawę. Karen zatrzymywała się już w najlepszych hotelach świata a Jeffrey wprowadził ją w wytworne życie, na nieznanym wcześniej poziomie, jednak nieostentacyjny, całkowity luksus życia Billa Wolpera był czymś nowym i Karen potrafiła to docenić. Doskonale przyrządzone jedzenie, idealnie nakryty stół, cudownie zorganizowane spotkanie w samolocie. Ani śladu zadrapania czy jakiejś plamki. Czuła się jak w kosztownym puzderku na biżuterię, a otoczenie przypominało oprawę drogiego klejnotu.

292

Nie mogła powstrzymać się od myśli, czy Bill w łóżku przywiązuje taką samą wagę do szczegółów. Zastanawiała się, co by sobie pomyślał, gdyby mu powiedziała, co teraz naprawdę zaprzęta jej uwagę. Czy wiedząc, że adoptuje - lub zamierza adoptować dziecko - nie miałby obaw, iż nie poświęci się całkowicie pracy? A poszukiwania prawdziwej matki? Czy to nie znak oderwania od rzeczywistości? Cokolwiek by odpowiedział, Karen nie zaryzykowałaby wyznania.

- Chcesz zwiedzić samolot? - zapytał.

- Jasne - odparła. Poza salonem i jadalnią, która mogła też służyć jako sala konferencyjna, Bill pokazał jej kompletnie urządzone biuro, z komputerami, faxami i centralką telefoniczną bardziej skomplikowaną od tej w ^iKInc. Obejrzeni dwie łazienki, a potem zaprowadził ją wąskim korytarzem na tył samolotu. Otworzył drzwi za którymi znajdowała się sypialnia wyposażona w łóżko z baldachimem. Za mniejszymi drzwiami była łazienka, tym razem z wanną.

- Nigdy nie słyszałam o wannach w samolocie - powiedziała Karen. - Co natoFAA?

- Muszę ją mieć - wyjaśnił Bill. - To nie na pokaz. Nie znoszę prysznic. Zawsze tak było. Jestem facetem, który kocha wanny. A ty?

- W ogóle nie jestem facetem - odparła. Wysunęła się z łazienki i przeszła do hallu. Bill podążył za nią, a jeśli był rozczarowany lub zniecierpliwiony, nie okazał tego.

- Usiądźmy w salonie - zaproponował. Minęli sprzątającego ze stołu stewarda, a kiedy przeszli do salonu, samolotem rzuciło. Bill podtrzymał Karen i pomógł jej usiąść na pokrytej zamszem kanapie. - Napijesz się czegoś? - zapytał.

- Nie, dziękuję - odparła. Wiedziała, że nadeszła chwila na przypieranie do muru i rzeczywiście, Wolper pochylił się ku niej, opierając łokcie na kolanach.

- Wiesz, Karen, że nie chcę cię poganiać, ale nie możemy dłużej zwodzić twojego męża i moich prawników. Potrzebna mi twoja odpowiedź. Czy myślisz, że byłbym dobrym partnerem?

No, cóż. Po to właśnie przyszedł. Czy sądziła, że chce się tylko z nią zobaczyć? Czasem zadziwiała ją własna naiwność. Ale musi coś odpowiedzieć. I tak był bardzo cierpliwy, choć stosował też trochę ostrzejsze sposoby nacisku. Pokazanie się z Norris Cleveland było rodzajem ostrzeżenia, czyż nie?

- Przy pomocy programu kalkulacyjnego dokładnie zbadaliśmy wasze finanse. Jak wiesz, macie sporo problemów. Basil uważa, że trzy czwarte miliona dolarów ulokowano wierzycielnościach, których nie można teraz odzyskać. Na gwałt potrzebna jest wam gotówka. Spłacacie pożyczkę na 12 procent. Wiem, że dopiero zaczynacie, ale w

przemysle odzieżowym przeciętne oprocentowanie wynosi od trzech do sześciu procent. W tych sprawach mógłbym wam pomóc.

Karen popatrzyła na swego rozmówcę. Pamiętała ostrzeżenia Bobby'ego Pil-lara i wiedziała, że Wolpera określano najgorszymi przymiotnikami. Wszyscy, od Wall Street do Ginzy, bali się go i nienawidzili. Ale Karen, choć to może głupie, lubiła tego człowieka i czuła, że może powinna mu zaufać. Jeffrey też tak uważał. Zaczęła już starania o adopcję. Jutro rano odwiedzi jej dom kuratorka, a w biurze

294

Kramera zaczęto przygotowywać odpowiednie formularze. Dziecko na pewno się znajdzie. Zawarłam Jeffreyem umowę i powinna jej dotrzymać.

Poza tym, Bill miał w sobie coś, co sprawiało, że czuła się bezpieczna i pod dobrą opieką. Zachowywał się wobec niej jak kwoka wysiadująca pisklęta, Jeffrey i współpracownicy zawsze uważali ją za silną kobietę, jednakże takie niań-czenie było czymś nowym i bardzo przyjemnym.

- A więc, co ty na to? - zapytał Bill. Karen skinęła głową.

- Złóż nam ofertę - powiedziała.

Tej nocy, gdy wróciła do domu, Jeffrey już spał. Ledwo żywa, wkładała właśnie koszule nocną, kiedy zadzwonił telefon. Karen, która mimo rad Kramera, postanowiła nie wspominać mu o pierwszej rozmowie, odetchnęła głęboko i podniosła słuchawkę. Dzwoniła Louise, mężatka z dwójką dzieci. Kiedy była w separacji z mężem, zaszła w ciążę, a teraz znowu są razem i Leon nie chce wychowywać dziecka innego mężczyzny. Mimo zmęczenia, Karen uznała, że Louise robi wrażenie osoby poważnej i trzeźwej, choć może niezbyt bystrej. Chcąc nie chcąc, pomyślała, jaki też zespół genów przypadnie jej w transakcji, ale zapisała numer Louise i obiecała zadzwonić do niej następnego dnia.

Rozdział 20

Tańcząca Dervitz

Sheila Dervitz ważyła chyba grubo ponad sto kilogramów. Miała na sobie jaskrawoniebieski workowaty kostium, a w ręku trzymała dużą, tanią granatową teczkę. Szyję spowijał szal w kolorach wściekłego rózu i musztardy. Jeśli w stroju wyrażały się przekonania polityczne jego właścicielki -a Karen wierzyła, że tak jest - to Sheila Dervitz chyba należała do Rainbow Coalition (Koalicji łączonej). Karen usiłowała nie skrzywić się na widok przybyłej, która w końcu była kuratorem odbywającym domowe wizyty. Urwała się rano z pracy, mimo nawału roboty, a Sheila przyszła spóźniona. Nie przeprosiła za to. Powiedziała tylko, że miała wczoraj bardzo ciężki dzień. Karen zastanawiała się, czy panna Dervitz także wstała o piątej rano, poleciała do Chicago i z powrotem.

- Czy dobrze zrozumiałam? - zapytała Defina. - Ty płacisz jej za poinformowanie władz stanowych, że jesteś w porządku? - Karen przytaknęła. - To chyba jakaś niezgodność interesów - oświadczyła Dee i jej przyjaciółka musiała się z nią zgodzić. - Dlaczego, w takim razie, nie zapłacisz jej dwa razy tyle za zrezygnowanie z wizyty?

Karen żałowała, że to niemożliwe. Była wykończona, a musiała stawić czoło siedzącej naprzeciw niej na sofie dużej blondynce, która rozglądała się po kątach, jakby spodziewała się zobaczyć tam szczury. Karen próbowała robić wrażenie odprężonej.

- Widzę, że macie sporo książek - zauważyła panna Dervitz. Karen odwróciła się i spojrzała na znajdujące się z tyłu półki.

- Owszem - przytaknęła. Kuratorka powiedziała to tonem, jakby książki były czymś nagannym.

- Czy są wśród nich jakieś nieopowiednie dla dzieci?

- Na pewno niejedna - odparła. Powinna była wcześniej o tym pomyśleć.

- Czy mogłabym rzucić okiem?

- Bardzo proszę - Karen starała się, by jej głos brzmiał szczerze. Rozejrzała się po salonie. W czasie gdy była w Chicago, Ernesta przeszła samą siebie. Nie

218

został nawet pyłek kurzu. Okna, lustro, szyby biblioteki lśniły. Podłoga była świeżo wypastowana i wyfroterowana. Przez ostatnie dwa dni Ernesta zmuszała ich do chodzenia w skarpetkach. Zeszłego wieczoru, po powrocie z lotniska, Karen własnoręcznie ułożyła, w stojącym na konsoli wazonie, ciemnopąsowe róże. Dziś rano, śmiejąc się, powlekły z Ernestą łóżko w gościnnym pokoju, świeżą pościelą w niedźwiadki. Karen i Jeffrey odbyli już pierwszą

niemiłą rozmowę z panną Dervitz w jej biurze i brakowało tylko wizyty domowej by stan Nowy Jork prawnie wyraził zgodę na dokonanie przez nich adopcji. Czy Arnould i Bella też musieli przez to wszystko przechodzić? Chciałaby zobaczyć, jak wygląda raport z domowej, wizyty u nich! Czy Bella była równie onieśmielona? Karen miała co do tego wątpliwości. Cóż, telefon od Louise oznaczał, że czeka na nią dziecko, o ile panna Dervitz pozwoli je zatrzymać. Westchnęła zatem głęboko, a kobieta, która miała zdecydować o jej przyszłości, wędrowała tymczasem ciężkim krokiem wzdłuż rzędów książek. Czy szuka pornografii? Czy mogą ujść za nią albumy aktów z lekcji rysunków w szkole Pratta? O Boże, chyba od tego oszaleje!

Drzwi w szafkach bibliotecznych się zamykają - powiedziała Karen i poczuła, że brzmi to jakby miała coś do ukrycia. Panna Dervitz nie odezwała się ani słowem; obróciła się tylko na pięcie, niczym hipopotamia baletnica w Fantazji Disneya. Dlaczego Karen wydawało się, że w tym ruchu ukryta jest dezaprobata?

Czuła się bezsilna, a Jeffrey zupełnie jej nie pomagał. Nawet nie starał się być miły. Gdy kuratorka zapytała go, czy sądzi, że potrafi być dobrym ojcem, odparł, wzruszając ramionami - „Kto to może wiedzieć na pewno?” A gdy spytała, czy jest głęboko wierzący, odpowiedział, że raczej „głęboko niewierzący”, po czym przeprosił i poszedł do gabinetu. Po prostu wspaniale!

Karen starała się zachowywać dyplomatycznie, wyjaśniać i łagodzić wypowiedzi męża, ale cały czas miała wrażenie, że panna Dervitz porównuje jej życie ze swoim własnym. Kuratorka zasypywała ją pytaniami, jak często i na jakich przyjęciach bywają do jakich restauracji chodzą i ile kosztuje tam jedzenie. Karen usiłowała odpowiedzieć na wszystkie plotkarskie pytania i oczarować rozmówczynię, ale zaskoczyło ją, gdy tamta stanowczo zażyczyła sobie wiedzieć, ile dokładnie czasu mają zamiar spędzać z dzieckiem. Karen zapewniła pannę Dervitz, że nie traktuje tego jako hobby.

- Mam zamiar ograniczyć zobowiązania zawodowe - oświadczyła. - Wychowywanie dziecka będzie dla mnie sprawą pierwszej wagi.

- Czy wybrała już pani dziecko? - zapytała kuratorka, co zabrzmiało jakby Karen kupowała skarpetki.

- Cóż, prowadzimy rozmowy z kilkoma matkami - skłamała. Znow pomyślała o Louise. Czy to się liczy? Panna Dervitz z ponurą miną robiła jakieś notatki.

Karen zastanawiała się, czy powinna zaproponować jej wizytę w salonie jaKInc. A może to tylko skomplikuje i pogorszy sprawę? Czy zaoferować jakieś ubrania po cenach hurtowych? Czy nie będzie to wyglądało na łapówkę? Czy łapówka coś tu pomoże? I czy w ogóle jaKInc ma jakieś rzeczy pasujące na pannę Dervitz?

Kuratorka przystanąła i wzięła do ręki książkę. *Szatańskie wersety* Rushdiego.

- A to co? - zapytała, wykonując następny piruet.

- Powieść. - Czy panna Dervitz o tym nie wie? Czy uważa, że Karen jest czcicielką szatana? - To o islamie, jako przeciwstawnej wobec chrześcijaństwa wizji świata.

- Ale państwo jesteście Żydami? - panna Dervitz jeszcze raz obróciła się na pięcie.

Karen skinęła głową. Chyba zaraz oszaleje. Czy ta kobieta na pewno jest zawodową kuratorką? Czy nie słyszała o Salmonie Rushdie'm? I czy, jeśli Karen jej o nim opowie, nie zabrzmie to protekcjonalnie?

Panna Dervitz odłożyła książkę. Karen właśnie zamierzała się odezwać, kiedy zadzwonił telefon. Podeszła i podniosła słuchawkę, nie spuszczać oczu z kuratorki.

- Halo? - zastanawiała się, kto o tej porze może do niej dzwonić.

- Karen? - głos Lisy brzmiał bardziej piskliwie niż zwykle. - Jesteś chora?

- Lisa, czy mogę oddzwonić później?

- Nigdy tego nie robisz. Słuchaj, zabiorę ci tylko chwilkę. Telefonowali przed sekundą z obsługi, że nie mogą nigdzie dostać czarnego perkalu na obrusy. Wydaje mi się jednak, że tafta jest dobra raczej na zimę. Co o tym sądzisz?

Karen nie miała pojęcia. O czym, u diabła, opowiada jej siostra? Tymczasem panna Dervitz zniknęła w korytarzu prowadzącym do sypialni.

- Lisa - zniżyła głos. - Przepraszam, że nie oddzwoniłam, ale w tej chwili nie mogę z tobą rozmawiać. Jestem bardzo zajęta.

- Karen! Czy ty masz jakiś romans?

Skąd jej to przyszło do głowy? Ale nie czas teraz na pytania. Tego tylko jej potrzeba; rozmowy o cudzołóstwie podczas domowej wizyty kuratora społecznego.

- Oddzwonię - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Pannę Dervitz zastała zaglądającą pod łóżko w gościnnym pokoju. Razem przeszły do sypialni. Karen nie wierzyła własnym oczom, gdy kuratorka zaczęła otwierać szuflady komody. Nawet gdyby była satanistką i wielbicielką dziecięcej pornografii, starczyłoby jej chyba rozumu, by usunąć dowody przed wizytą kuratora. Po co, na litość Boską ona to robi? Ale trzymała język za zębami. Panna Dervitz weszła do garderoby.

- Cóż, jak na projektantkę, nie ma pani za wiele ubrań - stwierdziła z ożywieniem. Spojrzała na równy, utrzymany w neutralnych barwach rząd strojów. -Może powinna je pani ożywić jakimiś weselszymi kolorami? - zasugerowała.

Karen powiedziała sobie w duchu, że robi to wszystko dla dziecka Louise. Uśmiechnęła się z wysiłkiem i skinęła głową.

- To dobry pomysł - przytaknęła.

Tego wieczoru i w ciągu następnych dwóch dni Karen prowadziła rozmowy z Louise. Każda z nich trwała ponad godzinę. Czowała, że tamta zaczyna jej ufać. Trzeciego wieczoru padło nazwisko Harveya, a Louise przyjęła to ze spokojem.

298

Następnego dnia, w poniedziałek, z biura Kramera przesłano jej specjalną pocztą przesyłkę formularzy prawnych, medycznych i dotyczących historii rodziny. Louise wypełniła je i odesłała z powrotem w ciągu dwóch dni. Karen zaczęła pozwalać sobie na odczuwanie podniecenia. Oto nagroda za dotrzymanie warunków Wielkiej Umowy, za uczciwość wobec Jeffreya. Wszystko będzie dobrze. Przed kolejnym telefonem przekazała informacje mężowi i przygotowała go na rozmowę z Louise. Był dla niej miły i gdy oddał słuchawkę Karen, kobieta westchnęła.

- Jest chyba bardzo dobry - powiedziała, a w jej głosie brzmiało zdziwienie i tęsknota. Karen zastanawiała się, jaki jest Leon i jaką cenę jego żona zapłaciła za swój upadek.

Opłacili z Jeffreyem zrobienie sonogramu i wyglądało na to, że dziecko jest dziewczynką. Karen zaczęła zastanawiać się, jak przekazać nowiny Belli i reszcie rodziny. Na razie cała sprawa, począwszy od złych wyników badań doktora Goldmana, trzymana była w tajemnicy; ale może nadszedł już czas by się nią podzielić? Teraz do zakomunikowania ma nie tylko złe wieści. Zасыpiając po kolejnym maratonie telefonicznym z Louise, Karen zadała sobie jedno pytanie: wstrzymała się z przekazaniem nowin rodzinie, by oszczędzić im bólu czy aby oszczędzić go sobie?

Rozdział 21

Zyski i straty

Casey, kilka osób z jego działu, Jeffrey, Mercedes i Karen siedzieli razem wokół stołu konferencyjnego. Przeglądali wyniki tygodniowej sprzedaży, a także ostateczną listę zamówień zebranych dzięki *trunkshow*. Wszystko wskazywało na to, że sukienka chłopka będzie szybkobiegaczem. Nazywali tak modele, na które zamówienia napływały stale, jakby rzeczy uciekały ze sklepów. Prawdę mówiąc, miała też wszelkie szanse zostać formem - projektem kopiowanym przez artystów z branży, kradnących cudze pomysły i sprzedających je po niższej cenie. Wyglądało na to, że wszystkie modele, proponowane przez Karen zdały egzamin na piątkę. Oczywiście, nie było gwarancji, że spodobają się dziennikarzom czy paryżankom, dawały jednak wszystkim to, co Casey określał w slangu marketingowym jako „pozytywny bodziec”.

- Ręce nam mało nie odpadły od wypisywania zamówień - poinformował teraz z dumą zebranych. - Mówię wam, jeszcze nigdy nie mieliśmy takich wyników sprzedaży.

- To nie są wyniki sprzedaży - Jeffrey popatrzył na niego. - To zamówienia. Wiesz ile się może wydarzyć pomiędzy złożeniem zamówienia a odebraniem dostawy za pięć miesięcy? Muszą zostać zaksięgowane, a my powinniśmy mieć nadzieję, że ta przeklęta fabryka przedłuży nam kredyt i je zrealizuje; właściwie zrealizuje. Potem, jeśli trafią do sklepu i nie zostaną zwrócone, trzeba liczyć na to, iż Chicago zapłaci, zanim procenty pożrą cały zysk, albo pośrednik doprowadzi nas do plajty. Na razie nic nie sprzedałeś. Przyjąłeś tylko zamówienie. Sprzedaż jest wtedy, kiedy po wysłaniu faktury przychodzi czek.

- Boże, Jeffrey, rozumiesz chyba co miałem na myśli.

- Tak, ale czy ty wiesz o co mi chodzi?

Z Jeffreyem coraz trudniej było wytrzymać. Nie przepuścił okazji, by komuś nie dociąć. Uspokoił się, gdy Karen spojrzała na niego znacząco. Wiedziała na co czeka jej mąż. Reszta spotkania upłynęła rutynowo - sprawy wielkości obrotów i kolejnych zamówień, kłopoty z wierzytelnościami i jeszcze większe

299

z należnościami. Karen westchnęła. Od niedawna współpracowali z dużymi producentami i w związku z tym zdarzały się problemy z dostawami i jakością otrzymywanych towarów. Karen spośród wszystkich projektantów najbardziej zazdrościła Jill Sanders, której firma rozwijała się powoli i miała własną starannie wykonującą zamówienia fabrykę.

Potrząsnęła głową. Jeśli interesy idą tak dobrze, dlaczego jest tak źle? Doszła do wniosku, że nie będzie się nad tym zastanawiać. To sprawa Jeffreya. Ona ma za dużo roboty, by sobie zwracać sobie tym głowę. Będzie pracowała w czasie weekendu, a trochę czasu jej zajmie przecież i *bat micwah* Tiff. Do wyjazdu do Paryża zostało tylko sześć dni. Za mało. Nawet jeśli zrezygnuje ze wszystkich rutynowych zebrań, nie była pewna, czy zdoła wykonać plan na kilka najbliższych tygodni.

W świecie mody tak naprawdę liczą się dwa sezony - wiosenny i jesienny. Kolekcję wiosenną pokazywano jesienią, a jesienną - wczesną wiosną. Do tego dochodziły mniej rozbudowane kolekcje na lato i zimę, a także, nie tak ważne, coroczne zestawy wakacyjne. Ale nazwa sezon jest zwodnicza. Tak naprawdę w każdym z nich odbywały się dwa pokazy - *haute couture* i *pret-a-porter*. I, jeśli miały być wydarzeniem międzynarodowym, należało najpierw zaprezentować je w Mediolanie, potem w Paryżu, a na końcu w Nowym Jorku. Jakby tego było mało, w czasie szalonych Tygodni Mody, projektant powinien rzucić okiem na kolekcje innych twórców, a swoje własne kreacje pokazać jeszcze raz prywatnie przedstawicielom sklepów z całego świata. Taki natłok zajęć, który wysysał z człowieka wszystkie siły, miał się właśnie rozpocząć. Karen nigdy nie zapomniała swego pierwszego Tygodnia Mody. Była kompletnie wyczerpana, a w następny poniedziałek zadzwoniła do niej znana dziennikarka z pytaniem, co planuje pokazać w następnej kolekcji. I wcale nie żartowała.

Od tamtej pory, zmieniło się tylko to, że Karen przybyło lat i pracy. Wydawało się, iż z roku na rok wzrasta ilość obowiązków. Firma rozrastała się. Małe kolekcje *haute couture* jesienią i wiosną zmieniły się w wielkie kolekcje pięć razy w roku, nie licząc tańszej wersji zwiększającej dziesięciokrotnie obroty sprzedaży. Dotychczas Karen prezentowała swe projekty tylko w Nowym Jorku, a pokazywanie *haute couture* i tańszej kolekcji było wystarczającym wyzwaniem. Jesienią 1993 roku amerykańscy projektanci po raz pierwszy porozumieli się między sobą i stworzyli „Siódmą na Szóstej”, czyli wspólną imprezę, zamiast indywidualnych pokazów w dyskotekach czy hotelach. Odbyła się w parku Bryant, zajmującym długość jednej przecznicy przy Szóstej Alei, za Nowojorską Biblioteką Miejską. W dwóch nowoczesnych białych namiotach i w gmachu biblioteki ludzie z Siódmej Alei odnieśli sukces, łącząc swe siły. Karen była jedną z inicjatorek, a JSK Inc zyskała dzięki temu więcej szacunku w prasie europejskiej i zamówień ze sklepów. Teraz jednak, myśląc o próbie czekającej w Paryżu i o następującym potem Nowojorskim Tygodniu Mody, Karen czuła, jakby się miała zaraz przewrócić. Nie była pewna, czy da sobie radę. A nikt nie mógł jej zastąpić. Casey mówił dalej monotonnym głosem, kiedy przerwała mu sekretarka Jeffreya. Weszła i szepnęła coś do szefa, podała mu kopertę, a on, nie czekając aż

przybyła skończy mówić, rozerwał żółty karton. Wyciągnął spory plik papierów i, rzuciwszy kopertę na stół, zaczął przeglądać pospinałe strony. Karen zauważyła znak firmowy NormCo.

W miarę czytania twarz jej męża rozjaśniała się. Casey przerwał swą relację, a Jeffrey wstał.

- Panie i panowie, mam wam coś do zakomunikowania. Udało się. Dostałem wiadomość, na którą czekaliśmy. Mam tu ofertę z NormCo i wynosi ona pięćdziesiąt milionów dolarów! Pięćdziesiąt milionów. Rozumiecie?

W pokoju wybuchła wrzawa. Mercedes zaczęła klaskać. Któryś z mężczyzn zawył jak kibic, gdy na meczu strzelał gola. Casey zadawał jakieś pytania, a Jeffrey, nie zwracając na niego uwagi, zaczął odczytywać głośno fragment oferty.

- Bill Wolper, we własnej osobie, chce spotkać się z nami w Paryżu by sfinalizować umowę! - oznajmił.

Sekretarka wróciła, niosąc kilka butelek szampana. Choć była dopiero jedenasta, Jeffrey otworzył jedną z nich, a sekretarka rozdała plastikowe kieliszki. Musiał zaplanować to wcześniej. Pracownicy zdążyli już zebrać się na korytarzu i próbowali zajrzeć do sali, by przekonać się o co ten cały krzyk. Ktoś wcisnął Karen w rękę plastikowy kieliszek. Miał kształt pucharka, ale bez doczepionej nóżki i teraz nie można go było odstawić.

- Za Karen - zawołał ktoś i wszyscy unieśli kieliszki.

- Za Karen - powtórzyli, a ona mimo skurczu w żołądku, próbowała się uśmiechnąć. Po drugiej stronie stołu, w drzwiach sali, stała Defina. Ich oczy się spotkały. Dee uniosła ku niej kieliszek, ale nie uśmiechnęła się. Skinęła tylko głową.

Karen patrzyła, jak wszyscy świętują winę. Co tam, do diabła. Niecodziennie pracująca dziewczyna dostaje ofertę wartą pięćdziesiąt milionów. Jeffrey ma rację - za dużo się martwi. Równie dobrze może się odprężyć i cieszyć tym wszystkim, a jeśli nawet ma mieszane uczucia w sprawie utraty panowania nad firmą, może krzywić się w drodze do banku.

Jeffrey zaprosił głównych pracowników na uroczysty lunch. Mercedes, zawsze blada i opanowana, miała autentyczne rumieńce, a jej oczy połyskiwały głębszym niż zwykle odcieniem zieleni. Karen pomyślała, że to może zbliżający się przyływ gotówki spowodował tę zmianę koloru.

Usiedli w Sali z Sadržawką, w restauracji „Cztery Pory Roku” - cudownie przestronnej, jednej z niewielu prawdziwie eleganckich sal restauracyjnych w mieście. Choć w porze lunchu Sala Grillowa należała do bardziej prestiżowych, Karen zawsze wolała siedzieć tutaj, gdzie wysokość sufitu równała się niemal szerokości pomieszczenia. Pośrodku odbijała światło sadzawka, tak samo piękna i pozbawiona ostentacji jak reszta sali. W ogromnych, nie zasłoniętych oknach wisiały cienkie łańcuszki, kołysząc się z najłżejszym powiewem. Stoliki ustawiono daleko od siebie, dzięki

przestrzeni, największemu z nowojorskich luksusów. Karen zawsze czuła się tu jak w sanktuarium - w „Czterech Porach Roku” nie mogło przytrafić się nic złego.

224

Kierownik kelnerów przyjął zamówienia. O Boże! W jednej chwili zaczęło się przedstawienie. Wszystkie kobiety przy stole, poza Karen i Definą, należały do modnych dam i jadły tak, jak na chude Nowojorki przystało, to znaczy mniej niż nic. Właśnie z tego powodu Karen nienawidziła restauracyjnych spotkań z dziennikarkami czy przedstawicielkami sklepów. Zachodziła wtedy jakaś dziwna odwrotność rywalizacji między mężczyznami. Tak jak prawdziwy macho umacniał swą pozycję, mogąc wypić więcej niż inni, tak modne Nowojorki w tym celu nie dojadły. Zazwyczaj studiowały interesujące menu, po czym zamawiały tylko butelkę wody albo jako główne danie porcję sałatki pomidorowej z bazylią o rozmiarach przystawki, prosząc kelnera by nie dodawano oliwy. Jeśli ktoś się załamał i poczęstował kawałkiem przepysznego chleba, patrzono na niego w milczeniu, zaszokowanym wzrokiem, jakby głośno puścił bąka. Karen opracowała prostą strategię - zamawiała sałatkę cesarską, a jadła przyzwoity posiłek po powrocie do biura.

Mercedes poinformowała wszystkich, że jest na nowej diecie. Nie je skrobii; ani odrobiny. Żadnego makaronu, chleba czy ziemniaków, bo skrobia jest zabójcza. Wygłaszała te uwagi tonem misjonarza, a choć żaden z mężczyzn nie był zainteresowany, chudziutkie dziewczyny z działu Caseya i pracownice z salonu domagały się szczegółów.

- Ale można chyba jeść ryż? - zapytała jedna z nich.

- W żadnym wypadku! - niemal wrzasnęła Mercedes. - Ryż to grzech. To absolutne zło.

- Czy ona nie przypomina misjonarki? - zapytała Karen Definę.

- Nie, skarbie. Gorzej. To Antyryż.

Karen prychnęła w szklankę z wodą mineralną. Zamówienia dobiegły końca i nadszedł czas, by się czegoś napić.

Nigdy nie widziała swych pracowników tak rozbrykanych, nawet Jeffrey się rozruszał. Wznosili toasty, pili i śmiali się jeszcze grubo po trzeciej po południu. Karen dała się ponieść nastrojowi. Ostatecznie, powiedziała sobie, kiedy będzie już miała pieniądze i dziecko, innymi problemami zajmie się Bill Wolper.

Dwie noce później zaczęły się kłopoty. Louise zadzwoniła jak zwykle o dziewiątej. Położyła właśnie dwójkę dzieci do łóżek i czekała na powrót Leona z nocnej zmiany. Podpisała papiery i odesłała do biura Kramera. Zgodziła się, by Karen płaciła za wizyty u lekarza. Powiedziała, że puchną jej kostki, ale zdarzyło się to także przy dwóch poprzednich ciążach. Karen jej współczuła, a ponieważ w Arkansas było teraz bardzo gorąco, chciała, wbrew ostrzeżeniom Kramera, wysłać Louise urządzenie do klimatyzacji. Ta jednak nie wyraziła zgody.

- To nie Boże Narodzenie - powiedziała stanowczo i umilkła na chwilę. - Co robicie na święta? - spytała. - Macie choinkę?

- Nie - odpowiedziała Karen bez zastanowienia. - Jesteśmy Żydami. Zapadła chwila ciszy.

15 - Spóźniona

225

- Co? - głos Louise zabrzmiał inaczej. Trudno uwierzyć, że tyle wstrząsu i obrzydzenia mogło kryć się pod tak krótkim słowem. Karen poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

- Jesteśmy Żydami - powtórzyła.

Po drugiej stronie zapadła cisza, po czym Louise odezwała się zupełnie innym tonem.

- Nic o tym nie mówiłaś - rzuciła oskarżycielsko.

- Przepraszam. Nie wiedziałam, że to takie ważne - tłumaczyła Karen. W słuchawce rozległ się jakby szloch. Karen przygryzła wargę. - Louise, proszę cię... - zaczęła.

- Jesteśmy bogobojnymi ludźmi - powiedziała tamta. Jej głos, mimo miękkiego akcentu z Arkansas, brzmiał teraz twardo. - Możesz w to nie wierzyć z powodu mojej sytuacji. Choć muszę oddać moje dziecko, nie znaczy, że go nie kocham. I że nie kocham Jezusa - urwała. - Kocham je i nie ma mowy, bym pozwoliła wychowywać je Żydom - z tymi słowami odłożyła słuchawkę.

Karen trzymała swoją przy uchu. Przez kilka chwil telefon był głuchy, a potem rozległo się nieznośne buczenie.

Musiała wykonać ruch, choćby tylko po to, by złożyć przenośną słuchawkę, czuła się jednak sparaliżowana. W jakiś sposób wiedziała, że nie ma już sensu dzwonić do Louise. Straciła swoje dziecko, a drugie - XKlnc - ma zamiar sprzedać. Siedziała jak osłupiała.

Pragnęła tylko, by była przy niej jej matka. Matka, której nie można odnaleźć. Bardzo długo tak tkwiła nieruchomo. I wtedy, samotna w ciemności, postanowiła, że bez względu na ewentualne kłopoty zapyta Arnolda, Belle, albo ich oboje o swe pochodzenie.

Odgradziłam mą siostrzyczką od życia i światła (Za różą, za wstążką, za wieniec na czole)

- MARGARET WIDDEMER

Rozdział 22

Pamiętne wydarzenie

Lisa Saperstein wpatrywała się w wielkie lustro, jak w planszę służącą do badania wzroku. Miała na sobie szarą, jedwabną suknię od Thierry'ego Muglera, za którą zapłaciła zbyt wiele. Teraz jednak, przyglądając się naprawdę krytycznie swemu odbiciu, nie była pewna czy dobrze jej w szarym. Na łóżku leżał trzyczęściowy kostium - prezent od Karen. Lisa nie chciała urazić uczuć siostry, wiedziała jednak, że jeśli go włoży, po dziesięciu minutach wszystko będzie wymięte. Alternatywę stanowiła sukienka od Billa Blassa, uszyta z grubego jedwabiu w kolorze melona, którą znalazła niedrogo u Loehmana. Rozważywszy sprawę wielokrotnie, zdecydowała się na Muglera, ale teraz, w ostatniej, chwili nie była pewna. Ściągnęła szary jedwab i włożyła kreację od Blassa. Zdecydowanie wyglądała najlepiej, ale i najbardziej banalnie. Suknia bardzo odsłaniała nogi. Czy nie za bardzo? Lisa nie jest już przecież taka młoda. Jej spojrzenie przeniosło się z rąbka sukienki na głowę. No, nie! Ma w dodatku przylizane włosy. Wiedziała, że użyła za mało pianki. Cóż, jest kapelusz, który pasuje do tej sukni. Przeczesała fryzurę palcami. Czowała, że za chwilę oszaleje. Czy chce być awangardową kobietą, z szerokimi ramionami, w stylu Thierry'ego Muglera; delikatną, ale niezbyt kobiecą, w stylu Karen Kahn; a może konserwatywną kobietą kocią od Billa Blassa? Dlaczego wcześniej nie podjęła tej decyzji?

Lisa zawsze określała kim jest przez to, co miała na sobie. Nigdy jednak nie była pewna, czy strój jest właściwy, dopóki nie zobaczyła reakcji innych kobiet. Na śniadaniu u Karen czuła się upokorzona, gdy Sooky i Buff zignorowały jej kreację, z kolei w „St. Regis” zachowanie dwóch jedzących razem lunch, eleganckich, najwyraźniej bogatych kobiet, które się za nią odwróciły, było pochwałą tym cenniejszą, że udzieloną niechętnie.

Lisa przez chwilę myślała o lunchu z Jeffreyem. I o późniejszych rozmowach telefonicznych. Miło, gdy ktoś ma do nas zaufanie i bardzo przyjemnie pokazywać się w miejscach publicznych z takim przystojnym i interesującym mężczyzną. Spotkali się już kilka razy. Z pewnością jednak nie było miło dowiedzieć się, jak wiele

Karen przed nią zataiła. Od śniadania w Westport widziała siostrę tylko w telewizorze. Dlaczego zrobiła się taka nieprzystępna i skryta? I kiedy przyszedł jej do głowy pomysł poszukiwania prawdziwej matki? Na myśl o tym, Lisie zrobiło się przykro. Czy Karen nie chce należeć do ich rodziny? Były sobie kiedyś takie bliskie. Dlaczego nie powiedziała jej o sprzedaży firmy i o wynikach badań doktora Goldmana? Lisa wiedziała, że musiało to być dla Karen bardzo przykre, dlaczego więc nie szukała u siostry pociechy i ukojenia? Dlaczego do tej pory nie zadzwoniła?

Pomyślała o swoich córkach. Czasem czuła, że sprawiają więcej kłopotów niż są tego warte. Ale, jakie byłoby jej życie bez dziewcząt? Wzruszyła ramionami. Cóż, nie wybierałyby się dzisiaj na *bat micwah*! Wiedziała też, że inne kobiety zazdroszczą jej córki tak pięknej, jak Stephanie. Karen - na pewno. Przez chwilę Lisie było miło. Na ogół to ona występowała w roli zawistnej siostry. Czy gdyby mogła, zamieniłaby córki na podniecającą i ważną karierę Karen? Odwróciła wzrok od lustra. Nie wiedziała. Wiedziała za to, że jeśli siostra sprzeda firmę, ona, Lisa, dzięki pieniądзом będzie mogła wiele zmienić. Może przeprowadzą się do Lawrence! Skompletuje na nowo garderobę. Kupi porządne futro. I zamieni starego mercedesa diesela na nowy kabriolet. Ceny nieruchomości spadły, więc może, skoro córki i tak niedługo skończą szkołę, mogliby zamieszkać na Manhattanie? Zaraz po zakończeniu *bat micwah* porozmawia z siostrą i pomoże Jeffreyowi przekonać ją o słuszności sprzedaży firmy. Co ten Leonard wie! Bezwartościowe akcje okazały się ostatecznie nie bez wartości!

Nagle Lisie przysłała do głowy pewna myśl. Jeśli dostanie milion dolarów, opuści Leonarda. Na co on jej właściwie potrzebny?

Znów spojrzała w lustro. Dlaczego w tak cudowny poranek myśli o rozwodzie? Czy dlatego, iż Jeffrey wyraźnie okazał, że mu się podoba? Może ktoś inny też to zrobi? Kto wie? Może już dziś ktoś, patrząc na nią, dojdzie do wniosku, że jest za młoda by być matką dziewczynki na *bat micwah*! Mimo to Lisa, wciągając z trudem rajstopy, wiedziała, że nie ubiera się dla mężczyzn.

Stanie przed stu pięćdziesięcioma parami oczu wpatrujących się w nią z których ponad połowa należeć będzie do kobiet. Lisie zależało na zdaniu tylko tych kilkunastu, osiagających największe sukcesy i należących do elity towarzyskiej. Pragnęła by ją zaakceptowały. Nigdy jakoś nie przyszło jej do głowy, że dziewczyna w najładniejszej sukience niekoniecznie jest najbardziej lubiana.

Lisa starannie dobrała listę gości, starając się zwabić grube ryby z Pięciu Miast odpowiednią przynętą. Główną atrakcją stanowiła oczywiście Karen. Ludzie zawsze mieli ochotę się z nią spotkać, a szczególnie od ostatniego programu w telewizji. Lisa napomknęła też tu i tam, że przyjdzie June Silvermann. Od czasu rozwodu była częstą

bohaterką kolumn drukujących plotki z życia Manhattanu. Zaprosiła także jej byłego męża, Perry'ego Silvermanna, aby ludzie wiedzieli, iż na przyjęciu obecny będzie dosyć znany artysta z SoHo. Choć tak naprawdę ich nie знаła, oboje przyjęli zaproszenie. Miała nadzieję, że nie są skłóceni. Zresztą posadzi ich przy osobnych stolikach. Jedna z koleżanek z uniwersytetu grała teraz w serialach i choć nie widziały się od lat, Lisa specjalnie do niej zadzwoniła i prawie błagała o przybycie.

230

Oczywiście, nikt by się nie przyznał do oglądania przed południem w telewizji oper mydlanych, ale na wiadomość spodziewanej obecności Karen i tej aktorki na przyjęciu, przynajmniej kilka osób zadzwoniło do Lisy, wspominając niedbale, że przerzucając kanały zobaczyli jej siostrę w programie Elle Halle, a także Susan w „Nadciągającej burzy”. Lisa dopilnowała, by wieści się rozeszły, wiedząc, iż skłoni tym osoby najmilej widziane do potwierdzenia zaproszeń. I tak też w końcu się stało.

Dopracowała wszystkie szczegóły - od usadzenia gości, przez kwiaty, orkiestrę po ceremonię zapalania świec. Sama napisała na małych karteczkach przemowę dla Tiff. Wynajęła świetnego specjalistę od wideo i jeszcze lepszego fotografa. Zmusiła Leonarda do kupienia nowego smokingu. Chciała, by choć ten jeden raz wszystko wypadło doskonale.

W końcu, ubrana i w kapeluszu na głowie, była gotowa. Cała rodzina wyruszyła razem starym mercedesem. Leonard prowadził, Stephanie siedziała obok niego, a Tiff i Lisa na tylnym siedzeniu. Gdyby Karen podpisała umowę, niejechałabym teraz w takim ścisku, pomyślała niechętnie. Siedziała wyprostowana by nie pognieść sukienki od Blassa, którą ostatecznie zdecydowała się nałożyć, za to młodsza córka póleżała, wygodnie rozwalona. Jej taftowa sukienka zaraz wyglądać będzie jak pomięte opakowanie prezentu w ósmy wieczór święta Hannuka.

- Wyprostuj się - nakazała Lisa przyciszonym głosem, tak by nie usłyszał Leonard. Zdążyli się już dzisiaj pokłócić. Tiffany, nie zwracając uwagi na matkę, gapiła się przez okno, jakby Lisa i reszta rodziny nie istniała. Czy to sukienka rzuca cień na jej twarz, czy też przybrała ona kolor zielonkawy? Po raz pierwszy Lisa poczuła w żołądku lekki skurcz strachu, a serce zatrzepotało jej w piersiach. Była przygotowana na wszystko, ale czy to samo mogła powiedzieć o Tiffany?

Karen cały ranek spędziła w firmie, gorączkowo przygotowując kolekcję. Po zawarciu z Jeffreyem Wielkiej Umowy nabrała energii, ale teraz, gdy Louise odmówiła oddania im dziecka, czuła się wyczerpana, zagubiona i nieszczęśliwa. Musiała jednak pracować nad kolekcją i czyniła to z czystej rozpaczy. Jediną pociechą były słowa Sally z biura Harveya Kramera, która zapewniała, że mimo dwóch porażek, w końcu wszystko dobrze się ułoży.

- Te dwie i tak były nietypowe - powiedziała. - Prawdę mówiąc, nigdy nie byłam przekonana co do Louise. Pani potrzebuje inteligentniejszej niż przeciętnej, młodej dziewczyny, szukającej wyjścia z trudnej sytuacji. I, proszę mi wierzyć, ona też pani szuka. Wszystko się ułoży. Obiecuję.

Karen miała przy sobie telefon komórkowy, ale poza pomyłką, od której serce niemal przestało jej bić, nic się tego ranka nie wydarzyło. Tymczasem termin paryskiego pokazu zbliżał się niczym wybuch tykającej bomby zegarowej, a projektantka za pięć dwunasta wprowadzała zmiany. Zawsze tuż przed pokazem miała kryzys, ale tym razem znosiła to gorzej niż zwykle. Paryż wywoływał zdenerwowanie. Powtarzała sobie motto Chanel: „Pracuj tak długo, aż nie będziesz mogła na to patrzeć”. Rano, przed *bat micwah* Tiff, pracowała bez przerwy. Była wdzięczna wszystkim, którzy przyszli w weekend do biura, co nie przeszkadzało, że czuła się nieszczęśliwa i doprowadzała tym innych do szału.

308

Ku ogólnej uldze musiała wyjść o trzeciej. Początkowo chcieli z Jeffreyem pojechać na uroczystość do Inwood samochodem, a potem zostać na przyjęciu. Jednak z powodu dwóch pokazów i problemów, jakie pojawiły się w ostatniej chwili, zmienili plany i wynajęli limuzynę. Zaraz po ceremonii, Jeffrey odjedzie na lotnisko i polecą do Paryża, j jako forpoczta. Tam, przy pomocy worka pieniędzy, uprości załatwianie spraw w urzędzie celnym i dopnie wszystko na ostatni guzik. Po wysadzeniu go na lotnisku, kierowca wróci, zabierze Karen z przyjęcia i przywiezie ją do biura na przegląd wszystkiego o północy. Karen wiedziała, że całe popołudnie i wieczór, kiedy ona będzie na przyjęciu, pani Cruz i inni pracownicy spędzą harując bez wytchnienia. Miała wyrzuty sumienia, jednak w żaden sposób nie mogła opuścić *batmicwahTiS*. Tym razem, choć paryska kolekcja była sprawą niezwykle pilną nie mogła wykroczyć się pracą. I tak opuszczała wiele rodzinnych imprez lub przybywała na nie spóźniona. Teraz też miała bardzo mało czasu.

W ostatniej chwili pojechała do domu, wskoczyła pod prysznic i zaczęła szykować się do ubierania. Jeśli jednak sama odczuwała niechęć, nie pozwalała okazywać jej mężowi. Odkąd otrzymali ofertę, był w naprawdę niezłym nastroju, ale teraz jakby coś go ukąsiło.

- Kto, u diabła słyszał, o *bat micwah* w strojach wieczorowych? O piątej po południu! To wszystko nie jest mi na rękę, Karen. Przecież czeka nas straszny tydzień. A dopóki umowa z NormCo nie jest podpisana, a czek od nich zrealizowany, byle co może popsuć cały interes - popatrzył z troską na żonę. - Jak tam prace wykończeniowe? Nie masz za dużo czasu.

- Doskonale o tym wiem-warknęła.

- Nie mogę pojąć, dlaczego akurat w tym roku postanowiłaś urządzić pokaz w Paryżu.

Karen rzuciła mu gniewne spojrzenie. Decyzję podjęli wspólnie, ale teraz, gdy na horyzoncie pojawiło się pięćdziesiąt milionów dolarów, okazało się, że to jej wina. Typowe. Postanowiła nie zwracać uwagi, by uniknąć kłótni, która skończyłaby się u Jeffreya odmową pójścia na przyjęcie. Nie mogła mu pozwolić wywinąć się od tego. Jeffrey, jakby czytał w jej myślach, podniósł oczy i uśmiechnął się szeroko.

- Nie chce mi się tam iść - przyznał. - Mój Boże, wszystko czego pragnę, to zamknąć się w pracowni i malować. Nie potrzeba mi do szczęścia takich przeżyć. Przede wszystkim, cała ta uroczystość jest dziwaczna i rozdmuchana. Moje siostry nie miały *bat micwah*. Ty też nie.

Karen tylko westchnęła. Mogła czytać w nim jak w książce. Książeczce dla dzieci.

- Kiedy miałyśmy trzynaście lat, dziewczynkom rzadko urządzano *bat micwah* - przypomniała.

- I o to właśnie mi chodzi! Już samo słowo brzmi głupio. Tradycja żydowska liczy sobie pięć tysięcy lat. Przyjęcie chłopca do społeczności religijnej dorosłych to *bar micwah*. Tak było. A odkąd praktykowana jest *bat micwah*?

- Odkąd kobiety stały się na tyle świadome, by odrzucić modlitwę, którą powinien odmawiać codziennie każdy Żyd

- odpowiedziała Karen, a Jeffrey po

232

patrzył na nią tępo. - No, wiesz - uśmiechnęła się słodko. - Tę, w której dziękujesz Bogu za to, że nie stworzył cię kobietą.

- Och, dajesz spokój. Nikt już tego nie robi.

- Cóż, ciągle praktykowana jest *bar micwah*, można więc równie dobrze urządzić *bat micwah*. Inaczej wyglądałoby, że dziewczęta nie są ważne.

- Tak, naturalnie. Religia powinna przypominać Małą Ligę.

- Czemu nie? Tiff jest pierwszą dziewczyną w naszej rodzinie, która oficjalnie zostanie przyjęta do społeczności religijnej. Gdy się nad tym zastanowić, jest co świętować.

- Daj spokój. Kiedy ostami raz byłeś w *shul*. Religia nie rządzi się prawami politycznej poprawności. To tradycja. Zobacz, co się stało z Kościołem katolickim, kiedy papież wyciął ten numer z Drugim Soborem Watykańskim. Pozwolili na zwalnianie z postu w piątki i wszystko się zawaliło.

- A ja jestem dumna z Tiff. To dla niej prawdziwe osiągnięcie. Robi to dla nas wszystkich.

- Tiffany Saperstein - Wzór Religijności - Jeffrey popatrzył na nią znacząco. - W Księdze Męczenników powinna zająć miejsce zaraz po Joannie D'Arc. A czy mogłabyś mi wyjaśnić, po co Leonard i Lisa zaprosili moją matkę i siostry?

- Sądzę, że przez grzeczność.

- Przecież prawie ich nie znają. Wiesz, że zaprosili June?

Karen wytrzeszczyła oczy. Czy Lisa postradała zmysły? Po co zapraszała eks-narzeczoną Jeffrey'a i była żonę Perry'ego? Nie okazała jednak zdziwienia przed mężem. Zdobyłby nad nią przewagę dzięki głupocie Lisy. Karen postanowiła być lojalna wobec siostry, nawet jeśli ona, w najlepszym razie, okazała się gruboskórna.

- Och, przestań. Po prostu nie chcesz zadać sobie trudu, by założyć spinki - Jeffrey, który wpychał właśnie ramię w zbyt nakrochmalony rękaw, zdołał się uśmiechnąć. Lubił swoje szafiry. - Rozchmurz się, dobrze? - poprosiła Karen.

-Zrób to dla mnie. Taka przysługa.

W tej samej chwili zadzwonił portier. Samochód już czekał.

- O Boże! Jeffrey, nie możemy się spóźnić!

- Hej, to nie ja musiałem suszyć włosy.-

Jednak, gdy zjechali na dół i zobaczyli limuzynę, Jeffrey naprawdę stracił panowanie nad sobą.

- Co to, u diabła, ma być? - zapytał ostro. Pod markizą czekał na nich długi, prawie siedmiometrowy biały cadillac.

George, portier pracujący w weekendy, uśmiechał się szeroko.

- O Boże, Jeffrey, przecież ja tego nie zamawiałam - powiedziała Karen. Z nieprzyzwoicie białego samochodu wysiadł kierowca. On także był cały w bieli - miał garnitur z kamizelką, białą frakową koszulę i białą czapkę. Karen pomyślała, że to Tom Wolfe szoferów, ale nie odważyła się tego powiedzieć.

- Jezu Chryste, to chyba jeden z Rockettes! - warknął Jeffrey. - Nie wsiadam do niego. Karen - zwrócił się do żony. - Białymi cadillacami jeżdżą alfonsi. Ludzie z mojej sfery korzystają wyłącznie z czarnych limuzyn. Kahnowie po prostu nie robią pewnych rzeczy; matka by chyba umarła.

311

- Czyngis Kahn - obrońca honoru rodziny. Słuchaj, Jeffrey, nie ma czasu na głupstwa. Janet zadzwoniła po limuzynę w ostatniej chwili, gdy postanowiliśmy nie jechać jaguarem, a ja zapomniałam powiedzieć, by nadmieniła, że żaden Kahn nie jeździł nigdy w limo blanco. Obsługa prawdopodobnie chciała zrobić nam uprzejmość. Zamknij się więc i wsiadaj. Tym razem nie mogę sobie pozwolić na spóźnienie.

Jeffrey bezradnie i z obrzydzeniem pokręcił głową. Zamachał rękami, a że ubrany był w smoking, przypominał w tym momencie bardzo wysokiego, zmartwionego pingwina.

- Dobrze - oświadczył. - Ale jeśli taki jest początek, to wolę nie myśleć o kilku następnych godzinach. Nazwałbym to raczej bólem, a nie balem.

Kierowca miał trudności ze znalezieniem synagogi, dotarli więc na miejsce tuż przed planowanym początkiem nabożeństwa. Nie było czasu wysiąść wcześniej i dziwaczny samochód zajechał przed główne wejście, gdzie skupił się tłumek przesadnie wystrojonych kobiet. Wszystkie głowy odwróciły się ku nadjeżdżającym. Karen westchnęła. Chciała, by to Lisa i Tiff były bohaterkami dnia; by choć raz nikt nie zwracał uwagi na nią, sławną starszą siostrę, a całe zainteresowanie przypadło Lisie. Samochód zatrzymał się z szarpnięciem.

- Proszę nie wysiadać - nakazał kierowcy Jeffrey. - I tak robimy z siebie wystarczające widowisko - mruknął do Karen. Było już jednak za późno. Szofer albo nie dosłyszał polecenia, albo postanowił je zignorować. Wskoczył i zamasztywym gestem otworzył drzwi. Państwu Kahn, na których wszyscy się gapili, nie pozostało nic innego jak wysiąść i cieszyć się, że szofer nie rozwinął przed nimi czerwonego dywanu, ani nie trzymał w dłoniach szklanego pantofelka. Opuścili więc samochód i dołączyli do innych gości.

Lisa, Tiff i Leonard stali zaraz za drzwiami synagogi, w charakterze małego komitetu powitalnego. Karen zauważyła, że Tiffany włożyła perły do swej dziwacznej taftowej sukienki. Ucałowała siostrzenicę.

- Faj-ny wóz - powiedziała mała, rozciągając te trzy sylaby tak, że przypominało to niemal jodłowanie.

- Chcesz nim pojechać na przyjęcie? - uśmiechnęła się ciotka.

- O, tak - westchnęła Tiff, otwierając szeroko oczy. Karen zapomniała, że jej siostrzenica, mimo swej tuszy, jest jeszcze bardzo dziecinna.

- Nie może - rzuciła krótko Lisa. Karen spostrzegła, że nie ma na sobie żadnego z ofiarowanych jej strojów. No, cóż. Zamiast tego założyła jakąś sztywną sukienkę z kapeluszem do kompletu! - Goście pojedą na przyjęcie dwoma autobusami - powiedziała do córki. - Musisz siedzieć w pierwszym z nich.

Twarz Tiff, jak to często bywało, zastygła w wyrazie oślego uporu, a Karen miała ochotę kopnąć samą siebie.

Najpierw efektowne wejście, potem ingerencja w plany Lisy. Jeszcze nie usiadła, a już zrobiła dwa błędy.

Pocałowała siostrę w policzek; później powie jej, że Jeffrey nie może zostać na przyjęciu. Nie rozmawiały o tylu sprawach. Była jednak bardzo zajęta, a siostrę pochłaniał milion

313

szczegółów dotyczących przyjęcia. Mimo to Karen czuła się trochę winna. Może nie chciała przekazać Lisie dobrych wieści, by nie pomyślała, że jej własne życie jest nieistotne, a złe nowiny zachowała dla siebie dlatego... cóż, nie była pewna, ale jakoś nie miała ochoty opowiadać siostrze o doktorze Goldmanie, okropnym Harveyu Kramerze, Louise i całej historii z telefonami w sprawie dziecka. Jak zwykle, miała wątpliwości co do własnych motywacji. Czy starała się chronić Lisę, czy też samą siebie?

Wyciągnęła szyję i pocałowała Leonarda. Z ponurą miną wymienił z Jeffreyem słaby uścisk dłoni. Karen słyszała ciche szepty i widziała jak ludzie trącają się łokciami, co ostatnio często miało miejsce, gdy znalazła się w tłumie.

- To jej siostra - usłyszała czyjś głos. - Jej siostra.

Szept świszczącą falą przetoczył się przez grupkę stojącą u drzwi świątyni. Byli tam Arnold i Bella, którzy witali znajomych. Karen ucałowała rodziców. Miała nadzieję, że uda jej się szybko wejść do środka, zająć miejsce i przestać zwracać ogólną uwagę. To dzień Tiff i Lisy. Kiedy jednak, po ucałowaniu matki, zwróciła się ku ojcu, stanęła jak wryta. Arnold wyglądał strasznie. Jak długo go nie widziała? Nie spotkali się przecież aż tak dawno. Co się stało? Ten potężny mężczyzna wyglądał, jakby się skurczył, a jego twarz miała kolor popiołu.

- Dobrze się czujesz, tato? - zapytała. Arnold uściskał ją.

- Nic mi nie jest. Ślicznie wyglądasz. Jak się masz, Jeffreyu?

Mimo tych zapewnień, Karen nie spuszczała wzroku z ojca. Wyglądał źle. Skóra głowy była jakby zbyt obszerna, obwisając na policzkach i podbródku, a jednocześnie miało się wrażenie, że czaszka Arnolda się skurczyła. Kości policzkowe sterczały, zaś krawędź zakrzywionego nosa była ostra jak brzytwa. Jedyne co w twarzy pozostało miękkie, to worki pod oczami, które wydawały się bardzo duże.

Za Karen zgromadził się tłumek ludzi czekających na wejście. Jeffrey szturchnął ją znacząco i przeszli do środka, zostawiając rodziców przy drzwiach.

Ogromna, nowoczesna synagoga zbudowana była w okropnym stylu. Karen wyobrażała sobie, że tak wygląda wnętrze reaktora atomowego. Z łukowato wygiętej, potężnej cementowej ściany opadał asymetrycznie sufit. Z przodu, przed ogromnym witrażowym oknem, wznosiło się podium, na którym znajdowała się Święta Arka i nowoczesny, kamienny postument, służący jako pulpit. Ustawione amfiteatralnie siedzenia obite były wściekle pomarańczowym pluszem. Brzydki motyw na okiennych witrażach rzucał na wszystkich poblask w kolorze dyni,

barwie najmniej przez Karen lubianej. Przeszła między ławkami i szybko zajęła swoje miejsce. Rozejrzała się wśród gości. Matka nie miała rodzeństwa, ojciec za to aż czworo. Nikogo z nich jednak nie zaproszono, albo postanowili nie przychodzić. Prawdę mówiąc, poza teściami Lisy, nie było tu osób w wieku Arnolda i Belli. Przeważały młode małżeństwa z małymi dziećmi. Gdzie się podziały koleżanki Tiff? Na takich uroczystościach zazwyczaj roiło się od nastolatków. Czy na przyjęciu nie ustawią się w rzędzie i nie zatańczą „Bezdomnego Kota”, jak na *bar micwah*, na których Karen bywała w dzieciństwie?

Jeszcze raz ukradkiem przyjrzała się zgromadzonemu. Wszyscy, jej zdaniem, byli przesadnie wystrojeni, poza Sylwią, Sooky i Buff, które pomachały

jej z drugiej strony nawy. One, jak zwykle, ubrały się skromnie, może tym razem nieco zbyt skromnie. Ostatecznie, miały to być stroje wieczorowe. Czy to oznaka pogardy? Inne kobiety obwiesiły się za to zdumiewającą ilością cekinów, paciorków i błyszczących ozdób. Rozglądając się wokół, Karen zdała sobie sprawę, że nikogo nie zna. Zastanawiała się, kim są ci wszyscy ludzie.

Jeffrey spojrział na zegarek. Nabożeństwo się opóźniało. Zebrani kręcili się niespokojnie. Wreszcie środkową nawą przeszedł operator wideo i poczynił jakieś drobne przygotowania. A potem, od drzwi synagogi, nadeszli Tiff, Lisa, Leonard, Stephanie, Bella i Arnold. Za nimi podążał rabin. Szli powoli środkiem, witając ukłonami znajomych. Duży słomkowy kapelusz Lisy miał dokładnie ten sam odcień co suknia. Co Lisa, na miłość Boską, wyprawia? W tym kapeluszu, pozdrawiając z szerokim uśmiechem zebranych sztywnym gestem dłoni, przypominała żydowską księżniczkę Dianę. Bella, Arnold i Stephanie zatrzymali się przy pierwszym rzędzie krzeseł i zajęli miejsca obok starszych państwa Sapersteinów, a reszta grupy weszła po trzech niskich stopniach na podwyższenie. Tam, przy Świętej Arce, ustawione były trzy nowoczesne kamienne krzesła. Leonard, Lisa i Tiffany usiedli na nich, a rabin zaczął nabożeństwo.

Karen nigdy nie chodziła do szkoły hebrajskiej ani nawet do szkółki niedzielnej. Arnold należał do lewicujących agnostyków, a Bella nie zawracała sobie głowy takimi rzeczami. Podczas głównych świąt ciągnęła dziewczęta na nabożeństwa, a Karen myślała podczas nich o niebieskich migdałach. Od lat nie była w synagodze i miała wątpliwości, czy uczęszcza tam Bella. Czy Lisa i Leonard naprawdę troszczą się o takie sprawy? Karen nigdy nie słyszała, by mówili o Bogu.

Zastanawiała się, dlaczego ludzie wracają do kościoła, kiedy mają dzieci. Wyglądało, jakby działo się to automatycznie. Lisa powiedziała kiedyś, iż pragnie by dziewczęta dorastały w poczuciu szacunku i czci dla religii, ale gdy Karen spytała, czy wytworzyły w niej to pragnienie wędrowni z Bellą do synagogi, zmieniła temat, a Karen już go nie podejmowała. Nie chciała wyglądać na krytykanta.

Uśmiechnęła się ponuro i pomyślała: jaka ironia losu sprawiła, że straciła dziecko od Louise dlatego, że nie jest chrześcijanką. Cóż, na pewno nie była także żydówką, chyba że z urodzenia. Nagle coś ją tknęło. O ile wie, może nie być nawet narodowości żydowskiej. Religia wydawała jej się tak nieistotna, że nigdy wcześniej o tym nie pomyślała. Kto wie, może jest Polką i katoliczką. Czy miała jednak prawo udzielić Louise innej odpowiedzi? Nawet, jeśli oznaczałoby to możliwość przysposobienia jej dziecka? Na myśl o tym przygryzła wargę. Wyglądało, że nie jest na tyle żydówką by znaleźć pociechę w tej uroczystości, ale wystarczająco, by nie dostać dziecka. To niesprawiedliwe. Gdzie Louise umieści teraz swoje maleństwo?

Pragnęłam go, zasłużyłam na nie, byłabym dla niego dobra. Lepsza niż prawdziwa matka. Straciła wątek myśli i poczuła się zagubiona. Czy gdyby wychowała dziecko, miałoby dzięki temu lepiej, czy też zawsze tęskniłoby za prawdziwą matką, czuło się nieswojo? Nie takiego dziedzictwa pragnęłaby dla niego. Jej samej byłoby dużo lepiej, gdyby mogła być częścią określonej, tej czy innej grupy.

316

Do rabina dołączył kantor i nabożeństwo się rozpoczęło. Karen musiała przyznać, że jest coś wzruszającego w tradycji gromadzenia się, by powitać we wspólnocie nowe pokolenie. Tuż przed nią siedziało siedmio-, może ośmioletnie dziecko. Kark dziewczynki był bardzo biały, a jej lśniące włosy spinała klamerka z fałszywych brylancików. Karen pragnęła je pogłaskać. Czy gdyby miała dziecko, zaczęliby z Jeffreyem chodzić do świątyni? Czy zasiadaliby, jako rodzina w ławkach synagogi przy Park Avenue? Czy byłoby im z tym dobrze? Czy kiedykolwiek będzie miała dziecko?

Spojrzała na siedzącego obok Jeffrey'a. Nie mogła go sobie wyobrazić tam, na podium, cierpliwie uczestniczącego w uroczystości, jak wydawał się to robić Leonard. Karen dziwiło, że tak wzrusza ją grupka na kamiennych krzesłach. Ta ceremonia przejścia do świata dorosłych ją samą ominęła. Lisa, mimo innych problemów wychowawczych, umożliwiła Tiff wzięcie w niej udziału. Może dzięki temu dziewczynka będzie czuła, że gdzieś przynależy. Bella nie uczyniła niczego takiego dla żadnej ze swych córek. Karen spojrzała na matkę. Siedziała wyprostowana, niczym osoba panująca nad sytuacją. Prawdę mówiąc, wyglądała jakby to ona była sprawczynią całej uroczystości, choć Karen wiedziała, że w ogóle nie zaangażowała się w przygotowania.

Zastanawiała się, co uczyniłaby dla niej jej prawdziwa matka. Czy uszyłaby sukienkę do Pierwszej Komunii, posłała do szkoły niedzielnej albo na lekcje hebrajskiego? Co robi teraz, kiedy Karen siedzi wśród tych wszystkich ludzi? Jakże to ma znaczenie? Przecież ona nic mnie nie obchodzi, powiedziała sobie w duchu. Jeśli jednak nie jestem związana z moją prawdziwą matką, to z kim jestem?

Przypuszczała, że prawdopodobnie z Sapersteinami i Lipskimi, siedzącymi teraz we wpadającej przez witraż pomarańczowej poświacie. Starali się być dla niej dobrzy, kochali jak tylko umieli. Nawet jeśli nie wyszło im najlepiej, te uczucia musiały jej wystarczyć. Karen patrzyła jak Tiffany nerwowo przygryza wargę. Ogarnęła ją fala dumy i była wdzięczna siostrzenicy za włożenie pereł. Czuła się przez to w większym stopniu częścią wydarzenia, miała w nie maleńki wkład. Przez chwilę opanowało ją poczucie wszechogarniającej tęsknoty - zapragnęła gdzieś należeć, być, niby perełka w naszyjniku, elementem szeregu osób wychodzących z przeszłości i idących, poprzez nią, w przyszłość. Jeszcze raz spojrzała na Tiff. Mimo tuszyczku, okrągłych policzków i okropnej sukienki,

dziewczynka zdawała się uosabiać powagę chwili. Gdy rabin wezwał ją na podium wstała, a jej wzrost choć raz na coś się przydał. Widać było, jak dziewczynka ruszyła w kierunku postumentu. Pokaz paryski, umowa z NormCo, rozczarowanie decyzją Louise - wszystko gdzieś zniknęło. Tak, pomyślała Karen, jeśli będę miała dziecko, chcę by było częścią tej tradycji. Czuła wielką dumę. Nie trwało to jednak długo.

„Ból” był odpowiednim określeniem. Sprawdziły się przepowiednie Jeffrey’a. Karen, siedząc w obitym pomarańczowym pluszem foteliku, usiłowała nie skrecać

237

się z zażenowania, jak pozostali goście. Zaczęły się *tsuris*, co w jidysz oznacza kłopoty. Tiff stała na podwyższeniu, a ogromny zwój Tory rozpościerał się przed nią niby plan architektoniczny. Z większym powodzeniem mogłaby coś zbudować, niż przeczytać jego treść.

Odczytywanie w języku hebrajskim zaczęła dosyć spokojnie. Karen, podobnie jak większość zgromadzonych, nie miała pojęcia o czym ona mówi, wydawała się jednak, z początku, radzić sobie całkiem nieźle. W pewnej chwili rabin, gładko wygolony mężczyzna, bardzo podobny do pana Rogersa, przerwał, robiąc drobną poprawkę. Tiff wymamrotała to słowo, a on skorygował ją jeszcze raz. Powtórzyła prawidłowo i mówiła dalej, ale rabin znów jej przerwał i poprawił.

Karen przypomniała sobie, że Tora musi być czytana bezbłędnie. Istniały chyba jednak jakieś granice. Tiff urwała, a wśród zgromadzonych po raz pierwszy zapadła zupełna cisza. Nawet małe dzieci przestały się wiercić. Milczenie narastało. Nic dziwnego, że gdy Tiff znów zaczęła czytać, od razu coś poplątała, a rabin natychmiast ją skorygował. Dziewczynka wzniosła oczy do nieba. Karen trzymała za nią kciuki, zastanawiając się czy robienie tego w świątyni nie jest świętokradztwem. Po następnej poprawce Tiff posłała rabinowi mordercze spojrzenie i powtórzyła słowo. Potem urwała.

- Chama - podpowiedział rabin.

- Chama - powtórzyła Tiff i znów zamilkła. Tym razem na dobre. Przez następne pięć rozdzierających minut rabin odczytywał jej każde słowo, a ona powtarzała je jak automat. Pełne zakłopotania milczenie pięknie uczesanych i wystrojonych wiernych przeszło w niezadowolony szmer. Rabin podpowiadał słowo, Tiff powtarzała je i milkła. Karen spojrzała na siostrę. Siedziała na podwyższeniu, obok pustej teraz Świętej Arki, ze sztucznym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Obok, Leonard wyraźnie gotował się ze złości. Wtedy właśnie Karen usłyszała pierwszy chichot. Pomyślała, że to Stephanie, chociaż nie miała pewności. Piskliwy śmiech natychmiast wywołał dwa czy trzy następne, a potem roześmiało się kilkanaście osób. Karen popatrzyła na Tiff. Jej twarz była ciemnoczerwona, w kolorze kratkowanego wzoru na brzydkiej taftowej sukience. Zaczęto się uciszać, trącać łokciami i w końcu chichoty umilkły. O Boże, pomyślała Karen, co my będziemy świętować, gdy ta katastrofa się skończy?

* * *

- Bello, jeśli powiesz Tiffany choć słowo, to cię uduszę - Arnold z żoną siedzieli naprzeciw Karen i Jeffrey, w limuzynie wiozącej ich z synagogi na przyjęcie.

- Własny mąż jej grozi - oznajmiła Bella, jakby nikt nie słyszał słów Arnolda. Teraz wszyscy wyglądali równie źle jak on. Nabożeństwo przeciągnęło się i trwało ponad dwie godziny. Jeffrey co trzydzieści sekund spoglądał na zegarek.

- Zdasz na samolot - syknęła Karen.

- Jaki samolot? - zainteresowała się Bella. Zwykle nie zwracała na nikogo uwagi. Już takie moje szczęście, że akurat teraz mnie słucha, pomyślała Karen.

319

Będzie musiała powiedzieć matce o wczesnym odjeździe Jeffreya, przed zawiadomieniem Lisy. Westchnęła. Jakim cudem zdołała zdobyć zawód czy wyjść za mąż, skoro kontakty z rodziną stanowią pełnoetatowe zajęcie?

- Jeffrey musi dziś wieczorem lecieć do Paryża. Ma samolot z lotniska Kennedyego.

- Odlatuje po przyjęciu? - zapytała Bella. - Czy są samoloty o tak późnej porze?

- Nie. Dlatego właśnie wyjeżdża przed przyjęciem. Złoży im tylko gratulacje i pójdzie. Jutro musi być w Paryżu. To bardzo ważne.

- Co jest ważniejsze od *bat micwah* jego siostrzenicy?

Na szczęście, zanim Jeffrey zdążył wyjaśnić Belli, że lista takich spraw jest długa, znowu wtrącił się Arnold.

- Przestań, Bella - rzucił ostrzegawczo do żony. Rzadko wchodził jej w drogę, ale Karen szybko zdała sobie sprawę, że niezwykłość tego zachowania nie robi na matce żadnego wrażenia.

- Jak to wychodzisz? - zwróciła się bezpośrednio do Jeffreya. - Przed tortem?

- I tak nie jadam deserów.

- Chodzi mi o to...

- Bello - głos Arnolda przeszedł niemal w warkot. Karen nie pamiętała, by kiedykolwiek wcześniej ojciec podniósł głos. Spojrzała na niego. Nie miał już takiej bezbarwnej twarzy, ale pewnie zaczerwienił się ze złości.

Przez kilka chwil Bella siedziała cicho. Limuzyna wiozła ich przez Inwood na przyjęcie w Lawrence. Czy oni już wtedy nie przejeżdżali? Może kierowca się zgubił? Te ulice naprawdę są do siebie podobne. Jeszcze jeden powód do zmartwień, pomyślała Karen. W tej samej chwili Bella znowu zabrała głos.

- Mówiła im, że sukienka będzie wyglądała idiotycznie. Miała rację - skrzyżowała ręce na płaskiej piersi i otrzepała sobie ramiona, jakby sprawdzając czy nie ma na nich łupieżu. Patrzyli jak siedzi, odległa i zadowolona z siebie. Czy ona wcale nie współczuje córce i wnuczce? Przecież to najbardziej upokarzający dzień w ich życiu. Karen robiło się niedobrze. Przez resztę jazdy nikt się nie odezwał.

Zgubili się. Kierowca musiał dwa razy stawać i pytać o drogę. Gdy dotarli do restauracji, czterech umundurowanych pikolaków rzuciło się otwierać drzwi samochodu, ale że było ich zbyt wielu, trzech uformowało szereg, a Tom Wolfe szoferów stanął na baczność. Karen rozejrzała się wokół.

- Przyjechaliśmy pierwsi? - głośno wyraziła zdziwienie. Restauracja wydawała się pusta. - Czy Lisa nie zamówiła dwóch autobusów do przewiezienia gości?

- Nikt nie słucha moich opinii - rzuciła uszczypliwie Bella, wzruszając ramionami. - Gdzie jest toaleta?

Cała czwórka weszła do ogromnego hallu restauracji. Była ona najwyraźniej jednym z lokali specjalizujących się w organizowaniu zbiorowych imprez. Dwie dyskretne chromowane tabliczki wskazywały przeciwległe kierunki. Jedna, ze strzałką na prawo, głosiła „Wesele państwa Levinów”, zaś druga - „*JSat micwah* rodziny Sapersteinów”. Poszli we wskazanym przez nią kierunku, po czym Karen i Bella skrzyły do damskiej toalety, zostawiając panów w korytarzu.

W środku także nie było nikogo.

- Gdzie są wszyscy? - zapytała Bella.

- Może wsiadanie do autobusów zajęło im więcej czasu - odparła Karen, choć czuła się nieswojo. Szofer limuzyny zgubił drogę i dojazd do restauracji zajął im niemal pół godziny. Czy autobusy mogły jechać tak długo? Ich kierowcy musieli przecież znać trasę? Przejrzała się w ogromnym, otoczonym żarówkami lustrze. Ostatni raz widziała takie w latach siedemdziesiątych. Hollywoodzki, dyskotekowy styl wyszedł z mody na Manhattanie przed dwudziestu laty. Żarówki rzucały na Karen i jej matkę ponure światło.

Bella natychmiast wypakowała zawartość torebki na półeczkę pod lustrem i zabrała się do poprawiania makijażu.

Karen popatrzyła na swą pobladłą twarz, noszącą ślady przeżytych smutków. Wyglądała, jakby ostatnio straciła dziecko. Miała bladą, ziemistą cerę, przylizane włosy, a całą szminkę zjadła z nerwów w czasie nabożeństwa.

Sięgając po kosmetyczkę, pomyślała, że taką twarz mogłaby uratować chyba tylko operacja plastyczna.

Kątem oka spojrzała na Bellę, która właśnie malowała rzęsy. Miała w pół otwarte usta, minę jaką Karen nauczyła się naśladować przy tej czynności. Przez jedną szaloną chwilę chciała, tu i teraz, zapytać matkę o szczegóły adopcji. Tak wiele miała jej do powiedzenia, tyloma rzeczami chciała się podzielić, gdyby tylko Bella otworzyła serce. Ale u niej tylko usta były otwarte.

- Czy twoim zdaniem tato dobrze wygląda? - spytała ją Karen.

- Co masz na myśli? Garnitur? Mówiłam mu...

- Nie, nie, chodzi o jego zdrowie. Czy on się dobrze czuje?

- Och, wiesz jaki jest twój ojciec - matka wzruszyła ramionami. - Pracuje całymi dniami, je byle co. Co ci mam powiedzieć?

Kiedy Bella skończyła długie zabiegi toaletowe, wróciły do panów. Rozmawiali właśnie o interesach. Nic dziwnego. Jeffrey musiał wspomnieć o tej przekłętej umowie z NormCo. Tylko o tym był w stanie myśleć. Arnold, jak to on, wdał się w długi, szczegółowy opis polityki pracowniczej korporacji. Czy Jeffrey nie przewidział, że tak się to skończy?

Karen czuła narastające napięcie. Podpisanie kontraktu zbliżało się, niczym jakiś potworny prawniczy moloch, który zmiążdży ją swym ciężarem. Podobne samopoczucie musiał mieć Indiana Jones uciekający przed toczącą się skałą. No właśnie, na co jej przyszło - Karen Kahn i Świątynia Zagłady. Choć właściwie opuścili już świątynię. Teraz jest na Przyjęciu Zagłady. Czy to będzie coś jeszcze gorszego?

Wtedy właśnie przyszła jej do głowy pewna myśl. Co prawda kontrakt jest coraz bliżej, ale przecież wcale nie musi go podpisywać. Co ją obchodzi, ile czasu spędził nad nim Bill Wolper ze swymi prawniczymi pacholkami? Nie musi podpisywać, dopóki nie upewni się, że dostanie to czego chce - dziecko. Kto to powiedział: „Nic nie jest zakończone, dopóki się nie zakończy”? Cóż, kimkolwiek był - miał rację. Odetchnęła głęboko. Wcale nie jest w pułapce. Ma wybór. A teraz musi przerwać kłótnię między Jeffreyem a ojcem, zanim przerodzi się ona w awanturę.

240

- We wszystkich szwalniach na południu złamali związki zawodowe - mówił Arnold. - Zagrozili, że przeniosą produkcję za granicę, złamali tym związki, a potem i tak japrzenieśli. A krajowym zakładom zostawili resztki. Resztki!

- Ich dochody są bezdyskusyjne, Arnoldzie. Mają zyski od trzydziestu siedmiu kwartałów. Muszą coś robić dobrze.

- Owszem, jeśli uznamy za moralne zwycięstwo tworzenie bezrobocia u nas, a wycisku w krajach Trzeciego Świata.

- Arnoldzie, my nie rozmawiamy o moralności - w głosie Jeffreya pobrzmiwały znajome Karen nutki, poprzedzające wybuch złości. - Nie mówimy o moralności - powtórzył. - Mówimy o interesach.

- Czy te sprawy nie są ze sobą powiązane? Czy moralność kończy się tam, gdzie zaczyna się biznes.?

Karen była już kilkanaście razy świadkiem tego rodzaju kłótni między nimi, nigdy jednak nie miały one tak osobistego zabarwienia. No, ale oczywiście, nigdy przedtem nie myślała o sprzedaży firmy. Wzięła ojca pod jedną rękę, a męża pod drugą.

- Nie czas teraz na rozmowy o interesach - powiedziała. - Niech moi przystojni panowie pozwolą że postawię im coś do picia - trzymając pod łokcie, poprowadziła ich po schodach do sali restauracyjnej. Nie było tam nikogo, poza samotnym barmanem, który stojąc plecami do wejścia wyglądał przez okno. Kiedy podeszli do baru, odwrócił się ku nim. - Może szampana? - zaproponowała Karen.

- Jaki macie gatunek? - zainteresował się Jeffrey.

Barman uniósł butelkę jakiegoś nieokreślonego kalifornijskiego wyrobu. Jeffrey pokręcił głową.

- Krajowy szampan? Leonard znów atakuje - powiedział głośno. - Proszę szkocką z lodem.

- Dla mnie to samo - dorzucił Arnold.

- Arnold? Wiesz przecież, co mówił doktor - wtrąciła ostrzegawczo Bella.

Co właściwie powiedział doktor, zastanawiała się Karen. Przed chwilą pytała matkę o ojca, a ona nic o tym nie wspomniała. Czy Arnold był u lekarza? Dlaczego Bella nie powiedziała jej tego, gdy były w toalecie?

- Mówił, że nie powinienem się denerwować. Pomożesz mi w tym? - zapytał. Bella wzruszyła ramionami. Ona i Karen wybrały białe wino. Cała czwórka stała w pustej sali, unosząc kieliszki. Za co właściwie mogliby wznieść toast? Na pewno nie za wystąpienie Tiffany. Przez chwilę trwała cisza. Jeffrey spojrzął na zegarek.

- *Lechaim*, na zdrowie - wymruczał w końcu Arnold i wszyscy z ulgą wychylili kieliszki.

Czterdzieści pięć minut później autobusów ciągle nie było. Jeffrey, po krótkiej sprzeczce, odjechał limuzyną.

Wreszcie przybyły, a za nimi rząd samochodów z resztą gości. Karawana ta wypłuła ze swego wnętrza wymiętych, zdenerwowanych pasażerów. Lisa, na

16 - Spóźniona moda

241

czele rozwścieczonego pochodu, weszła po schodach, ciągnąc Tiff za mięsiste przedramię. Karen pomyślała, że równie dobrze mogłaby ciągnąć ją za ucho. Jej siostra najwyraźniej gotowała się ze złości, za to Tiff wyglądała, jakby zapadła w śpiączkę.

- Ci przekłęci kretyńsi zgubili drogę - rzuciła Lisa w charakterze powitania. - Wynajmujesz bałwanów po to, by przewieźli cię z punktu A do punktu B, a oni nawet tego nie potrafią! W końcu to nie operacja mózgu. Czy choćby dermatologia - powiedziała z pogardą i popatrzyła ponuro w kierunku Leonarda, który wraz ze Stephanie pomagał wysiadać gościom z drugiego autobusu.

- Mówiła ci, żeby nie wynajmować autobusów - przypomniała jej Bella i trzeba podziwiać Lisę, że nie uderzyła w tym momencie swej matki.

Karen patrzyła przez ogromne okna na dziwny tłum w dole. Kobiety gniewnie oglądały swe wymięte suknie, usiłując je wygładzić, a mężczyźni wsuwali palce za mokre kołnierzyki koszul. Przed damską toaletą ustawiła się już kolejka.

- W jednym z autobusów wysiadła klimatyzacja. Przysięgam, że wytoczę proces tym sukinsynom.

Karen popatrzyła na Tiff. Oczy dziecka miały szkliste spojrzenie ofiary wypadku.

- Zaczynamy to cholerne przyjęcie - warknęła Lisa.

Wydawało się, że minęły całe godziny, zanim wszystkie panie opuściły damską toaletę. Stephanie starannie sprawdziła każdąabinę, by upewnić się, iż jest sama. Potem weszła do ostatniej i dokładnie zamknęła drzwi. Podniosła klapę sedesu. Zjadła już jedenaście koktajlowych parówek i chyba dwadzieścia krewetek. A to dopiero bufet z zakąskami, obiad się jeszcze nie zaczął. Musiała pozbyć się tego wszystkiego teraz, zanim organizm wchłonie kalorie. Obiecywała sobie, że jeśli to zrobi, nie zje nic podczas obiadu i nie będzie już musiała tego powtarzać. Uroczystość w świątyni bardzo ją zdenerwowała, a przyjęcie było tak nieudane, iż nie była w stanie zapanować nad apetytem. Cóż, przynajmniej teraz panuje nad sytuacją. Wetknęła wskazujący palec do gardła tak głęboko, jak tylko mogła i zaczęła się krztusić. Po chwili zwymiotowała, ale by mieć pewność, jeszcze raz wsunęła palec w usta i zwróciła zawartość żołądka. Kręciło jej się w głowie i musiała przytrzymać się ścian kabiny. Spojrzała w dół, na zawartość sedesu, a na widok całego obrzydliwego jedzenia, omal jeszcze raz nie zwymiotowała. Jakim cudem wcześniej tak ją kusilo? Napychała się tym paskudztwem jak świnia. Urwała kawałek papieru toaletowego, starannie otarła usta i wrzuciła go do sedesu. Drugim kawałkiem starła pot z czoła i znad górnej wargi. Spuściła wodę, odwróciła się i otworzyła drzwi kabiny.

Za nimi stała jej babka, z rękami wspartymi na biodrach.

- Czy możesz mi wyjaśnić, co tu właściwie robisz? - zapytała. Przyjęcie toczyło się zrywami, ale nigdy nie przerodziło w coś, choć w części przypominającego uroczystość. Sylwii i jej córki wydawało się to bawić, więc
242

Karen ich unikała. Przeżyła szok, gdy nagle z tłumu wynurzył się Perry Silvermann i usiadł obok niej.

- Co ty tu robisz? - zapytała. Jeffrey powiedział jej, że zaproszono June, ale razem z Perrym? Lisa chyba postradała zmysły. - Nie widziałam cię w synagodze.

- Dostałem zaproszenie, ale nie podają tam alkoholu - wyjaśnił. - Pomyślałem więc, że przyjdę tylko na przyjęcie. Darmowe drinki. No i chciałem zobaczyć się z tobą.

Karen zastanawiała się, czy zauważył już June. Nie miała pojęcia, co powiedzieć.

- Zaprosiła cię Lisa? Nie wiedziałam, że się znacie.

- Nie znamy. Nie licząc spotkania u ciebie na śniadaniu - wziął ją za rękę. - Chodź, zatańczymy.

Najwyraźniej nie zdążył się jeszcze upić, więc wyraziła zgodę. Perry był dużo niższy od Jeffreya. Kiedy objął ją w pas i poprowadził w tańcu przez niemal pusty parkiet, czuła się dziwnie. Na prawo od nich, dwie dziewczynki usiłowały tańczyć cha-chę przy piosence Cole'a Portera. Karen nie mogła powstrzymać uśmiechu, ale nie pokazała ich Perry'emu. Jedna miała tyle lat, ile miałyby teraz Lottie. Perry chyba nic nie zauważył. Tańczył zaskakująco dobrze. Prowadził ją pewnie, ale bez przesadnej siły. Karen zastanawiała się, czy pamięta coś z tego wieczoru, kiedy zadzwonił do niej z budki telefonicznej koło biura. Nic nie mówił, kierował tylko tańcem. Po paru chwilach zdała sobie sprawę, że tańczy jej się lepiej niż z Jeffreyem.

- Moja żona tu jest - mruknął Perry. Przez moment sądziła, że ostrzegają, jakby robili coś niewłaściwego i ktoś mógł ich przyłapać. Ale gdy wykonali posuwisty obrót, zobaczyła June siedzącą po drugiej stronie sali. Wyglądała ładnie, choć ważyła nieco więcej niż zwykle czterdzieści kilogramów na granicy anoreksji. - Jak ona się tu dostała?

- Autobusem - prychnęła ze śmiechem Karen. - Przeszkadza ci to?

- Przeszkadza? Gdybym wiedział, że przyjdzie, sam urządziłbym stypę. Ale chyba nie muszę tego robić. To przyjęcie i tak ją przypomina, prawda? - Karen nie odpowiedziała, pozwoliła po prostu, by dalej prowadził ją gładko przy piosence „Begin the Beguine”.

Co się właściwie tutaj dzieje? Lisa pozapraszała znajomych Karen? Jak mogła zaprosić jednocześnie Perry'ego i June? Wszyscy wiedzą, że nie są w najlepszych stosunkach. I, co jest najdziwniejsze, dlaczego June w ogóle przyszła? Musi interesować się Perrym. Nie znała Lisy, a Karen nigdy nie okazywała zbyt wiele ciepła eks-narzeczonej Jeffreya. Wszystko to było naprawdę dziwaczne. Karen obserwowała zebranych. Choć dopiero

podano zakąski, ludzie zaczęli wychodzić. Mój Boże, Lisa pewnie jest ledwie żywa, a Tiff wygląda jakby już umarła.

Wtedy właśnie pojawiła się Bella, wlokąc Stephanie przez parkiet w kierunku Karen. Perry, odwrócony do nich tyłem, nie przestał tańczyć, ale przybyłej to nie powstrzymało.

- Wiesz co ona zrobiła? - zapytała oskarżycielsko. - Rzygała. Wymiotowała w łazience. - Perry obrócił się i zatrzymał. Stali wszyscy na środku sali. -

326

Zwymiotowała jedzenie. Powiedziałam jej, że to grzech. Dzieci głodują, a ona zwraca smaczne jedzenie.

- Chyba sam to zaraz zrobię - stwierdził Perry. - Może porozmawiamy o tym kiedy indziej - oficjalnie uklonił się Belli. - Miło było znowu panią widzieć - wymamrotał i odciągnął Karen na bok. - Strzeż się krewnych - rzucił.

Pokręciła głową.

- Łączy nas szaleństwo, a nie więzy krwi - przypomniała.

- Co za ulga - wrócili do stolika. - Hej, a gdzie właściwie jest Jeffrey? -zapytał. - Co nie znaczy, że z rozkoszą nie zajmę jego miejsca - usiadł na wolnym krześle jej męża.

Karen westchnęła. Perry przypomniał jej, co się stało. Będzie musiała powiedzieć teraz Lisie, że Jeffrey odjechał. W zamieszaniu, jakie nastąpiło po przyjeździe autobusów, nie zauważyła chyba jego nieobecności, lecz Karen nie mogła dłużej odkładać przekazania tej nowiny. Lisa pewnie się obrazi, ale nie ma innego wyjścia.

Zanim jednak zdołała wykonać jakiś ruch, lider zespołu przemówił przez mikrofon.

- A teraz, panie i panowie, chwila na którą wszyscy czekali. Uroczyste zapalenie świec przez Tiffany Saperstein. Zabrzmiała fanfara, światła zamrugały i przygasły, a na salę wpadł oddział kelnerów pchając stół na kółkach, z ogromnym tortem. Wśród gości, którzy pozostali, tu i ówdzie rozległy się oklaski, a reflektor oświetlił tort i stojącą za nim śmiertelnie smutną Tiffany. W jednej ręce trzymała świecę, a w drugiej plik małych kartek.

- O pomoc w zapaleniu pierwszej... - powiedziała tuż obok mikrofonu, tak że z głośników dobiegł niezrozumiały bełkot.

- Głośniej - zawołał ktoś. Dziewczynka podniosła oczy, mrużąc je w świetle reflektora.

- O-pomoc-w-zapaleniu-pierwszej-świecy-proszę-babcię-i-dziadka-Saper-steinów - mówiła monotonnym głosem. - Wiele-razy-spędzałam-wakacje-u-nich-w-domu-i-bardzo-to-lubiłam- odczytywała kartkę bez śladu emocji, nawet nie modulując głosu. Rozległo się parę oklasków, orkiestra zagrała tusz, a rodzice Leonarda podnieśli się, przeszli na środek sali, pocałowali Tiffany i zapalili świecę.

Wtedy do Karen dotarło, co się dzieje. Mała na pewno wywołają i Jeffreya. Co tu zrobić? Fotograf uwiecznił tymczasem podobizny dziadków Sapersteinów z Tiffany, przynajmniej na czas trwania w stanie nie naruszonym fotografii Kodaka. O Boże, pomyślała Karen, zupełnie zapomniałam o tym zwyczaju. Naprawdę wszystko popsuka. Tiffany pozostała nieczuła na błysk flesza i pocałunki w policzek. Zanim Sapersteinowie skończyli zapalać świecę, przeszła do następnej kartki.

- Proszę-by-przyszli-tu-teraz-babcia-Bella-i-dziadek-Arnold.

Chcę-im-po-dziękować-za-całą-miłość-jaką-przez-tyle-lat-mnie-obdarzali-brak jakiegokolwiek uczucia w głosie

dziecka był przerażający. W sali panowała cisza, a wszyscy słuchali recytacji z jeszcze mniejszym ożywieniem niż podkładu dźwiękowego kreskówki Disneya.

328

Bella i Arnold podeszli do ogromnego tortu i ucałowali wnuczkę. W świetle reflektora Arnold wyglądał jeszcze gorzej, niż przedtem. Starzeje się, pomyślała Karen. Bella wyjęła świecę z ręki Tiffany, zapaliła i umieściła na torcie. Zrobiono więcej zdjęć i znów rozległy się oklaski. Tiffany, niewzruszona, wpatrywała się w swoje kartki.

- Teraz-proszę-by-podeszła-tu-moja-siostra-Stephanie. Choć-się-czasem-kłócimy-naprawdę-bardzo-się-kochamy. Stephanie chętnie weszła w krąg światła. Dziewczyna była naprawdę piękna - wysoka, smukła i szczupła. Szczuplejsza niż zwykle. Karen wpatrywała się w siostrzenicę. Czyżby celowo pobudzała się do wymiotów? Czy to właśnie Bella próbowała jej powiedzieć? Gdy fotograf zaczął robić zdjęcia, Stephanie się ożywiła. Objęła siostrę ramieniem i wydeła wargi. Tiffany, nie zwracając na nią uwagi, przeszła do następnej kartki.

- A-teraz-proszę-o-zapalenie-świecy-ciocię-Karen-i-wuja-Jeffreya.

Zawsze-byli-dla-mnie-dobrzy-i-choć-nie-widuję-ich-tak-często-jak-bym-chciała-to-bar-dzo-ich-kocham.

Karen, z drżącym sercem, wstała i przez pusty parkiet podeszła do dziewczynki. Jakoś później to wszystko wyjaśni. Ujęła jej lodowato zimną dłoń

- Wszystko w porządku? - zapytała niepotrzebnie. Tiffany nawet nie kiwnęła głową, wepchnęła tylko świecę ciotce do rąk. Jeśli zauważyła nieobecność wuja, nie skomentowała tego. Karen nie pozostało nic innego, jak przyjąć świecę i ruszyć w kierunku ciasta.

- GdziejestJeffrey?-wysyczałascenicznym szeptem Bella. -Przecieżmó-wiłam ci o torcie.

Karen nie było dane zapalić świecy. W tej samej chwili Arnold zgiął się, a lewa noga jakby się pod nim załamała. Runął niczym podcięte drzewo. Padając, wyciągnął rozpaczliwie prawą rękę, usiłując się czegoś uchwycić. Nie znalazł żadnego punktu oparcia. Gwałtowny ruch okazał się jednak na tyle silny, że zanim Arnold upadł na podłogę, stolik, tort i świece rozprysły się na wszystkie strony.

Rozdział 23

Pajęczyna

Bella i Karen spotkały się w windzie, na siódmym piętrze Hark-ness Pavilion w szpitalu Columbia Presbyterian, w północnej części Manhattanu. Bella wciąż miała na sobie suknię z *batmicwah* i wyglądała, jakby przechodziła właśnie to, co kardiolodzy nazywają „epizodem choroby wieńcowej”.

- Doktor przed chwilą wyszedł - poinformowała Karen. - Powiedział, że stan ojca się normalizuje.
- To chyba dobra wiadomość, prawda? - Karen spojrzała na matkę, której wyraz twarzy wcale na to nie wskazywał.
- Oczywiście, że dobra. Najwyraźniej nie było to nic poważnego. Wprost nie do wiary, że zrobił to akurat w takiej chwili. Zniszczył cały tort.

Karen westchnęła.

- Mamo, on nie wybierał pory. To się po prostu stało.
- Wiem - rzuciła sucho. Poszły razem korytarzem do pokoju Arnolda. Wokół było pusto.
- Lisa i Leonard pojechali już do domu?
- Tak. Zostawili mnie tu samą godzinę temu.
- Mamo, daj spokój. Zanim wyszłam, słyszałam, jak oboje proponowali, że z tobą zostaną. A lekarze powiedzieli ci przecież, że możesz pojechać do domu się przebrać. - Dlaczego, chociaż to Arnold leżał na łóżku z rurkami wystającymi z nosa, Bella zachowywała się, jakby ona była ofiarą? Karen zastanawiała się, czy nie powinna sama porozmawiać z lekarzem. Przekaz matki zniekształcał rzeczywistość. Raz Arnold był niemal symulantem, a raz ona sama osieroconą wdową. Karen czuła potrzebę rozmowy z kimś spokojnym i kompetentnym. Gdzie się podział doktor Kropsey?

- Czy mogę wejść, zobaczyć tatę? - zapytała matki.
- To chyba nie najlepszy pomysł. Odpoczywa - odpowiedziała.

Gdy jednak podeszły do drzwi pokoju, Karen nie mogła się oprzeć i zajrzała do środka. Arnold wciąż był podłączony do rozmaitych urządzeń, ale jego twarz

246

odzyskała w miarę normalny kolor. Nie spał i patrzył przytomnie. Na widok córki uniósł dłoń i pomachał słabym ruchem.

- Posiedzę przy nim - powiedziała do matki. Na szczęście z chorym mógł przebywać tylko jeden odwiedzający.

- Proszę bardzo. Ona wie, kiedy jej nie chcą - oświadczyła Bella, zaś Karen, nie zwracając sobie głowy sprostowaniami, weszła i usiadła przy łóżku. Do nosa Arnolda wciąż podłączone były rurki doprowadzające tlen, a Karen z pewnym wstrząsem spostrzegła, że wyglądające spod szpitalnej koszuli włosy, na piersiach ojca, są zupełnie białe. Jakoś zaakceptowała, że posiwała mu głowa, ale jego ciało było zawsze porośnięte futrem jak u niedźwiedzia. Brązowego niedźwiedzia. Kiedy ostatni raz widziała włosy na piersiach Arnolda? Był skromny i wieczorem w domu zawsze miał na sobie piżamę i szlafrok, a w ciągu dnia, nawet jeśli było ciepło, zapiętą pod szyję koszulę, krawat i marynarkę. Powoli jednak robił się coraz starszy, a Karen nic nie zauważyła. A może to sprawa ostatnich paru lat? Bella tak o sobie dbała, że w oczach córki od niepamiętnych czasów wyglądała indentycznie. Jej uczesanie, makijaż, stroje nie zmieniały się, przypominała muchę zastygłą w bursztynie. Tylko Arnold się postarzał.

Karen usiadła przy nim. Ujęła go za rękę, w którą nie była wbita igła kroplówki.

- Nie musisz nic mówić - powiedziała.

- Nie mam szans na to. Jest tu twoja matka.

Karen uśmiechnęła się. Arnold rzadko żartował sobie z Belli. Jego dłoń, choć wciąż duża, wydawała się lekka i cienka jak papier. Ścisnęła ją mocno.

- Odpoczywaj, tato - poprosiła. Skinął głową i kilka minut leżał z zamkniętymi oczami. Karen zastanawiała się, kiedy będzie mógł wrócić do pracy. Podejrzewała, że sytuacja finansowa rodziców nie jest najlepsza. Cóż, teraz może im pomóc, ale czy tato nie uzna pieniędzy ze sprzedaży firmy za dochody z wyzysku? Powieki Arnolda zadrgały.

Otworzył oczy i spojrzał wprost na córkę.

- Zrobisz coś dla mnie? - poprosił. - Mogłabyś zadzwonić w jedno miejsce? Teraz myśli o pracy? Czy on oszalał?

Przecież dlatego się tutaj znalazł.- Czy ta sprawa nie może poczekać? - zapytała.

- Nie. Zrób to dla mnie. Zadzwon do Inez, numer 516-848-2306 - Inez była jego sekretarką. - Powiedz, że nic mi nie jest. Poproś żeby nie przychodziła, że ja tak powiedziałem. Ale że czuję się dobrze.

Karen sięgnęła do torby, wyciągnęła kawałek papieru i długopis. Zanotowała numer i spojrzała na ojca. Jego szare oczy miały czerwone obwódki, a twarz, choć już nie taka blada, wciąż wydawała się obrzmiała. Czy z sekretarką łączyło go coś więcej, niż sprawy zawodowe? Inez, Portorykanka w średnim wieku, mieszkała gdzieś na wyspie. Pracowała z Arnoldem przez ponad dwadzieścia lat.

- Jasne, tato. Zadzwonię do niej - obiecała. Teraz z kolei Arnold poklepał ją po rękę.

- Dobre z ciebie dziecko, Karen - powiedział. - Wiedziałem to od chwili, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy.

- Gdzie to było? - zapytała, nim zdążyła się zastanowić, po czym zarumieniła się zażenowana. Boże, chyba nie wykorzysta okazji do wyciągnięcia informacji.

Ale nie musiała niczego wyciągać. Arnold najwyraźniej miał ochotę powspominać.

- W Chicago. Wtedy po ciebie przyjechaliśmy. Pani Talmidge trzymała cię na rękach, a ty wyciągnęłaś do mnie ramionka. Nigdy tego nie zapomniałem -znów poklepał ją po dłoni. - Zawsze byłaś dobrym dzieckiem.

- Tato, kim była pani Talmidge? - zapytała Karen. Serce waliło jej tak mocno, że była pewna, iż zarejestrują otaczające maszyny. Wstydź się, powiedziała sobie w duchu.

- Kobieta pracująca w Radzie Opiekunów Dziecięcych w Chicago. Była miła - zamknął oczy.

Karen siedziała przy nim, trzymając jego dłoń w swoich. Był zawsze dobrym człowiekiem. Czy można winić go za to, że dał Belli wejść sobie na głowę? Kto by się jej oparł? Jeśli zaś czasem, chcąc uciec, pozostawiał w jej władzy swe córki, to postępował jak wszyscy ojcowie, nie angażujący się w tamtych czasach w wychowanie potomstwa.

Utrzymywał Karen, wychowywał jak własne dziecko, zawsze akceptował i pomagał, jak tylko mógł. Karen poczuła, że oczy zachodzą jej łzami i mrugnęła, by to powstrzymać. Odwróciła się na odgłos otwieranych drzwi. Wszedł lekarz. Wyjął z jej rąk dłoń Arnolda i zbadał mu puls. Potem skinął na Karen, by wyszła na korytarz.

- Czuje się dobrze - powiedział, dołączając do niej po chwili. - Będziemy może musieli przeprowadzić cewnikowanie serca, z pewnością ma problemy z zastawką, ale u mężczyzny w tym wieku to normalne. Jego stan wraca do normy. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Ojciec czuje się dobrze, pani Kahn.

- Czy jest coś, co mogłabym zrobić? - zapytała.

- Cóż, mogłaby pani zabrać matkę do domu. Przeszkadza pielęgniarkom i nie pozwala ojcu zasnąć. Jej samej, zresztą, też przyda się wypoczynek - powiedział. - Mogę wypisać pani receptę - poklepał ją po ramieniu. - Dobrze się pani czuje?

Karen skinęła głową. Był od niej tylko trochę starszy i robił sympatyczne wrażenie. Miał oczy pełne ciepła.

- Mówi pan prawdę? - zapytała. - On nie umrze?

- No, cóż, wszyscy kiedyś umrzemy, ale nie sądzę, by pani ojciec miał zamiar zrobić to w najbliższym czasie. To naprawdę szczęśliwy traf, że wypadek zdarzył się w miejscu publicznym. Dzięki temu mieliśmy szansę postawić diagnozę i zastosować odpowiednie leczenie, zanim stan się pogorszy. To schorzenie ma charakter chroniczny, ale przebieg łagodny. Jeśli ojciec otrzyma odpowiednią opiekę, wszystko będzie dobrze.

Karen westchnęła głęboko. Dobre nowiny, przekazana przez ojca informacja o jej własnym pochodzeniu, tajemnica Inez - to wszystko ją przytłaczało. Co znaczą sprawy w rodzaju paryskiego pokazu w porównaniu z życiem Arnolda. Na co ona właściwie poświęca swój czas?

332

- Dziękuję, panie doktorze - powiedziała i, odwróciwszy się, ruszyła długim korytarzem, by stawić czoło Belli. Każdy prawdziwy nowojorczyk zna grecką restauracyjkę, którą uważa za swoją. Wszechobecne nowojorskie kawiarnie - serwujące zazwyczaj kiepską kawę - stanowią wielkomięjski odpowiednik amerykańskich prowincjonalnych jadłodajni. Seinfeld rozszławił sieć Restauracji „u Toma”, ale każdy mieszkaniec metropolii ma własne miejsce będące kombinacją salonu, kuchni i poczekalni. Czym jest klub dla angielskiego dżentelmena, pub dla angielskiej klasy pracującej, cafe dla Francuza, tym grecka restauracja dla nowojorczyka.

Ta, wybrana przez Karen, nazywała się „Nektar”. Nie była ani lepsza, ani gorsza od „Ateńczyka”, „Trzech Facetów”, „Dwóch Braci” i dziesięciu tysięcy podobnych miejsc. Jak inni nowojorczycy, Karen wybrała ją ze względu na bliższe sąsiedztwo, jej właściciela - George'a i wygodną niszę okienną.

Teraz siedziała w niej wraz z Definą. Obie miały przed sobą białe kubki z grubej porcelany. W kubku Karen znajdowała się czarna kawa, a w Definy wrzątek i zioła, które sama tam wsypała. Karen, choć przyjaciółka kręciła głową, wrzuciła do swego także dwie torebki słodziku „Equal”. Defina była przeciwniczką chemikaliów, ale ostatnia rzecz jakiej Karen teraz potrzebowała, to wskazówki na temat zdrowego odżywiania. Bawiła się papierkami po słodziku, rysując nimi wzory na mokrym blacie stolika.

Defina przejrzała menu.

- Kuchnia grecka - rzuciła z pogardą - Odkąd to oliwki i ser feta stanowią kuchnię? Będziesz coś jadła?

Karen pokręciła głową. Większą część nocy spędziła w Columbia Presbyterian, gdzie na skutek jej nalegań przewieziono ojca, po postawieniu diagnozy w szpitalu Great Neck.

- Więc to nie był prawdziwy atak serca? - zapytała Defina.

- Oni twierdzą, że nie. W każdym razie nazywają to zawałem mięśnia sercowego, a nie atakiem serca. Na to, co przydarzyło się ojcu, mówią epizod choroby wieńcowej. Uważają że pewnie miał ich już wiele. Nie wiedzą, w jakim stopniu uszkodzony jest mięsień serca, ale na pewno coś jest nie w porządku z zastawką.

- Co to ma znaczyć: epizod - rzuciła z pogardą Defina. - Brzmi, jakby twój tatuś był jakąś operą mydlaną - sięgnęła poprzez stół i wzięła Karen za rękę. - Wyjdzie z tego? - zapytała.

- Mówią, że tak. Co nie znaczy, że będzie mógł prowadzić taki sam tryb życia. Wyjdzie z tego, w tym sensie, że nie umrze. Na noszach wyglądał tak, jakby już nie żył. To było straszne.
- Wyobrażam sobie - przez chwilę siedziały w milczeniu, patrząc przez okno. Amsterdam Avenue zaczynała się zapełniać. Jakiś ranny ptaszek - yuppie z teczką-przebiegał ulicę z wyciągniętą ręką, usiłując zatrzymać taksówkę. Rozpięty płaszcz powiewał wokół chudej sylwetki.
- Wygląda jak kurczak.

Karen przypomniała się stara zagadka o kurczakach.

- Dlaczego mężczyzna przechodzi przez drogę? - spytała apatycznie.

- Dlaczego mężczyźni robią to, co robią? - odparła Defina, wzruszając ramionami.

Karen przyglądała się, jak yuppie poluje na taksówkę. Kilkudziesięciu innych schodziło właśnie do metra. Samo patrzenie na nich było męczące.

- Nie wiem, jak ludzie tak mogą. Codziennie rano wstają, nie zastanawiają się, dlaczego robią to co robią, jak we śnie dojeżdżają do pracy i zjawiają się w jakimś Banku Chemicznym czy Mobil Oil nie pytając o sens tego wszystkiego. Po co?

- Mówisz o tych szczęśliwych, Karen. Tych, którzy o tym nie myślą i po prostu pracują... oni są w porządku.

Karen zastanowiła się, dlaczego robi to co robi. Cały ten zamęt, terminy, tyle hałasu po to, aby uszyć spódnice, w którą jakaś kobieta ubierze się na lunch. Pokręciła głową.

- Nic z tego nie rozumiem - stwierdziła.

- A ja rozumiem wszystko z wyjątkiem mężczyzn - powiedziała Defina.

- Znów masz kłopoty z Rojem?

Roi Pompey był bratem Definy. Karen nie mogła zliczyć, ile razy siostra wyciągała go z opalów.

- Nie większe niż zwykle. Ale rozmawialiśmy o tobie.

- Och, mam już tego serdecznie dość.

- No cóż, skoro pytasz, to przespałam się z kimś zeszłej nocy - przyznała Defina.

- Dee? Nadal spotykasz się z Bradleyem? - odkąd Tangela się wyprowadziła, Defina zaczęła umawiać się na randki, jednak jej wybór wydał się Karen dziwny, lub może mało odpowiedzialny. Bradley miał dwadzieścia trzy lata, niewiele więcej niż Tangela. Był bezrobotny i kilka tygodni temu zatrzymał Defi-nę przed jej domem, na Striver's Row, pytając czy nie potrzebuje złotej rączki. Tak się poznali, a po sprzątnięciu przez Bradleya piwnicy Definy, nawiązali romans. Karen zaszokowała nie tyle różnica wieku, ile doświadczenia, wykształcenia i pozycji. Odczuła ulgę, gdy Dee - z pewną niechęcią - poinformowała ją, że dała sobie spokój z Bradleyem. Najwyraźniej jednak zmieniła zdanie. Karen uniosła do ust kubek z kawą. Ciepło grubej porcelany ją uspokajało. - Ale Defmo, czy nie chciałabyś być z mężczyzną równym sobie?

Jej przyjaciółka wyjęła z pojemniczka dwie torebki ze słodzikiem - niebieską i różową. Rzuciła niebieską na stół i uśmiechnęła się szeroko.

- Na co komu równość? Wolę *Sweet and Low**- powiedziała ze śmiechem. Po chwili jednak spoważniała. - A co będzie z Paryżem? Jesteś teraz potrzebna ojcu?

- Nie wiem - w głosie Karen słychać było zmęczenie. - Za jakąś godzinę czy dwie jadę do szpitala. Porozmawiam z kardiologiem. Powinnam zostać, ale

* **Nieprzetłumaczalna gra słów. *Equal* (ang.) - równy *Equal*. *Sweet and Low* - rodzaje słodzików.**

335

powinnam też przygotować pokaz. Inaczej, Bóg wie, co stanie się z firmą i umową z NormCo. Jezu, co ja właściwie mam robić?

- Skarbie, nie mów o tym co powinnaś. Nie katuj się tak. Co na to Jeffrey?

- Nie zdołałam się z nim skontaktować w tym całym zamęcie i różnicy czasów. Sama wiesz - powinien już dolecieć i wziąć się do roboty. Pewnie tak zrobił. Zostawiłam mu wiadomość w hotelu.

Defina zmrużyła oczy, ale zanim zdążyła się odezwać, zadzwonił telefon komórkowy. Karen ścisnęło w dołku. Czy to ze szpitala? Niechętnie dała matce numer telefonu. Co tam. I tak nikt nie dzwoni w sprawie dziecka. Defina podniosła słuchawkę i, patrząc na Karen, odebrała jakąś wiadomość. Lekko kiwała głową, mamrocząc uhm-uhm. Potem wyłączyła telefon i pokręciła głową.

- Jakby było mało kłopotów, Casey dowiedział się właśnie od Munchina, że jeśli im nie zapłacimy, nie wydadzą dwustu tuzinów blezerów z tańszej kolekcji.

Karen z głośnym stuknięciem odstawiła kubek. Kawa chlusnęła na stół. W żołądku czuła skurcz strachu. To Jeffrey zazwyczaj przymilał się do producentów, nakłaniając ich do wydania towarów, ale nie mógł robić tego z Francji.

Lenny lub Casey będą musieli sami sobie poradzić. O Boże, czy cokolwiek pójdzie, tak jak trzeba?

- Jeszcze jedno - dodała Defina. - Fryzjer odwołał właśnie swój wyjazd do Paryża.

Tego już za wiele! Przerazenie Karen zmieniło się w gniew.

- Świetnie. Co za kretyn! Jest wściekły, bo narzekałam na ostatnią fryzurę. I co my teraz zrobimy? - urwała. Czy nie pamięta, co jest naprawdę ważne? Ojciec dopiero co był na oddziale reanimacji w Columbia Presbyterian, a ona martwi się fryzjerami? Coś jest z tym wszystkim nie tak. Coś jest nie tak z jej życiem. Przyłożyła dłonie do mostka. Serce waliło jak młot.

- Cholera! - powiedziała. - Cholera! Cholera! Cholera!

- Czy to właśnie nazywają epizodem? - spojrzała na nią Defina.

- Każ Caseyowi zająć się Munchinem. Potem zadzwoń do Carla i powiedz mu o moim ojcu. Może choć raz, z litości dla mnie, zgodzi się zostawić zakład. Zapytaj czy nie mógłby pojechać na tydzień do Paryża. Bez względu na to, czy polecę tam czy nie, jeśli ty zajmiesz się pokazem, a Carl fryzurami, będę się czuła bezpiecznie - popatrzyła na Definę. - I tak masz za dużo obowiązków - w jej głosie słychać było poczucie winy. - Proszę cię o bardzo wiele, Dee - przyznała. - Przepraszam, ale muszę mieć pewność, że pozałatwiasz mi to wszystko. Dasz sobie radę? - Co się głupio pytasz? - odparła Defina.

Gdy Karen wyszła z obrotowych drzwi szpitala, Defina i Carl już na nią czekali.

- Czy Arnold wyzdrowieje?-Carl uściskał ją mocno.

- Na to wygląda. To znaczy, jeśli lekarze nie kłamią i nic więcej się nie wydarzy w ciągu najbliższych trzydziestu minut - Karen przeczesła palcami fryzurę. Była w domu, przespała się, wykapała i przebrała, ale nie zwracała sobie

głowy suszeniem włosów. Niewiarygodne - powiedziała. - Czy jeszcze jakaś sytuacja kryzysowa może pojawić się w moim życiu w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin? Bo jeśli tak, to na pewno nastąpi.

- Wiem, czego ci potrzeba - oświadczyła Defina. - Potrzebujesz Madame Renault.

- Tak, jasne. Abrakadabra w wykonaniu kobiety, która albo sama się oszukuje albo naciąga innych. Daj spokój, Dee. Nie zaczynaj znowu. Jesteś wykształconą osobą i chyba, tak naprawdę, nie wierzysz w kryształy?

- Kryształy? To bzdura. „New age” to bzdura. Mówię o czymś prawdziwym.

- Cóż, nawet jeśli ona ma jakiś dar, to w czym może mi pomóc? Czy jest kardiologiem? Powrót do biura - oto czego mi potrzeba.

Defina uniosła brwi, a jej nozdrza rozděły się.

- Dlaczego uważasz, że nie można ci pomóc? - zapytała. - Czy nie byłoby miło wiedzieć, jak uda się pokaz w Paryżu? I czy twój tatuś wyzdrowieje?

Karen wzniosła oczy do nieba, ale Carl szturchnął ją łokciem.

- Daj spokój. Pojedźmy tam-powiedział.

Karen dała więc za wygraną. Wsiadła do samochodu i rozparła się wygodnie pomiędzy przyjaciółmi.

- Jasne. Zawsze odwiedzam wrózkę po *bat micwah* siostrzenicy i ataku serca ojca.

- To był tylko epizod choroby wieńcowej - powiedziała Defina. Poleciała kierowcy, by zawiózł ich na skrzyżowanie Setnej Zachodniej z Trzydziestą Piątą Ulicą. Kiwnął głową i pojechał Broadwayem.

- Przynajmniej jest nam po drodze - zażartowała Karen.

- Skarbie, do Madame Renault ludzie przyjeżdżają aż z Europy.

Pod wskazanym adresem znajdowała się dobrze utrzymana kamienica. Ulica była nijaka, może nieco lepsza niż większość w Harlemie. Trójka przyjaciół wysiadła z samochodu, mówiąc kierowcy by na nich zaczekał. Czuł się chyba trochę nieswojo, ale nie odmówił. Na wysokiej werandzie znajdowały się podwójne drewniane drzwi, Defina poprowadziła ich jednak do bardziej dyskretnej, żelaznej furtki z boku. Zadzwoniła, a przez zachrypnięty domofon jakiś głos zapytał, kto przyszedł.

- Czy ona nie powinna sama wiedzieć? - Carl wzniosł oczy do nieba. Defina rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Defina Pompey - powiedziała głośno. - Sprawa bardzo pilna. Rozległ się sygnał i, po otwarciu kraty, wkroczyli w ciemne przejście pod

werandą. Dwa stopnie niżej były otwarte drzwi. Weszli do hallu wyłożonego zielonymi, marmurowymi płytkami.

Ściany pomalowano na kolor bakłazana. Cóż, domy te należały swego czasu do zamożnej klasy średniej. Ten

najwyraźniej odremontowano, a może przez cały czas był pod dobrą opieką. Defina wprowadziła ich do czegoś w rodzaju poczekalni, której ściany polakierowano na ciepły, żółty kolor. Na podłodze leżały maty z morskiej trawy. Nie było żadnych mebli, z wyjątkiem trzech krzeseł z prostymi oparciami.

- Widzicie - powiedziała Defina. - Wiedziała, że będzie nas troje. Carl znowu wznosił oczy do nieba.

338

- Zupełnie jak w bajce o złotowłosej i trzech niedźwiadkach - powiedział tylko. W pokoju panowała dziwna atmosfera. Nie była to sprawa braku mebli, ale samego pomieszczenia - jego koloru, pustki, sposobu w jaki światło przenikało przez przysłonięte żaluzje. Karen nie wierzyła w aurę czy wibracje, ale ten pokój zdawał się emanować siłą tak jakby czekał w pogotowiu. Usiadła na jednym z krzeseł, Defina zajęła sąsiednie, a Carl pozostał oparty o ścianę.

- Czy ja też mogę wejść? - zapytał.

- Oczywiście, że nie - syknęła Defina. - To sprawa ściśle prywatna.

- No, ale ja jestem jej najbliższym przyjacielem.

- Coś ci się pomieszało, skarbie - spojrzała na niego. - Jesteś tylko jej najdłużej znanym przyjacielem - oświadczyła sucho. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Madame Renault.

Karen nie wiedziała, kogo właściwie się spodziewa, ale z pewnością nie takiej właśnie osoby - wysokiej, szczupłej, eleganckiej kobiety, ubranej w coś, co musiało być starym kostiumem Chanel. Madame Renault była Murzynką, a jej skóra miała odcień głębokiego, czerwonego brązu. Kostium był niemal dokładnie w tym samym kolorze. Nieco ciemniejsze włosy nosiła upięte w staroświecki, lecz twarzowy kok. Skinęła głową Definie i spojrzała na Karen.

- Proszę wejść - powiedziała głębokim głosem. Mówiła z lekkim akcentem, którego Karen nie potrafiła określić. Nie umiała też odgadnąć wieku Madame. Twarz miała gładką nie licząc zmarszczek pod oczami, jednak - jak zauważyła Karen - jej ręce były stare, bardzo stare. Spojrzała na Definę, która wstała, by powitać swą mistrzynię.

- No, idź - szturchnęła ją lekko. I Karen poszła.

Pokój w głębi pomalowany był na zielono. Na kratce suszyły się zioła lub polne kwiaty. Poza tym w pomieszczeniu znajdował się tylko stół i dwie twarde ławki. Na ścianie wisiał plakat Keitha Haringa „Promienne Dziecko”. Madame usiadła na jednej z ławek, Karen zajęła więc drugą, stojącą po przeciwnej stronie wąskiego stolika. Dziwiło ją własne zdenerwowanie. Jak to się stało? Jakim cudem znalazła się sama w pokoju, z tą obcą kobietą? Nie podobało jej się to wszystko i prawie wstała, aby wyjść. Wtedy jednak odezwała się Madame Renault. Głos miała raczej miły i mówiła z naciskiem, tak, że nie sposób było ją zignorować.

- Szukasz-powiedziała.

Jej gładka twarz nie wyrażała nic, lecz brązowo-czarne oczy, w siateczce zmarszczek wpatrywały się w Karen, a jej wydało się, że nikt dotąd nie wejrzał w nią tak głęboko.

- Prowadzisz poszukiwania, lecz nie rozumiesz, że znalazłaś już to czego szukasz.

Cóż, pomyślała Karen, te same stare numery. Mogłaby być Dobrą Wiedźmą Glendą, a ja Dorotą. Jeśli mówi się wystarczająco ogólnikowo i używa tradycyjnych formułek, pomyłki nie grożą. Spotkasz wysokiego bruneta, pojedziesz w długą podróż, szukasz. Karen omal się nie uśmiechnęła. Zaraz mi powie, że tajemnica życia kryje się w rosole.

- Znasz swoją prawdziwą matkę - powiedziała Madame Renault.

253

- Co takiego? - wyszeptała Karen. O czym ona mówi? Co Defina jej powiedziała? Twarz wróżki, tak jak przedtem, nic nie wyrażała, lecz jej oczy patrzyły przenikliwie. Wydawała się czekać, aż Karen uspokoi się na tyle, by móc jej wysłuchać.

- Twój ojciec jest chory, lecz nie umrze. Umrze ktoś inny. Matka. Ale jest też ktoś, kto na ciebie czeka. Dziecko. Ciemnowłose dziecko.

Karen pot wystąpił na czoło. Spojrzała przez stół na Madame Renault, która teraz, nareszcie, spuściła oczy.

- Czy będę miała dziecko? - wyszeptała.

- O, tak, ale czeka cię długa podróż - urwała i znów popatrzyła na Karen. Tym razem jej oczy pełne były współczucia i bólu. - Och - westchnęła. - Będziesz musiała zrezygnować z kogoś, kogo kochasz.

Karen pomyślała, że na pewno chodzi o firmę. Będzie musiała zrezygnować z ^Klnc, by dostać dziecko.

- A więc muszę sprzedać firmę? - zapytała.

Madame Renault pokręciła głową ale Karen nie była pewna czy jest to zaprzeczenie, czy też tamta myśli już o czymś innym. Potem wyciągnęła swą ową kręcaną dłoń i ujęła Karen za przegub.

- Jesteś niby pajak. Już długo snujesz swoje pajęczyny. Bądź ostrożna; może zabraknąć ci przędzy. Może okazać się, że wszystko zużyłaś, a upleciona sieć jest krucha.

Karen przypomniała sobie wiersz, którego nauczyła ją Bella - „O, jakże podłą sieć przedziemy, gdy po raz pierwszy okłamiemy”. Ostatnimi czasy, po raz pierwszy w życiu, zaczęła kłamać. Zwiesiła głowę. Madame Renault puściła jej dłoń.

- Nie martw się, pajaczku. Wydostaniesz się z sieci kłamstw, ale z każdej przerwanej nici pocieknie krew. Czekaj na ciebie radość, choć poprzedzi ją wiele bólu. Tak mi przykro - westchnęła. - To jedyny sposób - powiedziała, podnosząc się z miejsca. Bez słowa ruszyła do wyjścia, zostawiając Karen samą przy stole. Otworzyła drzwi.

- Możesz zawieźć przyjaciółkę do domu - zwróciła się do Definy. Zanim Karen zdążyła się obejrzeć, Defina była przy niej, a Madame Renault zniknęła.

W jadącej w stronę śródmieścia limuzynie miniony epizod coraz bardziej przypominał sen. Kolorowe zasłony, nierealne pokoje, kobieta o przejmującym głosie i jej prorocтва wydawały się niemal komiczne. Ale naprawdę, wcale takie nie były, pomyślała Karen. Choć wszystko na pozór robiło bezsensowne wrażenie, coś jej mówiło, że zetknęła się z czymś prawdziwym.

- Jesteś błada jak ściana - powiedział Carl. - Co ona ci powiedziała? Karen pokręciła głową.

- Nie twój interes - rzuciła Defina - Mówiłam ci, że to sprawa osobista.

- A czemu nie przepowiedziała mojej przyszłości?

341

- Twoja przyszłość to Paryż. O dalszej na razie nie potrzebujesz myśleć. Poza tym ona nie przyjmuje byle kogo.

- Ile za to bierze?

Defina, chociaż siedziała, jakby wyprostowała się na całą wysokość

- Nie bierze ani grosza - oświadczyła Carlowi. - Mówi, że to dar, a za dar nie przyjmuje się pieniędzy.

Karen pragnęła, aby przestali rozmawiać. Chciała przypomnieć sobie dokładnie to, co powiedziała Madame Renault.

Pamiętała jej twarz, gdy mówiła o czekającym dziecku. Karen jakoś nie wątpiła w jej słowa. Spojrzała na Definę.

- Czy coś jej o mnie mówiłaś?

Przyjaciółka skrzyżowała ręce na piersiach i odwróciła twarz do okna. Jedyłą odpowiedzią była mina pełna oburzenia.

- Co ona mówiła? - znowu zapytał Carl. Karen zastanawiała się przez chwilę czy powiedzieć mu o przepowiedni.

Wydawała się jakoś zbyt osobista. Ale właściwie, dlaczego nie? Był jej najdawniejszym przyjacielem.

- Powiedziała, że czeka na mnie dziecko - odparła.

W domu Karen podskakiwała nawet gdy dzwonił zwykły telefon. Z jakiegoś powodu ogłoszenia zaczęły nagle przynosić rezultaty. Jeśli więc nie dzwoniła z automatu jakaś szalona dziewczyna w sprawie dziecka, mógł to być szpital z informacją, że lekarze pomylili się w diagnozie i Arnold właśnie umarł. Tym razem jednak, kiedy podniosła słuchawkę stojącego przy łóżku aparatu, usłyszała jedynie głos Lisy.

- Tatusz czuje się dużo lepiej - powiedziała. - Lekarze mówią, że pewnie pojutrze będzie mógł iść do domu.

- Świetnie! - ucieszyła się Karen. Dzięki Bogu, że z tego wyszedł. Jednocześnie, choć nie myślała o tym od opuszczenia szpitala, przypomniła sobie rozmowę z ojcem. O Boże, musi przecież zadzwonić do Centrillo, powiedzieć mu o Chicago i Radzie Opiekunów. Jak się nazywała kobieta, o której wspomniął Arnold? Karen wsunęła palce we włosy. Tyle się wydarzyło w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, że informacja najwyraźniej wypadła jej z głowy. Jak ona się nazywała?

- Nie idziemy już do szpitala - przerwała jej rozmyślenia Lisa. - Leonard jest wykończony, a strasznie długo trzeba tam jechać. Nie wiem, czemu upierałaś się, by przewieźć ojca na Manhattan. Sprawa nie była aż taka poważna.

- Wtedy nie wiedzieliśmy o tym - przypomniała jej Karen. Boże, jak ta kuratorka się nazywała? Powinna była to zapisać. Jakaś aktorka z lat trzydziestych. Norma Shearer? Nie pamiętała, lecz wiedziała, że nazwisko zaczynało się na „S”.
- Oczywiście z *bat micwah* wyszła kłapa - ciągnęła Lisa. - Tiff płacze od soboty.
- Bardzo mi przykro - Karen wiedziała, że dla siostry wypadek Arnolda był jedynie ostatecznym dopełnieniem całej serii niepowodzeń. Nie było potrzeby

O tym wspominać. *Bat micwah* było fatalne zanimjeszcze Arnold wylądował w torcie. Dzięki Bogu, Lisa nie spytała jej, gdzie się podział Jeffrey. Karen strasznie było szkoda siostry.

- Słuchaj, może przyjechałabyś jutro na Manhattan i popatrzyła na próbę paryskiego pokazu? Później zapraszam cię na lunch i pójdziemy razem odwiedzić tatę. - To niewiele, ale Karen nic więcej nie miała w tej chwili do zaoferowania.

- Jasne - odpowiedziała siostra. - Zabiorę Belle.

- Talmidge! - krzyknęła Karen.

- Co?

Zakłopotana, udając że nie dosłyszała pytania, wyjęła ołówek i zapisała nazwisko na bloczku, zanim znowu je zapomni. Milczała, a Lisa też się nie odzywała. Odchrząknęła, zaś siostra wykorzystwała chwilę ciszy, by zmienić temat.

- Słuchaj - powiedziała do Karen. - Jeffrey mówił mi o propozycji Norm-Co. Nie wiem, czy nadal nic nie postanowiłaś, ale jeśli chcesz znać moje zdanie, to sprawa brzmi zbyt dobrze, by wypuścić ją z rąk.

Co to wszystko ma znaczyć? Po raz pierwszy, o ile Karen dobrze pamięta, Lisa mówiła o interesach. Tak ni stąd, ni z owąd? Co się dzieje? Kiedy Jeffrey zdążył powiedzieć jej o ofercie? Nie rozmawiali podczas *bat micwah*. I dlaczego to zrobił?

- Kiedy ci o tym powiedział? - zapytała, starając się by jej głos brzmiał obojętnie.

- Och, na przyjęciu.

Karen przestała bazgrać po bloczku i odłożyła ołówek. Poczowała, jak zimno pełźnie jej po szyi. Jeffrey wyszedł z przyjęcia przed przybyciem Lisy. Dlaczego ona kłamie?

- No tak - powiedziała. - Nie dostaliśmy jeszcze ostatecznej propozycji, więc zobaczymy - dodała niejasno.

- Ale masz zamiar ją przyjąć? - zapytała Lisa. Urwała na chwilę. - Wiesz, Karen, gdybyś nie żyła w takim stresie, mogłabyś zająć się ciążą.

Karen ogarnął gniew tak gwałtowny, że niemal ugryzła się w język.

- Lisa, muszę kończyć. Do zobaczenia jutro na pokazie - powiedziała tylko i odłożyła słuchawkę.

Rozdział 24

Podarunki

Karen czekał kolejny, niezwykle pracowity dzień, lecz gdy po krótkiej, porannej wizycie w szpitalu przyszła do biura, dokładnie o dziewiątej zrobiła sobie przerwę, by zadzwonić do pana Centrillo i przekazać mu nową informację.

- Czy ona w czymś pomoże? - zapytała. - Czy to wystarczy?

- Nie wiem, proszę pani. Może nie wystarczy, ale przynajmniej mamy od czego zacząć. Obiecuję, że zrobimy co w naszej mocy. Spróbuję skorzystać z kilku różnych doświadczeń.

- Wyjeżdżam teraz na małe wakacje - Karen nie chciała, by dzwonił pod prywatny numer w czasie jej pobytu w Paryżu.

- Naprawdę? Dokąd się pani wybiera?

- Nad jezioro George - zastanawiała się, skąd jej to przyszło do głowy. Nigdy w życiu tam nie była. Chyba zaczyna wariować. Czy powinna oznajmić panu Centrillo, że od niego zależy jej zdrowie psychiczne? Karen wydawało się jakoś, iż on już o tym wie, więc powiedziała tylko - Dziękuję.

- Życzę miłego dnia - pożegnał się detektyw. - Niech się pani tak tym wszystkim nie przejmuj e.

Karen omal nie prychnęła. Dzień, który ją czekał wydawał się mieć pięćdziesiąt godzin.

W porze lunchu wszyscy pracownicy 3KInc zebrali się w salonie wystawowym, w którym urządzono prowizoryczną salę konferencyjną. Ktoś, pewnie Casey, przyniósł nawet pulpit. Karen nie wyobrażała sobie, że mogłaby za nim stanąć. Byłoby to zbyt autorytatywne. Taki pulpit podobałby się Belli. Karen przyszło nagle do głowy, że tak naprawdę matka zdawała się iść przez życie z niewidzialnym pulpitem przed sobą - wszystkie jej wypowiedzi miały ciężar sądów głoszonych *ex cathedra*.

Spoczęły jej się dłonie, ale nie mogła już dłużej odkładać spotkań. Zgodziła się na sprzedaż firmy, wśród pracowników krążyły plotki i musiała w końcu

17 - Spóźniona moda

poinformować wszystkich, co się właściwie dzieje. Postanowiła dać akcje każdemu, kto pracował z nią ponad rok. Wbrew radom prawnika Roberta i ku niezadowoleniu Jeffreya rozdzieliła między załogę dwadzieścia procent akcji firmy, trochę mniej niż połowę własnych udziałów. Jej samej pozostało trzydzieści procent, co jednak razem z trzydziestoma procentami Jeffreya stanowiło bezpieczną większość, pozwalającą kontrolować interesy firmy w krótkim czasie dzielącym od sprzedania całości udziałów NormCo. Jeffrey i prawnik Robert musieli pogodzić się z tą decyzją w przeciwnym razie nie zawarłaby umowy. Choć miała wyrzuty sumienia i, jak na córkę Arnolda przystało, martwiła się metodami stosowanymi przez NormCo, uspokajała ją myśl, że dzięki niej pracownicy się wzbogacą a rodzicom, gdy Arnold jest chory, także potrzebne są pieniądze. Pomniejszenie własnego udziału, to doprawdy nic wielkiego. Ile pieniędzy ostatecznie jej potrzeba? Wystarczy dla wszystkich. Oznaczało to, że większość jej pracowników stanie przed wyborem posiadania udziałów w NormCo lub ich sprzedaży za gotówkę. Karen mówiła więc sobie, że wiadomość ucieszy każdego, szczególnie długoletnich pracowników uzyskujących, jak to niechętnie nazywał Jeffrey, „masę forsy”.

Karen wiedziała, że większość ludzi odnosi się do zmian niechętnie i z lękiem. Chciała więc mieć pewność, że przekaże im nowiny w możliwie najdelikatniejszy sposób. Miał to zrobić Jeffrey, lecz na przeszkodzie stanął Paryż. Przemówi więc zamiast niego, po czym prawnik Robert objaśni procedurę sprzedaży, a Lenny, księgowy, wręczy każdemu broszurę, informującą jakie zyski otrzyma z transakcji dana osoba. Karen chciała dopilnować, by sprzedaż w nikim nie budziła niepotrzebnych obaw i zapewnić, że nie będzie żadnych zwolnień. Kiedy prawnik Robert wstał i poprosił, by zaczynali zgodnie z porządkiem zebrania, Karen udało się wyjść na środek bez potknięcia. Nie była jednak w stanie zająć miejsca za pulpitem. Zamiast tego, przyciągnęła bliżej jeden ze stołów i usadowiła się na jego brzegu.

- Przede wszystkim chciałabym przeprosić za to, że nie ma tu Jeffreya, by wraz ze mną przekazał wam nowiny. Jak wiecie, jest w Paryżu, gdzie zajmuje się przygotowaniem do pokazu. On właśnie jest sprawcą tego, co ma nastąpić - nie była pewna czy tak jest naprawdę, ale nie miała czasu się nad tym zastanawiać. Wzięła głęboki oddech - Zatem, posłuchajcie - powiedziała, myśląc samokrytycznie, że zabrzmiało to bardzo po brooklyńsku. Trudno, jest jaka jest.

- Wiem, że wielu z was słyszało różne plotki, wstrzymywałam się jednak ze spotkaniem, dopóki nie miałam pewności co się stanie. NormCo złożyła ofertę zakupu naszej firmy - umilkła na moment. Z tyłu, z miejsc, gdzie stały krawcowe, rozległy się szmery. - Nie oznacza to, że będą nią zarządzać lub ją zmieniać. Dzięki temu zdobywamy możliwości rozwoju, jakich nie mieliśmy do tej pory, a ja sama-cudowną szansę. Będę mogła szyć tańsze rzeczy i zaprojektować kolekcję ubrań codziennych, o czym zawsze marzyłam. Wy zaś otrzymacie pieniądze, niekiedy,

zależnie jak długo ze mną pracujecie, całą masę dodatkowych pieniędzy - znów rozległy się szmery, tym razem w nieco wyższej tonacji. Karen zobaczyła, jak usta Mercedes rozchylają się w uśmiechu, co było zjawiskiem raczej rzadkim. - Jeśli zaś chodzi o waszą pracę, to działamy jak zwykle. Wiem, że nie dotarłabym tak wysoko bez waszej pomocy i mam nadzieję, że wszyscy cieszyacie się z sukcesów

258

umilkła, by jej słowa dotarły do każdego. - Oddaję teraz głos Robertowi i Len-ny'emu, którzy wyjaśnią wam całą resztę. Sama zostaję na swoim miejscu, jeśli więc ktoś ma pytania, proszę się nie kępować.

Prawnik Robert wstał i podszedł do pulpitu. Z tyłu, na rozwiniętym ekranie, zaczęto wyświetlać przezrocza.

Opowiedział zebranym trochę o NormCo i o ich ofercie. Wyjaśnił różnicę pomiędzy otrzymaniem akcji NormCo a sprzedażą ich za gotówkę. Mówił kompetentnie i miło. Jeśli pomysł Karen, by oddać część pieniędzy pracownikom wciąż wzbudzał w nim niechęć, na pewno tego nie okazał. Wydawać by się nawet mogło, że on sam na niego wpadł. Gdy skończył, rozległy się entuzjastyczne oklaski. Następnie każdy otrzymał broszurę z podliczeniem własnych zysków z transakcji. Lenny stał wśród szelestu papieru. Karen dobiegały okrzyki ludzi studiujących swoje odbite na ksero, pospinane pliki, w których jedyną ważną i zrozumiałą liczbą była ta końcowa - to, ile dostaną. Oddawała w ten sposób miliony dolarów, lecz czy takie proporcje nie były właściwe? Ostatecznie, ona i Jeffrey będą bardzo bogaci. A, jak tłumaczyła mężowi i Robertowi, musi nadal pracować ze swoją załogą. Nie jest w stanie spędzić następnych kilkunastu lat w towarzystwie nieszczęśliwych, urażonych ludzi. To samo mówił jej Bill Wolper. Zresztą, czy córka Arnolda mogła postąpić inaczej?

Reszta spotkania minęła szybko. Lenny przez jakiś czas mówił monotonnym głosem o zyskach kapitałowych i zobowiązaniach podatkowych, ale pracownicy, którzy dowiedzieli się wreszcie ile dostaną, nie byli w stanie się uciszyć. Gdy księgowy skończył, Karen wstała z miej sca.

- To by było na tyle - powiedziała - Oczywiście jestem trochę zdenerwowana na myśl o spróbowaniu czegoś nowego, choć wiem, że większość z was mi nie uwierzy. - Tu i tam rozległy się śmiechki, szczególnie wśród kobiet z wzor-cowni, które wciąż musiały przymierzać nowe ubrania. - Tak czy inaczej, umowa dotyczy między innymi tego, że będę pracować z wami przez następne dwanaście lat. Jeśli więc macie mnie dość, to nadszedł czas na ewakuację - znów rozległy się śmiechy, a po chwili wstała pani Cruz. Miała łzy w oczach.

- Dziękujemy ci, Karen - powiedziała i zaczęła klaskać. Oklaski rozbrzmiewały coraz głośniejsze, zdawały się wypełniać salę. Pracownicy, jeden po drugim, podnosili się z miejsca, w końcu stali wszyscy i bili Karen brawo. Poczują, że się rumieni, a oczy zachodzą jej łzami. Jak na kobietę, która nigdy nie płacze, często się to ostatnio

zdarzało. Może wszystko układa się tak jak trzeba? Ci ludzie byli od niej zależni, a ona zrobiła co powinna. Pomyślała o wszystkich pieniądzach, które zatrzymuje i spuściła głowę pełna wdzięczności i wstydu. Komunikat Karen wprowadził wszystkich w odlotowy nastrój. Ludzie byli uszczęśliwieni, ale ich myśli gdzieś błędziły. Nie pomagało to w pracy. Na ostatecznej próbie przed paryskim pokazem wszystko, co tylko mogło, poszło źle. Jediną nadzieję Karen pokładała w tym, że stary teatralny przesąd o próbie kostiumowej sprawdza się także w przypadku pokazów mody. Klapa na próbie generalnej gwarantuje sukces premiery. Teraz stała pośród ogólnego zamętu za

347

„kulisami" i miała ochotę wyrywać sobie włosy z głowy. Albo z głowy Tangeli, czy może Marii Lopez. Defina zdołała umówić kilka dodatkowych dziewcząt, potrzebnych w czasie dwóch pokazów. Wszystko działo się w ostatniej chwili, czekała je więc dodatkowa praca nad sobą ale były nieopatrzone i wyglądały nieźle. W ich strojach wprowadzano właśnie ostateczne poprawki. Jak na ironię (choć może było to do przewidzenia) właśnie dwie najbardziej doświadczone modelki nieustannie narzekały, uskarżając się na kłopotliwą kolejność wyjść, wybraną muzykę i w ogóle wszystko, a ich zachowanie opóźniało próbę i podcinało innym skrzydła. Za kulisami panował totalny bałagan. Wszędzie porozrzucone były nowe stroje. Pani Cruz dostałaby ataku szału. Tak naprawdę, za sam pokaz odpowiadała Defina, ale Karen lubiła być na miejscu, by ostatecznie ułożyć jakąś fałdę czy dodać - lub częściej usunąć - dodatek albo biżuterię. Ale teraz, po blisko trzech godzinach, Defina miała mord w oczach i poleciła przyjaciółce usiąść na widowni.

- Staram się tylko pomóc - tłumaczyła Karen. - Pokaz już trwa o trzydzieści osiem minut za długo. Chcę ci ulżyć. Znasz to powiedzenie - projektanci rozwiązują problemy innych ludzi.

- Skarbie, ty jesteś artystką. Artyści stwarzają problemy. A w tej chwili stanowisz jeden z moich. Zabieraj się stąd. Lepiej popatrz, z jak to wszystko wygląda od frontu.

Karen wiedziała, kiedy kłótnie z Definą są niewskazane i była to właśnie jedna z takich chwil. Obie konały ze zmęczenia i postanowiła nie przeciągać struny. Wyszła przed wybieg naprędce sklecony przez Casey'a i usiadła obok matki, Lisy i Stephanie. Carl, który przyszedł uczesać modelki, siedział parę rzędów dalej, plotkując z Casey'em. Pokaz obserwowało kilkadziesiąt innych osób, niektóre robiły notatki, a większość o tej porze ziewała ze zmęczenia. Wielu pracowników nie spało całą zeszłą noc, rozrywając i przesywając na nowo stroje. Karen uparła się, by oba pokazy - biały i czarny - odbyły się jednocześnie, aby mieć pewność, że podczas osobnych prezentacji modelki będą stanowiły swe lustrzane odbicia. Nie zdawała sobie jednak sprawy, jak trudno zmusić dziewczynę do zmiany stylu i upodobnienia się do odpowiedniczki. Wydawało się, jakby Tangeli i Marii, które otwierały i zamykały oba pokazy, zależało na stanowieniu swych przeciwieństw. Jeśli jedna energicznie stawiała kroki, druga maszerowała jak robot. Od obydwu zdawało się powiewać lodowatym chłodem i ten podmuch uniemożliwiał oglądanie mody.

Karen siedziała w milczeniu obok matki i siostry. Tiff odmówiła przybycia, a Arnold odpoczywał i jutro miał być wypisany do domu. Kiedy Karen zatelefonowała do niego, był bardzo milczący. Miała nadzieję, że reszta rodziny zachowa się podobnie. Odkąd Lisa i Bella dowiedziały się o umowie i otrzymały swoje foldery, obie nagle zaczęły pasjonować się interesami. Przyglądały się teraz wspólnie trzem różnym modelom, w bieli i czerni. Karen odchyliła głowę i przymrużyła oczy. Stroje właściwie jej się podobały, ale ich prezentacja była w najlepszym razie, pozbawio-

na blasku. Cholera! Gdy w końcu udało się zaprojektować kolekcję takajak trzeba, modelki i pokaz były do niczego. A prezentacja musiała być równie dobra jak

349

produkt. Przedstawiciele sklepów i dziennikarze czuli się zmęczeni i przytłoczeni dziesiątkami pokazów odbywających się podczas Tygodnia Mody. Wielu z nich spędziło już tydzień w Mediolanie oglądając kolekcje Armaniego, Versace i innych włoskich mistrzów. Paryż musiał zapewnić niezwykle widowiska, wielkie pokazy, wzbudzające podniecenie i tworzące krainę czarów, której nawet najbardziej zagonieni dziennikarze i najwybredniejsi z kupców nie potrafili się oprzeć. To zaś co przygotowała Karen, było od niezwykłości bardzo dalekie.

Czarodziejskie pokazy przygotowuje Vivienne Westwood, także John Galliano i czasem Jean-Paul Gaultier. To, że prezentowane ubrania często nie nadają się do noszenia, nic nie znaczy. Są oryginalne, podniecające, dowcipne i zabawne. Potem, gdy prasa szaleje już z zachwytu, nabywcy ze sklepów znajdują w salonach domów mody zupełnie inne kolekcje, te, które klienci naprawdę kupią i będą nosić. Ale podczas pokazów liczy się poza, choreografia i pewna przesada. Przeciętna kolekcja może dostać dobre recenzje, jeśli zostanie przedstawiona z życiem i energią przez dobrze dobrane modelki. Chcąc, by każda z dziewcząt pracowała jak najlepiej, Karen nigdy nie kazała prezentować strojów, które im się nie podobały. Wjakiś sposób psuło to całe wrażenie. Wiedziała, że pani Cruz postępuje tak samo przydzielając krawcowym projekty do uszycia - jedne wołały proste modele, inne rzeczy z fałdami. Karen obserwowała kolekcję i wiedziała, że jest dobra; że może to być jej najlepszy pokaz. Nikt jednak niczego nie zauważy, jeśli dziewczyny nie zaczną ze sobą współpracować. Westchnęła.

Defina wynurzyła się z zamętu kulis by zobaczyć, jak się sprawy mają od strony widowni. Stała obok krzesła Karen i posępnie przyglądała się prezentacji. Carl podniósł się i usiadł za nimi. Jedna z dziewcząt wyszła w wysoko odcinanej sukni, ściągniętej tunelowym paskiem. Wyglądała jak młodociana przestępczyni z przedmieścia. I choć sukienka była ładna, a ona miała do niej odpowiednią sylwetkę, wpatrywała się we własne stopy, niechętna i niezręczna.

- Czy ona nie przesadza? - zapytał z tyłu Carl. - Nie masz chyba zamiaru projektować rzeczy dla Amy Fisher, prawda?

- Lepsze to, niż projektowanie dla Mary Jo Buttafuocco - warknęła Defina, sznurując usta. - Najdziwniejsze, że zakochała się w Joeyu, zanim jeszcze postrzelono ją w głowę! - odwróciła się do Carla i dodała zniżając głos -

Niektóre osoby może spotkać to samo, jeśli się nie zamkną. Nie sędzę, żeby Karen potrzebowała teraz krytycznych opinii.

- Kto tu krytykuje?

- Chyba mi się zdawało, bo myślałam, że właśnie ty - uśmiechnęła się, jakby całej rozmowy nie było. Potem znów skierowała uwagę na koniec niemrawego pochodu modelek. Nie spuszczać z nich oka, odezwała się by rozładować napięcie. - Hej, Carl, skoro mowa o Amy Fisher, to czy wiesz, co otrzymamy krzyżując Joeya Buttafuoco z absolwentem Uniwersytetu Harvarda? - Carl, nie spodziewając się niczego, wzruszył ramionami. - Teda Kennedy'ego - oznajmiła Defina. Podniosła się i ruszyła przez salę ku wybiegowi. Carl pobleadł.

- Hej, to nie fair - zawołał. - Rodzina Kennedych przeżyła wystarczającą tragedię bez...

261

- Oszczędź mi opisów - machnęła mu ręką Defina, idąc w kierunku modelek. Bella odwróciła się do córki i poklepała ją po ręku.

- No cóż, zrobiłaś co mogłaś - powiedziała. Karen czuła, że lada moment wybuchnie. Krytyczne uwagi od własnej matki; oto czego jej teraz potrzeba. Po co Lisa ją ze sobą wzięła? A po co ona sama zaprosiła Lisę? Bo po fatalnym *bat micwah* było jej siostry szkoda. Dlaczego wszystko zawsze wychodzi mi na opak, zapytała się w duchu.

- Dzięki, mamó - udławiła się własnym sarkazmem, który Bella oczywiście puściła mimo uszu.

- Niewiele tego - dodała.

- Mamó, czasem mniej oznacza więcej.

- A czasem mniej oznacza mniej. No, ale przynajmniej wybrałaś ładne dziewczyny.

- To nie stroje stanowią problem - w głosie Karen dźwięczała rozpacz. - Tylko dziewczęta. To znaczy modelki - sama nie wiedziała, po co właściwie zwraca sobie głowę wyjaśnieniami i obroną. Nadszedł czas na ostatni numer - suknie ślubne. Weszły Tangela i Maria - jedna w śnieżnobiałej, a druga, w identycznej czarnej sukni. Obie szaty, proste niczym mnisi habit, uszyte były z najlepszej al-paki. Zwoje na głowach modelek udrapowane z wielu metrów tiulu, tworzyły ponad nimi aureole. Koszt się opłacił. Efekt był nadzwyczajny, a czarna suknia ślubna wywoływała prawdziwy szok, szczególnie przy bladej cerze i kruczonych włosach Marii. Nawet takim wyjadaczom jak Caseyowi i Mercedes wyrwał się okrzyk, a modelki, choć raz, zdawały się ze sobą współpracować. Wiedziały, że wyglądają oszałamiająco i szły razem wybiegiem krokiem pełnym życia. Defina umie nauczyć inne dziewczęta, by wypadły tak samo. Musi umieć. Wszystko gra, pomyślała Karen. Teraz, jeśli zdołają tylko te wszystkie szmaty posegregować, zapakować, przewieźć do Francji, przepuścić przez urząd celny, wyprasować i jeszcze raz posegregować przed pokazem, Karen czeka triumf.

- To wszystko? - zapytała Bella. Córka popatrzyła na nią bez słowa. - Myślałam, że zakończysz ślubnymi sukniemi.

- To właśnie były suknie ślubne - wyjaśniła jej Lisa.

- Czarne? Panna młoda w czerni?

- Truffaut zrobił to dawno temu - powiedziała Defina.

- I kto kupuje jego rzeczy?

Karen już miała zabrać głos i wyjaśnić matce, że Truffaut jest reżyserem, a nie projektantem, zaś Defina mówi o filmie, ale dała sobie spokój. Po co się trudzić? Ni stąd, ni z owąd przypomniała sobie incydent sprzed dwudziestu lat

- Bella pojechała na zakupy i przywiozła jej dwie bluzki, a Karen tego samego wieczoru założyła jedną z nich do obiadu. Kiedy usiadła przy stole, matka spojrzała na nią i zapytała - Co się dzieje? Tamta ci się nie podobała?

Nagle za kulisami rozległy się wrzaski. Piski Tangeli mieszały się ze słowami w języku hiszpańskim, wyrzucanymi przez Marię z szybkością karabinu maszynowego. W jednej chwili Casey, Karen i Mercedes porwali się na nogi i po-
gnali za scenę, ale było już za późno. Dziewczyny policzkowały się nawzajem,
352

a Tangela, na oczach Karen, zerwała Marii tiul z głowy, drąc go na strzępy. Wyglądało na to, że wyrwała jej przy okazji trochę włosów. Krzyki przeszły w piski, a między modelki wtargnęła Defina. Niczym żeńska mistrzyni zapasów, wykręciła im ręce za plecami. Karen wydało się, że słyszy trzask rozrywanego szwu. Miała nadzieję, iż to tylko szew. Nie chciała oglądać podartej alpaki po dziewięćdziesiąt dwa dolary za jard. Albo, jeśli chodzi o ścisłość, poszarpanych modelek. Defina zdołała zapanować nad ciałami dziewcząt, ale żadna z nich nie miała zamiaru trzymać języka za zębami.

- *Put a Diabla!* - darła się Maria - Miałś trzy wyjścia więcej ode mnie! Dzięki swojej matce! Zaćpana dziwka! Janie muszę podklejać własnych butów! Nie jestem manekinem z domu towarowego!

Najwyraźniej Maria miała pretensję, iż Tangela prezentowała więcej ubrań, zaś Tangela zarzuciła Marii, że nie podkleja, jak inne modelki, podeszew pożyczonych butów taśmą, by je zwrócić w stanie nienaruszonym. Reszty Karen nie mogła pojąć, choć wyzwiska Tangeli były całkowicie zrozumiałe.

- Ty brudna dziwko! Trzymaj się z dala od mojego faceta, albo cię pokroję! Pierdolona suka!

Defina wypuściła z rąk Marię, po czym wymierzyła córce policzek. Maria zdarła z głowy reszki tiulu, rzuciła na ziemię i podeptała. Potem ruszyła w stronę wyjścia.

- Nie ma mowy o żadnym występie - powiedziała. - Wynoszę się stąd - popatrzyła z obrzydzeniem na Tangelę. - Tak, jakby mi zależało na tym twoim naćpanym byczku. Nie moja wina, że nie umiesz go przy sobie utrzymać. I dziękuj Bogu, jeśli nie spotkamy się w sądzie! Może sobie pani znaleźć inną dziewczynę na wyjazd do Paryża - dodała, zwracając się do Karen. - Ja nie pracuję z hołotą - szybkim krokiem poszła korytarzem.

Do diabła! Karen spojrzała na metry podartego tiulu i krajobraz po bitwie. Maria była jedyną modelką z paryskim doświadczeniem, jaką mieli! Mercedes pobiegła za nią, a Casey pomógł Definie opanować Tangelę. By ją utrzymać, potrzebne były dwie osoby. Wrzeszczała z całych sił, miotając wyzwiskami na Marię. Była przerażająca. Wyglądała jak dzikuska. Karen chwyciła się rękami za głowę. Przypomniała sobie krążące co roku plotki o Yvesie Saint Laurencie, który przed pokazem przeżywał załamanie nerwowe. Wydało jej się to zupełnie rozsądnym wyjściem.

Spojrzała na leżący w nieładzie na podłodze tiul i sama miała ochotę zacząć krzyczeć. Czym go zastąpi? Był specjalnie zamawiany. I skąd weźmie teraz drugą modelkę? Jest za pięć dwunasta. Nie znajdzie żadnej przyzwoitej, doświadczonej dziewczyny. ^IKInc i tak już przekroczyło budżet, a czas uciekał.

W tej samej chwili wróciła Mercedes.

- Nic z tego - przyznała. - Dopilnuję, żeby nigdzie w mieście nie dostała pracy. I to nie koniec złych wiadomości. Zobacz, co właśnie wyszło - wręczyła Karen egzemplarz gazety z Chicago.

No cóż, Mindy Trawler się nie patyczkowała. *SPRZEDAŻ ZA WSZELKĄ CENĘ. TRUNK SHOW KAREN KAHN.* Artykuł wszystko przekreślał. Przedstawiał Karen jako bezwstydną sprzedawczynię, zmuszającą kobiety do kupowania

263

rzeczy, których wcale nie chcą. Na domiar złego opisywał, jak projektantka, dla zwiększenia sprzedaży, nakłaniała własną siostrzenicę, by wbrew woli pracowała jako modelka. Karen spojrzała na Mercedes, która wzniosła oczy do nieba.

- Wiedziałam, że powinnam była tam pojechać - powiedziała, co zabrzmiało tak, jakby Karen - nie dopilnowana przez nią - udzieliła właśnie takiego, a nie innego wywiadu. Ta ostatnia jednak postanowiła nie opowiadać jej o małej sprzeczce z Trawler przy szampanie. Co za różnica? Nie brała serio całej sprawy.

- Daj spokój. Tak już jest. Po dobrych recenzjach, przez jakiś czas nikt nic nie pisze, chyba że źle. Tendencyjny artykuł i tyle - wzruszyła ramionami. - To nie koniec świata. Nikt nie czyta tych kawałków o modzie. Patrzą tylko na zdjęcia. A tu jest udana fotografia Stephanie. Sukienka wyszła świetnie.

- Czy mogę zobaczyć? - zapytała Bella, chwytając gazetę. O Boże, pomyślała Karen, tylko nie to! Ale było już za późno. Mercedes oddała pismo, a Bella, kręcąc głową, zagłębiła się w lekturze.

Lisa i Stephanie stanęły w milczeniu za nią i także zaczęły czytać. Bella z dezaprobatą zasznurowała usta, ale to nic nowego. Karen spojrzała na Stephanie. Jej oczy rozszerzyły się z podniecenia czy wstrząsu. Mimo całego zamętu, Karen nie mogła nie zauważyć jak ładna jest jej siostrzenica. Wydawało się, że wydorosła w ciągu ostatnich kilku tygodni. Kości policzkowe uwydatniły się, a cała twarz wyglądała bardziej wyraziście.

Karen zastanowiła się. Czy Stephanie mogłaby zastąpić Marię Lopez, gdyby Lisa pojechała jako opiekunka? Artykuł w gazecie z Chicago był niepocholebny, ale zdjęcie wyszło świetnie. Stephanie prezentowałyby czarną kolekcję. Z tymi kruczymi włosami wygląda równie ładnie jak Maria. Zawahała się jednak. Martwiła się o siostrzenicę.

Opowiedziała Lisie o nieoczekiwanym spotkaniu i zabranii jej z przyjęcia Norris Cleveland, ale na siostrze nie zrobiło to większego wrażenia. Zdawała się też nie przejmować Tiff. Karen nie była pewna czy to słuszna postawa. Wiedziała, że nie zostawiłaby teraz małej w domu bez opieki, ani nie puściłaby Stephanie samej na tego rodzaju imprezę. Jednak wyjazd do Paryża poprawi Lisie nastrój, a jej samej pomoże pozbyć się poczucia winy, które odczuwała zawsze, gdy patrzyła na siostrę.

Podeszła do stojącej w grupce swej rodziny. Bella podniosła na nią sceptyczny wzrok.

- Kto się kładzie między psy, ten ma pchły - powiedziała.

A żmija zawsze pozostanie żmiją, odplaciła jej w myślach Karen, powstrzymując się od komentarzy. Przeniosła spojrzenie na siostrę.

- Mam dla ciebie propozycję - powiedziała.

Wszystko ustalono. Stephanie pojedzie do Paryża jako modelka, Lisa jako jej opiekunka, a Defina do wieczora popracuje z dziewczętami, by udzielić im wskazówek i dodać pewności siebie. Karen nareszcie miała chwilę, by usiąść na stojącym w głębi salonu składanym krześle. Dopiero wtedy zauważyła Perry'ego Silvermanna, siedzącego cicho w rogu, obok wieszaka z odrzuconymi modelami.

355

- Jak długo tu jesteś? - zapytała.

- Wystarczająco długo. Teraz już wiem, co robisz. I ty twierdzisz, że tego rodzaju praca naprawdę ci odpowiada!

- Nie dzisiaj - westchnęła. Perry popijał coś ze styropianowego kubeczka. - Skąd moje podejrzenia, że to nie kawa?

- Masz instynkt prywatnego detektywa. - odparł wyciągając ku niej kubek. - To martini według mego własnego przepisu. Bez wermutu i oliwki.

Pociągnęła łyk czystego ginu i wzdrygnęła się. Smakował paskudnie.

- I ty twierdzisz, że ci to naprawdę odpowiada? - zapytała.

- Nie dzisiaj - uśmiechnął się. - Wiesz, Karen, ten pokaz był nadzwyczajny. Nie chodzi mi o kłótnię. Mówię o ubraniach. Nie znam się na modzie, ale miała w sobie coś z rzeźb. Były rodzajem sztuki...

- Moda to nie sztuka. To rzemiosło, ale pełne poezji.

- Dobra robota.

- Dzięki - urwała na chwilę. - Perry, jak ty tu właściwie wszedłeś? To miała być najgłębsza tajemnica.

- Powiedziałem, że jestem twoim kochankiem - odparł. - Myślenie życzeniowe.

- Moim kosztownym ochroniarzom to wystarczyło. Ciekawe, ile osób z konkurencji siedziało tu, szkicując. Polecą za to głowy - była zbyt zmęczona, aby krzyczeć na ochronę. Zleci to Caseyowi albo Janet. Uniosła kubek, chcąc wypić jeszcze jeden łyk obrzydliwego płynu. Została tylko odrobina na dnie. Uniosła pytająco brwi.

- Jasne, dokończ. To i tak mój ostatni drink. Wyjeżdżam na trochę z Nowego Jorku. Ściszej mówiąc, na dwadzieścia osiem dni. Przyszedłem, żeby się pożegnać.

- Odwyk? - zapytała.

- Jesteś zdolna jak stypendystka z Oxfordu. Jadę do Minnesoty. Przeznaczeniem tego stanu było stać się światową stolicą odwyku. Majątką okropną pogodę, że każdy musi chlać, a na turystyce nic by nie zarobili - uśmiech zniknął mu z twarzy. - Nigdy za wiele nie piłem. Dopiero od śmierci Lottie. Kończę w moim życiu etap uzalania się nad sobą i leczenia alkoholem - urwał i głos mu się załamał. - Jednej nocy złapałem się na rozmyślaniu, że nie zacząłbym pić, gdyby Lottie nie umarła - umilkł. - Pewnie byłbym też wyższy i miałbym więcej włosów - próbował się uśmiechnąć,

ale nie bardzo mu wyszło. - Obrzydłem już sobie. Nie wiem, kim będę po powrocie. Gdzie będę mieszkał, co robił. Nie wiem, czy potrafię jeszcze malować, ale skoro teraz nie mogę, nic jest to chyba sprawa zasadnicza. Smutny, łysiejący i nudny facet - tyle pewnie ze mnie zostanie. Ale nie żywię przesadnych nadziei. Na trzeźwo może nawet na to nie będzie mnie stać.

Karen wstała i podeszła do niego, a kiedy poniósł się z krzesła, otoczyła go ramionami.

- Czy jest coś, co mogę dla ciebie zrobić? - zapytała.

- To dobry początek. Może spróbujemy na leżąco?

- Ci mężczyźni! - rzuciła z komicznym przerażeniem. - Myślą tylko o seksie i zabijaniu.

265

- Jedyłą istotą, jaką chciałem zabić, jestem ja sam - powiedział cicho Perry. Karen jeszcze raz przytuliła go do siebie.
 - Cieszę się, że tam jedziesz. Kocham cię. Popatrzył na swe wymięte ubranie.
 - Artyści alkoholicy w dzinsach i kobiety, które ich kochają. W następnym programie Ophry - zaintonował. Wyłowił z kieszeni klucze. - Od pracowni - powiedział. - Gdyby nie ty i Jeffrey, nie byłoby mnie stać na odwyk.
- Karen wzięła je bez słowa. Jeffrey musiał, nic jej nie mówiąc, pożyczyć Per-ry'emu pieniądze. Naturalnie była z tego zadowolona.
- Ja też wyjeżdżam - powiedziała. - Ale zajmiemy się mieszkaniem, dopóki nie wrócisz.
 - *Mi casa, su casa* - zacytował. - W tym wypadku ma to znaczenie dosłowne, mój dom jest twoim domem - roześmiał się i pocałował ją w usta. - Pokaz będzie wspaniały. Złam nogę - powiedział i poszedł do windy. Przed wejściem pomachał do Karen i już go nie było.

Rozdział 25

Paryska gorączka

Tydzień Mody" w Paryżu jest od ponad dziesięciu lat niezwykłym y wydarzeniem. Interesy związane z modą to dla Francji duma i inwestycja, więc koszty dziesiątków pokazów, dla kupców z całego świata, częściowo zabezpiecza rząd, a nad wszystkim sprawuje nadzór Izba Związkowa Producentów Gotowej Konfekcji i Kreatorów Mody. Jednak, z uwagi na francuską biurokrację, nie ma żadnych gwarancji, że wszystko pójdzie gładko.

Większość pokazów odbywa się w ogrodach Luwru. Państwo zapewnia ochronę i łączność telefoniczną, co nie oznacza, że bilet gwarantuje ci wejście, a ci, którzy ich nie kupili, nie dostaną się do środka. Miejsca są odsprzedawane po wyższej cenie, bilety podrabiane i co roku wokół przynajmniej dwóch pokazów, po zamknięciu drzwi, wybuchają niemal zamieszki. We Francji moda to coś więcej niż interesy - to narodowa duma i sposób na życie.

Paparazzi zachowują się tu gwałtowniej i posuwają znacznie dalej niżw Stanach, ale też gra toczy się o wyższą stawkę. Od ponad stu lat Paryż stanowi centrum światowej mody i pierwsze zdjęcia głównych francuskich kolekcji kupują wszystkie agencje prasowe oraz ważniejsze gazety i pisma. Fotografowie, by zrobić zdjęcie, dosłownie stratują każdego, kto stanie na ich drodze. Niejeden przedstawiciel sklepu czy niefortunny dziennikarz został w ten sposób poturbowany.

Trudno uwierzyć, że ubrania mogą wywoływać taką histerię, Karen pamiętała jednak, że w grę wchodzi fortuny, wiszące niekiedy na włosku. W zeszłym sezonie dwadzieścia trzy domy mody zatrudniały 2424 ludzi, którzy pracując przez 273 416 godzin wyprodukowali 1461 strojów. U Lacroix ilość wykonanych haftów oszacowano na

półtora miliona, a u Yvesa Saint Laurenta wykorzystano 350 000 cekinów. Tylko Maurizio Galante zużył 9000 pereł. Karen, patrząc na piękno i dopracowanie każdego szczegółu ich prac, czuła, że jest bliska załamania. W Nowym Jorku, mimo pomocy pani Cruz, po prostu nie można było osiągnąć takiej jakości. Tak, ale w Paryżu moda jest czymś więcej niż sztuką czy rzemiosłem. To pieniądze. Wielkie pieniądze. Francuska gospodarka wykorzystuje sprawowaną

w modzie hegemonię. Nie ma tam zwykłych domów mody, lecz są ogromne perfumeryjne imperia. Jedna z firm, LVMH, nie należy tylko do Diora, ale także do Lacroix, Ginenchy'ego i Vuittona. No i te ogromne tkalnie, wytwarzające towar na potrzeby modnych dam z całego świata. Wszystko stwarza i podtrzymuje iluzję piękna opisywaną w międzynarodowych pismach i kupowaną przez kobiety. Nic dziwnego, że kiedy Yves Saint Laurentowi zagroziło bankructwo, rząd ze względów praktycznych wykupił jego firmę. Saint Laurent to francuski Chrystler. Mimo opieki państwa, Francuzi w ostatnich latach zaczęli ustępować Włochom. Gianfranco Ferré został głównym projektantem u Diora w miejsce Marca Bohana. Armani zawładnął kobiecą modą, a francuska produkcja w znacznej mierze przeniosła się do Włoch. Francuzi nigdy, tak naprawdę, nie pojęli na czym polega wspólna praca w fabryce czy gdziekolwiek indziej. Włosi byli w tym mistrzami. Dwadzieścia lat temu w języku włoskim nie istniało słowo „projektant”. Mówiono na nich „sartos” czyli krawcy i było w tym określeniu coś lekceważącego. Teraz Armani, znany jako Mnich, rządził światową modą, a *beau monde* kupował swe eleganckie, kosztowne stroje przede wszystkim u Italczyków. Im jednak, choć potrafili zaprojektować i uszyć ubrania wysokiej jakości, brakło fantazji, wyczucia i mistrzostwa Francuzów.

Amerykanów oskarżano o brak wszystkiego - mistrzostwa, wyczucia i towaru na wysokim poziomie. Pracownia Karen należała do wymierającego gatunku. Tylko Jimmy Galanos był w stanie uszyć stroje takiej jakości. Jeśli zaś chodzi o tańszą kolekcję, to Karen wznosiła tylko oczy do nieba na myśl o związanych z nią problemach. Wszyscy wiedzą, że w Ameryce koszty wyprodukowania eleganckiej odzieży są idiotycznie wysokie, a jakość niska. W Paryżu Amerykanów traktowano więc jako intruzów i zwykłych handlarzy. Calvin Kleina i Donnę Karan okarżano o prezentowanie popłuczyn po Armanim, zaś o de la Rencie mówiono drwiąco, że jest Romeo Gigli bez ikry. Francuzi patrzyli z pogardą na wszystko co amerykańskie, z wyjątkiem dolarów.

Dolary też nie zawsze wystarczały. Znalezienie pokoju w dobrym hotelu, czy zarezerwowanie stolika w restauracji było w czasie pokazów rzeczą niemożliwą- wszystko pozajmowane. Moda to kura znosząca dla Francuzów złote jajka. Nic więc dziwnego, że nie tylko z powodu nieufności wobec obcych, nie spieszyli się z powitaniem przybyłego z Ameryki, damskiego intruza.

- No dobrze - zawołała Karen, wychodząc z hotelu i ruszając szybkim krokiem wzdłuż arkady Place des Vosges. - Jakie będzie więc *desastre du jour*, co mnie niedobrego czeka?

W ciągu ostatnich pięciu szaleńczych dni Jeffrey dokonał prawdziwych cudów. Załatwił sprawę pokazu w Grand Palais, a także wynajął miejsce i namiot na Place des Vosges. Defina, Jeffrey, Casey, Carl i Jean-Baptiste, ich francuski łącznik, stali teraz na podwórku hotelu „Grenadine” pogrążeni w rozmowie. W ciągu trzech dni dzielących

Karen od awantury w Nowym Jorku, jej ludzie zdołali doprowadzić wszystko do ładu. Defina ufarbowała zapasowy biały tiul niezmywalnym

360

czarnym atramentem firmy „Waterman”. Pani Cruz pracowicie odtworzyła przybranie na głowę, Stephanie przeszła próby, a Tangela, poskromiona groźbami, zaczęła zachowywać się podejrzanie spokojnie. Lisa bez wahania zgodziła się na wyjazd do Paryża, ledwie zadając sobie trud by poprosić o pozwolenie Leonarda. Zostawiła w domu Tiff - w ramach kary za jej nieudane wystąpienie na *bat mi-cwah* - i zabrała niemal pustą walizkę, którą miała zamiar napełnić paryskimi strojami. Carl także planował zakupy. Tymczasem robił modelkom wspaniałe fryzury. Karen weszła do namiotu i rozejrzała się po przestronnym, białym wnętrzu. Nowoczesne tworzywo, rodzaj sprężystego plastiku z którego był wykonany, nadawało namiotowi elegancję budowli, tak że wyglądał jak ogromna katedra z białego płótna. Karen oglądała go już wczoraj wieczorem, lecz w nocy jej elfy sporo się napracowały i dekoracje były gotowe.

Nazwisko Karen znajdowało się wszędzie - nad wejściem do namiotu, na metkach wszystkich ubrań, zaproszeniach, programach pokazu starannie ułożonych na składanych krzesłach, a także na ogromnym łuku wznoszącym się nad wybiegiem. Karen przyglądała się temu z satysfakcją. Nagle jednak odniosła wrażenie, że nie jest to już jej nazwisko. Pisownia i ułożenie liter wydawały się obce. Przez jedną niesamowitą chwilę czuła się, jak ofiara wylewu, którą uczono rozpoznawać znajome kiedyś litery. To moje nazwisko, powiedziała sobie w duchu, choć przecież nie należało tylko do niej. Dostała je od Jeffrey'a. Karen zdała sobie sprawę, że choć nigdy nie chciała występować jako Lipsky, także tamto nazwisko nie było jej prawdziwym. Litery zatańczyły jej przed oczami. Nie mogła ich odczytać. Żołądek ścisnął strach. Właśnie podejmuje największe ryzyko i wkracza na arenę międzynarodowej mody. Dla Billa Wolpera czy choćby Bobby'ego Pillara jej nazwisko warte jest miliony, a ona nawet nie potrafi go rozpoznać. Czy taki stan określają jako kryzys tożsamości? A może atak paniki?

To nerwy. Tylko nerwy, powiedziała sobie. Jednak wiele rzeczy mogło się nie udać i zazwyczaj tak się działo. Karen pomyślała o Gregorym Poe, drobnym projektancie. Zyskał sławę, między innymi, dzięki torebkom, które nie tylko były różowe jak peptobismol, ale naprawdę zawierały to płynne lekarstwo wewnątrz ścianek z winylu. Na nieszczęście okazało się, że oba komponenty źle ze sobą współdziałają. Jedna z torebek wybuchła zalewając dziennikarce z „Vogue'a” strój od Balen-ciagi. Ciężka sprawa. Marca Bohana usunięto po trzydziestu latach pracy dla Diora. Tony de Freise zbankrutował. Katastrofa z perfumami spowodowała upadłość firmy Norris Cleveland. Karen zastanawiała się, jaki wybuch czekają samą. Odwróciła wzrok od swego nazwiska. Czuła, że zaraz zacznie się

śmiać albo płakać, a jeśli to nastąpi, nie będzie mogła przestać. Zaciśnęła ukryte w kieszeniach dłonie, zamknęła oczy i zaczęła liczyć oddechy. Gdy doszła do dziesięciu, zaczęła od nowa, mówiąc sobie, że to wszystko jest winą napięcia. Po trzeciej serii oddechów otwo-rzyłaoczy i zamiast roztańczonych liter ujrzała z ulgą znowu znajome nazwisko.

Nadeszli inni. Karen zmusiła się do obejrzenia całego namiotu. Uspokoila się. Nie chciała zapeszyć, ale wszystko wydawało się układać jak należy. Zaproszenia zostały rozesłane i przyjęte.

269

Do stojącej w białym namiocie grupki dołączyła Mercedes.

- Myślę, że jesteśmy dobrze przygotowani - oznajmiła. - Problem z tegorocznymi pokazami na razie polega na tym, że prezentują tylko dwa rodzaje ubrań - rzeczy nie nadające się do noszenia i rzeczy, które każdy już ma. Ludzie są albo zaszokowani, albo znudzeni - zamilkła na chwilę, a na jej twarzy pojawił się uśmiešek. - W Luwrze tłumy większe niż zwykle.

Doszło do prawdziwych zamieszek. Karen słyszała, jak jacyś dziennikarze rozmawiali między sobą że niebezpiecznie tam iść.

- Myślę, że nasza strategia dwóch pokazów zadziała - ciągnęła Mercedes. - Wszyscy o nas mówią, tylko nikt nie ma pojęcia, która lista gości jest A, a która B i to doprowadza ich do szału.

- To dzięki tobie nie ma listy A i B - roześmiała się Karen. Mercedes spędziła całą noc, dzieląc gości na dwie grupy równe sobie pod względem pozycji i majątku, tak, by nikt nie był w stanie określić, czy to jemu właśnie zrobiono afront. Francuzi są znani z drażliwości na punkcie etykiety i miejsc. Karen pamiętała, jak podczas jednego z zeszłorocznych pokazów, żona premiera nie zgodziła się usiąść obok księżniczki Karoliny z Monaco. U niej jednak nie będzie żadnych afrontów. Na obydwie pokazy zaproszono najważniejszych gości. Defina i Casey chichotali teraz na myśl o zamęcie, jaki udało im się spowodować. Nawet Jeffrey się uśmiechnął. Taka strategia podwajała także liczbę miejsc w pierwszym rzędzie, zawsze najbardziej cenionych i pożądanym, choć ludziom którzy je zajmowali, deptali po nogach fotografowie.

Na każdym pokazie było jedynie czterdzieści frontowych miejsc i osiemdziesiąt ważnych w świecie mody figur, uważających, że to one właśnie na nie zasłużyły. Oto pierwszy krok do paranoi - czy wyznaczono ci wystarczająco dobre miejsce? A teraz .ŁKInc dysponowała ich podwójną ilością! Pozostało tylko pytanie, na którym z pokazów zjawi się Karen, a ona, po długim namyśle, znalazła rozwiązanie. Postanowiła otworzyć czarny pokaz, choć tradycyjnie projektant pokazywał się dopiero na samym końcu.

- Pomysł jest sensowny, bo sama zrywam tu z własnymi zasadami, projektując czarne stroje. A zresztą, jeśli czarna suknia ślubna na Stephanie wywoła spodziewany efekt, to po pokazie rozpęta się piekło. Nikomu nie będę potrzebna. Pojadę więc szybko na zakończenie białego pokazu, na Place des Vosges.

Pomysł spodobał się wszystkim, nawet Mercedes, która najbardziej się tym martwiła. Nie chcieli przecież, podczas pierwszego paryskiego występu, zrazić do siebie Francuzów i dziennikarzy. Karen zdała sobie sprawę, że klamka zapadła i ogarnął ją spokój. Wszyscy wiedzą co mają robić, a ona musi po prostu im zaufać. Kiedy więc Lisa i Stephanie wyszły z hotelu na wyłożony kamieniami dziedziniec, powitała je uśmiechem.

- Jeśli wszystko jest pod kontrolą, wyjdę teraz z siostrą na godzinę - powiedziała współpracownikom. - Casey, spotkamy się w południe w Grand Palais.

Skinął głową. Wraz z Mercedes zajmował się tamtym pokazem, a Defina odpowiadała za Place des Vosges. Karen odwróciła się do przyjaciółki.

363

- Wszystko w porządku z Tangelą? - zapytała. Defina wzruszyła ramionami.

- Zerwała ze swoim chłopakiem. Nie wiem jak ona, ale ja czuję się świetnie.

- Za godzinę wrócę, żeby ci pomóc - Karen uśmiechnęła się i poklepała ją po ramieniu.

Dzielnica Le Marais, płatanina małych uliczek i walących się starych domów, była kiedyś odpowiednikiem londyńskich slumsów. Potem jednak wybudowano Centrum Pompidou, okolica się poprawiła i w ciągu ostatnich dziesięciu lat Le Marais stała się najmodniejszą i najbardziej malowniczą *quartier* w Paryżu. Punkt centralny stanowił Place des Vosges, doskonale zachowany szesnastowieczny rynek, wokół którego skupiły się wszystkie urocze sklepiki, modne bistra, czarujące kawiarnie, eleganckie butik i restauracje, jakie tylko można sobie wymarzyć. Karen mogła zatrzymać się w wytwornym hotelu „Crillon”, po prawej stronie Place de la Concorde, albo w luksusowym „George V” przy Polach Elizejskich, jednak Le Marais była bardziej młodzieńcza, modniejsza i dużo mniej pretensjonalna. Jeśli zaś Karen lekko onieśmiały wspaniałe hotele i uznane domy mody w eleganckich dzielnicach, to nie przyznawała się do tego.

Teraz wszystkie trzy, Karen, Stephanie i Lisa, wędrowały gęsiego wąskim chodnikiem. Minęły owocarnię i popularną w okolicy staroświecką kawiarnię, z obitym blachą kontuarem i zniszczonymi krzesłami nie do pary. W porannym słońcu wszystko wydawało się takie ładne i pełne uroku. Tu, w paryskim świetle, kolory wyglądały inaczej. Karen była zadowolona, że zrezygnowała z barw na pokazach. Nie udałooby się ich dobrze przetłumaczyć. Pobyt tu był dla niej czymś więcej, niż ryzykownym posunięciem w interesach - to marzenie, które się spełniło. Usprawiedliwiając ponoszone koszty przed Jeffreyem, argumentowała, że dzięki pokazowi znajdą się w pierwszej lidze międzynarodowej mody, ale nie był to prawdziwy powód. Dotrzymywała obietnicy złożonej nastoletniej Karen Lipsky w Rockville Centre na Long Island, obietnicy, że pewnego dnia też będzie miała pokaz w Paryżu, tak jak Coco Chanel. Uśmiechała się teraz do całego otaczającego ją świata. Marzenie się spełniło.

Ulice były tu dużo czystsze niż w Nowym Jorku. Nieopodal przetoczyła się mała maszyna czyszcząca, wsysając śmiecie. Na wystawie leżały obdarte ze skóry króliki. Karen przeniosła wzrok z martwych *lapins* na Stephanie.

- Denerwujesz się? - zapytała.

- Nie tak bardzo - odparła dziewczyna, ale była blada, a jej oczy wydawały się pozbawione wyrazu.
- Jadłyście już śniadanie? - spytała Karen, a gdy Lisa pokręciła głową, poprowadziła je do *patiserie*, w której stało kilkanaście stoliczków.
- Mają niesamowity *pain au chocolat* - doradziła. - I nieźle *croissanty*. Co zjecie?
- Spróbuję prawdziwego francuskiego *croissant* - Lisa była uszczęśliwiona. - To nie to co nasz, od Sary Lee.
- Ja dziękuję - powiedziała Stephanie.

- Och, Stephie, musisz przecież coś zjeść. Czy ty się głodzisz? W samolocie nic nie tknęłaś.

- Jedzenie w samolocie - dziewczyna z niechęcią machnęła ręką. Pewnie jest zdenerwowana, ale musi jeść. Karen zamówiła *infusion*, co brzmiało jak lekarstwo, a było francuską herbatą ziołową i trzy *croissanty*. Stephanie i Lisa wypiły *cafe au lait*, ale dziewczyna prawie nie tknęła rogalika, który Karen kazała jej zamówić.

- Jakie to podniecające - mówiła Lisa. - Takie francuskie.

Stephanie wzniosła oczy do nieba i zmieszana potrząsnęła głową, zakrywając sobie włosami pół twarzy.

- Przecież jesteśmy w Paryżu. Jakie ma być? Hiszpańskie? Karen uśmiechnęła się do siostry.

- Powiedziałam coś głupiego? - zapytała Lisa. - Ty wiesz, co mam na myśli - dodała, a Karen ze zrozumieniem pokiwała głową. - Myślisz, że poradzę sobie na zakupach nie znając francuskiego?

- Oni rozumieją co *znaczy American Express*. Pomachaj kartą i pokaż co chcesz kupić. Większość z nich mówi zresztą po angielsku, choć nie zawsze mają ochotę się do tego przyznawać. Mój francuski jest na tyle dobry, że wprowadzam ich w błąd. Na szczęście nie wiedzą, jak źle mówię po angielsku! Gdy już pojmą że jestem Amerykanką, traktują mnie z mniejszym szacunkiem, ale trudno im patrzeć z góry.

Lisa roześmiała się, a Karen pociągnęła łyk swojego naparu. Miło być razem siostrą. Zbyt dużo się nie widywały. Lisa wydawała się niemal pijana ze szczęścia. Najwyraźniej doszła już do siebie po groteskowym *bat micwah*.

- Czy Tiff da sobie radę przez tydzień bez ciebie? - zapytała Karen. - Też mogła przyjechać - nie miała jeszcze czasu ani odwagi spytać, jak mała pozbierała się po tym wszystkim.

- Jest jej dobrze u Belli - odparła Lisa.

- Naprawdę? Nam nigdy nie było - powiedziała Karen, a jej siostra tylko się roześmiała.

- Zabiorę teraz Stephanie do hotelu, aby odpoczęła, a potem Mercedes zawiezie ją do Grand Palais. Ja trochę pooglądam wystawy i pójdę na czarny pokaz. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć Stephie w tej ślubnej sukni - Lisa sięgnęła przez stół i wzięła siostrę za rękę. — Dziękuję — powiedziała. — To dla nas takie podniecające przeżycie. Po prostu nie wiem, jak ci dziękować.

Stephanie potrząsnęła głową, znów zarzucając sobie włosy na twarz.

- Mamo!-powiedziała.

- Ale, Karen - ciągnęła Lisa, nie zważając na zażenowanie córki -przyjmiesz tę propozycję NormCo, kiedy się tu spotkacie? To bardzo wiele dla mnie znaczy.

- Nową garderobę - mruknęła Stephie.

- Skąd wiesz o spotkaniu? - Karen odchyliła się do tyłu w krzesło.

- Och, chyba Jeffrey coś mi o tym wspomniał.

Karen wpatrywała się w siostrę. Czy ona się rumieni? Słyszała dźwięczącą we własnym głosie irytację i widziała, jak Lisa, zmieszana ucieka wzrokiem w bok. Chcąc zmienić temat, spojrzała na nietknięty talerz siostrzenicy.

272

- Skończyłyście? - zapytała retorycznie. - Rozejrzyjmy się po okolicy, a potem odprowadzę was do hotelu, byście mogły wypocząć.

Później, gdy już było po wszystkim, Karen nie mogła uwierzyć w to, co się stało. W najśmielszych marzeniach nie wyobraziłaby sobie tego gwaru, kłębiących się tłumów dziennikarzy i spragnionych zakupów klientów. Pomyślała, że może Defina ma rację. Tajemnica szczęścia to nie oczekiwać zbyt wiele. Tak bardzo zamartwiała się pokazem. Paryż tyle dla niej znaczył i wydawał się wprost niemożliwy do podbicia przez żydowską dziewczynę z Brooklynu. Na widok reakcji wywołanej przez podwójny pokaz szalała z radości. Wszystko szło jak w zegarku. Nowym modelkom udało się zaistnieć na wybiegu. Świeżość pracowała na ich korzyść. Nie wyglądały jednak - z wyjątkiem może Stephanie - jak dzieci przebrane za dorosłe kobiety. Ich prostota podkreśliła natomiast wyrafinowanie projektów. Stroje odniosły sukces, jakiego Karen nie oczekiwała. Wyrwała się z czarnego pokazu w Grand Palais i limuzyną pognęła na Place des Vosges, w samą porę, by zdążyć na ostatni kwadrans białej rewii. Żałowała tylko, że ominął ją wybuch entuzjazmu na widok Stephanie, kroczącej po wybiegu w czarnym obłoku zamykającej pokaz sukni ślubnej. Widownia najwyraźniej wpadła w szal. Tymczasem na Place de Vosges, na zakończenie prezentacji białej kolekcji, Karen została wyciągnięta przez Tangelę i inne młode modelki na wybieg, gdzie Carl wręczył jej cudowny bukiet czarnych tulipanów i białych lilii. Był to gest szczery, nie wyreżyserowany i Karen naprawdę się tego nie spodziewała, tak samo jak owacji na stojąco, która potem nastąpiła. Paryż ją oklaskiwał! Jeffrey stał tam także, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, uśmiechnięty od ucha do ucha. Wszystko wypadło cudownie, a stojąca za Karen Defina wyszeptwała:

- Lepiej już być nie może.

I wydawało się, że jak zwykle ma rację.

Okazało się jednak, po powrocie do hotelu, że w ramionach Jeffrey'a było jeszcze cudowniej. Karmił ją kawiozem zawiniętym w maleńkie naleśniczki i, przysuwając kieliszek do ust, poił szampanem. Rozpieszczał jak dziecko.

- Udało ci się! - powtarzał ciągle. - Udało!

Pokrył twarz Karen pocałunkami, a potem jego usta przesunęły się niżej. Kiedy było już po wszystkim, zrobił jej prawdziwy, profesjonalny masaż pleców.

- Och, nie tak mocno - błagała.

Podniecona masażem, ekscytującymi wydarzeniami, szampanem, sukcesem, z ulgą czuła, że może całkowicie poddać się jego miłości. A Jeffrey po prostu oszalał. Zawsze było im dobrze w łóżku, ale dziś w nocy wydawało się, że pragnie jej bardziej niż zwykle. Jakby chciał zawładnąć każdym centymetrem jej ciała, osiąść ją całkowicie.

Karen pozwalała mu na to, nurzając się w luksusie pełnej akceptacji. Choć raz w życiu czuła się doskonale kochana.

18 - Spóźniona moda

273

Defina i Karen przeszły długą promenadą hotelu „Plaža Athenee” do berzery. Defina rozsiadła się wygodnie w wyściełanym w fotelu i uśmiechnęła szeroko. Wiedziała, że patrzą na nią wszystkie kobiety na sali. Nie bywały tu żadne żony handlarzy serów.

- Może powinnam trochę schudnąć i wrócić na wybieg?

- A może się powinnaś przespać parę godzin i wrócić do rzeczywistości? - drażniła się z nią Karen. - Napijesz się herbaty?

- Najlepsze kanapki? - zapytała Defina.

- Od Williama Polla - odparła Karen, a jej przyjaciółka przytaknęła.

- Najlepsza herbata?

- W Nowym Jorku? Stanhope. Ale w Londynie - Claridge.

- Nie - Defina pokręciła głową. - Nigdy nie piłaś herbaty na czwartym piętrze u Harrodsa? Jest znakomita.

Do przyjaciółek podszedł jeden z młodych, przystojnych kelnerów. Karen zastanawiała się, czy kierownictwo specjalnie takich wybiera, chcąc zrobić przyjemność podstarzałym paniom, zwyczajowo przychodzącym na herbatę do „Plaža Athenee”. Ci młodzi ludzie wydawali się zawsze tacy dumni, jakby podawanie do stołu było specjalnym zaszczytem. Karen obróciła się ku Definie.

- Na co masz ochotę?

Dee zamówiła herbatę Earl Grey i kilka kanapek. Po południu w „Plaža” zawsze podawano *le the Anglais*.

- Cóż, skarbie, udało ci się - zwróciła się do przyjaciółki, gdy kelner odszedł po przyjęciu zamówienia. - Wszyscy, naprawdę wszyscy mówią o twoich pokazach. Cały Paryż. Jak się człowiek czuje po odniesieniu takiego triumfu?

- Cholernie dobrze - przyznała Karen z szerokim uśmiechem. Po herbacie miała spotkać się z Jeffreyem w hotelu i, po raz pierwszy od tygodni, porządnie wyspać. Nie martwiąc się o umowę, pokaz, czy telefony w sprawie dziecka. Czowała, że wielki ciężar, przynajmniej częściowo, spadł jej z ramion. Odetchnęła głęboko i odprężyła się.

Wrócił kelner z asystentem, niosąc przybory do herbaty i różne smakołyki. Karen usiadła głębiej w fotelu, założyła nogę na nogę i patrzyła, jak cała sala przygląda się jej i Definie. W tym tygodniu była w Paryżu gwiazdą rozpoznawaną na ulicy. Uczucie miłe, choć trochę głupie. Przecież, jak się nad tym dobrze zastanowić, pomyślała, chodzi tylko o szmaty.

W chwili, gdy przyszło jej to do głowy, pomimo pokazów, dobrej prasy i nocnej namiętności męża - cudowny nastrój zaczął się ulatniać. Poczuła się nagle jak szampan, który z Jeffreyem zostawili przez noc na stoliku przy łóżku, i z którego uleciały bąbelki. To tylko szmaty. Czy nic więcej nie czeka ją w życiu?

Defina, wyczuwając zmianę nastroju, poklepała przyjaciółkę po rękę.

- Gdzie twój mąż? - zapytała.

- Odsypia. Wczoraj w nocy przeszedł samego siebie

- No tak. - Nie ma lepszego afrodyzjaku niż odrobina sukcesu - uśmiechnęła się, ale Karen zauważyła, że myśli nie o niej, a o własnych wspomnieniach. - W noc po dużym pokazie mogłam mieć każdego mężczyznę, jakiego chciałam -

274

roześmiała się. - I miałam. Ale, oczywiście, nie można ich potem zatrzymać. Na ogół nie.

- Ale, Defino, to nie oni od ciebie odchodzili. Zwykle ty ich wyrzucałaś.

- No tak. Bo nie mogli mi dać tego, czego chciałam. Spójrzmy prawdzie w oczy, koleżanko, większość mężczyzn szuka matki. My zresztą także, ale bez skutku. Jak sądzisz, dlaczego kobiety zawsze się skarżą, że mężczyźni w łóżku za mało je przytulają? Dlaczego ciągle jesteśmy rozczarowane? Jak to się dzieje, że mieszkając z mężczyzną, po pewnym czasie dostrzegamy jego słabość? Słabość dziecka? Bo nie zachowuje się jak matka! A tych paru, którzy tacy są, kobiety zazwyczaj ignorują, bo wydają im się nie dość atrakcyjni - Defina westchnęła głęboko i potrząsnęła głową. - Mogłabym napisać o tym książkę. Moi afrykańscy przodkowie na pewno w jednym mieli rację - czcili matkę, boginię płodności. Tego właśnie każdy pragnie. Prawdziwej mamusi.

- A ja ciągle szukam mojej.

- No i jak ci idzie? - Defina uniosła pytająco brwi. - Co na to Bella?

- Może jestem szalona, ale nie głupia - prychnęła Karen. - Nic jej nie mówiłam. Nikt nie wie, nawet Jeffrey. Ale detektyw nie dzwoni, więc pewnie niczego nie znalazł. Myślisz, że to szaleństwo?

- Karen, myślę, że jesteś cudowna - czarne oczy Definy były pełne ciepła i zrozumienia. - Wciąż wymyślasz dla wszystkich projekty, pracę i pieniądze. Czasem zadaję sobie pytanie, kiedy to źródło wyschnie - sięgnęła i wzięła Karen za rękę. - Mam tylko nadzieję, że odnalezienie matki doda ci nowych sił. A co mówiła Madame Renault?

- Że już ją znalazłam - mruknęła Karen. - Nie miała racji. Powiedziała też, że jestem w sieci, którą muszę rozerwać, a każda nić będzie krwawić - umilkła na chwilę. - I że czeka na mnie dziecko. To chyba nieprawda. Dlatego właśnie jestem smutna.

- Madame wie o wielu rzeczach.

- Ale powiedziała, że mam już matkę.

- No bo masz.

- Nie wiem, Defino. Jakoś mi to nie wystarcza. Gdyby Bella była inna, gdybyśmy były sobie bliższe, albo ja... Cóż, tak czy inaczej, bardziej czuję się związana z tobą czy Carlem niż z moją rodziną. Może dlatego tak bardzo pragnę dziecka, że chciałabym czuć się z kimś złączona; żebyśmy byli z Jeffreyem nie tylko parą. Z nikim, kogo znam, nie łączą mnie więzy krwi. Czasem czuję się zagubiona jak w przestrzeni kosmicznej, w czarnej pustce. Budzę się w nocy zlaną potem. Mam wrażenie jakbym była połączona z macierzystym statkiem cienką liną, która może się przerwać.

- Tak jak pająk snujący nić - pokiwała głową Defina. - Czy widziałaś kiedyś, jak rzucają się w przepaść, przędąc swoją sieć. Rzykują za każdym razem. Albo im się uda, albo nigdy niczego nie stworzą. Ale, założę się, że nie jest to przyjemne uczucie, nawet dla pająka.

Przerwało im chrząknięcie, a kiedy uniosły głowy, zobaczyły, że stoi nad nimi Carl.

370

- Może nie najmłodsze, ale piękniejsze niż zwykle - powiedział, całując każdą z nich w oba policzki. Karen zauważyła, że od stóp do głów ubrany jest w nowe rzeczy. - Wyglądacie bardzo ponuro jak na dwie dziewczyny, które wzięły Paryż szturmem. Czy mogę przyłączyć się do stypy? Widzę, że dostałyście najlepszy stolik w mieście. I tak powinno być. Hej, czy przyjrzałyście się biżuterii na tamtych dzidziach?

- Carl - Karen uniosła brwi. - Tu nie ma żadnych dzidzi; nie w takim drogim hotelu.

- Cóż, *excusez-moi*. Masz zupełną rację. Przyznaję się do pomyłki. Można usunąć chłopaka z Long Island, ale nie można usunąć Long Island z chłopaka - Carl ostrożnie usiadł w fotelu dostarczonym dyskretnie przez kelnera.

- A co do dzidzi, co tam słyhać w sprawie dziecka? - zapytał.

Karen opowiedziała przyjaciółom o ostatnich wydarzeniach. Defina poklepała ją po ręku.

- Znajdziesz swoje dziecko - powiedziała. - Przygotowałaś już na tę oka-zjejakieś imiona?

- Tak daleko nie sięgam w przyszłość - uśmiechnęła się, kręcąc głową.

- Hej, dziewczyno, musisz myśleć pozytywnie. Może potrzebujesz rady?

- Carl to ładne imię dla chłopca - zaproponował Carl.

- Nie ma mowy - Defina wyręczyła Karen w odpowiedzi.

- Ach tak? Kto jak kto, ale czarni dają swoim dzieciom naprawdę dziwaczne imiona - odparował Carl. - Wicie, że wszyscy czterej synowie George'a Fo-remana nazywają się George Edward? A Murzynka w mojej kamienicy urodziła trojaczki i ochrzciła je Latisha, Alisha i Talisha.

- Co w tym złego? - zapytała Defina.

Carl skrzyżował ręce na piersiach i popatrzył w sufit.

- Dokładnie takiej odpowiedzi spodziewałem się po kobiecie, która nazwała swoją córkę Tangela. Czy to dziewczyna, czy owoc?

Defina postanowiła po królewsku zignorować ten tandetny przytyk i odwróciła się do Karen.

- Ty też uważasz, że nasze imiona są dziwaczne? - zapytała.

- Niektóre-przyznała jej przyjaciółka.

- Tak, jakby Tiffany Saperstein nie było - prychnęła pogardliwie. - Jak się nad tym zastanowić, Defina to bardzo ładne imię.

- Za dużo ludzi ma problemy z jego wymawianiem - Karen uśmiechnęła się szeroko. - Czy to rodzinne imię?

- Moja matka je wymyśliła. Wiesz, była ze wsi. Kiedy chodziła ze mną w ciąży, odkryła, że jeszcze jedna dziewczyna w miasteczku spodziewa się dziecka, jak twierdziła, z moim ojcem. Kiedy się urodziłyśmy, moja matka nazwała mnie Defina, bo doszła do wniosku, że jestem ładniejsza od tamtego noworodka.¹

Karen roześmiała się. Nigdy nie wiedziała, kiedy Defina ją nabiera.

- Ale ty to inaczej wymawiasz.

372

- Dopiero, odkąd przeniosłam się do miasta. Wyobrażasz sobie, co się działo gdy przyjechałam na północ i odkryłam, że Defina rymuje się z wagina. Zmieniłam wymowę, kiedy zostałam Jankeską.

Carl rozejrzał się po eleganckiej promenadzie, po czym nachylił do przyjaciółek i wyszeptał konfidencjonalnie.

- Czy to nie księżna Windsoru siedzi tam przy stoliku w rogu?

- Carl, ona nie żyje od ponad dziesięciu lat.

- To dla Bessie nigdy nie był powód, by nie wziąć udziału w wesołej zabawie - warknął i podniósł rękę, by wezwać kelnera. - *Garçon!* - zawołał.

Karen i Defina skrzywiły się.

- Carl, nigdy nie nazywaj tak kelnera. To bardzo niegrzecznie.

- Cóż, są przecież chłopcami. I do tego doprawdy uroczymi. Ale obiecuję -dodał zwracając się do Definy - że nigdy nie nazwę „chłopcem” żadnego czarnego kelnera.

- Mój lud składa korne dzięki - odparła z ironią.

Wtedy właśnie, jakby dla poprawienia i tak wspaniałego nastroju Carla, Lee Bouvier Radziwiłł Ross przeszła obok nich i wsiadła do windy w głębi sali. Tak jak jej siostra Jackie, Lee nigdy nie była przesadnie wystrojona, choć na pewno robiła wrażenie niedożywionej.

- O Boże! - wykrzyknął zduszonym szeptem Carl. - Widziałyście ją?

- Nie była duchem - zauważyła Defina.

- Wyglądała wspaniale. Czy jest tu z nią Herb Ross? - zapytał.

- Nic nam na ten temat nie mówiła - rzuciła sucho Karen. Teraz Carl będzie godzinami mówił o Kennedych, chyba że uda się gdzieś znaleźć młotek i zmusić go nim do milczenia.

¹ The finer - ładniejsza, lepsza - wymawia się podobnie jak „Defina”.

- Czy zwróciłyście uwagę, że kobiety z rodziny Bouvierów zawsze w końcu decydują się na Żyda. Myślę, że po tym można poznać ich dobry gust. Próbowały i znalazły to co najlepsze. Jackie z Mauricem, Lee z Herbem, a Caroline z Edem. Myślisz, że będzie tędy wracać? - zapytał Karen.

Wzniosła tylko oczy do nieba i pokręciła głową. Dlaczego nigdy nie ma młotka, gdy się go potrzebuje? Carl wiedział, kiedy temat został wyczerpany, nie mówiąc o cierpliwości swojej przyjaciółki. Nagle Karen zauważyła idącą w ich kierunku blondynkę. Choć nie była to pani Ross, wydawała się znajoma.

- Czy to nie June Silvermann? - zapytała Carla.

- Gdzie? - kiedy odwrócił głowę, jej już nie było. Karen wzruszyła ramionami. Przynajmniej zdołała odwrócić uwagę przyjaciela od Kennedych.

- Jak wam się podoba moje nowe ubranie? - zapytał. - Od Lanvina. Niezłe, prawda?

Było naprawdę ładne. Marynarka w delikatny, czarny wzór na żółtawym tle. Do tego czarne zaprasowane spodnie, jasnożółta koszula i czarny krawat z jedwabnego fularu.

- Kosztowało więcej od mojej hondy, ale co tam. Raz się żyje.

- Jeśli ma się szczęście - powiedziała Defina i z westchnieniem rozparła się w fotelu.

Obok przeszła jakaś pani w średnim wieku. Jej spódnica była nie tylko o wiele za krótka, ale i stanowczo zbyt przezroczysta.

- Przydałaby jej się halka - zauważył Carl, mistrz banału.

- Tu popełniła omyłkę i chyba osiągnęła zupełnie inny efekt, niż oczekiwała - dodała Karen. - Tylko jakiego rodzaju?

- Może to jest pomyłka freudowska? - zażartowała Defina. - Słyszeliście ten dowcip o dwóch psychoterapeutkach? - dodała po chwili.

- Nie, ale pewnie zaraz usłyszymy - odparła Karen, a Defina uniosła brwi i mówiła dalej.

- Dwie psychoterapeutki spotykały się co tydzień na lunchu, by rozmawiać

o pacjentach i sprawdzać sobie nawzajem zdrowie psychiczne. Pewnego dnia, jedna mówi do drugiej - Martwię się o siebie. Rano przy śniadaniu przejęczyłam się, zwracając do męża i teraz mnie to niepokoi. Na to druga -

Opowiedz mi o tym. Nie wstydz się. Powinniśmy omawiać takie freudowskie pomyłki. Mogą dać wgląd w podświadomość. Wobec tego jej koleżanka wyjaśnia - No cóż, jadłam śniadanie

I popatrzyłam na męża. Chciałam powiedzieć: „Proszę, podaj mi, grzanek”, a zamiast tego powiedziałam: „Zmarnowałeś mi życie, ty pieprzony draniu”.

Herbaciarnia rozbrzmiała śmiechem trójki przyjaciół.

Karen spała jedenaście godzin. Obudziła się, gdy obsługa wtoczyła wózek, na którym prócz masy kwiatów znajdowało się, na oko, pięćdziesiąt gazet. Ułożono je w poprzek łóżka. Jeffrey już wstał, a gdy zobaczył, że żona się przeciąga, nalał jej kawy i przyniósł sok. Kryształowy pucharek świeżo wyciśniętego z pomarańczy soku kosztował czternaście dolarów, ale Karen nawet nie czuła się winna. Popijając, przeglądała zdjęcia w gazetach, a mąż czytał jej artykuły. Fotografie Stephanie w czarnej sukni wydawały się panować wszędzie, a kiedy Jeffrey włączył telewizor okazało się, że trafiły nawet do porannych wiadomości.

- O Boże! Jakie to cudowne. Mam nadzieję, że Tangela się nie wścieka - powiedziała Karen. Wyglądało na to, że nie tylko jej kolekcja, ale i siostrzenica okazała się przebojem. Nazwano ją już „sierotką przyszłości”.

Jeffrey odczytał na głos nadesłane faksem zachwyty z „Women's Wear”. Potem nadeszły z „Tribune” oraz „New York Times'a”, Karen rozkoszowała się ogólnym podziwem. Holly Brubach, zdolna dziennikarka pisząca o modzie, poświęciła jej pochwalny artykuł. Kochali ją. Wszyscy ją kochali! To coś więcej niż sukces - to triumf! Prawdę mówiąc, *succes fort*, jak to mówią Francuzi, zaczął zmieniać się w *succes fou* - totalne szaleństwo!

Wtedy Karen zauważyła na dole gazetowej kolumny małą ramkę, a w niej niczym drobne ukłucie, napis - *ŚMIERĆ NOWOJORSKIEGO PROJEKTANTA*. Przysunęła bliżej gazetę. *Znany projektant z Siódmej Alei, Willie Artech,*

zmarł po długiej chorobie na zapalenie płuc. Wiadomość o śmierci pracownicy podali do prasy wczoraj, lecz przyszłość jego przeżywającej kłopoty firmy jest niejasna. To wszystko. Karen opuściła gazetę. Poczula, że marzną jej ręce. Przypomniała sobie Williego, stojącego samotnie na uroczystości wręczenia Nagrody
375

Oakleya. Biedaczysko. Zastanawiała się, czy umarł samotnie. Nagle zadzwonił telefon.

- Nie odbieraj - powiedział Jeffrey, patrząc na nią pożądliwie. - Mam względem ciebie inne plany.

Karen zachichotała, ale sięgnęła po słuchawkę.

- *Les Etats Unis pour vous* - powiedział operator.

O Boże, to musi być Bella. Arnoldowi coś się stało. Karen wiedziała, że nie powinna była go zostawiać, ale co miała zrobić? Zaciśnęła palce na słuchawce, spodziewając się najgorszego. Tym razem jednak się omyliła.

- Dzień dobry, tu mówi Sally - usłyszała. Przez chwilę nie miała pojęcia, kto to może być, ale zaraz przypomniała sobie - biuro Harveya Kramera. Jej życie pędzi naprzód doprawdy zbyt szybko, skoro zapomniała o własnym prawniku, zajmującym się adopcją.

- Witam panią Sally. Co słyhać? - poczuła, że serce podskoczyło jej w piersiach. Sally nie telefonowałyby do Paryża, gdyby nie wydarzyło się coś naprawdę ważnego.

- Wiem, jak rozczarowała panią ta historia z Louise. Dzwonię z naprawdę świetną wiadomością. Mamy idealną matkę przyszłego dziecka - mówiła pracownica Kramera. - Nasza klientka miała dwie matki w pogotowiu. Jedna właśnie urodziła, więc drugą oddali do naszej dyspozycji. Ma dziewiętnaście lat, jest na drugim roku studiów i rodzi za pięć tygodni. Należy do pani.

Karen leżała bez ruchu. Ledwie mogła w to uwierzyć. Popatrzyła na Jeffreya.

- Mają dla nas dziecko - powiedziała.

- No, może jeszcze nie dziecko - sprostowała Sally. - Matkę. A przy odrobinie szczęścia będzie i maleństwo.

- Czy mogłaby mi pani coś opowiedzieć o tej dziewczynie?

- Jasne. Jest katoliczką. Nazywa się Cyndi, i zostanmy lepiej przy imionach. Nie może teraz wychowywać dziecka, a jest przeciwniczką aborcji. Studiuje ekonomię. Zdolna dziewczyna.

- Co mamy teraz zrobić?

Plusem było to, że cała papierkowa robota, historia zdrowia, sonogram i inne badania zostały już wykonane. Karen musiała tylko wypisać czek, by zwrócić koszty parze, która za to wszystko zapłaciła, porozumieć się telefonicznie z Cyndi i pomóc jej przetrwać ostatni miesiąc. Oczywiście, niełatwo będzie nawiązać z nią kontakt z Paryża, ale

wiedziała, że sobie poradzi. A za parę dni wróci przecież do Nowego Jorku. Czekają na nią szaleństwo pokazów, ale po Paryżu to dziecinna zabawa! Dziecinna zabawa! - uśmiechnęła się. Niedługo będzie się bawić z prawdziwym dzieckiem.

Cyndi mieszkała w Bloomington, w stanie Indiana i Karen natychmiast zaproponowała, że zapłaci za jej następny rok w szkole. Sally odparła, że sprawdzą w biurze, czy jest to zgodne z prawem, a Karen musi poczekać do wieczora, by porozmawiać z dziewczyną. W biurze u Kramera poinformowano Cyndi, że małżeństwo chcące zaadoptować jej dziecko jest na wakacjach, i nie powinna wiedzieć nic więcej. Zgodziła się, a Sally zostawiła jej numer telefonu dziewczyny.

279

Po odłożeniu słuchawki Karen czuła się wręcz zbyt szczęśliwa.

- Cieszysz się? - zapytała Jeffreya.

- Ze względu na ciebie - odparł z pobłażliwym uśmiechem. - Chyba trochę potrwa, zanim sam będę się cieszył.

- Chcę, żebyś się cieszył ze względu na nas - powiedziała Karen i nachyliła się, by go pocałować. Ucałował jej dłoń.

- Och, *monsieur* westchnęła.

- Czy to chłopiec czy dziewczynka? - zapytał.

- Nie wiem - odparła ze zdziwieniem. - Zapomniałam spytać - uśmiechnęła się i wypowiedziała zdanie wszystkich przyszłych matek - Żeby tylko było zdrowe.

Oboje wybuchnęli śmiechem, a Jeffrey uparł się, by uczcili dziecko, zamawiając szampana.

- Tylko nie mów o tym jeszcze nikomu - ostrzegł.

- Nie powiem, dopóki nie będziemy pewni - zgodziła się.

Zjedli na śniadanie jajecznicę z grzankami, wzięli prysznic, kochali się, a potem przytuleni zasnęli. Drzemka nie trwała długo, ale gdy Karen się obudziła, było już wpół do jedenastej. Ledwie zdążyła na zaczynające się za pół godziny zebranie. Wyraziła zgodę na spotkanie z przedstawicielami europejskich tkalni, bo więcej niż prasa, gratulacje od współpracowników i nawet napływające zamówienia znaczył dla niej fakt, że po raz pierwszy poproszono ją o zaprojektowanie materiałów. Potem, razem z Jeffreyem, mieli zjeść lunch w towarzystwie Billa Wolpera. Jeszcze przez chwilę leżała w łóżku delektując się tym wszystkim. Pierwszy raz, od długiego czasu, czuła się całkowicie szczęśliwa. Będzie miała dziecko, ma męża, a kariera rozwija się lepiej niż kiedykolwiek. Dostanie wszystko! Jeffreyowi, śpiącemu wśród rozrzuconych prześcieradeł, zostawiła na poduszce liścik, że spotka się z nim o pierwszej w hotelu.

Projektowanie materiałów to marzenie każdego wielkiego kreatora mody. Zamiast wybierać spośród projektów innych osób, można stworzyć swoje. Jedynymi granicami w wymyślaniu ubrań są wtedy własne możliwości.

Brocheir, wspaniały producent z Lyonu, chciał nawiązać współpracę z Karen, a Darquer z Callais zostawił wiadomość z prośbą o telefon. Znaczyło to dla niej więcej niż Nagroda Oakleya. To tak, jakby artyście, który do tej pory musiał korzystać z cudzej palety, dać możliwość malowania wszystkimi kolorami. Karen była przejęta. Skoro odezwali się do niej Brocheir i Darquer, może pójdą w ich ślady Gandini i Taroni z Mediolanu.

Nie miała jednak czasu na rozkoszowanie się tymi propozycjami. Musiała wrócić do hotelu, by zadzwonić do Bloomington w Indianie i odbyć pierwszą rozmowę z matką swego przyszłego dziecka. Wciąż drżała z emocji po spotkaniu z przedstawicielami Brocheira, a teraz, ze zdenerwowania, ręce zaczęły jej się trząść jeszcze bardziej.

Postanowiła przeprowadzić rozmowę sama, bez Jeffrey'a. Przy nim tylko bardziej by się spięła, a cała sprawa była dla niej znacznie ważniejsza niż umowa z NormCo.

378

Zadzwoiła do hotelowej centrali i poprosiła o połączenie z numerem w Stanach Zjednoczonych. Potem odłożyła słuchawkę i czekała.

Pięć minut ciągnęło się w nieskończoność i gdy telefon w końcu zadzwonił, Karen cała się trzęsła. Odetchnęła głęboko: Gdyby była katoliczką, pewnie by się teraz przeżegnała. Zamiast tego zacisnęła kciuki i sięgnęła po słuchawkę.

- Halo - odezwał się głos po drugiej stronie. - Halo?

- Halo - powiedziała Karen. - Czy mówię z Cyndi?

- Tak. Czy to Karen?

Połączenie było dobre i miała wrażenie, jakby Cyndi znajdowała się w sąsiednim pokoju hotelowym, a nie za oceanem i połową kontynentu.

- Miło mi, że się odezwałaś - powiedziała dziewczyna. - Jesteś na wakacjach? Jak to dobrze, że dzwonisz.

Ona jej dziękuje? Głos małej brzmiał sympatycznie, choć wydawała się przerażona. Karen, chcąc nie chcąc, porównała jej ożywiony głos z bezbarwnymi wypowiedziami Louise. Miała nadzieję, że może wszystko obróciło się na dobre, choć nie była przez to mniej rozdygotana.

- Jak się czujesz? - zapytała.

- Och, jestem zdrowa jak koń. Zresztą równie wielka. Podczas pierwszych trzech miesięcy tak mi było niedobrze, że schudłam. Nie wiem, czemu mówi się na to „poranne mdłości”. U mnie trwały cały dzień i straciłam pięć kilogramów. Ale potem wszystko odzyskałam razem z dziesięcioma nadwagi.

- Co mówi lekarz?

- Twierdzi, że wszystko jest w porządku. Tylko trudno mi składać pranie; brzuch zawadza. Nie mogę nosić adidasów, bo nie jestem w stanie ich zawiązać.

- Nie masz nikogo do pomocy? - Karen powinna była ugryźć się w język. Oczywiście, że nie ma. - No to może opowiem ci trochę o sobie i o moim mężu?

- Jasne. Byłoby fajnie.

- Oboje pracujemy w przemyśle odzieżowym; szyję ubrania dla kobiet.

- Naprawdę? Szyłam trochę w szkole średniej, ale nie na tyle dobrze, by robić to zawodowo.

Karen pomyślała, że Cyndi szyje pewnie lepiej od niej, ale nie podejmowała tematu.

- Wiesz już, że mieszkamy w Nowym Jorku, prawda?

- Wiem, tak samo jak tamto małżeństwo. Byli z Queens. To w Nowym Jorku, nonie?

- Tak - Karen nie próbowała nawet wyjaśnić, że nie tylko most, ale jednocześnie cały świat dzieli Queens od Manhattanu.

- Są tam dobre szkoły? Karen uśmiechnęła się.

- Mamy kilka bardzo dobrych szkół-powiedziała-I dopilnujemy, by dziecko poszło do najlepszej. Możemy pozwolić sobie na prywatne szkoły.

Rozmawiały długo. Cyndi była miła i bardzo bezpośrednia. Opowiadała o swoim chłopaku, o tym że traktowali wszystko poważnie i mieli nadzieję w przyszłości się pobrać. Ale kiedy zaszła w ciążę, dostał histerii. Ma przed sobą

jeszcze
281

trzy lata studiów, a on chciał iść do szkoły prawniczej. Nalegał na aborcję, ale Cyndi nigdy by tego nie zrobiła. Przez to właśnie zerwali.

- Najpierw było mi bardzo przykro, ale myślę, że w końcu dobrze się stało. Wie pani, dowiedziałam się, jakim on naprawdę jest człowiekiem. Nie wyszłabym za mężczyznę, który nie kochałby naszego dziecka. - Karen przez chwilę pomyślała o Jeffreyu, zastanawiając się, czy pokocha dziecko porzucone przez własnego ojca. Mężczyźni, zdecydowała, to nie inny rodzaj; to w ogóle odmienny gatunek.

Cyndi mówiła dalej. Była pierwszą osobą w rodzinie, która dostała się na studia i za wszelką cenę chciała je ukończyć. Karen pomyślała, że to dzielna dziewczyna. Czuła, że ma szczęście, iż Cyndi zaszła w ciążę i zamiast ją usunąć, zdecydowała się urodzić dziecko. Nie wiedziała tylko, jak ona będzie w stanie później je oddać.

Przez chwilę zastanawiała się, co czeka to małeństwo. Czy dorośnie tęskniąc, tak samo jak Karen, za swą prawdziwą matką? Jednak, nawet gdyby tak miało być, pragnęła je wychować.

- Zapłacisz majątek za telefon - powiedziała w końcu Cyndi.

- Nic nie szkodzi - uspokoiła ją Karen. Pomyślała jednak, że może dziewczyna czuje się wyczerpana pierwszą rozmową - Wiesz co? Zadzwoń do ciebie w przyszłym tygodniu z Nowego Jorku, dobrze? - zaproponowała, a Cyndi chętnie się zgodziła. - Tymczasem, gdybyś miała jakieś problemy, po prostu daj znać Sally z biura pana Kramera. Zapewnimy ci dobrą opiekę - obiecała.

Po raz pierwszy głos dziewczyny załamał się.

- Dziękuję - powiedziała. - Miło to usłyszeć. Po prostu chcę mieć pewność, że moje dziecko znajdzie dobry dom - dodała po chwili.

- Znajdzie - przyrzekła Karen. - Na pewno.

Karen usiadła wygodnie na czerwonej kanapie u „Maxima”. W końcu się uspokoiła po rozmowie z Cyndi.

Opowiedziała o niej Jeffreyowi. Czuła, że przepełnia ją wielka radość. Wszystko w końcu się poukładało, a „Maxim” był odpowiednim miejscem, by to uczcić. Hotel stanowił klasyczny przykład paryskiej Art Nouveau. Obecnie należał do Pierre'a Cardina, najbogatszego projektanta na świecie. Wszystkie obicia, tapety i wzorzyste dywany utrzymano w kolorze czerwonym, niczym wewnątrz macicy. Z jakichś powodów żadne ważne osobistości nie przychodziły tu na obiad, ale miejsce było bardzo odpowiednie na służbowy lunch. Nie trzeba dodawać, że kiedy Karen i Jeffrey się zjawili; Bill zajął już najlepszy, narożny stolik.

Karen wiedziała, że ładnie wygląda, a oczy mężczyzn śledziły ją, gdy szła przez salę. Dzięki pokazowi Carl zdobył dobrą opinię i modelki tłoczyły się w jego pokoju, chcąc zasięgnąć prywatnej porady. Karen której, po rozmowie z

Cyndi, zostało do spotkania tylko dziesięć minut, zaszła do niego, by poświęcił trochę uwagi jej włosom. Nastrojowe światło w sali było zresztą dla niej łaskawe, a poza tym Europejczycy nie przekreślają pań po czterdziestce. Nie to co Nowy Jork czy - uchwaj Boże - Los Angeles, gdzie kobieta po trzydziestym piątym roku życia jest skończona.

381

Może dlatego Europejki nie darzą własnych ciał taką nienawiścią jak Amerykanki. Francuzki, im starsze, tym wydawały się pewniejsze siebie. W Ameryce większość kobiet traciła z wiekiem odwagę. Karen zastanawiała się czasem, czy z nią jest tak samo.

Teraz przynajmniej czuła się promienna, atrakcyjna i pewna jak nigdy w życiu. Cóż, czemu nie? zapytała się w duchu. Ostatecznie mąż ją kocha, będzie miała dziecko (nawet jeśli nastąpi to za czyimś pośrednictwem), jej pokaz był przebojem sezonu, a mężczyzna siedzący naprzeciwko przy stole uczyni ją - jeśli mu na to pozwoli - bardzo, bardzo bogatą. To wszystko nie było łatwe, ale wydawało się warte zachodu.

Bill i Jeffrey uścisnęli sobie ręce ostrożnie, ale nie wrogo. Karen popatrzyła . na nich. Czasem myślała, że świat mężczyzn jest bardzo tajemniczy. Wszystko wydawało się toczyć wokół sprawy terytorium - byłeś albo przewodnikiem stada, albo jego członkiem, albo jednym z tych biednych zwierząt nie dość sprytnych czy silnych by wywalczyć sobie własną przetrzeź. Najważniejsze to wygrana lub przegrana. Karen wiedziała, że Jeffrey czuje się zwycięzcą. Musiał jednak zdawać sobie sprawę, iż rezygnuje z części terytorium na rzecz Wolpera, faceta z monogramem, a nigdy nie lubił działać w zespole.

- Czy mogę dorzucić i własne gratulacje? - zapytał Wolper. - Mistrzowskie posunięcie, Karen. Naprawdę wyrobiłaś sobie markę.

Karen wydała lekceważący pomruk, a Jeffrey promieniał. Nadszedł kelner, by przyjąć zamówienia, zanim jednak zdążyła rzucić okiem na menu, wtrącił się Wolper.

- Zamówiłem wam pasztet i cielęcinę - powiedział. - To mają najsmaczniejsze. Trzeba skosztować. I pozwoliłem sobie zacząć od Pinot Noir.

Cielęcina! Karen nigdy jej nie jadła. Już na samą myśl o biednych cielętach robiło jej się słabo. Ale wielki i potężny Oz przemówił. Nie wiedziała, czy czuje się pod dobrą opieką czy sterroryzowana. Zastanawiała się, jak przyjął to mąż, on jednak wydawał się być raczej rozbawiony niż zagniewany.

- Jakie macie dalsze plany? - zapytał Bill.

- Mamy pokaz w Mediolanie - odparł Jeffrey, a Karen odwróciła głowę i spojrzała na niego. O czym on mówi? W Mediolanie wszystko skończyło się tydzień temu. Czyżby miał to być niezależny pokaz? A może mąż tylko tak gada?

- Ryzykowne - Bill jedynie pokiwał głową. - Ale jeśli udało wam się w Paryżu, dacie sobie radę w Mediolanie. A wizerunkowi firmy to nie zaszkodzi. Teraz naprawdę możemy mówić o jej międzynarodowym znaczeniu. Kiedy to ma być?

Karen spodziewała się, że Jeffrey zacznie zmyślać, ale on wyrzucił z siebie potok dat i planów.

- Przylatujemy w piątek. Spotykamy się z Bennezottim, udzielamy wywiadu Annie Piaggi i przygotowujemy pokaz na dwudziestego czwartego. Tego samego dnia wieczorem, po przedstawieniu w La Scali, wydajemy kolację. I wpłacamy dużą dotację na rzecz opery.

- Powinni o tym pisać w porannym wydaniu „L'Espresso” - pokiwał głową Wolper.

Karen zamrugała oczami. Czy Jeffrey naprawdę to wszystko zorganizował? Spojrzała na Billa.

- Pytam dlatego - ciągnął Wolper - że chciałbym pod koniec miesiąca otrzymać od was podpisaną umowę.

- Omawiamy właśnie kilka ostatnich spraw - Jeffrey uśmiechnął się do niego. - Basil na pewno na bieżąco informuje cię o wszystkim.

- Nie sądzę, aby pozostały jakieś powody do nieporozumień - Wolper odpowiedział mu uśmiechem. - Ostatecznie, chcę przecież, byście byli zadowoleni - po raz pierwszy od początku rozmowy spojrzał na Karen. - Chcę byście byli zadowoleni - powtórzył. - Czy po uzgodnieniu wszystkich drobiazgów, jest jeszcze jakieś „ale” powstrzymujące was od przyjęcia oferty? -zapytał wprost.

Karen odchrząknęła. Jeffrey miał rację. Paryski sukces sprawił, że są jeszcze bardziej pożądanymi, a, o ile mogła się zorientować, naprawdę zaplanowano pokaz w Mediolanie.

Cóż, zawarła Wielką Umowę. Oznajmiła pracownikom o planie sprzedaży firmy i wyglądało na to, że teraz, z pomocą Sally, dostanie swoje dziecko. A jednak ciągle zwlekała. Pomyślała o Arnoldzie leżącym w szpitalnym łóżku. Adoptowana czy nie i tak jest jego córką. Może zawiera pakt z diabłem? Nadszedł kelner i ustawił na stole trzy talerze. Artystycznie ułożone cienkie płatki pasztetu powlekała warstewka biało-zielonego sosu. Listeczki bazylii, maleńkie niczym dziecięce łyżki tworzyły łuk po jednej stronie talerza. Danie było prawdziwą uczcą dla oczu, ale Karen podniosła wzrok i spojrzała poprzez stół na Billa.

Mimo Wielkiej Umowy, Cyndi i czekającego dziecka, miała świadomość, że wciąż jeszcze istnieje przeszkoda.

- Tylko jedna rzecz powstrzymuje mnie przed podpisaniem kontraktu - powiedziała. - Ostatnia sprawa, która budzi mój niepokój.

Jeffrey popatrzył na nią ze zdziwieniem, a Wolper, który nadział już na widelec połowę plasterka pasztetu, zatrzymał go wpół drogi do ust.

- Opinia, jaką NormCo cieszy się na masowym rynku -ciągnęła Karen -oparta jest częściowo na waszym twierdzeniu, że większość odzieży szyjecie w USA. Ja jednak wiem, iż często zlecać pracę zagranicznym wytwórcom i chcę mieć pewność, że robotnicy pracują w dobrych warunkach. - O Boże, to brzmi zupełnie jak fragment z podręcznika socjologii. Karen była zażenowana. Wolper pomyśli, że jest „zbyt kobieca” i nie zna się na interesach. Choć nie chciała wspominać o plotkach, krążących na jego temat, musiał dokładnie wiedzieć co ma na myśli. Jeśli jednak nowy problem go rozgniewał, zupełnie tego nie okazał. Włożył pasztet do ust, przełknął i skinął głową. Po czym otarł wargi czerwoną serwetką i uśmiechnął się do Karen.

- Doceniam twoją troskę - powiedział. - I mam propozycję, która położy jej kres. Bo widzisz, Karen, żyjemy na najlepszym z możliwych światów.

Karen żałowała, że nie może w to uwierzyć, ale skinęła głową i słuchała, co będzie dalej.

384

- Oczywiście, staramy się zatrudniać Amerykanów gdziekolwiek jest to możliwe. Spójrzmy jednak prawdzie w oczy, nie zawsze otrzymujemy wysoką jakość po cenie, jakiej byśmy chcieli. Albo, jakiej chcieliby sami Amerykanie. Pragniemy jednak reklamować się jako firma typu „Made-in-the-USA”. Znaleźliśmy więc idealne rozwiązanie. Nasza tajna broń to Mariany.

- Kto? - zapytał Jeffrey, zanim Karen zdążyła zabrać głos. Wyobraziła sobie pracującą dla NormCo grupę włoskich szwaczek. Kim, u diabła, są Mariany?

- Nie kto, tylko gdzie. Mariany. Wyspy na Pacyfiku, należące do terytorium Stanów Zjednoczonych. Szyjemy tam wiele naszych wyrobów. Wszystko legalnie, z kontrolą jakości i tanio. Poza tym nie płacimy cła, a na ubraniach możemy, zgodnie z prawem, umieścić metkę „Made in the USA”.

Karen pomyślała o strojach, które wraz z Definą oglądały u Macy'ego. Pamiętała, że nie mogły się nadziwić, iż są takie tanie. Teraz już wie dlaczego. Cóż, najwyraźniej wszystko było zgodne z prawem. Ale czy z duchem prawa? Na pewno nie prawa Arnolda.

- Chciałabym obejrzeć te zakłady pracy - powiedziała. - Czy należą do NormCo?

- Jeden, a wiele wykonuje nasze zlecenia. Zlecamy także obecnie pracę w Tajlandii. Myślę, że wszystkie szwalnie ci się spodobają. Nie ma mowy o niewolnictwie. Czy ja wyglądam na Simona Legree?

Karen z uśmiechem pokręciła głową.

- Chciałabym jednak je obejrzeć - powtórzyła.

- Nie ma problemu. Kiedy możesz jechać? Moglibyśmy się wybrać wszyscy razem; wycieczka szlakiem azjatyckich fabryk.

- Za trzy tygodnie? - Karen popatrzyła na Jeffrey'a.

Wolper wyciągnął mały komputerowy kalendarz i zaczął naciskać klawisze miniaturowej klawiatury. Karen nie mogła zauważyć, jak delikatny ma dotyk. Spojrzał na nią z uśmiechem.

- Co powiecie na wylot do Bangkoku dwudziestego czwartego? - zapytał. - Właśnie skończy się pora deszczowa.

- W tym dniu planowaliśmy pokaz w Mediolanie - odparł Jeffrey.

Karen spojrzała na męża. Nie uśmiechał się. No cóż, nie on jeden samodzielnie coś planuje. Skończy się Tydzień Mody w Nowym Jorku i on pojedzie do Mediolanu, a ona do Bangkoku.

- Doskonale - powiedziała.

- Myślę, że do tego czasu umowa powinna być gotowa^ prawda? - zapytał Wolper.

- Sądzę, że między nami wszystko jest jasne - odparł Jeffrey - jeśli tylko Basil nie będzie zgłaszał dalszych problemów.

- Nie będzie żadnych trudności. Jestem pewien - zwrócił się do obojga Bill. -Możemy więc zaplanować podpisanie umowy przez trzydziestym tego miesiąca. Wypijemy za to? - zapytał, unosząc kieliszek.

W czasie, gdy jej ciotka dławiła się cielęciną, Stephanie w swym pokoju wymiotowała lunch. Cały ranek spędziła przeglądając gazety, które kupiła jej Lisa.

285

Choć nie bardzo rozumiała po francusku, czuła się oszołomiona popularnością zdobytą przez „Nową Sierotkę”. O czarnym pokazie pisano wszędzie, o białym zamieszczono jedynie wzmiankę, że na jego końcu zjawiała się Karen. Nie wspomniano też o innych modelkach, nawet o Tangeli. Stephanie była dumna i jednocześnie przerażona. Wiedziała, że osiągnęła sukces, bo prawie nic nie jadła, teraz było jasne, iż postąpiła słusznie. Zastanawiała się jednak, jak długo wytrzyma.

Myślała też, że ciotka Karen miała rację. Jest dobrą modelką. Jednak duma i strach doprowadziły ją do tego, że zadzwoniła po obsługę, zamówiła i zjadła trzy kanapki z kurczakiem oraz całą porcję *pysznychpommefrites*. Kiedy wszystko pożarła, zwymiotowała. Potem, by mieć pewność, że żadna z kalorii w niej nie pozostała, założyła na uszy słuchawki i zaczęła ćwiczyć aerobic. Ruszała się gorączkowo, przepełniona strachem i radością myśląc o wszystkich czekających ją teraz propozycjach pracy.

- Podobam się im - śpiewała do wtóru taśmy z piosenkami Soup Dragons, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

- Kto tam? - zapytała Stephanie i zażenowana, szybko przykryła zdradziecką tacę z brudnymi naczyniami.

- To ja, Tangela. Mogę wejść?

Zdziwiona, otworzyła drzwi. Odkąd Karen zdecydowała, że jej siostrzenica zastąpi Marię, córka Definy całkowicie ją ignorowała.

- Cześć. Proszę, wejdź.

- Dziękuję - Tangela dumnym krokiem przeszła przez pokój i rozciągnęła się na łóżku.

- Robisz sobie album? - zapytała, patrząc na rozrzucone po pokoju gazety. Stephanie natychmiast się zmieszała, a na jej twarz wypłynął rumieniec. Albumy są dla dzieci.

- Nie, pomyślałam tylko, że wybiorę niektóre i wezmę do domu, by pokazać koleżankom.

- Koleżankom z liceum? To dziecinada - prychnęła tamta. - Jeśli chcesz, by w branży zwracano na ciebie uwagę, by podobać się wszystkim, od ciotki do agencji i fotografów, musisz zachowywać się jak kobieta, a nie jak dziecko - Tangela przymrużyła podłużne, ciemne oczy, mierząc wzrokiem Stephanie, jakby widziała ją po raz pierwszy. -

Może rzeczywiście odniesiesz sukces - powiedziała.

- No, dobrze, a co powinnam robić?

- Przede wszystkim rzucić szkołę. Musisz działać teraz, kiedy jesteś na fali.

- Rzucić liceum? - taki pomysł nigdy nie przyszedł Stephanie do głowy.

- Oczywiście. To kula u nogi. Myślisz, że ludzie będą pamiętać o tobie za rok czy dwa, jeśli znikniesz z wybiegu?

- Chyba nie - Stephanie wzruszyła ramionami. - Co jeszcze?

- Musisz zawsze ładnie wyglądać, być pełna życia i uważać, by nie przytyć. Gdybyś nie schudła, nikt by na ciebie nie zwrócił uwagi. Powinnaś być mi wdzięczna - gdy modelka mówiła ostatnie słowa, Stephanie zauważyła w jej oczach zły błysk. Ale Tangela była przecież miła, czyż nie?

387

- Jestem wdzięczna. Naprawdę. Zawsze starannie robię makijaż. Nie noszę ubrań, które nie pasują do mojej cery i, no cóż, staram się pilnować wagi...

- To jest najważniejsze - powiedziała Tangela. Przebiegła wzrokiem pokój i wypatrzyła tacę po lunchu. Uśmiechnęła się z satysfakcją a Stephanie zarumieniła. - Proszę, proszę. Cóż, musisz zacząć palić. Wszystkie to robimy.

- Nie ma mowy. Matka by mnie zabiła.

- Co tam matka. One wszystkie są stare, zazdrosne i skończone. Musisz palić. I słuchaj, mam coś jeszcze, co pomoże ci utrzymać wagę i sprawi, że nigdy nie zabraknie ci energii.

- Myślisz o tabletkach odchudzających?

- Coś ty. Dawno z nich zrezygnowałam. Mówię o koce.

- Dietetycznej czy zwyczajnej? - wyrwało się Stephanie, która zaraz potem miała ochotę ugryźć się w język.

Dzieciaki w Inwood rozmawiały o koce, ale nikt z jej kolegów tego nie zażywał.

- Boże, dziewczyno, gdzieś ty się uchowała? - Tangela śmiała się jak szalona. - Nie mówię o napoju dla dzieci, mówię o kokainie.

Stephanie poczuła lekki strach. Parę razy paliła marihuanę, a potem kręciło jej się w głowie i była głodna. Koka to prawdziwy narkotyk.

- Nie. Nie ma mowy. Ja...

- Słuchaj, chcesz się utrzymać w branży i odnieść sukces? Jeśli tak, będziesz czegoś potrzebowała - Tangela wskazała podbródkiem pustą tacę. - Ślęczenie nad toaletą, to nie rozwiązanie. Uwierz mi, to jest to - położyła torebkę na kolanach i zaczęła w niej grzebać. - O, jest - wyciągnęła czarną, satynową kosmetyczkę, a z niej lusterko, małą srebrną łyżeczkę, żyletkę i banknot studolarowy.

Stephanie nie wiedziała co począć. Oto Tangela, prawdziwa modelka i jej idolka, daje rady i po raz pierwszy jest dla niej miła. Nie chciała pójść za jej przykładem, choć była zbyt zawstydzona by to powiedzieć. Tangela знаła prawdę o wymiotowaniu. Wydawała się wiedzieć wszystko. Stephanie zastanawiała się, czy uzależni się, jeśli spróbuje tylko trochę. Czy od tego można zwariować? Czytała kiedyś o dziewczynie, która zażyła narkotyk i wyskoczyła przez okno. Myślała, że jest ptakiem. Czy to była właśnie koka? I co będzie, jeśli matka się dowie?

i ciotka Karen?

Tangela nie traciła czasu. Wysypała na lusterko trochę białego proszku i uformowała go żyletką w trzy wąskie paski. Potem zwinęła banknot w rurkę.

- Wszystkie modelki biorą - powiedziała. - Myślisz, że jak inaczej mogłybyśmy być takie chude i tańczyć na wybiegach? Mówię ci, kłamię w tych reklamach na temat coca-coli. To jest naprawdę to.

Wsunęła sobie koniec rurki do nosa, co wyglądało paskudnie. Stephanie zmusiła się, by patrzeć, choć było jej wstyd. Tangela zaś przystawiła koniec banknotu do długiej ścieżki proszku i wciągnęła ją do nosa. Boże, co za obrzydliwość! Zupełnie jak odkurzacz. Stephanie nigdy nie zadawała się w szkole z młodzieżą zażywającą narkotyki. Przyjaźniła się z lubianymi, ambitnymi dzieciakami, nie z ćpunami. A alkohol nawet jej nie smakował, nie mówiąc o tym, że było w nim za dużo kalorii. Kiedy jednak Tangela podniosła oczy i uśmiechnęła się, po czym

287

podala jej banknot, Stephanie wiedziala, ze to wyzwanie i jezli go nie podejmie, nigdy nie zostanie zaakceptowana. Krzywiac sie, wsunela rurke do nosa. Byla mokra i to wystarczylo, ze dziewczynie zebralo sie na wymioty. Przez moment zastanawiala sie przerazona, czy nie moglaby jakoś symulowac wciagania koki, ale sciezka proszku zniknela gdy robila to Tangela. Westchnela glęboko, po czym zdala sobie sprawe, ze musi zrobic w plucach miejsce na wdech. Wypuscila powietrze i uklękla przed lusterkiem. Jak mogla najszybciej wessala proszek wglab nosa, niczym malý odkurzacz.

Zapiekló, ale nie na tyle by kichnac. Stephanie poczula, ze wali jej serce. Oddala rurke Tangeli, a ona usmiechnęla sie i wciagnęla trzy następane rzadki.

Stephanie wstala. Troche kręcilo jej sie w glowie. Czula w uszach szum krwi. Swędzial ją koniec nosa, wiec potarla go ręką. Wciagnęla powietrze.

Na piersi, czole i nad górną wargą wystapily male kropelki potu. Znów potarla koniec nosa. Serce bilo jej coraz mocniej, ale nie byla juz przerazona. Ze zdziwieniem stwierdzila, ze czuje sie zupełnie dobrze. Bardzo dobrze. Wcale sie nie boi. Tangela ciagle jeszcze pochylala sie nad stolikiem, robiac cos przy lusterku. Stephanie podeszla do okna i wyjrzala. Nie jest źle. Czula sie wysoka, szczupla i wazna. Popatrzyła na lezace na lozku wycinki z gazet i nagle stwierdzila, ze swiat lezy u jej stop. W tej chwili byla „Sierotką Przyszlosci” i wiedziala, ze moze odniesc sukces. Rzuci szkole. Zarobi mase pieniedzy. Potrafi wszystko. A najlepsze w tym bylo to, iz glód, który od tak dawna sciskal jej zoladek chyba nareszcie ustał. Stephanie uswiadomila sobie, ze jest wolna. Nigdy wiecej nie bedzie juz musiala jesć ani ponizac sie, klękajac nad sedesem. Byla panią sytuacji.

Tymczasem Tangela wysypala kolejne rzadki proszku. Stephanie zdziwila sie. Po co? Miala juz dosyc. Ale tamta tylko sie rozesmiala.

- A co, nie mowilam? - pytala. - Nie powiedzialam ci, na czym polega sekret? Stephanie przytaknela. W ustach zaschlo jej tak, ze nie mogla mowic, ale

Tangela wyręczyła ją w tym.

- Wez jeszcze troche - powiedziala. - Wez jeszcze, a potem pojdzimy na zakupy. Wieczorem zabiorę cię do baru.

Wszyscy beda sie gapili; juz nas znaja. Ebony and Ivory - rozesmiala sie i tym razem zabrzmialo to dziko. - Bedziemy jak Naomi i Linda. Tylko mlodsze - podala rurke Stephanie, która uklękla przy stoliku i wciagnęla sciezke proszku z lusterka. Tym razem patrzyla bez problemow, jak w nosie Tangeli znikaja cztery kolejne rzadki. Przez moment zastanawiala sie, czy proszek mozna przedawkowac, a po chwili poczula mocne, mocniejsze niz przedtem,

bicie serca. W uszach znów zaszumiała krew. Tangela wybuchnęła śmiechem. Stephanie zawtórowała jej, choć nie bardzo wiedziała, dlaczego to robi. Po prostu czuła się świetnie, a Tangela była jej przyjaciółką.

- Wczoraj w nocy wszyscy o ciebie pytali. Gdzie nie poszłam, każdy chciał wiedzieć, co się z tobą stało.

- Cudownie - uśmiechnęła się .Stephie. - Szkoda, że nie mogłam przyjść, ale matka i ciotka...

- Do diabła z twoją ciotką. Wielka gruba małpa. Tak jak i moja matka. Nikt o mnie nie pisał. Nie byłam w telewizji. Nie dostałam czarnej sukni. Czyja to

390

wina? Żmije - Tangela pochyliła się nad stolikiem, ale tym razem małą srebrną łyżeczką uniosła proszek wprost do nosa. Wciągnęła go, a na ciemnej skórze ponad górną wargą pojawiła się połowa białych wąsów. Dziewczyna wciąż mówiła, ale cichszym głosem. Coś o swoim chłopaku i o Marii Lopez.

- Pieprzę ich - wrzasnęła nagle, aż Stephanie podskoczyła. - Pieprzę ich oboje! Jestem ładniejsza niż ta dziwka. Jestem ładniejsza niż ty.

Stephanie zobaczyła, że Tangela zaczyna się pocić. Jej oczy wydawały się tak wielkie, jakby miały wyskoczyć z orbit, a białka przekrwione. Poczowała zawrót głowy.

- Dobrze się czujesz? - położyła dłoń na ramieniu nowej przyjaciółki. -Ludzie usłyszą - syknęła ostrzegawczo.

Tangela odskoczyła i uderzyła ją w rękę.

- Wynoś się. Kim ty, u diabła, jesteś? - prychnęła i podeszła do łóżka. Podniosła jedno z gazetowych zdjęć. -

Odpieprz się - powtórzyła, mnąc je w rękę. -Rozpieszczona dziwka! - sięgnęła po resztę gazet i zaczęła je szarpać i drzeć.

- Hej! - zawołała Stephanie. Serce biło jej coraz szybciej. Może Tangela nie jest jej przyjaciółką? Czuła, że ogarnia ją strach tak wielki jak siła, którą czuła jeszcze parę minut temu. Tangela spojrzała na nią.

- Zamknij się! -wrzasnęła.-Myślisz, że kim, kurwa, jesteś?-i upadław ką przy łóżku.

- Co się tu, do cholery, dzieje - rozległ się głos Definy. Stała w progu wraz z chłopcem hotelowym, który trzymał zapasowy klucz. Stephanie odwróciła się ku niej. Naprawdę nie miała pojęcia.

Rozdział 26

Brzuch do wynajęcia

Był to jeden z tych cudownych dni, kiedy nowojorczyki wiedzą, że lepiej mieszkać w tym mieście, niż gdziekolwiek indziej na świecie. Riverside Park, leżący wzdłuż srebrnego rękawa rzeki Hudson lśnił niczym szmaragdowa bransoleta. Karen, wyglądając przez okna swego mieszkania, pomyślała, że zapowiada się idealny dzień. Dziś właśnie Cyndi, matka jej przyszłego dziecka, miała przybyć do Nowego Jorku.

Uzgodnili, że dziewczyna spędzi tu kilka ostatnich tygodni i urodzi dziecko w Doctor's Hospital. Karen pragnęła, by przyleciała z Bloomington pierwszą klasą, ale Sally to odradziła.

- Linie lotnicze nie przyjmą na pokład osoby tuż przed porodem, a poza tym, dziewczyna czułaby się skrupowana w pierwszej klasie - mówiła. - To jeszcze dzieciak, studentka. Pochodzi z robotniczej dzielnicy Chicago. Niech nie ma poczucia, żeście ją kupili. Komfort tak, ale nie luksus.

Cyndi miała więc przyjechać dzisiaj autobusem, a Karen i Jeffrey spotkać się z nią na dworcu Port Authority, u zbiegu Czterdziestej Pierwszej Ulicy i Ósmej Alei. Karen wołała nie myśleć o tym, jak Cyndi i jej pęcherz zniosą dwunastogodzinny napór, ale dziewczyna, gdy rozmawiała z nią przez telefon, wydawała się wesoła, a nawet podekscytowana. Karen od dwudziestu lat nie była na dworcu autobusowym. Mieli tam jednak spędzić tylko parę chwil i szybko pojechać z Cyndi do hotelu „Wales”. Był to mały pensjonat przy Madison Avenue, prowadzony przez rodzinę w Upper East Side, niedaleko Doctor's Hospital, znakomita okolica; Sally odradziła im umieszczenie dziewczyny w sąsiedztwie.

- Ani w waszym domu, ani nigdzie w pobliżu. Nie powinna znać waszego nazwiska, wiedzieć gdzie mieszkacie czy pracujecie. Zaufaj mi, Karen. Nie chcesz chyba łamać sobie serca, uczestnicząc w sprawach sądowych, albo całe życie dostawać listów błagających o pieniądze, czy możliwość odwiedzin. Ona zgodziła się oddać dziecko i nigdy go już więcej nie zobaczyć. Uwierz mi, tak będzie najlepiej.

Karen przeszły ciarki po plecach.

290

- A jeśli moje dziecko będzie kiedyś chciało odnaleźć swą naturalną matkę? - zapytała. - Jeśli kiedyś, w przyszłości, zapragnie się dowiedzieć?

- To co innego. Teraz rozmawiamy o Cyndi, która jest dorosła i podjęła dojrzałą decyzję. Twoje dziecko nie może wybrać swego urodzenia czy adopcji. Potem, gdy dorośnie, może podjąć takie kroki, jakie będzie chciało.

Cyndi miała urodzić chłopca. Małżeństwo, po którym Karen ją odziedziczyła, nalegało na zrobienie badań prenatalnych, tak więc znali już płeć dziecka. Na Jeffreyu myśl, że będzie miał syna, a nie córkę, nie wydawała się wywierać większego wrażenia. Był przede wszystkim pochłonięty wyjaśnianiem miliardów szczegółów przed podpisaniem ostatecznej umowy z NormCo. Prawdę mówiąc, odkąd wrócili do domu z Paryża, zachowywał się z więcej niż lekką rezerwą. Może niezadowolony był choć się do tego nie przyznawał, że wspólnego wyjazdu żony i Billa do Bangkoku. Karen wiedziała jednak, że wielu prawdziwych przyszłych ojców czuje dystans wobec mającego urodzić się dziecka, a Jeffrey nie miał przecież za wiele czasu, by się do myśli o nim przyzwyczaić. Liczyła, że gdy naprawdę weźmie syna w ramiona, pojawią się uczucia.

Powrót z Paryża nie oznaczał odpoczynku. Czekał ją nowojorski pokaz. Teraz szybko ubrała się w czarną sukienkę i sweter. Okazała się jednym z najpopularniejszych modeli paryskiego pokazu. Popatrzyła na swe odbicie. Za surowo? Za szykownie? Nie chciała, by Cyndi poczuła się oszołomiona. Zdarła sweter i sukienkę, po czym wcisnęła się w dżinsy, rozmiar dziesiąty, do których włożyła wycięty w serek, perłowszary, bawełniany sweter. Na nogi wsunęła brązowe mokasyny firmy Botega Veneta, a na ramieniu zawiesiła dobraną kolorem torbę na pasku. Tak jest lepiej. Ubiór prosty, bezpretensjonalny i młodzieńczy, ale nie ostentacyjny. Nie chciała zaszokować Cyndi swoim wiekiem. Mogła, przynajmniej biologicznie, być matką dziewczyny i babcią dziecka. Karen wzdrygnęła się. No cóż, nie jest starsza od wielu kobiet rodzących teraz w Nowym Jorku spóźnione dzieci. W ostatniej chwili związała sobie z tyłu włosy szyfonową apaszką. Ładnie. Zwyczajnie. Tak jak trzeba. Do sypialni wszedł Jeffrey.

- Prawie gotowa? - zapytał. Również miał na sobie dżinsy, a do nich koszulę i marynarkę z bawełnianego tweedu. W stylu Armaniego. Też tak jak trzeba. - Samochód już czeka - ostrzegł. - A ja nie chcę, żeby ta mała choć chwilę była sama na dworcu. Bóg jeden wie, co jej się tam może przydarzyć.

Karen chwyciła szminkę i zjechali windą na dół. Jeffrey wziął żonę za rękę i musiała wsunąć szminkę do kieszeni.

- Zimna dłoń - powiedział.

- Za to serce gorące - odparła.

- Denerwujesz się?

Przytaknęła i spojrzała na zegarek. Za dwadzieścia pięć minut miał przyjechać autobus.

- Zastanawiałeś się już nad imieniem? - zapytała.

- Może Czyngis? Twoim zadaniem dobrze współgra z nazwiskiem Kahn.

- Bardzo śmieszne. Czemu nie Atylla?

- Tak mógłby się nazywać tylko kurczak. Kura Atylla.
- Czasem zdaje mi się, że nie traktujesz tego zbyt serio - skarciła go Karen.
- Słuchaj, sama wybierz imię. Jeśli tylko nie będzie się nazywał Max, Ben lub Joshua - jak każdy dzieciak poniżej pięciu lat w West Side - zgadzam się na wszystko.

Dworzec autobusowy Port Authority był ogromny i wcale nie taki obskurny, jak zapamiętała go Karen. Teraz, w godzinach szczytu, tysiące ludzi dojeżdżających do pracy przemierzało szybkim krokiem ogromną, wyłożoną kafelkami halę, a z gardzieli ruchomych schodów wylewały się wciąż nowe masy mężczyzn ubranych w garnitury. Włóczędzy i bezdomni, których na pewno tu nie brakowało, z powodu tłoku znacznie mniej rzucali się w oczy.

- Barany - powiedział z obrzydzeniem Jeffrey. Był snobem i na dojeżdżających patrzył z góry.
- Nie bądź niemiły - zwróciła mu uwagę Karen.
- A jak ty byś ich określiła?
- Mężczyźni biegający z teczkami.
- Brzmi jak drugi tom *Kobiet biegających z wilkami*.
- Może poradnik - zachichotała Karen. - *Mężczyźni biegający z teczkami i kobiety, które ich kochają*. Jeffrey roześmiał się. Miał taki miły śmiech.

Znaleźli informację i dowiedzieli się, na które stanowisko podjeżdża autobus z Bloomington. Poczekalnia była na piętrze. Stojąc na wykładanej kafelkami podłodze, wyglądali przez wielkie przyciemnione szyby na długi rząd stanowisk i nieustannie podjeżdżające i odjeżdżające autobusy. Karen spojrzała na zegarek. Jeszcze pięć minut, jeśli autobus się nie spóźni.

Przybył punktualnie, a nawet trochę wcześniej. Patrzyli, jak podjeżdża, a Karen czuła, że brakuje jej tchu. Pomyślała o Louise i na chwilę zamknęła oczy. Modliła się, by nie musiała jeszcze raz przeżywać takiej sytuacji. Drzwi rozsunęły się, wysiadł kierowca, a zaraz za nim pojawiła się młoda, ciemnowłosa i ciem-nooka dziewczyna z brzuchem tak wielkim, jakby była w dziesiątym miesiącu ciąży. Kierowca pomógł jej wysiąść. Nawet przez ciemne szyby widać było jaskrawą pomarańcz podkoszulka, który miała na sobie i turkusową lamówkę sportowych butów firmy Nike. Natomiast wyrazu twarzy nie dało się odczytać. Dziewczyna pomachała na pożegnanie jakimś wysiadającym osobom i rozejrzała się wokoło. Karen wczepiła palce w ramię Jeffrey'a.

- To na pewno ona - powiedziała. - Idź zapytać.

Nagle ogarnęło ją onieśmienie. Nie miała odwagi spotkać się z nastolatką, mającą urodzić jej przyszłego syna. Jeffrey spojrział na nią.

- Jesteś pewna? - zapytał.

- Proszę - tylko tyle była w stanie z siebie wydusić. Patrzyła, jak wychodzi przez aluminiowe drzwi i wita się z dziewczyną. Zobaczyła, jak tamta kiwa głową, potem uścisnęli sobie dłonie i przeszli do autobusu, gdzie leżała sterta zniszczonych bagaży, a kierowca wyładowywał kolejne kartonowe pudła i papierowe torby. Dziewczyna wskazała szarozieloną walizkę Samsonite i torbę w kolorze khaki. Karen patrzyłajak Jeffrey je podnosi i zaczyna przepychać się przez tłum,

394

torując drogę swej towarzyszce. Oboje weszli przez aluminiowe drzwi i ruszyli w kierunku Karen. Poczuli, że brak jej powietrza i że chyba zaraz upadnie na tę twardą, zimną podłogę. Zdołała jednak utrzymać się na nogach.

- Karen, to jest Cyndi.

- Cześć - powiedziała dziewczyna, a Karen udało sięjakoś wyciągnąć rękę i uścisnąć podaną jej ciepłą dłoń.

Zabrali Cyndi na lunch do „Zielonej Tawerny”. Jeffrey trochę się krzywił, ale Karen wiedziała dla kogo to robi.

Dziewczyna była nie tylko pod wrażeniem, ale naprawdę przejęta. Przez szyby Kryształowej Sali patrzyła na drzewa w parku. Ponad głowami połyskiwały dziesiątki różnokolorowych weneckich żyrandoli. Nie mogła się nadziwić, że jest tu tak pięknie.

- Jejku, to niesamowite - mówiła. - Nigdy nie byłam w takim fajnym miejscu.

- Cóż, nie jesteś już w Kansas - powiedział Jeffrey.

- Nie Kansas - poprawiła go Cyndi, nie zrozumiałwszy aluzji do Czarnoksiężnika z Oz. - Indiana. Jestem z Indiany. - Jeffrey skinął głową i był na tyle łaskawy, że się nie uśmiechnął.

- Jak minęła podróż? - spytała Karen.

- Fajnie. Siedziałam obok bardzo miłej pani. Jechała w odwiedziny do wnuczki. To była także jej pierwsza wycieczka do Nowego Jorku.

Karen pytała o przebieg ciąży, o studia i czy Cyndi nie było przykro, gdy państwo MacKenzie zrezygnowali z niej na rzecz innej matki.

- Nie bardzo, a raczej już nie. Chociaż byli naprawdę mili. Nigdy ich jednak nie spotkałam, a wy wydajecie się, hm, bardzo fajni.

Dziewczyna nie była głupia, choć, zdaje się miała pewne problemy z przymiotnikami. Skończyli lunch i poszli powoli w stronę Central Parku, skąd taksówką pojechali do hotelu.

- Może chciałabyś się odświeżyć - zaproponowała Karen. - Albo zdrzemnąć.

- Och, nie. Czuję się świetnie

Zanieśli jej torby do pokoju, którego zachodnie okno wychodziło na zbiornik'wodny, a południowe na Madison Avenue. Cyndi wyrzała na zewnątrz.

- To wygląda zupełnie jak Disney World dla dorosłych-westchnęła.

- Tak, tylko, że Miki ma pistolet - poinformował ją Jeffrey. Karen rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Będzie ci tu wygodnie? - zapytała. Wynajęli jej apartament - z małą kuchenką, niewielkim salonikiem i dużą, narożną sypialnią o czterech wielkich oknach. - Okolica jest bezpieczna. Może pójdziemy teraz, byś mogła się rozpakować i przyjdziemy później zabrać cię na obiad? - Karen musiała wracać do pracy. Jak zwykle po nowojorskich pokazach, z całego kraju napływali na zakupy przedstawiciele sklepów.

- Jasne. Byłoby fajnie - dziewczyna podała rękę Jeffreyowi, a gdy Karen ją objęła, odwzajemniła uścisk, mimo zawadzającego brzucha.

293

- Cieszę się, że tu jesteś - powiedziała Karen. - Naprawdę bardzo się cieszę. A Cyndi uśmiechnęła się do niej niczym Madonna.

Karen, radosna i podniecona z powodu dziecka, czuła jednak wyrzuty sumienia, że nie była przy Definie, gdy ta przeżywała kłopoty z Tangelą. Awanturę, jaka wybuchła w Paryżu słyhać było aż przy wieży Eiffla. Na drugi dzień po przyjeździe Cyndi, Karen zaprosiła więc przyjaciółkę na lunch i w charakterze niespodzianki zamówiła stolik w „Cafe des Artistes”, odwiedzanym przez cyganerię *haute bistro* tuż przy Central Parku. Spóźniła się trochę i gdy przyszła, Defina siedziała już przy stoliku pod oknem. Malowidła na ścianach i ciemna stolarka pięknie uwydatniały kolor jej skóry.

- Może czujesz się źle, ale wyglądasz ładnie - powiedziała Karen, zajmując przeciwległe krzesło.

- Ostatni ratunek przerażonej kobiety. Wiesz, jak to jest - gdy już nad niczym nie panujesz, zawsze jeszcze możesz umalować sobie oczy.

- Co się dzieje?

- O Boże, Karen, naprawdę nie wiem. Zdaje się, że wszystko robiłam nie tak. Nie miałam żadnej władzy nad Tangelą, ale dzięki Bogu, jest nareszcie skłonna do rozmowy. Ten facet mało jej nie zamordował. Nie znam kobiety, której by nie mógł zniszczyć mężczyzna. Powiedziałam jej, że potrzebuje leczenia, a narkotyki ją zabijają.

Wyrzuciłam z pracy, a potem zaproponowałam odwyk. Oświadczyłam, że jeśli tego nie zrobi, to nie wiem, jak długo utrzyma się w branży. Kiedy dziewczyna przestaje przychodzić na umówione spotkania, szybko wypada z obiegu - Defina pokręciła głową. Jej oczy zaszyły łzami, które drżały na dolnej powiece, srebrząc się niczym rtęć w termometrze. - Co jeszcze mogę zrobić? - zapytała.

- Nie obwiniaj się - Karen wzięła ją za rękę. - Zrobiłaś co mogłaś. Nie jesteś w stanie zapanować nad wszystkim.

- Jeśli nie moja, to czyja to jest wina? - Defina wyszarpnęła dłoń. - Pana Boga? Chłopaka Tangeli? Wychowano mnie w przekonaniu, że będę taka, jak sobie na to zapracuję, a ci którzy tego nie potrafią, mogą mieć pretensję tylko do siebie. Czy teraz mam przestać w to wierzyć? Czy mam zrezygnować z ponoszenia odpowiedzialności, kiedy zaczęły się kłopoty? - popatrzyła na Karen zmrużonymi oczami.

Karen starała się znaleźć słowa, które by jej pomogły.

- Posłuchaj - powiedziała. - Zgadzam się z tobą i jestem po twojej stronie. Powiedziałaś prawdę. Bierzesz na siebie odpowiedzialność. Może Tangelą będzie teraz zmuszona się tego nauczyć.

- Powinnam była nauczyć ją wcześniej - Defina przygryzła wargę i pokręciła głową. - Przegrałam - urwała, starając się opanować. - Nie wiesz jak to jest. Jak to jest mieć córkę. Na długo zanim się urodziła, była częścią mnie. Zawsze tak było. Nie wiesz, jakie to okropne uczucie, gdy nic więcej nie możesz zrobić.

- To prawda. Nie wiem.

397

- Za ciężko jest samotnie wychowywać dziecko - powiedziała Dee. - Pewnie nie powinnam tego próbować. Swojego ojca widziała tylko parę razy, a potem byli ci wszyscy faceci. Ani mnie, ani jej na nic się nie przydali. Ci wszyscy przystojni, wysocy, bezużyteczni mężczyźni - westchnęła. - Nic dziwnego, że sama sobie takiego znalazła.

- Daj spokój, Dee, nie katuj się tak. Pracowałeś, żeby ją utrzymać. Zapewniłeś jej miły dom. Posłałeś do prywatnej szkoły. Poświęcałeś cały swój wolny czas. Zrezygnowałeś z mężczyzn. A teraz wyślesz ją na odwyk. Zrobiłeś wszystko, co mogłeś. Spójrzmy prawdzie w oczy - w tym kraju nie pomaga się pracującym matkom. Zwłaszcza samotnym. Popatrz, o ileż lepiej jest we Francji. Piękne państwowe przedszkola, zapomogi. Ale tutaj nie jest łatwo być samotną albo pracującą matką, czy jednym i drugim. Nie mówiąc o byciu czarną.

To wszystko spłynęło po Definie jak woda. Zdawała się nie tyle odrzucać słowa Karen, co w ogóle ich nie słyszeć.

- Nie powinnam była pozwolić jej zostać modelką-mówiła. -Musisz zadzwonić do swojej siostry, do Lisy, i powiedzieć jej, by trzymała Stephanie z daleka od tego wszystkiego. Zrób to.

- Dobrze, Dee - obiecała Karen.

* * *

Rozstały się przed drugą. Karen współczuła Definie, nic jednak nie było w stanie zgasić jej wspaniałego nastroju. Sprzedaż w domu mody była wszelkie rekordy, a Cyndi chyba dobrze się czuła w hotelu. Jeffrey był dziś po południu czymś zajęty, ale to nie miało większego znaczenia, gdyż musiała zatelefonować do pana Centrillo. Wiedział, że wyjeżdżała, a nie dzwoniła do niego z Paryża. Teraz jednak była sama w mieszkaniu i postanowiła się do niego odezwać. To już ostatni kawałek układanki. Miała nadzieję, że detektyw się czegoś dowiedział. Centrillo odebrał telefon.

- Och, to pani, pani Cohen. Już pani wróciła? Jak się udały wakacje? Karen czuła się jakoś winna, okłamując go. Był takim miłym człowiekiem.

- Dobrze - odpowiedziała.

- Woda w jeziorze nie za zimna? - zapytał. Przez chwilę nie wiedziała, o czym on mówi. Potem przypomniała sobie, że powiedziała mu o wyjeździe nad jezioro George.

- Było cudownie - odparła. - Czy ma pan dla mnie jakieś wiadomości?

- Bardzo mi przykro. Ślepa uliczka. Skontaktowaliśmy się z agencją która przeprowadzała pani adopcję. Dane są utajnione.

Karen poczuła tak wielkie rozczarowanie i gniew, że ledwie mogła złapać oddech.

- Chwileczkę. Mówi pan, że odnalazł agencję, która ma moje dane, ale my nie możemy ich zobaczyć? - kto dał im prawo ukrywać przed nią jej własną przeszłość?

- No cóż, nie wiemy na pewno czy to właśnie ta agencja, ale najprawdopodobniej tak. Nie możemy tego sprawdzić. Ostrzegałem panią, że tak może być.

295

Jakie to niesprawiedliwe. Dlaczego obcy ludzie i sądy mogą znać jej tajemnicę, a ona nie?

- Więc to koniec? - Karen poczuła, jak głos jej się załamał. Pan Centrillo także to usłyszał.

- Niech pani posłucha, mam pewną propozycję. To znaczy, jeśli jest pani pewna, że nadal chce szukać.

Rozmawiałem tam z paroma osobami i oni odnaleźli dane o zatrudnieniu pani Talmidge. Powiedziałem, że odziedziczyła pieniądze. To jedyny ślad. Mógłbym spróbować ją wytropić. Dawno przeszła na emeryturę i mieszka gdzieś na Florydzie, jeśli jeszcze nie umarła. Może mogłaby nam pomóc, może coś zapamiętała, choć szanse są niewielkie.

Karen pomyślała o Cyndi, jej wielkim brzuchu i słodkim uśmiechu. Czy za trzydzieści lub czterdzieści lat będzie chciała, by odnalazło ją dziecko, które nosi w sobie? Czy kiedyś, gdy stworzy swe przyszłe życie, a to co się teraz dzieje pozostanie bolesnym wspomnieniem, będzie chciała odgrzebywać całą sprawę? I czy jej syn zapragnie ją odnaleźć?

- Tak - powiedziała Karen. - Chcę szukać dalej.

- W takim razie coś pani zaproponuję. Znam pewnego człowieka. Działa trochę niekonwencjonalnie. Nazywa się Paige. Minos Paige. Otóż on zna rozmaite sztuczki. Potrafi pomóc ludziom przypomnieć sobie różne rzeczy. Ale jak już mówiłem, działa trochę niekonwencjonalnie i jest bardzo drogi.

- Co to znaczy bardzo drogi? - zapytała Karen.

- Będzie pewnie chciał dziesięć tysięcy dolarów zaliczki, a potem jeszcze więcej, zależnie od rezultatów. Już od dość dawna pracuje, co jakiś czas, na Florydzie i stanowi naszą największą szansę na odszukanie pani Talmidge. Wciąż nie mamy żadnych gwarancji, ale w tym momencie to wszystko, co jestem w stanie zaproponować. Paige może także złamać opór kogoś z agencji, albo, gdy dostanie jakieś informacje od Talmidge, dobrać się do danych w sądzie.

Czasem radzi sobie ze sprawami, którymi ja - hm, my się nie zajmujemy.

Karen zastanawiała się, czy Centrillo mówi o łapówkach, włamaniach czy czymś jeszcze gorszym.

- I zwykle ma efekty? - zapytała.

- O tak. Jest bardzo skuteczny.

- Dziś wyślę panu ekspresem pieniądze - powiedziała Karen. - Wyjeżdżam na dziesięć dni w interesach, ale jak tylko wrócę zaraz do pana zadzwonię.

- Dużo pani podróżuje - zauważył Centrillo. Karen przytaknęła. I tak prawie nic o niej nie wiedział - Nie wiem, czy Minos zdąży coś znaleźć w ciągu dziesięciu dni, ale będę czekał na pani telefon.

Karen chciała dopilnować, by Cyndi w czasie ostatniego miesiąca ciąży nie czuła się samotnie. Cały wolny czas, jaki mogła wygospodarować, spędzała z dziewczyną musiała jednak zorganizować kogoś na dziesięć dni, które miała spędzić oglądając azjatyckie fabryki NormCo. Jeffrey był zajęty w Mediolanie. Nie mogła prosić o pomoc Definy, którą absorbowała praca i Tangela. Nie mogła

400

też zadzwonić do siostry. Lisa wściekała się na Stephanie, ale i na Karen, jakby to, co zdarzyło się w Paryżu, było jej winą. Złościła się również, że siostra zakończyła praktyki jej córki w domu mody. Jeśli coś robiła, było źle, jeśli nie robiła, jeszcze gorzej. Bella, rzecz jasna, obwiniła wszystkich, łącznie z powracającym do zdrowia Arnoldem. Karen z rozpaczy przywiozła więc do hotelu Carla i przedstawiła go Cyndi. Był najlepszą nianią, jaka przyszła jej do głowy, szczególnie, że dziecko znajdowało się wciąż w brzuchu dziewczyny. Carl miał zapewniać Cyndi różne przyjemności, zabawiać ją i karmić pod nieobecność Karen.

Zaczął od tego, że obciął jej włosy, co było wielkim wydarzeniem.

- Chciałbym je też ufarbować - oznajmił. - Wielu ludzi twierdzi, że kobietom w ciąży nie powinno się robić trwałej ani kłaść farby, ale to idiotyczne przesady. Żaden problem.

Karen spojrzała na niego znacząco. Nie miała ochoty, by na głowę Cyndi wylewano teraz chemikalia. Carl zrozumiał i wzruszył ramionami.

- No cóż, może zrobimy to później...

Nikt nie miał ochoty mówić o tym, co będzie, gdy dziecko się urodzi. Zdawali się tkwić zamknięci w chwili terażniejszej. Cyndi uznała, że Carl jest „fajny”, on zaś miał wystarczająco dużo macierzyńskich cech, by wziąć ją pod swoje skrzydła. Uparł się, że weekend, kiedy Karen nie będzie, spędzą w jego własnym mieszkaniu. Karen wyjaśniła to z Sally, która niechętnie wyraziła zgodę.

I tak Karen, z czystym sumieniem, mogła pakować się przed wyjazdem do Tajlandii i innych miejsc z zakładami pracującymi dla NormCo. Poprosiła Definę o pomoc w skompletowaniu wygodnego i lekkiego zestawu podróźnej garderoby. Wiedziała, że w gorącym i wilgotnym klimacie Tajlandii będzie potrzebować najcieńszych jedwabi i płócien.

Wolper zarezerwował miejsca w hotelu „Oriental” w Bangkoku. Defina, na wiadomość o tym, po raz pierwszy od powrotu z Paryża, uśmiechnęła się szeroko.

- To najlepszy hotel na ziemi - powiedziała. - Byłam tam raz na zdjęciach. Cóż, nie musisz się martwić, że ubrania się pogniotą. Dostaniesz prywatnego lokaja, który wszystko wyprasuje, gdy tylko rozpakuje ci walizkę. A to co oddajesz do prania - nawet majtki - wraca w pudełku z orchideą na wieczku. To najro-mantyczniejsze miejsce na świecie. Karen uśmiechnęła się. Brzmiało wspaniale, ale to przecież wyjazd w sprawach zawodowych. Chciała przekonać się, czy Wolper naprawdę nie kłamał i produkcja odbywa się w przyzwoitych, ludzkich warunkach. Co za ironia. Będzie sprawdzać warunki pracy najniżej postawionych robotników, mieszkając w najbardziej luksusowym hotelu na świecie.

Tymczasem napływały zamówienia na modele z białej i czarnej kolekcji. Ledwie byli w stanie im podołać. A Jeffreya kompletnie zaabsorbowały walki z Munchinem, plany związane z Mediolanem i ostateczne ustalanie brzmienia umowy z NormCo. Obiecał Karen, że gdy kontrakt będzie gotowy, dostarczy go jej, gdzie by nie była. Obiecał też, po powrocie z Mediolanu, odwiedzać Cyndi co najmniej dwa razy w tygodniu i codziennie do niej telefonować.

- Carl prawie wszystkim się zajmie- zapewniała Karen męża tuż przed jego wyjazdem. - Wracasz jednak przede mną, zabierz ją więc na obiad raz czy dwa. To nie takie straszne.

- Na pewno będzie bardzo fajnie - odparł sucho Jeffrey.

Przed udaniem się na lotnisko Karen wpadła do Rockville Centre odwiedzić Arnolda. Bella wyszła i sam otworzył jej drzwi, ubrany w stary, szary szlafrok. Karen uściskała ojca i z zadowoleniem stwierdziła, że przybrał na wadze.

Wydawał się silniejszy, choć wciąż jeszcze nie wyglądał najlepiej.

- W przyszłym tygodniu wracam do pracy. Doktor powiedział, że mogę zacząć od paru godzin dziennie.

- Świetnie tato, ale nie rób za wiele. Odpoczywaj.

- Odpoczywać? Tutaj? Jeśli chcę odpocząć, muszę wrócić do biura. Tęsknię za pracą. I za Inez - spojrzał na córkę. - Ona też za mną tęskni.

Karen skinęła tylko głową.

- Wiesz, jak się nad tym zastanowić, wszystko co się zdobywa w ciągu życia, to praca i przyjaciele. Jeśli ma się szczęście - popatrzył na Karen. - Lubisz swoją pracę? - zapytał. Przytaknęła. - Masz zamiar sprzedać firmę?

- Najpierw chcę wszystko sprawdzić - odparła i wyjaśniła cel podróży do Bangkoku i na Mariany.

- Wiem wszystko o Marianach - powiedział Arnold, podnosząc się z fotela, w którym niemal leżał. Potarł nieogolone policzki. - Jak to było? - podniósł oczy, jakby odpowiedź mogła być wypisana na żyrandolu w salonie Belli.

- Zaczekaj - powiedział. Wszedł do gabinetu i Karen słyszała, jak grzebie w papierach. Po paru chwilach pojawił się z małą wizytówką. -Dagsvarr - oznajmił

- Co?

- Lars Dagsvarr. Pisał do mnie. Jest na Marianach. Poproszę, by do ciebie zadzwonił.

Karen kiwnęła głową i podała ojcu nazwę hotelu, w którym miała się zatrzymać.

- Zostaniesz na kolacji? - zapytał. Zaprzeczyła. - Cóż, trudno mieć o to do ciebie pretensję.

Rozdział 27

Modne dodatki

Lisa z wysiłkiem wciągała na siebie czarne rajstopy, do których zamierzała włożyć kupione w Paryżu czarne pantofle od Char-lesa Jourdana. Górny brzeg, mimo podciągania, zatrzymał się tuż ponad pępkiem, tworząc wokół talii wałeczek tłuszczu. Czyżby utyla? Na pewno przez to francuskie tłuste jedzenie.

Pośpiesznie podeszła do lustra. Rzeczywiście przybyło jej na wadze! O Boże! Powinna była bardziej uważać. Ale podniecenie i intensywne przeżycia, a teraz dodatkowe napięcie w domu, odkąd Stephanie miała karę, sprawiły, że jadła za dużo.

Zwykle nie było to problemem. Gdy przytyła kilka kilogramów, przechodziła na dietę Stillmana i podwajała ilość zajęć aerobiku, aż wszystko wróciło do normy. Teraz jednak weszła w krytyczny okres. Popatrzyła na siebie, ubraną tylko w raj stopy, pantofle i czarny biustonosz i starała się wyobrazić sobie, co by pomyślał Jeffrey gdyby ją zobaczył. Uważała, że on tego właśnie pragnie. Na pewno poświęcał jej wiele uwagi. W Paryżu dwa razy zaprosił ją samą na lunch, a teraz zadzwonił z propozycją by zjedli coś na mieście. Karen zgodziła się sprzedać firmę, więc jaki mógłby mieć inny powód? Lisa uważnie przyjrzała się swemu odbiciu. Wiedziała, że ubiera się by zrobić wrażenie na innych kobietach, jednak próba spodobania się mężczyźnie czyniła wszystko jeszcze bardziej podniecającym. Była pewna, że Jeffrey jest krytyczny i niełatwo go zadowolić. Leonard natomiast od lat nie zauważał, jak żona wygląda i co ma na sobie, chyba że pytał o cenę.

Jakby nie wyglądała, nawet z paroma kilogramami nadwagi, prezentowała się znacznie lepiej niż Karen, która była zbudowana jak koń. Lisa nigdy nie rozumiała, dlaczego siostra spodobała się Jeffreyowi. No, ale Karen dostawała wszystko, bez względu na to czy zasłużyła, czy nie. Lisa była ładna, lecz nie ona znalazła przystojnego, bogatego i troskliwego męża. Dbała o jędrność swego ciała, choć w jej życiu nie było seksownego Jeffreya, tylko łysiejący, brzuchaty Leonard. Oczywiście, nie miała zamiaru pozwolić by między nią, a szwagrem do czegoś doszło,

nie planowała żadnego romansu; nic z tych rzeczy. Po prostu było jej miło, że ktoś się nią interesuje. Bardzo miło. Gdy się spotykali, zwykle rozmawiali o pracy, jaką włożył Jeffrey by doprowadzić do umowy z NormCo. Lisa rozumiała to i doceniała. On zaś sugerował, że Karen zupełnie nie zdaje sobie sprawy, ile wszystko go kosztowało. Szwagierka współczuła i odwdzięczała się opowieścią, jak źle Leonard zarządza swoją praktyką. Jak wszystko kuleje. Zgadzała się, że Karen jest niepraktyczna i nigdy nie znała się na pieniądzach. Na odchodnym, Lisa za każdym razem obiecywała, że nakłoni siostrę do podpisania umowy.

Jej zdaniem Jeffrey wystarczająco dużo już poświęcił. Dawała do zrozumienia, że i ona zrezygnowała z wielu rzeczy dla Leonarda. Butik dawał jej możliwość wyrażania samej siebie. Jeffrey współczuł. Potem mówili o tym, co zrobią z otrzymanymi od NormCo pieniędzmi, jeśli umowa dojdzie do skutku. To była zawsze najprzyjemniejsza część spotkań. Lisa miała nadzieję przenieść się do Nowego Jorku. Jeffrey planował cały czas poświęcić na malowanie. Mówił o kupieniu pracowni. Powiedział też, że pomoże Lisie znaleźć mieszkanie. Może będą mogli dalej się spotykać, by zjeść wspólnie lunch.

Lisa odwróciła wzrok od odbicia w lustrze. Słyszała, jak Stephanie biegnie do łazienki. Potem jej ciężkie kroki i trzaśnięcie drzwiami pokoju. Dla dziewczyny uwięzienie w domu, przed i po lekcjach, było równie okropne jak dla matki pilnowanie jej. Lisa mogła za to podziękować Karen. Stephanie oszalała na punkcie rzucenia szkoły i podjęcia pracy modelki. Cóż, po moim trupie, pomyślała Lisa. Tego tylko potrzeba, by mnie przedwcześnie postarzała pracująca córka. W dodatku młoda i piękna. Ale co, u diabła, ma jej powiedzieć wychodząc z domu, wystrojona na spotkanie z Jeffreyem? Żadne z nich, w dodatku, nie wspomniało Karen o wspólnych lunchach. Początkowo wydawało się to naturalne - ostatecznie spotkali się, by omówić sprzedaż firmy i to co dla Karen najlepsze. Ale od tamtej pory zaczęli poruszać tematy bardziej osobiste, nadal utrzymując całą sprawę w tajemnicy. Lisa nie miała ochoty, by obrażona Stephanie doniosła o tym Leonardowi czy siostrze.

Nie dlatego, by robili z Jeffreyem coś złego. Skąd. Lisie wydawało się, że jej szwagier nie ma po prostu z kim porozmawiać. Karen, która zawsze miała tyle spraw na głowie i tyle rzeczy do zrobienia, odpychała go tak jak siostrę. Lisę na moment ogarnęło oburzenie. Karen powinna lepiej dbać o męża, poświęcać mu więcej uwagi.

Dostałaby za swoje, gdyby naprawdę miał romans. Mężczyźni pragną czuć się ważni. Najważniejsi w życiu swojej żony. Czują, że rozumie Jeffrey, jego samotność. I, ostatecznie, jeśli spotkania z nim trzymała w tajemnicy, czy postępowała gorzej niż Karen, która nie mówiła jej o tylu sprawach? Siostry nie powinny mieć przed sobą sekretów, ale Karen albo jej nie ufała, albo nie uważała za godną zwierzeń. Może wołała Definę lub Carla.

Od czasu powrotu z Paryża w Lisie zaszła zmiana. Zamieszanie wokół Stephanie sprawiło, że w pierwszej chwili poczuła się ważna. Pozostawiło to jednak gorzki posmak. Od incydentu z narkotykami i powrotu do domu, zaczęła zdawać sobie sprawę, że wrzawa wcale nie dotyczyła jej samej. Chodziło o córkę.

405

Stephanie była na tyle dorosła, by interesowali się nią mężczyźni - nie chłopcy ze szkoły jak Jordan, ale atrakcyjni mężczyźni w wieku Lisy. Cały ten hałas i napływające propozycje zaczęły jej przeszkadzać. Sprawiały, że czuła się, no cóż, nawet w myślach nie chciała wypowiadać tego słowa. Powiedzmy, iż czuła się „nieswojo”. Tak, jakby w jej życiu wszystkie ekscytujące wydarzenia się już skończyły. A przecież nie miała nawet czterdziestu lat! To dlatego sprzedaż i zainteresowanie Jeffreya były dla niej teraz takie ważne. Miała wrażenie, że zegar się cofnął, a ona, Lisa dostała drugą szansę.

Oczywiście, nie dlatego uwięziła Stephanie w domu. Nie ze złości. Zrobiła to dla jej własnego dobra i nie dbała o żadne napady wściekłości. Niech, jak Tiff, siedzi obrażona we własnym pokoju. Dopóki nie skończy gadaniny o rzuceniu szkoły, nie będzie nigdzie wychodzić. Nie wróci do pracy u Karen i spędzi resztę praktyk zamknięta w domu.

Problem polegał na tym, że Lisa musiała jakoś wyjaśnić jej teraz, dokąd się wybiera. Zrzuciła pantofle i otuliła się różowym szlafrokiem frotte. Wyszła z łazienki i korytarzem udała się pod drzwi pokoju córki. Zanim w nie zastukała, wzięła głęboki oddech.

Otworzyły się gwałtownie i Stephanie wymizerowana od płaczu stanęła przed matką.

- Co? - zapytała.

- Wychodzę na lunch.

- Gówno mnie to obchodzi!

Lisa westchnęła. Stephanie z czasem dojdzie do siebie.

- To, że ja wychodzę, nie oznacza, że ty też możesz. Masz poczekać do lekcji, pójść na nie i być w domu kiedy wrócę.

- Dzisiaj może i tak, ale długo mnie tu nie zatrzymasz. Skończyłam szesnaście lat i nie wrócę do tej głupiej szkoły.

Nienawidzę jej i nienawidzę tego domu. Nie cierpię tego miasta!

Lisa nie mogła odpowiedzieć córce, że ona czuje to samo.

- Oszalałaś? - zapytała. - Oczywiście, że wrócisz do szkoły. Skończysz liceum, a potem studia.

- A ty? Ty nie skończyłaś studiów. Nie wracam do tych dzieci. Zadzwoń do Christian z agencji Elite, dostanę pracę i wynajmę własne mieszkanie.

Lisę aż zemdlilo na chwile z przerazenia. To nie byla Stephanie, jej dziecko. Wydawala sie jakas obca osoba, dorosla w swej determinacji, mimo dziwaczego potrzasania glową i typowego dla nastolatków zmanierowania. To idiotyzm, powiedziala sobie w duchu. Stephanie za piec miesiecy konczy dopiero siedemnaście lat. Trzeba po prostu przeczekać te historie i dopilnować, by wróciła do szkoły i koleżanek. Jak do tego przywyknie, może oprzytomnieje.

- Porozmawiamy o tym wieczorem z ojcem - powiedziala tylko. - A ty, żeby wszystko było jasne, masz iść na zajęcia, wrócić i siedzieć w domu aż ja przyjdę.

- Czemu mi nie dasz spokoju? Czemu nie pozwolisz mi robić tego, co chcę?

- Bo jestem twoją matką. A rolą matki jest nie pozwalać córce robić wszystkiego co chce.

301

Stephanie nie rozbawił ten żart, przeciwnie, aż jej się oczy zwały.

- Chcesz mi wszystko zniszczyć, bo jesteś zazdrosna. Masz okropnie, nudne życie i moje ma być takie samo. Jesteś zazdrosna.

- Zamknij się - Lisa pobladła. - Jeszcze możesz dostać w skórę.

- Odpieprz się - warknęła Stephanie i trzasnęła drzwiami. Nie uderzyły Lisy tylko dlatego, że zrobiła już krok do tyłu, ale zatrzymały się centymetr od jej nosa. Obróciła się na pięcie i poszła do swojego pokoju. Też trzasnęła drzwiami, choć wiedziała, że to pusty gest, bo Stephanie zdążyła już puścić głośniejszą płytę U2, której właśnie słuchała.

Tiff siedziała na zajęciach ze Sztuki Słowa. Miała przygotowywać plan wypracowania, ale zamiast tego wpatrywała się w pustą kartkę. Słyszała szepty Jennifer Custiss i Becky Grossman.

- Zobacz, jaki ma tyłek. Ale ona jest gruba.

- Obrzydliwie. Widziałaś kiedyś jej siostrę?

- Nie.

- Śliczna dziewczyna. Ona w ogóle nie jest do niej podobna.

- Jakbym miała taką siostrę, to bym się zabiła.

- Czemu nie przejdzie na dietę? Sama to robię.

- Ja też. Ledwo wytrzymuję. Strasznie utylam w czasie wakacji.

Tiff obejrzała Becky kątem oka. Ważyła niecałe czterdzieści kilogramów. Połowę mniej niż ona.

Wbiła wzrok w leżącą przed nią pustą kartkę. Kiedyś i Tiff będzie bardzo chuda. Będzie nosić rozmiar drugi.

Schudnie bardziej od siostry, która nosiła szósty czy ósmy i będzie miała ładniejsze stroje. Już je ma.

Przestała słuchać tych dwóch idiotek ubranych w rzeczy ze sklepu Gap. Ona, Tiff, będzie wyglądać idealnie. Zaczęła snuć rozmyślanie na ulubiony temat -jakie bluzki założyć do każdej ze spódnic. Rozważenie wszystkich możliwych kombinacji zajmowało dużo czasu.

Lisa weszła do garderoby i zdjęła z wieszaka bluzkę firmy Max Mara i spódnicę, które zdecydowała się nałożyć.

Ręce jej się trzęsły. Cóż, Stephanie dojdzie do siebie. Będzie musiała. Patrzcie państwo! Wyobraża sobie, że rzuci szkołę, zachowuje się jak jakaś gojowska latawica. Czy oszalała? To wszystko wina siostry. Ona podsunęła jej takie pomysły. Ona stanęła między matką a córką. Stephanie uważa za doskonałe to, co robi Karen. Nigdy by nie powiedziała, że jej życie jest okropne. Ciekawe co by pomyślała, gdyby wiedziała, że Lisa idzie właśnie na spotkanie z Jeffreyem. Może ciotka nie jest wcale taka wspaniała, jak się wydaje jej siostrzenicy.

Lisa włożyła długą, do połowy łydki, spódnicę i bluzkę z małymi rękawkami. Świetnie będzie do tego pasował cudowny sweter z wiskozy, który sobie kupiła. Przeszła do garderoby i zaczęła szukać kardiganu w panującym tam bałaganie. Nie

408

było go. Przerwała na chwilę, by się zastanowić. Miała sweter na sobie raz w Paryżu, jak tylko go kupiła. Potem nie było okazji. Może oddała go do pralni? Nie pamiętała. Zawsze bała się, że nie zwrócili jej wszystkich ubrań, ale że chowała nowe nabytki w różnych miejscach i o nich zapomniała, brakująca rzecz zazwyczaj odnajdywała się po paru tygodniach na dnie szafy w korytarzu. Sprawdziła garderobę w pokoju gościnnym i szafę z płaszczami. Rzeczy odebrane z pralni pokrywała folia, przez którą trudno było zobaczyć, co jest w środku. Złamała sobie paznokcieć, próbując odwinąć oplatający wieszaki drut i sprawdzić, co na nich wisi. W końcu dała za wygraną. Nie mogła jednak wyjść w tym stroju bez kardiganu. Może ma go Stephanie? Lisa nie odważyła się znów zapukać do drzwi córki, a zamiast tego weszła do pokoju Tiffany. Może powieszono tam sweter przez omyłkę.

W odróżnieniu od siostry Tiff utrzymywała w swym pokoju nienaganny porządek. Lisa rzadko tu przychodziła. Nie miała powodu. Nie musiała zrzędzić, by Tiff posprzątała. Od czasu okropnego *bat micwah* dziewczyna była spokojniejsza niż zwykle. Żadnych kłopotów. Lisa szybkim krokiem przeszła po dywanie ku zasuwany, żaluzjowym drzwiom, które córka zawsze starannie zamykała. Otworzyła je i omal nie krzyknęła.

W środku, uszeregowane, niczym w najelegantszym butik, wisiały grupami zestawy. Dwa dzianinowe komplety Adrienne Cittidini. Obok trzy swetry Joan Vass -biały, czerwony i niebieski - wraz z kompletem spódnic i legginsów. Lisa ze zdumieniem uniosła rękę. Zobaczyła marynarkę od Calvina Kleina, z cudownego grubego jedwabiu, którą sama chciała kupić. Wyjęła ją z szafy. Był to rozmiar drugi, a na nie oderwanej metce widniała cena - dziewięćset sześćdziesiąt dolarów. Odwiesiła ją powrotem i dalej przeglądała zawartość szafy - trzy sukienki od Ralph Laurena, dwie od Anny Sui, żakiet od Jill Sanders, piękna marynarka i trzy jedwabne koszule od Armaniego, różnokolorowy kostium od Dolce and Gabbana i parę innych, ostatnich rzeczy. Wszystko w rozmiarze drugim.

Skąd one się wzięły? Do kogo należą i dlaczego tutaj wiszą? Tiff nie wcisnęłaby w to jednej nogi. Na pewno nigdy ich nie nosiła i nie mogła kupić. Za całą gotówkę otrzymaną *abat micwah*, nie nabyłaby połowy tego wszystkiego. A zresztą Leonard wpłacił pieniądze na konto, na przyszłe studia. Lisa cofnęła się, po czym chwyciła za uchwyty i dokładnie zamknęła drzwi. Odwróciła się. Cokolwiek zrobiła Tiff, Lisa czuła, że tak naprawdę nie chce o tym wiedzieć. Miała już dość na dzisiaj obydwu córek. Pójdzie zobaczyć się z Jeffreyem. Nie będą mówić ani o

Leonardzie, ani o dziewczętach, ani o Karen. Porozmawiają sobie tylko o tym co zrobią, gdy otrzymają te cudowne pieniądze; pieniądze za które kupią nowe życie.

Rozdział 28

Czar Orientu

Karen poleciała do Hongkongu jednym z prywatnych odrzutowców NormCo. Tym razem nie był to 707 tylko 747. Tylko Bill Wolper i Prezydent Stanów Zjednoczonych latali tak wielkimi samolotami. Bill wyjaśnił, że woli używać ich na dłuższych trasach, bo mają cztery silniki zamiast trzech.

- Kosztują drożej, ale są tego warte, nieprawdaż? A ty w końcu, jesteś jednym z naszych najbardziej wartościowych aktywów.

Samolot wystrzelił w niebo jak rakieta. Kiedy jednak osiągnął właściwą wysokość lotu, przyjął pozycję poziomą i było w nim dużo wygodniej niż w samolotach, jakimi Karen dotąd podróżowała.

Na pokładzie znajdowali się steward, stewardesa i ukryty w kuchni kucharz. Wszyscy troje mieli obsługiwać Karen. Przez jakiś czas siedziała, czytając potwornie nudne dane o budżecie NormCo, zdecydowała jednak dać sobie z tym spokój. Jej wieczną torbę włóczykija wypełniały najrozmaitsze materiały do lektury - stare numery „Women's Wear Daily”, relacje z paryskiego pokazu, które opublikowało pół tuzina magazynów i poradnik T. Berry Brazelton dla przyszłych rodziców. Tak naprawdę Karen miała ochotę przejrzeć właśnie tę ostatnią pozycję i książkę z imionami, nie chciała jednak robić tego na oczach kręcącej się obsługi. Postanowiła więc pójść do łóżka, choć było dopiero wpół do dziesiątej. Oferowali pomoc, ale w końcu znalazła się sama w podwójnym łóżku, idealnie zaścielonym prawdziwymi płóciennymi prześcieradłami. Był na nich oczywiście szary monogram WW.

Położyła się, zastanawiając, jak to by było kochać się w tym łóżku na wysokości trzydziestu pięciu tysięcy stóp nad kontynentem amerykańskim. Czy Bill często sypiał z kobietami w samolocie? Mieli spotkać się w Bangkoku. Oczekiwała jakoś, że będzie próbował ją uwieść. Z doświadczenia wiedziała, iż mężczyźni niemal rutynowo potrzebują najpierw mieć tę sprawę z głowy.

Odegnęła wreszcie myśl o Billu i wyjęła poradnik. Miała nadzieję, że w Nowym Jorku Carl otulił Cyndi do snu. Choć jej to nie dotyczyło, przeczytała rozdział o opiece przed porodem i poczuła, że ogarniają senność. Była zmęczona,

304

ale wtulając twarz w puchową poduszkę, uśmiechnęła się na myśl o dziecku, które, choć *in utero*, czekało na nią w Nowym Jorku.

Karen wsiadła do białego mercedesa zaparkowanego przy krawężniku przed Międzynarodowym Lotniskiem w Bangkoku. Po wyjściu z samolotu powitała ją tajska przedstawicielka NormCo, drobna, piękna kobieta, z ogromnym bukietem kwiatów. Oszczędzono jej kłopotów z odnalezieniem bagażu, urzędnikami granicznymi i celnikami. Najwidoczniej uważano, że takie przyziemne zajęcia są poniżej godności osoby zaproszonej przez Billa Wolpera. Wprowadzono ją za to do ładnego pokoju o ścianach obitych fioletowym jedwabiem, gdzie, przy ustawionym dyskretnie z boku tekowym biurkiem, kilku urzędników dokonało niezbędnych formalności, podczas gdy ona siedziała na krytej złotym jedwabiem kanapie. Teraz, w mercedesie, wciąż miała przy sobie bukiet, składający się głównie z białych róż i fioletowych orchidei. Przymocowany liścik głosił „Witaj w Azji. Wiem, że ją pokochasz”. Podpisano: „Bill”. Karen zastanawiała się czy pozostawienie kwiatów w samochodzie potraktowałby jako obrazę. Bukiet był wielki, niewygodny do niesienia, a w dodatku zaczął już więdnąć w słońcu wpadającym przez szyby samochodu.

Po raz pierwszy ujrzała Tajlandię spoza szklanych tafli, w klimatyzowanym wnętrzu mercedesa. Po długiej podróży trochę kręciło jej się w głowie z niewyspania, musiała jednak przyznać, że 24-godzinny lot odbyła w sposób najlepszy z możliwych. Czy zawsze będzie tak traktowana, gdy znajdzie się w łonie rodziny NormCo? A może to tylko miesiąc miodowy, po którym interesy potoczą się zwykłym torem? Z rozczarowaniem stwierdziła, że Bangkok, oglądany przez okno w drodze z lotniska, nie różni się specjalnie od innych miast, choć tajskie pismo było odmienne od wszystkich jakie Karen do tej pory widziała. Bardzo dekoracyjne, ładniejsze nawet od arabskiego. Czytała gdzieś, że tajski alfabet składa się z czterdziestu czterech spółgłosek i o połowę mniejszej liczby samogłosek. Cóż, nie zamierza się go uczyć w najbliższym czasie. Stanowiłby jednak ładny deseń na tkaninie. Tak jak Karen mówiono, na ulicach Bangkoku panował szalony ruch. Między setkami aut i ciężarówek przemykały małe tuk-tuki, otwarte taksówki z opuszczanymi, płóciennymi dachami, brzęczące jak stada pasiąstych, kolorowych owadów. Nawet do chłodnego wnętrza limuzyny przenikał niewiarygodny hałas. Kierowca wskazał Karen tereny Królewskiego Pałacu. Przejechali przez kilka zielonych kanałów i znaleźli się w samym sercu miasta, ulu wypełnionym sklepami, ulicznymi przejściami, znakami i światłami, jak każda inna stolica. Dopiero gdy wjechali w kolisty podjazd przed „Hotelem Oriental”, Karen poczuła, że trafiła do innego świata. Powitało ją sześciu mężczyzn ubranych w tradycyjne białe kurtki i sarongi. Uśmiechnęli się i nisko skłonili, składając ręce na wysokości twarzy.

- *Sawadee kop* - pozdrowili przybyłą. Karen ukloniła się im, tymczasem jej bagaż zniknął z pola widzenia.

- *Sawadee kop* - powiedziała, a tamci zachichotali. Kierowca także się uśmiechnął.

- Tylko chłopcy mówią *kop* - wyjaśnił. - Dziewczyna mówi *kah*.

Karen nic z tego nie rozumiała, ale ukloniła się i uśmiechnęła. Na jej spotkanie wyszedł ktoś z kierownictwa i obok recepcji poprowadził ją do windy. Najwyraźniej zameldowanie było czystą formalnością, podobnie jak rozmowy z urzędnikami i celnikami. Nie zamierzano zwracać gościowi głowy takimi drobiazgami; oto co daje władza. Karen wprowadzono do apartamentu, mieszczącego się w głównej, starej części budynku. Weszła i po prostu odjęło jej mowę.

Podłoga w salonie wyłożona była białym marmurem. Ogromne okna sięgały od sufitu do podłogi. W pokoju stała rzeźbiona tekowa kanapa obita fioletowym jedwabiem - to był chyba narodowy kolor Tajlandii - a obok wielki, piękny porcelanowy wazon, kilka zestawów wygodnych białych foteli dopełniało reszty, a w rogu, obok schodów, umieszczono duże bambusowe drzewko. Schody prowadziły na antresolę, gdzie mieściła się sypialnia z widokiem na salon i ogromne okna. Bagaże Karen jakimś cudem były już na miejscu, a dwóch służących w nieskazitelnie białych kurtkach właśnie kończyło rozpakowywać ubrania. Skłonili się, mówiąc półgłosem - *Sawadee kop*. Na stoliku przy łóżku stał bukiet nieznanych Karen, fioletowych kwiatów. Miały kształt ślicznych dzwoneczków, zaś listki okrągłe i płaskie. Obok leżał zaadresowany do niej liścik. Rozerwała kopertę. *Miłych snów* - przeczytała. - *Dzisiaj mam obiad służbowy, ale liczę, że jutro spotkamy się na śniadaniu. Bill*. Służący w ukłonach wyszli z pokoju, zaś pomocnik managera pokazał Karen ogromną, wykładaną białym marmurem łazienkę, trochę mniejszą ubieralnię i mały pokój na dole, w którym stał tylko stół, dwa krzesła i jakieś kwitnące drzewko. Skrajna prostota, a jednocześnie absolutny luksus apartamentu oczarowały Karen. Gdyby miała mieszkać w jednym pokoju, wybrałaby może właśnie ten, z widokiem od podłogi do sufitu.

Było już ciemno, ale okna wychodziły na basen i ogrody otoczone rzeką niczym połyskliwą zieloną wstążką. Za nią widać było budynek przypominający świątynię, którego złoty dach lśnił odbitym w wodzie światłem. Tu, po raz pierwszy, wszystko wydało się Karen jak z innego świata - orientalne, delikatne i tajemnicze. To była Azja, którą wyobrażała sobie niczym jakąś bajkę, a nie opisywane często przez Arnolda okropne miejsce, gdzie niewolnicy pracują za parę groszy na godzinę.

Długo siedziała i patrzyła na to wszystko. Była zmęczona, ale szczęśliwa. Wkrótce stanie się bogata i dostaną z Jeffreyem swoje dziecko. Czy po rozwiązaniu obu problemów, nie mogłoby im zacząć się w małżeństwie układać lepiej niż kiedykolwiek? Wyciągnęła książkę z imionami i jeszcze raz zaczęła ją przeglądać. Choć szczęśliwa, nie

mogła sobie znaleźć miejsca. Ogrody w dole wyglądały tak pociągająco, że nie potrafiła się im oprzeć. Opuści raj na dziesiątym piętrze i zejdzie napić się czegoś nad basenem i rzeką.

Obszerny hall na dole, którego nie miała czasu obejrzeć, gdy błyskawicznie prowadzono ją do windy, był teraz miejscem spotkań ludzi w strojach wieczorowych.

306

Karen zauważyła dwie Tajki, całe w jedwabiach; jedna w turkusowym, druga w fiołkowym, jarzące się od brylantów. Popijały drinki z Azjata i dwoma Amerykanami. Były oszalamiająco piękne. Karen minęła je, czując się jeszcze większa i toporniejsza niż zwykle, ale gdy wyszła przez szklane drzwi w ciemność i otuliło ją miękką pieśczołą powietrze ogrodów, nie tylko odzyskała dobre samopoczucie, lecz wpadła w zachwyt. Powietrze zdawało się mieć dokładnie temperaturę ciała; granice gdzie kończy się ono a gdzie zaczyna przestrzeń były jakby zatarte. Karen spacerowała wśród palm po nienaganych, wyłożonych kostką alejkach, ponad jej głową kołysały się tropikalne bluszcze, a u stóp rosły paprocie i orchidee. W ukrytym gnieździe zaskrzeczała papuga, a Karen roześmiała się zaskoczona. Podeszła do ciągnącej się nad rzeką balustrady. W zapadającym zmroku czarna jak atłas woda wyglądała tajemniczo. Wzdłuż rzeki połyskiwały światła, przy stolikach nad basenem siedzieli odprężeni ludzie, a odgłos prowadzonych w wielu językach rozmów zlewał się w usypiający szmer, równie przyjemny jak chłopot wody **W** dole.

Karen poczuła spokój, jakiego nie doznała nigdy dotąd. Ciężko pracowała. Nic nie przychodziło jej łatwo. Działała wśród mężczyzn, w twardym świecie interesów rządzonym przez ludzi, którzy nie chcieli ustąpić jej miejsca. Musiała walczyć i, mimo wielkich trudności, zwyciężyła. Stworzyła sobie życie takie, jakie chciała. Wkrótce cały ten wysiłek się opłaci. Patrząc w ciemność spowijającą Bangkok, Karen odczuwała wielką przyjemność z odniesionego sukcesu.

* * *

Śniadanie nad jeziorkiem w towarzystwie Billa było naprawdę urocze. Taj-ski poranny posiłek, przynajmniej w tym cudownym hotelu, składał się z cieniutkich naleśników wypełnionych siekanymi warzywami, zaś do tego, zamiast frytek, jak w ulubionym greckim barze Karen w Nowym Jorku, podano przepyszny ryż. Pomysł jedzenia rano ryżu nie wydawał się jej zachęcający, dopóki nie spróbowała. Mercedes na swej diecie bez skrobi byłaby zgorzonna, ale Karen tylko się uśmiechnęła.

- Dobrze, prawda? - zapytał Bill.

- Biję na głowę jajka na boczku.

Nie pamiętała, kiedy ostatni raz czuła się tak rozpieszczana, otoczona takim luksusem. Nie wiedziała czy zawdzięcza to atmosferze „Hotelu Oriental”, władzy i pieniądзом Billa, czy też względom okazywanym przez niego samego. Żałowała, że nie mogą spędzić całego dnia na słonecznej werandzie, patrząc na łodzie na rzece, jedząc i popijając. Bycie bogatym może okazać się całkiem przyjemne.

Bill, jakby wyczuwając ten nastrój, przechylił się ku niej z uśmiechem, przez pokryty plamami słońca stół.

- Czy spędzimy razem noc? - zapytał miłym głosem.

Trudno powiedzieć, by Karen kompletnie zaskoczyło to pytanie, dziwiła się jednak, że zadał je głośno. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Roześmiała się dziecinnie.

- Jestem mężatką - przypomniała mu.

- To już wiem - odparł lekko, podnosząc szklanekę soku z mango. Karen tylko parę razy w życiu widziała równie cudowny kolor.

- Nie robię takich rzeczy - powiedziała.

- Ale o tym myślałaś. Myślałaś nawet, że może się to zdarzyć dzisiaj, na tym wyjeździe.

- Nie - odpowiedziała. Czuła się zmieszana. Bill chodził jej po głowie, gdy po raz pierwszy zjedli razem lunch, ale wówczas między nią a Jeffreyem nie układało się najlepiej i nie było w perspektywie dziecka. Zresztą nawet wtedy snuła tylko fantazje. Przyznanie się, mogłoby do czegoś doprowadzić, a Karen była prawie pewna, że wcale tego nie chce.

- Nie wierzę - powiedział Bill.

- Mogę to udowodnić - roześmiała się. - Każda kobieta rozważająca możliwość romansu ogoliłaby łydki. - Zdjęła jedną nogę z drugiej i dyskretnie wyciągnęła ku niemu pod stołem. Lekko otarła się o nogę Billa. Sięgnął w dół i objął ręką jej kostkę. Karen zarumieniła się, pokrywając śmiechem zmieszanie. - Widzisz? - powiedziała. - Południowy zarost.

Bill nie powracał już do tematu ani do kostki. Gładko przeszedł do omawiania planu dnia. Czy był zły? Nie wiedziała. Skończyli śniadanie i poszli spotkać się z czekającymi ludźmi.

Mieli przed sobą długi dzień. Bill chciał pokazać Karen kilka zakładów pracujących dla NormCo, a także dwa miejsca, dla których w przyszłości mogli stać się największym pracodawcą. Karen gnębiły sprzeczne uczucia, gdyż część jej osoby pragnęła spędzić dzień na leżaku nad basenem. Była jednak córką Arnolda i nie wymigiwała się od obowiązków. Wsiadła więc do kolejnego białego mercedesa i do wieczora odwiedzili pięć różnych miejsc.

Gdziekolwiek przebywali, do Billa odnoszono się więcej niż z szacunkiem. Nie były to tylko należne szefowi ukłony i względy. Karen wydawało się, że w rytualnej czci kryje się jakaś naturalna pokora i niemal religijna przyjemność. Wspomniała o tym Billowi.

- Masz rację - powiedział. - Myślę, że jest to związane z buddyzmem. Wiesz, reinkarnacja, te rzeczy. Zajmujesz wysoką pozycję dlatego, że zbierasz plony wielu dobrze przeżytych wcieleń. To jest twoja karma.

- Coś jak boskie prawo królów? - zapytała Karen.

Bill skinął głową. Wydawało się, że w to wierzy. Królowie jakoś zawsze wierzą w swoje boskie prawa, ale dziewczyny z Nostrand Avenue nie są tego takie pewne.

Karen za to przekonała się, że lubi Tajów. Byli ładni, pracowici i wydawali się bardzo łagodni. Fabryki okazały się czyste i dobrze oświetlone. Nie pracowały w nich dzieci, choć niektóre z tajskich dziewcząt wyglądały dużo młodziej niż oficjalnie podano. Wyjaśniło się, że przynajmniej nie ma mowy o wyzysku. Karen dostała tłumacza, zadała parę pytań, ale nawet bez entuzjastycznych świadectw ze strony robotników, widziała, że tutejszym zakładom pracy nie można nic zarzucić.

Odczuła ulgę i zachwył. Teraz umowa mogła zostać podpisana, a ona, Jeffrey i dziecko (Marcus? Lucas?) będą żyli bogato i, jak liczyła, szczęśliwie. Ich

308

udziały to blisko trzydzieści milionów. Po zapłaceniu podatków i opłat otrzymają na czysto ponad połowę tej sumy.

Po raz pierwszy, Karen zaczęła rozmyślać o pieniądzach.

O czwartej Bill zabrał ją z powrotem do hotelu.

- Co powiesz na drinka o siódmej, na werandzie? - zapytał. - A potem obiad. Jutro lecimy do Korei, potem na Mariany i wracamy do Stanów.

Karen pokiwała głową. Była zmęczona i chciała zadzwonić do Nowego Jorku. Uśmiechnęła się do Billa i poszła do siebie. Miała ochotę uciąć sobie drzemkę, a potem wziąć prysznic i się przebrać. Jednak po przyjściu na górę, zastała w pokoju trzy wiadomości - dwie od Jeffreya i jedną od Carla. Najpierw zadzwoniła do męża, ale że nikt się nie zgłaszał, wykreśliła numer przyjaciela. Odebrał natychmiast.

- Karen? - zapytał.

- Skąd wiedziałeś?

- A kto inny by dzwonił o tej porze? Słuchaj, dziecko się urodziło.

- Co?

- Cyndi urodziła dziś po południu w Doctor's Hospital.

- O Boże! - Karen ścisnęło w dołku. - Czy wszystko jest w porządku? Czy ona dobrze się czuje? A jak dziecko? Czy to nie za wcześnie?

- Nie wszystko na raz. Dziecko urodziło się trzy tygodnie za wcześnie, ale waży prawie dwa i pół kilograma, więc jest na samej granicy bycia wcześniakiem. Nie ma problemu z oddychaniem, co jest największym zmartwieniem w takich przypadkach. Najwyraźniej płuca są kompletnie ukształtowane, a Cyndi też czuje się dobrze - umilkł na chwilę. - Jeffrey wrócił z Mediolanu. Rozmawiałaś z nim?

- Nie. Nie było go w domu. Może jeszcze jest w szpitalu.

- Nie sędę - powiedział Carl. - Ja zawiozłem Cyndi do szpitala.
- Ty? A co z Jeffreyem? Gdzie on jest?
- Dokładnie nie wiem. Trochę trwało, zanim twoje biuro go znalazło. Przyjechał, przywitał się i wyszedł przede mną. Tak czy inaczej, powinnaś z nim porozmawiać.
- O czym? - zapytała. - Carl, jeśli mnie okłamujesz, jeśli dziecku coś się stało, zabiję cię.
- Daję ci słowo, że z dzieckiem wszystko w porządku. Tylko...
- Tylko co? - zaczęła niemal krzyczeć.
- No cóż, może to wytwór mojej wyobraźni, ale zdaje mi się, że z Cyndi jest coś nie tak. Nie w sensie fizycznym, tylko...
- Jest przygnębiona? - zapytała Karen. - Czy mam do niej zadzwonić?
- Porozmawiaj z Jeffreyem - powiedział Carl. - Myślę, że musi ją trochę uspokoić. Ciągłe płacze. To zresztą naturalne. To jej pierwsze dziecko i wszystko jest dla niej bardzo trudne.
- Oczywiście, że tak. Ale i ona, i dziecko czują się dobrze? Dajesz słowo?
- Tak, Karen. Zadzwoń jednak do Jeffrey'a. Powinnaś z nim porozmawiać. Przez następne dwie godziny Karen siedziała przy telefonie nakręcając domowy numer. Wyobraziła sobie wszystkie możliwości - Carl ją okłamał i dziecko

umarło, albo jest umierające, kalekie, ślepe czy opóźnione w rozwoju. Próbowwała zmusić się do zaprzestania tych rozważań, mówiła sobie, że to chorobliwe; ale bez skutku. Za piętnaście siódma, tutejszego czasu, zastała w końcu Jeffreya. Była tak przygnębiona, że zapomniała zapytać go, gdzie był.

- Co się stało? - wydusiła tylko z siebie.

- Karen, mam chyba złe wiadomości.

Zaczęła cicho płakać. Wiedziała! Czowała, jak zamiera w niej serce.

- Coś z dzieckiem, prawda? Dziecko jest chore.

- Nie, dziecko ma się dobrze, tylko Cyndi może zmienić zdanie. Przykro mi, Karen.

Przestała płakać. Łzy zniknęły, wyschły jak mleko matki.

- Co? - prawie wrzasnęła. - O czym ty mówisz?

Usłyszała zmęczenie w głosie Jeffreya, choć dzieliło ich siedem tysięcy mil.

- Myślę, że Cyndi pragnie zatrzymać dziecko, a na to nic nie możemy poradzić.

Kiedy Karen zadzwoniła do Billa, by wykręcić się od spotkania, usłyszał rozpacz w jej głosie. Odwołała je, nie zawracając sobie głowy wyjaśnieniami i położyła się na kanapie, zbyt wstrząśnięta by płakać, zbyt jeszcze rozczarowana by odczuwać ból, choć wiedziała, że czai się w niej i czeka tylko, by uderzyć. Patrzyła niewidzącym wzrokiem w ogromne okna. Wtedy właśnie usłyszała pukanie. W pierwszej chwili nie wiedziała, czy będzie w stanie podnieść się z kanapy i przejść przez pokój, ale gdy rozległo się ponownie, zmusiła się do tego. W drzwiach zobaczyła zatroskaną twarz Billa.

- Co się stało? - zapytał. - Co się stało, Karen? Umarł ktoś?

- Nie - wyszeptała. - Gorzej.

Opowiedziała mu wszystko. Wysłuchał, a potem odłożył następny etap wycieczki i odwołał pobyt w Korei. Spędził z Karen całą noc, pojąc ją alkoholem. Przytrzymał kieliszek z winem, a ona piła jak dziecko i jak dziecko płakała. Bill siedział przy niej na kanapie, głaskał po plecach, wycierał nos, dolewał wina. Współczuł jej więcej, niż mogła sobie wyobrazić.

- Co za nieszczęście - powtarzał. - Co za straszne nieszczęście.

- Tylko dla mnie-przyznała. - Jeffrey jest pewnie zadowolony, a ja muszę pamiętać, że jedno dziecko mniej zostało opuszczone przez matkę. Każdy, poza mną, dobrze na tym wyszedł. Taka jest moja karma - znów otarła oczy i spojrzała na Billa. - Nie jestem w stanie przechodzić przez to wszystko jeszcze raz. Po prostu nie jestem. - Płakała przez dłuższą chwilę. - Myślisz, że wyolbrzymiam tę sprawę, a dzieci nie są aż tak ważne?

- Oczywiście, że są. Co może się z nimi równać? - opowiedział jej o swoich dwóch synach, o tym ile dla niego znaczą. Jakoś ją to uspokoiło. Popijała wino, a on opowiadał, jak starszy chłopiec miał osłabienie mięśni oka i martwili

310

się z żoną o niego. Młodszy, z kolei, nie radził sobie w szkole, aż wykryto u niego dysleksję i teraz odnosi sukcesy. Karen pomyślała, że Bill, bardziej niż większość mężczyzn, angażuje się w życie swoich dzieci. Wydawało się, że nadają sens jego działaniu. Nigdy przedtem nie wspominał o żonie, ale jeśli ich związek przechodził kryzys albo w ogóle nie istniał, najwyraźniej znajdował pociechę w miłości swych niemal dorosłych synów. Karen i Bill patrzyli razem na migoczące za rzeką światła, a potem na wschód słońca. Nie potrafiła policzyć, ile kieliszków wypila.

Trochę kręciło jej się w głowie, to wszystko. Z każdym uderzeniem serca czuła w piersi przeszywający ból.

Przez chwilę milczeli, a potem Bill odwrócił jej twarz ku sobie. Pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta.

- Wiesz, Karen, jeśli chcesz zaadoptować dziecko, to może mógłbym ci pomóc. Znam wielu ludzi. To nie musi być takie ciężkie.

- Dziękuję - szepnęła. Choć pijana i ogłupiała, zdawała sobie sprawę, jak Bill ułatwia wszystko osobom będącym pod jego opieką. Latały prywatnymi samolotami, mieszkały w najlepszych pokojach hotelowych, jadły najsmaczniejsze posiłki i przechodziły przez najszybszą odprawę celną. Nie musiały podróżować zwykłymi liniami lotniczymi, zamieszczać ogłoszeń w małomiasteczkowych gazetach i bez końca doznawać rozczarowań, chcąc zaadoptować dziecko. Karen zastanawiała się, jak to by było, gdyby Bill Wolper zawsze sprawował nad nią opiekę? To ostatnia myśl, którą zapamiętała, zanim urwał jej się film.

Obudziła się okryta jedwabistym kocem, ubrana tylko w bieliznę. Billa nie było, a Karen niewiele pamiętała z nocy poza jego dobrocią, obejmującym ją ramieniem, chusteczką do nosa. Ciągle jeszcze trzymała w zaciśniętej pięści zwinięty i mokry płatek płótna. Bolała ją głowa. Wciąż nie mogła uwierzyć w wiadomości z Nowego Jorku, ale nic innego jej nie pozostało.

Długo brała prysznic, a potem zadzwoniła do obsługi, aby zamówić wodę sodową. Wypiła ją na ciepło, inaczej nie mogłaby przełknąć. Choć nie wiedziała, ile wina wlał w nią Bill, czuła wdzięczność, że pomógł jej przetrwać najgorszy ból. Było już popołudnie, słońce wpadało do pokoju i Karen musiała zaciągnąć zasłony. Raziło ją w oczy. Zażyła dwie aspiryny, więc kiedy zadzwonił telefon, mogła podnieść słuchawkę do ucha bez okropnego uczucia, że mózg porusza jej się wewnątrz czaszki. To był Bill. Pytał o zdrowie i o to, czy jest gotowa wyjechać tego wieczoru. Nie widziała powodu by odmówić, więc wyraziła zgodę.

Nie mogła zrozumieć dlaczego tak się stało. Obwiniła Jeffreya. Chciał sprzedaż firmy, a nie dziecka, więc nie doprowadził sprawy do końca. Dlaczego podczas porodu nie było go w szpitalu? Dlaczego nie przekonał dziewczyny, nie otoczył opieką, nie utwierdził w słuszności podjętej decyzji? Jeffrey był świetnym sprzedawcą. Wszystko stało się więc dlatego, że tak naprawdę nigdy nie chciał tego dziecka. Według Karen zgrzeszył tu zaniedbaniem. Czuła szalony gniew.

Postanowiła, jeśli będzie po temu okazja, przespać się z Wolperem. Wiedziała, że uczyni to częściowo z wdzięczności, a częściowo ze złości na Jeffreya. Był jednak i inny powód. Miała wrażenie, że Wolper ją szanuje. Był dla niej dobry, poświęcał więcej uwagi niż Jeffrey kiedykolwiek i otaczał szacunkiem, jakiego

nigdy nie doznała od męża. Mimo własnych sukcesów nie patrzył na nią z góry. Byli pokrewnymi duszami. Czula, że potrzebuje jego wsparcia, że chce na nie liczyć.

Gdy godzinę później Jeffrey zadzwonił, Karen zachowała swą przyszłą niewierność w tajemnicy. Czerpała z tego pewną pociechę. Jeffrey jeszcze raz wyjaśnił, ile pracy miał z zamówieniami po pobycie w Mediolanie oraz nowojorskim pokazem i dlatego nie zdążył na czas do szpitala. Powtarzał przy tym ciągle, że nawet gdyby był przy Cindy, nic by to nie zmieniło.

- Karen - zapewniał. - Czasem takie rzeczy się zdarzają. Nie powinnaś winić ani Cyndi, ani mnie, ani siebie samej. Tu się mylił. Karen obwinała wszystkich. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek odczuwała taką furję. Gdyby Jeffrey był przy niej w pokoju, a nie na drugim końcu świata, dałaby mu w twarz i gdyby tylko mogła, spoliczkowałaby Cyndi. Szokowało ją to, lecz gniew przewyższał zdolność oceny. Rozumiała, dlaczego Cyndi nie potrafiła oddać dziecka, ale dokładnie z tego samego powodu ona sama nie potrafiła z niego zrezygnować. A musiała. I wiedziała, że drugiego nie będzie. Winiła Jeffreya nie tylko dlatego, że był nieobecny i pozwolił na bieg wydarzeń, ale także za to, że nie zależało mu na dziecku tak jak jej. Przypomniała sobie, jak Bill Wolper opowiadał o swoich synach. Czy z mężczyzną który tego nie odczuwa, nie jest coś nie w porządku?

- Karen, może to nieodpowiedni moment, ale chcę byś wiedziała, że zatwierdziliśmy ostateczną wersję umowy - głos Jeffrey'a zdawał się dobiegać z odległości dalszej niż koniec świata. - Prześlemy ci ją. Będzie czekała w recepcji. Wiem, że pewnie nie chcesz teraz o tym myśleć, ale przynajmniej odbierz ją przed wylotem na Mariany.

Karen omal nie wybuchnęła śmiechem. Tylko to ma w głowie - umowę.

- Muszę się nad wieloma sprawami zastanowić - poinformowała go. - Wygląda na to, że ty dostałaś co chciałaś, a ja straciłam wszystko na czym mi zależało. Słuchaj, przeglądałaś kontrakt setki razy, ale nigdy mi nie wspomniałaś, że zasadniczą kwestię stanowi oddanie mego nazwiska NormCo na wyłączną własność, na zawsze i podpisanie dwunastoletniej umowy o pracę. Dwanaście lat, Jeffreyu. To bardzo długo. Dziewiętnaście trwa nasze małżeństwo.

- I co z tego? To było dziewiętnaście dobrych lat, prawda? Ten związek może być równie udany.

- Ale to ja w to wchodzę, nie ty. Nawet nie wspomniałaś mi o tej części umowy - nie cierpiała wytykania, że w firmie zajmują różne pozycje, ale w inny sposób nie zrozumiałby o co jej chodzi. - Wiesz, że zawsze miałam co do tego wątpliwości. Powiedziałeś, że powinniśmy podjąć sprawę umowy, by sprawdzić ile jesteśmy warci i zdobyć przy okazji trochę gotówki. Zgodziłam się. Nie znaczy jednak, że teraz, gdy dziecko przepadło, zgodzę się na sprzedaż firmy. Nigdy o tym nie było mowy.

- Tak, ale nie spodziewaliśmy się, że jesteśmy warti pięćdziesiąt milionów dolarów! Są sprawy, Karen, z których nie możesz się wycofać. Nie teraz. Pracownicy spodziewają się pieniędzy. Nasze rodziny spodziewają się pieniędzy. No i Bill Wolper na coś liczy. Nie możesz zmienić zdania.

422

- Mylisz się, mogę - odpowiedziała i odwiesiła słuchawkę.

Z gniewu aż ją mdlilo. Pieniądze - oto wszystko, co Jeffrey w niej widzi. Cóż, Bill Wolper może dostać Karen w sposób nieprzewidziany przez jej męża. Po raz pierwszy, odkąd go poznała, była w stanie wyobrazić sobie życie bez Jeffreya. Ostatnio tak często przebywali osobno, że żyli niemal obok siebie. Wydawało się, iż drugi koniec świata to jeszcze nie dość daleko od mężczyzny, którego żoną była przez całe dorosłe życie.

Rozdział 29

Niewolnice mody

Z góry Saipan wyglądała jak rajski ogród. Bill wyjaśnił Karen, że na tej wyspie na Pacyfiku szyją swe ubrania Geoffrey Beene, Liz Claiborne, Levis i Gap. Wartość produkcji wynosiła blisko trzysta milionów dolarów rocznie. Karen, z lądującego samolotu, widziała palmy kołyszące się za polem startowym.

Na lotnisku, jak zwykle, powitała ich delegacja i odprowadziła szybko do czekających limuzyn.

- W drodze do hotelu przejedziemy obok naszej szwalni - powiedział Bill, a Karen uśmiechnęła się, choć była smutna i zmęczona.

Wyglądając przez okno, widziała te same budy i zniszczone domy co na Karaibach i w uboższych krajach azjatyckich. Potężny gmach szwalni, obok którego przejeżdżali był jednak nowoczesny i czysty. Powiewała nad nim amerykańska flaga. Karen zastanawiała się czy Bill retuszował rzeczywistość w czasie takich wycieczek. Cóż, tym razem nie zdąży tego zrobić

- Zatrzymajmy się - powiedziała.

- Nie chcesz pojechać do hotelu się umyć? - zapytał. - Potrzebujesz odpoczynku. Zaplanowałem zwiedzanie na jutro rano.

- Zatrzymajmy się teraz - poprosiła. - Będziemy to mieli z głowy. Może jutrzejszy dzień spędzą w łóżku? Bill wzruszył ramionami, pochylił

się i zastukał w szybę dzielącą ich od kierowcy. Minęli już wjazd do zakładów, ale, gdy Wolper wyjaśnił czego chce, zawrócili. Jeśli nie odpowiadała mu zmiana planów, nie okazywał tego.

Zajechali przed wejście ogromnego gmachu o ścianach z pofałdowanej stali. Nie miał okien i pomalowany był na schłodny niebieski kolor. W budynku wielkim jak hangar lotniczy, frontowe drzwi wydawały się maleńkie. Kiedy wysiedli z samochodu, wyszła przez nie grupa mężczyzn i ustawiła się w szeregu. Wśród licznych ukłonów, pracownik NormCo przedstawił Billowi i Karen ludzi z załogi. Trwało to tak długo, że Karen nie mogła oprzeć się wrażeniu, iż opóźnia wej-

314

ście, bo wszyscy tam w środku sprzątają. W końcu jednak wprowadzono ich do wnętrza.

Panował w nim ogłuszający hałas. W hali stały w rzędach setki maszyn, a przy każdej siedziała robotnica. Inne biegały wzdłuż przejść, przenosząc wykroje lub gotowe ubrania. Mimo łoskotu i wysokiej temperatury, miejsce było

dobrze oświetlone i nie bardziej brudne niż pracownia Karen przy Siódmej Alei. Brygadzysta wrzasnął coś po chińsku do swego pomocnika, a ten kłaniając się i gestykulując prowadził przybyszów do oszklonego biura. Karen uśmiechnęła się, kręcąc głową. Nie miała ochoty pić w biurze herbaty. Ruszyła przejściem między maszynami. Słyszała za sobą krzyki, ale nie zwracała na nie uwagi, co okazało się słuszne, bo Bill poszedł za nią.

Przy maszynach w tych dwóch rzędach zdawały się siedzieć wyłącznie kobiety, choć w głębi sali Karen dostrzegła i męskie głowy pochylone nad robotą. Parę dziewcząt popatrzyło na nią ciekawie lecz szybko spuściły oczy. Jedna czy dwie wyglądały bardzo młodo, prawie jak nastolatki.

- Jest tu dolna granica wieku? - zapytała. Bill nie dosłyszał i musiała krzyczeć.

' - Na pewno - powiedział. Odwrócił się i zapytał o to swego przedstawiciela. Tamten porozmawiał z brygadzystą, a oni czekali na odpowiedź.

- Osiemnaście lat - wyjaśnił. - Niektóre kłamiąaby dostać tę pracę, ale my musimy zobaczyć papiery. Proszę pamiętać, że choć dziewczęta wyglądają bardzo młodo, wcale nie muszą być bardzo młode.

Karen skinęła głową. Poszła dalej. Nie wiedziała czego szuka, po prostu obserwowała. Wyszła ze szwalni i weszła do znajdującej się za nią sali, gdzie krojono ubrania. Na ogromnych stołach leżał porozkładany materiał, a pracowali tu wyłącznie mężczyźni.

Dziwną wydała jej się myśl, że ci wszyscy drobni, ciemni Azjaci są zajęci krojeniem marmurkowego džinsu, który kupi ktoś w sklepie WalMart w Nebra-sce. Północne Mariany były kropką na mapie i luką prawną w danych na temat importu. Ubrania produkowane na tych wyspach nosiły metkę „Made in the U.S.A.” Na pierwszy rzut oka, wszystko wydawało się zgodne z prawem. Mariany, choć stanowiły odrębne terytorium, stowarzyszona od lat 70-tych z USA i wyglądało na to, że nic złego się nie dzieje. Karen straciła dziecko i nie miała już siły szukać następnego. Teraz, przynajmniej może z czystym sumieniem sprzedać firmę Billowi i skoncentrować na powiększaniu jej zasięgu.

Odwróciła się do Wolpera, swego nowego partnera.

- Jestem zmęczona - powiedziała. - Myślisz, że możemy już wracać do hotelu?

* * *

Zjedli obiad w restauracji, której jedną ze ścian stanowił wodospad. Karen oznajmiła Billowi, że się zgadza i zaraz, na stoliku w restauracji, zamasyście podpisała umowę. Wolper włożył ją do torby, którą przedstawiciel NormCo miał

przesłać prawnikowi Robertowi do Nowego Jorku w ciągu dwudziestu czterech godzin. Wyczerpana podróżą i podjętą decyzją Karen poszła spać samotnie.

Spała już od jakiegoś czasu, kiedy zadzwonił telefon. W słuchawce odezwał się obcy głos z ciężkim akcentem.

- To chyba pomyłka - powiedziała Karen, ale mężczyzna jeszcze raz się przedstawił.

- Pani Kahn? - zapytał. - Proszę pani Kahn, ja muszę panią widzieć. Jestem Lars Dagsvarr.

O Boże, pomyślała. Co to ma znaczyć? Jakiś zwariowany szwedzki projektant szuka pracy? A może to jakiś przedstawiciel tkalni, który odpowiedzi odmownej nie przyjmuje do wiadomości? Reporter z miejscowej gazety, domagający się wywiadu? Skąd dostał numer jej pokoju? Powinna być chroniona przed takimi intruzami. Nie miała nastroju do żartów.

- Panie Dagsvarr, czyja pana znam?

- Nie, proszę pani, ale muszę z panią rozmawiać. Proszę.

- O co chodzi? - westchnęła.

- O życia ludzi - odparł. Mimo błędnej wymowy, dramatycznych słów i napięcia w głosie, nie brzmiał jak histeryk. Wydawał się zrównoważony. Z jakiegoś powodu, choć bez istotnej przyczyny, uwierzyła mu.

- Pani ojciec, pan Arnold Lipsky, powiedział, żeby do pani zadzwonić - dodał po chwili.

- Zejdę do hallu - westchnęła. Ufała własnej intuicji i swemu ojcu, ale nie miała zamiaru wpuszczać obcego do pokoju.

- To niedobrze - powiedział. Urwał na moment. - Są ze mną dwie panie. Jedna bardzo stara. Czy możemy wejść na górę? To sprawa najbardziej ważna.

Karen miała ochotę uśmiechnąć się, słysząc to „najbardziej”, ale czy błąd nie był logiczny? Mogło jednak kryć się w tym jakieś oszustwo. Zastanawiała się przez chwilę czy nie powinna zadzwonić do Wolpera.

- Chciałabym z nią porozmawiać - powiedziała.

- Oczywiście, proszę pani, ale ona nie mówi bardzo po angielsku - upłynęła chwila, słuchawką poruszano, po czym rozległ się głos starszej kobiety.

- Tak? Halooo? - niewątpliwie drżał ze starości i słyhać w nim było skandynawski zaśpiew.

- Chcecie się ze mną spotkać? - zapytała Karen. Po drugiej stronie odbyła się krótka wymiana zdań.

- Tak. Proszę. Dla dzieci. Tak - powiedział głos, a potem znów odezwał się Dagsvarr.

- Możemy panią zobaczyć? - zapytał.

- Tak - zgodziła się.

Byli misjonarzami. Gdy pojawili się w korytarzu, Karen ciągle miała drzwi zamknięte na łańcuch, ale panu Dagsvarrowi naprawdę towarzyszyły grubokości-sta, siwowłosa kobieta i młoda Azjatka, wyglądająca jakby ledwie skończyła

316

dwadzieścia lat. Karen zaprosiła ich do środka i usadziła w salonie apartamentu. zaproponowała coś do picia, ale odmówili.

- Widzi pani, to sprawa najbardziej pilna - wyjaśnił pan Dagsvarr. - Pracujemy z ludźmi z Saipan od trzech lat. Pani Lemmon jest tu jeszcze dłużej - powiedział, mając na myśli staruszkę, która nie spuszczała z twarzy Karen bystrych niebieskich oczu. - Pani ojciec zna naszą misję. Czasem pomaga. Pani Lemmon zaczęła pracę, ale my będziemy ciągnąć dalej, żona i ja - tu kiwnął głową w kierunku dziewczyny. Pochylił się do przodu, opierając ręce na kościstych kolanach. Wszyscy troje ubrani byli na biało. Karen zastanawiała się czy ma to coś wspólnego z ich religią. Gdyby wiedziała, że są misjonarzami nigdy by ich tu nie wpuściła. Arnold i misjonarze? Ojciec nienawidził organizacji religijnych. Czczył organizację pracy. Jednak ci ludzie wspomina o dzieciach. Wyczuwała, że chodzi o coś ważnego.

- Proszę pani, nie wolno przysyłać tu pracy. Wiemy, że jest pani najszlachetniejsza i bardzo szanowana. Więc to ważne by pani wiedziała co się tutaj dzieje. Tu, w Saipan, ludzie to niewolnicy. Wiele ludzi, Chińczycy i Filipińczycy, przyjeżdża tu do pracy. Niektórzy są sprzedawani.

- Jak to „niewolnicy”? - Karen aż się wyprostowała. - Co to znaczy „sprzedawani”?

- Tak jest. W Chinach mówią ludziom, że dostaną pracę w Ameryce. Za przywiezienie tutaj muszą zapłacić pośrednikowi, bardzo dużo pieniędzy, czasem tysiące dolarów. To nie Ameryka, ale pośrednik nie odeśle ich do Chin. Zabiera ich do fabryk. Płaca jest tu bardzo niska. Grosze za godzinę. I ludzie muszą pracować dużo, dużo godzin. Myśleli, że będą w Ameryce, a są pięć tysięcy mil od niej i nie zarobią nawet na życie. Nie mogą oddać rodzinom pieniędzy, które wydali by ich tu wysłać. Wstydzą się. Są biedni. Są sami. A agenci i fabryki dają im nory do mieszkania.

- Żyjają jak świnie - młoda Azjatka, która okazała się być panią Dagsvarr, po raz pierwszy zabrała głos. - Żyją gorzej niż świnie

- Próbuje zmienić ten system - powiedział misjonarz. - Mamy nadzieję, że ludzie w Ameryce dowiedzą się o zbrodni. Przyjeżdżają tu młode dziewczęta. One muszą pracować bez końca, nie mogą wrócić do domu, nic się nie zmienia. To jak wyspa niewolników - dodał.

- Straconych dusz - odezwała się starsza pani, wstając. - Chodź. Zobacz. -to nie było zaproszenie, ale rozkaz. I Karen posłusznie wstała. Ostatecznie tego właśnie się obawiała. Jakoś cały czas podświadomie wiedziała o wszystkim. Nie mogła odwrócić się plecami. Była córką Arnolda. Czowała, że serce w niej zamiera, ale sięgnęła po kurtkę. Szybko zebrała klucze od pokoju, paszport i trochę pieniędzy. Nie miała torebki więc wrzuciła jedo kieszeni.

- Idziemy-powiedziała.

Kwatery robotników przedstawiały widok nie do opisanania. W niektórych barakach na pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt, przeważnie młodych kobiet przypa-

427

dały dwie, trzy toalety i dwa zlewy na obu końcach budynku. Kuchni nie było wcale. Goła podłoga z popękanego cementu. Niektóre robotnice, chcąc zapewnić sobie odrobinę prywatności rozwieszały zniszczone prześcieradła, ale wszędzie panował nieopisany harmider. Gorąco było niemal nie do zniesienia. Dziewczęta i kobiety siedziały przygnębione na łózkach nieco większych od koi, albo leżały nieruchomo na nierównych, cuchnących materacach czy stertach szmat na podłodze. Niektóre nie zwracały uwagi na czwórkę cudzoziemców, inne podbiegały do pani Lemmon lub pani Dagsvarr, opowiadając coś po chińsku. Panował straszny smród - mieszanka woni brudnych ubrań, zjełczałego tłuszczu i pleśni. W pobliżu ubikacji zapach nieczystości zwał z nóg. Karen pomyślała o swym apartamencie w „Hotelu Oriental” i o dwóch klimatyzowanych pokojach, które miała do dyspozycji zaledwie kilka mil stąd.

- Ale to chyba nie są kwatery NormCo? - zapytała. Czyżby Bill aż tak ją oszukał?

- NormCo nie ma kwater - wyjaśnił pan Dagsvarr. - Wynajmują tylko robotników od pana Tanga. To najważniejszy człowiek na wyspie. Do niego należą fabryki i te baraki. Sprowadza tysiące robotników. Wszyscy myślą, że będą w Ameryce, że wzbogacą się i wyślą pieniądze do domu, by uratować rodziny. Ale nie płacą im prawie nic, a dużo zabierają za tę rudę i jedzenie.

- Czy nie mogą zaprotestować? Jakoś się zorganizować?

- Jeśli będą się skarżyć, wyrzucą ich. Wtedy nie będą mieli nic - rozejrzył się po ponurym i brudnym wnętrzu. - Bardzo mało to dużo więcej niż nic - zamilkł na chwilę. - Pokazać pani tych, co protestowali? Tych, którzy nie mają nic? - zapytał.

Karen w ciemności skinęła głową.

- Niech pan pokaże - powiedziała.

Dom okazał się budą bez kanalizacji i bieżącej wody. Podłoga była brudna. W dwóch pokojach mieszkało czternaście kobiet. Wszystkie wyrzucono ze szwalni za sprawianie kłopotów lub zbyt powolną pracę. Niektóre pracowały po osiemdziesiąt godzin tygodniowo, aż straciły wzrok. Pani Dagsvarr z wahaniem wyjaśniła, że wielu z nich proponowano, by spały z brygadzystami. Gdy odmawiały, wyrzucano je z pracy. Gdy się zgodziły i zaszły w ciążę, także je wyrzucano. Cokolwiek zrobiły, rezultat był ten sam - kończyły jako prostytutki obsługujące równie ubogich mężczyzn, którzy zgodzili się wydać na nie parę centów. Karen zastanawiała się, czy sama pani Dagsvarr nie została uratowana od takiej doli.

Młoda Azjatka w milczeniu wypakowywała z bagażnika zniszczonej toyoty ubrania i jedzenie. Kobiety bez słowa zgromadziły się wokół samochodu. Odwracały oczy od Karen.

- Są nieśmiałe - wyjaśnił pan Dagsvarr.

- Wstydzą się - poprawiła go żona.

Wtedy, w ciemności, rozległ się krzyk. Jakaś kobieta biegła w kierunku samochodu. Przez chwilę Karen myślała, że chce im zrobić coś złego, ale pani Lemmon

429

śluchała, jak dysząc, wykrzykiwała jakąś wiadomość. Przybyła stała w rozkroku, gotowa w każdej chwili znów pobiec w mrok. Misjonarze zeszywnieli.

- Jedną z dziewczyn zabrano do szpitala - wyjaśniła Karen pani Dagsvarr. - Rodzi, ale są jakieś kłopoty. Szpital nie chce jej przyjąć.

- Pojadę z wami - powiedziała Karen.

Miała na imię Mei Ling, czy jakoś tak. Siedziała zgarbiona na podłodze, opierając się o ścianę sali pogotowia. Obok klęczały pani Lemmon i pani Dag-svarr. Misjonarz zaś, przekraczając ciała ludzi leżących na korytarzu, przepchnął się do recepcji. Za biurkiem tkwiła gruba, ciemnowłosa kobieta ubrana w zielony szpitalny fartuch. Otwór w oddzielającej ją szybie zasłonięty był szklaną płytą. Pan Dagsvarr odsunął ją, a kobieta, pielęgniarzka lub recepcjonistka, popatrzyła na niego ze znużeniem.

- Musi pani pomóc pani Ling - powiedział misjonarz. - Ona rodzi.

- Czy ma obywatelstwo? - zapytała.

- Nie - przyznał.

- Czy jest ubezpieczona?

- Nie, ale my zapłacimy. Musi ją pani przyjąć.

Kobieta powoli sięgnęła do szuflady i wyciągnęła formularz.

- Pan jest ojcem? - zapytała.

Karen zdawało się, że widzi rumieniec na twarzy misjonarza, nie potrafiła jednak powiedzieć czy to wstyd, czy gniew.

- Poród kosztuje czterysta dolarów - powiedziała tamta. - Macie tyle? Karen sięgnęła do kieszeni i wyjęła pięć studolarowych banknotów.

- Masz - cztery podała kobiecie. Ostatni położyła na biurku. - To dla ciebie. A teraz wezwij nosze i zabierz dziewczynę do doktora. Ale już.

Mei Ling zmarła dwie godziny później zostawiając po sobie strugi krwi i dziecko. Dziewczyna miała trzynaście czy czternaście lat, może dokładnie tyle samo co Tiffany. Pan Dagsvarr wyjaśnił, że dzieci, by otrzymać pracę, często kłamią na temat wieku. Mei Ling wykrwawiła się, zanim właściwy poród się rozpoczął i nie zobaczyła nawet swego dziecka, jak się okazało, zdrowej córki. Karen stała w zakrwawionym korytarzu i płakała. Pan Dagsvarr zmówił modlitwę, a potem ochrzcił małą. Karen weszła na chwilę do sali i popatrzyła na dziecko, które trzymał w ramionach. Główkę otaczała aureola czarnych pierzastych włosów, a skóra, mimo trudnego porodu, miała delikatny złocisty odcień. Karen ledwie mogła oderwać oczy od niemowlęcia. Pragnęła je dotknąć, potrzymać, ale nie pozwoliła sobie na to. Nie czas teraz na poddawanie się emocjom. Pani Lemmon zmęczonym krokiem poszła wypełniać formularze, a Dagsvarrowie odwieźli Karen do hotelu. Niewiarygodnie zmęczeni, nie odzywali się do siebie podczas jazdy. Obok hotelu, zanim skręcili na półokrągły podjazd, pan Dagsvarr zatrzymał samochód.

- Przykro mi, że musiała pani coś takiego zobaczyć - powiedział
- Wy ciągle na to patrzycie - odparła.
- Tak, ale to moja praca. Wybrałem ją. Pani nie.
- Może trzeba było, bym to zobaczyła - powiedziała Karen. Odwróciła się ku misjonarzom. - Może już być za późno. Za późno, bym mogła zapobiec temu co robi NOrmCo. Ale spróbuję. Dopilnuję, by o tym co się tu dzieje dowiedziano się w Stanach. I przyślę wam pieniądze - podała panu Dagsvarrowi wizytówkę. -Nie zapomnę i pomogę
- obiecała.

Pani Dags varr wyciągnęła do niej rękę. Była drobna, maleńka jak u dziecka.

- Dziękuję-powiedziała krótko.

* * *

Karen nie czekała, by porozmawiać z Billem. Po co? Był kłamcą czy też głupcem, wprowadzonym w błąd przez własnych pracowników? Przypuszczała, że pierwsza odpowiedź jest prawdziwa, choć sama głupota to już wystarczające zło. I pomyśleć, że rozważała pójście z nim do łóżka. Przypomniała sobie wszystko o czym mówił ojciec. Czy słuchała go wystarczająco uważnie? A może nie chciała słyszeć? Może przeszkodził jej w tym egoizm? Albo własne, ambicje? Co za różnica?

Pomyślała o umowie, o wszystkich kopiach kontraktu, opatrzonych wieloma sygnaturami. Sama też już je podpisała i odesłała. Wrzucając rzeczy do walizki, czuła mdłości. Przed oczami stawała struga krwi na brudnym, szpitalnym korytarzu; krwawa blizna od której robiło jej się słabo. Ile kobiet i dzieci umiera, albo zapracowuje się niewolniczo na śmierć by gdzieś, w Ameryce, kobiety mogły okazji kupować stroje? Czy nie jest za późno by zerwać umowę? Uciec od Billa Wolpera i NormCo? Z ironią pogardą pomyślała o specjalnej, luksusowej niewoli, w którą może właśnie sama się sprzedała. Niewoli, pozwalającej kupić tyle czystych łazienek z ilu zapragnęłaby skorzystać, choć każda z nich splamiona będzie krwią.

Spakowana, zadzwoniła do recepcji zapytać o odloty do Stanów. Koniec z prywatnymi samolotami. Gdy zamawiano jej rezerwację, spróbowała jeszcze raz zadzwonić do Jeffreya. Czy wiedział o wszystkim? Czy coś podejrzewał? Czy pomoże jej zerwać umowę? Co będzie, jeśli tego nie zrobi?

W mieszkaniu i w domu w Westport nikt nie podnosił słuchawki. Nie odbierano telefonu w samochodzie ani na prywatnej linii Jeffreya w biurze. Jeśli dobrze liczyła, w Nowym Jorku było teraz popołudnie poprzedniego dnia; w żaden jednak sposób nie mogła znaleźć swojego męża.

Nigdy nie czuła się tak samotnie. Kiedy na drugiej linii odezwał się portier, informując z zadowoleniem, że zarezerwował jej ostatnie miejsce w samolocie lecącym na Hawaje, podziękowała mu chłodno. Pamiętała tylko dziecko i twarz pana Dagsvarra, kiedy mówił: „To moja praca. Wybrałem ją. Pani nie”.

Nie. Ona wybrała sobie pracę polegającą na kuszeniu kobiet by kupiły rzecz, na którą często ich nie stać. A wkrótce będzie wabić coraz więcej klientek i pomoże im sprzedawać w niewolę kobiety na drugim końcu świata. Jakoś nie przypominało to w niczym artykułu w „Vogue”.

432

Część czwarta

Prawdziwa matka

Tajemnica każdej rodziny polega na tym, że nie jest podobna do żadnej innej.

ALAN BENNETT

Rozdział 30

Ostatnia nitka

Taksówka zatrzymała się pod domem numer 550 przy Siódmej Alei, a Karen wyskoczyła z auta i niemal biegiem ruszyła do budynku. Po długim locie, koszmarze Marianów i utracie dziecka obiecanego przez Cyndi była wściekła. Co gorsza, wyglądała jak dzikuska. Przyglądając się swemu odbiciu w stalowych drzwiach windy, stwierdziła, że przypomina Meduzę. Przeczesała włosy palcami, dojechała na dziewiąte piętro i poszła prosto do pracowni. Casey, parę osób z działu sprzedaży i jacyś przedstawiciele sklepów podnieśli głowy, ale Karen nie miała teraz czasu na kontakty towarzyskie. Bez słowa minęła rozległe pomieszczenie, a potem korytarzem udała się do swego gabinetu. Janet siedząca przy biurku przed drzwiami, pogrążona w telefonicznej rozmowie, wytrzeszczyła oczy ze zdumienia i pokazała na migi, że za minutę będzie wolna. Karen zbyła ją gestem, rzuciła bagaże na podłogę i poszła do gabinetu Jeffreya. Musiała mu o wszystkim powiedzieć. Musiała podzielić się swym oburzeniem i zawiadomić o konieczności zerwania umowy. Ale gabinet był pusty.

- Gdzie siępanipodziewała?-dogoniła ją Janet. -Mam chyba milion wiadomości. Pan Wolper szaleje i stara się panią złapać.

- Do diabła z panem Wolperem! - Karen, nie zwracając uwagi na zaszokowaną minę biednej Janet, wypadła z pokoju i wsunęła głowę do gabinetu Definy. Dee przerzucała stertę zdjęć w towarzystwie jednego z młodych, przejętych fotografów, którzy zawsze dostarczali je w ogromnych ilościach. Kiedy podniosła głowę i zobaczyła minę Karen, kazała facetowi wynieść się wraz z portofolio.

- Jędza wróciła - uśmiechnęła się.

- Miło, gdy się cieszą na twój widok - odparła Karen.

- Co ci się stało?

- Próbowałam zagrać z dużymi chłopcami i dostałam kopa w tyłek. Defina, nie możemy wejść w układ z NormCo.

- A nie mówiłam, skarbie? Ale sprawa jest już chyba przesądzona?

433

Przez chwilę Karen zdawało się, że zaraz zacznie płakać, szlochać jak dziecko i już nigdy się nie uspokoi. Tak się starała działać po swojemu, projektować ubrania i rozwijać firmę w sposób, jaki uważała za stosowny. Ale ostatecznie zawsze okazywało się, że to mężczyźni - szefowie korporacji, bankierzy, właściciele mediów - władają biznesem i życiem otaczających ich ludzi. Próbowala wywalczyć sobie niezależność, ale Bill, Basil, prawnik Robert i własny mąż pokonali ją. Nabrała powietrza głęboko w płuca i wypuściła je.

- Lepiej, aby tak nie było - pokrótce opowiedziała Definie o Marianach. Przyjaciółka słuchała, czasem potrząsając głową. Kiedy skończyła, Dee wstała i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Niewolnictwo - powiedziała. Karen przytaknęła w milczeniu.

- Nigdy nie sądziłam, że ludzie powinni umierać za modę. Wiesz o co mi chodzi, ja projektowałam bluzkę, pani Cruz kroila, dziewczyny szyły, ktoś ją kupował i wszyscy byli zadowoleni. To nie wydawało się ani skomplikowane, ani brudne, ale im większa firma, tym gorzej wszystko wygląda. Tak wielki rozwój to jakby wejście w krąg handlarzy narkotyków czy coś w tym rodzaju. Wszyscy bierzemy udział. Bombardujemy modą kobiety z towarzystwa, tak że ciągle potrzebują nowych strojów. Naśladują je urzędniczki. Potem robotnice. Im zejdziesz niżej, tym tańsze są kolejne imitacje projektów i gorzej opłacani wytwarzający je ludzie. Świństwo sprzedawane u Macy'ego za dwadzieścia dolarów kosztowało w produkcji dolara, włączając płace. Ludzie nie powinni umierać po to, by sekretarki w Stanach mogły kupić bluzkę z poliestru za dziewiętnaście dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów - Karen straciła panowanie nad sobą. Wściekłość, poczucie zdrady, wszystko to sprawiło, że wybuchnęła gniewnym szlochem. Defina wyszła zza biurka, zamknęła drzwi i objęła przyjaciółkę. Karen miała ochotę zatonać w jej ramionach, wtulić się w miękką, ciepłą pierś. Wzięła się w garść.

- Co teraz zrobimy? - zapytała Defina.

- Musisz mi pomóc zerwać umowę. Dowiedz się, gdzie jest kontrakt, sprawdź czy odesłano go do Herba czy też ciągle ma go prawnik Robert. Zatrzymaj, wszystko jedno jak, całą sprawę, jeśli nie jest za późno. A ja muszę znaleźć mojego męża.

Do pokoju weszła Janet.

- Co pani tutaj robi? - powtórzyła pytanie. - Myślałam, że jest pani w Korei.

- Ten wyjazd nie był konieczny - odparła Karen.

- Ale...

- Janet, zadzwoń do Roberta i dowiedz się czy ciągle jeszcze ma umowę z NormCo - warknęła Defina. - Powiedz, że odkryliśmy omyłkę popełnioną przez jego biuro i jeśli prześlemy ją NormCo w takiej formie, on będzie za to

odpowiedzialny. Powiedz mu, że Jeffrey jest bardzo niezadowolony. A właściwie, powiedz to wszystko sekretarce Jeffrey'a i niech ona zadzwoni do Roberta - poleciała.

Gdy Janet odwróciła się i wyszła z pokoju, Karen opadła na jedyne krzesło nie zaważone stertą próbek i jakichś innych rupieci.

- Gdzie jest Jeffrey? - zapytała. - Możesz zadzwonić do jego sekretarki i się dowiedzieć?

324

- Cóż, prawdę mówiąc, nie muszę tego robić. Myślę, że poszedł do pracowni Perry'ego. Spędza tam sporo czasu.

- Do pracowni? - Silvermann dał Karen klucz przed wyjazdem na odwyk. Ciągle miała go na swym kółku. - Przecież Perry'ego nie ma? Co Jeffrey tam robi? - zapytała.

- Nie mam pojęcia - powiedziała bezbarwnym głosem Defina. - Myślałam, że ty wiesz.

Może maluje, pomyślała Karen. Doskonale. Moje życie rozpada się w gruzy, a on maluje.

- Zadzwoń do niego.

- Nie ma telefonu. Chyba wszystko stamtąd wyniesiono. Perry musiał to sprzedać czy wynająć.

- Żartujesz! O Boże! To go chyba zabiło. Kochał to miejsce.

- Idziesz czy zostajesz? - Defina wzruszyła ramionami.

- Pójdę. Muszę sprawdzić, czy Jeffrey coś o tym wiedział. Wrócę za jakąś godzinę.

- Nie bądź taka pewna - powiedziała Defina. - Powiem Janet i wezwę ci samochód.

- Dzięki, ale nie rób sobie kłopotu. Przejmij tylko umowę, zanim będzie za późno. Jeśli już nie jest. Zbiegnę na dół i złapię taksówkę.

Karen stała na ulicy niemal dokładnie w tym samym miejscu, w którym parę tygodni temu, w świetle latami, zataczał się Perry. Weszła do brudnego westybulu, a potem do pustej windy. Zamknęła za sobą kratę. Przeraziły ją te stare, przemysłowe dźwigi, ale przypomniała sobie jak uruchomiła go, gdy przywiozła pijanego Perry'ego do domu.

Otrzymały od przyjaciela klucz pasował do dziurki przy cyfrze oznaczającej piętro Silvermanna. Karen włożyła go i z ręką na dźwigni doprowadziła windę na szóste piętro.

W pracowni było bardzo cicho. Wszystkie sprzęty wyniesiono. Biedny Perry. Powiedział jej, że jedzie na odwyk i nie wie, gdzie będzie mieszkał po powrocie, a ona go nie rozumiała. Miejsce wyglądało na ogołocone. Może Jeffrey pakował rzeczy Perry'ego i już sobie poszedł? Defina miała rację. Stare sofy, ogromne płótna, zachlapane farbami stoły... wszystko zniknęło. Został tylko snujący się po kątach zapach oleju lnianego i olejnych farb. Pracownia leżała

od strony północnej i puste pomieszczenie zalewało wpadające przez ogromne okna chłodne światło. Defina myliła się, Jeffreya tu nie było. Karen odwróciła się do wyjścia. Wtedy usłyszała jęk.

Czy to Jeffrey? Może był tu sam i się przewrócił? Czy coś mu się stało? Jedyнным niewidocznym kątem rozległej, otwartej przestrzeni była mała alkowa i Karen poszła - niemal pobiegła - w jej kierunku.

- Jeffrey? - zawołała, skręcając za róg, do małej sypialni.

Dziwne, ale nawet wtedy, pierwszą rzeczą, którą zauważyła były ubrania. Szaroniebieska jedwabna koszula Jeffreya leżała na podłodze, a buty od Bruno

Magliego na środku pokoju, zamiast jak w domu, stać porządnie koło łóżka. Z parapetu zwisała zielona lniana sukienka (Anne Klein? Calvin Klein?) i jaskrawo-różowa zamszowa marynarka. Kto włożyłby na siebie taki komplet? pomyślała bez związku. Co ona właściwie robi? W tak krytycznej chwili przegląd mody? Chyba zmiana czasu rzuciła jej się na mózg. Karen jeszcze raz spojrzała na buty. A gdzie są buty tej kobiety? Na drugim parapecie, służącym jako zastępczy nocny stolik, zobaczyła krokodylowe pantofle od Gucciego.

Poza ubraniami, w alkowie było także łóżko, a raczej materac na stelażu, okryty białą tkaniną. Puste ściany pracowni i biel na bieli. Wszystko białe, prócz cieplej w odcieniu skóry Jeffreya, jego szpakowatych włosów, różowej stopy i bladej nogi leżącej pod nim kobiety.

Wydawało się, że tych dwoje zastygło, tak jak zostali przyłapani, w środku przerwanej czynności.

Karen zamarła także, a jej oczy były jedyną częścią ciała, jaką mogła poruszać. Czuła jak ścina jej się krew, a ona wrasta w miejsce zaszokowana, zażenowana, zawstydzona. Ale czego, u diabła, ja mam się wstydzić, zapytała się w duchu. To on jest cudzołożnikiem.

- Jeffrey? - powtórzyła jak idiotka. Któż inny mógłby to być?

- Jezu Chryste - powiedział, odwracając ku niej twarz, białą jak zastygła w szoku maska. Odzyskała kolor tak szybko, że musiał to być rumieniec. Cóż, miał przynajmniej tyle przyzwoitości by się zaczerwienić.

- Karen? - zapytał, choć była tu w sposób tak normalny jak on sam.

- Karen? - pisnęła leżąca pod nim kobieta. Znała ten głos, ale nie mogła go umiejscowić. Szerokie plecy Jeffreya zasłaniały twarz jego partnerki. Jeszcze raz obiegła wzrokiem alkowę i rozrzucone ubrania. Już wiedziała.

- Lisa - wyszeptała.

Karen i Derma siedziały w kawiarni. Karen dziękowała Bogu, że ma ze sobą duże okulary słoneczne. Wyglądało na to, że mimo odwodnienia po podróży samolotem, może wylewać z siebie kwarty łez, które nieprzerwanym strumieniem spływały jej po twarzy. Zupełnie jak te kiczowate lampy z nylonowych nici sączących krople, jakie widywała czasem w kiepskich, włoskich restauracjach. Carl podarował jej kiedyś taką dla kawału. Czy nie na prezent ślubny?

A teraz kaskady łez lały jej się z oczu. Defina wyjęła z chromowanego pojemnika następną serwetkę i podała przyjaciółce. Czy to nie Karen była kiedyś dziewczyną, która nigdy nie płacze?

- Nie trzyj. Przyciskaj i osuszaj - poradziła. - Inaczej twarz ci spierzchnie.

- O Boże, Defino, jak oni mogli? Jak ja mogłam być taka głupia? Taka strasznie głupia?

- Na które pytanie mam najpierw odpowiedzieć? Karen bez słowa wzruszyła ramionami.

- On zrobił to, bo jest obrzydliwą świnia, a świnia bez trudu może zrobić wszystko. A ona dlatego, że jest znudzoną, starzejącą się kobietą, która

438

właśnie zdała sobie z tego sprawę. I dlatego, że od chwili urodzenia była o ciebie zazdrosna.

- O Boże - jęknęła Karen. - Chyba jest mi niedobrze. Defina podała jej następną serwetkę do osuszenia łez.

- Jak mogłam być taka głupia? - powtórzyła.

- To nie głupota. To odsuwanie od siebie niewygodnej prawdy. Zgadzam się, że wygląda podobnie, ale ty nie jesteś niemądra. Po prostu świetnie potrafisz zamykać oczy na oczywiste fakty. Będziemy cię nazywać Kleopatra, Królowa Zamkniętych Oczu - wyjaśniła Defina i twarz jej złagodniała. - Hej, nie bądź dla siebie za surowa. Nie mogłaś przecież przyznać sama przed sobą, że twój mąż jest słaby i próbował cię sprzedać. Że jest od ciebie zależny i nienawidzi tego. Że wini cię za wszystko, czego nie zrobił. Że zazdrości ci kariery i przyjaciół...

- Naprawdę? - zapytała Karen.

- Obudź się Kleo, i spójrz prawdzie w oczy. Musiał być strasznie wściekły, skoro przespał się z twoją siostrą. Facet zdradza żonę z wielu powodów, ale robi to z jej najlepszą przyjaciółką tylko wtedy, gdy ma żonie coś do zakomunikowania, a boi się to powiedzieć wprost. Wiedział, jak sądzę, że ja i Carl damy mu kosza, pozostawała więc Lisa - Defina umilkła na moment. - Choć Carl miał zawsze słabość do Jeffreya... Może...

- Ależ, Dee - Karen niemal uśmiechnęła się na samą myśl o tym.

- Przepraszam, skarbie. Próbuję tylko cię rozweselić.

Karen wyciągnęła rękę, a Defina włożyła w nią następną serwetkę.

- Ludzie pomyślą, że zwariowałam - jęknęła. - Albo, że przeżywam jakieś załamanie nerwowe.

- Hej, w tej chwili kobiety płaczą po kawiarniach w całym mieście. To Nowy Jork, mała. A co sobie jakiś obcy pomyśli, to teraz najmniejszy problem. Masz do czynienia z miłością, śmiercią i pieniędzmi. Nie ma trudniejszych spraw.

Karen przypomniała sobie Mariany. Są rzeczy trudniejsze. To, czego tam doświadczyła, jakoś ustawiało wszystko w innej perspektywie. Pomyślała o Billu Wolperze. Jak mogła sądzić, że on ją ocali a Jeffrey zawsze będzie ją chronił? Co to za radę dawała Coco? Wszyscy mężczyźni to alfonsi. Jak mogła o tym zapomnieć?

- O Boże, Dee, a co będzie, jeśli umowa z NormCo jest sprawą przesądzoną?

- No cóż, Kleo, jeśli chodzi o „papierusy” mam dla ciebie dobre nowiny - Defina uśmiechnęła się po raz pierwszy tego dnia i wyciągnęła garść różowych karteczek z wiadomościami. - Dzwonił twój chłopak, Bill. Odebrałam jeden z

telefonów. Bardzo chciał z tobą rozmawiać. Nie sądzę jednak, by chodziło o randkę. Chyba raczej o to - sięgnęła pod stół i wyjęła gruby plik dokumentów. -Ta - *Voila* - powiedziała z szerokim gestem i rozłożyła umowy na blacie. - Doprowadziłam prawnika Roberta do takiego stanu, że odesłał wszystkie kopie. Chyba po raz pierwszy czarna dziewczyna z Lenox Avenue przechytryła prawnika z Park Avenue - roześmiała się Dee. - Co chcesz z tym zrobić? - Zniszczyć - odparła Karen.

327

- Jesteś pewna, że nie chcesz pojechać do Madame Renault? Mogłaby to spalić, a przy odrobinie pomocy, niektóre z zainteresowanych stron też by poszły z dymem.

- Nie ma mowy. Jeśli mam wbijać w ludzi szpilki, zrobię to samodzielnie, a nie przez pośrednika.

- Cóż, jeśli nie podpiszesz umowy, Jeffrey i Lisa na pewno zostaną ukarani. Liczyli na te pieniądze. To samo twoja matka, że już nie wspomnę o Mercedes.

Karen przytaknęła w milczeniu.

- A co z tobą?

- Ja sobie poradzę. Leczenie Tangeli pokrywa ubezpieczalnia, mam pieniądze w banku i tyle ubrań ile uda mi się ukraść - uśmiechnęła się złośliwie. - Nawiasem mówiąc, pani Cruz skroiliła dla mnie jeden z modeli sukni ślubnej.

Wzięłam brązową alpaka. Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

- O Boże! Ile metrów alpaki na to poszło? Jeffrey się wścieknie.

- Nie sądzę - zaszczebiotała Defina. - Nie sądzę, żeby odpowiadał dłużej za towary na składzie - zobaczyła, że po twarzy przyjaciółki znów zaczynają toczyć się łzy. - Przepraszam - powiedziała, podając serwetkę. - Więc co zamierzasz zrobić?

- Nie wiem - odparła Karen. - Szczerze mówiąc, sama nie wiem.

Rozdział 31

Rewanż

Karen wpadła do mieszkania jak tornado. Jeśli znajdzie w nim cokolwiek - cokolwiek do cholery - należącego do Lisy, puści to przeklęte miejsce z dymem. Wykryje dowody zdrady. I, niech ją szlag trafi, jeśli spędzi choć jedną minutę więcej w mieszkaniu pełnym rzeczy Jeffrey'a.

Po rozstaniu z Definą myślała najpierw o udaniu się do hotelu, wynajęciu pokoju w „Royaltonie” i czekaniu co będzie dalej. Ale, gdy gniew wziął górę nad wstrząsem, zmieniła zdanie. Kazała taksówkarzowi zawieść się do West Side i otworzyła drzwi mieszkania tak gwałtownie, że aż się ściany zatrzęsły.

Na stole w kształcie półksiężyca stał ogromny wazon pełen lilii. Karen podeszła do nich jak zahipnotyzowana.

Intensywny zapach kwiatów czuć było już w połowie pokoju, a z bliska stawał się wręcz przytłaczający. Płatki miały kolor bladego złota. Karen wyciągnęła rękę i dotknęła jednego z nich, a jego gładkość i barwa przypomniały jej skórę dziecka w szpitalu na Marianach. Gdzie jest teraz to maleństwo?

Na stoliku leżała wizytówka. Wytłoczona na niej podwójna litera W wskazywała, że pochodzi z prywatnej papeterii Billa. Karen, nie dotykając jej, podeszła do telefonu i zadzwoniła po samochód.

- Mam przesyłkę - wyjaśniła osobie odbierającej zamówienia. - Chciałam posłać kwiaty na oddział położniczy Doctor's Hospital.

Potem wyjęła wizytówkę, zaadresowała do Cyndi i nabazgrała krótki liścik - „Postąpiłaś słusznie. Wszelkie rachunki zostaną zapłacone. Pozdrowienia dla Ciebie i syna - Karen”. Zadzwoniła na portiernię i poprosiła, by chłopiec na posyłki zabrał kwiaty. Potem skierowała swą uwagę na obraz wiszący nad kanapą.

Wzięła z kuchni ulubiony nóż Ernesty i pocięła płótno Jeffreya w pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu miejscach. Wiedziała, że musi być teraz wobec siebie uczciwa. Koniec z zamykaniem oczu na fakty. A prawda była taka, że Jeffrey był kiepskim malarzem. Może miał do tego smykałkę, może trochę zdolności, ale w niewielkim stopniu i dawno temu. To Peny był utalentowany.

441

Zanim skończyła, obraz przypominał pęk wstążek. Karen poczuła się lepiej, ale był to dopiero początek. Poszła do sypialni i otworzyła garderobę Jef-freya. Wyciągnęła kaszmirowe swetry, wełniane marynarki, alpakowe płaszcze, garnitury od Armaniego i zaczęła je ciąć, szarpać oraz rozdzierać. Guziki przelatowały przez pokój niczym kule z rewolweru. Karen, czcicielka ubrań teraz je niszczyła. '

Nie wiedziała w pierwszej chwili co zrobić z butami. Pociąć sznurowadła to za mało. Napęłniła więc wannę wodą i wrzucała jeden po drugim - nienaganne pantofle od Gucciego, obuwie od Cole Haana, ręcznie robione angielskie trzewiki. Każdy z nich przez chwilę unosił się na wodzie, po czym wolno opadał na dno.

Z krawatami poszło łatwo - przecięła je tylko na pół sekatorem. Spodobał jej się efekt, dolny brzeg przypominający ząbki piły. Może mogłaby zapoczątkować nowy trend w męskiej modzie? Otworzyła komodę i zaczęła wyciągać z niej tuziny złożonych, wykrochmalonych koszul. Jeffrey zawsze przywiązywał do nich dużą wagę. Sekator poradził sobie i z koszulami. Niektórym Karen po prostu obcięła jeden rękaw, w innych zdecydowała się na kołnierzyk i mankiety. Po dziesięciu minutach miała ich tyle, że mogłaby obdzielić wszystkie króliczki z „Playboya”. Rozejrzała się po pokoju. Wokół piętrzyły się stosy podartych ubrań, którym zgotowała maskarę. Zastanawiała się przez moment, czy ich nie podpalić ale nie była aż tak szalona.

Zamiast tego poszła do kuchni i przyniosła przychowywaną tam przez Ernestę butlę wybielacza. Oblała nim hojnie wszystkie sterty, przyglądając się z zainteresowaniem jak na materiale rozkwitają kwiaty i obłoki. Zupełnie jak test Ror-schacha. Może Jeffrey i Lisa będą mieli nową zabawę: co przypomina ci ta plama wybielacza?

Zadzwoił telefon, ale nie zwracała na niego uwagi. Któż to mógł być? Jeffrey z przeprosinami? Lisa? Co by jej powiedziała? A może kolejna kobieta w ciąży dzwoni, by złamać jej serce? Za późno. Już jest złamane. Włączyła się automatyczna sekretarka i po sygnale zabrzmiał głos Billa Wolpera. Karen niemal się uśmiechnęła. To naprawdę ważna sprawa, skoro nie zlecił jej asystentce. „Karen mówi Bill. Zaszło chyba jakieś nieporozumienie, które chciałbym wyjaśnić Nie wiem, co o tym myśleć, ty pewnie też. Będę w...” Szkoda. Ona już wie, co o tym myśleć. Przciszyła dźwięk w aparacie.

Następnie zaczęła metodyczny przegląd górnych szuflad komody. Ze starannie pozwijanymi skarpetkami sprawa była prosta - wyrzuciła je przez okno Boże ten człowiek musiał mieć z pięćdziesiąt par skarpetek! Cóż, było - minęło. Potem otworzyła kasetkę na biżuterię. Były w niej spinki z szafirami, które podarowała mężowi. Dokładnie w kolorze jego oczu. Karen poczuła lzy pod powiekami ale to jej me powstrzymało. Poszła do kuchni, zabrała młotek spod zlewu i deskę do krojenia. Wróciła do sypialni, położyła na komodzie deskę, na niej szafiry i rozbiła je na proch. Proch wartości osiemnastu tysięcy dolarów. Nie było to zapewne aż tak satysfakcjonujące, jak wyłupanie Jeffreyowi

prawdziwych oczu, ale musiała na tym poprzestać. Prawdę mówiąc, zajęcie ją wciągnęło, więc tłukła w pozostałą biżuterię, aż zabolą ją ręka.

443

Poczuła nagle, że nigdy w życiu nie była taka zmęczona. Nie była pewna, czy w ogóle będzie miała siłę się ruszyć. W końcu, resztką energii, zdołała jakoś przedrzeć się przez zgliszcza do gościnnego pokoju. Opadła ciężko w róg łóżka. Małżeństwo, dom, rodzina, praca. Karen zdawało się, że na wszystkich polach odniosła klęskę; wszystko okazało się beznadziejne, fałszywe i głupie. Czyż Defina jej nie ostrzegęła? Żadna kobieta nie da sobie z tym rady. Może Jeffrey kiedyś ją kochał, ale jeśli nadal tak było, jego miłość zatruił gniew, a ona nawet niczego nie podejrzewała. A Lisa - no cóż, kto tam wie, jakie uczucia nią targają? Jedno jest pewne. Nie była dla swej siostry naj lepszą przyjaciółką. Pozostaje więc jej projektowanie drogich ubrań dla kobiet, które ich nie potrzebują, a w perspektywie rozbudowa firmy w oparciu o niewolniczą pracę i zaspokajanie nałogu Amerykanek do „okazyjnego” kupowania. I po to tak walczyła? Całe zamieszanie, wielogodzinna praca, podróże; wszystko po to by sprzedać się Wolperowi, wpłacić dużo pieniędzy na fundusz emerytalny i umieścić własne nazwisko na każdej szmacie wyprodukowanej przez NormCo.

Leżała nieruchomo, zbyt nieszczęśliwa by się poruszyć i zbyt zmęczona, by obmyślić jakiś plan. Do tej pory zawsze widziała przed sobą kolejne zadania: poślubić Jeffreya, kupić mieszkanie, założyć firmę, zbudować dom, mieć dziecko, odnaleźć matkę, sprzedać firmę. Zawsze był jakiś następny krok, nowa zdobycz czy osiągnięcie, na którym mogła się skoncentrować.

Teraz nie było nic. Ma za sobą połowę życia, może więcej i skończyły jej się plany, wyczerpała energia, zabrakło miłości. Zamknęła oczy.

Kiedy się obudziła, stał przed nią Jeffrey. Uśmiechnęła się, nie do końca przebudzona. Czy to sen? Ale zaraz, niczym cegła na głowę, spadły na nią wspomnienia. Niezdarnie usiadła na łóżku.

Jeffrey trzymał w wyciągniętych rękach płaszcz z czarnym aksamitnym kołnierzem, uszyty z niegdyś granatowego kaszmiru. Obecnie w poprzek ciągnął się białawo-szary wzór z wybielaczowych kwiatów, a na plecach ziała wycięta nożem dziwaczna dziura.

- Coś ty zrobiła? - zapytał Jeffrey.

- To ja chyba powinnam o to spytać - roześmiała się Karen.

- Oszalałaś!

- Tu cię mam; znowu mówisz moją kwestię.

- Czy wiesz, jakich szkód narobiłaś?

- Jeffrey, masz dobry scenariusz, ale czytasz niewłaściwą rolę. Nie będziemy się kłócić o twoją garderobę. Mam ją gdzieś! Myślę, że wystarczająco dałam to do zrozumienia. Będziemy mówić o tym, co robiłeś w pracowni Perry'ego w łóżku z moją siostrą.

- Przesadzasz, Karen.

Zastygła w bezruchu. Ledwie wierzyła własnym uszom. Zawsze, gdy się kłócili, Jeffrey miał przewagę. W odróżnieniu od żony nie tracił panowania nad sobą, i mógł skierować kłótnię na jej niewłaściwe zachowanie. Czy naprawdę sądził, że

331

teraz też mu się to uda? Powie jej, że jest przewrażliwiona? Zapyta, czy może spodziewa się miesiączki? Zachowa się, jakby to ona zwariowała?

- Przesadam! Mój mąż pieprzy się z moją siostrą. Sądzę, że jak na razie, reaguję najzupełniej normalnie. Na ten temat, Jeffreyu, pisze się prace naukowe. Przeglądałam je w bibliotece. Tak właśnie zachowują się kobiety w mojej sytuacji. Zasluguję więc na to, by dowiedzieć się kilku rzeczy.

Jeffrey odwrócił głowę, westchnął głęboko i przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Rzucił płaszcz i skrzyżował ręce na piersiach.

- Co takiego chcesz wiedzieć? - zapytał.

- Czy celowo pokpiłeś sprawę adopcji synka Cyndi? Czy dałeś jej do zrozumienia, że nie chcemy dziecka?

- Nie - odpowiedział. - Byłem dla niej miły. Sally twierdzi, że ta dziewczyna, wycofałaby się z umowy bez względu na to, kto by przy niej był. To się zdarza.

- W porządku. Nie wiem czy ci wierzę, ale w porządku. Następne pytanie: czy wiedziałeś skąd pochodzą pieniądze, które oferuje nam NormCo?

- O czym ty mówisz?

- Czy wiedziałeś o Marianach?

- Nie. I nadal nie jestem pewien, o co ci chodzi. Dzwonił Bill. Zaszło jakieś wielkie nieporozumienie. Coś sobie wbiłaś do głowy. To są interesy, Karen, a nie jakiś liberalny program charytatywny. Wolper chce z tobą porozmawiać.

- Nie ma mowy. Odpowiadaj na pytania. Tu chodzi o pieniądze z wyzysku. O pracę przymusową. Wiedziałeś, że Arnold miał rację?

- Czy gdybym wiedział, pozwoliłbym ci tam pojechać?

Karen rozważyła tę odpowiedź i doszła do wniosku, że mówi prawdę. Gdyby mógł, nie pozwoliłby jej się pewnie o tym dowiedzieć. Ale czy takie przyznanie nie jest gorsze od niewiedzy? Przyglądała się mężczyźnie, którego poślubiła.

- Ostatnie pytanie: dlaczego akurat Lisa? Wzruszył ramionami.

- Bo była - westchnął.

- Co takiego? Jak Mount Everest? A ty kto jesteś? Sir Edmund Hillary?

- Bardzo mi przykro, Karen. To się po prostu stało. Wyszło niedobrze. Naprawdę niedobrze. Co mam teraz zrobić? Karen zastanowiła się nad tym głęboko.

- Chcę, żebyś sobie poszedł. Zostaw mnie.
- Gdzie mam iść?
- To mnie nie obchodzi, idź do diabła.
- Mogę do ciebie zadzwonić? - zapytał po chwili milczenia.
- Nie.

Poszedł w kierunku drzwi.

- Naprawdę przykro mi, Karen - powiedział i wyszedł.

Rozdział 32

Cuchnąca sprawa

Karen siedziała za biurkiem w swoim gabinecie. Zamknęła drzwi. Ważna była dla niej świadomość, że ma jakieś miejsce i rzeczy, które należą tylko do niej. Czuła się tak, jakby, po tych wszystkich latach pracy, posiadała naprawdę jedynie to pomieszczenie. Nie mogła wracać do mieszkania, dopóki Jeffrey się stamtąd nie wyprowadzi, nie była w stanie opuścić gabinetu i pójść do salonu wystawowego czy pracowni, bo nie potrafiła się pozbierać. Poza tym, gdyby tylko wytknęła nos za drzwi, musiałaby powiedzieć wszystkim o zerwaniu umowy z NormCo. Janet przestała zawracać jej głowę wiadomościami zostawianymi przez Billa Wolpera. Tylko on, Jeffrey i Defina wiedzieli, że z kontraktu nici. Jeffrey szalał. Karen mogła wyobrazić sobie reakcję Mercedes, gdy dowie się o wszystkim. I nie tylko oni się wściekną. Prawnik Robert dostanie zawału, Janet nie będzie mogła wpłacić pierwszej raty na dom, Arnold i Bella pozostaną bez środków do życia na stare lata, a Bóg jeden wie, jak to przyjmie pani Cruz i inne kobiety z pracowni. Ciężko poradzić sobie z rozczarowaniem.

Ha! Ciężko poradzić sobie z rozczarowaniem. Omal nie wybuchnęła głośnym śmiechem. To dopiero głęboka, filozoficzna myśl. Dotyczy także i Karen. Właściwie nie potrafiła powiedzieć, czy jest zła czy smutna - może jedno i drugie. Gdy myślała o Jeffreyu ogarniała ją furia, ale po chwili z oczu tryskały łzy, a ją samą przepelniało uczucie żalu nad sobą. Wspomnienie Lisy doprowadzało ją do szaleństwa. Nie mogła pojąć, co, u diabła, ona sobie myślała. Na Long Island mieszkały co najmniej trzy miliony mężczyzn i skoro Lisa nie chciała sypiać z Leonardem, dlaczego nie wypróbowała najpierw któregoś z nich, zamiast męża własnej siostry.

Rozmyślając nad tym wszystkim, Karen doszła do wniosku, że Defina miała rację. Lisa i Jeffrey zaspokajali w łóżku coś więcej niż tylko własne pragnienia. Oboje przesyłali jakąś wiadomość i jeśli nawet nie miały jej szybko odebrać,

jeśli nie planowali, by sama odkryła prawdę, wiedziała, że usiłowali jej coś powiedzieć. Pieprzyli się nie tyle ze sobą, co z nią.

447

Nie była pewna czy Jeffrey ją kocha, ale z pewnością był na nią zły. Może naprawdę czuł się niedoceniany. Latami musiał zajmować się interesami i finansami, a cała chwała spływała na nią. A ostatnio jednego i drugiego przybyło. A jeśli powód był inny, jeśli po prostu się nią znudził, uważał, że jest nieatrakcyjna albo czuł, że ich małżeństwo obumiera, dlaczego po prostu nie powiedział tego i nie odszedł lub nie znalazł sobie jakiejś innej, nieznajomej kobiety?

' Karen okręciła się na krześle i popatrzyła na Siódmą Aleję - dzielnicę ciuchów. Godzina szczytu dobiegała końca, ale ulicę wciąż wypełniali ludzie popychający wieszaki z ubraniami. Ciężarówki tarasowały jezdnię i przechodzący musieli je omijać. Tyle energii, tyle wysiłku, tyle bilionów dolarów wydawano tu, by ludzie nie ubierali się w skromne mundurki. Karen popatrzyła na tłum kłębiący się w dole. Czy są tam osoby tak nieszczęśliwe jak ona? Będzie musiała stawić czoło kilku dużym rozczarowaniom i gorzkim prawdom. Jeśli Jeffrey ją kochał, czuł też gniew tak wielki, że tylko bardzo ją raniąc mógł wyrównać rachunki. A jeżeli nie kochał, jeśli była mu obojętna - to zachował się złośliwie i okrutnie. Co było prawdą? Co było gorsze?

Zastanawiając się nad tym wszystkim przez większą część nocy i dzisiejszy poranek, Karen po prostu nie mogła uwierzyć, że Jeffrey kochał Lisę. Ta pewność nie wynikała z własnej ambicji czy zaprzeczania faktom. Poznała Jeffreya przez te wszystkie lata i, choć kobieta nigdy nie wie dokładnie w jakich kochankach gustuje jej mąż, wiedziała, że Lisa nie jest w jego typie.

Zrobił to zatem, bo ciągle mnie kocha, tylko jest zły; albo dlatego, że nie kocha mnie w ogóle. A jeśli mnie nie kocha, jeśli nie czuje nic już od dawna, dlaczego nie odszedł? Jedyna odpowiedź, bardzo dla Karen bolesna, brzmiała: pieniądze. Został z nią dla pieniędzy. Ten fakt napełniał ją wielkim wstydem. Czowała się okradziona ze wszystkiego: z sex appealu, inteligencji, talentu. Być kurą znoszącą złote jajka; to gorsze dla kobiety niż być oszukaną czy skrzywdzoną.

Karen wyrwał się cichy jęk. Zatkła usta ręką i zaczęła się kiwać na fotelu w tył i w przód. Ile utalentowanych kobiet ograbili towarzysze życia? Coco wykorzystał jej kochanek Iribę, a Colette - mąż. Kobieta, która odniosła sukces nie jest nietykalna. Może stała się dla Jeffreya źródłem zarobków. Zapłata. Przymierzała tę myśl jak brzydką sukienkę. Bawiła się nią, jakby dotykała językiem bolącego zęba. Tak bardzo kochała swego męża. Jego ciało dawało jej tyle rozkoszy. Ile musiała płacić mu za to, że się kochali? Ile gotówki spodziewał się za każdy z obojętnych stosunków? Oczywiście, powiedziała sobie gorzko, nie było ich aż tak wiele w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Parę razy w Nowym Jorku, jedna próba w Westport. No i Paryż. Zaczerwieniła się na samą myśl o tym. Czy Jeffrey musiał

przypomnieć sobie wtedy Lisę? Jakoś nie sądziła, żeby tak było, choć gdy wyobrażała to sobie, ogarniały ją mdłości. Jeśli zaś zdrada Jeffreya wywołuje w niej takie uczucia, to co z postępkiem siostry?

Karen zawsze starała się szukać w tym, co robiła Lisa najlepszych intencji. Nawet jeśli siostra była leniwa i rozpieszczona, jeśli oszukiwała męża i nie dbała o córki, Karen usiłowała nie zwracać na to uwagi lub ją usprawiedliwiała. Lisa

334

jest kapryśna, nie odnalazła samej siebie, ma niską samoocenę. Ale Defina miała rację - ona, Karen, to Królowa Zamkniętych Oczu. Nie chciała widzieć wad swojej siostry a szczególnie jej zawiści i zazdrości.

Zastanawiała się nad tą dziwną blokadą. Musiała to wyjaśnić, bo właśnie dlatego spotkała ją kara. Teraz, kiedy całe życie się rozsypało, pragnęła zrozumieć, dlaczego nie dostrzegła zdrady tak blisko siebie. Wiedziała, że jeśli nie znajdzie wytłumaczenia nigdy już nie zaufa własnej percepcji.

Rozległo się cichutkie pukanie do drzwi. Janet tym razem zignorowała uwagi Karen, by zostawić ją w spokoju. Wsunęła głowę do gabinetu. Była blada jak ściana.

- Karen, przyszła pani siostra. Musi się pani z nią zobaczyć.

- Wykluczone.

- Niech ją pani wpuści, albo każe jej stąd iść. Robi nam się niedobrze. Karen wzdrygnęła się. Od czego robi im się niedobrze? Dlaczego Janet i inni

pracownicy tak głęboko przejmują się jej zmartwieniami? Przecież nic nie wiedzą. A może? Chryste, nie przyszło jej to do głowy. Karen zarumieniła się z upokorzenia. Mimo to, nie spotka się z Lisą. Nie teraz. A może już nigdy.

Jednak, w tej samej chwili, drzwi za Janet otworzyły się z szarpnięciem. Sekretarka odskoczyła w tył, jak uderzona, a Lisa minęła ją i weszła do gabinetu. Przez moment Karen nic z tego nie rozumiała. Czy Lisa rzeczywiście uderzyła dziewczynę? Zaraz jednak w nią samą uderzył zapach.

Trudno właściwie nazwać to zapachem. Potworny gęsty odór, gorszy niż smród, płynął przez pokój tak, że można go było kroić nożem. Karen zebrało się na wymioty. Czy to Lisa tak cuchnie? Rzuciła się do okna i otworzyła je na oścież. Nie czas na dobre maniery. To sprawa życia i śmierci.

- Co to, u diabła, ma znaczyć? - krzyknęła Lisa. Nie uczesana, z rozwianym włosiem, ubrana w dżinsy, czerwone pantofle na wysokich obcasach i starą koszulę należącą chyba do Leonarda, nigdy jeszcze nie wyglądała tak brzydko. Ale to była nic w porównaniu z tym smrodem.

- Co to ma znaczyć? - powtórzyła. - Jak to zrobiłaś?

- O czym ty mówisz?

- O czym ja mówię? O CZYM MÓWIĘ? Tak, jakbyś nic nie czuła. Jakby cały Nowy Jork tego nie czuł! Wiem, że to twoja sprawka i tej czarnej wiedźmy. Nigdy mnie nie lubiła. Doktor Schneider nie wie, co to jest. Omal nie zwymiotował, kiedy usiadłam na fotelu. Jak ty to zrobiłaś?

- Liso, ja nic nie zrobiłam.

- Jasne. Śmierdzą, jakbym miała w pochwie zdechłego wieloryba, ale nikt nic nie zrobił. Wiem, że to Defina.

- Może zaraziłaś się czymś od Jeffreya - podsunęła Karen. - Może to zakażenie drożdżami czy coś w tym rodzaju.

- Drożdże! - pisnęła Lisa. - Całe morze monostatu nie dałoby im rady. Gdyby Jeffrey to złapał, dawno by mu odpadł kutas. - Zaczęła szlochać, chodząc tam i z powrotem po gabinecie. Karen nie wychodziła zza biurka i stojąc przy oknie oddychała ustami. Co za niewiarygodny smród.

450

- Przyjechałam pociągiem - łkała Lisa. - Wsiadłam do wagonu i zanim dojechaliśmy do stacji Jamajka, już w nim nikogo nie było. Byłam sama jedna w wagonie w czasie godzin szczytu! Na Penn Station przeszłam obok paru meneli, tych co mieszkają w tunelach. Wiesz, jak oni śmierdzą. Wszyscy się odwrócili i gapili na mnie. Cały dom cuchnie. Wszystkie ubrania mam zniszczone. Nie można, nie krztusząc się, przejść obok mojego mercedesa. Jezu Chryste, Karen, tego już za wiele. Nigdy nie zależało mi na Jeffreyu. Przespałam się z nim, bo było mi miło, że zwrócił na mnie uwagę. Bo chciałam mieć to, co ty. Ale weź go sobie. Jest do niczego. Tylko usuń ten smród. Karen zastanawiała się przez chwilę. Potem nacisnęła guzik intercomu.

- Janet, czy przyszła już Defina? - zapytała.

Było dopiero za dwadzieścia dziesiątą, a Defina rzadko zjawiała się przed wpół do jedenastej. Ale zanim Janet zdążyła oddzwonić, poszukiwana weszła do gabinetu.

- Czuję szczura - spojrzała poprzez pokój na Lisę. - Czy to ty, koleżanko? Lisa otarła oczy i rzuciła jej wściekle spojrzenie.

- To nie jest śmieszne.

- Szefowo, powinnaś porozmawiać z siostrą na temat higieny osobistej -Defina przeniosła wzrok na Karen.

- Przestań! - wrzasnęła Lisa. - Wiem, że ty to zrobiłaś. Ty i to całe voodoo. Mówiłam już Karen, że zrobię wszystko co zechcesz. Tylko niech ustanie ten smród.

Defina uniosła brwi, przechyliła głowę i spojrzała na mówiącą.

- Narobiłaś brudu, więc nie dziw się, że śmierdzi - powiedziała. - Nie miej do mnie pretensji.

- Dee, ty to zrobiłaś? - Karen popatrzyła na przyjaciółkę.

- Dziewczyno, nie mam takiej mocy - Defina otworzyła szeroko oczy. -Ludzie powinni ponosić odpowiedzialność za swoje czyny. Ja nic nie zrobiłam.

Lisa szlochając osunęła się na dywan. Zakryła twarz rękami.

- Pomóż mi - płakała. - To niesprawiedliwe. Musisz mi pomóc. Dee odwróciła się ku niej niczym wielki kot, broniący swoich małych.

- Niesprawiedliwe? - zapytała. - Nie sądzę, abyś miała jakiegokolwiek prawo mówić o sprawiedliwości. Masz starszą siostrę, która jest dla ciebie dobra, męża, który się tobą opiekuje i dwoje zdrowych dzieci. To znacznie więcej niż posiada większość kobiet. Skoro więc zaniedbujesz swoje dzieci, zdradzasz męża i robisz świństwo własnej siostrze, nie mów potem o sprawiedliwości. Od Karen zaznałaś tylko dobrego. Ale jej przyjaźń, prezenty i pieniądze nie wystarczały ci. Musiałaś jej zazdrościć i czuć urazę. To od tego tak śmierdzisz.

- Jak śmiesz mnie osądzać - warknęła Lisa. - Moja siostra lubi cię bardziej niż mnie. Wiesz, jak ja się czuję? I ty także mnie nie oceniaj - odwróciła się ku Karen. - To, czego ci potrzeba w łóżku, zawsze dostawałaś w domu. Nie wiesz, jak to jest, być w mojej sytuacji.

Defina podeszła do Lisy i wzięła ją pod ramię.

- Wstawaj z dywanu, bo nigdy nie pozbedziemy się tego smrodu - powiedziała. - Proponuję, abyś poszła do domu i zrobiła sobie płukanek z ciepłej wody,

452

octu oraz kilku łez. Nie zapomnij o łzach. To bardzo ważne. Założę się, że ci to pomoże.

Lisa wstała, powiodła od jednej do drugiej dzikim wzrokiem i bez słowa wypadła z gabinetu.

- Coś ty zrobiła? - Karen popatrzyła przez stół na Definę.

- Nic. To jej własne dzieło.

- Daj spokój, Dee. Upichciłaś to razem z Madame Renault?

- Sama mówiłaś, że ta abrakadabra jest nic nie warta - Defina wzruszyła ramionami. - Zdecyduj się w co wierzysz.

- Dee, wiem, że coś zrobiłaś. I wiem, że było to z przyjaźni. Ja, mimo wszystko, sama potrafię zadbać o siebie.

Zresztą, będę musiała.

Defina obeszła biurko i objęła Karen ramieniem.

- Masz teraz dużo spraw na głowie - powiedziała. - Pomyśleliśmy z Carlem, że przyda ci się pomocna dłoń. - Na jej twarzy znów pojawił się wyraz niewinności. - Lisie jednak nic nie zrobiłam.

- Jasne - Karen spojrzała na przyjaciółkę. - Czy to jej przejdzie? - zapytała.

- Uhm - odparła. - O ile nie zapomni o łzach.

Rozdział 33

Nici z marzeń

Karen siedziała w pracowni na składanym krześle, czekając aż zbiorą się pracownicy. Przygotowano dla nich stolki, ustawione niedbale, w krzywe półkola. Tym razem nie było lśniących folderów ani kolorowych przezroczy. Miała się odbyć „uroczystość” zupełnie inna niż ta, przed zaledwie paroma tygodniami. Karen starała się zachować spokój, choć wiedziała, że nikt nie lubi osób ogłaszających niemiłe wiadomości. Czy to nie w starożytnej Grecji zapoczątkowano tradycję zabijania takich posłańców?

Wiedziała, że czekają nieprzyjemne zadanie. Wielu pracowników nie należało do zamożnych, a po ostatnim zebraniu, co bardziej niepraktyczni, zaczęli już wydawać pieniądze z NormCo. Pieniądze, których nigdy nie otrzymają. Casey opowiadał, że jedna z dziewcząt przyjeżdżała do pracy nowym cadillakiem, parkując go, mimo natłoku wózków i furgonetek dostawczych, wprost na ulicy, po to tylko by inne pracownice mogły go zobaczyć. Ogłoszenie Karen będzie prawdziwym ciosem i nie wiadomo, ilu ludzi z załogi zechce ją poprzeć.

A dlaczego mieliby to robić, zapytała się w duchu. Czy nie zaniedbała ich jako szefowa i jakby ich matka? Teraz zdawała sobie sprawę, że mimo jej obietnic, po przejęciu firmy przez NormCo, posypałyby się głowy. Ludzie straciliby pracę, a kolejne niewolnice na Marianach, te, które jeszcze żyją, zostałyby uwięzione w brudnych szwalniach i jeszcze gorszych kwaterach. Znów przypomniała sobie wiersz, wiszący u Arnolda w gabinecie:

Odgradziłam mą siostrzyczkę od życia i światła/ (Za różę, za wstążkę, za wieniec na czole). Czy ona też odgradza od życia tamte kobiety? Za suknię, za szal, za dobrze skrojoną marynarkę? Przez chwilę ogarnęło ją uczucie palącego wstydu.

Karen zawsze dumna była z tego, że nawet jeśli nie zbawia świata, nawet jeśli sprawia przyjemność sobie i swoim klientkom, to zapewnia przynajmniej pracę kilkuset osobom, pomaga im płacić czynsz i kupować buty dla dzieci. Teraz, po raz pierwszy, miała im odebrać coś, co wcześniej obiecała. Być może pozbawiła już ich czegoś dawno temu; czegoś dużo ważniejszego od pieniędzy.

338

Weźmy na przykład panią Cruz. Poświęciła całe lata swego życia drobnym ściegom składających się na setki, tysiące strojów tworzących kolekcje Karen. ***Odgradziłam ma siostrzyczkę od życia i światła/ (Za różę, za wstążkę, za wieniec na czole).*** Teraz Karen nie widziała już żadnego sensu. W ogóle żadnego.

Ludzie rozmawiali cicho między sobą. Karen usiadła na wprost zgromadzonych. Czuła się od nich odseparowana i samotna jak nigdy w życiu. Jeffrey był na tyle miły, że w ogóle się nie pokazał. Pracownicy musieli to zauważyć, ale nikt nic nie powiedział. Z kim łączyło teraz Karen coś głębszego niż zwyczaj, obowiązek czy tradycja? Na pewno nie z Jeffreyem. Ani z siostrą! Z nimi koniec. Matka w niczym nie potrafiła jej pomóc, zaś Arnold, choć był dobrym człowiekiem, zawsze zachowywał dystans. A teraz choruje. Czy jest ktoś, do kogo należy, albo kto należy do niej? Łzy żalu napłynęły jej do oczu, więc opuściła na chwilę głowę i odpędziła je mruganiem. Nie czas teraz na rozczulanie się nad sobą. Powinna raczej współczuć ludziom, którym zaraz zrzuci bombę na głowy. Popatrzyła w głąb sali. Defina stała oparta o ścianę, z rękami założonymi na piersiach. Gdy ich oczy się spotkały, skinęła głową. Czas zaczynać.

- Wszyscy wiecie, że mam wam coś do zakomunikowania. Ze zdziwieniem Usłyszała, iż zadrzał jej głos. Odchrząknęła. - Gdy spotkaliśmy się tutaj, by omówić kontrakt z NormCo, miałam szczerzy zamiar go podpisać. - Rozległy się szmery, ale mówiła dalej. - Chciałabym móc powiedzieć, że go podpiszę, ale niestety jest to niemożliwe. - Szmery przeszły w szum. Karen nie starała się go przekrzyczeć. Dała ludziom chwilę na wyrażenie zdziwienia, po czym ciągnęła, podnosząc głos. -Zwrócono mi uwagę na wiele rzeczy, które uniemożliwiają zaakceptowanie propozycji NormCo. Musiałam podjąć tę decyzję za nas wszystkich. Czułam jednak, że nie mam wyboru. Po ostatecznym rozważeniu tej sprawy, doszłam do wniosku, że układ zaproponowany przez NormCo na dłuższą metę zaszkodziłby nam. Jest dziś dla mnie jasne, że mimo swoich obietnic, przenieśliby produkcję za granicę, i doprowadzili w końcu do zamknięcia nawet części naszej pracowni - znowu zaczęły się szepty, ale Karen nie zwracała na nie uwagi. - Oczywiście, oznacza to, że pieniędzy, których wszyscy się spodziewaliśmy nie będzie i wiem, iż jest to dla każdego duże rozczarowanie - przygryzła wargę i umilkła, przyglądając się zgromadzonym. Mercedes Bernard gwałtownie wstała z miejsca. Choć jak zwykle panowała nad sobą, Karen widziała, że jest wściekła. Odwróciła się i wyszła z sali. Wiele osób odprowadziło ją wzrokiem.

Karen patrzyła na zebranych. Tylko Casey się uśmiechał. Cóż, on i tak zawsze czuł się zagrożony tym kontraktem. Reszta pracowników robiła wrażenie rozgniewanych, osłupiałych lub zmieszanych. Karen napotkała spojrzenie pani Cruz. Jej szeroka, brązową pomarszczona twarz nic nie wyrażała, ale Kubanka kiwnęła głową i ten wspaniałomyślny gest spowodował u Karen gwałtowny przypływ wdzięczności.

- To nie koniec złych wiadomości-mówiła.-Będziemy musieli także przeprowadzić poważną reorganizację. Trzeba znaleźć sposób spłaty długu zaciągniętego na kolekcje tańszych ubrań. Teraz, gdy jesteście współdziaławcami,

powinniście to rozumieć. Nie mogę powiedzieć, jakie zmiany pociągnie za sobą reorganizacja, ponieważ naprawdę tego nie wiem. Obiecuję jednak, że gdy tylko

455

określimy nasze poczynania, przedstawię wam ich plan. - Nie było sensu mówić, że bez Jeffreya nie mają osoby odpowiedzialnej za budżet, a ona nie ma pojęcia jak sfinansują w najbliższym czasie wydatki firmy. Zrobi po prostu wszystko co może. I oni też.

- Jeśli są między wami osoby, które nie chcą mieć więcej z tą firmą nic wspólnego zrozumieć to, choć będę bardzo rozczarowana. Nie mam już chyba nic do dodania, nie odpowiem też obecnie na żadne pytania. Jeśli ktoś ma ochotę je zadać, znajdę czas na indywidualne spotkania. Tymczasem Defina Pompey jest do waszej dyspozycji. - Tak jakby ludzie nie bali się z nią porozmawiać! Karen odetchnęła głęboko. - Dziękuję za przybycie i jeszcze raz zapewniam, jak bardzo mi przykro, że was rozczarowałam. - Potem nie mogła się już powstrzymać. Oczy zaszyły jej łzami.

Musiała jak najszybciej wyjść z sali i pośpieszyć korytarzem do gabinetu.

Ledwie miała czas wytrzeć oczy, gdy drzwi gwałtownie się otworzyły i stanęła w nich Mercedes. Karen odwróciła się od okna. Jej współpracownica, zawsze blada i schludna, była wręcz sina z wściekłości. Czarne włosy sterczały jej wokół głowy, jakby szarpała za nie jak dzikuska albo doznała porażenia prądem. Karen pomyślała, że elegancka zazwyczaj Mercedes wygląda teraz jak skrzyżowanie Mortycji Addams z Narzeczoną Frankensteiną. Porównanie było właściwe, gdyż zaraz rozpoczął się horror.

- Coś ty, u diabła, narobiła? - zapytała Mercedes głosem niemal tak grubym, jak u nawiedzanej przez demona dziewczynki w „Egzorcystyce”.

- Zrobiłam to co musiałam.

- Co musiałaś? Cóż, ja zrobiłam to co musiałam i stworzyłam cię w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy. Tylko w tym roku miałaś w pismach kilkanaście artykułów: pięć stron w „Vanity Fair”, sylwetkę w „Mirabelli” - nie mówiąc o tekstach na temat kolekcji. Wpakowałam cię do każdego programu, jaki liczy się w telewizji. Załatwiłam Paryż. Dzięki mnie każdy cię zna. Wykorzystałam każde wejście, a ty mi teraz mówisz, że wypłaty nie będzie?

- Nic ci nie gwarantowałam, Mercedes.

- I to ma mnie pocieszyć? Mam pięćdziesiąt osiem lat. Wiesz, ile czasu zajęło mi przejście z tłumu do miejsc w pierwszym rzędzie na pokazach? Trzydzieści lat! Piszę o wszystkim co dzieje się w branży, znam każdego i tobie sprzedawałam płynące z tego korzyści. A teraz co? Nie jestem kobietą, która będzie żyła sobie wygodnie z emerytury przysyłanej przez Zakład Ubezpieczeń i czasopisma. Oni nigdy nic nie płacą! Stworzyłam cię, Karen, i jesteś mi coś winna.

Karen poczuła, że mimo zmęczenia i smutku ogarnia ją żal. Dlaczego każdy uważa, że to jemu zawdzięcza swój sukces? Jeffrey ją stworzył, Liz Ruben ją stworzyła, także Bill Wolper (cokolwiek by to nie znaczyło), a teraz jeszcze

Mercedes. Zaczerpnęła powietrza i już miała zamiar się odezwać, choć nie wiedziała jeszcze co powie, kiedy do pokoju wszedł Casey.

- Odpieprz się, Mercedes - rzucił. - Co ty wiesz? Miałaś łatwą pracę. Załatwiałaś artykuły o Karen wtedy, gdy już wszyscy się o nie prosili. Ja byłem tu na

457

początku, kiedy musieliśmy przez śnieg pchać wózek do Bloomingdale'a, żeby pokazać im pierwszy model.

Zrobiliśmy to w windzie towarowej i Marvin Traub kupił od nas wszystko. Więc się odpieprz. Karen osiągnęłyby sukces i bez twojej pomocy. Nie przesadzaj.

- A kto ciebie pytał, głupi pedziu? - oczy Mercedes zwięzły się.

- Dostyc tego, Mercedes. Chyba, że chcesz mnie nazwać wredną czarnuchą, zanim zabierzesz stąd swój kościsty tyłek

- powiedziała Defina, dołączając do nich i zamykając drzwi przed Janet i grupką sekretarek, które, stojąc na zewnątrz, gapiły się na to wszystko z otwartymi ustami.

Mercedes spojrzała na Karen. Zaczerpnęła powietrza, jakby miała zamiar spróbować jeszcze raz.

- Wiesz, że mówię prawdę... - zaczęła. Ale Karen miała już tego serdecznie dość.

- Powinnaś już iść. Casey, mógłbyś pomóc Mercedes spakować rzeczy?

- Cała przyjemność po mojej stronie - uśmiechnął się i wyprowadził pannę Bernard z pokoju.

Karen, roztrzęsiona, spojrzała na Definę.

- Patrzyła na mnie tak, jakby chciała, żebym umarła. Boże, co za doświadczenie.

- Tak - pokiwała głową jej przyjaciółka. - To właśnie zdobywa człowiek, gdy nie dostaje tego co chce.

Doświadczenie.

Karen długo i ciężko pracowała, ale teraz nie była pewna, po co właściwie to wszystko robiła. Na pewno nie taki cel chciała osiągnąć. Ciemność za oknami wdawała jej się złowróżbna i groźna. Czuła się tu, na dziewiątym piętrze, z nikim nie związana, jakby zawieszona w próżni. Skoro więzi z mężem zostały zerwane, jest naprawdę samotna.

Całe popołudnie i wieczór spędziła z Caseyem i Lennym w gabinecie Jeffrey'a na przeglądaniu danych finansowych. Było to zajęcie wyczerpujące, przygnębiające i wprowadzające w zakłopotanie. Czy to źle, że tak bardzo uzależniła się od Jeffrey'a? Czy popełniła typowy kobiecy błąd, pozwalając mężowi zająć się „męską robotą”? W świecie mody jednak bardzo niewiele firm funkcjonowało w inny sposób. Yves Saint Laurent miał Pierre'a Berge, Valentino - Giancarla Giammetti'ego (to były pary), Calvin Klein - Barry'ego Schwartza, a Christian Lacroix - Bernarda Amaulta. Nawet król handlu, Ralph Lauren miał Petera Stroma. Wszyscy ci projektanci byli mężczyznami

działającymi w twardym męskim świecie. Mimo to, gdyby nie pomoc i wsparcie uzdolnionych współpracowników, musieliby zamknąć firmę po sezonie czy dwóch. W tej branży projektant miał zbyt wiele obowiązków. Nie mógł jednocześnie tworzyć i zarządzać biznesem. Karen na pewno nie była gorsza niż żaden z przepracowanych kreatorów, jednak analiza stanu firmy i znalezienie rozwiązania problemów, z którymi nie potrafił uporać się Jeffrey, stanowiła dodatkowe niewiarygodne obciążenie. Bała się, że mu nie podoła.

Wiedziała, iż w 1988 roku, jednym z najlepszych dla Christiana Lacroix, sprzedaż jego strojów wzrosła o czterysta procent, ale stracił osiem milionów dolarów. Z ksiąg przedstawionych przez Lenny'ego wynikało, że po sukcesie kolekcji tańszych ubrań, wyniki mogą być takie same. Karen czuła się tym wszystkim przytłoczona i nie znalazłszy żadnego rozwiązania, odesłała Casey'a i Lenny'ego do domu. W końcu została sama. Nie miała dokąd pójść, a do mieszkania nie chciała wracać. Patrzyła przez duże okna gabinetu męża na światła przejeżdżających Siódmą Aleją samochodów. Próbowała wyobrazić sobie swoją przyszłość, bez Jeffrey'a.

Nigdy nie przebywała długo w tym pomieszczeniu. Stanowiło domenę męża. Zawsze starała się trzymać jak najdalej od finansów, bankierów, pośredników i księgowych. Przeszła przez pokój i usiadła na stojącym, pod kątem prostym do sofy, fotelu. Jeffrey zawsze zajmował go podczas zebrań. Pozostał tu jego zapach. Może to mydło albo szampon? Nigdy nie używał wody po goleniu ani żadnych perfum. Fotel pachniał Jeffrey'em. Karen wtuliła się w oparcie, wdychała ten zapach i mimo gniewu ogarnęła ją fala niezdolnej tęsknoty.

Wystąpienie przez pracownikami było bardzo trudne. Prowadzenie interesów także. Jak sobie poradzi bez pomocy Jeffrey'a? Może on miał rację? Może nie da się prowadzić firmy, nie sprzedając jej komuś? Bez Jeffrey'a i bez Inc. cóż jej pozostanie? Łzy żalu nad sobą popłynęły Karen z oczu. Cicho płakała, a gdy już zaczęła, wydawało jej się, że nigdy nie będzie mogła przestać. Zaledwie parę tygodni temu uważała się za kobietę, która nigdy nie płacze! Najwyraźniej jednak nie miała pojęcia, kim jest naprawdę i kim są jej przyjaciele. Pracowała bardzo dużo, a osiągnęła niewiele. Nie ma rodziny, małżeństwa, dzieci, firmy.

Siedząc samotnie w ciemnym biurze, Karen czuła, że nie poradzi sobie bez Jeffrey'a. Ani w pracy, ani w domu. Późno wyszła za męża, późno odniosła sukces i zdawało jej się, iż nie jest w stanie tak szybko z tego wszystkiego zrezygnować. Miała tak strasznie dużo czasu na zestarzenie się w samotności. Czy można w jakiś sposób uratować jej małżeństwo? Może Defina miała rację, mówiąc, że zachowanie Jeffrey'a to kontratak. Może przez swe postępowanie, tę okropną zdradę, starał się jakoś sobie poradzić z nieobecnością Karen, jej rosnącą sławą, problemem dziecka? Czy ona sama - Panna Świętoszka - nie myślała o zdradzeniu go?

Choć zraniona i wciąż pełna gniewu, czuła jednak, że jeśli straci Jeffrey'a, straci bardzo wiele. Ostatecznie, przy nim dorastała; przy nim spędziła całe życie. Myśl o samotności przerażała ją. Czy stanie się jedną z tych kobiet w średnim wieku, które chodzą na ważne w branży imprezy w towarzystwie geja? Czy skończy jak biedna Chanel - samotna, bezdzietna i nie kochana?

Karen westchnęła głęboko, wdychając zapach Jeffrey'a. Trudno uwierzyć, w pewnym momencie widziała partnera w Billu Wolperze. Co za kłamliwa świnią! Reprezentował wszystkie cechy, jakich nienawidziła u biznesmena -

chciwość, twardość, mentalność typu „cel uświęca środki”. Przez chwilę ciemność panująca w gabinecie stała się mrokiem baraków Saipanu. Tu jednak nie robiły hałasu żerujące szczury, nie było smrodu nieczystości, brudu i ogarniającej wszystko beznadziei. Karen pomyślała o Arnoldzie; z jaką pogardą mówił o „pieniądzach z wyzysku”. Przypomniała sobie ślady krwi na brudnym szpitalnym korytarzu i zadrżała. Co

460

stanie się z tymi ludźmi, z tymi cierpiącymi nieszczęśnikami? Co stanie się z dzieckiem? Wysłała już czek panu Dagsvarrowi, wiedziała jednak, że to za mało. Ale co jeszcze mogła zrobić?

Czuła się jak więzień zamknięty w celi. Nie była działaczką społeczną. Była kobietą w średnim wieku, która lubi i umie projektować stroje. Ale jak może dalej tak żyć? Czy istnieje jednak jakieś wyjście?

A gdyby przebaczyła Jeffreyowi? To przecież możliwe; wiele kobiet wybaczyło mężom popełniony błąd. Jeśli przespał się z Lisą tylko po to, by zranić swą żonę, może jest jakiś sposób, by o tym zapomnieć. Zastanawiała się, czy taka decyzja byłaby tchórzostwem czy odwagą i czy jest w ogóle w stanie to zrobić. Nawet jeśli nie, musieli porozmawiać o interesach, coś zaplanować i stawić czoło nadchodzącym wydarzeniom.

Podniosła słuchawkę i powoli wykręciła numer zostawiony przez Jeffrey'a. Odebrał telefon. Na dźwięk głosu męża Karen zaczęło walić serce.

- Jeffrey, mówi Karen. Musimy porozmawiać.

Rozdział 34

Puszka Pandory

Karen czekała na Jeffreya w jego gabinecie. Przez jakiś czas siedziała w ciemnościach, potem jednak wiedząc, że mąż jedzie już z SoHo, zmusiła się do wstania z fotela. Włączyła nieprzyjemne światło jarzeniowe i w wiszącym za drzwiami lustrze sprawdziła, czyjej twarz bardzo źle wygląda. Potrzebowała chusteczki. Do diabła, potrzebowała tygodniowego odpoczynku w łóżku, maseczki, liftingu, dobrego psychoterapeuty i godnego zaufania prawnika. Szanse, że dostanie to wszystko przed przybyciem Jeffreya, były jednak niewielkie.

Podeszła do sekretery stojącej za biurkiem i przez chwilę patrzyła na zdjęcie ich obojga zrobione w wieczór wręczenia jej Nagrody Oakleya. Musiała odwrócić oczy, by nie zacząć znowu płakać. Otworzyła pierwszą szufladę, szukając chusteczek. Nie było ich tam. Sprawdziła dwie następne. Co to znaczy? Czy mężczyźni nie wycierają nosów? W dolnej szufladzie znalazła parę papierowych serwetek z jakiejś restauracyjki na Trzydziestej Ósmej Ulicy, sprzedającej jedzenie na wynos. Będą musiały wystarczyć. Wyjmując je, zauważyła zamknięte pudełko. Tania blaszana skrzyneczka wydawała się jakoś zupełnie nie w stylu Jeffreya. Co on może trzymać w kasetce za dziesięć dolarów? Wzięła ją do ręki. Przez chwilę, choć nie wierzyła, że to możliwe, obawiała się, iż znajdzie w niej listy miłosne lub zdjęcia Lisy. Zebrała siły. Jeśli nie będzie innego wyjścia, włamie się do pudełka. Musi wiedzieć. Musi wiedzieć, czy Jeffrey kochał jej siostrę.

Kasetka była otwarta, a wypełniały ją nie listy, lecz przezrocza. Karen uniosła jedno z nich do światła. Był na nim obraz, pewnie jeden z obrazów Jeffreya. Nigdy wcześniej go nie widziała. Przedstawiał akt, niepodobny jednak do tamtych w Westport. Zbliżony w stylu i technice, ale inny. Niedobry, lecz pełen uczucia.

Modelką, dzięki Bogu, nie była Lisa. Karen odetchnęła głęboko i uniosła do światła następny slajd. Znow akt jakiejś obcej kobiety. Przeszukała pudełko. Było w nim kilkadziesiąt przezroczy. Zastanawiała się, kiedy Jeffrey zdążył to wszystko namalować. Przeglądając je jeszcze raz, zdała sobie sprawę, że wszystkie wydają

344

się przedstawiać tę samą blondynkę. Jeffreyowi udało się uzyskać wrażenie delikatności i bezbronności, jakiego nigdy w jego pracach nie widziała. Ale może to zasługa tej kobiety, która pozując pokazała tę bezbronność. Trudno powiedzieć, czy urok był sprawą pozycji modelki czy zastosowanej techniki. Prace, choć utrzymane w zupełnie innym stylu, przypominały Karen cudowne obrazy Degasa, na których kobiety myją się lub przeciągają. Twarzy modelki na ogół nie było widać. Na większości obrazów akt ukazano od tyłu, dwa razy z półprofilu, a trzy z

uniesionym ramieniem, zasłaniającym całą twarz poza policzkiem i czubkiem nosa. Karen patrzyła na profil modelki. Dlaczego Jeffrey trzymał to w sekrecie? Te dzieła są lepsze od poprzednich. Od nich zależy jego przyszłość. Co ona właściwie znalazła?

Tajemnica przezroczy wydała się Karen w jakiś sposób poważniejsza od romansu z Lisą. Wiedziała, że Jeffrey zawsze uważał się za artystę, a ona też tak na niego patrzyła. Nie powinien był ukrywać przed nią pudełka ze slajdami. Znow zaczął malować. Obrazy może nie były świetne, ale na pewno lepsze niż wszystko co spłodził, odkąd skończył studia. Dlaczego nic jej o tym nie powiedział?

Gdzieś z głębi żołądka zaczęło napływać niemile, mdlące uczucie. Przedtem była zmartwiona, rozgniewana i oburzona na męża za jego postępowanie. Miotaly ją uczucia gwałtowne i słuszne. Dały jej siłę, by poszarpać i porozrzucić rzeczy Jeffrey'a, by przemówić do pracowników, by snuć plany i walczyć. Jednak odnaleziona puszka Pandory wywołała dużo gorszy efekt - naprawdę ją przeraziła.

Pod blaszanym pudełkiem leżały jakieś papiery. Wyjęła je. Było to tylko świadectwo urodzenia Jeffrey'a, kilka wycinków z „Business Weekra” i „Wall Street” z jego zdjęciami lub wypowiedziami. Niewiele więcej. Na pewno żaden powód do zmartwień. Karen powiedziała sobie, że chyba przesadza. Ostatecznie, w ciągu ostatnich trzech miesięcy tyle się działo. Kiedy mieli poruszyć w rozmowie tak delikatny temat, jak te obrazy? Nadal jednak przeglądała papiery. Znalazła umowę wynajmu pracowni Perry'ego z opcją zakupu. Obejrzała szybko formularz. Coś ją nim zastanowiło.

Bóg świadkiem, że nie знаła się na dokumentach, ale wyglądało na to, iż ostrożny Jeffrey dał Perry'emu bezzwrotną zaliczkę w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy na poczet zakupu mieszkania, za cenę ośmiuset tysięcy dolarów! Czy on oszalał? Jeffrey zgodził się kupić pracownię Perry'ego? Pomyślała o pożegnalnej wizycie Silvermanna. O jego słowach „mi casa, su casa”. A więc tak zapłacił za odwyk! To dlatego dał jej klucz i powiedział, że jego dom jest jej domem.

Ze strachu dławilo ją w gardle. Co Jeffrey wyprawia? Czy to kolejna z niespodzianek, które nigdy się nie skończą? Potrząsnęła głową. Pod umową wynajmu/sprzedaży leżał plan domu w Westport i egzemplarz umowy na jego budowę, a także zdjęcie Jeffrey'a z ojcem zrobione niedługo przed jego śmiercią. Karen odłożyła je na bok i przez chwilę przyglądała się w zamyśleniu swoim znaleziskom. Wyglądało na to, że Jeffrey zebrał tu razem wszystkie swoje osiągnięcia, i to co kochał. Blaszana skrzynka przypominała plecak dziecka uciekającego z domu. Czy planował ucieczkę? Przerzucała papiery i slajdy i wtedy zobaczyła jeszcze jedno zdjęcie.

Zrobiono je niedawno, świadczył o tym kolor włosów Jeffreya. Jej mąż znajdował się na jakiejś ulicy. Okolica wyglądała na Dolny Manhattan albo Tribekę. Obejmował ramieniem kobietę. Dzięki Bogu, nie była to Lisa. Wysoka, elegancka blondynka dużo bardziej, zdaniem Karen, odpowiadała gustom Jeffreya. Wpatrywała się w fotografię. Jeffrey tak patrzył na tę kobietę... a jej twarz musiała mieć chyba podobny wyraz. Karen знаła to spojrzenie. Łzy napłynęły jej do oczu. Kiedy ostatni raz patrzył na nią w ten sposób?

Twarz towarzyszkę męża była w cieniu i zasłaniały ją włosy, Można było jednak dojrzeć fragment profilu, który wydawał się irytująco znajomy. Karen była pewna, że to kobieta z obrazów. Wpatrywała się w zdjęcie i już miała odpowiedź na końcu języka, gdy rozdzwonił się prywatny telefon Jeffreya. Nie odrywała oczu od fotografii, ale dzwonienie nie ustawało. Bill Wolper zrozumiał wreszcie i przestał zostawiać wiadomości, więc kto to mógł być? Może Jeffrey chce odwołać swój przyjazd? Bała się podnieść słuchawkę, by sprawdzić. W końcu wstała i wciąż ściskając w jednym ręku zdjęcie, drugą odebrała telefon. Dzwonił prawnik Robert.

- Karen, jak to dobrze, że jesteś. Szukałem cię wszędzie, a potem pomyślałem, że spróbuję i pod tym numerem. Słuchaj, musimy pomówić.

- Jest jedenasta w nocy, a ja nigdy nie będę już musiała z tobą rozmawiać.

- Musisz mnie wysłuchać. Tu chodzi o moje życie. Firma zainwestowała w to wszystko mnóstwo czasu i pieniędzy. Karen, jeśli nie podpiszesz umowy, jestem skończony. Obwiniają mnie o to, co się stało. Wolper wszedł na ścieżkę wojenną. Teraz ja za to wszystko zapłacę. Rzuć mi choć ochłap, daj coś, co mógłbym im przedstawić. Jeśli nie chcesz sprzedać firmy NormCo, pozwól bym załatwił ci kontrakt na perfumy. Unilever może być tym zainteresowany. Mogą też wprowadzić .HKInc na giełdę. Wiem, że lata osiemdziesiąte minęły, ale ciągle się to praktykuje.

- Nie mogę teraz z tobą rozmawiać - powiedziała Karen. - Muszę pomówić z mężem.

- Słuchaj, Karen, nie chcę się mieszać w jego prywatne sprawy. To nie w moim stylu. Nie interesują mnie romanse. Interes jest interesem, a życie prywatne nikogo nie powinno obchodzić. Jeffrey postawił mnie w trudnej sytuacji. Wiesz co mam na myśli, stanowimy rodzinę. Chcę jednak podkreślić, że zawsze byłem wobec ciebie lojalny.

- Odpieprz się - powiedziała i odłożyła słuchawkę. Przez chwilę siedziała bez ruchu. Romanse? Czy było ich więcej? Co się właściwie dzieje?

Wtedy właśnie wszedł Jeffrey.

Karen zaskoczyło zaniedbanie jej zawsze schludnego męża. Niemal siwe włosy miał rozczochrane, jeden mankiet u koszuli odpięty. To zupełnie do niego niepodobne. Jakoś wzruszyła się i nabrała pewności siebie. Skoro tak to wszystko przeżywa, może mają jeszcze jakąś szansę...

- Co zrobimy? - zapytała.

- Powinniśmy, jeśli jest to jeszcze możliwe, podpisać umowę z NormCo. Chyba nie będzie za późno - powiedział głuchym, bezbarwnym głosem.

- Nie mówię o interesach.

464

- Nic nas poza tym nie łączy.

Ta odpowiedź była jak kopniak. Miała rację przypuszczając, że Jeffrey nie kocha Lisy, ale co skłoniło ją do uwierzenia, iż ciągle kocha ją samą. To szaleństwo. Jeszcze jedna żona, która dzwoni do swego, oddalającego się męża w środku nocy. Romanse. Robert z całą pewnością użył liczby mnogiej. Czy naprawdę myślała, że pojedna się z mężem? Wciąż odgrywa Kleopatę, Królową Zamkniętych Oczu. Teraz jednak była gotowa dowiedzieć się, co zaszło. Kim jest ta kobieta, kiedy namalował obrazy i kiedy przestało mu na Karen zależeć. Musiała poznać prawdę. Ale Jeffrey pragnął tylko j ednego.

- Karen, musisz mi uwierzyć - powiedział. - Firma w żaden sposób nie przetrwa bez pomocy NormCo. To tylko kwestia czasu. Rozważyłem wszystkie opcje. Jest tylko jedna. Bez względu na to, co do mnie czujesz i co zrobiłem, musisz podpisać umowę. Od niej zależy także i twoja przyszłość. Inaczej, w przeciągu dwóch lat zbankrutujesz.

Karen nie wiedziała, czy coś mogłoby bardziej ją przerazić. Utrata dziecka Cyndi, Jeffrey'a i własnej firmy to więcej niż była w stanie znieść. Zaczęły jej drzeć ręce, a potem ramiona. Im bardziej starała się opanować, tym bardziej dygotała. Mogła uwierzyć, że Jeffrey jest na nią zły, albo, że chce ją zranić. Ale świadomość, iż już jej nie kocha wydawała się czymś bliskim śmierci. Cóż, taka właśnie jest prawda. Lepiej przyjmij ją do wiadomości, powiedziała sobie w duchu. Dawna, naiwna Karen, żyjąca wśród strachu i kłamstw, zaprzeczająca faktom, właśnie umierała. Ale kto zajmie jej miejsce?

- Mam inne możliwości - powiedziała, licząc, że nie widać tego co odczuwa. - Mogę sprzedać więcej licencji, albo podpisać kontrakt na perfumy. Albo wejść na giełdę.

- Nie sama. Rozerwą cię na sztuki. A poza tym i tak nie masz czasu; straciłaś płynność gotówki i skończysz bez firmy, bez nazwiska i bez materialnego zabezpieczenia. Zobacz, co się stało z Norris Cleveland, Tonym do Freise i Suzanne Rowans. Ja znam rynek. Znam ten biznes i mogę cię chronić. Sama, Karen, nic nie zdasz.

- Wygląda na to, że będę musiała - zauważyła.

Westchnął i pokręcił głową.

- Daj spokój. Czy w tych sprawach nie możemy zachowywać się jak dorośli?

- Czego ty chcesz, Jeffreyu? - zapytała cicho.

- Chcę odzyskać własne życie. Poświęciłem ci te wszystkie lata. Czy to mało? Przestałem malować. Zająłem się twoimi sprawami i stworzyłem cię. Dałem ci nazwisko i sprawiłem, że stało się sławne. Dostałaś to, czego chciałaś. Mogłaś projektować ubrania. Teraz moja kolej. Sprzedamy firmę NormCo, a ja odbiorę swój udział i wkład w twoje życie. Będę malował. Przestaną mnie obrażać rozmaici durnie, którzy uważają, że jestem zerem. Wezmę pieniądze i znikam, a ty będziesz robić to co chcesz - dalej projektować ubrania.

Wtedy właśnie Karen oładnął gwałtowny strach. Poczwała, jakby jakieś drzwi zatrzasnęły się przed nią. Wiedziała, była absolutnie pewna, że Jeffrey jej nie kocha.

347

- Zawsze chciałeś mnie zostawić - powiedziała. - Planowałeś to wszystko od dawna. Przygotowałeś sprzedaż, by móc wygodnie odejść. Kupiłeś pracownię na swoje nazwisko, ale potrzeba ci było więcej pieniędzy. Postanowiłaś więc sprzedać mnie jak niewolnika.

- Nieprawda. To najlepszy interes z możliwych. Wszystko może się zdarzyć. Ludzie się zmieniają. Ty mnie zmieniłaś. Powiedz, jak się mogłem czuć, kiedy ty w pracowni odgrywałaś kreatora? Cięłaś, upinałaś, rodziłaś się i umierałaś z każdym cholernym projektem. Ja tymczasem zajmowałem się płynnością gotówki i rozmowami z bankiem. Ironia losu polega na tym, że to ja jestem utalentowany, a w każdym głupim piśmie, gazecie czy programie telewizyjnym wszystko kręci się wokół ciebie. Wierzą, że to ty jesteś twórcą. Właściwie chce mi się z tego śmiać. Cóż, teraz moja kolej. Proponuję, byśmy podpisali umowę, rozwiedli się jak przyjaciele i poszli, każde swoją drogą. Karen uświadomiła sobie wtedy, jak bardzo musiał jej nienawidzić. Zawsze z nią rywalizował. Najpierw sam chciał, by trzymała się z boku, a on zarządzał firmą, ale teraz winił ją nawet za to. Wiedziała, że porzucił malowanie bo nie był naprawdę dobry, ale nie musiał się do tego przyznawać, dopóki miał w niej wymówkę i mógł grać rolę męczennika. Gdy, wraz z Mercedes postanowili nią się posłużyć, otoczył jeszcze większym rozgłosem, by potem sprzedać firmę z zyskiem, nie potrafił poradzić sobie ze sławą żony. Karen zrozumiała teraz, jak każde jej osiągnięcie czy sukces pomniejszało go we własnym oczach, odbierało poczucie wartości i wywoływało wściekłość.

- Jesteś zazdrosny - powiedziała. Była tym całkowicie zaskoczona. Jeffrey zawsze mówił, że to on z nich dwojga jest utalentowany, a ona wierzyła bez zastrzeżeń. Czy Perry, Carl i Defina nie próbowali jej powiedzieć prawdy? Była szczęśliwsza wierząc, że mąż jest od niej lepszy. - Jesteś zazdrosny - powtórzyła.

- Nie bądź śmieszna - burknął. - O co miałbym być zazdrosny? - spytał drwiąco.

Nie odpowiedziała. Wyciągnęła zdjęcie, które, zgniecione, wciąż trzymała w dłoni.

- Co to, u diabła, jest? - zapytała. Jeffrey spojrział na fotografię i pobladł.

- Kto ci to dał?

- Karen Kahn - dziewczynka detektyw - odpowiedziała.

- A więc wiesz o June?

W pierwszej chwili źle skojarzyła, że chodzi mu o czerwiec - June. Czyżby ten romans, czy cokolwiek to było, wtedy się zaczął? Ale Jeffereyowi nie chodziło o czas tylko o osobę. Nagle wszystko ułożyło się w sensowną całość. To June. June Jarrick. Ona była na zdjęciu, dla niej kupił pracownię. Cały czas chodziło o June, jego narzeczoną z czasów, gdy jeszcze był artystą. Tę, która potem wyszła za Perry'ego i porzuciła go po śmierci Lottie. June - bogata,

szkowna kobieta z tego samego środowiska, dama z towarzystwa, która lubi poślubiać artystów. Dlatego przyszła na *bat micwah* Tiff i była w Paryżu! Karen przypomniała

467

sobie, jak mignęła jej w „Plaża Athenee”. Te wszystkie wypadki, gdy nie mogła dodzwonić się do Jeffreya, nocne gry w „pokera”, „przeglądy danych finansowych NormCo...” Zaczerwieniła się ze wstydu. June przypomniała Jeffreyowi młodość, była natchnieniem jego sztuki. Lubiła taką rolę, a tym razem miała odgrywać ją wobec bardzo bogatego mężczyzny, którego kiedyś kochała i utraciła. Jeffrey nie odezwał się ani słowem, ale Karen zrozumiała wszystko. Elementy układanki ułożyły się, a ona zerwała ostatnią nić sieci kłamstw. Madame Renault miała rację. Czuła, jakby odpłynęła z niej krew.

Dostrzegła jednak punkt widzenia Jeffreya. Kochał kiedyś June i może zawsze żałował, że ją zostawił. Po rozwodzie z Perrym znowu była do wzięcia; pociągały go jej pieniądze i pocieszał ją po stracie dziecka. Umiał to robić. Tyle dzieci „stracili” przecież razem z Karen.

- Jak długo? - zapytała. - Jak długo? Odwrócił oczy.

- Dłużej niż rok?

Ledwo dostrzegalnie skinął głową a Karen pomyślała o ubiegłym roku. Tak często wyjeżdżała służbowo, on zaś pracował do późna. Ułatwiła mu wszystko. I nigdy nic nie podejrzewała. Pomyślała o Nagrodzie Oakleya, wspólnych chwilach w Paryżu, o tym, jak się tam kochali. Czy to było pożegnanie?

Czuła się upokorzona. Czy rodzina Jeffreya wie o wszystkim? Prawnik Robert na pewno. Czy podczas wizyty w Westport patrzyli na nią z litością? Pewnie aprobują idealną June... Twarz Karen zalał rumieniec.

- Czy Perry o tym wie?

- Nie. Gdyby wiedział, nie sprzedałby mi pracowni.

- To dla June? Dla was dwojga? Pokiwał tylko głową.

A więc Lisa stanowiła zaledwie dodatek, pomyślała Karen. Był to sposób, by utrzyć mi nosa i upokorzyć nie tylko mnie, ale i moją żalną siostrę. Może nie chciał, bym dowiedziała się już teraz, ale na pewno do tego by dążył.

Wiedział też, że Lisa nie wytrzyma i wygada się w końcu.

Popatrzyła na męża i podjęła decyzję.

- Słuchaj, Jeffrey. Mogłabym wybaczyć ci zdradę i kłamstwa, ale nie zniszczenie mi życia. Byłeś gotowy sprzedać mój talent i nazwisko za swoją przyszłość. Malowanie? Idź i maluj. Nigdy cię nie powstrzymywałam. Chciałam, abyś to robił. Wynajęłabym kogoś innego do prowadzenia firmy, ale nie pragnęłam mieć innego męża. Myślisz, że

jesteś wielkim biznesmenem i pociągasz za sznurki, ale to nieprawda. To mój talent stworzył tę firmę. Dzięki więc za pomoc, ale znajdę sobie na twoje miejsce kogoś innego. Prawnik Robert już mi złożył ofertę. Nie sprzedam 3KInc NormCo i będę dalej pracować. A ty możesz zatrzymać dom w Westport i trzydzieści procent udziałów. To nie wystarczy, by kontrolować firmę. Nigdy już nie będziesz tego robił. Ja ją poprowadzę, nawet bez zysków. Zbankrutuję, jeśli nie będzie innego wyjścia, ale nie dostaniesz ani grosza -jej gniew narastał. Nie należała do osób mówiących takie rzeczy, ale prawda musiała zostać powiedziana. - Idź i przekonaj się, czy June wyjdzie za ciebie bez

pieniędzy z NormCo. I sprawdź, czy będziesz mógł sobie pozwolić na kupienie pracowni najlepszemu przyjacielowi bez pieniędzy ze sprzedaży swojej żony. Przekonaj się, jak ci pójdzie z tymi ładnymi akcikami - jak to jest być przeciętnym malarzem.

- Jest jeszcze coś, co powinnaś wiedzieć - powiedział Jeffrey.

Karen pokręciła głową. Wiedziała już więcej niż wszystko. Nic już nie mogło jej zranić. Ale okazało się, że nie miała racji.

- June jest w ciąży. To wszystko zmienia.

I rzeczywiście. Gniew spłynął z Karen i zniknął jak brudna woda z wanny w rurze odpływowej. Zamienił się w szok, odrętwienie i coś, co mogło przekształcić się w samobójczy żal nad sobą.

Jeffrey był blady, zszarzały jak jego włosy. Karen odwróciła wzrok, choć sama nie wiedziała dlaczego. Czuła gniew i wstyd, mimo że to Jeffrey zachował się bezwstydnie. Cóż, nie ona jedna znalazła się w takiej sytuacji. To nagminne. Karen jednak, jak zwykle się spóźniła.

- Czeka cię walka, Jeffreyu. To będzie kosztowny rozwód. A teraz się wynoś.

- Pożałujesz, Karen - tylko tyle miał jej do powiedzenia.

- Już żałuję - odparła.

Rozdział 35

Odkrycia pana Paige'a

Karen leżała na sofie w swoim gabinecie, patrząc na migające na suficie światła przejeżdżających ulicą samochodów. Cały dzień zbierało się na deszcz i wieczorem zaczęło padać, a krople spływające po szybie sprawiały, że wzór, układający się na białej płaszczyźnie sufitu, przypominał pajęczynę. Karen usiłowała sobie przypomnieć z czym jej się ona kojarzy, ale dopiero gdy ulicą przejechała wyjąca straż pożarna, a pokój zalało czerwone światło, wróciła do niej przepowiednia Madame Renault - rozerwie się kłamstw, a z każdej nici popłynie krew. Karen czuła się tak, jakby krwawiła od jakichś wewnętrznych obrażeń, zbyt głębokich by było je widać. Wróżka miała rację i w innych sprawach. Uplotła swą sieć, dotarła aż tutaj, ale przedza się skończyła. Nie miała już nic. Otoczyła ramionami swój jałowy brzuch i leżała bezsilnie na sofie.

Noc spędziła w biurze. Mimo smutku spała i dopiero o siódmej rano obudził ją telefon. Ciepły głos pana Centritto uspokajał, a jednocześnie wprowadzał w zakłopotanie. Była zbyt zdezorientowana, by dużo mówić, a on powiedział tylko, że długo i bezskutecznie dzwonił do niej do domu i że ma wiadomości. Karen powinna przyjść do jego biura.

- Teraz? - zapytała.

- Myślę, że warto - odparł.

Wysiadła z samochodu na popękany chodnik Jay Street i weszła do biura pana Centritto po starych, drewnianych schodach. Waliło jej serce, ale nie na skutek ostatniej rozmowy z Jeffreyem, czy zmęczenia spowodowanego wspinaczką. Centritto przez telefon powiedział bardzo niewiele. Jeszcze raz wróciła do tego pamięcią.

- Myślę, że znaleźliśmy ją - mówił swym głębokim barytonem. - Mój pracownik ma informacje, ale nalega, by przekazać je pani osobiście. - Karen milczała. Zacisnęła dłoń na słuchawce tak silnie, że przez chwilę myślała, iż zdławiła połączenie. Po chwili znów rozległ się głos detektywa. Co on jeszcze powiedział? Była zbyt zmieszana, przytłoczona nowiną by słuchać. Odchrząknął,

470

jakby z zażenowaniem. - Hm, jeszcze jedno, pani Cohen - urwał. - Mój pracownik domaga się, by wcześniej uiściła pani kolejną opłatę. Gotówką.

- Czy on naprawdę ją odnalazł? - zapytała.

- Myślę, że tak. Ale domaga się pieniędzy. Wyrównania strat. Natychmiast. Wie pani, że ja nie mam zwyczaju tak postępować, ale pan Paige jest trochę... -Centrillo znowu odchrząknął - trochę niekonwencjonalny.

I tak Karen znalazła się przed drewnianymi drzwiami opatrzonymi złotym napisem. Przez chwilę czekała, aż serce się uspokoi, bo czuła jakby wręcz podskakiwała jej skóra na piersiach. Położyła dłoń na mostku, starając się opanować, ale bez skutku. Za tymi drzwiami dowie się, kim jest jej matka. W gabinecie Centrillo może kryje się sekret jej tożsamości. Nie mogła zapanować nad przyśpieszonym oddechem ani biciem serca. Sięgnęła po klamkę. W maleńkiej recepcji siedziała ta sama dziewczyna o bujnych włosach. Z pochyloną głową czytała ustawiony na blacie podręcznik. Zanim zdołała przywitać przybyłą, z drzwi w głębi wyjrzał pan Centrillo.

- Pani Cohen - skinął jej głową. - Proszę, niech pani wejdzie.

Gabinet jak zwykle lśnił czystością, ale dzień był pochmurny i słońce nie wpadało przez okno. Na dębowym krześle, ustawionym przed biurkiem detektywa siedział niewielki człowieczek i obrywał sobie skórki przy paznokciach. Wąskim nosem i głębokim osadzeniem oczu przypominał gryzonia. Ubrany był w szaro-białą, co najmniej dwa numery za dużą, koszulę, a pod kościstą grdyką zwisał mu, Karen mogłaby przysiąc, przypinany krawat. Rzuciła okiem na potężną schlud-napostać pana Centrillo wznoszącą się niby bastion naprzeciw tego szczerowate-go facecika.

Prawnik podsunął jej krzesło. Z zadowoleniem zauważyła, że ustawił je w pewnej odległości od tamtego mężczyzny, jakby sam czuł przenikającą go zgniliznę.

- Pozwoli pani, pani Cohen, to Minos Paige. Myślę, że jego śledztwo dało pozytywne rezultaty.

Jeśli natychmiast nie przejdą do rzeczy, chyba padnie trupem.

- Naprawdę uważa pan, że odnalazł moją prawdziwą matkę? - zapytała. Mężczyzna wyciągnął z kieszeni marynarki złożoną i pogniecioną żółtą kopertę.

- Mam towar - powiedział. - Jeżeli pani ma gotówkę. Skinęła głową.

- Niech pani pokaże, to zobaczy pani co przyniosłem - zaproponował. Centrillo skrzywił się.

- Pan Paige stosuje trochę niekonwencjonalne metody - wtrącił się, jeszcze raz powtarzając własne słowa.

- Od kiedy to łapówka jest czymś niezwykłym lub niekonwencjonalnym? -zapytał Paige, po czym zwrócił się do Karen - Niech pani posłucha, robiłem to już wcześniej. Gdy dane są tajne, mamy dwa wyjścia - znaleźć kogoś, kto

coś powie, albo rozdać parę dolarów i zerknąć na dokumenty, których nie powinno się oglądać. Zrobiłem jedno i drugie. Zdobyłem towar, nie żałując nawet własnego fiuta. Muszę teraz zapłacić moim informatorom.

472

- Może nam pan oszczędzić takich wyrażen - Centritto przechylił się przez biurko, a Karen, choć rozbawiona tym paternalizmem, była mu wdzięczna. Trochę się bała tego małego obleśniaka. Pytanie tylko, czy można mu ufać. Sięgnęła do torby i wyciągnęła zaklejoną kopertę, do której włożyła pieniądze. Podała ją jednak nie Minosowi, tylko panu Centritto. Przyjął paczkę z lekkim, przepraszającym wzruszeniem ramion, a następnie rozerwał i rozłożył na stole siedem tysięcy dolarów. Banknoty studolarowe poskładane były w siedem zgrabnych pakieci-ków. Detektyw ułożył je przed sobą, po czym spojrzał na Minosa Paige'a.

- Zobaczmy teraz, co pan przyniósł - powiedział.

Minos rozerwał kopertę i wyciągnął z niej zdjęcie jakiegoś dokumentu.

- Odnalazłem panią Talmidge. Baba mieszka w domu spokojnej starości w Saint Augustine. To był pierwszy przeciek. Przypomniała sobie sprawę, bo były jakieś kłopoty z adopcją. Wprowadziłem się do tego domu i udawałem, że chcę się umawiać z nią na randki. Zapewniam, że poniosłem dodatkowe koszty. Musiałem obejrzeć całą kolekcję porcelanowych figurek, a to bynajmniej nie wszystko, co baba miała mi do pokazania. Dostałem adres agencji i wiedziałem mniej więcej, kiedy to było. Pojechałem do Chicago. Jak zwykle udawałem faceta od napraw. Wyłamałem parę zamków. Dane odesłano do archiwum, aleje odnalazłem - wskazał na kopię dokumentu. - Tu jest adres domu, w którym pani mieszkała- Karen spojrzała na zdjęcie. Adres brzmiał: 2881 Fredericston, Chicago Heights. Bez kodu. Nie używano ich jeszcze w tamtych czasach. Minos wyciągnął małe białe-czarne zdjęcie, na którym stała przed domem. Było zgięte i Karen miała ochotę wyrwać mu je z ręki. On jednak wyjął następną fotografię, tym razem kolorową i lśniącą.

- To jest dom - powiedział. - Ta sama ściana, ten sam numer.

Wręczył oba zdjęcia Karen. Porównała je. Te same cyfry, pod tym samym kątem, przykręcone do tych samych cegieł. Teraz jednak pomalowane były na białe, a nie na czarno jak przed laty. Ktoś, kto je malował wybrudził ścianę farbą dokładnie w miejscu, gdzie znajdowałyby się głowa Karen.

Paige podał jej następną fotografię, przedstawiającą cały dom.

- Marie i Alfredo Botteglia - powiedział. Karen drżącymi rękami odwróciła zdjęcie i zobaczyła wypisane tam nazwisko. - On umarł. Kobieta jest wdową. Mieszka sama. Rozmawiałem z sąsiadką. Pamiętała, że mieli kiedyś dziecko, które potem zniknęło. - Podał następne zdjęcie - zamazaną fotkę kobiety pchającej wózek z zakupami na

parkingu supermarketu. Była niska, tęga i siwa. Przechodziła koło jakiegoś słupa, który rzucał cień na jej twarz, tak że rysy ledwie dawały się rozpoznać. Paige wyjął kolejną fotografię. Ta sama kobieta, widoczna z boku, ładowała torby z zakupami do niebieskiego pontiaka. Miała inny profil niż Karen, ale jej nos był duży. Karen wpatrywała się w twarz swojej prawdziwej matki.

Minos Paige podał jej fotokopię nekrologu Alfreda Botteglia. Umarł zaledwie dwa lata temu. Byli katolikami. Jestem katoliczką, pomyślała ze zdziwieniem Karen, włoskiego pochodzenia. Ale, kto wie? Może nie była córką Alfreda? Odwróciła się do Minosa.

- Rozmawiał z nią pan? - zapytała.

23 - Spóźniona moda

353

- Ostrzegano mnie, żeby nie nawiązywać kontaktu - powiedział. - Czasem, jak się to zrobi, dają nogę. Pomyślałem, że zostawię to już pani.

Karen skinęła głową. Brakło jej tchu. Jeszcze raz wzięła do ręki zdjęcie Marii Botteglieri, a resztę papierów przesunęła ku panu Centrillo, który zaczął je dokładnie oglądać. Nie musiał kiwać z aprobatą głową - ona wiedziała. Z trudem oderwała wzrok od twarzy swej matki. Przeniosła spojrzenie na Minosa Paige'a i powiedziała tylko jedno słowo:

- Dziękuję.

Rozdział 36

Pozory mylą

Karen stała na chodniku przed domem numer 2881 na Fredericston. Płaciła właśnie taksówkarzowi. Prosto z biura pana Centrillo pojechała na lotnisko LaGuardia i wskoczyła do samolotu odlatującego o drugiej do Chicago. Z uwagi na różnicę czasu było teraz dopiero wpół do czwartej, ale Karen czuła, jakby w ciągu dwóch godzin podróży przeżyła całe życie.

Znajdowała się w schludnej dzielnicy robotniczej. Najwyraźniej powstała po wojnie, gdyż wszystkie okoliczne domy zbudowano w tym samym czasie. Do farmerskiego domu Botteglów stojącego na płaskim, wystrzyżonym trawniku, z jednej strony przytykał dwupoziomowy budynek na podmurówce z cegły, a z drugiej domek kryty gontem. Na podjeździe zaparkowany był niebieski pontiak, który Karen pamiętała ze zdjęcia. Przewornie zadzwoniła wcześniej pod numer dostarczony przez Minosa Paige'a. Zebrawszy całą odwagę poprosiła Marie, a gdy kobieta odpowiedziała: „Przy telefonie”, Karen odwiesiła słuchawkę automatu.

Nie mogła uwierzyć, że w ciągu kilku ostatnich godzin po raz pierwszy zobaczyła twarz swej matki i usłyszała jej głos. Spojrzała na trzymaną w rękę fotografię, tę starą pogiętą przez Minosa. Linia zgięcia biegła przez kombinezon dziecka na wysokości kolan. Karen popatrzyła na twarz dziewczynki, swoją dawną twarz, a potem na cyfry ponad jej głową. Ciągle tu były, przymocowane do ceglanej ściany, obok niewielkich drzwi.

Czuła się bardzo dziwnie. Wiedziała, że nie powinna spodziewać się dobrego przyjęcia, ani niczego innego po Marie, kobiecie ukrytej za drzwiami domu numer 2881. Stała tu, na jednej z podmiejskich ulic Chicago, a po głowie tłukły jej się dwie myśli. Po pierwsze, poraziła ją samotność, którą nosiła w sobie przez tyle lat. Samotność tak wielka, że gdyby zdała sobie z niej sprawę wcześniej, chyba by ją to zabiło. Przeżycie wstrząsnęło Karen w sensie

dosłownym, bo dygotanie wędrowało od stóp poprzez nogi, wzdłuż kręgosłupa aż po szyję. Nawet głowa zdawała się trząść od przepelniającej ją wiedzy o izolacji i bezbronności.

475

Teraz mogła przyznać się do tego przed sobą. Zawsze czuła samotność i oto zginała się pod jej ciężarem. Czy rozdzielanie z matką było pierwszym urazem i karą? Jak na ironię, jeszcze w Brooklynie, Bella za karę, zamykała ją samą w spiżarni. Czy to nie znaczące, że Karen nie czuła się tam gorzej, niż gdziekolwiek indziej?

Przypomniała sobie w duchu, że przecież informacje zdobyła nielegalnie i pani Marie Botteglia może także żyć w lęku przed tą chwilą lęku większym niż jej córka. Może nie zgodzić się na rozmowę, zacząć na nią krzyczeć. Może w ogóle mnie nie rozpoznać, mówiła sobie Karen. Po tym co Bella jej zrobiła, nie była pewna czy zniesie jeszcze jedno odrzucenie. Czy brzemień odrzucenia, które adoptowane dziecko dźwiga całe życie, nigdy już nie zniknie?

Nagle poczuła, że zdejmuje ten ciężar z pleców, a ściślej mówiąc, odrzuca go. Samo przebywanie tutaj, kilkadziesiąt metrów od prawdziwej matki, miało moc stopienia szklanej ściany, odgradzającej Karen od innych; od Belli, która nigdy jej nie wystarczała, Lisy - „prawdziwej” córki, przyjaciół - nie wiedzących, co znaczy być adoptowanym, Arnolda - trzymającego dystans, Jeffrey - zawsze patrzącego na nią z góry i od wszystkich ludzi, których zatrudniała. „Osobność” zdawała się rozpląwać w powietrzu na ulicy przedmieścia, a Karen omal nie wybuchnęła głośnym śmiechem. Wiedziała, że jest zdolna do innych uczuć, choć tak długo cierpiała z powodu samotności.

Upragniona chwila nadeszła. Zebrała więc całą odwagę i podążyła wąską, betonową ścieżką do drzwi oznaczonych numerem 2881. Miała czterdzieści dwa lata, wracała do korzeni dużo później niż inni, ale ona przecież zawsze się spóźniała.

Obok drzwi był podświetlony przycisk dzwonka. Nad nim porządnie wydrukowane choć wypłowiałe litery głosiły: Państwo Alfredostwo Botteglia. Karen wysunęła polakierowany paznokieć i nacisnęła guzik.

Marie Botteglia była bardzo niska. Energicznie otworzyła drzwi i spojrzała na Karen, wyższą od niej o co najmniej dwadzieścia centymetrów. Wyglądała młodziej i ładniej niż na fotografiach. Włosy nosiła zebrane w koński ogon u nasady karku, a jej twarz była miła i dużo mniej pomarszczona niż na zdjęciu z parkingu przed supermarketem.

Popatrzyła na przybyłą.

- Tak? - zapytała.

- Nazywam się Karen Kahn - powiedziała tamta i wyciągnęła ku niej zgiętą fotografię. - Chciałam zapytać, czy rozpoznaje pani to zdjęcie.

Marie Botteglia zmarszczyła brwi, po czym zdecydowszy, że nie kryje się w tym żaden podstęp, wzięła kartonik.

Przez sekundę Karen czuła dotyk jej palców i przeszedł ją niemal wstrząs elektryczny. Widziała, słyszała i dotykała swoją matkę.

Marie niezdarnie sięgnęła po wiszące na szyi okulary do czytania. Nie włożyła ich nawet całkiem na nos. Odwróciła kartonik, spojrzała, a jej twarz zmieniła się i pobladła. Popatrzyła na Karen, potem znowu na zdjęcie.

- Moje dziecko? - zapytała. Karen kiwnęła głową. Marie otworzyła ramiona. - Moje dziecko! - powiedziała. I Karen nareszcie wpłynęła do spokojnej przystani.

356

Obie oczywiście się popłakały. Potem Karen musiała udzielić choć krótkich wyjaśnień, a Marie kręciła głową i ocierała oczy.

- Nie mogę uwierzyć, że pamiętałaś - powtarzała. Bez przerwy dotykała Karen, poklepywała po kolanie, brała za rękę, a nawet, nieśmiało, głaskała po plecach, gdy siedziały obok siebie na kanapce w ciemnym saloniku. Karen, chcąc nie chcąc, pomyślała o Belli tak rzadko szukającej fizycznego kontaktu. Marie pocałowała ją i pogładziła po policzku.

- Nie mogę uwierzyć, że mnie odnalazłaś - mówiła co jakiś czas. - Strasznie się ucieszyłam.

W końcu wstała, zaparzyła dzbanek kawy i przyniosła talerz biszkoptów.

- Z puszek - przeprosiła. - Nie wiedziałam, że przyjdiesz. Obie zachichotały.

Potem usadowiły się z kawą w kuchni, a Marie przyniosła album z rodzinnymi fotografiami. Otworzyła na zdjęciu, które musiało być zrobione w tym samym czasie, co tamte, posiadane przez Karen. Mała dziewczynka w zimowym kombinezonie stała na niskim murku obok psa, dalmatyńczyka.

- Czy kombinezon był niebieski? - zapytała Karen. Marie przytaknęła. - To twój pies? - wskazała na fotografię. - Nie pamiętam go.

- Mojej siostry. Spotty. Zdechł dawno temu - odwróciła kartkę i objęła Karen ramieniem. Kontakt fizyczny był dla niej ważny. Wciąż głaskała i dotykała swą odnalezioną córkę. A Karen się to podobało. Nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby Marie zaczęła ją głaskać jak kota. Popatrzyła na stronicę albumu. Na kolejnym zdjęciu trzymał Karen na rękach wysoki mężczyzna w ciemnym płaszczu i kapeluszu.

- To Alfredo - wyjaśniła Marie. - Też już nie żyje.

- Wiem, detektyw mi powiedział - Karen wzięła ją za rękę. Nie chciała zadawać żadnych poważniejszych pytań. Czy Alfredo był jej ojcem? Dlaczego oddali ją do adopcji? Czy Marie czuła żal lub wyrzuty sumienia? Czy próbowała odnaleźć Karen? To były trudne pytania, a Karen czuła że i tak otrzymała już wiele. Jeszcze raz spojrzała na zdjęcie mężczyzny.

- Pamiętasz go? - zapytała Marie.

- Nie - odparła szczerze. Wpatrywała się w fotografię. Przez chwilę wydało jej się, że czuje szorstki materiał płaszcza, ocierający się o podbródek. I zapach. Silny zapach. - Czy palił cygara? - zapytała.

- Tak! Skąd wiesz? Musisz to pamiętać.

- Przeblysłk - powiedziała Karen, ale była tak samo przejęta jak Marie. Na tej stronie było jeszcze kilka innych zdjęć. Marie wskazała swoją siostrę,

matkę i jeszcze jedno ujęcie dalmatyńczyka, prowadzonego na smyczy przez jej szwagra. Odwróciła kartkę i ukazało się zdjęcie, które Karen miała w torbie -dziewczynki leżącej w łóżeczku z gumową żabką.

Karen już przedtem nie miała żadnych wątpliwości. Gdy jednak zobaczyła dokładnie tę samą fotografię, którą oglądała ukradkiem jeszcze w Brooklynie, będąc małą dziewczynką, coś w niej pękło. Wybuchnęła płaczem i nie mogła się uspokoić. Marie wstała, objęła ją ramionami.

478

- Cicho, cicho - mówiła. - Już dobrze.

Bella nigdy nie tolerowała łez. Mówiła, że są dziecinne, nawet gdy córka była jeszcze dzieckiem. Ale Marie wydawała się nimi zupełnie nie zmieszana. Karen usiłowała coś powiedzieć.

- Moja żabka-wykrztusiła w końcu.

- Co?

- Moja żabka-płakała.

Marie jeszcze raz poklepała ją uspokajająco i wyszła z kuchni. Cóż, czego można się było spodziewać; scena wprawiła ją w duże zakłopotanie. Karen wciąż płakała, siedząc przy kuchennym stole w skromnym domku, w mieście, którego nie pamiętała. Próbowwała się uspokoić. Może wystraszyła swoją matkę? Nie umiała jednak powstrzymać potoku łez. Zdołała tylko wstać i urwać sobie kawałek papierowego ręcznika wiszącego koło zlewu. Nagle usłyszała za sobą jakiś szelest. Odwróciła się i zobaczyła w drzwiach Marie. Po jej twarzy spływały łzy. Bez słowa wyciągnęła w kierunku Karen spłóviałą i popękaną gumową żabkę.

Marie nalegała, by Karen została na obiedzie.

- Nie będzie tego dużo - mówiła. - Trochę makaronu, może kalafior i cukinia osmażane w bulce. Powinnam być na diecie - zwierzyła się. - Ale oszukuję.

Nie mieli z Alfredo innych dzieci. Marie opowiedziała Karen o swoich ośmiu siostrzenicach i sześciu siostrzeńcach, a Karen o pracy i o życiu w Nowym Jorku. Nie wspomniała tylko - nie mogła - o małżeństwie, ani o Belli i Arnoldzie. Wydawało się jednak, że Marie najzupełniej to wystarcza. Nie wyglądała na wścib-ską. Nie była typem osoby wypytywającej czy przypierającej do muru. Prawdę mówiąc, robiła wrażenie spokojnej i zadowolonej. To uczucie było zaraźliwe. Karen siedziała w małej kuchni, a Marie krzątała się wokół piecyka i lodówki. Pomieszczenie wypełniła woń dobrej oliwy i smażonej papryki. Karen zdawała się wchłaniać w siebie atmosferę zadowolenia. Było to przyjemne uczucie i choć przez chwilę czuła się uwolniona różnych kłopotów. Jeffrey i June, firma, Lisa i cała reszta gdzieś odpłynęły. Karen przestała się martwić. Nie myślała o problemach czekających na nią w Nowym Jorku. Po prostu siedziała w małej kuchni, w małym domku w Chicago Heights i było jej dobrze.

Zjadły obiad. Trudno wyobrazić sobie posiłek bardziej różniący się od tych podawanych przez Bellę. Marie, moja matka, myślała Karen, nie tylko ugotowała trochę makaronu. Szybko, bez wysiłku, podsmażyła paprykę z kawałkami cukinii i przygotowała pysznego kalafiora. Podała też świeży, włoski chleb i dobrą oliwę, w której można go było maczać. Mimo zwyczajnych naczyń, szklanek nie z kryształu, jedzenie było pyszne i obfite. Karen rozejrzała

się wokół, myśląc: to moje prawo. W takiej atmosferze przytulności mogłam dorastać. Jak to się stało, że sprawy potoczyły się inaczej? Jak matka mogła zrzec się swojej córki i pozbawić ją tego wszystkiego?

Powiodła wzrokiem po kuchni i spojrzała na okrągłą twarz siedzącej naprzeciw Marie, na jej niemodne ubranie, na fotografie siostrzenic, siostrzeńców oraz

480

innych członków rodziny przyczepione do lodówki, czy wiszące na ścianie. Wpatrywała się w zdjęcia własnych krewnych. Zabawne, że wszyscy wyglądali jak włoscy robotnicy. Nie była do nich podobna. Była wyższa, miała włosy jasnobrązowe, a nie czarne, a kości grubsze. Ale to jej rodzina. Miała kuzynów, ciotki i wujów, których nigdy nie widziała i z którymi może się teraz spotkać. Czowała, że wiele ją ominęło.

Oczywiście, gdybym wychowała się tutaj, nie poszłabym do szkoły Pratta. Nie spotkałabym Jeffreya i pewnie nie zostałabym projektantką. Może pracowałabym w jakiejś fabryce wiodąc zupełnie inne życie. Nudne i ciężkie. Karen wiedziała, że nie byłoby ono doskonałe, ale jej własne wydawało się takie okropne... Boże, cóż takiego wspaniałego jest w byciu Karen Kahn, w posiadaniu domu w Westport, jadaniu obiadu w Soho, publikacjach na jej temat na łamach „Women's Wear Daily”?

- Tak się cieszę, że cię widzę, spotkaliśmy się znowu i wiem, że wszystko u ciebie w porządku - mówiła Marie. Przez chwilę Karen miała ochotę wyznać matce, iż wcale tak nie jest i całe życie właśnie rozsypało jej się w gruzy. Ale to byłoby niesprawiedliwe. A poza tym czuła, że dopóki przebywa w tym pokoju i domu, naprawdę wszystko jest w porządku.

Długo jadły. Potem Karen pomogła Marie sprzątnąć ze stołu, a tamta opowiedziała jej trochę o ostatniej chorobie Alfreda i jak bardzo za nim tęskni.

- To cygara - mówiła. - On i te jego cygara - pokręciła głową. - Uparty jak osioł. Ale nie mówmy już o tym - sięgnęła po album, by pokazać Karen więcej zdjęć męża. Otworzyła go w miejscu, w którym skończyły oglądać.

Odwróciła kartkę i ukazała się fotografia Karen stojącej przed domem, pod cyframi numeru. Obie długo się w nią wpatrywały.

- Właśnie tego dnia dowiedzieliśmy się - powiedziała Marie, biorąc Karen za rękę i głaszcząc ją delikatnie.

- Dowiedzieliście się czego? - zapytała Karen.

- Że nie będziemy mogli cię zatrzymać. To było straszne. Płakałam i nie mogłam się uspokoić. Nie mówmy o tym! Alfredo obawiał, że cię przestraszę a sama się rozchoruję, ale nie mogłam przestać - oczy Marie znów wypełniły się łzami. Tym razem Karen starała się ją uspokoić.

Teraz albo nigdy. Dziewczynka, którą oddano, zostawiono samą, musiała poznać rozwiązanie tej okropnej zagadki.

- Ale dlaczego musieliście mnie oddać? Dlaczego mnie nie zatrzymaliście? - zapytała. Starła się mówić delikatnie i nie osądzać, jednak dziecko ze zdjęcia domagało się odpowiedzi.

- To pracownicy stanowi - Marie otarła oczy. - Nie dali nam wyboru. Karen popatrzyła na nią nic nie rozumiejąc.

Dlaczego stan miałby oddzielać

matkę od dziecka? Czy Marie i Alfredo znęcali się nad nią? Nie mogła w to uwierzyć. Może dlatego tak niewiele pamięta. Ale co jeszcze mogłoby być powodem? Przecież nie pieniądze? Byli niezamożni, ale już wtedy mieli dom, czyli więcej niż posiada mnóstwo ludzi. Marie głośno wydmuchała nos.

- To było tak dawno - powiedziała. - Ale wciąż boli - westchnęła głęboko. -

359

Cóż, wszystko jedno. Byłaś pod dobrą opieką i to cudownie, że mnie odnalazłaś i mogę cię teraz zobaczyć.

- To cudownie, że mogłam poznać moją prawdziwą matkę - powiedziała Karen.

Jej towarzyszka znieruchomiała na chwilę.

- Co masz na myśli? - zapytała.

- Rodzina, która mnie zaadoptowała jest świetna - zapewniła ją Karen, choć nie była pewna, czy jest to choć w części prawdziwe. - Zawsze jednak czułam jakiś brak. Po prostu musiałam poznać prawdziwą matkę.

Marie patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

- Karen, spędziłaś z nami prawie cztery lata, od niemowlęctwa. Byłam pewna, że cię nam dadzą. Ale wtedy, tuż przed zakończeniem adopcji, ona wróciła i cię zabrano. Wyszła za męża i uparła się, by cię dostać z powrotem. Serca nam pękały, ale takie było prawo. Tak naprawdę nie należałaś do nas.

Karen wpatrywała się w Marie. Nie mogła tego pojąć.

- Co? - wykrztusiła wreszcie.

- Karen, kocham cię. Zawsze cię kochałam. Ale jestem tylko twoją zastępczą mamą. Wychowała cię prawdziwa matka.

Rozdział 37

Drobne wydatki

Muszę się z tobą zobaczyć. Lisa, na dźwięk głosu Jeffreya, omal nie wypuściła z ręki słuchawki. Tylko tego jej brakowało w sytuacji, gdy umowa nie doszła do skutku, rachunki napływały, a Leonard miał ochotę ją zamordować. Oczywiście, było jej przykro, że Jeffrey nie próbował nawet skontaktować się z nią, po tym jak Karen ich przyłapała, ale potem nastąpiła ta historia ze smrodem i powrót do zdrowia. Do tego doszła okropna wiadomość o zerwaniu umowy oraz podejrzenia Leonarda. Milczenie Jeffreya okazało się więc prawdziwym błogosławieństwem. Telefon od niego był jej potrzebny jak następny problem ginekologiczny.

- Daj spokój, Jeffrey. Nie mogę się z tobą spotkać - możliwość wypowiedzenia tych słów sprawiła jej pewną satysfakcję. Obwiniła swego szwagra o wszystko, co się stało. To on wzbudził jej zainteresowanie tymi głupimi, bezwartościowymi udziałami, zapraszał na wystawne obiady... i spowodował wszystkie kłopoty. Lisę trudno nazwać romantyczką, jednak ze względu na własne samopoczucie było jej miło, że ma okazję go odtrącić. Szkoda, że nikt tego nie widział i nie może nikomu opowiedzieć. Przez chwilę poczuła nagły, wręcz bolesny przypływ tęsknoty

za Karen, której mogła zwierzać się ze swych triumfów. Ale bliski kontakt z nią, rzecz jasna, nie wchodził już w grę. Oczy Lisy, ku jej własnemu zdziwieniu, wypełniły się łzami.

- Musimy się zobaczyć - nalegał Jeffrey. -i może lepiej weź ze sobą Belle.

Lisa poczuła, że brakuje jej tchu. Stała, ściskając w dłoni słuchawkę, i niemal wyobrażając sobie własne płuca pod postacią skurczonych, spłaszczonych baloników, rzuconych w kąt dwa dni po przyjęciu. Nie mogła oddychać. O czym, u diabła, Jeffrey chciał rozmawiać z Bellą? Wiedziała przecież, że zwykle jej unikał. Czy to jakaś ostatnia, rozpaczliwa próba odzyskania Karen? Czy ma zamiar w obecności Lisy opowiedzieć Belli całą prawdę, a potem błagać je, by wstawiły się za nim u żony? Ani jej się śni. W żadnym wypadku nie dopuści, by matka dowiedziała się o jej drobnym potknięciu.

483

- Posłuchaj mnie uważnie, Jeffreyu - wszystko skończone. Więcej się z tobą nie zobaczę i bez względu na to co zrobisz, zdania nie zmienię.

- Jezu Chryste! Ja nie dlatego chcę się z tobą zobaczyć. Chodzi o pieniądze, o umowę. Jeśli chcecie z Bellą dostać gotówkę za swe udziały, musicie natychmiast ze mną się spotkać.

- Gdzie? - zapytała tylko i usiadłszy przy telefonie, nagryzmoła wskazówki dużym, dzieciennym pismem.

Rozległ się dzwonek do drzwi, a Lisa omal nie wypuściła z ręki kubka, z którego właśnie piła. Była wykończona. Spotkanie jej i Belli z Jeffreyem i prawnikiem Robertem trwało prawie dwie godziny, a potem dobiły jaskorki na VanWyck. Musiała być w domu przed pierwszą, zanim zaczną się kontrolne telefony Leonarda. Któż to więc mógł być? Obie córki w szkole, mąż w pracy, a ona nikogo się nie spodziewa. Nikt nigdy nie wpadał do niej z przypadkową wizytą. Pobiegła po schodach do sypialni, z której okna widać było drzwi frontowe. Przy łóżku stał telefon. Jeśli to jakiś mężczyzna - komiwojażer lub bezdomny - w ogóle nie otworzy. O nie. Zadzwoń na policję. Ostrożnie odsunęła żaluzje i wyjrzała przed dom.

Nie potrzebowała dzwonić na policję. Już tu byli, razem z radiowozem i błyskającym, niebieskim kogutem. Co się, u diabła, dzieje?

Lisa zbiegła na dół i otworzyła drzwi. Na schodach czekało dwóch policjantów - a właściwie policjant i policjantka zbudowana jak mężczyzna. Między nimi ze zwieszoną głową, stała Tiff.

- Co się stało? - zwróciła się do córki, ale głos zabrała kobieta w mundurze.

- Czy pani Leonardowa Saperstein? - zapytała. Lisa skinęła głową. - Czy to pani córka Tiffany? - Lisa znów przytaknęła. Co się, do cholery, dzieje?

- Możemy wejść?

Cofnęła się i cała trójka wkroczyła do środka. Dopiero wtedy Lisa zdała sobie sprawę, że jej córka ma ręce skute na plecach kajdankami. Jak przestępczyni! Mimowolnie otworzyła usta, po czym zmusiła się siłą woli do ich zamknięcia i podążyła za trzema krępych postaciami do salonu.

- Czy możemy usiąść? - zapytała policjantka. Lisa skinęła głową, lecz obiecała sobie, że po raz ostatni udzieli jakiejś odpowiedzi. Sama miała ochotę usłyszeć teraz parę wyjaśnień.

- Co się stało? - spytała.

- Wygląda na to, że Tiffany dokonała kilku kradzieży w sklepach - odparła policjantka.

Lisa pomyślała o znajdującej się na górze szafie pełnej ubrań. Jezu Chryste! Dlaczego każda przeklęta rzecz w jej życiu układa się źle? Najpierw *bat micwah*, potem Stephanie, sprawa z Jeffreyem, smród, problemy z *minc*, i teraz

to! Miała przecież zamiar w końcu porozmawiać z Tiffany, ale było tyle innych kłopotów, że po prostu jeszcze się za to nie zabrała. O Boże! Ile będzie kosztowało zatuszowanie takiej sprawy? I co powie Leonard, gdy się o wszystkim dowie?

485

Na samą myśl o tym ścisnęło ją w żołądku. Od czasu ostatnich ginekologicznych problemów wyglądało na to, że Leonardowi niewiele potrzeba, by odejść od żony. Lisa z trudem pogodziła się z faktem, że musi się tym martwić, ale tak właśnie było. Ostatecznie, cóż miała poza małżeństwem? Bez pieniędzy z ^KInc skończy, jak inne rozwiedzione żony lekarzy, w jakimś szybko drożącym wynajętym mieszkaniu w Great Neck, pracując dla jakiegoś sklepu.

Będzie musiała dla pieniędzy robić to, co robiła dla przyjemności.

Położyła rękę na czole i odgarnęła włosy z twarzy.

- Nie rozumiem - powiedziała, bo rzeczywiście tego nie pojmowała. - Po co moja córka miałaby kraść? Ma mnóstwo pieniędzy i wszystko czego jej potrzeba.

- Najwyraźniej nie - odparła policjantka. - Wygląda na to, że potrzebowała dwóch marynarek i szyfonowej sukienki za osiemset dolarów.

Lisa nie mogła uwierzyć w ten nowy koszmar. Nie wierzyła, że to się jej przytrafiło. Spojrzała na córkę. Tiff stała na grubych nogach w lekkim rozkroku, odwróciwszy głowę od matki, na ile to było możliwe. Jej twarz nie wyrażała nic.

- Pani sierżant - Lisa zwróciła się do kobiety. - Czy nie można by po prostu zwrócić tych rzeczy do sklepu? Nic się przecież nie stało.

- Obawiam się, że to niemożliwe. To poważna kradzież. Istnieje też podejrzenie, że już przedtem grasowała w sklepie i jego kierownictwo chce skierować sprawę do sądu. Czy moglibyśmy rozejrzeć się po domu? <

Lisa pomyślała o szafie swej córki, w której w równych rzędach wisiały, wraz z metkami z ceną, wszystkie stroje w rozmiarze drugim.

- Myślę - odparła chłodno - że czas, bym zadzwoniła do mego adwokata.

Rozdział 38

Komu bije dzwon

Karen po wyjściu z samolotu udała się prosto na przystanek taksówek. Nie była w nastroju do żartów i nie zwróciła nawet uwagi na ludzi, którzy wołali, by się zatrzymała gdy przeszła na początek kolejki.

- Do Rockville Centre - powiedziała, wręczając pierwszemu taksówkarzowi banknot studolarowy.

- Tak jest, proszę pani - skinął głową i otworzył żółte drzwi samochodu. Wytłumaczyła kierowcy dokąd jechać. Był Izraelczykiem, jednym z niewielu, którzy nie pracowali w radio taxi.

- Musi pani zapłacić mi za powrót - powiedział, gotowy do kłótni.

- Niech pan jedzie-rzuciła mu kolejną setkę.

Czuła się zdruzgotana. To chyba nic dziwnego. Ile razy w życiu człowiek może tracić matkę? Ona utraciła swoją jako niemowlę, kiedy Bella oddalają do adopcji. Potem, w wieku trzech lat, odebrano ją Marie. A teraz straciła Obie. Marie nie była już marzeniem ściganym przez Karen. A Bella, którą zawsze starała się kochać, okazało się jej prawdziwą matką. Zresztą, jakie to słowo miało teraz znaczenie?

Kłamstwa. Same kłamstwa. Jeffrey, Lisa, Bella. Czy był w tej rodzinie ktoś, kto Karen nie oszukiwał?

Zapadał zmierzch, gdy taksówka zatrzymała się przed domem. W półmroku wydawał się jeszcze mniejszy i bardziej zwyczajny niż zwykle. Czy nie jest już podniszczony? Arnold nigdy specjalnie o to się nie troszczył, ale Bella zrzedząc mu nad głową, potrafiła doprowadzić przynajmniej do tego, by nie łuszczyła się farba i krzewy zanadto nie rozrastały. Karen szybkim krokiem przeszła betonową ścieżką. Nie zawracała sobie głowy głupim dzwonkiem. Zamiast tego, zaczęła walić pięścią w drzwi. W obecnym nastroju bardzo jej to przypadło do gustu. Jednak hałas nie wywołał żadnej reakcji.

W oknach od strony ulicy nie było widać światła. Co ona robi, jeśli nikogo nie ma w domu? Karen nie wyobrażała sobie, że mogłaby pójść poczekać do

364

Dunkin' Donut, albo, jak za brooklyńskich czasów, siedzieć na progu tak długo, aż wróci Bella. Ona musi tam być. Matka musi być w domu.

I rzeczywiście. Po następnej minucie łomotania Bella, ubrana w szlafrok koloru lawendy, ukazała się w drzwiach.

- Karen - zdziwiła się. - Skąd się wzięłaś? Bądź cicho, obudzisz ojca. Śpi w pokoju telewizyjnym. Co ty tu właściwie robisz?

Karen wepchnęła się do środka. Dobre pytanie. Co ona robi? Zacznie krzyczeć? Uderzy Bellę? Będzie tłuc ją tak długo, aż tamta bezwładnie osunie się na podłogę? Karen nie chciała jej krwi, ale też nigdy naprawdę nie wierzyła, że Bella ma w sobie jakąś krew. Prawdopodobnie jest wypchana, niczym kosztowna kanapa. A ona pragnęła wybić z niej te pakuły i włosie. Choć raz cieszyła się, że jest wyższa, cięższa i silniejsza od matki. Miała ochotę chwycić tę drobną kobietę i potrząsnąć nią tak, by zadzwoniły jej zęby. Stała na środku głupiego, obwieszzonego lustrami salonu, w którym przez trzydzieści lat ludzie żyli w fałszu i mówili kłamstwa. Na początek, dobrze byłoby porozbijać lustra, pomyślała, rozglądając się dziko po pokoju. Bella szła tuż za nią, krzyżując swym zwyczajem ręce na piersiach. Naturalnie, to dla ciebie typowe. Zawsze chroniła samą siebie, odcinała się od innych i nie dopuszczała Karen do piersi. O ile wie, matka przez cały okres małżeństwa nie pozwoliła się do nich zbliżyć i Arnoldowi.

- Co to ma znaczyć, Karen? - w głosie Belli pobrzmiwało coś więcej niż ciekawość. Czyżby naprawdę wyglądała na przejętą? Przerażoną?

- Okłamałaś mnie - powiedziała Karen. - Bardzo długo mnie okłamywałaś. Bella spojrzała na nią i choć raz - może pierwszy w ich całym, wspólnym życiu - zamilkła. Nie było usprawiedliwiania się, zajmowania pozycji obronnej, niczego. Może jedynie błysk strachu w oczach.

- Dowiedziałaś się już o udziałach? - zapytała.

- Udziałach? Jakich udziałach? - Karen zmieszała się, lecz nie pozwoliła, by Bella odwróciła jej uwagę. - Nie o tym mówię.

- No to o czym? - zapytała matka, choć Karen była pewna, że wie.

- Powiedziałaś mi, że jestem adoptowana. Jak mogłaś? Jak mogłaś się mnie wyprzeć? - czuła, że łzy napływają jej do oczu, ale nie miała zamiaru teraz płakać. Przemoczyła dwie poduszki w drodze z Chicago i nie sądziła, by pozostała w nich jeszcze choć odrobina wilgoci. Wydawało jej się, iż nie składa się już z ciała, tylko z jakiejś twardszej i bardziej suchej materii. Nie ze stali, może z drewna. Tylko, czy drewno trzęsie się tak jak ona teraz? Wiedziała, że to nie słabość ale czysty gniew. Na myśl o tym omal nie wybuchnęła gorzkim śmiechem. Gniew to nieodpowiednie słowo na określenie tej wszechogarniającej furii.

- Nie tutaj - powiedziała Bella. - Chodźmy do sypialni.

Jak dziecko poszła za matką korytarzem. Dlaczego zawsze tak się dzieje? Sekrety. Nie mów Lisie, ale... Robię to dla ciebie, tylko nie mów ojcu... Obiecuj, że jeśli ci powiem, nie powtórzysz matce... Karen miała tego wszystkiego powyżej uszu.

Weszły do sypialni. Łóżko pokrywały rozmaite części garderoby, które Bella przeglądała i otaczała obsesyjną opieką
- sprawdzała guziki, usuwała przyczepione

488

nitki, wygładzała fałdki. Karen, nie zwracając na nic uwagi, odwróciła się ku matce. Nie pozwoli, by Bella zapanowała na nią lub złagodziła jej gniew.

- Okłamałaś mnie - powtórzyła. - Mówiłaś, że jestem adoptowana.

- No cóż, jesteś adoptowana - odparła Bella. Karen nie wierzyła własnym uszom. Droga przez korytarz, lub pocieszająca obecność własnych ubrań, pozwoliły Belli zebrać siły. W jej głosie na powrót zabrzmiały obronne nutki. U matki były jednak bardziej oznaką siły niż słabości. Przeniosła dłonie z łokci na biodra. Czy będzie próbowała wszystkiemu zaprzeczyć? Zanegować całą prawdę? Nie tym razem. Nawet Bella nie ma tyle siły. Matka na chwilę odwróciła wzrok i spojrzała w potrójne lustro, w którym się obie odbijały.

- Arnold cię adoptował. Mam dokumenty i mogę to udowodnić.

Karen po prostu opadła szczęką. Czy w ich najważniejszej rozmowie Bella ma zamiar uciekać się do tego typu wybiegów? Jak daleko się posunie, by tylko uniknąć prawdy i nie przyznać się do błędu?

- Wiesz dobrze, że nie rozmawiamy o moim ojcu.

- Cóż, nie kłamałam, kiedy mówiłam, że jesteś adoptowana.

- A więc zgrzeszyłaś zaniedbaniem, a nie uczynkiem, tak? I dlatego wszystko jest w porządku?

- O czym ona mówi? - zwróciła się Bella do swoich ubrań. - Została jakąś katoliczką?

- Skończ z tymi bzdurami, Bella. Wiesz o czym mówię. Dlaczego nie powiedziałaś mi, że jesteś moją prawdziwą matką? Dlaczego pozwoliłaś bym wierzyła, że jest inaczej?

Bella niecierpliwie rzuciła głową.

- Zawsze mówiłam, że jesteś moją córką i traktowałam cię jak córkę. Czy kiedykolwiek powiedziałam coś innego? Nigdy. Nigdy tego nie zrobiłam. Traktowałam was z siostrą jednakowo. Jeżeli już, to tobie poświęcałam więcej uwagi. Dostawałaś wszystko, co chciałaś i od początku byłaś trudna. Wszystko pragnęłaś robić po swojemu. I zrobiłaś. Przenieśliśmy się tu dla ciebie, posłaliśmy cię do dobrych szkół, jeździłaś na wakacje. Kiedy byłaś głodna? Kiedy...

- Przestań! - wrzasnęła Karen. - Jeśli nie przestaniesz, przysięgam, że cię zabiję. Mówimy o kłamstwie. Obrabowałaś mnie. Myślałam, że jestem adoptowana i, choć mnie kochasz, jest też inna kobieta, która mnie urodziła. Teraz okazało się, że nie było żadnej innej kobiety. Byłaś tylko ty. A ty mnie nie kochałaś, bo inaczej, nie oddałabyś mnie. Nie wypierałabyś się przez te wszystkie lata własnego dziecka.

- Jak śmiesz! Jak śmiesz mnie sądzić i podnosić na mnie głos! Karen wzniosła oczy do nieba.

- Bello, proszę przestań na dziesięć minut myśleć o sobie. Tylko na dziesięć minut. Chcę byś postarała się pomyśleć o mnie i wyobraziła sobie, jak się czułam, kiedy dorastałam w tym domu i za wszystko co było nie tak, obwinałam adopcję. Nie byłam ładna jak Lisa, bo byłam adoptowana. Nie mogłyśmy się porozumieć, bo byłam adoptowana. Nie okazywałaś mi uczuć, bo byłam adoptowana. A gdy czasem czułam, że cię nie kocham, musiałam bardzo uważać, bo przecież byłam adoptowana. Mam w sobie jakąś lukę, puste miejsce przeznaczone na miłość mojej

490

prawdziwej matki, która mnie oddała. Musiałam je zachować, by przeżyć. To miejsce we mnie nie musiało się marnować. Życie, które mi zapewniłaś, nie było złe. Nie biłaś mnie. Nie głodziłaś. Wiele dzieci miało znacznie gorzej. Ale we mnie było puste miejsce. To ty zbudowałaś ścianę między nami. Dlaczego tego chciałaś? Dlaczego wybrałaś kłamstwo? - Karen urwała. Potrząsnęła głową. - Nie potrafię cię zrozumieć - powiedziała. - Nigdy nie wyparłabym się własnego dziecka; jak mogłaś to zrobić? Dlaczego?

- Och, nie bądź taka ważna - syknęła Bella. - Robisz to co musisz. Były inne czasy. Co ty wiesz? Miss Kariery. Miss Sukcesu. My posłaliśmy cię do szkoły. Pomagaliśmy ci. Nie odmawialiśmy ci niczego.

Ale nie wszyscy mieli tak łatwo. Tak łatwo jak ty. Ja dorastałam w slumsach. Moja matka pracowała na akord. Pod koniec każdego miesiąca, gdy zbliżał się czas zapłaty czynszu, wynosiliśmy się gdzie indziej. Do szkoły chodziłam w szmatach. W szmatach. Nie miałam ani jednej pary porządnych butów, która by na mnie pasowała. Byłam zdolna, dobrze radziłam sobie w szkole, ale co z tego? Wystarczało mi inteligencji, by widzieć w jakim tkwię dole. Nie było pracy dla kobiet. Czy miałam iść do fabryki, jak moja matka? Zdołałam skończyć szkołę średnią i dostałam się do szkoły wieczorowej przygotowującej na studia. Uczyłam się, by zostać nauczycielką. Nikt mi nie pomógł. Nikt mi niczego nie dał. Musiałam wybierać między podręcznikiem, a obiadem. Myślisz, że moja matka była taka wspaniała? Pragnęła tylko, bym zaczęła pracować jako szwaczka i przynosiła do domu wypłatę. Myślisz, że chciałam być nauczycielką? Zajmować się przez cały dzień dziećmi innych kobiet? Ale co mi pozostawało? Nie wyobrażaj sobie, że świat przypominał wtedy film z Joan Crawford. Nigdy nie spotkałam kobiety, która byłaby kimś ważniejszym niż sekretarką. Chodziłam więc do szkoły wieczorowej, a w ciągu dnia pracowałam w sklepie z męską galanterią. W obu miejscach poznawałam mężczyzn. W szkole spotkałam Arnolda, na którym można było polegać, ale nie był romantyczny, bogaty ani przystojny. A w pracy - twego ojca. Pochodził z dobrej rodziny. Wszedł do sklepu i w ciągu piętnastu minut wydał na krawaty więcej pieniędzy niż ja zarabiałam przez tydzień. Zaprosił mnie na obiad. Poszłam. Pokazał mi świat, jakiego przedtem nie znałam. Jadaliśmy w restauracjach z płóciennymi obrusami na stołach. Piliśmy wino, nie tylko w seder, ale co wieczór. I dał mi pierścionek. Myślałam, że jesteśmy

zareczeni, poszłam z nim do łóżka. Nie było wtedy środków antykoncepcyjnych, a przynajmniej porządne dziewczyny o nich nie wiedziały. Liczyliśmy na mężczyzn. Cóż, akurat na tego nie powinnam była liczyć. Kiedy powiedziałam mu, że jestem w ciąży, rzucił mnie. Nie sądzę, by w ogóle miał zamiar się ze mną ożenić - Bella wybuchnęła śmiechem, ale głos jej się łamał.

Zabrał mnie kiedyś na żaglówkę na jezioro Michigan. Znał się na tych zabawach bogatych chłopców. Wiesz - tenis, żeglarstwo. Kiedy mnie zostawił, myślałam by wypłynąć łodzią i utopić się w jeziorze. Ale nie potrafiłam tego zrobić ani nikomu się zwierzyć.

Co ty sobie myślisz? - w oczach Belli błysnął gniew - że tak jak dzisiaj, na każdej ulicy przerywali ciążę i były poradnie dla dziewcząt, którym podwinęła

367

się noga? Czy pannie z dzieckiem pozwolono by ukończyć studia? A może zatrudniłaby ją jakaś szkoła? - Bella znów się roześmiała. - Nie wiesz jak było wtedy, a kobiety w moim wieku nie chcą o tym pamiętać. Uwierz mi, pragniemy zapomnieć. Moja własna matka wyrzuciła mnie z domu. Wyniosłam się więc do pensjonatu, najpodlejszego i nieodpowiedniego dla Żydówki. Ukrywałam ciążę i pracowałam tak długo jak mogłam, a potem urodziłam cię i postanowiłam oddać do adopcji. Gdy cię zobaczyłam i wzięłam na ręce, nie potrafiłam jednak tego zrobić. Myślisz, że jestem z kamienia? Zatrzymałam cię, póki nie skończyły mi się pieniądze, a potem po prostu musiałam oddać zastępczej rodzinie. Jaki miałam wybór? Nie było wtedy przedszkoli, a moja matka nie odzywała się do mnie. Zresztą miała też inne dzieci i musiała pracować. Nigdy jej tego nie wybaczyłam i nie odezwałam się do niej ani do nikogo z mojej rodziny.

Co miałam z tobą zrobić? Jakie życie by mnie wtedy czekało? Musiałam oddać cię do adopcji. Wyobrażasz to sobie? Wróciłam do pracy, skończyłam studia i dostałam zajęcie w szkole. Wokół mnie były tylko kobiety. Kobiety i dzieci. Nie miałam szans, by poznać jakiegoś porządnego mężczyznę; kogoś, kto zarobiłby na nasze utrzymanie. Odszukałam więc Arnolda i doprowadziłam do „przypadkowego” spotkania. Znów zaczęliśmy się umawiać, ale tym razem nie mogłam doczekać się oświadczeń.

- Więc on nie wiedział? Nie wiedział o mnie?

- Nie wiedział o tobie. Myślał, że jestem porządną dziewczyną, a ja utwierdzałam go w tym przekonaniu. Chciał ofiarować mi wszystko o czym marzę, a ja pragnęłam wynieść się z Chicago i rzucić pracę. Chciałam mieć dom, ładne ubrania i cię z powrotem. Gdy mu powiedziałam, że nie mogę zająć w ciążę, nie zadawał żadnych pytań. Kiedy oznajmiłam, że powinniśmy adoptować dziecko - wyraził zgodę. A kiedy opowiedziałam, że widziałam starszą dziewczynkę, która musi być moja - nie miał nic przeciwko temu. Nie wiem, co wiedział i czego się domyślał. Nigdy o nic nie pytał, więc nigdy nie musiałam kłamać. Ciebie też nie okłamywałam; Bella spojrzała na Karen. Zacisnęła cienkie wargi.

Nie bądź więc taka ważna, bo nie wiesz jak to było. Nie wiesz, co sama byś zrobiła. Ja postąpiłam tak, jak umiałam najlepiej.

Karen milczała. Bella stojąca dotąd na środku pokoju, podeszła do łóżka i usiadła na nim, jakby wyczerpana. Karen pokręciła głową. Jak zwykle matce udało się usprawiedliwić, nie oznaczało to jednak, że ma rację. Może postąpiła jak umiała najlepiej, ale to nie wystarczało.

- Nie powinnaś była kłamać - powiedziała. - Kłamałaś i zmieniałaś nasze życie w kłamstwo. Nie widzisz, jaki mur wyrósł przez to między tobą a ojcem? Nie widzisz, jaki to miało na mnie wpływ? I zobacz, co stało się z tobą! Zawsze byłaś daleka. Nigdy mnie nie uściskałaś, nie przytuliłaś. Nigdy. Ani razu.

- To przez ciebie. To ty nie okazywałaś uczuć. Wydawało mi się zawsze, że o wszystkim wiesz. Czytałam to w twoich oczach, kiedy dostałam cię z powrotem. Obwiniałaś mnie. Nie chciałaś moich uścisków.

- Oszalałaś - krzyknęła Karen. - Miałam cztery lata. Zabrano mnie z jedyne go domu, jaki pamiętałam. Nie winiłam ciebie. Pewnie byłam przerażona.

368

Przeżyłam uraz - chwyciła się rękami za głowę. Czują, jakby miała eksplodować. Przez jedną szaloną chwilę wyobraziła sobie Bellę zbierającą - swym niezawodnym odkurzaczem - mózg z dywanu.

- Cóż, łatwo ci mówić. Nie masz dziecka. Gdybyś miała, chciałabym zobaczyć, czy lepiej dałabyś sobie radę. Lisa z pewnością poniosła klęskę. Jedna córka ciągle wymiotuje, a druga skończy w więzieniu. Przez ciebie Stephanie została narkomanką a Tiff była taka zazdrosna, że aż zaczęła kraść. Twój ojciec mówił, że złapano ją z ubraniami wartości ponad tysiąc dolarów. To poważne przestępstwo.

- Co? O czym ty mówisz? Co Tiff zrobiła?

- A widzisz. Czy wiesz, co się dzieje w twojej własnej rodzinie? Nie. Jesteś zbyt zajęta. Egoistka! Zawsze byłaś egoistką. I ty myślisz, że byłabyś dobrą matką! Ha! Byłabyś równie złą jak Lisa!

- Może Lisie się nie udało, bo nigdy nie widziała żadnej dobrej matki.

- Znakomicie - Bella spojrzała na Karen ze złością. - Obwiniaj mnie o wszystko. To ja jestem zła. Tiff to moja wina. Stephanie to moja wina. Wszystko to moja wina.

Karen podejrzewała, że Bella przesadza w tym celu, aby ona sama wydała się śmieszna. Ale tym razem metoda nie skutkowała.

- Twoja wina - powiedziała. - Bo wszystkich okłamywałaś. I nigdy nie okazałaś, że nas kochasz.

- Co takiego? Czyli wy dwie nigdy nie zrobiłyście niczego z własnej woli? Czy to moja wina, że Lisa poszła do łóżka z twoim mężem? Ja to sprawiłam?

Karen odczuła cios, ale tym razem zrozumiała, czemu służą te wszystkie manipulacje, ciosy noża i machanie czerwoną płachtą. Bella nie szczędzi niczyich uczuć, bo broni swych własnych. To jedy ny znany jej sposób przetrwania.

- Tak - wyszeptała. - Ty to sprawiłaś. Gdybyś nie zmuszała nas stale do rywalizacji, gdybyś nie chwaliła mnie przed nią, a jej przede mną, może Lisy nie zżerałaby taka zazdrość. Przespała się z Jeffreyem, żeby mnie zranić, bo czuła, że nigdy nie będzie mogła wygrać.

- A jaką wymówkę ma Jeffrey, pani doktor Freud?

Karen stała bez ruchu, smakując ból pytania. Mogła powiedzieć „Spytaj mojego ojca, dlaczego mężczyzna zdradza żonę”, ale miała tyle przyzwoitości, by tego nie robić. Pokręciła tylko głową.

- Nie powinnaś była tego mówić - rzuciła. - Moje małżeństwo to nie twoja sprawa. Chciałam po prostu wiedzieć, czy jest ci przykro - urwała. - Zrozum, to co zrobiłaś nieodwracalnie coś we mnie zniszczyło. Pójdę dalej, ale bez ciebie.

-Z tymi słowami ruszyła do drzwi.

- Co to miało znaczyć? - zapytała Bella, ale Karen nie odpowiedziała. - Odwracasz się plecami do rodziny. Straciłaś męża. Możesz stracić jeszcze więcej. Zobaczymy, jak ci się spodoba samotne życie. Dobrze, że nie masz dzieci - prychnęła. - Bez względu na to, jak złą matką się okazałam, ty byłabyś jeszcze gorsza.

Karen szła korytarzem. Minęła drzwi swojej starej sypialni i pokój, w którym ciągle spał Arnold. W telewizorze dudnił powtarzany odcinek serialu „Gorąca noc”. Przeszła przez salon do frontowych drzwi, a potem na ulicę. Tam, w ciemności,

24 - Spóźniona moda

369

uświadomiła sobie, że nie ma dokąd pójść i że nie wie, jak się stąd wydostać. Mijała kolejne przecznice, aż wreszcie dotarła do Long Beach Road i stacji benzynowej na rogu. Weszła do budki telefonicznej, ale nie mogła znaleźć żadnych drobnych. Podniosła słuchawkę i zamówiła rozmowę na koszt abonenta. Ręce Karen - zanim Carl zdążył odebrać telefon, dygotały tak, że trząsał się mikrofon, a zęby szczykały mimo ciepłej nocy. Gdy próbowała mówić, Carl ledwo mógł ją zrozumieć.

- Powiedz tylko, gdzie jesteś - prosił. - Przyjadę po ciebie.

- Jestem w piekle, Carl - odpowiedziała.

Rozdział 39

Nazwisko

Carl położył Karen do własnego łóżka, zmusił do wypicia pół kieliszka czerwonego wina i zażycia niebieskiej tabletki valium, po których spała dziewięć i pół godziny. Gdy się obudziła, zobaczyła nad głową nieznajomy sufit. Co najmniej przez minutę nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest. Większość ostatnich wydarzeń także uleciała jej z pamięci. Musiała w myślach wrócić z Paryża do Nowego Jorku, potem na Mariany, do SoHo, Chicago, Rockville Centre, a wreszcie, do Brooklyn Heights. Jęknęła, przewróciła się na bok i naciągnęła koc na głowę, chowając się przed słońcem wpadającym przez okno i oświetlającym sufit. Leżała nieruchomo jak ofiara wypadku, starając się ustalić, co ją boli a co zostało nieuleczalnie uszkodzone.

- A, Śpiąca Królowa się zbudziła - Carl wszedł na palcach do pokoju. Te słowa, z jakichś powodów przywiodły Karen na myśl Tony'ego de Freise

i wieczór wręczenia Nagrody Oakleya. Uważali go wtedy z Jeffreyem za Złą Wróżkę, ale to mąż okazał się złym duchem a nie księciem z bajki. Karen jęknęła.

- Nie musisz wstawać - powiedział Carl. - Jest jeszcze bardzo wcześnie. Niezgrabnie ujął ją za rękę. Karen opowiedziała mu o wszystkim, a jego okrągła twarz wyciągnęła się ze współczucia - przynajmniej na tyle, na ile było to możliwe.

- Tak mi przykro, Karen. Jeśli chodzi o Belle, nic mnie nie zaskoczy, ale wstrząsnęło mną zachowanie Jeffrey'a - pokręcił głową. - Tym heteroseksuali-stom po prostu nie można ufać. Ale dojdiesz do siebie. Pomyśl o Rose Kennedy i o tym, jak musiała sobie dawać radę z Glorią Swanson. To taka propozycja.

Karen zamknęła oczy. Carl odchrząknął.

- Spróbuj potraktować zdrady jako po prostu nieodłączną część życia.
- Tak. To samo można powiedzieć o chorobie wenerycznej. Nie znaczy, że muszę być zachwycona, kiedy jej dostanę. Och, Carl, co ja mam robić?
- Nie lubię nikomu doradzać katatonii, ale mnie to zawsze pomaga.

496

- Spróbuję chyba jeszcze trochę pospać - powiedziała Karen, a Carl wyszedł na palcach z pokoju.

Nie była w stanie podnieść się z łóżka. Nawet z pomocą Carla nie umiałyby jeszcze stawić czoła dzisiejszemu dniu ani następnym, jakie po nim przyjdą. Leżała pod kocami i płakała z żalu nad sobą. Właściwie, czemu nie? zapytała się w duchu. Kto inny się nad nią ulituje? Otarła oczy rogiem pierzynki Carla i naciągnęła ją sobie na głowę. Po chwili zapadła w lekki sen.

Siedziała na białej pierzynie, a sufit ponad głową stał się czarny. Kołdra kołysała się i Karen zdała sobie sprawę, że jest na morzu. Na białym morzu. Siedziała w jakimś koszyku czy łódce, unosząc się na falach. Wokół niej nie było nic prócz ciemnego nieba i lśniącej, mlecznobiałej wody. Znów zaczęła płakać w poczuciu samotności, a łzy wpadały do koszyka. Zrozumiała, że jeśli nie przestanie, zatonie, zanurzy się w bezdennej, ciemnej i zimnej głębinie, ale nie mogła się uspokoić. I wtedy usłyszała jeszcze czyjś płacz; cienki głosik dobiegał z kałuży na dnie łódeczki. Karen pochyliła się, zanurzyła ręce w ciepłej wodzie i wyciągnęła dziecko. Patrzyło na nią skośnymi czarnymi oczami. Znało ją; ona je znała. Przytuliła maleństwo do piersi i oboje przestali płakać.

A kiedy się obudziła, wciąż przyciskała do siebie poduszkę.

Karen wróciła do domu i pakowała się właśnie, kiedy usłyszała hałas dobiegający z salonu. Ernesta już wyszła.

Zamarła z przerażenia, ale zaraz rozległ się głos Jeffreya. Zabawne, że na jego dźwięk strach osłabł. Wygląda na to, że lepszy Jeffrey od włamywacza czy gwałciciela, pomyślała i przeszła korytarzem do salonu.

Siedział na krześle przy stole, a przed nim leżał równy stosik dokumentów. Papiery, obicie krzesła, twarz Jeffreya, wszystko miało niemal ten sam odcień bieli.

- O co chodzi? - zapytała, bo nic więcej nie miała mu do powiedzenia. -Czego chcesz?

- Firmy - odparł. Nie poruszył się, a choć był blady, jego głos brzmiał stanowczo.

- Wykluczone - odparła. Choć nie czuła się bezpiecznie, stając do niego plecami, okręciła się na pięcie i ruszyła z powrotem do sypialni.

- To nie była propozycja - poinformował ją Jeffrey. - To fakt dokonany.

- O czym ty mówisz? - odwróciła się ku niemu.

- Nie posłuchałaś głosu rozsądku - powiedział - więc to jest jedyny sposób. Spotkałem się z niektórymi pracownikami i z paroma osobami z rodziny. Wszyscy byliśmy zgodni. Jeśli połączymy nasze udziały, możemy cię przegłosować. Sprzedamy firmę NormCo bez ciebie.

Na chwilę odebrało jej mowę, ale głupota i bezczelność tego pomysłu były tak oczywiste, że Karen poczuła przypływ energii.

- To wykluczone. Wolper nie kupi firmy. On chce mnie i mojego nazwiska.
- Dostanie twoje nazwisko - oświadczył Jeffrey. - Ono należy do aktywów .JIKInc, a jeśli za firmę bez ciebie zapłaci mniej, to i tak nas to zadowolili.

Karen wpatrywała się w męża. Nie mogła w to uwierzyć.

- O czym ty mówisz?

498

- Karen Kahn należy do nas - wyjaśnił. - Ja mam trzydzieści procent udziałów. Razem z tym co należy do mojej rodziny, z akcjami niektórych pracowników, Mercedes...
- A kto będzie projektował?
- Nieważne. Znajdziemy kogoś. Bill prowadzi rozmowy z Norris Cleveland.
- Norris! Chyba sobie żartujesz!
- Jest zainteresowana i potrafi projektować rzeczy w twoim stylu. Klienci z trudem zauważą różnicę. Kupują metkę i to im wystarcza. Ostatecznie Wolpe-rowi tylko na tym zależało. Znacznie obniżył cenę, ale i tak dostaniemy dosyć. Lepsze to niż pozwolić ci doprowadzić firmę do bankructwa.

Karen zamrugnęła oczami. Te bzdury, jakimi faszrował ją Wolper, że kupuje jej talent, szanuje ją i klientów. Same kłamstwa lub półprawdy mające znaczenie tylko wtedy, gdy wszystko szło po jego myśli. Ale... Jeffrey. To wprost niewiarygodne.

- Nie możesz tego zrobić - powiedziała do męża. - Wytoczę ci proces. Robert proponował mi...
- Robert i Sooky już podpisali swoją zgodę. Także moja matka. Niektóre dziewczyny z pracowni, Lisa, twoja matka... Wszyscy się zgodzili. Nie możesz zrobić absolutnie nic.
- Lisa? - zapytała Karen. - Moja matka?

Tego już za wiele. Usiadła ciężko. Bella! Ale czemu właściwie tak się dziwi? Bella musiała mieć ostatnie słowo, zadać ostatni cios, choć może zrobiła to już wcześniej. Czy nie wspominała o jakichś udziałach? Karen, roztrzęsiona, wciągnęła powietrze.

- Może jesteś w stanie odebrać mi firmę, ale nie odbierzesz mi talentu. Będę pracować gdzie indziej.
- Rób co chcesz, Karen. Nie wyobrażaj sobie tylko, że będziesz projektować cokolwiek jako Karen Kahn. Nazwisko należy do nas. Włączyłaś je do aktywów firmy na długo przed ofertą NormCo. Teraz ja nim rządę i mogę z nim zrobić co chcę.

Omal nie jęknęła głośno. Bella. Bella i Jeffrey. Sprzymierzyli się i ukradli dzieło jej życia. Poczula głęboki żal, że zabroniła mężowi postarać się o pozwolenie na broń i pistolet. Zastrzelenie teraz Jeffreya byłoby przyjemnością tak wielką że wartą życia w więzieniu.

- Mam tu wszystkie dokumenty - powiedział, wstając i zbierając się do wyjścia. -Nie próbuj wracać do biura. Zmieniłem zamki i zatrudniłem nowych ochroniarzy. Zwolniłem Janet. Także Caseya i Definę. Miałem do tego pełne prawo. Oczywiście, dostaniesz swój udział, Robert tego dopilnuje.

Na szczęście zdołała jakoś utrzymać się na nogach, dopóki nie wyszedł z mieszkania. Oparła się o ścianę i osunęła na podłogę dopiero, gdy usłyszała, że wsiada do windy.

Rozdział 40

Bezimienny koń

Myśląc później o tym wszystkim Karen uświadomiła sobie, że zawsze istniał plan B. Wtedy jednak, gdy Jeffrey wyszedł, zostawiając dokumenty odbierające dzieło jej życia, a ona została sama, zajęło jej trochę czasu by dojść do siebie.

Bez względu na to, ile Wolper zapłacił za >iKInc i o ile zmniejszył się jej udział, na pewno wystarczy pieniędzy na życie. I ma gdzie mieszkać. Ale jej nazwisko i firma - nie należą już do niej.

Karen leżała na wznak na białej kanapie. Jedno ramię zwisało, a dłoń spoczywała na podłodze. Poprzez ciemność patrzyła w sufit wznoszący się wysoko nad głową. Przed jej oczami, wbrew woli, przesuwały się niektóre projekty - suknia ślubna Elise Elliot, sukienka chłopki, tunika uszyta z trzech różnych materiałów na trzy pory roku i, oczywiście, paryskie modele. To, że można odebrać jej pracę i firma należy teraz do kogoś innego, było wprost niewiarygodne. Przypomniała sobie chwilę w namiocie na Place des Vosges, kiedy własne nazwisko wydało jej się obce. Cóż, ta obcość się pogłębi. Należało teraz do nich, a Norris Cleveland będzie grzebać w jej projektach, notatkach i szkicach. Karen mogła już sobie wyobrazić jedną z tunik, ozdobioną typowymi dla Norris głupimi guzikami, albo sukienkę chłopki w kolorze jadowicie żółtym. Jeffrey będzie wprowadzał na rynek obrzydliwe modele Cleveland, sygnowane nazwiskiem Kahn. Czy klienci zauważą różnicę i czy to ich w ogóle obejdzie? Leżąc samotnie w półmroku, Karen zarumieniła się i nie była pewna, czyjej policzki zabarwił gniew, zażenowanie, czy też jedno i drugie. Szkoda, że przyszłe ubrania JKInc nie mogą ulec autodestrukcji, jak perfumy Norris.

To wszystko było tak niewiarygodne i niespodziewane, że wydawało się nierealne. Może dlatego nie bolało.

Pozbawiona nazwiska, firmy, rodziny i męża nie czuła się tak wyzuta ze wszystkiego, jak teoretycznie powinna.

Doznała nawet odprężenia - koniec z okłamywaniem samej siebie. Człowiek odczuwa ogromną ulgę, gdy przestanie walić głową w ścianę. Sieć została w końcu rozerwana na strzępy.

374

Oczywiście, Karen zbudowała na kłamstwach całe swoje życie. Ale, dlaczegoż nie miałyby tego robić? Ją też zawsze okłamywano. Naprawdę zdumiewające było to, że prawda cały czas kryła się tuż pod powierzchnią. Teraz, w cichym mieszkaniu, dotarło do Karen, że zawsze miała lepszy zmysł do interesów niż Jeffrey. Zawalił sprawę z zaliczką na podatek dochodowy, zawierał niekorzystne umowy z pośrednikami, zaniżył wartość firmy, gdy NormCo robiła wstępny zwiad, a ona nie zwracała na to uwagi lub patrzyła przez palce. Tak jej zależało na mężu, że przymknęłaby

oczy na wszystko, byle tylko z nim zostać. Była koniem, który ciągnął wózek - zarabiała pieniądze, projektowała ubrania, troszczyła się o małżeństwo. Jeffrey liczył na jej siłę, a potem miał wiele za złe. Był kiepskim malarzem i potraktował biznes jako wymówkę, by uciec od niemiłej rzeczywistości. Okazał się pośrednim biznesmenem, lecz udawali oboje, że to ona jest niepraktyczna. Zawsze znała prawdę, ale nie potrafiła spojrzeć jej w oczy.

Powinna też wiedzieć o June. Te wszystkie późne zebrania, nocne rozgrywki pokera, gdy ona była zbyt zajęta pracą, by zadawać pytania! Pojawienie się ex--narzeczonej męża na *bat micwah*, znikanie Jeffreya, uwagi Perry'ego na temat pracowni, mignięcie June w Paryżu. Takich znaków musiało być znacznie więcej, ale ona nie chciała ich widzieć.

Karen uświadomiła sobie także, że znała, a przynajmniej przeczuwała, prawdę o Belli i Lisie. Żadna z nich nie umiała kochać. Ostatnia zdrada nie była czymś gorszym od setek drobiazgów, które nazbierały się przez te wszystkie lata. Rola Karen zawsze polegała na dawaniu, one tylko brały. Musiały zostać egoistkami. Miały w sobie tak niewiele, że trzeba było tego czujnie pilnować.

Karen zastanawiała się, jak bardzo Bella nienawidziła samej siebie. Czy jej strach i gniew odbijał się w oczach maleńkiej córki? Ile, ssąc matczyną pierś, wchłonęła w siebie poczucia winy, złości i lęku - jadu zatruwającego Bellę? Westchnęła głęboko i wtuliła się w poduszki kanapy. W milczeniu odmówiła dziękczynną modlitwę za Marie. Bez lat pełnych miłości i czułości tamtej kobiety, byłaby teraz takim samym bankrutem jak jej matka i siostra. Bella, nigdy dość ładna, inteligentna, bogata czy czysta uczyniła się tak ładną, czystą, zdolną i bogatą jak tylko mogła. Ale wszystko opierało się na kłamstwie. Zamknęła się w zbroi sukienek od Adolfa, kostiumów Davida Hayesa, swetrów St. Johna. Były zbroją, więzieniem, które hamowało wszelki wzrost, choć wydawały się gładkie, kolorowe, miękkie i ciepłe.

Bella musiała nienawidzić własną matkę i samą siebie za to, że oddała dziecko i okłamała Arnolda. Nic dziwnego, iż niewiele miejsca pozostało jej na uczucia dla którejś z córek. Była całkowicie pochłonięta nienawiścią, która towarzyszyła jej i stawała między nią a rodziną. Krążyła po domu niby w sypialni, zawsze pełna złych uczuć, niezadowolona mimo idealnie czystych ubrań, umytych ciał, nowoczesnych posiłków, wszystkiego na swoim miejscu.

Co gorsza, niechęci do samej siebie uczyła Lisę, Karen, a potem Stephanie

i Tiff. Kobiety przekazują ją sobie z pokolenia na pokolenie. Nauczyłam się jak być koniem, pomyślała Karen.

Tylko w mojej pracy byłam dobra. Za to kochał

mnie Jeffrey, jeśli w ogóle kochał. Ale miałam przynajmniej to. Co mają Bella, Lisa albo moje siostrzenice? Wyobraziła sobie kobiety ze swojej rodziny, jako rozwiniętą sztukę materiału-nitki osnowy wybiegały z jednego spletanego motka nienawiści do samej siebie. Bez względu na to, jakie inne nici wpleciono, cokolwiek następne pokolenie mogłoby dodać do osnowy, główny motek decydował o strukturze tkaniny życia. To co na wierzchu, było tylko farbka, politura. Oto trzy pokolenia zdradzonych przez mężczyzn kobiet, którym wmówiono, że są bez wartości.

Czy zaszłabym w ciążę, gdybym nie czuła nienawiści do samej siebie? - zastanawiała się Karen. A gdyby tak się stało, czy przekazałabym dziecku tę nienawiść? Pomyślała o maleństwie z Marianów, jego czarnych, czujnych oczach, pełnych oczekiwania. Co mogłaby mu ofiarować?

A potem pomyślała o Billu Wolperze. Zrobił z niej idiotkę przy pomocy swych kłamstw, a teraz dzięki jej nazwisku, ogłupi kobiety, które kupią ubrania Karen Kahn. Będą przesadnie drogie, źle zaprojektowane i tandetnie wykonane. Uwiódł ją. Sprawił, że poczuła się atrakcyjna, choć widział w niej tylko roboczego konia. On ostatni ją zdradził. Teraz Karen jest bezimiennym koniem. Przewróciła się na brzuch i ukryła twarz w białych poduszkach kanapy. Pobrudzi je kosmetykami - szminką, różem, tuszem do rzęs - ale trudno. Jeśli obicie będzie jutro wyglądać jak chusta Weroniki, zobaczy portret swojej niedoli. A za karę, że była ślepa i żyła wśród tylu kłamstw, będzie oglądać swe nazwisko na wszystkim, począwszy od czekoladek a skończywszy na serwetkach. Może nawet na papierze toaletowym. Czy Pierre Cardin nie dał licencji na używanie jego nazwiska producentom instalacji sanitarnych? Inicjały Saint Laurenta ozdabiały papierosy i wycieraczki. Karen Kahn będzie sprzedawana każdej kobiecie pragnącej odrobiny luksusu. I nic nie można na to poradzić.

Czyżby?

Odwróciła się na plecy. Może już nigdy nie będzie mogła zaprojektować niczego pod własnym nazwiskiem, ale przecież, tak naprawdę, ono nie należy do niej, tylko do jej męża. Nie nazywa się także Karen Lipsky. Arnold nie jest jej biologicznym ojcem. Dlaczego też miałyby nosić nazwisko jakiegoś dawcy spermy, który przyczynił się do jej zaistnienia? Jej tożsamość nie tkwi w nazwisku, tylko w niej samej. Jeśli klienci nie są w stanie odróżnić pracy Karen od wytworów Norris Cleveland, to nie jej wina. Tymczasem, może nie dopuścić przynajmniej do niektórych nadużyć. Nie uratuje nazwiska, ale może uratować swoją pracę.

Stali w ciemnościach, w bramie budynku wznoszącego się na Siódmej Alei naprzeciw domu pod numerem 550.

Kiedy Karen wysiadła z taksówki, omal się nie uśmiechnęła. Wszyscy ubrani byli na czarno, jakby grali w powtórce

jednego z odcinków starej wersji „Mission Impossible”. Janet bardzo zbladła, ale na twarzach reszty malowało się ponure opanowanie.

503

- Miejmy nadzieję, że Casey ukradł właściwy klucz - Karen nie traciła czasu na przemówienia.

Carl, Janet, Casey, pani Cruz i Defina mieli ze sobą puste pudła.

- Udawaj, że są ciężkie - powiedział Carl, wręczając Karen dwa kartony. - Jeśli wniesiemy coś, a potem wyniesiemy, będzie to mniej podejrzane niż gdybyśmy tylko wynosili.

Karen pokiwała głową. Carl wyglądał, jakby uginał się pod ciężarem pustego pudełka. Najwyraźniej uczęszczał do Szkoły Szpiegowskiej Marcela Marceau. Gdy podeszli do portierni budynku numer 550, Janet się przeżegnała.

- Co będzie, jeśli strażnik nas nie wpuści? - wyszeptała.

- Dostanie kopa w tyłek - odparł Casey. Karen uśmiechnęła się. Do tej pory nie miała styczności z męską stroną osobowości swego dyrektora do spraw sprzedaży.

Strażnik drzemał z nogami na biurku.

- Róbcie tyle hałasu, ile się da - nakazał Casey. - Akcja nie jest tajna.

- Trudno uwierzyć, że te łobuzy nie mogą zaczekać do przyszłego tygodnia - powiedział głośno Carl. Nogi strażnika zeskoczyły z blatu.

- Niewiarygodne, co? Cóż, gwiazdy rocka i politycy chcą, co im się podoba wtedy, kiedy im się podoba - rzuciła Defina i pomachała do strażnika. - Chce pan drożdżówkę? - zapytała. - Wygląda na to, że trochę kawy też by się przydało.

Mężczyzna przetarł oczy.

- Nie spałem - powiedział obronnym tonem.

- My też nie. To przechodzi ludzkie pojęcie. Madonna wyciągnęła z łóżka Karen Kahn, żeby uszyła jej wyprawę. Wyobraża pan sobie tę bieliznę? Mamy w pudłach skóry i gumę. Gumowa suknia ślubna. Wymyśliłby pan coś podobnego?

- Madonna wychodzi za mąż?

- Cii, niech pan nikomu nie mówi - ostrzegł Carl.

- Za kogo?

- Za brata Billa Clintona. Jutro wieczorem na żywo w telewizyjnym programie Lettermana. - Strażnik zagwizdał. - Przyjęcie odbędzie się pojutrze w Białym Domu. Musimy do rana mieć gotowe wszystkie stroje, łącznie z pierwszym biustonoszem dla Chelsea.

- Nie nabieracie mnie?

- Skąd.

- Założę się, że Hillary szaleje - rzucił strażnik.

- Mało powiedziane - odparła Defina i wszyscy wsiedli do windy.

Ponad dwie godziny zajęło zapakowanie wszystkich szkiców, wzorów, notatników i informacji o modzie, które Karen zgromadziła przez dwadzieścia lat pracy w branży. Kiedy pudła były pełne, wrzuciła na wierzch ostatniego plakietkę Nagrody Oakleya. Casey pozaklejał kartony taśmą. Carl spojrział

377

na zegarek i oznajmił, że już za piętnaście czwarta. Rozejrzała się po pustym pokoju. Zawsze kochała widok z okien na Siódmą Aleję, ale Jeffrey i Bill odebrali jej gabinet.

- Urywamy się - zaproponował Casey.

- Uhm - przytaknęła Defina. - Udało się. Kobiety i geje podbijają wszechświat męskich heteroseksualnych korporacji.

- Chciałam wam podziękować. - Karen skinęła głową. - Żadne z was nie musiało...

- Owszem, musieliśmy - uśmiechnęła się pani Cruz.

- I co Norris będzie teraz kopiować? - zachichotał Casey.

- Muszę zrobić jeszcze jedną rzecz - powiedziała Karen. - Pomożesz mi, Janet? - Sekretarka skinęła głową. - Podyktuję ci list.

- Teraz chce mi go pani dyktować? - zapytała dziewczyna.

- Tak.

Usiadły przy komputerze, podczas gdy reszta zajęła się wnoszeniem pudeł do windy. Defina dopilnowała, by zapakowali rzeczy do taksówki i odwieźli do Carla na przechowanie, po czym wróciła do ogołoczonego gabinetu.

- Jeszcze nie skończyłyście? - zapytała. - Na dole czeka strażnik z pytaniem, czy nie mogłabyś załatwić prywatnej wizyty w Gabinetcie Ovalnym.

- Gotowe - Karen podała Definie list wydrukowany właśnie przez Janet. Czytała go przyjaciółce przez ramię.

Drogi Billu,

Dzięki za wycieczkę do Bangkoku i na Mariany. Dała mi dużo więcej, niż ty czy ja mogliśmy się spodziewać.

Chcę cię też zapewnić, że wpuszczenie mnie w maliny było prawdziwym majstersztykiem, podobnie jak nabieranie kobiet w życiu prywatnym i służbowym. Świetnie potrafisz sprzedawać marzenia i wykorzystywać nasze słabe strony.

Wiem, że wychodzimy przez to na idiotki i że nie szanujesz żadnej z nas. Wyzyskujesz wszystkie, od niewolnic ze swych fabryk, poprzez klientki, które nie wiedzą co kupują, aż do mnie, projektantki, której pracę ukradniesz.

Odniosłeś zwycięstwo, bo mężczyźni tacy jak ty zawsze zwyciężają. Chciałabym tylko zwrócić ci uwagę, że nawet oni muszą żyć wśród kobiet i jeśli ogłupisz nas wszystkie, możesz poczuć się bardzo samotny.

Z poważaniem Była Karen Kahn

Defina otworzyła szeroko oczy, pokiwała głową i uśmiechnęła się.

- Dobrze? - zapytała Karen.

- Brakuje tylko dopisku. Zapomniałaś nazwać go bydlakiem. Zostawiasz jakąś wiadomość Jeffreyowi?

506

Karen uśmiechnęła się ponuro, sięgnęła do torby i wyciągnęła puszkę farby w sprayu. Potem, zaczynając od lewej, wymalowała swe pożegnanie na ścianach i oknach gabinetu. WSZYSCY FACECI TO ALFONSI - głosili niemal dwumetrowe litery.

Opinia była, jeśli niezupełnie, to wystarczająco prawdziwa.

Rozdział 41

Powrót

Arnold zamykał praktykę i przechodził na emeryturę. Karen udało się jeszcze zastać go w biurze i poprosił, by tam przyjechała. Nie była w tej dwupiętrowej, ceglanej kamienicy w Hauppauge od czasu, gdy po raz pierwszy zarejestrowali ^ (Klinc jako firmę. W zagraconym biurze jak zwykle panował bałagan. Inez wpuściła Karen do środka i uśmiechnęła się, może trochę nieśmiało. Arnold od razu odpowiedział na powitalny okrzyk córki.

Siedział przy dużym, szarym, metalowym biurku, które dobrze pamiętała. Nie przepadał za ozdóbkami. Zajął ustawione na wprost krzesło.

- Zaczekaj chwilę - powiedział. - Oddzielam właśnie sprawy, które nie zostały definitywnie zakończone. Karen skinęła głową. Popatrzyła na ścianę. Zapamiętany wiersz wciąż tam wisiał w swej zniszczonej ramce: *Odgrodziłam mą siostrzyczkę od życia i światła/ (Za różę, za wstążkę, za wieniec na czole)*. Przypomniała sobie koszmar Marianów i odwróciła wzrok.

Arnold wrzucił kilka skoroszytów do pudła, a jeden do worka na śmiecie.

- A więc zrezygnowałaś z posiadania większości udziałów - zauważył. - Bella opowiedziała mi dziś rano, że przekazała swoje akcje Jeffreyowi. Postąpiła bez skrępowań.

Karen kiwnęła głową.

- Zawsze starałem się dostrzec punkt widzenia twojej matki. Wiedziałem, że działa pod wpływem strachu a nie nienawiści. A przynajmniej tak mi się wydawało - pokręcił głową. - Popełniłem wiele błędów, Karen. A tych, przez które cię skrzywdziłem, żałuję najbardziej.

Karen poczuła, że ściskają w gardle, ale nie miała zamiaru już więcej płakać. Czy ojciec wie, że jest prawdziwą córką Belli? Czy powinna mu o tym powiedzieć? Czy ma to właściwie jakieś znaczenie? Lepiej pozostać przy sprawach zawodowych.

- Chciałam cię tylko o coś zapytać - powiedziała. - Ty nas zarejestrowałeś. Czy jest jakiś sposób, bym mogła zatrzymać firmę?

380

Arnold pokręcił głową.

' - Nie wiedziałem, że oddałaś część akcji. Odradziłbym ci to, choć gest był wspaniałomyślny. Może nawet postąpiłaś słusznie. Dobra z ciebie dziewczyna, Karen. Dostałem faks od Larsa Dagsvarra. Wierzy, że potrafisz chodzić po wodzie - położył jej rękę na ramieniu. - Jestem z ciebie dumny.

- Naprawdę? Przecież wygląda na to, że wszystko popsułam.

- Jesteś dzielna i ciężko pracujesz. A w twojej branży toczy się brzydka gra. Nigdzie nie rządzą tak twarde reguły jak w przemyśle odzieżowym. Sama wiesz. Chodzi o pięćdziesiąt bilionów dolarów rocznie, to więcej niż w przemyśle samochodowym. Moda żywi się słabością kobiet, a kontrolują ją mężczyźni. Przyglądałem się, jak w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych Detroit narzucało te hasła o przestarzałych samochodach. Czułem tylko pogardę dla facetów nabierających się na „nowy model” i myślałem, że kobiety nigdy nie okazałyby się takie głupie. Ale tak właśnie się stało - westchnął. - Postąpiłaś słusznie. Starłaś się. Nie masz się czego wstydić. - Usiadł powoli, przytrzymując się poręczy obrotowego fotela. - I co masz zamiar teraz zrobić?

- Mam pewien pomysł - odparła. - Inne przedsięwzięcie handlowe. Ale jest ważniejsza sprawa. Myślałam o dziecku. O adoptowaniu dziecka - urwała. Nie przywykła rozmawiać w ten sposób z Arnoldem. Zaczerpnęła powietrza. - Myślisz, że to dobry pomysł? - zapytała. - Matka powiedziała, że ja...

- Coś ci powiem, Karen. Nigdy nie żałowałem, że ożeniłem się z Bellą, bo dzięki temu otrzymałem ciebie. Uważam, że będziesz wspaniałą matką. Czy odpowiedziałem na twoje pytanie?

Skinęła głową.

- Odchodzę od Belli - powiedział. Karen znów skinęła głową.

- Zajmiesz się moją sprawą rozwodową? - zapytała. Teraz z kolei Arnold przytaknął w milczeniu.

Karen jeszcze raz pomyślała o Madame Renault i jej przepowiedni. Teraz, po rozmowie z Arnoldem, wiedziała już dokładnie co zrobi. Odnajdzie dziecko z Marianów, które było jej przeznaczone. I zadzwoni do Bobby'ego Pillara, bo jest poważnym facetem i są teraz sobie potrzebni. On potrzebuje jej klasy, a ona jego wpływów, by stawić czoło Wolperowi i zmienić własne życie. Wykręciła numer Bobby'ego na Zachodnim Wybrzeżu i, o dziwo, nie tylko go zastała, ale nawet sam odebrał telefon. Wyjaśnienie własnej sytuacji zabrało jej kilka minut. Wydawało się, że Bobby sam już sporo wiedział. Kiedy skończyła, roześmiał się.

- *Momzers!* - wykrzyknął. - Myślę, że mogą cię tak traktować? Słuchaj, *mammela*, mam parę pomysłów, a najlepszy polega na tym, byś wystąpiła w mojej telewizji z nową kolekcją. Rzeczy eleganckie, ceny umiarkowane.

- Ale nie mogę używać mojego nazwiska - przypomniała mu.

- A na co ono komu? Masz coś lepszego niż nazwisko - masz siebie. **A** w telewizji wypadniesz niewiarygodnie. Nie, co ja mówię. Wiarygodnie. Urządzimy

509

całą rewię, pokażesz rozmaite rzeczy - ładne i brzydkie. Opowiesz o tym, co lubisz i dlaczego. Dopiero wtedy sprzedasz swoje modele. Nie tym bogatym małpom, jak do tej pory, ale prawdziwym kobietom, które pracują i potrafią rozpoznać nie tylko twoje nazwisko, ale dobry projekt. Czemu nie rzucisz w kąć cudów niewidów dla dam z towarzystwa i nie zaczniesz ubierać Ameryki? Karen uśmiechnęła się. Podobał jej się ten pomysł.

- Ubrania, w których dobrze wyglądają kobiety ważące ponad pięćdziesiąt kilogramów?

- Właśnie! Kilka tych anorektycznych modelek może nawet, przez to wszystko, znaleźć się na bruku. Wyobrażasz je sobie, jak chodzą po Siódmej Alei i żebrzą, trzymając tekturki z napisem: będę pracować dla Versace.

- Ale moje nazwisko. Straciłam je.

- Do diabła, nazwiemy cię Madame X! Opowiemy światu, jak cię urządził mąż. Ukradł twoją firmę. Twoje nazwisko. Zresztą, przecież je masz, tylko nie możesz sygnować nim takich samych produktów. Sprawa rodziny Galio ustanowiła precedens. Wiesz, brat tego faceta od win, chciał sprzedawać ser czy coś w tym rodzaju. Nie mogą zupełnie wykluczyć cię z branży. Poza tym mam haka na Wolpera i marzę by go wykorzystać, od czasu jak wykiwał mnie na umowie z telewizją kablową. Hej, możemy im odplacić pięknym za nadobne. Zobacz, jak wyszła na podobnej sprawie Loni Anderson. Albo Ivana - urwał. - Pomyśl jak Jeffrey i NormCo będą potem wyglądali! Świetny zakup, Bill! Myślisz, że dostałeś coś z klasą, a tymczasem czekają cię pozory i rewanż ze strony poszkodowanej - znów urwał i wybuchnął śmiechem. - Jak ci się to podoba?

Karen podobało się bardzo.

Następnie zadzwoniła do Sally. Pracownica Harveya Kramera chciała pomóc, ale była ostrożna.

- Można zrobić coś takiego - powiedziała - Ale nie obejdzie się bez protekcji. Oficjalnie jest pani mężatką i zostaliście zaaprobowani jako rodzice adoptowanego dziecka. Nie jestem pewna, jakie stanowisko zajmie sąd wobec waszego rozstania. Mogę pomóc w sprawach związanych z imigracją.

- Żony dwóch senatorów to moje stałe klientki. Proszę do nich zadzwonić - zaproponowała Karen. Nie była na tyle dumna, by w takiej sprawie nie podeprzeć się protekcją. - Ubieram też senator Scranton, odkąd po raz pierwszy wystartowała w wyborach do rady miejskiej. Jest teraz w Chinach. Proszę wykorzystać wszystkie możliwości.

Potem wykonała jeszcze kilka telefonów, między innymi do Carla, który zrobił jej rezerwację i przyjechał pomóc w pakowaniu. Odwiózł nawet Karen taksówką na lotnisko.

- Carl, myślisz że zwariowałam? - zapytała.

- Nic podobnego. Myślę, że wiesz czego chcesz i że to dostaniesz. To się nie stało z dnia na dzień, Karen. To nie jest tylko kaprys.

- Chcę, żebyś jeszcze coś dla mnie zrobił - urwała, starając się to powiedzieć

511

jak najdelikatniej. - Widzisz, po sprzedaży firmy dostanę trochę pieniędzy. I pragnęłabym, żeby przydały się na coś dobrego. Chcę, byś otworzył salon fryzjerski na Manhattanie. Od pobytu w Paryżu wszystkie modelki za tobą szaleją. Jesteś modny. Zrób to, Carl. Pokręcił głową.

- Nie mógłbym przyjąć pieniędzy z transakcji Jeffreya. Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze.

- Mnie by to sprawiło ogromną radość. Proszę.

- Oficjalna pożyczka-powiedział po namyśle. Skinęła głową. -Dziękuję,Karen. Wzięła go z wdzięcznością za rękę i trzymała przez całą drogę na lotnisko Kennedy'ego.

Dzięki valium, które dostała od Carla, przespała większą część drogi do Hongkongu, gdzie przez godzinę musiała czekać na samolot na Mariany. Wykorzystała ten czas na wykonanie telefonu do Sally i kontynuację ustaleń, które zaczęli z Carlem jeszcze w Brooklynie. Potem wsiadła do samolotu. Droga na Mariany trwała sześć godzin, ale tym razem Karen nie spała. Była zbyt podniecona. W czasie lotu chyba kilkanaście razy zmieniała zdanie. Świetny pomysł, nie, zupełna głupota. To sentymentalne, niemądre, nie przemyślane. Zawsze będzie tego żałować, nigdy nie pożałuje. Za każdym razem czuła się, jakby miała wyskoczyć ze skóry. Zdawało jej się, że to wszystko jest niemożliwe; nie jest w stanie iść dalej. Wtedy przypominała sobie, że nie ma już odwrotu i tylko myślała o oczach dziecka, które było jej przeznaczone.

Uzgodnili z Bobbym Pillarem, że nie podadzą swej umowy do wiadomości publicznej, dopóki Karen nie dostanie pieniędzy od Wolpera, ale potem wypłyną na szerokie wody. Oznaczało to, że będzie musiała wyzbyć się luksusu ubierania bogatych. Ale gdy pomyślała o niektórych smutnych i zdesperowanych kobietach, kupujących modele z jej kolekcji *haute couture*, nie było jej specjalnie szkoda dawnego zajęcia. Żałowała jedynie swobody kupowania każdego materiału, jaki chciała i tego, że nigdy nie zaprojektuje tkanin dla włoskich i francuskich tkalni. Ale co tam. Karen pomyślała o kobietach widywanych na ulicach, w samolotach, w centrach handlowych. To podniecające wyzwanie, stworzyć dobre projekty za cenę, na jaką masowy odbiorca może sobie pozwolić. To zupełnie nowy świat. Do diabła z Paryżem we Francji. Sprzedawajmy w Paryżu w Teksasie!

Zastanawiała się, czy masowy rynek zaakceptuje jej stroje. Czy nie odrzucą ubiorów, nie upstrzonych kwiatkami lub falbankami? Karen postanowiła zaryzykować, że tak się nie stanie, a Bobby był gotów wyłożyć pieniądze. Poza tym,

co to za radość, móc pokazać na ekranie złe projekty autorstwa na przykład Norris Cleveland i rozedrzeć je na sztuki. Nie zdobędzie sobie tym nowych przyjaciół w branży, ale może zostanie bohaterką. Adoptuje i wychowa dziecko. Modliła się, by poszło jej lepiej niż Belli. Trudno być samotną matką i zajmować się córką w pojedynkę, ale co w życiu **jest** łatwe? Ją wychowali Bella z Arnoldem, Lisę także i proszę, jaką odnieśli porażkę. Karen pomyślała o Marie Botteglii, która ją kochała, tuliła, dotykała i całowała. Dzięki Bogu za to! W tym musi leżeć przyczyna różnicy między nią a siostrą.

383

Jako dziecko grzała się w ciepłe miłości i aprobaty. Na swój sposób miałam szczęście, pomyślała. Nie było tego dużo, trwało zbyt krótko, ale przynajmniej kiedyś coś dostałam. Nawet teraz uśmiechnęła się na myśl o Marie, gdzieś tam w Chicago Heights. Za parę godzin, powiedziała w duchu, zrobię z ciebie duchową babcie.

A co z Lisą Bellą? Czy będzie mogła im przebaczyć? Czy w ogóle powinna to zrobić? Nie była pewna. Czy więzy krwi są tak ważne, że nie można ich rozwiązać? Co jej przepowiedziała Madame Renault? Że rozerwie sieć, której nici będą krwawić? Nagle Karen uśmiechnęła się. Czy wróżka nie powiedziała także, że czeka na nią ciemnowłose dziecko? Madame Renault miała całkowitą rację. '

Pomyślała o pierzastych, czarnych włosach niemowlęcia, o jego czarnych oczach wpatrujących się w nią. Nie dbała, że jest jeszcze takie małe. Ono ją zobaczyło. Wybrało. W przyszłości gdy Lily- tak będzie miała na imię - spyta w jaki sposób ją adoptowano, Karen powie jej całą prawdę. Powie o biednej matce i o prawach rządzących światem. O tym, jak kobiety i dzieci szyły w brudzie i ciemności tanie ubrania po to, by na drugim końcu świata inne kobiety wydawały na nie swe pieniądze, nie mogąc zaspokoić próżności. Jak mężczyźni rządzą wszystkim - niewolnicami w fabrykach i kobietami manipulowanymi za pomocą zdjęć w pismach, wystaw i katalogów. Opowie córce, jak i dlaczego umarła jej matka i jak Lily sobie Karen wybrała.

Może nadejdzie chwila, gdy Lily ogarnie gniew i poczuje się inna niż wszyscy. Chwila gdy pożałuje, że oderwano ją od własnej kultury. Karen musiała jednak wierzyć, iż nie popełnia błędu. Pozwoli córce zrobić to, co tamta uzna za słuszne i pomoże jej, w czym tylko będzie mogła. A tymczasem przestanie zaspokajać nieokiełznany apetyt kobiet na modne stroje. Zaprojektuje ładne, trwałe ubrania, które przyzwoicie opłacane krawcowe uszyją dla osób ciężko pracujących na swoje pensje. Koniec z blichтром i luksusem. Będzie tworzyć dla nowych klientek. Miała nadzieję, że ich nie rozczaruje. I że nie zawiedzie Lily. A teraz pragnie tylko przywileju kochania swej córki.

Karen spotkała pana Dagsvarra zaraz po przejściu przez kontrolę celną.

- Dziwi się pan, że przyjechałam? - zapytała. Z uśmiechem pokręcił głową.

- Ani trochę.

- Czy możemy jechać prosto do szpitala?

- Obawiam się, że dziecko przeniesiono - pan Dagsvarr pokręcił głową. - Nie jest już w szpitalu.

Karen szeroko otworzyła oczy

- Dlaczego? Czy coś jej się stało? - Może, choć to nieprawdopodobne, zjawiała się po nią jakaś rodzina? Karen strach ścisnął za gardło. Nie mogła oddychać. Czy jej przeznaczeniem jest stracić jeszcze jedno dziecko?

- Niemowlę przenieśli. Nie było chore, więc trzeba je było wypisać ze szpitala. Miała zostać przewieziona do sierocińca.

- I tam właśnie jest? Nic się nie stało?

- Cóż, nigdy tam nie dotarła. Jakaś pomyłka w dokumentach. Teraz trwają poszukiwania.

384

Wyszli z budynku lotniska. Gorąco i wilgoć uderzyły w Karen ciężką falą.

Miała wrażenie, że idzie pod wodą.

- Jak to się mogło stać? Jak mogli zgubić dziecko?

- Mamy tu dużo dzieci - westchnął pan Dagsvarr. - Chciałbym moc pani powiedzieć, że otacza się je troskliwą opieką. - W jego głosie słyhać było zmęczenie.

- Jedźmy do biura naczelnego prokuratora - powiedziała Karen. - Juz z nimi rozmawiałam. . .

- Może powinniśmy zacząć od pani prawnika - zaproponował jej towarzysz. - Ma pani jego adres? -

Karen wyciągnęła filofax, a z niego wizytówkę. Nie mogła w to uwierzyć! Lily zaginęła! Przygryzła wargę. Przebyła prawie dziesięć tysięcy mil, przeleciała pół świata, a ci idioci nie są nawet w stanie prześledzić losów jednego niemowlęcia. Cóż, odnajdzie je, choćby miała przeczesać całą wyspę.

Przejechali obok fabrycznych budynków i slumsów, w których, takjak matka Lily cierpiały inne dziewczęta. Karen miała nadzieję, że czek z NormCo będzie opiewał na dużą kwotę, ponieważ jej połowa trafi tutaj, do tych obrabowanych kobiet. Opowie o nich w telewizji. To niewiele, ale zawsze cos.

Wjechali na głównąulicę. Na skrzyżowaniu pan Dagsvarr skręcił i zdołał wcisnąć swój stary, rozklekotany samochód między nową toyotę i ciężarówkę zbudowaną z takiej masy połączonych ze sobą zardzewiałych części, że me można było określić marki. Pomógł Karen wysiąść i oboje poszli do biura pana Chinga.

Nie czekali długo. Pan Ching, sympatyczny, siwiejący mężczyzna wprowadził ich do gabinetu. .

- Mam dobrą wiadomość - powiedział. - Znaleziono dziecko.

Karen przeniosła wzrok na pana Dagsvarra. Czy to prawda? Nie musi się juz denerwować? A może przestraszyli się, że narobi zamieszania i znaleźli jakieś inne, pierwsze z brzegu dziecko zamiast Lily?

- Czy mógłbym zobaczyć pani dokumenty? - poprosił pan Ching.

Podala paszport, raport kuratora z domowej wizyty, złożonej chyba w innym życiu, formularze przygotowane dla stanu Nowy Jork i wszystkie informacje, w które zaopatrzyła ją Sally z biura Kramera.

- Będę musiał, rzecz jasna, skontaktować się z Urzędem Imigracyjnym -powiedział pan Ching. . .
 - Po co? - zapytała Karen. - Mała jest Amerykanką. Tutaj się urodziła. Czy ta wyspa nie należy do starych, poczciwych Stanów Zjednoczonych?
 - Cóż, matka dziecka była Chinką. Narodowości ojca me znamy. Myślę, że najlepiej będzie przygotować się na każdą ewentualność.
 - Niech pan robi to, co uważa za konieczne - powiedziała Karen. - Lepiej tylko, żebym mogła zabrać moje dziecko do domu. Teraz do niej jadę. Gdzie jest Lily?
- Karen szybkim krokiem wędrowała korytarzem Szpitala Metodystów na Marianach. Przewieziono tu Lily, ponieważ miała lekką gorączkę. Tak przynajmniej

25 - Spóźniona moda

385

poinformowano Karen. Tylko dlatego dziecko udało się odnaleźć. W przeciwnym razie znajdowałoby się na drugim końcu wyspy, w miejscu swego przeznaczenia. Karen wraz z towarzyszem szli po schodach na oddział położniczy. Pan Dagsyarr był tak uprzejmy, że niósł jej torbę, której nie mogli zostawić w samochodzie z drzwiami i oknami bez zamków. Karen czuła wdzięczność za pomoc, ale nie na tyle, by zwolnić i pozwolić dotrzymać sobie kroku. Gdy dotarli do znajdującej się na końcu korytarza sali dla noworodków, po prostu biegła.

Pielęgniarka w staroświeckim nakrochmalonym czepku zatrzymała ją przy biurku, przed oknem sali.

- Czy mogę w czymś pomóc? - zapytała.

- Przyszłam do mojego dziecka - powiedziała Karen.

Pielęgniarka przez chwilę patrzyła na nią jak na wariatkę. Karen sięgnęła do torby i wyciągnęła tymczasowy dokument, uprawniający do opieki nad dzieckiem, który dał jej pan Ching.

- Chcę zobaczyć dziecko - powiedziała, podając tamtej papiery. W tej samej chwili nadszedł pan Dagsvarr.

Pielęgniarka spojrzała na niego i twarz jej złagodniała.

- O, witam Wielbnego - rzuciła. Zaczęli rozmawiać, ale Karen odwróciła

się od nich i przez szybę zajrzała do sali. Stało w niej kilkanaście pojemników, a wszystkie były zajęte. Przebiegła wzrokiem, ale choć dostrzegła dwoje małych Azjatów, wiedziała, że nie ma tu Lily.

- Gdzie moje dziecko? - zapytała.

I wtedy ją zobaczyła. Mała leżała w izolatce, ale plastik pokrywy był przezroczysty i nawet z odległości blisko sześciu metrów, Karen ją rozpoznała.

- To ona. Moje dziecko - powiedziała do pielęgniarki i pana Dagsvarra.

Rozdział 42

Spóźniona

Załatwienie spraw w Urzędzie Imigracyjnym zajęło Karen wiele godzin, a i tak okazało się to możliwe tylko dzięki nieocenionej pomocy Sally, przedstawiciela stanowego, interwencji z biura amerykańskiego senatora i, wreszcie, wizyty samego Harveya Kramera. Karen ze znużeniem zastanawiała się, na jakie niebezpieczeństwo może narazić Stany Zjednoczone czterotygodniowy noworodek płci żeńskiej, a także jak znoszą tę okropną procedurę ludzie bez jej przywilejów, pieniędzy i znajomości. Tacy, którzy na lotnisku nie mogą się zdrzemnąć w pokoju dla ważnych osobistości. Lily na szczęście większość czasu przespała, owinięta w kocyk. Pani Dagsvarr wyhaftowała go, na

wiadomość, że Karen wraca po dziecko i ofiarowała jej nieśmiało. Był już brudny, ale w rogu miał wyszyte imię Lily.

Zmęczona Karen zadzwoniła do swej dawnej firmy, by samochód odebrał ją z lotniska. Co tam! Może po raz ostami korzysta z przywilejów ^Klnc. Nie była w stanie spędzić w taksówce ostatnich czterdziestu minut swej podróży dookoła świata. Jazdę lotniska JFK na Manhattan pamiętała ze zmęczenia jak przez mgłę. Obie z Lily przysypiały na tylnym siedzeniu.

Obudziła się na Grand Central Parkway. Przez chwilę nie wiedziała gdzie jest. Chwyła dziecko. Dzięki Bogu! Nie zgubiła jej ani nie upuściła. Co za odpowiedzialność kryje się w tym śpiącym zawiniątku. Czy będzie dobrą matką? Czy jakakolwiek kobieta w latach dziewięćdziesiątych jest w stanie nią być? De-fina tak się starała. Może to jej praca skomplikowała Tangeli życie. Ale czy Dee miała jakiś wybór? Oczywiście, Lisa nie pracowała i proszę, co wyrosło z jej córek. Karen poczuła się nagle stara i zmęczona. Czy starczy j ej energii i sił, by być dobrą matką? Zacisnęła kciuki, mając nadzieję, że miłość i pieniądze pomogą tego dokonać. A potem znowu zasnęła.

Obudziło ją szarpnięcie, gdy zatrzymali się pod zieloną markizą budynku przy West End Avenue.

- Cóż, Lii, jesteś w domu na dobre i na złe - popatrzyła na maleńką twarzyczkę. Niemowlę miało zamknięte oczy, a jego czarne, nieopisane słodkie rzęsy

opierały się na pyzatyach policzkach. Mocno zaciśnięte piąstki dotykały podbródka. Karen musiała uśmiechnąć się do dziecka. Może jej decyzja była irracjonalna i nie powinna tego wszystkiego robić. Może kiedyś w przyszłości pożałuje, albo rozczaruje się do niej Lily. I tak nie postąpiłaby inaczej; nawet jeśli ten czyn zaspokajał zachcianki zdesperowanej kobiety, była z siebie zadowolona. Prawdę mówiąc, nigdy nie było jej lepiej. Tuląc Lily do piersi poczuła się prawdziwa, zupełna i radosna bardziej, niż kiedykolwiek w życiu. Niektóre sprawy nie podlegają rozumowaniu, pomyślała. Pewnie wszystkie te, które dają radość.

Karen wysiadła z samochodu. Kierowca pomógł pozbierać niewielki bagaż i torbę z rzeczami dziecka. Portier George, spóźniony i powolny jak zwykle, zjawił się przy niej dopiero wtedy, gdy zdołała przenieść bagaż i dziecko do foyer. Im więcej rzeczy się zmieniają, tym bardziej pozostają takie same, pomyślała, ale się uśmiechnęła.

Włożyła klucz do zamka i otworzyła drzwi, zastanawiając się czy Ernesta jest jeszcze w mieszkaniu. Była już prawie pierwsza, a ona pracowała tylko do południa. Karen nogą wsunęła torbę do hallu i weszła do salonu.

- Niespodzianka! - wyszeptało dwadzieścia głosów. Karen podskoczyła ale Lily spokojnie spała dalej. Defrna, Casey, Carl, Janet, pani Cruz, Ernesta, Peny, Arnold, Inez i kilkanaście innych osób stało w półkolu trzymając różowe baloniki.' Wstrząśnięta, dostrzegła Elise Elliot z wielkim, błękitnym pudłem od Tiffany'ego. Obok mej stała Anna Paradise z dłonią na ramieniu Ernesty. Była nawet Brenda Cushman i Karen nie mogła nie zauważyć, że miała na sobie sukienkę jej projektu.

- O Boże! - wyszeptała. - Co wy tu wszyscy robicie?

- Musi pani mieć *baby shower*, przyjęcie dla dziecka - powiedziała Janet.

- Była tu Tangela. Czuje się dobrze, ale musiała wracać na odwyk. Przesyła pozdrowienia. A my wszyscy czekamy od wielu godzin - wyjaśniła Defrna.

Karen uśmiechnęła się. Zawsze w życiu robiła wszystko później niż inni. Późno ją adoptowano, późno dojrzała i wyszła za mąż, w drugiej części życia szukała swoich korzeni i doznała zdrady. Teraz rozpoczynała swe późne macierzyństwo.

- Defrna, czy myślisz, że jestem już za stara, by być dobrą matką?

- Kochanie, nie jesteś stara, po prostu trochę się z tym spóźniłaś.

Karen rozejrzała się wokół, po twarzach swych lojalnych przyjaciół z .HKInc. Ale to nie wszystko. Przy oknie, opierała się z wdziękiem o parapet wysoka, ciemna postać Madame Renault. A co ona tu robi, zdziwiła się Karen. Nie miała nic przeciwko temu. Patrzyła, jak Madame Renault zbliża się do niej i dziecka. Zamrugła oczami. Czyż

wróżka nie wiedziała wszystkiego o Lily? Czyż nie powiedziała jej o ciemnowłosym dziecku, które czeka daleka podróż?

- Jestem wstrząśnięta - tyle tylko zdołała powiedzieć.

- Nie miałaś nigdy wcześniej *baby shower*? - zapytał Carl. Podeszedł do mej i popatrzył na zawiniątko. - Pokaż ją nam

- wyszeptał. - Przedstaw mnie mojej siostrzenicy.

- Mojej chrzestnej córce - powiedziała Defina.

- Mojej wnuczce - dodał Arnold.

519

- I mojej - powtórzył jakiś głos. Karen poczuła skurcz w żołądku i oderwała wzrok od doskonałej jak kwiat twarzyczki Lily. Nie ujrzała jednak oczu Belli, ale ciepłe, brązowe tęczy Marie Botteglii. Jak ją odnaleźli? Kto ją zaprosił? Karen nie wiedziała, ale uradowała się na jej widok. Drobną, ciemnowłosa kobieta uśmiechnęła się do niej. Jej głowa znajdowała się na poziomie twarzy Lily.

- Och, jaka śliczna - wyszeptwała.

- Pokaż ją wszystkim - zawołał jakiś młodziak z zespołu projektantów. Ciągle zaszokowana, ale uradowana Karen podeszła do kanapy, rozpostarła na niej koc i ułożyła Lily między dwiema poduszkami.

- Ostami raz ta kanapa jest biała - powiedziała Defina. Wszyscy się roześmieli i stłoczyli wokół, by popatrzeć na śpiącą królową.

- Jak ma na imię? - zapytał Peny. Trzymał się trochę z boku, a Karen zastanawiała się, ile kosztowało go przyjscie tutaj. Czy myślał o Lottie? Czy ciągle pił? Jeśli tak, nigdy więcej nie będzie miała o to do niego pretensji. Wiedziała, że nie przeżyłaby, gdyby cokolwiek przydarzyło się jej dziecku.

- Wybrałaś już imię? - zapytała Defina. - Jeśli nie podoba ci się Defina, to Latosha jest ładne.

- Latosha? - odezwał się Carl. - Brzmi jak jakaś francuska odmiana jabłka Macintosh. Może coś bardziej praktycznego? Na przykład Linoleum.

- Chyba nie, Carl - odparła Karen.

- Latosha to porządne imię - obruszyła się Defina.

- Nazywa się Lily - poinformowała wszystkich Madame Renault.

Karen zamruwała oczami. Spojrzała w ciemną twarz wróżki i poczuła, że jeżą jej się włoski na karku. Czy ta kobieta wie wszystko? A Madame Renault się uśmiechnęła.

- Jest na jej kocyku - pokazała palcem.

Perry podszedł do dziecka i nakrył jego stopkę swoją dłonią.

- Witaj, Lily - powiedział, a oczy Karen wypełniły się łzami. Pani Cruz musiała to zauważyć, bo zbliżyła się i uściskała ją.

- Twoje dzieciątko nie ma ubranek, więc je uszyliśmy - powiedziała, a jej pracownicy zaczęły wyciągać paczki. Ręcznie szyte sukienki z batystu. Odświętna sukieneczka z różowej tafty. Nocne koszulki w kropki z frywolitkami. Małeńkie buciki z mięciutkiej wełny boucle. Cudowna, ręcznie szyta wyprawka! Kiedy one miały czas to zrobić? Skąd wiedziały? Karen nie mogła się już opanować. Zaczęła płakać.

Ale to jeszcze nie wszystko. Ernesta wyprowadziła z kuchni błękitny wózek spacerowy, rolls royce dzieciennych wózków, przesłany ekspresową przesyłką lotniczą z Anglii, przez Bobby'ego Pillara. Liścik głosił: *Droga Partnerko. Mazel tow, gratulacje. Jeśli zaprojektujesz kolekcję dzieciennych ubranek, opłacę studia twojej córki (na uniwersytecie należącym do Ivy League)*. Karen rozplakała się głośniej.

- Bobby ofiarował nam wszystkim coś jeszcze - powiedziała zebrany. - Jeśli chcecie, mam dla was wszystkich pracę - spojrzała na Definę. - i dla Tangeli też.

Wzniesli radosny okrzyk, a Karen znów się rozplakała.

- Popatrzcie, do czego żeście ją doprowadzili - Carl żartobliwie wydał wargi, a Perry podał jej czystą, choć poplamioną farbami chusteczkę.

- Jesteście wszyscy tacy mili - powiedziała Karen. - Tacy mili. Janet wzięła dziecko na ręce.

- Czy będzie mówić po chińsku czy po angielsku? - zadała rozbijające pytanie.

Karen uśmiechnęła się. Janet to dobra dziewczyna, ale trochę nierozgarnięta.

- Myślę, że będzie mówić z brooklyńskim akcentem - powiedziała.

I jakoś wcale nie wydawało się ważne, a przynajmniej nie w tym momencie, że zabrakło Belli. I Lisy z Jeffreyem.

Nie było nikogo z rodziny poza Arnoldem. Z nim jednak nie łączyły Karen więzy krwi! Rozejrzała się po pokoju, patrząc na zebranych. Czuła się z nimi związana, była dla nich miła, a oni odpłacili jej tym samym. To mi wystarczy, powiedziała do siebie. Mam szczęście. Lily też będzie miała szczęście. Wystarczy aż nadto.

- Najlepszy wózek dziecinny? - zapytała Defina.

Karen już otworzyła usta, kiedy zorientowała się, że nie zna odpowiedzi. Nie wie, jakie są najlepsze pieluszki, najlepsze przedszkole ani pediatra. Na chwilę opuściła ją pewność siebie. Może nie będzie umiała dobrze wywiązać się z obowiązków. Defina zauważyła jej wahanie.

- Najlepsza nowa mama? - zapytała łagodnie i, zanim Karen zdołała się odezwać, sama udzieliła odpowiedzi. - Karen Kahn - i uścisnęła jej rękę.

Rozległ się dzwonek i Ernesta poszła otworzyć drzwi. Wróciła, prowadząc za sobą pana Centrillo, który dźwigał ogromne pudło.

- Pani Kahn - powiedział. - Przepraszam, że się spóźniłem, ale coś mi wypadło. Wie pani, jak to jest - przepraszająco poruszył ramionami. - Tak czy siak, usłyszałem dobre nowiny i przyniosłem prezent małej damie. Jeśli jest podobna do matki, wszystko będzie dobrze.

- Panie Centrillo... - Karen była zakłopotana. Tak uważała, by nie używać prawdziwego nazwiska i płaciła tylko gotówką. Skąd się dowiedział?

- Mamy w Brooklynie telewizję, pani Kahn - uśmiechnął się do niej. - Czasem nawet dociera do nas „Women's Wear”.

Karen zaczerwieniona przeprosiła detektywa, a potem otworzyła przyniesione przez niego pudło z pieluszkami.

Krzyknęła na widok wanienki, łódeczka i dziecinnej kołderki. Wreszcie pozostało tylko jedno pudełko, które zamasztyłem ruchem podał jej Carl. Było owinięte w zwykły brązowy papier i Karen spodziewała się, że zawiera

jakiś element wyprawki. Dlatego tak zdziwił ją widok atlasu, który błysnął spod bibulek. Wyjęła piękną, białą, pikowaną lizeskę, z ręcznie rzeźbionymi guzikami i najdoskonalszą francuską koronką przy szyi i rękawach. Wyglądała jak z filmu z Jean Harlow, a Karen przestała pociągać nosem i wybuchnęła płaczem.

- Moja lizeska - mówiła. - Przyniosłeś mi lizeskę.

Leżąca na kanapie Lily obudziła się i też zaczęła płakać. Ernesta, z powagą jaką dają lata praktyki, wzięła maleństwo w swe duże ramiona.

522

- Jestem jej drugą babcią - powiedziała do Marie i zaczęła delikatnie poklepywać małą. Spojrzała na Karen. - Ma pani dla niej butelkę? - zapytała.

Karen, bez słowa, przytaknęła.

- W torbie - zdołała wykrztusić, wskazując na bagaże.

- Włóż lizeskę - zażądał Carl. - Ameryka chce wiedzieć, co pod niąnosisz.

Roześmiała się i włożyła nowy strój. Usadowiła się na kanapie z Lily w objęciach, a mała wypila prawie pół butelki mieszanki. Wszyscy inni też jedli, a Peny podawał Karen obwarzanek, tak by mogła ugryźć go od czasu do czasu, nie przerywając kannienia.

- Jak było w Minnesocie? - zapytała go cicho.

- Zimno i sucho - odpowiedział. - Tak jak we mnie. Nadal nie piję - dodał, unosząc do ust szklanekę wody mineralnej, by wypić zdrowie Karen.

Kiedy Lily skończyła, Karen położyła ją na swym ramieniu i poklepała, by odbeknęła. Zapomniała podłożyć ścierkę. W jednej chwili, zanim Karen zdołała się zorientować, mała zwróciła pokarm na jej okryte atlasem ramię.

- O nie! - zawołała nowo upieczona mama. Perry się roześmiał, pani Cruz wzruszyła ramionami, a Ernesta osuszyła lizeskę ścierką do naczyń. Defina stała w głębi i uśmiechała się.

- Po to właśnie są ubrania - powiedziała.